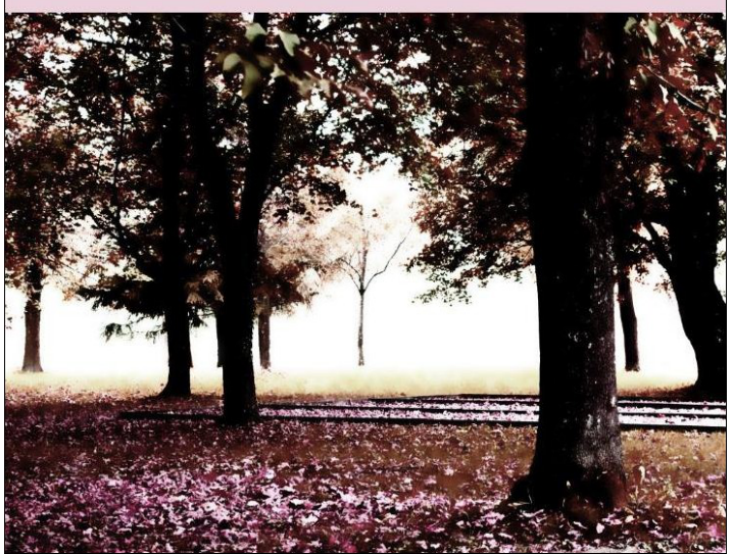
KLASYKA ŚWIATOWA

Charlotte

BRONTË

Dziwne losy Jane Eyre



Dziwne losy Jane Eyre

Charlotte Brontë

(1847)

Strona redakcyjna

Spis treści

ISBN: 978-83-7991-019-9
Licencja: Tekst z domeny publicznej.
Źródło: Polska Biblioteka Internetowa
Opracowanie tej wersji elektronicznej: © Masterlab, 2013.
Na podstawie publikacji z roku 1847.
Język i pisownia mogą być miejscami archaiczne - zgodnie z oryginałem.
Zdjęcie na okładce: Marius Kraemer

MASTERLAB
Wydawanie i konwersja ebooków
E-mail: biuro.masterlab@gmail.com
www.masterlab.pl
Białobrzegi



Poland



TOM I

ROZDZIAŁ I

Niepodobna było tego dnia wyjść na spacer. Rano, co prawda, błąkaliśmy się z godzinę po bezlistnym ogrodzie, ale po obiedzie (pani Reed jadała wcześnie, gdy nie było gości) chłodny wiatr zimowy napędził tak ciemne chmury i deszcz tak siekący, że dalsze przebywanie na świeżym powietrzu stało się niemożliwe.

Rada byłam z tego; nigdy nie lubiłam długich spacerów, zwłaszcza w chłodne popołudnia, tak się obawiałam tych powrotów do domu o zmroku ze zmarzniętymi palcami u rąk i nóg, z sercem ściśniętym upomnieniami Bessie, naszej bony, i upokorzona świadomością, że Eliza, John i Georgiana Reed są o tyle zręczniejsi i silniejsi ode mnie.

Eliza, John i Georgiana skupili się teraz dokoła swej mamy w salonie. Pani Reed spoczywała na kanapce przy kominku, a mając wokół siebie swoich pieszczochów (którzy w tej chwili nie kłócili się i nie krzyczeli), robiła wrażenie zupełnie szczęśliwej. Mnie zabroniła zbliżyć się do siebie. Żałuje — mówiła — iż musi trzymać mnie z daleka, lecz dopóki nie usłyszy od Bessie i sama nie zauważy, że naprawdę staram się wyrobić w sobie bardziej towarzyskie, odpowiedniejsze dziecku usposobienie, że staram się być naturalniejsza, żywsza i przyjemniejsza w obejściu, dopóty będzie musiała odmawiać mi tych przywilejów, jakie się należą tylko zadowolonym i wesołym dzieciom.

— O co Bessie skarżyła się na mnie? — zapytałam.

— Nie znoszę chwytania za słowa i dopytywań, Jane, a przy tym to doprawdy oburzające, gdy dziecko w ten sposób przemawia do starszych. Siądź sobie, gdzie ci się podoba, i bądź cicho, dopóki nie nauczysz się mówić grzecznie.

Pokoik, gdzie jadało się śniadanie, przylegał do salonu. Tam się wsunęłam. Stała tu półka z książkami; niebawem wyciągnęłam jakiś tom, upewniwszy się przedtem, że jest obficie ilustrowany.

Wdrapałam się na kanapkę w zagłębieniu okna, podwinęłam nogi i usiadłam po turecku, a zaciągnąwszy prawie szczelnie pąsową zasłonę z wełnianej mory, poczułam, że jestem ukryta i odosobniona.

Fałdy pąsowej draperii zasłaniały mi widok z prawej strony; z lewej szklana szyba chroniła, choć nie odgradzała mnie od posępności listopadowego dnia. Co jakiś czas, obracając karty książki, przyglądałam się naturze. Daleko na horyzoncie rozpościerała się blada pustka mgieł i chmur; bliżej widać było mokry trawnik i krzew szarpany wiatrem oraz nie ustające potoki deszczu, gwałtownie gnane wichrem.

Powróciłam do książki. Była to *Historia ptaków brytyjskich* Bewicka. O tekst drukowany mało, naturalnie, dbałam; jednakże były tam pewne wstępne stronice, które zajmowały mnie mimo mych lat dziecinnych. Była w nich mowa o siedzibach i gniazdach ptaków morskich, „o samotnych skałach i przylądkach", które tylko one zamieszkują, i o wybrzeżach Norwegii z szeregiem wysepek biegnących od południowego krańca — od Lindesnäs czy Naze — aż do przylądka północnego.

Tam gdzie Arktyku wartka, chłodna fala Tuli samotną wysepkę, okala; Tam gdzie do Hebryd wody Atlantyku Szturm ponawiają wśród bałwanów ryku.

Nie mogłam też pominąć wzmianki o zimnych wybrzeżach Laponii, Syberii, Spitsbergenu, Nowej Ziemi, Islandii, Grenlandii z ich olbrzymią przestrzenią strefy arktycznej, tym strasznym bezludnym przestworem, zbiornikiem mrozu i śniegu, gdzie stwardniałe pola lodowe, przez całe wieki narastając do wyżyn alpejskich, otaczają biegun i są siedzibą najsroższego zimna. O tej śmiertelnie białej krainie wytworzyłam sobie własne pojęcia: mgliste jak wszystkie na wpół zrozumiane wyobrażenia, niejasno tworzące się w umysłach dzieci, ale dziwnie przejmujące. Tekst tych stronic wstępnych nawiązywał do następujących dalej obrazków i nadawał znaczenie to skale, sterczącej samotnie wśród morza bałwanów i piany, to zdruzgotanej łodzi, wyrzuconej na opuszczone wybrzeża, to zimnej, widmowej twarzy księżyca, spoglądającego spoza zwałów chmur na tonący właśnie okręt.

Nie umiem powiedzieć, jaki nastrój wiał ze spokojnego, opuszczonego cmentarza z widniejącym na nim nagrobkiem, furtką, dwoma drzewami na tle niskiego horyzontu, cmentarza okolonego wyszczerbionym murem, nad którym unosił się cienki sierp księżyca, zwiastujący nadejście wieczoru. Dwa statki leżące bez ruchu na spokojnym morzu wydały mi się nierzeczywiste. Szybko odwróciłam oczy od potwora ciągnącego za sobą straszną sforę; był to widok zbyt okropny. Równie okropny był widok czarnego, rogatego stwora siedzącego wysoko na skale i przyglądającego się dalekiemu tłumowi, zebranemu wokół jakiejś szubienicy.

Każdy obrazek coś opowiadał, często coś zagadkowego dla mojego dziecinnego umysłu i niedokształconych uczuć, ale zawsze coś głęboko zajmującego: jak te bajki, które nam niekiedy w zimowe wieczory opowiadała Bessie, gdy była w dobrym humorze. Wtedy to, przysunąwszy stół do prasowania przed kominek w dziecinnym pokoju, pozwalała nam usiąść dokoła i prasując koronkowe falbanki pani Reed albo rurkując brzegi jej nocnych czepków, karmiła naszą ciekawość opowiadaniami o miłości i przygodach, zaczerpniętymi ze starych bajek i jeszcze starszych ballad lub też (jak później odkryłam) z kart *Pameli i Henryka, hrabiego Moreland.*

Z Bewickiem na kolanach czułam się w owej chwili szczęśliwa, a przynajmniej po swojemu szczęśliwa. Bałam się tylko, żeby mi nie przeszkodzono; niestety, stało się to aż nazbyt prędko. Otworzyły się drzwi od salonu.

— Hę! panno mrukliwa! — usłyszałam krzyk Johna Reeda, lecz nagle umilkł; pokój widocznie wydał mu się pusty. — Gdzie, u licha, ona może być! — wołał dalej. — Lizzy, Georgiano — wołał na siostry — Jane tu nie ma; powiedzcie mamie, że wyleciała na deszcz, nieznośne zwierzątko!

„Dobrze zrobiłam, że zaciągnęłam zasłonę" — pomyślałam, gorąco pragnąc, by nie odkrył mojej kryjówki. John Reed nie byłby jej odkrył samodzielnie; nie był on ani bystry, ani pomysłowy, ale Eliza w tejże chwili wysunęła głowę przez drzwi i od razu powiedziała :

— Siedzi przecież we framudze okiennej, John! Natychmiast wyszłam z ukrycia, gdyż drżałam na myśl, że mnie John stamtąd wyciągnie.

— Czego chcesz? — zapytałam bardzo zalękniona.

— Powiedz raczej: „Czego panicz chce?" — odpowiedział. — Chcę, żebyś tu przyszła!

I zasiadłszy w fotelu, wskazał mi gestem, że mam się przybliżyć i stanąć przed nim.

John Reed był czternastoletnim uczniem, o cztery lata starszym ode mnie, gdyż miałam wtedy dziesięć lat. Był duży i tęgi na swój wiek, o nieczystej i niezdrowej cerze, grubych rysach rozlanej twarzy, ciężkiej budowie i wielkich rękach i nogach. Objadał się zawsze przy stole, co wpływało źle na jego wątrobę, powodowało mętność oczu i obwisłość policzków. Powinien był znajdować się w szkole; jednakże matka zabrała go do domu na miesiąc lub dwa „z powodu delikatnego zdrowia". Pan Miles, nauczyciel, utrzymywał, że John byłby najzupełniej zdrów, gdyby mu nie przysyłano z domu tyle ciast i słodyczy. Serce matki jednakże nie podzielało tak surowego sądu i pani Reed przypisywała zły wygląd Johna raczej przepracowaniu, a może tęsknocie za domem.

John nie był zbyt przywiązany do matki i sióstr, a mnie po prostu nie cierpiał. Obchodził się ze mną brutalnie i bił mnie, i to nie dwa lub trzy razy na tydzień albo raz lub dwa razy na dzień, ale stale. Bałam się go każdym nerwem, drżałam na całym ciele, gdy się do mnie zbliżał. Były chwile, gdy traciłam wprost przytomność, takim przejmował mnie strachem, gdyż nie miałam znikąd ochrony przed jego groźbami i szturchańcami; służba nie miała ochoty ujmować się za mną, by nie narażać się młodemu panu, a pani Reed była głucha i ślepa na jego zachowanie: nigdy nie widziała, aby John mnie bił, nigdy nie słyszała, aby mi wymyślał, choć nieraz to czynił w jej obecności, jakkolwiek częściej za jej plecami.

Jak zwykle posłuszna mu, zbliżyłam się do jego fotela; najpierw pokazał mi język w całej okazałości, trzymając go tak wyciągniętym przez jakie trzy minuty; wiedziałam, że za chwilę mnie uderzy, a choć lękałam się ciosu, to patrząc na Johna, nie mogłam się opędzić myśli, że jest brzydki i wstrętny. Może wyczytał te myśli z mojej twarzy, gdyż nic nie mówiąc, nagle uderzył mnie z całej siły. Zachwiałam się, a odzyskawszy równowagę, cofnęłam się parę kroków.

— To za twoje zuchwałe odpowiadanie mamie — powiedział — i za twoje skradanie się i chowanie za firankami, i za to spojrzenie przed chwilą, ty szelmo!

Przyzwyczajona do besztania ze strony Johna, nie pomyślałam nawet, by mu odpowiedzieć; zastanawiałam się tylko, jak znieść szturchaniec, który z pewnością nastąpi po obeldze.

— Coś ty robiła za zasłoną? — zapytał.

— Czytałam.

— Pokaż książkę.

Poszłam do okna i przyniosłam ją stamtąd.

— Nie masz prawa brać naszych książek; mama powiedziała, że jesteś tutaj na łasce; nie masz pieniędzy; twój ojciec nic ci nie zostawił; powinna byś żebrać, a nie mieszkać z pańskimi dziećmi, takimi jak my, jadać to samo, co my jadamy, i nosić suknie, za które nasza mama płaci. A teraz ja cię nauczę, co to znaczy grzebać na moich półkach z książkami; bo one są moje; cały dom do mnie należy albo będzie należał za kilka lat. Idź i stań przy drzwiach, z daleka od lustra i od okien.

Uczyniłam to nie zorientowawszy się od razu w jego zamiarze, ale gdy zobaczyłam, że John podnosi, waży w ręku książkę i wstaje chcąc nią we mnie cisnąć, instynktownie uskoczyłam w bok z krzykiem przestrachu; nie dość jednak szybko; tom został rzucony, trafił mnie, a ja upadłam, uderzając głową o drzwi i rozcinając ją sobie. Rana krwawiła, ból był bardzo ostry, strach przesilił się we mnie, natomiast obudziły się inne uczucia.

— Niegodziwy, okrutny chłopaku! — zawołałam. — Nie jesteś lepszy od rozbójnika... od poganiacza niewolników... od rzymskich cesarzy!

Przeczytałam właśnie *Historią Rzymu* Goldsmitha i miałam wyrobione zdanie o Kaliguli, Neronie i ich następcach. Robiłam nieraz porównania w milczeniu, nigdy nie przypuszczając, że je w ten sposób głośno wypowiem.

— Co? Co? — krzyknął. — Czy ona to do mnie powiedziała? Słyszałyście, Elizo, Georgiano? Jeżeli ja tego mamie nie powiem! Ale najpierw...

Rzucił się ku mnie: poczułam, że chwyta mnie za włosy i za ramię; ale tym razem walczył ze zrozpaczonym stworzeniem. Ja rzeczywiście widziałam w nim tyrana, mordercę. Czułam, że kilka kropel krwi ścieka mi z głowy po karku, przejmował mnie ból piekący, który zagłuszył we mnie strach; opanowała mnie wściekłość. Nie wiem dobrze, co moje ręce uczyniły, dość, że John wrzasnął: „Ty szelmo! ty szelmo!", i zawył na głos. Zaraz też nadeszła pomoc: dziewczęta pobiegły po panią Reed, która była na górze; stanęła teraz wobec tego, co się działo, a za nią Bessie i panna służąca, Abbot. Rozłączono nas; usłyszałam słowa:

— Rany boskie! A cóż to za złośnica, żeby tak się rzucać na panicza Johna!

— Czy widział kto kiedy taką ucieleśnioną wściekłość?

A pani Reed dorzuciła:

— Zabierzcie ją do czerwonego pokoju i tam ją zamknijcie! — Czworo rąk pochwyciło mnie natychmiast i zaniesiono mnie na górę.

ROZDZIAŁ II

Stawiałam opór przez całą drogę; był to objaw nowy zupełnie i wielce pogłębiający złe wyobrażenie, jakie Bessie i Abbot skłonne były mieć o mnie. Faktycznie straciłam panowanie nad sobą; wiedziałam, że chwilowym buntem ściągnęłam już na siebie dziwne kary, lecz jak każdy zbuntowany niewolnik, w rozpaczy postanowiłam iść do końca.

— Proszę trzymać jej ręce, panno Abbot! Rzuca się jak wściekła kotka.

— Wstyd! Wstyd! — wołała panna służąca. — Jakie to nieprzyzwoite zachowanie, panno Eyre, bić młodego panicza, syna swojej dobrodziejki! swojego młodego pana!

— Pana! Jakim sposobem jest on moim panem? Czyż ja jestem służąca?

— Nie; panienka jest mniej niż służąca, gdyż nie pracuje na swe utrzymanie. No, proszę usiąść i zastanowić się nad swoją niegodziwością.

Wniosły mnie tymczasem do wskazanego przez panią Reed pokoju i rzuciły na otomanę; natychmiastowym odruchem chciałam zeskoczyć jak sprężyna; dwie pary rąk powstrzymały mnie w tej chwili.

— Jeżeli panienka nie będzie siedzieć spokojnie, będziemy ją musiały przywiązać — rzekła Bessie. — Panno Abbot, niech mi panna pożyczy swoich podwiązek; moje zerwałaby od razu.

Panna Abbot odwróciła się, by zdjąć z grubej nogi potrzebne tasiemki. To przygotowywanie więzów i dodatkowa hańba z tym złączona uspokoiła mnie nieco.

— Proszę nie zdejmować podwiązek — zawołałam. — Będę

siedziała spokojnie.

I na poparcie tych słów chwyciłam się rękami siedzenia.

— No, więc proszę pamiętać — rzekła Bessie; a przekonawszy się, że się rzeczywiście uspokajam, przestała mnie przytrzymywać; teraz stały obydwie założywszy ręce, patrząc chmurnie i podejrzliwie w moją twarz, jak gdyby niepewne, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

— Nic podobnego nigdy przedtem nie zrobiła — rzekła w końcu Bessie, zwracając się do pokojowej.

— Ale to zawsze w niej tkwiło — brzmiała odpowiedź. — Często mówiłam pani, co sądzę o tym dziecku, a pani zgadzała się ze mną. To chytre małe stworzenie; nigdy nie widziałam dziecka w jej wieku tak bardzo skrytego.

Bessie nie odpowiedziała. Po chwili jednak, zwracając się do mnie, rzekła:

— Panienka powinna rozumieć, że ma obowiązki wdzięczności względem pani Reed; pani Reed panienkę utrzymuje; gdyby panienkę wygnała, musiałaby panienka iść do przytułku.

Milczałam, gdyż słowa te nie były dla mnie nowiną. Od czasu jak sięgam pamięcią, słyszałam już nieraz podobne napomknienia. To wymawianie mi, że jestem na łasce, obijało się o moje uszy jak niejasna zwrotka; bardzo było przykre i upokarzające, ale tylko na pół zrozumiałe: Abbot dorzuciła:

— I nie powinna się panienka uważać za równą z pannami Reed i paniczem dlatego, że pani łaskawie pozwala, by się panienka chowała razem z nimi. Oni będą mieli dużo pieniędzy, a panienka nie będzie miała nic; panience przystoi być pokorną i starać się im podobać.

— To, co panience mówimy, to tylko dla jej dobra — dodała Bessie łagodniejszym głosem. — Panienka powinna starać się być pożyteczna i miła, a wtedy może będzie panienka miała tutaj swój dom; ale jeśli panienka będzie gwałtowna i szorstka, to jestem

pewna, że pani wyśle stąd panienkę.

— A przy tym — wtrąciła Abbot — Pan Bóg może panienkę pokarać. Może jej zesłać nagłą śmierć w chwili, gdy wyprawiać będzie hece, a wtedy dokąd pójdzie? Chodźmy, Bessie, zostawimy ją tu. Nie chciałabym za nic mieć takiego serca jak ona. Niech się panienka pomodli, gdy zostanie sama, bo jeżeli panienka nie okaże skruchy, to coś złego może tu przyjść przez komin i porwać panienkę.

Wyszły zamykając drzwi za sobą i przekręcając klucz w zamku.

Czerwony pokój był to pokój zapasowy, w którym bardzo rzadko sypiano, chyba że niespodziewany napływ gości do Gateshead Hall zmuszał gospodarzy do użycia wszystkich pokoi. A jednak był to jeden z największych i najokazalszych pokoi we dworze. Na środku, podobne do tabernakulum, stało łoże, wsparte na masywnych mahoniowych filarach, z kotarą z ciemnopąsowego adamaszku; dwa wielkie okna z zapuszczonymi stale żaluzjami udrapowane były w festony i fałdy z podobnej materii; dywan był czerwony; stół w nogach łoża nakryty był karmazynowym suknem; ściany miały delikatny beżowy kolor z odcieniem różowym; szafa, toaleta, krzesła były z ciemno politurowanego starego mahoniu. Na tle tych ciemnych barw wznosił się wysoko i jaśniał białością stos materaców i poduszek na łożu nakrytym śnieżnobiałą pikową kapą. Nie mniej zwracał uwagę szeroki wyścielany fotel, stojący u wezgłowia łoża, również biały, z ustawionym przed nim podnóżkiem; pomyślałam patrząc nań, że wygląda jak jakiś biały tron.

W pokoju tym było chłodno, gdyż rzadko w nim palono; cicho, gdyż leżał daleko od dziecinnego pokoju i od kuchni; uroczyście, gdyż było wiadomo, że tak rzadko go używano. Służąca tylko chodziła tam co sobota zetrzeć tygodniowy kurz z luster i z mebli; sama zaś pani Reed odwiedzała go czasami, by przejrzeć zawartość pewnej tajemnej szuflady w szafie, gdzie były złożone różne pergaminy, jej szkatułka z klejnotami i miniatura jej nieboszczyka męża. Tu leży tajemnica czerwonego pokoju, tajemnica jego opuszczenia mimo okazałości.

Pan Reed nie żył już od lat dziewięciu; w tym pokoju wydał ostatnie

tchnienie; tutaj leżał wystawiony na paradnym katafalku; stąd ludzie z przedsiębiorstwa pogrzebowego wynieśli jego trumnę — i od tego dnia uczucie uświęcającej grozy chroniło ten pokój od częstych odwiedzin.

Niska otomana, na której zostawiły mnie jak przykutą Bessie i złośliwa Abbot, stała blisko marmurowego kominka; łóżko wznosiło się przede mną; po prawej ręce umieszczona była wysoka ciemna szafa, której błyszcząca powierzchnia załamywała odblaski światła; po lewej znajdowały się udrapowane okna; wielkie lustro pomiędzy oknami odbijało opuszczony majestat łóżka i pokoju. Nie byłam zupełnie pewna, czy one zamknęły drzwi na klucz, i gdy odważyłam się poruszyć, wstałam i poszłam się przekonać. Niestety, tak; żadne więzienie nie mogło być pewniejsze. Wracając musiałam przejść obok lustra; mój wzrok, jakby urzeczony, spoczął na nim bezwiednie. Wszystko wyglądało w lustrze zimniejsze niż w rzeczywistości, a dziwna mała figurka patrząca stamtąd na mnie, z białą twarzą i białymi rękami, jak plamy w ciemności, i błyszczącymi, wystraszonymi oczami, poruszająca się nieśmiało tam, gdzie wszystko tonęło w nieruchomości, zrobiła na mnie wrażenie prawdziwego ducha; pomyślałam, że podobna jest do tych zjaw, co to są niby boginki, niby chochliki, które wedle wieczornych opowiadań Bessie wychodzą z odludnych, paprocią zarosłych zakątków wśród wrzosowisk i jawią się spóźnionym podróżnym. Powróciłam na swoje miejsce.

Strach zabobonny już w tej chwili zaczynał mnie ogarniać, ale nie była to jeszcze godzina jego zupełnego zwycięstwa: czułam jeszcze ciepłą krew w sobie; nastrój zbuntowanego niewolnika krzepił mnie gorzką mocą; musiałam wpierw zatamować szybki pęd myśli biegnącej wstecz, zanimbym się ugięła przed straszną chwilą obecną.

Cała brutalna tyrania Johna Reeda, dumna obojętność jego sióstr, odraza ich matki, stronniczość służby, wszystko to burzyło się w mojej zaniepokojonej duszy jak brudny osad w zamąconej studni. Dlaczego ja mam zawsze cierpieć, zawsze być upokarzana, zawsze oskarżana, na zawsze potępiona? Dlaczego nie mogłam nigdy nikomu dogodzić? Dlaczego daremnie starałam się pozyskać czyjekolwiek względy? Elizę, która była uparta i samolubna,

szanowano. Georgianie, rozpieszczonej, kapryśnej, .skwaszonej, kłótliwej i aroganckiej w obejściu, ogólnie pobłażano. Jej uroda, różowe policzki i złote loki najwidoczniej zachwycały każdego, kto na nią patrzył, i okupywały bezkarność. Johnowi nikt się nie sprzeciwiał, tym bardziej nikt go nie karał, chociaż ukręcał główki gołębiom, zabijał małe pawięta, szczuł owce psami, winogrona w cieplarni ogołacał z owoców, obłamywał pączki najrzadszych roślin w oranżerii; mówił do matki „moja stara", niekiedy urągał jej, że ma brzydką, ciemną cerę, taką, jak on sam miał; szorstko opierał się wszelkim jej życzeniom, nieraz rozdarł lub splamił jej jedwabną suknię, a jednak był zawsze jej „najdroższym kochaniem". Ja nie ośmielałam się w niczym zawinić, usiłowałam spełniać wszystkie swoje obowiązki, a jednak od rana do południa i od południa do wieczora nazywano mnie niegrzeczną i nudną, kwaśną i skrytą.

Głowa wciąż mnie jeszcze bolała i krwawiła od uderzenia i upadku. Nikt nawet nie zganił Johna za to, że mnie niesłusznie uderzył, lecz gdy w obronie przed dalszym bezpodstawnym gwałtem zwróciłam się przeciw niemu, spadło na mnie ogólne potępienie.

„Co za niesprawiedliwość! Co za niesprawiedliwość!" — wołał mój rozum, pobudzony przez ból do przedwczesnej, choć przejściowej przenikliwości, i podniecona doznaną krzywdą szukałam w myśli jakichś niezwykłych sposobów wydobycia się z tego nieznośnego ucisku. Przemyśliwałam, czyby nie uciec, a gdyby to okazało się niemożliwe, czyby nie przestać jeść i pić i w ten sposób umrzeć.

Jakaż rozterka targała moją duszą tego okropnego popołudnia! Jak mózg mój wrzał niepokojem, a serce buntem! A jednak w jakiej ciemnicy i głębokiej nieświadomości toczyła się ta walka duchowa! Nie mogłam znaleźć odpowiedzi na wciąż powracające pytanie, dlaczego ja tak cierpię; teraz z odległości tylu lat znajduję ją łatwo.

Byłam dysonansem w Gateshead Hall; do nikogo tam nie byłam podobna; nie miałam nic wspólnego z panią Reed, jej dziećmi i dobranymi przez nią domownikami. Jeżeli oni mnie nie kochali, to i ja również ich nie kochałam. Nie mieli obowiązku kochać stworzenia, które nie mogło myśleć tak jak oni; stworzenia tak odrębnego, tak krańcowo różniącego się od nich temperamentem, zdolnościami, skłonnościami; stworzenia niepotrzebnego, nie mogącego służyć ich interesom lub przysparzać im przyjemności;

szkodliwego stworzenia noszącego w duszy zarodki oburzenia za ich traktowanie, pogardę dla ich sądu. Wiem, że gdybym była dzieckiem żwawym, wesołym, niedbałym, wymagającym, ładnym, rozpuszczonym, choć równie zależnym i równie bez przyjaciół, pani Reed chętniej znosiłaby moją obecność, dzieci jej okazywałyby mi więcej serdeczności, koleżeńskich uczuć, a służba mniej byłaby skłonna robić ze mnie kozła ofiarnego w dziecinnym pokoju.

Światło dzienne w czerwonym pokoju zaczynało zanikać. Było już po czwartej, a chmurne popołudnie chyliło się ku posępnemu zmrokowi. Słyszałam, jak krople deszczu bezustannie biją w okno nad schodami, jak wiatr wyje pośród klombów za domem; czułam, że stopniowo ziębnę na kość, a wtedy opuściła mnie odwaga. Zwykły mój nastrój upokorzenia, powątpiewania we własne siły, smutnej depresji opadł jak wilgotna mgła na dogasające ognisko mojego gniewu. Wszyscy mówią, że jestem zła, a może to rzeczywiście prawda? Jakiż to pomysł miałam przed chwilą? Zagłodzić się na śmierć? Przecież to z pewnością byłaby zbrodnia; a czy jestem przygotowana na śmierć? I czy krypta pod amboną w kościele w Gateshead jest ponętnym schronieniem? Mówiono mi, że w takiej krypcie pochowano pana Reeda. Ta myśl przywiodła mi go na pamięć; z coraz większym lękiem rozmyślałam teraz o nim. Nie mogłam go pamiętać, ale wiedziałam, że był moim rodzonym wujem, bratem mojej matki, że wziął mnie do swojego domu, gdy byłam małym dzieckiem, sierotą zupełną; że na łożu śmierci wymógł na pani Reed obietnicę, że będzie mnie chowała i utrzymywała jak własne dziecko. Pani Reed prawdopodobnie uważała, że dotrzymuje obietnicy; i dotrzymywała jej niezawodnie tak, jak na to pozwalała jej natura; ale w istocie jakże mogła lubić narzucone sobie dziecko nie z jej rodu, nie związane z nią po śmierci męża żadnymi więzami? Musiało jej być ciężko czuć się zniewoloną wymuszonym przyrzeczeniem do zastępowania matki obcemu dziecku, którego kochać nie mogła, i widzieć to tak odmienne, obce stworzenie stałym uczestnikiem jej rodzinnego kółka.

Szczególna myśl zaczęła we mnie świtać. Nie wątpiłam, tak, nie wątpiłam nigdy, że gdyby pan Reed żył, obchodziłby się ze mną dobrotliwie; a teraz, gdym tak siedziała patrząc na białe łóżko i ciemniejące ściany — raz po raz jak urzeczona spoglądając ku

niejasno połyskującemu zwierciadłu — zaczęłam sobie przypominać, co słyszałam o umarłych, nie mogących zaznać spokoju w grobach, kiedy się pogwałca ich ostatnie życzenia, i odwiedzających ten świat, ażeby ukarać wiarołomnych i pomścić uciśnionych. Pomyślałam, że duch pana Reeda, dręczony krzywdą dziecka jego siostry, mógłby opuścić swoją siedzibę — czy to w krypcie kościelnej, czy gdzieś w nieznanym świecie umarłych — i stanąć przede mną w tym oto pokoju. Otarłam łzy i powstrzymałam łkanie w obawie, by ten objaw gwałtownego żalu nie zbudził jakiegoś nadnaturalnego głosu ku memu pocieszeniu albo nie wywołał z mroku twarzy w aureoli, schylającej się nade mną z dziwną litością. Czułam, że przypuszczenie to, pocieszające teoretycznie, byłoby straszne, gdyby się ziściło; całą mocą starałam się je odegnać, starałam się być odważna. Odgarnąwszy włosy z oczu, podniosłam głowę i usiłowałam śmiało rozejrzeć się po ciemnym pokoju. W tej chwili jakieś światło zajaśniało na ścianie. „Czy to promień księżyca — zadałam sobie pytanie — przedziera się przez szparę w żaluzji?" Nie; światło księżyca byłoby nieruchome, a to się porusza; gdym na nie patrzyła, przesunęło się na sufit i zadrżało nad moją głową. Łatwo dziś mogę zrozumieć, że ta smuga światła najprawdopodobniej pochodziła z latarni niesionej przez kogoś, kto przechodził pod oknami; wtedy jednak, oczekując rzeczy strasznych, mając nerwy rozbite z powodu wstrząsu, wyobraziłam sobie, iż ten nagły błysk światła to zwiastun nadciągającej zjawy z drugiego świata. Serce zabiło we mnie mocno, krew uderzyła mi do głowy, w uszach poczułam szum, który wzięłam za szum skrzydeł; wydało mi się, że coś się do mnie zbliża; tchu nie mogłam złapać, nie starczyło mi wytrzymałości; rzuciłam się do drzwi i zaczęłam rozpaczliwym wysiłkiem szarpać klamkę. Wzdłuż korytarza usłyszałam kroki; obrócono klucz w zamku i weszła Bessie z Abbot.

— Panno Eyre, czy panienka chora? — zapytała Bessie.

— Co za straszny hałas! Aż mną zatrząsł — zawołała Abbot.

— Wypuśćcie mnie! Pozwólcie mi pójść do dziecinnego pokoju! — krzyczałam.

— Dlaczego? Czy się panience co stało? Czy panienka co zobaczyła? — znowu zapytała Bessie.

— Ach! zobaczyłam światło i myślałam, że to duch przychodzi! — chwyciłam teraz rękę Bessie, której mi nie cofnęła.

— Ona umyślnie wrzeszczała — oświadczyła krzywiąc się Abbot. — A co to był za wrzask! Gdyby ją coś bardzo bolało, można by to jeszcze darować, ale ona tylko chciała ściągnąć nas wszystkich tutaj; już ja znam jej miłe sztuczki!

— Co się tutaj dzieje? — zapytał inny glos rozkazująco; to pani Reed nadeszła korytarzem w rozwianym czepeczku, groźnie szumiąc jedwabiami. — Abbot, Bessie, zdaje się, że wydałam rozkaz, aby Jane pozostała w czerwonym pokoju, dopóki ja sama do niej nie przyjdę.

— Panna Jane krzyczała tak głośno, proszę pani — tłumaczyła się Bessie.

— Puść ją — brzmiała odpowiedź. — Puść rękę Bessie, dziecko; nie uda ci się wydostać stąd tym sposobem, bądź pewna. Nie znoszę chytrości, zwłaszcza u dzieci. Mam obowiązek pokazać ci, że podstępne sztuczki na nic się nie zdadzą, zostaniesz tu jeszcze o godzinę dłużej, a wypuszczę cię tylko wtedy, kiedy będziesz uległa i cicha.

— O wujenko, miej litość! Przebacz mi! Nie mogę tego znieść! Ukarz mnie innym sposobem! To zabije mnie, jeżeli...

— Cicho bądź! Co za wstrętna gwałtowność! Wujenka zapewne tak czuła; byłam w jej oczach przedwcześnie dojrzałą komediantką; szczerze widziała we mnie mieszaninę złośliwych namiętności, niskiego charakteru i niebezpiecznej obłudy.

Bessie i Abbot odeszły, a pani Reed, zniecierpliwiona moim nowym gwałtownym wybuchem bólu i rozpaczliwego szlochania, wtrąciła mnie z powrotem do pokoju i zamknęła drzwi na klucz bez dalszego gadania. Słyszałam, jak odchodzi. Wkrótce po jej odejściu — przypuszczam — musiałam dostać jakiegoś ataku. Straciłam przytomność.

ROZDZIAŁ III

Przypominam sobie, że potem obudziłam się z uczuciem, jakby straszna zmora dręczyła mnie we śnie. Widziałam przed sobą okropny czerwony blask, popstrzony grubymi, czarnymi drągami; słyszałam głucho brzmiące głosy, jakby stłumione płynącą wodą albo wiatrem: wzburzenie, niepewność i górujące nad wszystkim przerażenie zmąciły moje zmysły. Niebawem poczułam, że ktoś mnie dotyka, że mnie podnosi i podtrzymuje w pozycji siedzącej, i to delikatniej, niż to kiedykolwiek czyniono ze mną. Oparłam głowę o poduszkę czy ramię i poczułam się lepiej.

Po pięciu minutach chmura otumanienia rozwiała się; wyraźnie zdałam sobie sprawę, że znajduję się we własnym łóżku i że ten czerwony blask to ogień na kominku w pokoju dziecinnym. Była noc; świeca paliła się na stole; Bessie stała w nogach łóżka z miednicą w rękach, a jakiś pan siedział na krześle koło mojej poduszki pochylając się nade mną.

Poczułam niewymowną ulgę, uspokajającą pewność opieki i bezpieczeństwa, gdy się przekonałam, że w pokoju jest obcy człowiek, ktoś, kto nie należy do Gateshead ani nie jest krewnym pani Reed. Odwróciwszy się od Bessie (choć jej obecność nie była mi tak niemiła, jak byłaby, na przykład, obecność Abbot) przyjrzałam się twarzy tego pana. Poznałam go; był to pan Lloyd, aptekarz, wzywany niekiedy przez panią Reed, gdy zachorował ktoś ze służby; do siebie i dzieci wzywała doktora.

— No, proszę, kto ja jestem? — zapytał.

Wymówiłam jego nazwisko i równocześnie podałam mu rękę. Wziął ją uśmiechając się i powiedział:

— Pomaleńku przychodzimy do siebie.

Po czym ułożył mnie z powrotem i zapowiedział Bessie, że muszę mieć zupełny spokój w nocy. Dał jeszcze kilka wskazówek,

zapowiedział, że zajrzy nazajutrz, i odszedł, ku mojemu zmartwieniu; dopóki siedział przy moim łóżku, czułam się bezpiecznie, a gdy zamknął drzwi za sobą, cały pokój pociemniał i serce się we mnie ścisnęło; osiadł w nim niewymowny smutek.

— Czy panienka czuje, że będzie mogła zasnąć? — zapytała Bessie wcale łagodnie.

Zaledwie śmiałam jej odpowiedzieć, tak się bałam, że następne zdanie będzie brzmiało szorstko.

— Spróbuję.

— Czy nie chciałaby panienka napić się czego? A może by panienka co zjadła?

— Nie, dziękuję.

— Jeżeli tak, to ja się położę, bo to już po dwunastej; ale może mnie panienka zawołać, gdyby potrzebowała czego w nocy.

Co za zadziwiająca uprzejmość! Ośmieliło mnie to, więc zapytałam:

— Co się ze mną dzieje? Czy jestem chora?

— Zasłabła panienka, zdaje się, w czerwonym pokoju od płaczu, ale wkrótce z pewnością panienka wydobrzeje.

Bessie weszła do pokoju służącej, który znajdował się obok. Słyszałam, jak mówi:

— Saro, śpij ze mną w pokoju dziecinnym; za nic W świecie nie chciałabym być sama z tym biednym dzieckiem dziś w nocy, a nuż umrze. To taka dziwna rzecz, że miała ten atak; ciekawa jestem, czy ona co zobaczyła. Pani była za surowa.

Bessie wróciła z Sarą; położyły się; szeptały z sobą przed zaśnięciem dobre pół godziny. Z urywków ich rozmowy, które mnie dolatywały aż nadto wyraźnie, dorozumieć się mogłam, o czym mówią.

— Coś koło niej przeszło, całe ubrane na biało, i znikło... Wielki czarny pies szedł za nim... Trzy głośne stuknięcia do drzwi pokoju...

Światło na cmentarzu wprost nad jego grobem... itp., itp.

W końcu obie zasnęły. Ogień na kominku wygasł, świeca się wypaliła; długa wydała mi się ta noc strasznej bezsenności; oczy, uszy i umysł wyostrzał strach — taki strach, jaki dzieci tylko potrafią odczuwać.

Żadna poważna dłuższa choroba nie nastąpiła po tym wypadku w czerwonym pokoju; uległam tylko wtedy wstrząsowi nerwów, którego ślady odczuwam do dziś dnia. Tak, pani Reed, tobie zawdzięczam niektóre straszne męki duchowe, ale powinna bym ci wybaczyć, gdyż nie wiedziałaś, co czynisz; szarpiąc struny mego serca sądziłaś, że tylko wykorzeniasz ze mnie złe skłonności.

Nazajutrz w południe, wstawszy i ubrawszy się, usiadłam otulona w szal przy kominku w pokoju dziecinnym. Fizycznie czułam się słaba i wyczerpana; ale więcej dokuczało mi to, że czułam się tak niewypowiedzianie nieszczęśliwa; tak nieszczęśliwa, że mi to wyciskało milczące łzy z oczu; ledwie jedną słoną kroplę otarłam z policzka, płynęła za nią druga. „A jednak — myślałam — powinnam była czuć się dobrze, gdyż żadnej z moich kuzynek nie ma w pobliżu." Wyjechały powozem z matką. I Abbot szyła w innym pokoju, a Bessie, krzątając się tu i tam, zbierając zabawki i porządkując w szufladach, przemawiała do mnie raz po raz niezwykle dobrotliwie. Taki stan rzeczy powinien był być dla mnie rajem, dla mnie, przyzwyczajonej do ciągłej besztaniny, do ciągłego komenderowania; w rzeczywistości moje rozstrojone nerwy były w takim stanie, że żaden spokój nie mógł ich uciszyć, żadna przyjemność nie była im miła.

Bessie zeszła do kuchni i przyniosła mi ciasteczko z owocami na barwnie malowanym porcelanowym talerzu. To malowidło na porcelanie, przedstawiające rajskiego ptaka otoczonego girlandą pączków różanych, było zawsze przedmiotem mojego najgorętszego podziwu. Często prosiłam, żeby mi pozwolono wziąć ten talerz do ręki, bym się dokładniej mogła przyjrzeć rysunkowi — nigdy jednak nie uważano mnie za godną tego przywileju. Ten cenny przedmiot umieszczono mi teraz na kolanach i zapraszano serdecznie, żebym zjadła delikatne ciasteczko. Daremna łaska! Przychodziła za późno jak wiele innych upragnionych, a długo odwlekanych łask. Nie mogłam zjeść ciastka, a upierzenie ptaka i barwy kwiatów wydały

mi się dziwnie wyblakłe; odsunęłam talerz i ciastko. Bessie zapytała, czy podać mi jaką książkę: słowo książka ożywiło mnie na razie, poprosiłam ją. żeby mi przyniosła z biblioteki *Podróże Gulliwera.* Książkę tę czytałam wiele razy z rozkoszą. Uważałam ją za opowieść prawdziwą i więcej mnie zajmowała niż bajki o wróżkach i krasnoludkach. Co się tyczy krasnoludków, to ponieważ szukałam ich na próżno pod liśćmi łopianu i dzwonków, pod grzybami i pod cieniem bluszczów, osłaniających stare zakątki murów, pogodziłam się w końcu z tą smutną prawdą, że wszystkie one musiały opuścić Anglię i przenieść się gdzieś do dzikiego kraju, gdzie lasy są większe i gęstsze, a ludność nie tak liczna. Natomiast wierzyłam w istnienie krainy Liliputów i Brobdingnagów i nie wątpiłam, że kiedyś, odbywszy długą podróż, zobaczę na własne oczy te małe pólka, domki i drzewka, tych malusieńkich człowieczków, krowy, owce i ptaki jednego królestwa oraz zboża, wysokie jak lasy, olbrzymie psy, potworne koty, mężczyzn i kobiety jak wieże — drugiego kraju. Jednakże gdy dostałam teraz do rąk ten ulubiony tom, gdy zaczęłam przewracać jego karty, szukając w przedziwnych obrazkach tego uroku, który tam dotychczas zawsze znajdowałam . — wszystko to wydało mi się niesamowite i straszne; olbrzymy były jakimiś ogromnymi upiorami, Pigmejczycy — złośliwymi, przeraźliwymi chochlikami, Gulliwer zaś był nieszczęsnym wędrowcem po strasznych i niebezpiecznych krainach.

Zamknęłam książkę, której nie śmiałam już dłużej oglądać, i położyłam ją na stole obok nie tkniętego ciastka.

Bessie skończyła tymczasem ścierać kurze i porządkować w pokoju. Umywszy ręce, otworzyła małą szufladę, pełną resztek wspaniałych jedwabi i atłasów, i zaczęła fabrykować nowy kapelusz dla lalki Georgiany. Przy robocie śpiewała. Była to piosenka, która się zaczynała:

Kiedy szliśmy na wędrówkę Dawno temu...

Ile razy dawniej słyszałam tę piosenkę, zawsze odczuwałam żywą przyjemność, gdyż Bessie miała miły głos, przynajmniej mnie się takim wydawał. Ale tym razem, chociaż głos jej ciągle był miły, odczułam w tej melodii niewysłowiony smutek. Chwilami, zajęta swoją robotą, śpiewała końcowy refren ciszej, mocno go zwalniając. „Dawno temu" brzmiało jak najsmutniejszy refren żałobnego

hymnu. Zaczęła śpiewać inną balladę, tym razem naprawdę smutną.

Stopy mam obolałe i chwiejny mój krok,
A droga taka długa przez górskie wykroty;
Wkrótce spłynie na ścieżkę bezmiesięczny mrok
I noc zagubi ślady ubogiej sieroty.

O, czemuż mię wysłano w tę samotną dal,
Gdzie wrzos się jeno pleni od groty do groty?
Twarde są ludzkie serca i obcy im żal,
Anioł czuwał jedynie nad drogą sieroty.

Delikatny i ciepły owiewał mię wiatr
I gwiazdy z nieb mi słały blask senny i złoty,
Jak gdyby sam Bóg Ojciec w dobroci swej kładł
Spoczynek i nadzieję pod stopy sieroty.

Gdyby nawet pode mną miał zwalić się most
Czy błędny ognik zwiódł mię w toń ziejącą błotem —
Wiem, że mój Ojciec w niebie usłyszy mój głos
I przytuli do łona ubogą sierotę.

Wiem, że jest ktoś na niebie, kto doda mi sił,

Choć nie mam już do życia na ziemi ochoty,

Dziś niebo moim domem, gdy ziemię mrok skrył,

A Bóg jest przyjacielem ubogiej sieroty.

— No, proszę, panno Jane, proszę nie płakać — powiedziała Bessie skończywszy. Mogła równie dobrze powiedzieć ogniowi: „Nie pal się." Lecz skądże ona mogła odgadnąć, jak bardzo cierpię? Przed południem przyszedł znowu pan Lloyd.

— Jak to? wstaliśmy już? — zapytał wchodząc. — Jakże, panno Bessie, czuje się nasza chora?

Bessie odpowiedziała, że czuję się bardzo dobrze.

— W takim razie powinna mieć weselszą minkę. Proszę tu przyjść, panno Jane; panience na imię Jane, prawda?

— Tak, proszę pana, Jane Eyre.

— Otóż panienka płakała; czy może mi panienka powiedzieć, dlaczego? Czy panienkę co boli?

— Nie, proszę pana.

— Ach! myślę, że ona płacze, ponieważ nie mogła wyjechać z panią powozem — wtrąciła Bessie.

— Z pewnością nie dlatego. Za duża jest na taką dziecinadę.

I ja to samo myślałam, a dotknięta w miłości własnej tym niesłusznym zarzutem odpowiedziałam czym prędzej:

— Nigdy w życiu dla czegoś podobnego nie płakałam, nie cierpię jeździć powozem. Płaczę, bo jestem nieszczęśliwa.

— O, wstydziłaby się panienka! — rzekła Bessie.

Poczciwy aptekarz zdawał się trochę zdziwiony. Stałam przed nim; przyglądał mi się długo; miał małe, siwe oczy, nie bardzo jasne, ale dziś nazwałabym je bystrymi; twarz jego o surowych rysach miała wyraz poczciwości. Przypatrzywszy mi się do woli, powiedział:

— Wskutek czego to panienka zachorowała?

— Upadła — rzekła Bessie, znów się wtrącając.

— Upadła! To znowu jak małe dzieciątko! Czy to ona nie umie chodzić w tym wieku? Musi mieć chyba z osiem albo dziewięć lat.

— Upadłam, bo mnie uderzono — dałam śmiałe wyjaśnienie, które wyrwała ze mnie znów boleśnie dotknięta duma. — Ale to nie od tego zachorowałam — dodałam, podczas gdy pan Lloyd zażywał niuch tabaki.

W chwili gdy wkładał tabakierkę z powrotem do kieszeni, odezwał się głośny dzwonek wzywający służbę na obiad. Pan Lloyd wiedział, co to znaczy.

— To na pannę — rzekł. — Proszę spokojnie iść na dół; ja tu tymczasem dam burę panience Jane.

Bessie byłaby wolała zostać, ale musiała pójść, gdyż punktualność w porze posiłków była surowo przestrzegana w Gateshead Hall.

— Więc nie upadek spowodował zasłabnięcie panienki, co zatem? — dopytywał pan Lloyd dalej po odejściu Bessie.

— Zamknięto mnie w pokoju, gdzie duch pokutuje, i trzymano nawet, kiedy się ściemniło.

Ujrzałam, że pan Lloyd uśmiecha się i równocześnie marszczy.

— Duch! No co, dzieciak z panienki, koniec końców. Boi się panienka duchów?

— Ducha pana Reeda boję się: umarł w tym pokoju, tam go wystawiono po śmierci; ani Bessie, ani nikt inny nie wejdzie tam za żadne skarby w nocy, i to było okrutne zamykać mnie tam samą bez świecy, to było tak okrutne, że myślę, iż tego nigdy nie zapomnę.

— Co znowu? I to dlatego tak się panienka czuje nieszczęśliwa? Boi się panienka teraz, za dnia?

— Nie, ale noc znów niedługo przyjdzie, a przy tym... ja jestem nieszczęśliwa... bardzo nieszczęśliwa z innego powodu.

— Z innego powodu? Czy może mi panienka powiedzieć, z jakiego?

Jak bardzo pragnęłam odpowiedzieć wyczerpująco na to pytanie! Jak trudno mi było ułożyć odpowiedź! Dzieci umieją czuć, ale nie umieją analizować swoich uczuć; a jeżeli nawet dokonują częściowo analizy w myśli, nie umieją rezultatu wyrazić słowami. Obawiając się jednak stracić tę pierwszą i jedyną sposobność ulżenia swemu zmartwieniu przez wypowiedzenie go. zdołałam, po kłopotliwym milczeniu, ująć je w szczupłą, ale szczerą odpowiedź:

— Przede wszystkim nie mam ani ojca. ani matki, ani sióstr, ani braci.

— Ma panienka dobrą wujenkę i kuzynków. Milczałam znowu, a potem wybuchnęłam:

— Ale to John Reed tak mnie uderzył, że upadłam, a wujenka zamknęła mnie w czerwonym pokoju.

Pan Lloyd po raz drugi wyciągnął tabakierkę.

— Czy nie uważa panna Jane, że Gateshead Hall to bardzo piękny dom? — zapytał. — Czy nie jest panienka z tego rada, że może mieszkać w tak pięknym domu?

— To nie mój dom, proszę pana, a Abbot powiada, że mam mniej prawa być tutaj niż służąca.

— Co tam! Panienka nie jest chyba tak nierozsądna, żeby pragnęła opuścić taki wspaniały dom.

— Gdybym miała dokąd pójść, opuściłabym go chętnie; ale ja nigdy nie będę mogła wydostać się z Gateshead, dopóki nie będę dorosłą kobietą.

— A może by panienka mogła, kto wie? Czy panienka ma jakich

krewnych oprócz pani Reed?

— Zdaje mi się, że nie, proszę pana.

— Żadnych ze strony ojca?

— Nie wiem. Pytałam raz wujenki, odpowiedziała, że może i mam jakichś biednych, niskiej kondycji krewnych nazwiskiem Eyre, ale ona nic o nich nie wie.

— A gdyby panienka miała takich krewnych, czy chciałaby panienka udać się do nich?

Namyślałam się. Bieda ma pozór straszny dla ludzi dorosłych, tym bardziej dla dzieci; nie mają one pojęcia o pracowitej, pilnej, przyzwoitej niezamożności; dla nich wyraz „bieda" wiąże się z łachmanami, głodem, kominkiem bez ognia, szorstkim obejściem i niskimi nałogami; dla mnie „bieda" oznaczała poniżenie.

— Nie, nie chciałabym należeć do ludzi biednych — odpowiedziałam.

— Nawet gdyby byli dobrzy dla ciebie?

Potrząsnęłam głową: nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem ludzie biedni mogą być dobrzy; nauczyć się mówić jak oni, nabrać ich manier, być niewykształconą, wyrosnąć na podobieństwo jednej z tych biednych kobiet, jakie widywałem niekiedy, gdy karmiły dzieci albo prały ubrania przed drzwiami chat we wsi Gateshead; nie, nie miałam w sobie dosyć bohaterstwa, by chcieć kupić wolność za cenę wyjścia ze swojej sfery.

— Ale czyż krewni panienki są aż tak bardzo biedni? Czy to są robotnicy?

— Nie wiem; wujenka Reed powiedziała, że jeżeli mam jakich, to muszą być żebraczą hołotą, a ja bym nie chciała chodzić po żebraninie.

— Czy chciałaby panienka pójść do szkoły?

Znowu zaczęłam się namyślać; niewiele wiedziałam, czym jest

szkoła. Bessie niekiedy mówiła o szkole jako o miejscu, gdzie panienki za karę sadzano w dybach, gdzie im zawieszano tablice na piersiach i gdzie wymagano od nich nadzwyczajnej dystynkcji i dokładności we wszystkim. John Reed nie cierpiał swojej szkoły i wygadywał na nauczyciela; jednak gusta Johna Reeda nie były dla mnie prawem, a jeżeli opowiadanie Bessie o rygorze w szkole (słyszała o tym od panienek tej rodziny, w której przebywała, zanim przybyła do Gateshead) wzbudzały we mnie pewien strach, to szczegóły o rozmaitych umiejętnościach, nabytych przez te same panienki, nęciły mnie wielce. Wychwalała piękne widoki i kwiaty malowane przez nie, piosenki, które umiały śpiewać, i utwory, które umiały grać; opowiadała o sakiewkach, które umiały robić szydełkiem, o francuskich książkach, które umiały tłumaczyć. Słuchając tego miałam ochotę współzawodniczyć z nimi. A przy tym szkoła byłaby całkowitą odmianą; łączyła się z nią długa podróż, zupełne rozstanie z Gateshead, przejście do nowego życia.

— Tak, chciałabym pójść do szkoły — brzmiała odpowiedź, głośny wynik moich rozmyślań.

— No, no, nie wiadomo, co się stać może — powiedział pan Lloyd wstając. — Dziecku potrzeba zmiany powietrza i otoczenia — dodał mówiąc do siebie — nerwy w nieszczególnym stanie.

Bessie powróciła teraz; równocześnie rozległ się turkot powozu po wysypanej żwirem drodze.

— Czy to wasza pani powróciła, panno Bessie? — zapytał pan Lloyd. — Chciałbym pomówić z nią. zanim odejdę.

Bessie poprosiła pana Lloyda do pokoju śniadaniowego i wyszła pierwsza, by wskazać mu drogę. W rozmowie, która nastąpiła teraz, wnosząc z tego, co zaszło później, pan aptekarz odważył się poradzić, by mnie odesłano do szkoły. Rada ta niewątpliwie była chętnie przyjęta; gdyż jak powiedziała Abbot omawiając tę sprawę z Bessie, podczas gdy szyły pewnego wieczora w dziecinnym pokoju, a ja leżałam już w łóżku i one myślały, że śpię: „Pani byłaby, zdaje mi się, kontenta pozbyć się takiego nudnego, niemiłego dziecka, które zawsze wszystkich szpieguje i jakieś tam intrygi po cichu obmyśla." Abbot widocznie poczytywała mnie za jakiegoś dziecinnego Guya Fawkesa.

Przy sposobności dowiedziałam się po raz pierwszy z tego, co Abbot opowiadała Bessie, że ojciec mój był niezamożnym duchownym; że matka moja wyszła za niego wbrew woli rodziny, która uważała tę partię za nieodpowiednią dla niej; że mój dziadek Reed tak się rozgniewał tym jej nieposłuszeństwem, iż wydziedziczył ją i nie dał ani szylinga; że po roku małżeństwa ojciec mój zaraził się podczas epidemii tyfusu odwiedzając biednych w wielkim fabrycznym mieście, gdzie leżała jego parafia; że matka moja zaraziła się od niego i oboje zmarli, jedno w miesiąc po drugim.

Słysząc to opowiadanie, Bessie westchnęła i powiedziała:

— Biedna panna Jane też jest godna litości, Abbot!

— Tak, zapewne — odpowiedziała Abbot — gdyby to było miłe, ładne dziecko, można by współczuć z jej sieroctwem; ale doprawdy nie można lubić takiej małej ropuchy jak ona.

— Nie można jej bardzo lubić, przyznaję — zgodziła się Bessie — w każdym razie taka piękność jak panna Georgiana byłaby bardziej wzruszająca w tym samym położeniu.

— Tak, ja przepadam za panną Georgianą! — zawołała Abbot z zapałem. — Ślicznotka kochana!... z długimi lokami, niebieskimi oczami i tymi ślicznymi rumieńczykami jak malowanie!... Zjadłabym grzanki z serem na kolację, Bessie.

— I ja też, z przyrumienioną cebulką. No, chodźmy na dół.

I poszły.

ROZDZIAŁ IV

Rozmowa moja z panem Lloydem i to, co usłyszałam z rozmowy między Bessie a Abbot, dodało mi dostatecznego bodźca, by pragnąć powrotu do zdrowia; zdawało się, że nadchodzi jakaś zmiana, pragnęłam jej i oczekiwałam w milczeniu. Odwlekało się to jednak; dni i tygodnie mijały. Odzyskałam zdrowie, ale nie było żadnej wzmianki o sprawie, która mnie tak interesowała. Pani Reed przyglądała mi się czasem surowym okiem, ale rzadko do mnie przemawiała. Od czasu mojej choroby akcentowała silniej przedział pomiędzy mną a własnymi dziećmi. Wyznaczyła dla mnie małą komóreczkę, gdzie sypiałam sama, kazała mi osobno jadać i przebywać stale w pokoju dziecinnym, gdy kuzynki bawiły ciągle w salonie. Ani słowem jednak nie wspomniała o sprawie posłania mnie do szkoły; pomimo to odczuwałam instynktowną pewność, że już niedługo będzie mnie znosić pod wspólnym dachem, gdyż jej spojrzenia, zwracane ku mnie, wyrażały teraz więcej niż kiedykolwiek nieopanowaną i głęboką odrazę.

Eliza i Georgiana, widocznie stosując się do rozkazów, mówiły do mnie możliwie jak najmniej; John naigrawał się ze mnie, ile razy mnie zobaczył, a raz nawet spróbował mnie zbić; ponieważ jednak natychmiast stanęłam w pozycji obronnej, poruszona tym samym uczuciem gniewu i rozpaczliwego buntu, jaki mnie był poniósł poprzednio, uważał, że lepiej dać spokój, i uciekł wymyślając mi i zaklinając się, że mu rozbiłam nos. Istotnie wymierzyłam w ten wystający punkt cios niezgorszy, a widząc, że go poskromiłam tym uderzeniem czy też wyrazem twarzy, miałam wielką ochotę dopełnić miary zwycięstwa; on jednakże już zdążył schronić się pod skrzydła swojej mamusi. Słyszałam, jak płaczliwym głosem zaczął opowiadać, że „ta szkaradna Jane rzuciła się na niego jak wściekła kotka..." Matka przerwała mu ostro:

— Nie mów mi o niej, kochanie; powiedziałam wam, że macie się do niej nie zbliżać; ona nie jest tego godna, nie chcę, ażebyście się z nią zadawali, ani ty, ani twoje siostry.

Wtedy, przechylając się przez poręcz schodów, zawołałam nagle, wcale się nad moimi słowami nie zastanowiwszy :

— To oni nie są godni zadawać się ze mną!

Pani Reed była osobą raczej tęgą, ale usłyszawszy to dziwne i zuchwałe oświadczenie, wbiegła lekko na schody, jak wicher porwała mnie i zaciągnęła do pokoju dziecinnego; rzuciwszy mnie na brzeg mego łóżka, z całym naciskiem zapowiedziała:

— Żebyś mi nie śmiała ruszyć się stąd i słowa jednego wymówić do końca dnia!

— Co by na to wuj Reed powiedział, gdyby żył? — zapytałam prawie mimo woli. Mówię: „prawie mimo woli", gdyż język mój wymawiał wyrazy bez zgody mojej woli; mówiło przeze mnie coś, nad czym nie panowałam.

— Co? — powiedziała pani Reed głosem ściszonym.; jej zwykle spokojne, zimne siwe oczy zamąciły się jak gdyby wyrazem lęku; puściła moje ramię i patrzyła na mnie, jakby w istocie nie wiedziała, czy ma przed sobą dziecko, czy szatana. Ale ja już wzięłam na kieł.

— Wuj Reed jest w niebie i stamtąd może widzieć wszystko, co wujenka robi i myśli; i mój tatuś, i moja mama też, oni widzą, że wujenka mnie całymi dniami zamyka i życzy sobie, żebym umarła.

Pani Reed opanowała się niebawem: wytrzęsła mnie z całej siły, wytargała za uszy i nie mówiąc słowa, wyszła. Bessie następnie wygłosiła mi godzinne kazanie, w którym dowodziła niezbicie, że jestem najniegodziwszym, najniepoczciwszym dzieckiem, jakie się kiedykolwiek uchowało. Uwierzyłam jej w połowie, gdyż czułam istotnie, że tylko złe, gniewne uczucia kotłują w mej duszy.

Minął listopad, grudzień i połowa stycznia. Boże Narodzenie i Nowy Rok obchodzono w Gateshead jak zwykle radośnie i uroczyście; wymieniano nawzajem podarki, wydawano obiady i przyjęcia wieczorne. Ze wszystkich tych uciech byłam, naturalnie, wyłączona i mój udział w tych wesołościach polegał na przypatrywaniu się, jak strojono Elizę i Georgianę, jak potem schodziły do salonu ubrane w

lekkie muślinowe sukienki i szkarłatne szarfy, z włosami ufryzowanymi starannie w loki; a później na przysłuchiwaniu się płynącym z dołu dźwiękom fortepianu i harfy, na przypatrywaniu się, jak tam i na powrót krążyli lokaje, jak dźwięczało szkło i porcelana, gdy roznoszono zakąski, a ile razy otwierano drzwi salonu, dolatywał zmieszany gwar rozmów. Zmęczywszy się tym zajęciem wracałam ze schodów do pustego i cichego dziecinnego pokoju; tam, chociaż trochę smutna, nigdy nie czułam się nieszczęśliwa. Prawdę powiedziawszy, nie miałam najmniejszej ochoty iść pomiędzy gości, gdyż w towarzystwie rzadko na mnie zwracano uwagę, i gdyby tylko Bessie była dobra i towarzysko usposobiona, uważałabym za prawdziwą przyjemność spędzać wieczory z nią, zamiast pod groźnym okiem pani Reed w salonie pełnym pań i panów. Jednakże Bessie, skoro tylko ubrała swoje panienki, zwykła była przenosić się w bardziej ożywione sfery kuchni i do pokoju gospodyni, zazwyczaj i świecę zabierając z sobą. Wtedy, dopóki ogień nie przygasł, siedziałam z lalką na kolanach, oglądając się raz po raz dokoła, by się przekonać, czy coś gorszego ode mnie nie pokutuje w tym mrocznym pokoju; a gdy już głownie nabierały ciemnoczerwonego koloru, rozbierałam się prędko, szarpiąc, jak umiałam, węzły i tasiemki, i chroniłam się przed zimnem i ciemnością do łóżeczka. Do tego łóżeczka zabierałam zawsze swoją lalkę. Istota ludzka musi cos kochać, a ja w braku godniejszych kochania przedmiotów znajdowałam przyjemność w kochaniu i pieszczeniu tej wyblakłej podobizny człowieka, lichej i źle ubranej jak miniaturowy strach na wróble. Zastanawia mnie to, gdy sobie przypominam, jak niedorzecznie a szczerze rozpływałam się nad tą zabaweczką, wyobrażając sobie, że ona żyje i zdolna jest odczuwać. Nie byłabym mogła usnąć, nie otuliwszy jej wpierw swoją nocną koszulką, a gdy leżała przy mnie bezpieczna i ciepła, czułam się stosunkowo dobrze, wierząc, że i ona również czuje się dobrze.

Dłużyły mi się godziny oczekiwania na odjazd gości. Nadsłuchiwałam odgłosu kroków Bessie na schodach; niekiedy przychodziła to po naparstek, to po nożyczki, czasami przynosiła coś na kolację — jakąś bułeczkę albo ciastko z serem, wtedy siedziała na łóżku, podczas gdy jadłam, a gdy skończyłam, otulała mnie szczelnie kocami, pocałowała mnie nawet dwa razy i powiedziała: „Dobranoc, panno Jane." Gdy była taka miła i łagodna,

wydawała mi się najlepszą, najładniejszą, najpoczciwszą w świecie istotą i tylko jak najgoręcej pragnęłam, żeby zawsze była taka miła i dobra, a nie popychała mnie. nie burczała na mnie, nie stawiała mi nierozsądnych żądań, co aż nazbyt często robiła.

Bessie Lee była, jak sądzę, zdolną z natury dziewczyną, gdyż wszystko robiła składnie i ładnie i miała wybitny dar opowiadania, tak mi się przynajmniej zdaje, sądząc z wrażenia, jakie wywierały na mnie jej bajki. I ładna była przy tym, jeżeli dobrze pamiętam jej twarz i figurę. Przypominam ją sobie jako młodą dziewczynę, wiotką, o czarnych włosach, ciemnych oczach, bardzo ładnych rysach i świeżej, jasnej cerze; ale miała usposobienie kapryśne i porywcze i niezbyt gruntowne pojęcie o zasadach i sprawiedliwości; pomimo to wolałam ją niż wszystkich innych mieszkańców Gateshead Hall.

Działo się to piętnastego stycznia, około godziny dziewiątej rano. Bessie zeszła na dół na śniadanie; kuzynek moich jeszcze nie zawołano do matki. Eliza wkładała kapelusz i ciepły płaszcz ogrodowy, by pójść nakarmić swój drób; zajęcie, za którym przepadała, nie mniej przepadając za sprzedawaniem jaj gospodyni i gromadzeniem otrzymanych tą drogą pieniędzy. Miała ona żyłkę kupiecką i wybitną skłonność do oszczędzania; dowodem tego było nie tylko sprzedawanie jaj i kurcząt, ale też sprzedawanie ogrodnikowi za drogie pieniądze cebulek i nasion kwiatowych, i ciętych kwiatów; ogrodnikowi nakazała pani Reed kupować od panienki wszelkie produkty jej ogródka, jakie by tylko sprzedać pragnęła. Eliza zaś sprzedałaby włosy z głowy, gdyby tylko mogła na tym porządnie zarobić. Pieniądze chowała początkowo w rozmaitych kątach, zawinięte w gałganek albo w stare papierki od papilotów; ponieważ jednak niektóre z tych skarbów odkryła pokojowa, Eliza w obawie, żeby nie stracić swoich skarbów, zgodziła się powierzyć je matce na lichwiarski procent, jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt od sta; te procenty wyciągała co kwartał, z największą skrupulatnością prowadząc rachunki w książeczce.

Georgiana siedziała na wysokim krześle czesząc włosy przed lustrem i przetykając loki sztucznymi kwiatami i wyblakłymi piórami, których zapas znalazła w jakiejś szufladzie na strychu. Ja

słałam swoje łóżko, otrzymawszy wyraźny rozkaz od Bessie, bym je doprowadziła do porządku, zanim ona powróci (Bessie bowiem często teraz używała mnie do czynności służby w pokoju dziecinnym, do porządkowania, odkurzania krzeseł itp.). Złożywszy nocną bieliznę i zaścieliwszy kapę podeszłam do okna, chcąc ułożyć niektóre rozrzucone tam książki z obrazkami i mebelki z pokoju lalek; zatrzymał mnie nagły rozkaz Georgiany. żeby nie ruszać jej zabawek (bo malutkie krzesełka i lustra, talerzyki i filiżaneczki do zabawy były jej własnością). Wtedy, nie mając nic lepszego do roboty, zaczęłam chuchać na zamarzłą w kwiaty szybę, by tym sposobem odczyścić kawałek szkła i móc wyjrzeć na świat, gdzie wszystko było takie ciche i stężałe pod wpływem silnego mrozu.

Z okna widać było niszę portiera i podjazd; właśnie też w chwili gdy rozpuściłam tyle tych srebrnobiałych liści zasłaniających szybę, że można było wyjrzeć, zobaczyłam otwierającą się bramę i jakiś wjeżdżający powóz. Obojętnie przyglądałam się powozowi podjeżdżającemu przed dom; ekwipaże często przyjeżdżały do Gateshead, ale nigdy żaden nie przywiózł gości, którzy by mnie interesowali; powóz zajechał przed dom i stanął; odezwał się głośny dzwonek, gość został wpuszczony.

Ponieważ to wszystko niczym było dla mnie, zwróciłam uwagę na coś ciekawszego, na małą, głodną raszkę, która nadleciała i ćwierkała na gałęziach bezlistnej czereśni, przywiązanej do muru pod oknem. Reszta mojego śniadania, składającego się z bułki i mleka, stała na stole; rozkruszywszy kawałek bułki, starałam się właśnie otworzyć okno, ażeby wysypać okruszyny, gdy Bessie wpadła pędem do dziecinnego pokoju.

— Panno Jane, proszę zdjąć fartuszek; co tam panienka robi? Czy panienka umyła dziś rano twarz i ręce?

Szarpnęłam oknem raz jeszcze, zanim odpowiedziałam, gdyż chciałam, żeby ptaszek dostał pożywienie; okno puściło, a ja wysypałam okruszyny trochę na kamienny parapet, a trochę na gałęzie czereśni, po czym, zamykając okno, odpowiedziałam:

— Nie, Bessie, ja dopiero w tej chwili skończyłam ścierać kurze.

— Nieznośne, niedbałe dziecko! A cóż to panienka robi tam teraz?

Cała czerwona, z pewnością jakaś psota była w robocie; po co było otwierać okno?

Nie potrzebowałam się silić na odpowiedź, gdyż Bessie widocznie za bardzo się spieszyła, by czekać na wyjaśnienia; pociągnęła mnie do umywalni, niemiłosiernie, choć na szczęście prędko, wyszorowała mi twarz i ręce wodą, mydłem, wytarła grubym ręcznikiem, wyszczotkowała głowę ostrą szczotką, zdjęła ze mnie fartuszek i wyprowadziwszy mnie szybko na schody, kazała natychmiast zejść na dół i stawić się w saloniku.

Miałam ochotę zapytać, kto się ze mną chce widzieć; miałam ochotę zapytać, czy tam jest pani Reed, ale Bessie już odeszła i zamknęła za sobą drzwi dziecinnego pokoju. Z wolna schodziłam ze schodów. Od trzech miesięcy prawie nie byłam nigdy wzywana przed oblicze pani Reed; dla mnie, skazanej tak długo na pokój dziecinny, jadalnia oraz salon stały się jakąś straszną strefą, do której bałam się wkraczać.

Stałam teraz w pustym hallu, przede mną były drzwi saloniku, a ja zatrzymałam się onieśmielona i drżąca. Co za biednego, małego tchórza uczynił ze mnie w owych czasach strach, zrodzony z niesprawiedliwej kary! Lękałam się wracać do dziecinnego pokoju, lękałam się iść naprzód i wejść do saloniku; z dziesięć minut tak stałam, wahając się, wzruszona; gwałtowne dzwonienie z saloniku zdecydowało: muszę wejść.

„Kto może chcieć się ze mną widzieć? — pytałam siebie w duszy, gdy oburącz naciskałam klamkę, która opierała mi się przez chwilę. — Kogo zobaczę w pokoju oprócz wujenki? mężczyznę czy kobietę?" Klamka ustąpiła, drzwi się otworzyły, a ja wszedłszy i dygnąwszy nisko podniosłam oczy i ujrzałam — czarny słup! Taką przynajmniej wydała mi się na pierwszy rzut oka sztywna, wąska, czarno ubrana, wyprostowana postać stojąca na dywanie; surowa twarz wyglądała jak rzeźbiona maska umieszczona na szczycie kolumny zamiast głowicy.

Pani Reed siedziała na zwykłym miejscu przy kominku; skinęła na mnie, bym się przybliżyła; posłuchałam, a ona przedstawiła mnie gościowi w tych słowach:

— Oto dziewczynka, w której sprawie zwracałam się do pana.

On — gdyż to był mężczyzna — obrócił z wolna głowę ku mnie, a przypatrzywszy mi się badawczymi, siwymi oczami mrugającymi pod krzaczastymi brwiami, orzekł uroczystym basem:

— Jest małego wzrostu. W jakim jest wieku?

— Dziesięć lat.

— Aż tyle? — odpowiedział tonem powątpiewania, po czym w dalszym ciągu przez parę minut przyglądał mi się badawczo.

— Jak się nazywasz, dziewczynko? — zwrócił się w końcu do mnie.

— Jane Eyre, proszę pana.

Wymawiając te słowa podniosłam na niego oczy. Ten pan wydał mi się wysoki, ale to prawda, że ja byłam bardzo mała. Rysy miał grube i wszystko w nim było surowe, wymuszone.

— No, powiedz mi, Jane Eyre, czy jesteś dobrym dzieckiem?

Niepodobna mi było odpowiedzieć na to twierdząco: moje otoczenie było przeciwnego zdania; milczałam. Pani Reed odpowiedziała za mnie wymownym potrząśnięciem głowy, dodając:

— Może lepiej o tym nie mówić, panie Brocklehurst.

— Przykro mi, doprawdy, że to słyszę! Muszę z nią trochę pogadać! — Tu łamiąc swą prostopadłą linię zainstalował się w fotelu naprzeciw pani Reed. — Pójdź tutaj — rzekł.

Przeszłam przez dywan; postawił mnie tuż przed sobą. Jakąż on miał twarz, gdy zobaczyłam ją prawie na jednym poziomie z moją własną! Co za wielki nos! A jakie usta! I co za ogromne, wystające zęby!

— Nie ma smutniejszego widoku nad widok niegrzecznego dziecka — zaczął — zwłaszcza niegrzecznej dziewczynki. Czy ty wiesz, dokąd źli ludzie idą po śmierci?

— Idą do piekła — odpowiedziałam szybko i jak należało.

— A co to jest piekło? Czy możesz mi na to odpowiedzieć?

— Piekło to otchłań pełna ognia.

— A czy ty byś chciała wpaść do tej otchłani i smażyć się tam na wieki?

— Nie, proszę pana.

— Więc co winnaś robić, żeby jej uniknąć?

Zastanowiłam się przez chwilę; odpowiedź moja, gdy się na nią zdobyłam, nie spodobała się:

— Muszę być zdrowa i nie umierać.

— Jak możesz być zdrowa? Dzieci młodsze od ciebie umierają codziennie. Nie dalej jak dwa dni temu pochowałem małe dziecko pięcioletnie, dobre, grzeczne dziecko, którego duszyczka jest teraz w niebie. Lękam się, że nie można by tego powiedzieć o tobie, gdyby cię Pan Bóg stąd odwołał.

Nie mogąc go pod tym względem uspokoić, spuściłam tylko oczy, utkwiwszy je w dwóch wielkich nogach, spoczywających na dywanie, i westchnęłam pragnąc być stąd jak najdalej.

— Spodziewam się, że to było westchnienie z głębi serca i że żałujesz, iż martwiłaś swą najlepszą dobrodziejkę.

„Dobrodziejkę! Dobrodziejkę! — pomyślałam — oni wszyscy nazywają panią Reed moją dobrodziejką; jeżeli tak, to dobrodziejka jest czymś bardzo nieprzyjemnym."

— Czy odmawiasz pacierz rano i wieczór? — dopytywał dalej.

— Tak, proszę pana.

— Czytujesz Biblię?

— Czasami.

— Z przyjemnością? Czy bardzo ją lubisz?

— Lubię Objawienia i księgę o Danielu, i Genesis, i księgę Samuela, i kawałek księgi Exodus, i niektóre części księgi Królów, i o Hiobie, i o Jonaszu.

— A psalmy czy ci się podobają? Mam nadzieję, że je lubisz.

— Nie, proszę pana.

— Nie? O, to źle! Ja mam małego chłopczyka, młodszego od ciebie, który umie na pamięć sześć psalmów; a gdy go zapytać, czy woli dostać do zjedzenia orzech osmażany, czy nauczyć się wiersza jakiegoś psalmu, odpowiada: „O, nauczyć się wiersza jakiegoś psalmu! Aniołowie śpiewają psalmy!", tak on mówi i dodaje: „A ja pragnę być aniołkiem tu na ziemi!" Wtedy dostaje dwa orzechy w nagrodę, że taki pobożny.

— Psalmy nie są zajmujące — zauważyłam.

— To dowodzi, że masz złe serce i powinnaś modlić się do Boga, ażeby ci je odmienił; ażeby dał ci nowe, czyste serce; ażeby ci zabrał serce kamienne, a dał ci serce z żywego ciała.

Już chciałam zapytać, w jaki to sposób miałaby się odbyć taka operacja zamiany mojego serca, gdy wmieszała się pani Reed nakazując mi, bym usiadła. Zaraz też dalszą rozmowę wzięła na siebie.

— Panie Brocklehurst, zdaje mi się, że w liście pisanym do pana przed trzema tygodniami wyznałam panu, że ta dziewczynka nie ma charakteru i usposobienia, jakie bym sobie życzyła w niej widzieć. Jeżeli przyjmie ją pan do szkoły w Lowood, byłabym rada, gdyby poproszono nauczycielki, by baczne na nią miały oko, a przede wszystkim, by strzegły jej od jej najgorszej wady: skłonności do kłamstwa i obłudy. Wspominam o tym przy tobie, Jane, żebyś nie próbowała oszukiwać pana Brocklehursta.

Czyż mogłam się nie bać pani Reed? Rzecz prosta, że musiałam jej nie znosić, skoro w jej naturze leżała chęć zadawania mi ran okrutnych; nigdy w jej obecności nie czułam się dobrze; i chociaż

starałam się być posłuszna i dogodzić jej, usiłowania moje zawsze odpychała i odpłacała zdaniami takimi jak powyższe. Teraz to oskarżenie, wypowiedziane przed człowiekiem obcym, dotknęło mnie do głębi; niejasno spostrzegłam, że ona już mi zaczyna odbierać nadzieję pokładaną w nowej fazie istnienia, na jaką mnie skazywała, i czułam, choć nie byłabym umiała uczucia tego wyrazić, że sieje wstręt i nieżyczliwość wzdłuż drogi, jaką w przyszłości iść miałam; widziałam, jak w oczach pana Brocklehursta zamieniam się w dziecko fałszywe i szkodliwe — i cóż mogłam uczynić, żeby tej krzywdzie zaradzić? „Nic w istocie" — pomyślałam walcząc, by powstrzymać łkanie, i szybko otarłam kilka łez, bezsilne dowody mojej męki.

— Obłuda to w istocie brzydka wada w dziecku — rzekł pan Brocklehurst — Jest ona pokrewna z fałszem, a wszyscy kłamcy dostąpią kary w jeziorze płonącym ogniem i siarką. Będą jej jednak pilnować, pani Reed. Pomówię z panną Tempie i z nauczycielkami.

— Pragnęłabym, żeby Jane została wychowana w sposób odpowiedni do jej widoków na przyszłość — ciągnęła dalej moja dobrodziejka — żeby nauczyła się użyteczności i pokory. Co do wakacji, to jeżeli pan pozwoli, będzie je zawsze spędzała w Lowood.

— Życzenia pani są najzupełniej słuszne — odpowiedział pan Brocklehurst. — Pokora to cnota chrześcijańska, szczególnie odpowiednia dla wychowanek Lowood; toteż wymagam, żeby je jak najstaranniej w jej duchu wychowywano. Wystudiowałem, w jaki sposób można najlepiej w nich upokorzyć uczucie światowej pychy, i niedawno temu miałem miły dowód, że mi się powiodło. Młodsza moja córka poszła z matką zwiedzić szkołę, a wróciwszy, zawołała: „O, drogi papo, jak skromnie i niełądnie wszystkie te dziewczęta w Lowood wyglądają, z włosami sczesanymi za uszy, w tych długich fartuchach i z kieszonkami na wierzchu sukien; wyglądają prawie jak dzieci biednych ludzi! A przy tym — dodała — przyglądały się mojej i maminej sukni, jak gdyby jedwabnej sukni nigdy dotąd nie widziały!"

— Najzupełniej pochwalam ten stan rzeczy — odpowiedziała pani Reed. — Gdybym przeszukała całą Anglię, nie wiem, czy znalazłabym system wychowawczy odpowiedniejszy dla takiego dziecka jak Jane Eyre. Konsekwencja, mój drogi panie Brocklehurst;

obstaję za konsekwencją we wszystkim.

— Konsekwencja, pani, jest pierwszym obowiązkiem chrześcijańskim i przestrzega się jej pilnie w Lowood: niewybredny pokarm, prosty ubiór, niewymyślne urządzenia, surowe przepisy, taki jest porządek dnia dla mieszkanek zakładu.

— Bardzo słusznie, łaskawy panie. Czy mogę zatem liczyć na to, że to dziecko będzie przyjęte do szkoły w Lowood i tam chowane odpowiednio do swego stanowiska i przyszłych widoków?

— Tak, pani; będzie przyjęta do tej hodowli doborowych roślin i ufam, że okaże się wdzięczna za ten nieoceniony przywilej, którego dostąpiła.

— Poślę ją zatem możliwie najprędzej, panie Brocklehurst, gdyż zapewniam pana, iż pilno mi uwolnić się od odpowiedzialności, która zaczęła się stawać już nazbyt dokuczliwa.

— Niewątpliwie, niewątpliwie, łaskawa pani; a teraz się pożegnam. Powrócę do Brocklehurst Hall w ciągu tygodnia lub dwóch; mój dobry przyjaciel, archidiakon, prędzej mnie nie wypuści. Napiszę do panny Tempie, że ma oczekiwać nowej dziewczynki, tak że nie będzie trudności z jej przyjęciem. Do widzenia!

— Do widzenia, panie Brocklehurst; proszę mnie przypomnieć pamięci pani Brocklehurst, jej córek i synów.

— Nie omieszkam, łaskawa pani, Dziewczynko, oto masz książkę zatytułowaną *Przewodnik dziecka*; czytaj ją i módl się, czytaj zwłaszcza *Opowiadanie o okropnej nagłej śmierci Marty* G., niedobrego dziecka grzeszącego fałszem i kłamstwem.

To mówiąc pan Brocklehurst wsunął mi w rękę cienką broszurkę, wszytą w okładkę, i zadzwoniwszy, by podano powóz, odjechał.

Pani Reed i ja zostałyśmy same; kilka minut upłynęło w milczeniu; ona szyła, ja się jej przypatrywałam. Pani Reed mogła mieć wtedy ze trzydzieści sześć lub siedem lat; była to kobieta mocno zbudowana, szeroka w ramionach, o silnych rękach i nogach, i chociaż tęga, nie tłusta; twarz jej była nieco szeroka, gdyż dolną

szczękę miała silnie rozwiniętą, mocną; niskie miała czoło, dużą i wystającą brodę, usta i nos dosyć regularne, pod jasnymi brwiami błyszczały oczy pozbawione łagodności; cerę miała ciemną i matową, włosy prawie lnianego koloru; organizm jej był zdrowy, nie wiedziała, co to choroba; była to dokładna, mądra gospodyni; domowników i dzierżawców trzymała krótko, dzieci tylko opierały się niekiedy jej władzy i śmiały się z niej pogardliwie; dobrze się ubierała i nosiła się tak, aby uwydatnić piękne stroje.

Siedząc na niskim stołeczku o parę kroków od jej fotela przyglądałam się jej postaci, badałam jej twarz. W ręce trzymałam rozprawkę zawierającą opowieść o nagłej śmierci kłamczyni, na którą zwrócono mi przed chwilą uwagę jako na odpowiednią przestrogę. Wszystko, co zaszło przed chwilą, co pani Reed powiedziała o mnie panu Brocklehurstowi, cała treść ich rozmowy — wszystko to było żywe, świeże, bolesne; odczułam każdy wyraz równie dotkliwie, jak wyraźnie go usłyszałam, i jakaś gwałtowna niechęć wrzała teraz we mnie.

Pani Reed podniosła wzrok znad roboty, oczy jej zatrzymały się na moich oczach, a równocześnie palce zaprzestały zręcznych ruchów.

— Wyjdź stąd, wracaj do dziecinnego pokoju — rozkazała. Moje spojrzenie lub wyraz twarzy musiały jej się wydać obraźliwe, gdyż mówiła z niezwykłym, chociaż hamowanym rozdrażnieniem. Wstałam, poszłam ku drzwiom i znowu wróciłam; podeszłam do okna, przeszłam przez pokój i stanęłam przed nią, tuż blisko.

Czułam, że muszę mówić: zdeptano mnie boleśnie, muszę wziąć odwet, ale jak? Gdzież miałam siły, by się zemścić na mojej nieprzyjaciółce? Zebrałam całą energię i wyrzuciłam z siebie te szczere a zuchwałe słowa:

— Nie jestem obłudna; gdybym nią była, powiedziałabym, że panią kocham, a ja oświadczam, że nie kocham pani; nie znoszę pani tak jak nikogo na świecie z wyjątkiem Johna Reeda; a tę książeczkę o kłamczyni może pani dać swojej córce Georgianie, gdyż to ona kłamie, a nie ja.

Ręce pani Reed wciąż jeszcze bezczynnie leżały na robótce, a lodowaty wzrok przewiercał mnie na wskroś.

— Co więcej masz mi do powiedzenia? — zapytała takim tonem, jakim ktoś mógłby raczej przemawiać do dorosłego przeciwnika, niż jakim się zwykle przemawia do dziecka.

Te jej oczy, ten głos obudziły całą antypatię, jaką ku niej czułam. Trzęsąc się od stóp do głów, cała drżąca szalonym wzburzeniem mówiłam dalej:

— Cieszę się, że pani nie jest moją krewną; dopóki żyję, już nigdy pani nie nazwę wujenką; nigdy pani nie odwiedzę, gdy dorosnę; a gdy mnie kto zapyta, czy panią lubię i czy pani była dla mnie dobra, powiem, że sama myśl o pani wywołuje we mnie mdłości i że obchodziła się pani ze mną nielitościwie i okrutnie.

— Jak śmiesz to twierdzić, Jane?

— Jak śmiem? Jak śmiem? Ponieważ to jest prawda. Pani myśli, że ja nie mam uczuć i że mogę się obejść bez odrobiny miłości albo dobroci; ale ja tak żyć nie mogę, a pani nie ma litości. Do końca życia będę pamiętała, jak mnie pani wepchnęła — szorstko i gwałtownie — z powrotem... do czerwonego pokoju i zamknęła tam, chociaż byłam w takim strachu, chociaż wołałam dusząc się od męki: „Miej litość! miej litość, wujenko!" A ukarała mnie pani w ten sposób, ponieważ jej niegodziwy chłopak zbił mnie, uderzył za nic, tak że upadłam. Każdemu, kto mnie zapyta, opowiem to dokładnie. Ludzie myślą, że pani jest dobrą kobietą, ale pani jest zła, twarde ma pani serce. To pani jest obłudna!

Zanim dokończyłam tej przemowy, dusza we mnie zaczęła rosnąć, radować się najdziwniejszym poczuciem wolności i nie znanego dotąd triumfu. Wydawało mi się, że pękły jakieś niewidzialne więzy i niespodziewanie wydostaję się na wolność. I nie bez powodu odnosiłam to wrażenie: pani Reed zdawała się wystraszona; robótka zsunęła jej się z kolan, podniosła ręce kołysząc się tam i z powrotem i nawet wykrzywiając twarz, jak gdyby się jej na płacz zbierało.

— Mylisz się, Jane. Co się z tobą dzieje? Czemu tak drżysz gwałtownie? Nie chciałabyś się napić trochę wody?

— Nie, dziękuję pani.

— Może czego innego życzysz sobie, Jane? Zapewniam cię, że ci dobrze *życzą.*

— Nie, pani. Powiedziała pani panu Brocklehurstowi, że ja mam niedobry charakter, że mam kłamliwe usposobienie; a ja opowiem wszystkim w Lowood, jaka pani jest i co pani zrobiła.

— Ty tego nie rozumiesz, Jane: dzieci muszą być ukarane, jeżeli zawinią.

— Ja nigdy nie zawiniłam kłamstwem! — zawołałam dzikim, podniesionym głosem.

— Ale jesteś złośnicą, to musisz przyznać; a teraz wracaj do dziecinnego pokoju... no, moja kochana... i połóż się trochę.

— Niech pani do mnie nie mówi „kochana", bo to nieprawda! Ja nie mogę się położyć; niech mnie pani jak najprędzej pośle do szkoły, bo życie tutaj jest dla mnie nieznośne.

— Rzeczywiście wyślę ją jak najprędzej do szkoły — szepnęła pani Reed i zabrawszy robótkę wyszła nagle z pokoju.

Zostałam sama — zwycięska na polu bitwy. Pierwsza to była moja walka i pierwsze zwycięstwo. Stałam przez chwilę na dywanie, w miejscu gdzie przedtem stał pan Brocklehurst, i cieszyłam się samotnością zdobywcy. Zrazu uśmiechałam się do siebie i czułam się podniesiona na duchu; ale dzika radość przygasła we mnie równie prędko, jak uspokoiło się przyspieszone bicie mego tętna. Dziecko nie może wojować ze starszymi, tak jak ja to uczyniłam; nie może puszczać wodzy uczuciom wściekłości, nie odczuwając zaraz potem dręczącego wyrzutu sumienia i chłodu reakcji. Wybuch jaskrawego, żywego, gorącego, pochłaniającego płomienia byłby obrazem stanu mej duszy w chwili, gdy oskarżałam panią Reed i groziłam jej; czarna, wypalona pustka z chwilą, gdy płomienie zagasły, byłaby obrazem mego stanu, gdy półgodzinna cisza i zastanowienie wykazały mi szaleństwo mojego postępku i okropność stanowiska nienawidzonej i nienawidzącej.

Zemsty zakosztowałam po raz pierwszy; wydawała mi się winem aromatycznym i krzepiącym, lecz jej zimny i gryzący posmak budził

we mnie uczucie, jakbym była otruta. Chętnie byłabym teraz poszła i przeprosiła panią Reed. Wiedziałam jednak, po części z doświadczenia, a po części instynktownie, że odepchnęłaby mnie z podwójną pogardą, tym samym podniecając tylko na nowo w mej duszy niespokojne popędy.

Pragnęłam czym innym zająć wzburzone myśli, znaleźć pokarm dla uczuć mniej wrogich niż uczucia posępnego oburzenia. Wzięłam do ręki książkę — były to bajki arabskie; siadłam i spróbowałam czytać. Nie mogłam jednak doczytać się sensu; moje własne myśli stawały pomiędzy mną a stronicami, w których zawsze znajdowałam tyle uroku. Otworzyłam szklane drzwi od ogrodu; cisza tam panowała zupełna; mróz bez słońca i bez powiewu ogarniał cały ogród. Okryłam głowę i ramiona spódnicą i wyszłam przejść się po zupełnie ustronnej części parku. Nie znalazłam jednakże przyjemności w widoku drzew milczących, spadających szyszek świerkowych, zmarzniętych resztek jesieni, rdzawych liści, teraz zmiecionych wiatrami na kupki i zesztywniałych. Oparłam się o bramę i wyjrzałam na puste pole, gdzie nie było pasących się owiec na krótkiej teraz, zwarzonej i zbielałej trawie. Szary to był dzień; nieprzejrzyste niebo zapowiadające śnieg zwisało ciemną oponą nad ziemią; spływały stamtąd od czasu do czasu śnieżne płatki i osiadały nie topniejąc na twardej ścieżce i oszronionej trawie. Stałam tak, nieszczęśliwe dziecko, szepcząc do siebie: „Co ja pocznę? Co ja pocznę?"

Wtem usłyszałam wołający mnie jasny głos: — Panno Jane! Gdzie panienka jest? Proszę na lunch.

Wiedziałam, że to Bessie, ale nie ruszyłam się; jej lekkie kroki biegły wzdłuż ścieżki.

— Co za niegrzeczna osóbka! — powiedziała. — Dlaczego to panienka nie przychodzi, kiedy ją wołają?

Obecność Bessie w porównaniu z myślami, które mnie gnębiły, wydała mi się radosna, pomimo że Bessie jak zwykle była trochę w złym humorze. Prawdę mówiąc, po starciu z panią Reed i po moim zwycięstwie nie dbałam wielce o przejściowy gniew bony, a za to miałam ochotę skorzystać z jej młodzieńczej niefrasobliwości. Więc też po prostu zarzuciłam jej obie ręce na szyję i powiedziałam:

— No, Bessie, nie gniewać się, nie besztać!

Szczerszy to był i śmielszy odruch z mej strony niż jakikolwiek dotychczas; jakoś jej się to spodobało.

— Dziwne z panienki dziecko, panno Jane — rzekła, patrząc na mnie — takie małe. samotne, zamknięte w sobie stworzenie. Ma panienka pójść do szkoły, zdaje mi się.

Skinęłam głową.

— I nie żal będzie panience opuścić biedną Bessie?

— Co sobie Bessie robi ze mnie? Zawsze tylko burczy na mnie.

— Bo z panienki takie dziwne, wystraszone, nieśmiałe stworzonko. Trzeba być śmielszą.

— Co? Żeby oberwać więcej szturchańców?

— Głupstwo! Ale poniewierają tu panienką trochę, to pewna. Matka moja, gdy mnie tu w przeszłym tygodniu odwiedziła, powiedziała, że nie chciałaby ażeby które z jej dzieci było na miejscu panienki. No, a teraz pójdziemy do domu, mam dobre wiadomości dla panienki.

— Nie chce mi się wierzyć, Bessie!

— Dziecko! co ty przez to rozumiesz? Jakimi smutnymi oczami patrzysz na mnie! No więc: pani, panienki i panicz wyjeżdżają dziś po południu na herbatę, a panienka będzie piła herbatę ze mną. Poproszę kucharkę, żeby upiekła panience ciasteczek, a potem pomoże mi panienka przejrzeć swoje szuflady, gdyż mam zapakować walizkę panienki. Pani chce, żeby panienka wyjechała z Gateshead za jaki dzień albo dwa, i ma panienka wybrać sobie między zabawkami te, które miałaby ochotę zabrać z sobą.

— Bessie, musisz mi przyrzec, że już aż do mojego wyjazdu nie będziesz się na mnie gniewała.

— Dobrze, ale proszę pamiętać, żeby panienka była bardzo grzeczną dziewczynką i nie bała się mnie. Proszę nie skakać, gdybym

przypadkiem coś ostrzej powiedziała, to tak drażni.

— Myślę, że już się ciebie nie będę więcej bała, Bessie, gdyż przyzwyczaiłam się do ciebie, a wkrótce będę wśród innych ludzi, których się będę bała.

— Jak będziesz się ich bała, nie będą cię lubili.

— Tak jak ty, Bessie?

— Nie mogę powiedzieć, że nie lubię panienki; zdaje mi się. że ja panienkę więcej lubię niż wszystkich tamtych.

— Nie okazujesz tego!

— Jesteś bystrym stworzonkiem, nabyłaś zupełnie nowego sposobu mówienia. Skąd taka odwaga?

— Bo już niedługo stąd odjadę, a przy tym... — miałam coś powiedzieć o tym, co zaszło między mną a panią Reed, ale po namyśle osądziłam, że lepiej o tej sprawie przemilczeć.

— A więc cieszy się panienka, że mnie opuszcza?

— Wcale nie, Bessie; w tej chwili to raczej mi żal.

— „W tej chwili"! i „raczej"! Jak chłodno moja mała dama to mówi! Przypuszczam, że gdybym teraz poprosiła o buziaka, powiedziałaby panienka: „Raczej nie."

— Pocałuję cię, i jeszcze jak chętnie! Nachyl tylko głowę!

Bessie nachyliła się, uściskałyśmy się i poszłam za nią do domu zupełnie uspokojona. To popołudnie upłynęło w spokoju i zgodzie, a wieczorem Bessie opowiedziała mi jedną ze swoich najcudniejszych bajek i zaśpiewała kilka najmilszych piosenek. Nawet dla mnie życie miało przebłyski słońca.

ROZDZIAŁ V

Było to dziewiętnastego stycznia. Zaledwie wybiła piąta rano, kiedy Bessie wniosła świecę do mojej komórki i zastała mnie już na nogach, prawie ubraną. Wstałam na pół godziny przed jej przyjściem, umyłam twarz i ubrałam się przy świetle blednącego właśnie księżyca, którego promienie wpadały przez wąskie okno w pobliżu mego łóżka. Miałam opuścić Gateshead tego dnia dyliżansem przejeżdżającym obok portierni o szóstej rano. Bessie była jedyną osobą, która dotychczas wstała; rozpaliła ogień w dziecinnym pokoju, a teraz zaczęła przyrządzać mi śniadanie. Dzieci rzadko kiedy potrafią jeść, gdy je podnieca myśl o czekającej podróży, i ja też jeść nie mogłam. Bessie, która na próżno usiłowała wmusić we mnie trochę mleka i bułki, zawinęła w papier kilka biszkoptów i wsunęła do mojej torebki, następnie pomogła mi włożyć płaszcz i kapelusz i zawinąwszy się w szal wyszła ze mną z dziecinnego pokoju. Przechodząc koło sypialni pani Reed zapytała:

— Czy panienka wejdzie pożegnać się z panią?

— Nie, Bessie — odpowiedziałam. — Pani Reed przyszła wczoraj wieczorem do mojego łóżka, podczas gdy ty jadłaś na dole kolację, i powiedziała mi, że nie potrzebuję budzić rano ani jej, ani moich kuzynek i mam pamiętać, iż zawsze była moją najlepszą przyjaciółką, tak mam mówić o niej i być jej wdzięczna.

— A panienka co na to odpowiedziała?

— Nic; zakryłam twarz kołdrą i obróciłam się do ściany.

— To zupełnie niesłusznie, panno Jane.

— To było zupełnie słusznie, Bessie. Twoja pani nie była moją przyjaciółką, ona była moim wrogiem.

— O, panno Jane! Niech panienka tego nie mówi!

— Żegnam cię, Gateshead! — zawołałam, gdy minąwszy hall wychodziłyśmy frontowymi drzwiami.

Księżyc już zaszedł i było bardzo ciemno; światło latarni, którą Bessie niosła, migało po mokrych stopniach i żwirze drogi rozmiękłej w świeżej odwilży. Ostry i chłodny był ten zimowy ranek, szczękałam zębami idąc szybko aleją. Świeciło się w portierni: doszedłszy tam, zastałyśmy odźwierną rozpalającą właśnie ogień. Walizka moja, przyniesiona tu poprzedniego wieczoru, stała przy drzwiach obwiązana sznurami. Brakło tylko kilku minut do szóstej, a zaledwie godzina ta wybiła, daleki turkot kół zwiastował, że dyliżans nadjeżdża. Stanęłam w drzwiach i śledziłam jego latarnie zbliżające się szybko w ciemności.

— Czy ona jedzie sama? — zapytała odźwierna.

— Tak, sama.

— A jak daleko?

— Pięćdziesiąt mil.

— Taka długa droga! Dziwię się, że pani Reed nie boi się tak daleko puścić dziecka samego.

Dyliżans podjechał; oto stał przed bramą, zaprzężony w cztery konie, naładowany pasażerami. Konduktor i woźnica głośno nawoływali do pośpiechu. Wwindowano moją walizkę, zabrano mnie z objęć Bessie, do której tuliłam się obsypując ją pocałunkami.

— Niech się pan nią dobrze opiekuje — zawołała Bessie, gdy konduktor wsadzał mnie do środka.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział; drzwiczki zatrzaśnięto, jakiś głos zawołał: „Wszystko w porządku!", i ruszyliśmy.

W ten sposób rozstałam się z Bessie i z Gateshead; w ten sposób dyliżans unosił mnie w świat nieznany, a jak mi się wtedy wydawało, w jakieś odległe i tajemnicze regiony.

Z tej podróży niewiele pamiętam. Wiem tylko, że dzień ten wydał mi się nienaturalnie długi, i myślałam, że przebywamy setki mil.

Przejeżdżaliśmy przez wiele miast, a w jednym, bardzo dużym, dyliżans się zatrzymał. Wyprzężono konie i pasażerowie wysiedli na obiad. Zaniesiono mnie do zajazdu, gdzie konduktor namawiał mnie, żebym coś na obiad zjadła. Ponieważ jednak nie miałam apetytu, zostawił mnie w ogromnym pokoju, na którego dwu końcach znajdowały się dwa kominki, świecznik zwisał z sufitu, a wysoko na ścianie biegła mała czerwona galeryjka pełna narzędzi muzycznych. W tej sali spacerowałam dłuższy czas i było mi dziwnie i strasznie; śmiertelnie się bałam, że może ktoś wejść i porwać mnie, bo wierzyłam „w porywanie", nasłuchawszy się o tym w wieczornych opowieściach Bessie. Nareszcie konduktor powrócił, wpakował mnie znów do dyliżansu, zajął swoje miejsce, zatrąbił i turkocząc ruszyliśmy „kamienistą drogą", prowadzącą do Lowood.

Popołudnie było wilgotne i trochę mgliste. Gdy zmierzch zaczął zapadać, ogarnęło mnie wrażenie, że Gateshead zostało rzeczywiście bardzo daleko *za* nami; już nie przejeżdżaliśmy przez miasta; zmienił się widok okolicy; wielkie szare wzgórza wyłoniły się na horyzoncie. Gdy mrok gęstniał, zjechaliśmy w dolinę ciemną, zalesioną, a chociaż już ciemny wieczór zasłonił wszelki widok, słyszałam, jak wiatr szumi pośród drzew.

Ukołysana tym szumem, zapadłam w końcu w sen. Niedługo spałam, gdy mnie zbudziło nagłe ustanie ruchu; drzwiczki dyliżansu były otwarte i jakaś osoba, wyglądająca na służącą, stała przy nich. Zobaczyłam jej twarz i ubranie przy świetle latarni.

— Czy jest tu mała dziewczynka nazwiskiem Jane Eyre? — zapytała. Odpowiedziałam „tak!" i wtedy mnie wysadzono, oddano moją walizkę i dyliżans natychmiast ruszył w dalszą drogę.

Zesztywniała byłam od długiego siedzenia i oszołomiona turkotem i ruchem dyliżansu. Zbierając myśli rozejrzałam się dokoła. Deszcz, wiatr, ciemności wypełniały powietrze. Pomimo to rozpoznałam przed sobą mur i otwarte w nim drzwi; tymi drzwiami weszłam za moją przewodniczką, która je za sobą zamknęła na klucz. Teraz dojrzeć mogłam dom czy też domy, gdyż budynek rozsiadł się szeroko — o wielu oknach; niektóre z nich były oświetlone. Szłyśmy po szerokiej ścieżce, chlapiącej wilgocią, przez jakieś drzwi weszłyśmy do środka, a wtedy służąca przeprowadziła mnie przez korytarz do pokoju, gdzie palił się ogień, i tam zostawiła mnie

samą.

Stałam grzejąc zgrabiałe palce nad płomieniem, a potem obejrzałam się. Nie było świecy, w chwiejnym blasku ognia płonącego na kominku migały tapety, dywan, firanki, błyszczące meble mahoniowe. Był to salonik, nie tak obszerny ani wspaniały jak salon w Gateshead, ale wcale przyzwoity. Zastanawiałam się chcąc zrozumieć, co przedstawia obraz wiszący na ścianie, gdy otworzyły się drzwi i weszła do pokoju osoba niosąca świecę, a tuż za nią druga.

Pierwszą była wysoka dama o ciemnych włosach, ciemnych oczach i bladym, szerokim czole. Postać jej częściowe okrywał szal, twarz jej wyrażała powagę, trzymała się prosto.

— Dziecko jest zbyt małe, żeby je wysyłać samo — zauważyła stawiając świecę na stole. Przypatrywała mi się uważnie przez dłuższą chwilę, a potem dodała: — Najlepiej byłoby położyć ją prędko do łóżka, wydaje się zmęczona. Czy jesteś zmęczona? — zapytała kładąc mi rękę na ramieniu.

— Trochę, proszę pani.

— I głodna także zapewne. Niech jej pani każe dać coś do zjedzenia, zanim się położy, panno Miller. Czy po raz pierwszy opuściłaś rodziców jadąc do szkoły, moje dziecko?

Odpowiedziałam jej, że nie mam rodziców. Zapytała, od jak dawna nie żyją, a potem, ile mam lat, jak się nazywam, czy umiem czytać, pisać i szyć trochę; a w końcu łagodnie pogłaskawszy mnie po twarzy powiedziała, że „spodziewa się, że będę dobrym dzieckiem", i pożegnała mnie i pannę Miller.

Pani, którą pożegnałam, mogła mieć jakie dwadzieścia dziewięć lat. Ta, która ze mną poszła, wydawała się o kilka lat młodsza; pierwsza wywarła na mnie silne wrażenie głosem, wyglądem i obejściem. Panna Miller miała powierzchowność pospolitszą, czerwonawą cerę i wyraz twarzy zatroskany; śpieszyła się, gdy chodziła czy cokolwiek robiła, jak ktoś, kto ma zawsze mnóstwo spraw do załatwienia: sprawiała wrażenie nauczycielki niższych klas i tym też, jak się później dowiedziałam, była. Idąc za nią przechodziłam z

oddziału do oddziału, z korytarza do korytarza wielkiego i nieregularnego budynku, aż wydostawszy się z całkowitej i dość przykrej ciszy, panującej w przebytej przez nas części domu, usłyszałyśmy brzęczenie wielu głosów i weszłyśmy do obszernego, długiego pokoju. Po dwa wielkie sosnowe stoły stały w każdym końcu tego pokoju; po dwie świece paliły się na każdym stole, a na ławkach dokoła nich siedziała cała gromada dziewcząt różnego wieku, od dziewięciu lub dziesięciu lat do dwudziestu. Widziane przy ciemnym świetle lichych świeczek wydawały mi się niezliczone, chociaż w rzeczywistości nie było ich więcej niż osiemdziesiąt i były wszystkie jednakowo ubrane w brązowe wełniane suknie dziwnego fasonu i długie płócienne fartuchy. Była to godzina nauki, obkuwały jutrzejsze zadanie, a brzęczenie, które słyszałam, był to łączny rezultat ich szeptanego powtarzania.

Panna Miller dała mi znak, że mam usiąść na ławce przy drzwiach, po czym poszedłszy na front długiego pokoju zawołała głośno:

— Dyżurne, zebrać i odłożyć książki!

Cztery wysokie dziewczynki podniosły się od stołów, zebrały książki i odłożyły je. Panna Miller znowu wygłosiła słowa komendy:

— Dyżurne, przynieście tace z kolacją! Wysokie dziewczynki wyszły i wróciły zaraz niosąc każda tacę z ustawionymi na niej porcjami czegoś (nie mogłam na razie rozpoznać, co to jest), dzbankiem i garnuszkiem. Porcje rozdawały wokoło; kto chciał, brał łyk wody; garnuszek był wspólny dla wszystkich. Gdy kolej przyszła na mnie, napiłam się, bo miałam pragnienie, ale nie tknęłam jedzenia; podniecenie i zmęczenie podróżą zagłuszyły we mnie apetyt; teraz jednak zobaczyłam, że był to jakiś cienki owsiany placek, podzielony na kawałki.

Po skończonej wieczerzy panna Miller odczytała modlitwy i klasy wyszły rzędem, parami na górę. Wyczerpana doszczętnie, ledwie zauważyłam, jak wygląda sypialnia, spostrzegłam tylko, że podobnie jak pokój szkolny była bardzo długa. Tej nocy miałam dzielić łóżko z panną Miller; ona mi pomogła rozebrać się; leżąc już popatrzyłam na długie rzędy łóżek, w których szybko układały się dziewczęta, w każdym po dwie. W dziesięć minut potem zgaszono jedyną świecę, a ja wśród milczenia i zupełnej ciemności zasnęłam.

Noc minęła szybko; zanadto byłam zmęczona, ażeby śnić. Raz się tylko obudziłam słysząc, jak wiatr szaleje wściekłymi podmuchami i deszcz leje strumieniem, poczułam też, że panna Miller zajęła miejsce przy mnie. Gdy znów otworzyłam oczy, dzwonił głośny dzwonek; dziewczęta wstawały i ubierały się; dzień jeszcze nie świtał; jedna czy dwie świeczki paliły się w pokoju. I ja niechętnie wstałam, gdyż okropnie było zimno; trzęsąc się cała ubrałam się, jak mogłam, i umyłam, gdy się doczekałam wolnej miednicy, co nastąpiło nieprędko, gdyż jedna miednica wypadała na sześć dziewcząt. Miednice były ustawione pośrodku sypialni. Znowu odezwał się dzwonek i Wszystkie ustawiły się rzędem, parami, i w tym porządku zeszły ze schodów i weszły do zimnego, słabo oświetlonego szkolnego pokoju. Tutaj panna Miller odczytała modlitwy, po czym zawołała:

— Uformować się w klasy!

Wielki gwar zapanował na kilka minut. Panna Miller kilkakrotnie wołała: „Cicho!" „Utrzymać porządek!" Gdy się uciszyło, zobaczyłam, że dziewczynki ustawiły się półkolem przy czterech stołach. Wszystkie trzymały w ręku książki, a wielka książka, podobna do Biblii, leżała na każdym stole przed pustym krzesłem. Nastąpiło teraz kilka sekund pauzy, wypełnionej szmerem półgłośnych szeptów dziewcząt. Panna Miller przechodziła od klasy do klasy i uciszała te nieokreślone odgłosy.

Z daleka odezwał się dzwonek; natychmiast weszły trzy nauczycielki, z których każda zajęła miejsce przy stole; czwarte krzesło zajęła panna Miller. Krzesło to stało najbliżej drzwi i dokoła niego zgromadziły się najmniejsze dzieci; do tego najniższego oddziału zaliczono mnie i umieszczono na końcu.

Zaczęła się teraz praca. Powtarzano kolektę dnia, następnie przepowiadano pewne teksty Pisma św., po czym nastąpiło dłuższe odczytywanie rozdziałów z Biblii, a wszystko to trwało godzinę. Gdy zajęcie to ukończono, już i dzień pełny nastał. Niezmordowany dzwonek odezwał się po raz czwarty. Dziewczęta ustawiły się klasami i pomaszerowały do innego pokoju na śniadanie. Jakże mnie ucieszyła nadzieja, że dostanę coś do zjedzenia! Słabo mi się robiło z czczości, tak mało przecież jadłam poprzedniego dnia.

Refektarz był wielki, niski i posępny: na dwóch długich stołach dymiły miseczki czegoś gorącego, co jednak, ku memu niemiłemu zdziwieniu, wydawało woń wcale nie zachęcającą. Zauważyłam ogólne objawy niezadowolenia, gdy woń potrawy uderzyła w nosy dziewcząt; od pierwszych par procesji dziewczynek z najstarszej klasy pobiegły szeptem słowa:

— Obrzydliwość! Owsianka znowu przypalona!

— Cicho! — wykrzyknął jakiś głos; nie głos panny Miller, lecz jednej z nauczycielek wyższych klas, małej, ciemnej osoby, elegancko ubranej, ale nieco surowego wyglądu, która zajęła miejsce na czele jednego stołu, podczas gdy przy drugim prezydowała pełniejsza i przystojniejsza osoba. Na próżno rozglądałam się za tą, którą zobaczyłam wczoraj wieczorem, nie było jej tu. Panna Miller siedziała na końcu stołu, przy którym i ja siedziałam, a naprzeciw niej dziwna, z cudzoziemska wyglądająca starsza dama, nauczycielka Francuzka, jak się później dowiedziałam. Zmówiono długą modlitwę i odśpiewano hymn, następnie służąca przyniosła herbatę dla nauczycielek i zaczęło się śniadanie.

Zgłodniała i już w tej chwili bardzo osłabiona, pochłonęłam łyżkę czy dwie swej porcji, nie zastanawiając się nad smakiem; po zaspokojeniu jednak pierwszego głodu spostrzegłam, że dostałam jakąś wstrętną potrawę; przypalona kasza owsiana nie lepsza jest prawie od zgniłych kartofli, nawet głód przed nią się cofa. Łyżki poruszały się powoli: widziałam, że każda dziewczynka próbuje pożywienia i stara się je przełknąć, ale większość dawała za wygraną. Skończyło się śniadanie, a nikt nic nie jadł. Po odmówieniu dziękczynnej modlitwy za to, czego nie dostałyśmy, i po odśpiewaniu drugiego hymnu opuściłyśmy refektarz i przeszły do pokoju szkolnego. Przechodząc prawie na końcu orszaku koło stołów zobaczyłam, że jedna z nauczycielek wzięła miseczkę z kaszą i spróbowała jej; popatrzyła na drugie; wszystkie miały twarze niezadowolone, a ta tęga szepnęła:

— Wstrętne jadło! To wstyd doprawdy!

Minął kwadrans, zanim się znów rozpoczęły lekcje, a w czasie tego kwadransa zapanowała w pokoju szkolnym wspaniała wrzawa;

wolno było w tym czasie głośno i swobodnie rozmawiać, toteż dziewczęta korzystały z tego przywileju. Cała rozmowa toczyła się dokoła śniadania, na które wszystkie bez wyjątku wymyślały, co się zowie. Biedaczki! była to ich jedyna pociecha. Panna Miller była jedyną nauczycielką obecną w pokoju. Kilka starszych dziewcząt otaczających ją rozprawiało z poważnymi i chmurnymi minami. Słyszałam kilka razy powtórzone nazwisko pana Brocklehursta; na to panna Miller potrząsała głową z nagana, ale nie zadawała sobie wiele trudu, by powstrzymać ogólne oburzenie; najprawdopodobniej sama je podzielała.

Zegar w pokoju szkolnym wybił dziewiątą. Panna Miller opuściła swoje kółko i stanąwszy pośrodku pokoju, zawołała:

— Cicho! Na miejsca!

Rygor zrobił swoje: w pięć minut chaotyczna gromadka rozdzieliła się w porządku i względna cisza zapanowała w tej chwilowej wieży Babel. Nauczycielki wyższych klas wróciły teraz punktualnie na swoje miejsca; wszyscy jednakże zdawali się czekać. Rządami na ławkach w czterech rogach pokoju siedziało osiemdziesiąt dziewcząt prosto i bez ruchu; dziwnym się wydawały zbiorowiskiem, wszystkie ze sczesanymi gładko z czoła włosami, bez jednego widocznego loczka, w brązowych, wysoko zapiętych sukniach z wąskimi, białymi kołnierzykami przy szyi i płóciennymi kieszonkami (kształtem podobnymi do góralskich sakiewek), przywiązanymi z przodu u paska, a mającymi służyć za torebki do roboty; wszystkie też nosiły wełniane pończochy i na wsi fabrykowane trzewiki, zapięte na mosiężne klamerki. Ze dwadzieścia z nich, w ten sposób ubranych, były to dziewczęta dorosłe; niełądnie im było w tym stroju i nawet najładniejsze wyglądały dziwacznie.

Wciąż jeszcze przyglądałam się im, w przerwach także obserwowałam nauczycielki, z których żadna mi się zbytnio nie podobała; tęga bowiem wyglądała nieco ordynarnie, ciemna — ostro i surowo, cudzoziemka — szorstko i dziwacznie, a panna Miller, biedaczka! czerwona, z wypiekami, miała wygląd przepracowanej. Jeszcze im się przyglądałam przesuwając wzrok od jednej twarzy do drugiej, gdy cała szkoła, jak gdyby sprężyną poruszona, podniosła się równocześnie.

Co się stało? Nie słyszałam, by wydano jakiś rozkaz — byłam zdziwiona. Zanim się opamiętałam, klasy zasiadły z powrotem. Ale ponieważ teraz wszystkie oczy zwróciły się w jeden punkt, więc moje poszły w tym kierunku i napotkały osobę, która mnie przyjmowała poprzedniego wieczoru. Stała na końcu długiego pokoju przed kominkiem, w obu bowiem końcach pokoju palił się ogień, i lustrowała obydwa rzędy dziewcząt milcząco i poważnie. Panna Miller przybliżyła się do niej, zapytała o coś, a dostawszy odpowiedź wróciła na swoje miejsce i powiedziała:

— Dyżurna najstarszej klasy niech przyniesie globusy!

Podczas gdy ten rozkaz wykonywano, pani przeszła powoli przez pokój. Przypuszczam, że muszę mieć dosyć silny zmysł uwielbienia, gdyż dziś jeszcze odczuwam wrażenie podziwu i czci, z jaką oczy moje biegły za jej krokami. Widziana teraz w jasnym świetle dnia, wydała md się wysoka, ładna i kształtna; piwne oczy pełne dobrotliwego wyrazu i blasku, przy długich rzęsach i pięknie zarysowanych brwiach, podnosiły białość jej szerokiego czoła; włosy bardzo ciemne zwijały się na skroniach w okrągłe, krótkie pukle, według ówczesnej mody, kiedy to nie noszono ani gładkich niobów, ani długich loków; suknię miała na sobie także wedle panującej mody z pąsowego sukna, przystrojoną czarnym aksamitem; złoty zegarek (zegarki nie były wtedy w tak powszechnym użyciu jak teraz) błyszczał u jej paska. Niech czytelnik doda dla uzupełnienia obrazu delikatne rysy, cerę jasną, chociaż bladą, pełną godności postać i ruchy, a będzie miał o tyle dokładne, o ile słowa oddać je mogą, pojęcie o powierzchowności panny Tempie, Marii Tempie, jak kiedyś później wyczytałam na jej książce do nabożeństwa, którą dała mi do niesienia idąc do kościoła.

Przełożona szkoły w Lowood (gdyż nią była ta pani), zasiadłszy przed parą globusów, wezwała pierwszą klasę ku sobie i zaczęła z nią lekcję geografii. Niższymi klasami zajęły się inne nauczycielki; przez godzinę powtarzano historię, gramatykę itp., następnie przyszło pisanie i arytmetyka, a niektórym starszym dziewczętom udzielała panna Tempie lekcji muzyki. Zegar odmierzał czas trwania każdej lekcji; nareszcie wybiła dwunasta. Przełożona wstała.

— Mam słowo do powiedzenia uczennicom — rzekła.

Rozpoczynał się już hałas po skończonej lekcji, ale umilkł uciszony jej głosem. Mówiła dalej:

— Dostałyście dzisiaj śniadanie, którego nie mogłyście jeść; musicie być głodne. Zarządziłam, żeby drugie śniadanie, chleb z serem, zostało podane dla wszystkich.

Nauczycielki popatrzyły na nią zdziwione.

— Kazałam to zrobić na własną odpowiedzialność — zwróciła się do nich z wyjaśnieniem, po czym natychmiast wyszła z pokoju.

Zaraz też wniesiono i rozdzielono chleb z serem ku pokrzepieniu i wielkiej radości całej szkoły. Teraz padło słowo komendy: „Do ogrodu!" Dziewczęta włożyły kapelusze z grubej słomy wiązane na szarfy z kolorowego perkalu i płaszcze z szarej syberyny. Mnie ubrano podobnie i w ślad za innymi wyszłam na świeże powietrze.

Ogród stanowiła obszerna przestrzeń otoczona tak wysokim murem, że wykluczał wszelką możliwość wyjrzenia dalej. Wzdłuż jednego jego boku ciągnęła się kryta weranda, a szerokie ścieżki otaczały przestrzeń środkową, rozdzieloną na cały szereg małych grządek; te grządki wyznaczone były dla uczennic jako ogródki do uprawiania i każda grządka miała swoją właścicielkę. Latem pełne kwiatów grządki musiały niewątpliwie ładnie wyglądać, ale teraz, w drugiej połowie stycznia, wszystko było po zimowemu puste i sczerniałe. Drżałam stojąc i rozglądając się dokoła; przykryto był dzień, nie zachęcający do ruchu na świeżym powietrzu; nie był dżdżysty, lecz przyćmiony żółtą mgłą; ziemia pod stopami nasiąkła wilgocią po wczorajszej ulewie. Silniejsze dziewczęta biegały i uprawiały jakieś ożywione gry, ale niektóre, blade i szczupłe, skupiały się w gromadki, szukając osłony i ciepła na werandzie; wśród tych, w miarę jak gęsta mgła przenikała drżące ich postacie, słyszałam częsty odgłos głuchego kaszlu.

Dotychczas jeszcze nie przemówiłam do nikogo i nikt też nie zdawał się zwracać na mnie uwagi. Stałam sobie samotna na boku; do tego uczucia osamotnienia byłam przyzwyczajona; nie dokuczało mi ono zbytnio. Oparta o filar werandy otuliłam się jak najszczelniej w

fałdy płaszcza i starając się zapomnieć o zimnie i głodzie, zajęłam się przyglądaniem i rozmyślaniami. Moje rozmyślania zbyt były nieokreślone i niepowiązane, żeby je warto wspominać. Zaledwie wiedziałam, gdzie się znajduję; Gateshead i moje dotychczasowe życie uleciały gdzieś strasznie daleko, teraźniejszość była niejasna i dziwna, a przyszłości nie umiałam sobie wyobrazić. Rozglądałam się po tym, jakby klasztornym, ogrodzie, a potem spojrzałam na dom, obszerny budynek, którego jedna połowa wydawała się poszarzała i stara, druga zaś zupełnie nowa. Nowa część, obejmująca pokój szkolny i sypialnie, miała gotyckie okna, co nadawało jej wygląd kościelny; kamienna tablica nad drzwiami nosiła napis:

„Zakład Lowood. — Ta część została przebudowana A.D. ... przez Naomi Brocklehurst z Brocklehurst Hall w tym hrabstwie. Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki wasze dobre i chwalili Ojca waszego, który jest w niebiosach. Św. Mateusz V, 16."

Odczytywałam raz po raz te słowa; czułam, że wymagają jakiegoś wyjaśnienia, gdyż nie potrafiłam znaczenia ich w pełni zrozumieć. Gdy tak rozmyślałam nad znaczeniem słowa „zakład" i usiłowałam znaleźć związek między tym słowem a początkiem wersetu biblijnego, odgłos czyjegoś kaszlu tuż za mną sprawił, że odwróciłam głowę. W pobliżu na kamiennej ławce siedziała młoda dziewczyna pochylona nad książką, którą czytała z zajęciem. Z miejsca, gdzie stałam, mogłam przeczytać tytuł *Rasselas*. Imię to wydało mi się dziwne, więc tym bardziej pociągające. Obracając kartę podniosła oczy, ja zaś zagadnęłam ją w tej chwili.

— Czy to zajmująca książka? — już postanowiłam poprosić ją, by mi tę książkę kiedy pożyczyła.

— Mnie się podoba — odpowiedziała po chwilce, przyjrzawszy mi się uważnie.

— O czym tam jest mowa? — zapytałam znowu. Nie wiem, skąd mi się wzięła ta śmiałość wszczynania rozmowy z kimś obcym; taki krok przeciwny był mojej naturze i przyzwyczajeniom. Myślę, że jej zajęcie dotknęło jakiejś struny sympatii we mnie, gdyż i ja lubiłam czytać, choć tylko rzeczy lekkie i dziecinne; nie mogłam strawić ani

zrozumieć lektury poważnej.

— Możesz ją obejrzeć — odpowiedziała dziewczynka podając mi książkę.

Przejrzałam książkę. Krótki ten przegląd wystarczył, by mnie przekonać, że zawartość jej była mniej porywająca niż tytuł. *Rasselas,* jak na mój gust dziecinny, wydał mi się nudny; nic tam nie znalazłam o wróżbach, nic o czarodziejach, żadna barwna rozmaitość nie snuła się po gęsto zadrukowanych stronicach. Oddałam jej książkę; wzięła ją spokojnie i nic nie mówiąc zabierała się znów do uważnego czytania, gdy po raz wtóry odważyłam się jej przeszkodzić.

— Czy możesz mi powiedzieć, co znaczy napis na tym kamieniu nad drzwiami? Co to jest Zakład Lowood?

— Ten dom, w którym zamieszkasz.

— A dlaczego nazywają go zakładem? Czy różni się pod jakimś względem od innych szkół?

— Jest to częściowo szkoła dobroczynności publicznej; ty i ja, i my wszystkie jesteśmy dziećmi korzystającymi z dobroczynności publicznej. Przypuszczam, że jesteś sierotą; czy nie straciłaś ojca albo matki?

— Oboje umarli, gdy byłam maleńka, tak że ich wcale nie pamiętam.

— Otóż wszystkie dziewczęta tutaj straciły albo jedno z rodziców, albo oboje, a ten dom nazywa się zakładem wychowawczym sierot.

— Więc my tutaj nic nie płacimy? Czy oni nas utrzymują za darmo?

— Płacimy albo ktoś za nas płaci piętnaście funtów rocznie za każdą.

— A więc dlaczego nazywają nas dziećmi korzystającymi z dobroczynności publicznej?

— Ponieważ piętnaście funtów nie wystarcza na utrzymanie i na

naukę, a brakujące pieniądze dopełnia się ze składek.

— A kto się składa?

— Rozmaici dobroczynni panowie i panie z tej okolicy i Londynu.

— Kto to był Naomi Brocklehurst?

— Ta pani, która zbudowała nową część tego domu, jak o tym napisano na tablicy, i której syn kieruje i rządzi wszystkim tutaj.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest skarbnikiem i dyrektorem zakładu.

— Ach, więc ten dom nie należy do tej wysokiej pani, która nosi zegarek i która powiedziała, że mamy dostać chleba z serem?

— Do panny Tempie? O, nie! Dobrze by było, gdyby należał! Ona odpowiada przed panem Brocklehurstem za wszystko, co robi. Pan Brocklehurst kupuje całe nasze pożywienie i wszystkie ubrania dla nas.

— Czy on tutaj mieszka?

— Nie, dwie mile stąd w dużym dworze.

— Czy to dobry człowiek?

— Jest duchownym i mówią, że robi wiele dobrego.

— Czy powiedziałaś, że ta wysoka pani nazywa się panna Tempie?

— Tak.

— A inne nauczycielki jak się nazywają?

— Ta, która ma rumiane policzki, nazywa się panna Smith; ona uczy robót i kroju, gdyż my same szyjemy sobie ubrania, płaszcze i wszystko; ta mała z czarnymi włosami to panna Scatcherd; ona uczy historii i gramatyki i przesłuchuje drugą klasę; a ta, która chodzi w szalu i chustkę do nosa przywiązuje do paska żółtą wstążką, to madame Pierrot; pochodzi z Lisie we Francji i uczy francuskiego.

— Czy ty lubisz nauczycielki?

— Dosyć.

— A tę małą, czarną i madame?... nie umiem wymówić jej nazwiska tak jak ty.

— Panna Scatcherd jest prędka... uważaj, żebyś jej się nie naraziła; madame Pierrot to wcale niezła osoba.

— Ale panna Tempie jest najlepsza, prawda?

— Panna Tempie jest bardzo dobra i bardzo mądra; ona przewyższa tamte, gdyż umie o wiele więcej niż one.

— Czy od dawna jesteś tutaj?

— Od dwóch lat.

— Czy jesteś sierotą?

— Matka moja nie żyje.

— Czy czujesz się tutaj szczęśliwa?

— Trochę za wiele pytasz. Dałam ci na razie dosyć odpowiedzi, teraz chciałabym poczytać.

W tejże chwili odezwał się dzwonek wzywający nas na obiad; wróciłyśmy do domu.

Zapach unoszący się teraz w refektarzu nie o wiele był ponętniejszy od tego, który uraczył nasze nosy przy śniadaniu. Podano obiad w dwóch dużych blaszanych naczyniach, z których unosiła się para woniejąca zjełczalym tłuszczem. Potrawa składała się z niesmacznych kartofli i dziwnych obrzynków nie pierwszej świeżości mięsa, a wszystko to było wymieszane i ugotowane razem. Tej papki wydzielono po dość pełnym talerzu każdej uczennicy. Jadłam, ile mogłam zjeść, zadając sobie pytanie, czy też jedzenie będzie co dzień takie.

Po obiedzie przeszłyśmy natychmiast do pokoju szkolnego. Lekcje

rozpoczęły się znowu i trwały do godziny piątej.

Po południu zobaczyłam, i to był jedyny ważniejszy wypadek, jak dziewczynkę, z którą rozmawiałam na werandzie, panna Scatcherd odprawiła za karę z lekcji historii i kazała jej stanąć na środku wielkiego pokoju. Kara ta wydala mi się wielce zawstydzająca, zwłaszcza dla tak dużej dziewczynki, wyglądała ona na trzynaście lat co najmniej. Myślałam, że okaże, jak ją to martwi albo zawstydza, ale ku mojemu zdziwieniu ani nie płakała, ani się nie zarumieniła; spokojna, chociaż poważna stała na oczach wszystkich. „Jak ona może tak spokojnie, tak mężnie to znosić? — zadawałam sobie pytanie. — Gdyby mnie to miało spotkać, życzyłabym sobie, żeby się ziemia pode mną rozstąpiła. Ona zaś jakby myśli o czymś, co jest dalekie od jej kary, od tego, co się z nią dzieje, o czymś, co nie jest ani dokoła niej, ani przed nią. Słyszałam o śniących na jawie, może ona teraz śni na jawie? Oczy jej patrzą w ziemię, ale jestem pewna, że nie widzą ziemi, wzrok jej wydaje się skierowany gdzieś do głębi serca: patrzy, zdaje mi się, w to, co pamięta, a nie w to, co jest rzeczywiście obecne. Ciekawa jestem, co to za dziewczyna, dobra czy niedobra?..."

Wkrótce po piątej dostałyśmy jeszcze jeden posiłek składający się z małego garnuszka kawy i pół kromki ciemnego chleba. Połknęłam chleb i wypiłam kawę ze smakiem i z przyjemnością, ale byłabym rada, gdyby mi dano drugie tyle — wciąż byłam głodna. Miałyśmy pół godziny rekreacji, a potem odrabianie lekcji. Następnie przyszła pora na szklankę wody i kawałek owsianego placka, na modlitwy i spoczynek. Taki był mój pierwszy dzień w Lowood.

ROZDZIAŁ VI

Następny dzień rozpoczął się jak poprzedni wstawaniem i ubieraniem przy świeczce; ale tego ranka musiałyśmy zrezygnować z ceremonii mycia się, bo woda w dzbankach była zamarznięta. Poprzedniego wieczoru nastąpiła zmiana; ostry północno-wschodni wiatr tak wiał przez całą noc przez szpary okien naszej sypialni, że trzęsłyśmy się z zimna w łóżkach, a woda w dzbankach pozamarzała.

Zanim upłynęło długie półtorej godziny modlitw i czytania Biblii, myślałam, że zginę z zimna. Nadeszła wreszcie pora śniadania; tym razem kasza nie była spalona, można było ją jeść, tylko ilość jej była mała. Jak mała wydała mi się moja porcja! Wzdychałam, by mogła być podwójna.

Tego dnia zostałam przyjęta do czwartej klasy i miałam wyznaczane regularne zadania i zajęcia; dotychczas byłam tylko widzem tego, co się działo w Lowood, teraz miałam wziąć w tym czynny udział. Nieprzyzwyczajona do uczenia się na pamięć, uważałam lekcje za długie i trudne, oszałamiały mnie częste zmiany i przechodzenie od jednego zadania do drugiego; toteż byłam rada, gdy około godziny trzeciej po południu panna Smith dała mi do rąk kawał muślinu wraz z igłą, naparstkiem itd., kazała usiąść w spokojnym kąciku szkolnego pokoju i zrobić na tym obrębek. O tej godzinie większość dziewczynek również szyła; jednakże jedna klasa stała jeszcze dokoła krzesła panny Scatcherd czytając, a że było cicho, mogłam słyszeć, jak się ich lekcja odbywa, jak każda dziewczynka odpowiada i jakie uwagi albo pochwały dostają im się od nauczycielki. Była to lekcja historii Anglii; wśród czytających zauważyłam moją znajomą z werandy. Na początku lekcji miejsce jej było na czele klasy, ale za błąd w wymowie czy nieuwagę w interpunkcji została nagle usunięta na sam koniec. Nawet tam panna Scatcherd nie przestawała mieć jej wciąż na oku; co chwila robiła jej tego rodzaju uwagi:

— Burns (tak się nazywała: dziewczęta tutaj wołano po nazwiskach tak jak chłopców w szkole). Burns, wykrzywiasz trzewik stojąc; ustaw nogę prosto, natychmiast. Burns, czemu tak szkaradnie wysuwasz brodę? Cofnij ją. Burns, wymagam, żebyś stała z podniesioną głową; nie pozwolę, żebyś stała przede mną w takiej postawia, itp., itp.

Po dwukrotnym odczytaniu rozdziału zamykano książki i nauczycielka przepytywała uczennice. Lekcja była poświęcona panowaniu Karola I, ale większość nie umiała odpowiedzieć na pytanie dotyczące tonażu, wagi, opłat okrętowych; każdą jednakże trudność rozwiązywała natychmiast Burns. Zdawało się, że zapamiętała całą lekcję i na każdy punkt miała gotową odpowiedź. Spodziewałam się, że za tyle uwagi panna Scatcherd pochwali ją lecz zamiast tego nagle wykrzyknęła:

— Ty brudna, nieznośna dziewczyno! Nie wyczyściłaś paznokci dziś rano!

Burns nie odpowiedziała; dziwiłam się jej milczeniu.

„Dlaczego się nie wytłumaczy — pomyślałam — że ani paznokci wyczyścić, ani twarzy umyć nie mogła, ponieważ woda była zamarznięta?"

Uwagę moją oderwała teraz panna Smith dając mi do potrzymania pasmo nici; podczas gdy je nawijała, mówiła do mnie od czasu do czasu pytając, czy już byłam kiedy w szkole, czy umiem znaczyć, haftować, robić na drutach itd. Dopóki mnie nie zwolniła, nie mogłam uważać na to, co robi panna Scatcherd. Gdy wracałam na swoje miejsce, pani ta właśnie wydawała rozkaz, którego znaczenia nie zrozumiałam, lecz zobaczyłam, że Burns natychmiast wyszła z klasy, poszła do małego pokoiku, gdzie się chowało książki, i powróciła za chwilę niosąc wiązkę rózg związanych z jednego końca. To groźne narzędzie oddała pannie Scatcherd z pełnym szacunku dygiem; następnie spokojnie, nie czekając na rozkaz, odpięła fartuch, a nauczycielka natychmiast ostro wymierzyła jej po karku dwanaście uderzeń tą wiązką. Ani jedna łza nie zabłysła w oczach Burns; to ja przerwałam szycie, gdyż na ten widok palce zadrżały mi z daremnego, bezsilnego gniewu, ale ani jeden rys jej zamyślonej twarzy nie zmienił zwykłego wyrazu.

— Uparta dziewczyno! — zawołała panna Scatcherd. — Niczym nie mogę wykorzenić z ciebie nieporządnych przyzwyczajeń; odnieś rózgi.

Burns usłuchała; przyjrzałam się jej uważnie, gdy wracała; wkładała właśnie do kieszeni chustkę do nosa, a na chudym jej policzku błyszczał ślad łzy.

Godzinę rekreacji uważałam za najmilszą część dnia w Lowood; kawałek chleba i łyk kawy o piątej po południu pokrzepiał, chociaż nie sycił; rygor długiego dnia złagodniał nieco; w pokoju szkolnym było cieplej niż rano, gdyż pozwalano, ażeby ogień na kominkach był większy, poniekąd w zastępstwie świec, których jeszcze nie zapalono. Czerwony blask, dozwolony hałas, pomieszane glosy dawały upragnione wrażenie wolności.

Wieczorem tego dnia, kiedy widziałam, jak panna Scatcherd wymierzała chłostę Burns, chodziłam jak zwykle sama pomiędzy ławkami, stołami i śmiejącymi się gromadkami, ale nie czułam się osamotniona. Przechodząc koło okien, raz po raz uchylałam okiennicę i wyglądałam na dwór; śnieg padał gęsty, na niższych szybach formował już warstwę. Przykładając ucho blisko do szyby, mogłam dosłyszeć, poza wesołym rozgwarem wewnątrz pokoju, żałosny jęk wiatru z zewnątrz.

Gdybym była niedawno opuściła miły dom i dobrych rodziców, w tej godzinie byłabym prawdopodobnie najżywiej odczuwała żal rozstania; wtedy ten wiatr byłby mi zasmucił serce; ten chaos w ciemności zmąciłby mi spokój. W moim położeniu wszystko to podniecało mnie tylko dziwnie i zuchwała, rozgorączkowana pragnęłam, ażeby wiatr wył wściekliej, ażeby zmrok zamienił się w ciemność zupełną, a gwarny zamęt w głośną wrzawę.

Przeskakując ławki, przechodząc pod stołami dotarłam do jednego z kominków; tam zastałam koleżankę Burns klęczącą przed wysoką drucianą kratą. Milcząca, oderwana od wszystkiego, co się naokół działo, pochłonięta była książką, którą czytała przy niejasnym świetle węgli.

— Czy czytasz ciągle *Rasselasa?* — zapytałam zachodząc ją z tyłu.

— Tak — odpowiedziała. — Właśnie go kończę.

I po pięciu minutach zamknęła książkę. Byłam z tego rada. „Teraz — pomyślałam — może wyciągnę ją na rozmowę." Usiadłam przy niej na ziemi.

— Jak ci na imię? — zapytałam.

— Helena.

— Czy z daleka pochodzisz?

— Pochodzę z miejscowości położonej dalej na północ, tuż nad granicą Szkocji.

— Czy wrócisz tam kiedy?

— Mam nadzieję; ale nikt nie może być pewny przyszłości.

— Pewnie pragniesz opuścić Lowood.

— Nie! Dlaczego miałabym tego pragnąć? Przysłano mnie do Lowood, ażebym zdobyła wykształcenie, i na nic by się nie zdało wracać, dopóki nie osiągnę tego celu.

— Ale ta nauczycielka, panna Scatcherd, jest taka okrutna dla ciebie!

— Okrutna? Bynajmniej! Jest surowa; nie znosi moich wad.

— A ja, gdybym była na twoim miejscu, ja bym jej nie znosiła; opierałabym się jej. Gdyby uderzyła mnie tą rózgą, wyrwałabym ją z ręki i połamałabym przed jej nosem.

— Prawdopodobnie nie zrobiłabyś nic podobnego; a gdybyś to zrobiła, pan Brocklehurst wyrzuciłby cię ze szkoły; byłoby to wielkim zmartwieniem dla twoich krewnych. Daleko lepiej jest cierpliwie znosić ból, którego nikt nie odczuwa prócz ciebie, niż popełnić czyn nierozważny, którego złe następstwa rozciągnęłyby się na wszystkich twoich bliskich; zresztą Biblia nakazuje nam płacić dobrym za złe.

— Ale przecież to wstyd być bitą albo zmuszoną stać na środku pokoju pełnego ludzi, a przy tym ty jesteś taka duża dziewczyna; ja jestem o wiele młodsza od ciebie, a nie mogłabym tego znieść.

— A jednak miałabyś obowiązek to znieść, gdybyś tego nie mogła uniknąć; tylko słaby i niemądry mówi, że nie może znieść tego, co los każe mu znieść.

Słuchałam jej zdziwiona: nie mogłam zrozumieć tej zasady wytrzymałości w cierpieniu, a jeszcze mniej mogłam zrozumieć i podzielać jej wyrozumiałość dla swej dręczycielki. Jednak czułam, że Helena Burns widzi rzeczy w świetle dla mnie niewidzialnym. Przypuszczałam, że może ona ma słuszność, a nie ja, ale nie chciało mi się głębiej rozważać tej sprawy; odkładałam to do sposobniejszej pory.

— Mówisz, że masz wady, Helenko; jakie wady? Mnie się wydaje, że jesteś bardzo dobra.

— Więc naucz się ode mnie nie sądzić z pozorów. Jestem, jak mówi panna Scatcherd, nieporządna, rzadko składam swoje rzeczy, a nigdy ich nie utrzymuję w porządku; jestem niedbała, zapominam reguł i przepisów; czytam, kiedy powinnam uczyć się lekcji; nie jestem systematyczna, a czasami mówię, tak jak ty, że nie mogę poddać się systematycznemu porządkowi. Wszystko to bardzo drażni pannę Scatcherd, która jest bardzo porządna, punktualna i dokładna we wszystkim.

— I zła, i okrutna — dodałam; ale Helena Burns nie chciała się na to zgodzić; milczała.

— Czy panna Tempie jest równie surowa względem ciebie jak panna Scatcherd?

Na wzmiankę o pannie Tempie łagodny uśmiech przebiegł po jej poważnej twarzy.

— Panna Tempie jest pełna dobroci; sprawia jej przykrość być surową względem kogokolwiek, nawet względem najgorszych w szkole; ona widzi moje wady i łagodnie mnie upomina, a jeżeli czymś zasłużę na pochwałę, nie szczędzi mi jej. Najlepszym

dowodem, jak zakorzenione są we mnie nieszczęsne moje wady, jest to, że nawet jej upomnienia, tak łagodne, a słuszne, nie mogą mnie z nich wyleczyć, a nawet jej pochwały, chociaż tak bardzo je cenię, nie mogą mnie pobudzić do stałej staranności i uwagi.

— To ciekawe — odpowiedziałam. — Przecież to tak łatwo być staranną.

— Dla ciebie, niewątpliwie. Przyglądałam ci się w twojej klasie dziś rano; widziałam, jak pilnie uważasz: widać było, że ci myśli nie uciekały, podczas gdy panna Miller tłumaczyła lekcję i wypytywała cię. Otóż moje myśli stale gdzieś się błąkają; wtedy, kiedy powinna bym słuchać panny Scatcherd i pilnie zważać na wszystko, co ona mówi, gubię często sam dźwięk jej głosu, wpadam w jakiś rodzaj marzenia. Niekiedy zdaje mi się, że znajduję się w Northumberland i że odgłosy, które słyszę dokoła, to szmer strumyczka przepływającego przez Deepden, w pobliżu naszego domu; a wtedy, jeżeli przyjdzie na mnie kolej odpowiadać, muszą mnie budzić; a ponieważ słuchając wymarzonego strumyczka, nic nie słyszałam, co czytano, więc nie umiem odpowiedzieć.

— Jednakże jak ty dobrze odpowiadałaś dziś po południu.

— To był czysty przypadek; zainteresowało mnie to, o czym czytałyśmy. Dziś po południu, zamiast marzyć o Deepden, dziwiłam się, jak człowiek, który pragnął działać uczciwie, mógł postępować tak niesprawiedliwie i niemądrze, jak to nieraz czynił Karol I; i myślałam, jak to źle się stało, że przy swojej prawości i sumienności nie umiał dalej spojrzeć poza przywileje korony. Gdyby był tylko potrafił spojrzeć w dalszą przyszłość i zrozumieć, dokąd zmierzał tak zwany „duch czasu"! A jednak ja lubię Karola, szanuję go, żałuję tego biednego ściętego króla! Tak, nieprzyjaciele jego byli gorsi: przelali krew, której nie mieli prawa przelewać! Jak oni śmieli go zabijać!

Helenka mówiła teraz do samej siebie: zapomniała, że ja jej dobrze zrozumieć nie mogę — że nic albo niewiele wiem o tym, o czym mówi. Ściągnęłam ją do mojego poziomu.

— A gdy cię uczy panna Tempie, czy i wtedy myśli twe gdzieś wędrują?

— Nie, chyba bardzo rzadko. Gdyż panna Tempie ma zawsze do powiedzenia coś, co jest ciekawsze dla mnie niż moje własne rozważania; jej sposób mówienia jest dla mnie dziwnie miły, a wiadomości, których udziela, zawierają często to właśnie, czego pragnęłam się dowiedzieć.

— A więc wobec panny Tempie nie masz sobie nic do zarzucenia?

— Nie; ale to bierna zasługa: nie kosztuje mnie to żadnego wysiłku; kieruję się własną skłonnością. W takiej dobroci nie ma zasługi.

— Owszem, i to wielka: jesteś dobra dla tych, którzy są dobrzy dla ciebie. Ja dla siebie więcej nie pragnę. Gdyby ludzie byli zawsze dobrzy i posłuszni względem tych, którzy są okrutni i niesprawiedliwi, źli ludzie byliby zawsze górą; nigdy by się nie bali, nigdy by się nie zmienili i stawaliby się coraz gorsi i gorsi. Gdy nas kto uderzy bez powodu, powinniśmy oddać bardzo mocno; jestem pewna, że powinniśmy, i to mocno, ażeby ten, kto nas uderzył, nigdy tego nie powtórzył.

— Zmienisz zdanie, mam nadzieję, gdy będziesz starsza: tymczasem jesteś jeszcze małą, nie bardzo mądrą dziewczynką.

— Ale ja tak czuję, Helenko; ja nie mogę lubić tych, którzy, choćbym się nie wiem jak starała im dogodzić, nie chcą mnie polubić; muszę się bronić przed tymi, którzy karzą mnie niesprawiedliwie. To tak samo naturalne jak to, że kocham tych, którzy mi okazują przywiązanie, lub że poddaję się karze, gdy czuję, że na nią zasłużyłam.

— Poganie i dzikie ludy głoszą te same zasady, ala chrześcijanie i narody cywilizowane wypierają się ich.

— Jakim sposobem? Nie rozumiem.

— To nie gwałt najlepiej zwycięża nienawiść i nie zemsta najlepiej goi krzywdę.

— A cóż innego?

— Czytaj Nowy Testament i zauważ, co Chrystus powiada i jak postępuje; niech Jego słowa będą ci prawem, a Jego postępowanie

przykładem.

— A co Chrystus powiedział?

— Byśmy kochali naszych nieprzyjaciół; błogosławili tym, którzy nas przeklinają; czynili dobrze tym, którzy nas nienawidzą i czynią nam źle.

— W takim razie ja powinna bym kochać panią Reed. czego uczynić nie mogę, powinna bym błogosławić jej syna Johna, co jest niepodobieństwem.

Z kolei Helena Burns poprosiła mnie o wytłumaczenie, a ja też zaraz zaczęłam jej po swojemu opowiadać dzieje moich cierpień i uraz. Gorzka i bezwzględna w podnieceniu, mówiłam tak, jak czułam, nic nie tając, niczego nie łagodząc.

Helenka wysłuchała mnie cierpliwie do końca; spodziewałam się, że zrobi potem jaką uwagę, ale ona milczała.

— Więc powiedz — zapytałam niecierpliwie — czyż pani Reed to nie kobieta twardego serca, to nie zła kobieta?

— Była niedobra względem ciebie, to nie ulega wątpliwości, ponieważ, widzisz, ona nie znosi twojego charakteru, tak jak panna Scatcherd nie znosi mojego; ale jak ty dokładnie pamiętasz wszystko, co ona ci zrobiła i co ci powiedziała! Jak dziwnie głęboko jej niesprawiedliwość wyryła się w twoim sercu! Żadne złe traktowanie tak się w mych uczuciach nie upamiętnia. Czy nie lepiej by ci było, gdybyś się starała zapomnieć o jej surowości i o gwałtownej nienawiści, którą ta surowość w tobie obudziła? Życie wydaje mi się zbyt krótkie, by spędzać je na pielęgnowaniu nienawiści i zapamiętywaniu krzywd. Na tym świecie jesteśmy wszyscy i musimy być obciążeni błędami; ale niebawem przyjdzie czas, kiedy, ufam w to, strząśniemy z siebie błędy wraz z przywarami ciała; gdy poniżenie i grzech opadną z nas wraz z tą ciężką powłoką cielesną, a pozostanie tylko iskra ducha — nieuchwytny pierwiastek życia i myśli, tak czysty jak w chwili, gdy Stwórca natchnął nim stworzenie. Pierwiastek ten powróci do swego źródła; może po to, by się wcielić w jakieś stworzenie wyższego rzędu niż człowiek, może po to, by poprzez gradacje

światła przejść z bladej duszy ludzkiej do jasności seraficznej! Z pewnością Stwórca nie dopuści do tego, by pierwiastek ten zdegenerował się przechodząc z człowieka na szatana. Nie mogę w to uwierzyć! Wyznaję inną wiarę której nikt mnie nie uczył i o której rzadko mówię, lecz z której czerpię radość i której się trzymam — gdyż wiara ta daje każdemu nadzieję, daje wieczność będącą odpoczynkiem, wspaniałym domem, a nie groźną otchłanią. Dzięki tej wierze potrafię doskonale odróżnić zbrodniarza od zbrodni, potrafię z całą szczerością wybaczyć zbrodniarzowi i brzydzić się zbrodnią; dzięki tej wierze pragnienie zemsty nigdy nie zagości w moim sercu, poniżenie nigdy mnie nie oburza zbytnio, niesprawiedliwość nigdy mnie zbytnio nie łamie i żyję w pokoju, oczekując końca.

Głowa Helenki, zawsze pochylona, opadła jeszcze niżej, gdy domawiała tych słów. Widziałam po wyrazie jej twarzy, że nie ma ochoty rozmawiać dłużej ze mną, że woli raczej rozmawiać z własnymi myślami. Niewiele dano jej czasu na rozmyślania; jedna z dyżurnych, wielka, szorstka dziewczyna, zbliżyła się w tej chwili wołając z silnym prowincjonalnym akcentem:

— Heleno Burns, jeżeli w tej chwili nie pójdziesz uporządkować swej szuflady i złożyć roboty, powiem pannie Scatcherd, niech przyjdzie i zobaczy!

Helena westchnęła budząc się z zadumy i wstawszy bez zwłoki, w milczeniu posłuchała wezwania dyżurnej.

ROZDZIAŁ VII

Pierwszy kwartał pobytu w Lowood wydał mi się wiekiem — i to bynajmniej nie złotym. Przykrą walkę musiałam staczać, by się przyzwyczaić do nowych reguł i zadań. Obawa, że pod tym względem może mi się coś nie udać, więcej mnie dręczyła niż fizyczne trudy i dokuczliwości, chociaż i te były niemałe.

Przez styczeń, luty i część marca leżały głębokie śniegi, a gdy te stopniały, nieprzebyte prawie drogi nie pozwalały nam wyjrzeć poza mury ogrodu, z wyjątkiem tylko gdy musiałyśmy pójść do kościoła; w obrębie jednak tych murów musiałyśmy codziennie spędzać godzinę na świeżym powietrzu. Ubranie nasze niedostatecznie chroniło nas od ostrego zimna: nie miałyśmy wysokich bucików, śnieg wpadał do niskich trzewików topniejąc w nich; ręce bez rękawiczek grabiały i odmrażały się tak jak i nogi. Dobrze pamiętam okropne swędzenie, którego doświadczałam co wieczora, gdy się nogi zaogniły, i mękę wciskania co rano napuchłych, bolących i sztywnych palców w trzewiki. Poza tym szczupła ilość pożywienia była sprawą bardzo ciężką. Przy dobrych apetytach dorastających dzieci dostawałyśmy zaledwie tyle, ile mogłoby utrzymać przy życiu delikatnego chorego. Z tej szczupłości pożywienia wynikło nadużycie, które zwłaszcza młodszym uczennicom ciężko dawało się we znaki: ilekroć wygłodzone duże dziewczęta znalazły sposobność, prośbą lub groźbą wyłudzały od małych ich porcje. Wiele razy musiałam podzielić z dwiema starszymi koleżankami drogocenny kawałek ciemnego chleba dawany nam na podwieczorek, a dopijając odrobinę pozostawionej mi w garnuszku kawy, ocierałam skrycie łzy, które mi głód wyciskał.

Niedziele w zimie były straszne. Musiałyśmy iść dwie mile do kościoła w Brocklebridge, gdzie nasz patron odprawiał nabożeństwo. Wychodziłyśmy zziębnięte, przychodziłyśmy do kościoła jeszcze gorzej zziębnięte; podczas rannego nabożeństwa drętwiałyśmy po prostu z zimna. Za daleko było, by wracać na

obiad, wydzielano nam tedy, między rannym a poobiednim nabożeństwem, te same głodowe porcyjki chleba z mięsem.

Po skończonym poobiednim nabożeństwie wracałyśmy odsłoniętą pagórkowatą drogą. Ostry wiatr zimowy, ciągnący od śnieżnych szczytów północy, nieomal zdzierał nam skórę z twarzy.

Przypominam sobie pannę Tempie idącą lekko i szybko wzdłuż naszych chwiejących się szeregów, w płaszczu w kratkę, którym mroźny wiatr trzepotał; ściągała go ciasno dokoła siebie i szła dodając nam odwagi, słowem i przykładem zachęcając, byśmy nie upadały na duchu i maszerowały naprzód „jak dzielni żołnierze". Inne nauczycielki same bywały tak strapione, biedaczki, że nie próbowały nawet nas pocieszać.

Jakże tęskniłyśmy po powrocie do światła i ciepła buchającego na kominku ognia! Ale dla małych dziewczynek i to bywało niedostępne: każdy kominek w pokoju szkolnym otaczał natychmiast podwójny rząd dużych dziewczyn, a za nimi przysiadały na ziemi gromadkami małe, otulając fartuchami zziębnięte ramiona.

Małą pociechę miałyśmy podczas podwieczorku; dawano nam podwójną porcję chleba — całą zamiast pól kromki — z wybornym dodatkiem cieniutkiej warstwy masła; była to uczta, na którą cieszyłyśmy się naprzód od niedzieli do niedzieli. Mnie zazwyczaj udawało się zatrzymać dla siebie połowę tego przysmaku, ale resztę musiałam zawsze oddawać.

Wieczór niedzielny schodził na powtarzaniu z pamięci katechizmu, piątego, szóstego i siódmego rozdziału św. Mateusza, i na słuchaniu długiego kazania, czytanego przez pannę Miller, której niepohamowane ziewanie świadczyło o jej wielkim zmęczeniu. Często zamieszanie podczas tego nabożeństwa sprawiały małe dziewczynki z dwu najniższych klas, które zmorzone snem spadały po kilka na raz z ławek na podłogę, skąd podnoszono je na wpół żywe. Zaradzało się temu przenosząc je na środek sali, zmuszając, by stały aż do końca kazania. Zdarzało się, że nie dopisywały im nóżki i że przewracały się jedne na drugie; wtenczas podpierano je wysokimi krzesłami dyżurnych.

Nie wspomniałam jeszcze o wizytacjach pana Brocklehursta. Pana tego istotnie nie było w domu przez większą część pierwszego miesiąca po moim przybyciu; może przedłużył pobyt u przyjaciela swego, archidiakona; nieobecność jego była ulgą dla mnie. Nie potrzebuję mówić, że miałam powód obawiać się jego przybycia — przybył jednakże.

Pewnego popołudnia (byłam wtedy od trzech tygodni w Lowood), gdy z tabliczką w ręku siedziałam zastanawiając się nad jakimś dzieleniem długiej cyfry, ujrzałam, podniósłszy przypadkiem oczy do okna, przechodzącą właśnie postać. Prawie instynktownie poznałam tę chudą figurę; a gdy w dwie minuty później cała szkoła, nie wyłączając nauczycielek, powstała *en masse,* nie potrzebowałam patrzeć, żeby się przekonać, czyje wejście w ten sposób witano. Długie kroki przemierzyły pokój szkolny i niebawem obok panny Tempie, która sama także się była podniosła, stanęła ta sama czarna kolumna, która z tak złowróżbnym marsem patrzyła na mnie przed kominkiem w Gateshead. Spojrzałam teraz spod oka na ten twór architektury. Tak, miałam słuszność: to był pan Brocklehurst, w surducie, zapięty na wszystkie guziki, jak gdyby jeszcze dłuższy, węższy i sztywniejszy niż kiedykolwiek.

Miałam powody, żeby odczuć na jego widok przykre zaniepokojenie; aż nazbyt dobrze pamiętałam przewrotne objaśnienia, jakimi pani Reed opisywała mój charakter, oraz obietnicę daną przez pana Brocklehursta, że powiadomi pannę Tempie i nauczycielki o moich wadach i złych skłonnościach. Przez cały czas drżałam przed spełnieniem tej obietnicy, codziennie wyglądałam „tego, który przyjdzie..." i opowie o mojej przeszłości i rozmowie ze mną i odtąd napiętnuje mnie na zawsze jako złe dziecko. A oto teraz zjawił się.

Stał obok panny Tempie; mówił jej do ucha; nie wątpiłam, że odsłania przed nią moje niegodziwości, i z bolesnym lękiem śledziłam jej oczy, spodziewając się, że lada chwila ciemne ich źrenice cisną na mnie spojrzenie pełne wstrętu i pogardy. Nasłuchiwałam także, a ponieważ przypadkiem siedziałam niezbyt daleko, pochwyciłam większość tego, co mówił; treść jego słów uspokoiła na razie mój lęk.

— Przypuszczam, że nici, które kupiłem w Lowton, będą dobre;

zauważyłem, że to odpowiedni gatunek do perkalowych koszul, i dobrałem także odpowiednie igły. Niech pani powie pannie Smith, że zapomniałem zapisać sobie igły do cerowania, ale przyślę jej kilka paczek w przyszłym tygodniu; i żeby nigdy, pod żadnym pozorem, nie dawała uczennicom więcej niż po jednej na raz; jeżeli dostają więcej, stają się niedbałe i gubią igły. I chciałbym, żeby wełnianych pończoch lepiej pilnowano!... Będąc tu ostatnim razem, zaszedłem do warzywnego ogrodu i przejrzałem bieliznę suszącą się na sznurach; była tam moc czarnych pończoch w bardzo złym stanie; sądząc po wielkości dziur, nie były one dobrze naprawione zawczasu. Zamilkł.

— Zastosujemy się do pańskich wskazówek — odpowiedziała panna Tempie.

— Dalej, proszę pani, mówiła mi praczka, że niektóre dziewczęta dostawały po dwa czyste kołnierzyki na tydzień: to za wiele; reguła ogranicza się do jednego.

— Zdaje mi się, że mogę wytłumaczyć tę okoliczność, proszę pana. Agnieszka i Katarzyna Johnstone były zaproszone na herbatę w czwartek do znajomych w Lowton, pozwoliłam im więc przy tej sposobności włożyć czyste kołnierzyki.

Pan Brocklehurst kiwnął głową.

— Ach, tak... no, ale proszę, niech się taka sposobność zbyt często nie powtarza. I jeszcze jedna rzecz mnie zadziwiła; znalazłem, robiąc rachunki z gospodynią, że drugie śniadanie, składające się z chleba i sera, zostało dwa razy podane dziewczętom w ciągu minionych dwóch tygodni. Jakże to? Przejrzałem regulamin i nie znalazłem tam żadnej wzmianki o drugich śniadaniach. Kto wprowadził tę nowość i jakim prawem?

— To ja muszę być odpowiedzialna za ten wyjątkowy przypadek — odpowiedziała panna Tempie. — Śniadanie tak było źle ugotowane, że uczennice po prostu nie mogły go jeść, a ja nie śmiałam zostawić ich o głodzie aż do obiadu.

— Niech pani pozwoli. Wiadomo pani, że zamiarem moim w wychowaniu tych dziewcząt nie jest przyzwyczajanie ich do

zbytków i dogadzania sobie, chcę z nich uczynić zahartowane, cierpliwe, pełne zaparcia siebie istoty. O ile by przypadkowo apetyt ich doznał zawodu na skutek nie dogotowanej albo przegotowanej potrawy, nie powinno się dawać w zastępstwie czegoś delikatniejszego, co by sprawiało przyjemność podniebieniu. Byłoby to dogadzaniem ciału i paczeniem zadań tej instytucji; przeciwnie, powinno się zdarzenie takie wyzyskać ku duchowemu zbudowaniu uczennic, ku zachęcie, by okazały męstwo wobec chwilowego braku. Krótka przemowa w takich wypadkach byłaby na miejscu; przemowa, w której mądra nauczycielka korzystając ze sposobności wspomniałaby o cierpieniach pierwszych chrześcijan, o torturach męczenników, o napomnieniach samego Pana naszego, który polecał uczniom wziąć swój krzyż i iść za Nim; o Jego naukach, że człowiek nie samym chlebem żyć winien, ale słowem Bożym; o Jego boskich pocieszeniach, że kto głód cierpi i pragnienie dla Niego, szczęśliwy jest. O pani, jeżeli pani kładzie tym dzieciom do ust chleb z serem zamiast przypalonej kaszy, karmi pani, zaiste, ich nędzne ciała, lecz nie myśli, że głodem morzy ich nieśmiertelne dusze!

Pan Brocklehurst znowu przerwał — może pod wpływem nawału uczuć. Panna Tempie patrzyła w ziemię, gdy zaczął do niej mówić; teraz jednak patrzyła prosto przed siebie, a twarz jej, z natury marmurowej bladości, zdawała się przybierać także chłód i twardość marmuru; zwłaszcza silnie zacięte usta i czoło przybrały stopniowo wyraz skamieniałej surowości.

Pan Brocklehurst tymczasem, z założonymi w tył rękami stojąc przed kominkiem, majestatycznie rozglądał się po całej szkole. Nagle mrugnął oczami, jak gdyby napotkał coś, co albo go olśniło, albo raziło jego źrenice; odwróciwszy się, przemówił szybciej niż dotychczas:

— Panno Tempie, panno Tempie, co... co to za dziewczyna, ta, która ma kręcące się włosy? Rude włosy, pani, w lokach na całej głowie? — i wyciągnąwszy laskę wskazał ten okropny przedmiot, a ręka trzęsła mu się, gdy to uczynił.

— To Julia Severn — odpowiedziała panna Tempie bardzo spokojnie.

— Julia Severn! A dlaczego ona albo którakolwiek inna ma loki? Dlaczego wbrew wszelkim przepisom i zasadom tego domu tak się otwarcie stosuje do światowej mody — tu, w zakładzie dobroczynnym, prowadzonym na zasadach Ewangelii — że śmie nosić włosy całe w lokach?

— Włosy Julii kręcą się z natury — odpowiedziała panna Tempie jeszcze spokojniej.

— Z natury! Tak, ale my się nie mamy stosować do natury; ja pragnę, by te dzieci były dziećmi łaski; a na cóż taka obfitość włosów? Mówiłem tyle razy, że pragnę, ażeby włosy czesano gładko, prosto. Panno Tempie, włosy tej dziewczyny trzeba zupełnie obciąć; przyślę jutro golibrodę; ta wysoka dziewczyna, niech jej się pani każe odwrócić. Niech pani powie całej najstarszej klasie, że mają wstać i odwrócić się twarzami do ściany.

Panna Tempie przesunęła chusteczką po ustach, jak gdyby ścierając uśmiech, który na nich mimo woli zagościł; wydała jednakże rozkaz, a pierwsza klasa, skoro tylko zrozumiała, czego chcą od niej, usłuchała. Przechylając się trochę w tył na mojej ławce, mogłam widzieć spojrzenia i miny, jakimi reagowały na ten manewr; szkoda, że pan Brocklehurst nie mógł ich widzieć; byłby się może przekonał, że cokolwiek czyni z zewnętrzną powłoką tych istot, ich wnętrze jest mu bardziej niedostępne, niż sobie wyobrażał.

Przyglądał się odwrotnej stronie tych żyjących medali przez jakieś pięć minut, wreszcie wydał wyrok. Następujące słowa padły jak grom potępienia:

— Wszystkie te koki na czubku głowy muszą być obcięte.

Panna Tempie wyglądała, jakby chciała zaprotestować.

— Ja — mówił dalej — służę Panu, którego królestwo nie jest z tego świata; moim posłannictwem jest umartwić w tych dziewczynach popędy cielesne; uczyć je ubierać się wstydliwie i prosto, a nie chodzić z ułożonymi włosami i w kosztownych szatach. Każda z tych młodych osób przed nami ma włosy zaplecione w warkocze, które tylko próżność uwić mogła; te, powtarzam, należy obciąć; niech pani pomyśli, ile czasu straconego,

ile...

W tym miejscu przerwano panu Brocklehurstowi: do pokoju weszły trzy inne panie. Powinny były przyjść nieco wcześniej, żeby wysłuchać wykładu o strojach, gdyż były wspaniale ubrane w jedwabie, aksamity i futra. Dwie młode z tej trójki (ładne panny szesnasto- i siedemnastoletnia) miały popielate filcowe kapelusze, modne naówczas, zdobne w strusie pióra, a spod ronda tych wdzięcznych kapeluszy spadała obfitość jasnych włosów, kunsztownie ufryzowanych; starsza dama otulała się w kosztowny aksamitny szal, obszyty gronostajami, i miała według mody francuskiej grzywkę upiętą z fałszywych loczków.

Panna Tempie z uszanowaniem powitała te damy — panią Brocklehurst z córkami — i przeprowadziła je na poczesne miejsce. Zdaje się, że przybyły one powozem razem z szanownym rodzicem i krzątały się W pokoju na górze, podczas gdy on załatwiał interesy z gospodynią, wypytywał praczkę i dawał reprymendę przełożonej. Teraz zaczęły robić różne uwagi i zarzuty pannie Smith, pod której opieką była bielizna i która sprawowała nadzór nad sypialniami; nie miałam jednakże czasu słuchać tego, co mówiły; inne sprawy zaprzątnęły i przykuły moją uwagę.

Przysłuchując się rozmowie pana Brocklehursta z panną Tempie, nie zaniedbywałam jednakże przezornie osobistego bezpieczeństwa; sądziłam, że dopnę tego, jeżeli tylko ujdę uwagi. W tym celu siedziałam głęboko wsunięta w ławkę i udając, że pilnie jestem zajęta rachunkami, trzymałam w ten sposób tabliczkę, żeby nią twarz zasłonić, i byłabym uszła uwagi, gdyby nie to, że zdradziecka tabliczka jakimś przypadkiem wysunęła mi się z ręki i upadając z hałasem ściągnęła oczy wszystkich wprost na mnie. Wiedziałam, że teraz wszystko przepadło, i schylając się, by podnieść pękniętą na dwoje tabliczkę, skupiłam wszystkie siły, by wytrzymać najgorsze. I przyszło.

— Niedbała dziewczyna! — powiedział pan Brocklehurst i zaraz dodał: — To ta nowa uczennica, jak widzę! — i zanim zdążyłam odetchnąć, mówił dalej: — Żebym nie zapomniał, że mam o niej słówko do powiedzenia.

A potem powiedział głośno, ach, jakże głośne wydały mi się jego

słowa:

— Niech to dziecko, które stłukło tabliczkę, wystąpi naprzód!

O własnej mocy nie byłabym się poruszyła; byłam jak sparaliżowana; ale dwie duże dziewczyny, między którymi siedziałam, postawiły mnie na nogi i popchnęły ku strasznemu sędziemu, a wtedy panna Tempie łagodnie poprowadziła mnie do niego i dosłyszałam jej wyszeptane słowa:

— Nie bój się, Jane, widziałam, że to był przypadek; nie będziesz ukarana.

Ten dobrotliwy szept zranił mi serce.

„Za chwilę ona pogardzi mną uwierzywszy, że jestem obłudnicą!" — pomyślałam i zatrzęsłam się od wściekłego gniewu przeciw panu Brocklehurstowi, pani Reed i im wszystkim. Nie byłam Heleną Burns.

— Przynieście to krzesło — rzekł pan Brocklehurst, wskazując na bardzo wysokie krzesło, z którego jedna z dyżurnych właśnie wstała. Przyniesiono je.

— Postawcie to dziecko na nim.

I postawiono mnie na nim; kto mnie postawił, nie wiem; nie byłam w stanie zauważyć szczegółów; wiedziałam tylko, że zostałam podniesiona do poziomu nosa pana Brocklehursta, że znajduję się w odległości jarda od niego i że fala pomarańczowych i fioletowych jedwabnych okryć oraz obłok srebrnych piór rozpościera się i powiewa poniżej mnie.

Pan Brocklehurst odchrząknął.

— Moje panie — przemówił zwracając się do swojej rodziny — panno Tempie, panie nauczycielki i wy, dzieci, czy widzicie tę dziewczynkę?

Oczywiście widziały mnie, gdyż czułam na sobie palący ich wzrok.

— Widzicie, jaka jeszcze jest mała; widzicie, że wygląda tak jak

inne dzieci. Bóg łaskawie obdarzył ją takim samym kształtem, jakim obdarzył nas wszystkich; żadne wybitne kalectwo jej nie wyróżnia. Kto by pomyślał, że zły duch znalazł już w niej powolną sługę i wspólniczkę? A jednak z bólem powiedzieć muszę, że tak jest.

Przerwał, a ja zaczęłam opanowywać nerwowe drżenie i czuć, że Rubikon został przekroczony i że mękę, której już uniknąć nie można, należy mężnie wytrzymać.

— Moje drogie dzieci — ciągnął dalej patetycznie czarny, kamienny duchowny — bardzo to smutna i żałosna sprawa; mam bowiem obowiązek przestrzec was, że ta dziewczynka, która mogłaby być jedną z owieczek bożych, jest małym wyrzutkiem; nie członkiem wiernej gromadki, ale przybłędą i obcą. Musicie się jej strzec i musicie unikać jej przykładu; jeśli potrzeba, musicie stronić od jej towarzystwa, wyłączać z zabaw i wykluczać od rozmów z wami. Nauczycielki, musicie czuwać nad nią: nie spuszczajcie z oczu jej uczynków, ważcie dobrze jej słowa, badajcie dokładnie jej postępowanie; karćcie jej ciało, by zbawić duszę — jeżeli, istotnie, to zbawienie jest możliwe, gdyż (język mój zacina się, gdy mam to powiedzieć) ta dziewczynka, to dziecko chrześcijańskiego kraju, gorsza jest od wielu małych pogan, co modlą się do Brahmy i klękają przed Baalem, ta dziewczyna kłamie!

Nastąpiła teraz przerwa kilkuminutowa, w czasie której ja, zupełnie już teraz przytomna, zauważyłam, że wszystkie panie Brocklehurst wyciągnęły chusteczki i przytknęły je do oczu, podczas gdy starsza pani kiwała się naprzód i w tył, a obie młodsze szeptały. „Ach, to szkaradnie!"

Pan Brocklehurst ciągnął dalej:

— Dowiedziałem się tego od jej dobrodziejki, od nabożnej i miłosiernej pani, która zaadoptowała tę sierotę, wychowywała jak własną córkę, a której dobroć i wspaniałomyślność ta nieszczęsna dziewczynka odpłaciła niewdzięcznością tak brzydką, tak okropną, że w końcu szlachetna jej opiekunka widziała się zmuszona odłączyć ją od własnych dzieci w obawie, że zły przykład może zarazić czyste ich dusze; przysłała ją tutaj, aby ją uzdrowić, tak jak dawni Żydzi posyłali chorych do mętnego jeziorka w Betsedzie; a was, panie nauczycielki, pani przełożono, proszę, nie pozwólcie,

żeby wody dokoła niej stanęły.

Po tym wzniosłym zakończeniu pan Brocklehurst zapiął najwyższy guzik surduta i szepnął coś swojej rodzinie, która wstała, ukłoniła się pannie Tempie, po czym wszyscy ci wielcy ludzie uroczyście wyszli z pokoju. Odwracając się w drzwiach mój sędzia powiedział:

— Niech ona stoi jeszcze pół godziny na tym krześle i niech nikt się do niej nie odzywa przez resztę dnia.

Tak więc stałam tam, na wzniesieniu; ja, która mówiłam, że nie zniosłabym wstydu stania na własnych nogach na środku pokoju, wystawiona byłam teraz na widok publiczny na hańbiącym piedestale. Co czułam, tego nie opiszą żadne słowa; ale właśnie gdy uczucia moje aż oddech dusiły mi w piersiach, dławiąc i ściskając za gardło, przeszła obok mnie jedna z uczennic; przechodząc podniosła na mnie oczy. Jakież dziwne światło jaśniało w tych oczach! Jakim niezwykłym uczuciem ten promień światła mnie przejął! Jakże mnie to nowe uczucie podniosło! Było to tak. jak gdyby męczennik, bohater, przeszedł obok niewolnika albo ofiary i w przejściu dodał mu siły. Opanowałam grożący mi wybuch nerwowego płaczu, podniosłam głowę, stanęłam silnie na stołku. Helena Burns zapytała pannę Smith o jakiś drobiazg przy swojej robocie, dostała burę, że pyta o takie drobnostki, wróciła na swoje miejsce i znowu uśmiechnęła się do mnie przechodząc. Co za uśmiech! Pamiętam go dobrze i wiem teraz, że był to promień pięknej duszy, prawdziwej odwagi: rozświetlił jej wybitne rysy, jej szczupłą twarz, jej zapadłe siwe oczy jak odblask istoty anioła. A jednak w tej chwili Helena Burns nosiła na ramieniu opaskę „nieporządna"; ledwie godzinę temu usłyszałam, jak panna Scatcherd skazywała ją na obiad z chleba i wody na jutro za to, że poplamiła ćwiczenie przepisując je na czysto. Tak niedoskonała jest natura ludzka! Takie plamy widnieją na powierzchni najjaśniejszych planet, a oczy takie jak oczy panny Scatcherd mogły dojrzeć tylko te maleńkie skazy, ślepe na pełne światło gwiazdy.

ROZDZIAŁ VIII

Zanim upłynęło owe pół godziny, wybiła piąta; rozpuszczono szkołę i wszystkie dziewczynki poszły do refektarza na podwieczorek. Odważyłam się teraz zejść. Był zmrok; poszłam do kącika i usiadłam na ziemi. Czar, który mnie dotąd podtrzymywał na siłach, zaczął się rozwiewać; nastąpiła reakcja i niebawem tak przemożny żal mną owładnął, że upadlam twarzą do ziemi i rozpłakałam się. Nie było przy mnie Heleny Burns; nic mnie nie podtrzymywało; pozostawiona samej sobie poddałam się rozżaleniu i łzy moje zwilżyły deski podłogi. Zamierzałam przecież być taka dobra, zdziałać tak wiele w Lowood; zyskać tyle przyjaciółek, zasłużyć na uznanie, zdobyć sympatię ludzką. Już nawet zrobiłam widoczny postęp; tego rana jeszcze zyskałam pierwsze miejsce w klasie. Panna Miller gorąco mnie chwaliła, panna Tempie uśmiechnęła się z uznaniem; przyrzekła, że będzie mnie uczyła rysować i że pozwoli mi się uczyć francuskiego, jeżeli przez dalsze dwa miesiące będę robiła takie postępy jak dotąd. I moje koleżanki dobrze się do mnie odnosiły, moje rówieśniczki traktowały mnie jak równą, a żadna mi nie dokuczała; a oto teraz leżę zgnębiona, zdeptana i czyż kiedy będę mogła powstać?

„Nigdy" — myślałam i gorąco pragnęłam umrzeć. Łkając z tym życzeniem w duszy usłyszałam, że ktoś się zbliża. Zerwałam się. Przy świetle dogasającego ognia ujrzałam Helenę Burns idącą wzdłuż długiego, prostego pokoju; niosła mi chleb i kawę.

— No, zjedz cośkolwiek — przemówiła, ale ja odsunęłam wszystko czując, że w tej chwili każdą kroplą, każdą okruszyną musiałabym się zadławić. Helena przyglądała mi się ze zdziwieniem zapewne. Nie mogłam opanować wzburzenia pomimo wysiłków; w dalszym ciągu płakałam głośno. Ona usiadła na ziemi obok mnie; objęła rękami kolana, oparła na nich głowę; w tej pozycji milczała jak indyjski derwisz. Ja przemówiłam pierwsza.

— Helenko, dlaczego ty zadajesz się z dziewczyną, którą wszyscy

uważają za kłamczucha?

— Wszyscy, Jane? Ależ tutaj jest tylko osiemdziesiąt osób, które słyszały, że cię tak nazwano, a na świecie są przecież setki milionów.

— A co mnie obchodzą miliony? Te osiemdziesiąt, które znam, pogardzają mną.

— Mylisz się: nie ma prawdopodobnie ani jednej osoby w szkole, która by tobą pogardzała albo nie lubiła ciebie, a wiele, jestem tego pewna, bardzo cię żałuje.

— Jakże mogą mnie żałować po tym, co pan Brocklehurst powiedział?

— Pan Brocklehurst to nie Pan Bóg; nie jest nawet żadnym wielkim ani podziwianym człowiekiem, nie bardzo go tutaj lubią; nigdy nie postarał się o to, żeby go lubiono. Gdyby cię był potraktował jako specjalną ulubienicę, znalazłabyś dokoła siebie nieprzyjaciółki — jawne lub ukryte; tak, jak jest, większość okazywałaby ci współczucie, gdyby tylko śmiała. Nauczycielki i uczennice popatrzą może na ciebie chłodno przez jeden czy dwa dni, ale przyjazne uczucia kryją się w ich sercach; a jeżeli w dalszym ciągu będziesz się dobrze zachowywała, te uczucia niebawem ujawnią się tym widoczniej, że chwilowo są stłumione. A zresztą, Jane... — tu przerwała.

— Co, Helenko? — zapytałam ujmując jej ręce; dłońmi potarła mi łagodnie palce, ażeby je rozgrzać, i mówiła dalej:

— Gdyby cały świat cię nienawidził i wierzył, że jesteś zła, to jednak, byle własne sumienie było z tobą w zgodzie i nie uznawało w tobie winy, nie byłabyś bez przyjaciół.

— Nie; ja wiem, że miałabym o sobie dobre mniemanie, ale to nie dosyć. Gdyby mnie inni nie kochali, wolałabym raczej umrzeć niż żyć; ja nie mogę znieść osamotnienia i nienawiści, Helenko. Bo posłuchaj: dla pozyskania prawdziwego uczucia twojego albo panny Tempie, albo kogoś, kogo bym naprawdę kochała, chętnie bym dała sobie kość w ręku złamać albo bykowi wziąć się na rogi, albo

stanęłabym za wierzgającym koniem, ażeby jego podkowa uderzyła mnie w pierś...

— Cicho, daj pokój, Jane! Zanadto myślisz o miłości istot ludzkich; zanadto jesteś porywcza, gwałtowna. Wszechmocna ręka, która stworzyła twoje ciało i tchnęła w nie życie, dała ci inne skarby, wyższe od twojej słabej istoty i stworzeń równie słabych jak ty. Oprócz tej ziemi i oprócz rasy ludzkiej istnieje świat niewidzialny i królestwo duchów. Ten świat nas otacza, gdyż jest wszędzie, a duchy patrzą na nas, gdyż mają zlecone czuwanie nad nami. I gdybyśmy umierali w męce i wstydzie, sponiewierani pogardą, zduszeni nienawiścią, aniołowie widzieliby nasze męki, rozpoznaliby naszą niewinność. Tak i ja wiem, że ty nie jesteś winna tego zarzutu, który pan Brocklehurst lekkomyślnie a pompatycznie powtórzył za panią Reed z drugiej ręki: wiem, gdyż rozpoznaję prawą naturę w gorących twoich oczach i na czystym czole, Jane. Pan Bóg tylko czeka na oswobodzenie duszy z ciała, ażeby ją uwieńczyć pełną nagrodą. Dlaczegóż więc mielibyśmy upadać pod ciężarem cierpienia, kiedy życie tak rychło minie, a śmierć jest tak pewnym przejściem do szczęścia i chwały?

Milczałam. Helena uspokoiła mnie; w tym spokoju, jaki szedł od niej, była przymieszka niewypowiedzianego smutku. Odnosiłam jakieś wrażenie żalu, podczas gdy ona mówiła, ale nie umiałam zdać sobie sprawy, skąd on płynie; gdy jednakże zauważyłam, że przestawszy mówić oddycha szybko i raz po raz sucho kaszle, zapomniałam natychmiast o własnych zmartwieniach. Ogarnął mnie nieokreślony niepokój o nią.

Oparłszy głowę o ramię Heleny, objęłam ją wpół, a ona przygarnęła mnie do siebie i tak odpoczywałyśmy w milczeniu. Niedługo siedziałyśmy w ten sposób, gdy do pokoju wszedł ktoś inny. Wiatr rozgarnął ciężkie chmury i odsłonił księżyc; światło jego padło jasno na nas obie i na zbliżającą się postać, w której od razu poznałyśmy pannę Tempie.

— Przyszłam umyślnie, żeby ciebie odszukać, Jane Eyre — przemówiła. — Przyjdź do mojego pokoju; a skoro Helenka Burns jest z tobą, to i ona może przyjść.

Poszłyśmy. Idąc za przełożoną, musiałyśmy przejść przez kilka

zawiłych korytarzy i wyjść na schody, zanim dotarłyśmy do jej pokoju; palił się tam suty ogień i pokój wyglądał przytulnie. Panna Tempie kazała Helenie zająć niski fotel przy kominku, sama zajęła drugi, a mnie kazała stanąć przy sobie.

— No i cóż, czy już minęło? — zapytała przyglądając się mojej twarzy. — Czy spłukałaś łzami swoje zmartwienie?

— Ach, to się chyba nigdy nie stanie!

— Dlaczego?

— Ponieważ zostałam niesłusznie oskarżona i teraz pani i wszyscy inni będą myśleli, że jestem taka zła.

— Będziemy cię uważały za taką, jaką cię poznamy. Zachowuj się dalej równie dobrze jak dotąd, a będę z ciebie zadowolona.

— Naprawdę, proszę pani?

— Z pewnością — odpowiedziała, obejmując mnie ramieniem. — A teraz powiedz mi, kim jest ta pani, którą pan Brocklehurst nazwał twoją dobrodziejką?

— To pani Reed, żona mojego wuja. Mój wuj umarł i polecił mnie jej opiece.

— Więc ona nie z własnej woli wzięła cię na wychowanie?

— Nie, proszę pani; bardzo była nierada, że musi to uczynić; ale mój wuj, jak często słyszałam od służby, wymógł na niej, zanim umarł, przyrzeczenie, że na zawsze zatrzyma mnie u siebie.

— A teraz posłuchaj, Jane. Ty wiesz, a jeśli nie wiesz, to ci powiem, że jeżeli zbrodniarz jest oskarżony, wolno mu zawsze przemówić we własnej obronie. Zostałaś oskarżona o kłamstwo; broń się przede mną, jak możesz. Powiedz mi to, co uważasz za prawdę, ale niczego nie dodawaj i nie przesadzaj.

Postanowiłam w głębi serca mówić z całym umiarkowaniem, z całą ścisłością, a zastanowiwszy się przez parę minut, by uporządkować i powiązać, co mam do powiedzenia, opowiedziałam jej całe dzieje

mego smutnego dzieciństwa. Wyczerpana byłam wzruszeniem, więc mówiłam spokojniej niż zazwyczaj, gdy dotykałam tego bolesnego tematu. Pamiętając zaś o przestrogach Heleny, by nie poddawać się uczuciom urazy i nienawiści, mniej niż kiedykolwiek dotąd wlałam żalu i goryczy w swoje opowiadanie. Tak opanowane i uproszczone brzmiało wiarogodniej: czułam, że panna Tempie wierzy mi najzupełniej.

W toku opowiadania wspomniałam o panu Lloydzie, że przyszedł mnie odwiedzić po ataku; nigdy bowiem zapomnieć nie mogłam o tym strasznym dla mnie epizodzie z czerwonym pokojem. Opisując go, czułam, że wzburzenie w pewnym stopniu mnie ponosi, gdyż nic nie mogło złagodzić we wspomnieniu tego napadu strachu i rozpaczy, jaki mi ścisnął serce, gdy pani Reed odrzuciła moje oszalałe błaganie o litość i zamknęła mnie powtórnie w ciemnym pokoju, gdzie straszyło.

Skończyłam. Panna Tempie patrzyła na mnie dłuższą chwilę w milczeniu, a potem rzekła:

— Znam trochę pana Lloyda; napiszę do niego, a jeżeli odpowiedź jego potwierdzi twoje opowiadanie, zostaniesz publicznie oczyszczona od wszelkiego zarzutu, a w moich oczach, Jane, już teraz jesteś oczyszczona.

Pocałowała mnie i wciąż jeszcze trzymając mnie przy sobie (gdzie bardzo rada stałam, gdyż miałam dziecinną przyjemność w podziwianiu jej twarzy, jej ubrania, jej paru klejnotów, białego czoła, lśniących pukli włosów i promieniejących ciemnych oczu) zwróciła się do Heleny Burns.

— Jak się dziś wieczór czujesz, Helenko? Czy dużo dzisiaj kaszlałaś?

— Zdaje mi się, że nie tak bardzo dużo, proszę pani.

— A ten ból w piersiach?

— Trochę słabszy.

Panna Tempie wstała, ujęła jej rękę i zbadała puls, po czym wróciła

na swoje miejsce; słyszałam, jak cicho westchnęła. Milczała w zamyśleniu przez parę minut, w końcu, jak gdyby budząc się, powiedziała wesoło:

— Ale wy obie jesteście dziś w gościnie u mnie, muszę was godnie przyjąć!

Zadzwoniła.

— Barbaro — rzekła, gdy weszła służąca — nie piłam jeszcze herbaty; przynieś tacę i postaw filiżanki również dla tych dwóch panienek.

Wniesiono niebawem tacę. Ach, jakie ładne wydały mi się te porcelanowe filiżanki i błyszczący imbryk, gdy ustawiono to wszystko na okrągłym stoliku przed kominkiem! Jak wonna była para napoju, jak pachniały grzanki! tych jednakże, ku mojemu zawodowi (gdyż zaczynałam odczuwać głód), była tylko bardzo mała porcyjka; panna Tempie zauważyła to także.

— Barbaro — rzekła — czy nie mogłabyś przynieść trochę więcej chleba i masła? To nie wystarczy dla trzech osób.

Barbara poszła i zaraz też wróciła.

— Proszę pani, pani Harden powiada, że posłała zwykłą ilość.

Pani Harden, nawiasem mówiąc, była to gospodyni; niewiasta zupełnie wedle serca pana Brocklehursta, sucha jak kość, twarda jak żelazo.

— No dobrze, dobrze! — odpowiedziała panna Tempie. — Więc musi nam to wystarczyć. — A gdy dziewczyna wyszła, dodała z uśmiechem: — Na szczęście mam tym razem możność dopełnienia braku!

Poprosiwszy Helenę i mnie do stolika i postawiwszy przed każdą z nas filiżankę herbaty z jednym wyśmienitym, ale cienkim kawałkiem grzanki, wstała, otworzyła szufladę, dobyła stamtąd paczkę zawiniętą w papier i ukazała oczom naszym duży kawał ciasta z makiem.

— Miałam każdej z was dać po kawałku ciasta, byście zabrały z sobą — rzekła — ale skoro tak mało dano nam grzanek, musicie to teraz dostać. — I szczodrą ręką zabrała się do krajania.

Uczta ta była dla nas czymś jak nektar i ambrozja; a nie najmniejszą rozkoszą tego przyjęcia był uśmiech zadowolenia na twarzy gospodyni przyglądającej się, jak syciłyśmy nasze wyostrzone apetyty delikatną strawą obficie przez nią dostarczoną.

Po wypiciu herbaty i usunięciu tacki panna Tempie zaprosiła nas znowu do kominka; siedziałyśmy, mając ją pośrodku, i teraz wywiązała się między nią a Helenką rozmowa. Przysłuchiwanie się tej rozmowie było dla mnie prawdziwą rozkoszą.

Panna Tempie miała zawsze w sobie jakąś pogodę, jakąś godność wyrazu, jakąś wytworną prostotę wysłowienia, która wykluczała wpadanie w podniecenie, w gorączkowość: coś, co widzów i słuchaczy napawało czcią dla niej; odczuwałam to teraz; ale w zdumienie wprawiła mnie Helena Burns.

Krzepiące pożywienie, płonący ogień, obecność i dobrotliwość ukochanej nauczycielki, a może bardziej niż to wszystko coś swoistego w wyjątkowej jej duszy rozbudziło drzemiące w niej moce. Najpierw zapłonęły żywą barwą jej policzki, tak zawsze blade i bezkrwiste, potem zaświeciły wilgotnym blaskiem oczy, które zajaśniały nagle urodą odrębną od piękności oczu panny Tempie, bo pięknością nie barwy i oprawy, lecz wyrazu. A potem dusza jej osiadła na wargach i popłynęły słowa, z jakich źródeł, nie rozumiem. Czyż czternastoletnie dziewczę może mieć serce tak wielkie i silne, by pomieścić wezbrane źródło czystej, pełnej, gorącej wymowy? Taką ukazała mi się Helena owego pamiętnego dla mnie wieczora; zdawało mi się, że duch jej śpieszy przeżyć w krótkiej chwili tyle, ile inni przeżywają w ciągu długotrwałego istnienia.

Rozmawiały o rzeczach, o których ja nigdy nie słyszałam; o narodach i czasach minionych, o dalekich krajach, o tajemnicach przyrody odkrytych albo których się domyślano; mówiły o książkach. Jakże ich wiele przeczytały! Jakież skarby wiedzy posiadały! I jak były obeznane z francuskimi autorami! Ale już zdumienie moje dosięgło szczytu, gdy panna Tempie zapytała

Helenę, czy znajduje czasem chwilę, by przypomnieć sobie łacinę, której ją ojciec uczył, i gdy biorąc książkę z półki dała jej do przeczytania i do przetłumaczenia stronicę Wergiliusza; Helena usłuchała, a mój podziw rósł z każdym wierszem. Zaledwie skończyła, rozległ się dzwonek wzywający na spoczynek. Nie można się było spóźnić; panna Temple uściskała nas obie i powiedziała przyciskając nas do serca:

— Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci!

Helenę trochę dłużej przytuliła niż mnie; jeszcze niechętniej ją puszczała; odprowadziła dziewczynkę oczyma do drzwi; za nią po raz drugi westchnęła ze smutkiem, w trosce o nią otarła łzę z twarzy.

Wchodząc do sypialni usłyszałyśmy głos panny Scatcherd; robiła przegląd szuflad. Właśnie wyciągnęła szufladę Heleny i zaraz od wejścia przywitała ją ostrą burą zapowiadając, że jutro będzie miała przypięte do ramienia pół tuzina nieporządnie złożonych części garderoby.

— Moje rzeczy były istotnie tak porozrzucane, że aż wstyd — szepnęła mi Helena do ucha. — Chciałam je poskładać; ale zapomniałam.

Nazajutrz rano panna Scatcherd wyraźnymi literami wypisała na pasku tektury wyraz „flądra" i przewiązała tą opaską szerokie, łagodne, inteligentne czoło Heleny. Helena nosiła tę opaskę aż do wieczora, cierpliwie, bez żalu, uważając to za zasłużoną karę. Z chwilą gdy panna Scatcherd wyszła po skończonych poobiednich lekcjach, pobiegłam do Heleny, zdarłam jej tę przepaskę z czoła i rzuciłam ją w ogień; pasja, do której ona była niezdolna, przez cały dzień wrzała w mojej duszy i gorące łzy wciąż spływały mi po twarzy; bowiem widok jej smutnej rezygnacji nieznośnym bólem ściskał mi serce.

W tydzień mniej więcej po opisanych wypadkach panna Tempie, która napisała do pana Lloyda, otrzymała odpowiedź: list jego potwierdził moje opowiadanie. Panna Tempie, zgromadziwszy całą szkołę, oznajmiła, że postarała się o zbadanie zarzutów podniesionych przeciwko Jane Eyre i cieszy się niezmiernie, że

może ją ogłosić zupełnie niewinną. Nauczycielki wtedy podały mi rękę i ucałowały mnie, a szmer miłego zadowolenia przebiegł szeregi koleżanek.

W ten sposób czując, że spadł mi z serca wielki ciężar, zabrałam się na nowo do pracy, z zamiarem przebicia się przez wszystkie trudności; pracowałam usilnie, a powodzenie towarzyszyło moim wysiłkom. Pamięć z natury niezbyt świetna poprawiała mi się przez ćwiczenia, systematyczna nauka rozwinęła mój umysł. Po paru tygodniach przeniesiono mnie do wyższej klasy; w niecałe dwa miesiące pozwolono mi zacząć francuski i rysunki. Pierwszego dnia nauki nauczyłam się dwóch czasów czasownika *être,* narysowałam pierwszy domek (którego ściany, nawiasem mówiąc, mogły konkurować z pochyłością wieży w Pizie). Tego wieczora idąc spać zapomniałam zabawiać się w myśli obrazem kolacji złożonej z gorących pieczonych kartofli lub białego chleba ze świeżym mlekiem, czym zwykła byłam oszukiwać niezaspokojony głód; karmiłam się natomiast wyobrażeniem idealnych rysunków, dzieł mej własnej ręki, swobodnie wyrysowanych domów i drzew, malowniczych skał i ruin, bydła na pastwisku, ślicznie malowanych motyli unoszących się nad nie rozkwitłymi różami, ptaków dziobiących dojrzałe wiśnie, gniazd mysikrólika z jajeczkami jak perełki w obramowaniu gałązek bluszczu. Zastanawiałam się też w myśli, czy to możliwe, żebym mogła kiedy biegle przetłumaczyć pewną francuską książeczkę, którą mi tego dnia pokazywała madame Pierrot; nim rozwiązałam te pytania, zapadłam w słodki sen.

Dobrze powiedział Salomon: „Lepiej jest być proszonym na jarzynę z miłością niż na cielę tłuste z nienawiścią."

Nie byłabym zamieniła Lowood z wszystkimi jego niedostatkami na Gateshead z wygodami i codziennymi zbytkami stołu.

ROZDZIAŁ IX

Poprawiały się jednak z wolna niedostatki, a raczej surowe warunki pobytu w Lowood. Wiosna nadciągała, właściwie już nadeszła. Mrozy ustały, stopniały śniegi, złagodniały ostre wiatry. Nieszczęsne moje nogi, opuchłe, poranione mroźnym styczniowym powietrzem, zaczęły goić się pod wpływem łagodnych tchnień kwietnia. Noce i ranki kanadyjską temperaturą już nam nie mroziły krwi w żyłach; znośne teraz byty godziny zabaw spędzane w ogrodzie, a niekiedy, w dzień słoneczny, bywało nawet mile i wesoło. Ciemne, brunatne grządki zaczynały zielenieć, stawały się coraz świeższe i nasuwały myśl, że nadzieja przechadza się po nich co noc, zostawiając co ranek jaśniejsze ślady swoich kroków. Kwiaty wyzierały spomiędzy liści: śnieżyczki, krokusy, aurykle, złotookie bratki. W czwartkowe popołudnia (wolne od zajęć) odbywałyśmy dalsze spacery i znajdowałyśmy jeszcze milsze kwiaty rozkwitające przy drogach i pod plotami.

Odkryłam też źródło wielkiej przyjemności, leżące poza wysokim, szpikulcami najeżonym murem naszego ogrodu; tym źródłem radości był widok na malownicze szczyty okalające wielką dolinę górską, bogatą w zieloność i w cień i jasny strumień, pełen ciemnych kamieni i iskrzących wirów. Jakże inaczej przedstawiał się ten krajobraz, gdy oglądałam go pod ołowianym niebem zimy, gdy zesztywniały był od mrozu, zatulony w śniegi... gdy śmiertelnie chłodne mgły, gnane wschodnim wiatrem, tłukły się wśród tych fioletowych szczytów i opadały do ich stóp łącząc się z chłodnym strumieniem. Ten sam strumień był wtedy mętnym, rwącym potokiem; wyrywał się z lasu śląc w powietrze szalony łoskot, często wzmożony szumem ulewy czy śnieżycy, a las nad jego brzegami wyglądał jak szereg szkieletów.

Kwiecień minął, przyszedł maj, jasny i pogodny maj. Dni były słoneczne, niebiosa błękitne, powiewy zachodnie lub południowe — łagodne. Teraz roślinność dojrzewała pośpiesznie; Lowood rozpuściło warkocze, zazieleniło się, rozkwieciło całe; wielkie

szkielety jesionów, klonów i dębów przywdziały znów majestatyczną szatę życia, leśne rośliny wyrastały obficie w zakątkach lasu, niezliczone odmiany mchów wypełniały jego wgłębienia, a dzikie prymulki słały się wśród trawy jak plamy słoneczne, leżały połyskując bladym złotem na gęsto ocienionej trawie, jak promienie najmilszego światła. Wszystkim tym radowałam się często i w całej pełni, wolna, nie pilnowana i nieledwie sama. O przyczynie tej niezwykłej wolności teraz mówić mi wypada.

Czy nie opisałam miłego miejsca zamieszkania mówiąc, że położone było wśród wzgórz i lasu, wznosząc się nad brzegiem strumienia? Istotnie, miłe ono było, ale czy zdrowe, to inna sprawa.

Leśna dolinka, w której leżało Lowood, była kolebką mgły i z mgły rodzącej się epidemii. Zarazki jej rozwinęły się wiosną, wdarły się do schroniska sierot; tyfus zagnieździł się w przeludnionym pokoju szkolnym i sypialni i zanim nadszedł maj, zakład zmienił się w szpital.

Niedożywianie oraz zaniedbane przeziębienia i katary osłabiły odporność dziewcząt. Czterdzieści pięć z osiemdziesięciu uczennic zachorowało równocześnie.

Rozpuszczono klasy, złagodzono regulaminy. Nielicznym zdrowym dano prawie nieograniczoną swobodę, raz, że doktor zalecał konieczność ruchu i przebywania na świeżym powietrzu dla podtrzymania zdrowia, a potem, gdyby nawet nie to, nikt nie miał czasu pilnować ich i czuwać nad nimi. Całą uwagę panny Tempie pochłaniały pacjentki. Przebywała cały czas w pokoju chorych, nie opuszczając go wcale, chyba nocą, by parę godzin snu ukraść. Nauczycielki miały dość roboty z pakowaniem i wyprawianiem tych szczęśliwych dziewcząt, które miały przyjaciół lub krewnych, posiadających warunki i okazujących gotowość zabrania ich z siedziby zarazy. Wiele już dotkniętych chorobą pojechało do domu po to tylko, by tam umrzeć; niektóre umarły w szkole, a pochowano je szybko i cicho, żeby nie rozszerzać zarazy.

Podczas gdy choroba w ten sposób panoszyła się w Lowood, a śmierć stała się tam częstym gościem, podczas gdy mrok i lęk panował w jego murach, gdy w pokojach i na korytarzach unosiły

się wonie szpitalne (gdyż kadzidła i pastylki daremnie walczyły z wyziewami choroby), słoneczny maj siał blaski na strome wzgórza i piękną lesistą krainę. I sam ogród zapłonął barwami kwiatów: malwy wystrzeliły wysoko jak drzewa, rozwijały się lilie, kwitły tulipany i róże; skraje małych grządek wesoło różowiły się goździkami i pąsowymi podwójnymi stokrotkami; polne różyczki wydawały rankami i wieczorami woń słodką, zalatując jabłkiem i korzeniami. A wszystkie te wonne skarby były bezużyteczne dla większości mieszkanek Lowood, chyba że od czasu do czasu dostarczały garści ziół i kwiatów składanych do trumny.

Ja tymczasem wraz z resztą zdrowych uczennic używałam w pełni piękności widoków o tej porze roku. Pozwalano nam, jak Cygankom, błądzić po lesie od rana do wieczora; robiłyśmy, co nam się podobało, chodziłyśmy, gdzie ochota niosła; lepiej też nas żywiono. Pan Brocklehurst ze swą rodziną nigdy się teraz nie pokazywał w Lowood; w gospodarskie sprawy nie wglądano. Skwaszona gospodyni odeszła, wypędził ją strach przed zarazą; następczyni jej zatrudniona uprzednio jako kierowniczka izby chorych w Lowood, nieprzywykła do nowego zajęcia, gospodarowała stosunkowo hojnie. Przy tym mniej osób było do żywienia; chore niewiele mogły jeść; nasze śniadaniowe miseczki bywały pełniejsze. Gdy brakło czasu na przygotowanie prawidłowego obiadu, co zdarzało się często, dawała nam po dobrym kawale zimnego pieroga albo po grubej kromce chleba z serem; zabierałyśmy to do lasu, gdzie każda wybierała sobie miejsce najmilsze, i tam ucztowałyśmy wspaniale.

Ulubionym moim miejscem był gładki, szeroki kamień, biały i suchy, sterczący w samym środku strumienia, do którego dostać się można było jedynie brodząc przez wodę; czyniłam to boso. Powierzchnia kamienia była dość szeroka, by wygodnie pomieścić mnie i drugą dziewczynkę, wówczas moją wybraną towarzyszkę, Mary Annę Wilson. Była to bystra i spostrzegawcza osóbka, której towarzystwo lubiłam, po części dlatego, że była dowcipna i oryginalna, a po części, że była łatwa w obejściu i czułam się *z* nią nieskrępowana. O parę lat starsza ode mnie, lepiej znała świat i umiała opowiedzieć mi wiele rzeczy, których lubiłam słuchać, zaspokajała moją ciekawość, a względem wad moich zachowywała się z pełną pobłażliwością, nigdy mnie nie hamując ani nie

powstrzymując, cokolwiek bym mówiła. Miała dar opowiadania, ja skłonność do analizy; lubiła informować, ja lubiłam pytać; toteż stosunek nasz układał się gładko, będąc dla nas obu obfitym źródłem rozrywki, jeśli nie poważniejszej korzyści.

A gdzie tymczasem była Helena Burns? Dlaczego tych miłych dni swobody nie spędzałam z nią razem? Czy zapomniałam o niej? Czy też byłam tak niegodna, iż nudziłam się jej szlachetnym towarzystwem? Mary Anna Wilson z pewnością była mniej warta niż ona; umiała tylko opowiadać zajmujące historie i odwzajemniać się, jeżeli pozwoliłam sobie na jakieś trafne, a czasem złośliwe uwagi. Helena, przeciwnie, potrafiła tych, którzy mieli szczęście z nią rozmawiać, wprowadzać w sferę o wiele wyższych pojęć.

To prawda, czytelniku. Wiedziałam to i czułam. Chociaż ułomne ze mnie stworzenie, choć wiele mam wad, a niewiele w sobie dobrego, to jednak nigdy nie zobojętniałam dla Heleny Burns, nigdy nie ostygłam w przywiązaniu do niej, tak silnym, serdecznym, tak pełnym uznania, na jakie tylko stać było moje serce. Jakżeby mogło być inaczej, skoro Helena zawsze i we wszystkich okolicznościach okazywała mi spokojną i wierną przyjaźń, której nigdy nie zamącił zły humor, nigdy nie zakłóciło rozdrażnienie? Ale Helena chorowała teraz, od paru tygodni oddzielono ją od nas, przenosząc do niewiadomego mi pokoju na *górze.* Powiedziano mi, że nie ma jej w szpitalnej części domu z gorączkującymi chorymi, gdyż chorobą jej są suchoty, nie tyfus; ja zaś w nieświadomości wyobrażałam sobie, że suchoty to choroba łagodna, którą czas i starania uleczą niewątpliwie.

Utwierdziłam się w tym przekonaniu, ponieważ raz czy dwa razy zeszła na dół w bardzo ciepłe słoneczne popołudnie, a wtedy panna Tempie zaprowadziła ją do ogrodu; mnie jednakże nie pozwolono wtedy pójść do niej i rozmawiać z nią. Widziałam ją tylko z okna szkolnego pokoju, i to niewyraźnie, gdyż była mocno pootulana i siedziała daleko pod werandą.

Pewnego wieczora, w początkach czerwca, zostałam do późnej godziny z Mary Anną w lesie: odłączyłyśmy się. jak zwykle, od innych i zawędrowałyśmy daleko, tak że nawet zabłądziłyśmy trochę i musiałyśmy pytać o drogę w położonej daleko chacie, gdzie mieszkali jakiś mężczyzna i kobieta doglądający stada półdzikich

świń żywiących się leśnymi żołędziami. Wracałyśmy już po wzejściu księżyca; konik, w którym poznałyśmy kuca doktora, stał uwiązany przy furtce ogrodu. Mary Anna zauważyła, że ktoś musi być bardzo chory, skoro posłano po pana Batesa o tak późnej porze. Weszła do domu, a ja pozostałam jeszcze chwilę chcąc zasadzić w ogródku garść roślin wykopanych w lesie, gdyż bałam się, że zwiędną, jeżeli pozostawię je nie zasadzone do rana. Skończywszy z tym nie śpieszyłam się z powrotem: rosa spadła, kwiaty pachniały tak słodko — taki miły był wieczór, pogodny i ciepły; rumiany jeszcze zachód zapowiadał na jutro taki sam piękny dzień; księżyc wschodził tak wspaniale. Rozglądałam się po tym wszystkim i cieszyłam, jak cieszyć się może dziecko. Nagle zbudziła się we mnie myśl:

„Jak to smutno być chorą i móc umrzeć. Ten świat jest piękny; strasznie byłoby zostać z niego odwołaną i pójść nie wiadomo dokąd."

I wtedy umysł mój zrobił pierwszy poważny wysiłek, by zrozumieć wpojone weń pojęcia o niebie i piekle. I po raz pierwszy wzdrygnął się, nie pojmując; i po raz pierwszy, spojrzawszy za siebie, przed siebie i na wszystkie strony, ujrzał dokoła tylko przepaść niezgłębioną; był pewien tylko jednego punktu, na którym się opierał — teraźniejszości; wszystko pozostałe było tylko bezkształtną mgławicą, pustą głębiną. I zadrżałam z lęku na myśl, że mogłabym zatonąć w tym chaosie.

Podczas tych rozmyślań usłyszałam, że otwierają się drzwi frontowe; to pan Bates wychodził, a odprowadzała go pielęgniarka. Gdy już wsiadł na swego konika i odjechał, pielęgniarka chciała zamknąć drzwi, ale ja podbiegłam do niej.

— Jak się miewa Helenka Burns?

— Bardzo marnie — odpowiedziała.

— Czy to do niej przyjeżdżał pan Bates?

— Tak.

— I co powiedział o niej?

— Powiedział, że niedługo już będzie tu z nami.

Gdybym była usłyszała to zdanie wczoraj, miałoby dla mnie ten sens, że Helenę mają odesłać do Northumberland, do jej rodzinnego domu. Nie byłabym podejrzewała, że to znaczy, iż ona ma umrzeć; ale teraz wiedziałam! Zrozumiałam jasno, że Helena dożywa ostatnich dni na tym świecie i że niebawem przejdzie w świat duchów, jeśli taki świat istnieje. Wstrząsnęła mną groza, potem przejął mnie silny, bolesny żal, a w ślad za tym pragnienie — konieczność zobaczenia jej. Zapytałam, w którym pokoju leży Helenka.

— Leży w pokoju panny Tempie — odpowiedziała pielęgniarka.

— Czy mogę tam pójść i pomówić z nią?

— O nie, dziecko! Nie sądzę; a teraz czas, żebyś wróciła do domu; jeszcze zachorujesz zostając na dworze, kiedy rosa pada.

Pielęgniarka zamknęła drzwi frontowe; ja weszłam bocznym wejściem prowadzącym do pokoju szkolnego; przyszłam w sam czas; była godzina dziewiąta i panna Miller kazała uczennicom iść spać.

Mogło to być ze dwie godziny później, prawdopodobnie blisko jedenastej, gdy nie mogąc usnąć, a wnosząc z ciszy w sypialni, że towarzyszki moje spoczywają pogrążone w głębokim śnie, wstałam po cichu i zarzuciwszy suknię na nocną koszulę, wysunęłam się boso z sypialni, aby dostać się do pokoju panny Tempie. Pokój ten znajdował się w drugim końcu domu, ale ja znałam do niego drogę i dzięki światłu księżyca, wpadającemu tu i owdzie przez okna na korytarzach, odnalazłam ją bez trudności. Zapach kamfory i kadzidła z octem ostrzegł mnie, że zbliżam się do pokoju chorych; minęłam szybko drzwi w obawie, by nie usłyszała mnie pielęgniarka czuwająca tam przez całą noc. Lękałam się, by mnie nie odkryto i nie kazano wracać, bo przecież musiałam zobaczyć się z Helenką, musiałam uściskać ją, zanim umrze — pożegnać ją ostatnim pocałunkiem, zamienić z nią ostatnie słowa.

Zeszedłszy z jednych schodów, przebywszy na dole znaczną część domu, otworzywszy i zamknąwszy szczęśliwie bez hałasu dwoje

drzwi dotarłam do drugich schodów; wstąpiłam na nie, a wtedy znalazłam się na wprost pokoju panny Tempie. Światło przedzierało się przez dziurkę od klucza i pod drzwiami; głęboka cisza zalegała dokoła. Zbliżywszy się dostrzegłam, że drzwi są lekko uchylone, prawdopodobnie, aby wpuścić trochę świeżego powietrza do dusznego pokoju, gdzie leżała chora. Bez wahania, niecierpliwie, ogarnięta śmiertelnym strachem otworzyłam je i zajrzałam do środka. Oczy moje szukały Heleny, a bały się ujrzeć śmierć.

Tuż obok łóżka panny Tempie, na wpół zakryte białą jego kotarą, stało wąskie łóżeczko. Widziałam zarysy postaci pod kołdrą, ale twarz zakrywała kotara; pielęgniarka, z którą rozmawiałam w ogrodzie, siedziała w fotelu i spała; nie objaśniona świeca paliła się ciemno na stole. Panny Tempie nie było; dowiedziałam się później, że zawołano ją do innej chorej będącej w ciężkiej malignie. Postąpiłam naprzód; stanęłam przy łóżeczku; już wyciągałam rękę do kotary, ale wolałam wpierw przemówić, zanim ją odsunę. Wciąż jeszcze się bałam, że zobaczę umarłą.

— Helenko! — szepnęłam cicho — czy nie śpisz?

Poruszyła się, odgarnęła kotarę, a wtedy ujrzałam twarz jej bladą, wymizerowaną, ale zupełnie spokojną: wydała mi się tak mało zmieniona, że lęk mój rozwiał się od razu.

— Czy to możliwe, że to ty, Jane? — zapytała swym miłym głosem.

„Och — pomyślałam — ona nie umrze, oni się mylą; przecież nie mogłaby tak mówić ani tak spokojnie wyglądać, gdyby miała umrzeć!"

Nachyliłam się nad jej łóżeczkiem i ucałowałam ją: czoło jej było chłodne, policzki chłodne i wychudzone, podobnie i ręce; ale uśmiechała się po dawnemu.

— Dlaczego przyszłaś, Jane? Już minęła jedenasta; słyszałam, jak zegar bił kilka minut temu.

— Przyszłam cię odwiedzić, Helenko; słyszałam, że jesteś bardzo chora, i czułam, że nie zasnę, dopóki cię nie zobaczę.

— A więc przyszłaś mnie pożegnać; zdążyłaś, zdaje się, w samą porę.

— Czy ty gdzieś wyjeżdżasz, Helenko? Czy może jedziesz do domu?

— Tak, do mojego dalekiego domu, do mojego ostatniego domu.

— Nie, nie, Helenko! — przerwałam pełna smutku.

Lecz gdy usiłowałam opanować łzy, pochwycił ją atak kaszlu; nie obudziło to jednak pielęgniarki i gdy kaszel minął, Helenka leżała parę minut wyczerpana, a potem szepnęła:

— Jane, twoje nóżki są bose, połóż się przy mnie i nakryj kołdrą.

Zrobiłam, jak chciała; otoczyła mnie ramieniem, a ja ułożyłam się tuż przy niej. Po długim milczeniu mówiła dalej, wciąż szeptem:

— Jestem bardzo szczęśliwa, Jane, a jak się dowiesz, że umarłam, pamiętaj, żebyś się nie martwiła; nie ma się czym martwić. Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, a choroba, która mnie zabiera, nie jest bolesna ; postępuje łagodnie i stopniowo. W duszy czuję spokój. Nie pozostawiam nikogo, kto by mnie bardzo żałował; mam tylko ojca, ale on się niedawno ożenił, więc nie odczuje mej nieobecności. Umierając młodo uniknę wielkich cierpień. Nie miałam tych cech ani talentów, jakich potrzeba, żeby sobie dobrze torować drogę w świecie; błądziłabym wciąż.

— Ale dokąd ty idziesz, Helenko? Czy ty to rozumiesz? Czy wiesz?

— Wierzę, mam wiarę; idę do Boga.

— Gdzie jest Bóg? I co to jest Bóg, Helenko?

— Mój Stwórca i twój, który nie unicestwi swojego stworzenia. Polegam całkowicie na Jego potędze i ufam najmocniej w Jego dobroć: liczę godziny, rychło nadejdzie ta wielka chwila, która mnie przywróci Jemu i objawi mi Jego.

— Więc ty jesteś pewna, Helenko, że istnieje takie miejsce, które jest niebem, i że dusze nasze mogą się tam dostać, gdy umieramy?

— Jestem pewna, że jest dalsze istnienie; wierzę, że Bóg jest dobry; powierzam Mu nieśmiertelną cząstkę swojej istoty bez żadnej obawy; Bóg jest moim ojcem; jest moim przyjacielem, kocham Go i wierzę, że i On mnie kocha.

— A czy ja się z tobą spotkam, Helenko, gdy umrę?

— Przyjdziesz do tej samej krainy szczęśliwości; przyjmie cię ten sam wszechpotężny, wspólny Ojciec, nie wątpię o tym, droga Jane.

Znowu zapytałam, ale tym razem w myśli jedynie: „Gdzie jest ta kraina? Czy istnieje?" I otoczyłam, ramionami Helenkę, tuląc się do niej; droższa mi była niż kiedykolwiek. „Nie puszczę cię! nie pozwolę ci odejść!" — myślałam; leżałam z twarzą ukrytą na jej ramieniu. A wtedy ona powiedziała jak najłagodniej:

— Jak mi dobrze i wygodnie! Ten ostatni atak kaszlu zmęczył mnie trochę; zdaje mi się, że będę mogła zasnąć; ale nie odchodź ode mnie, Jane; miło mi czuć cię przy sobie.

— Zostanę z tobą, Helenko najdroższa. Nikt mnie stąd nie zabierze!

— Ciepło ci, kochanie?

— Tak.

— Dobranoc, Jane.

— Dobranoc, Helenko.

Pocałowałyśmy się i wkrótce zasnęłyśmy obie.

Gdy się obudziłam, był już dzień; obudził mnie niezwykły ruch; spojrzałam: byłam w czyichś objęciach, to pielęgniarka niosła mnie przez korytarz z powrotem do sypialni. Nikt się na mnie nie gniewał, że uciekłam z łóżka; inne sprawy ich zajmowały. Nie dano mi wtedy żadnych wyjaśnień na moje liczne pytania, ale w jakieś dwa dni potem dowiedziałam się, że panna Tempie, wróciwszy o świcie do swego pokoju, zastała mnie leżącą obok Helenki, z twarzą opartą o jej ramię, z rękoma dokoła jej szyi. Ja spałam, a Helenka — nie żyła.

Grób jej znajduje się na cmentarzu w Brocklebridge: przez piętnaście lat po jej śmierci była to tylko darniowa mogiła, obecnie tablica z szarego marmuru oznacza to miejsce, a napis na tej tablicy głosi jej imię i słowo: *Resurgam.*

ROZDZIAŁ X

Dotychczas opowiadałam szczegółowo wypadki swojego dzieciństwa: pierwszemu dziesięcioleciu mego życia poświęciłam prawie dziesięć rozdziałów. Jednakże to nie ma być dokładna autobiografia; chcę tylko wyławiać z pamięci to, co może wzbudzić pewne zainteresowanie; dlatego teraz okres ośmioletni pominę prawie milczeniem; kilku wierszy tylko potrzeba, by stworzyć łączące ogniwo.

Dopełniwszy dzieła zniszczenia w Lowood epidemia tyfusu wygasła stopniowo; jednakże jej złośliwość i liczba ofiar zwróciła publiczną uwagę na szkołę. Zbadano powody tej klęski i wkrótce wyszły na jaw różne fakty, które wzbudziły ogólne oburzenie. Niezdrowe położenie; ilość i jakość pożywienia dawanego dzieciom; niedobra, cuchnąca woda używana do gotowania; nędzne ubranie uczennic i braki w urządzeniach mieszkaniowych — wszystko to wykryto, a wykrycie wywołało rezultat przykry dla pana Brocklehursta, ale zbawienny dla zakładu.

Kilku ludzi bogatych i dobrej woli subskrybowało większe sumy w hrabstwie na postawienie odpowiedniejszego budynku i w lepszym miejscu niż dotychczasowe. Ułożono nowy regulamin i wprowadzono ulepszenia w odżywianiu i ubraniu dziewcząt; fundusze szkoły wziął w ręce komitet. Pan Brocklehurst, którego przez wzgląd na jego bogactwo i koligacje nie można było pominąć, zatrzymał stanowisko skarbnika; dopomagali mu jednak w spełnianiu tych obowiązków panowie o szerszych poglądach i bardziej ludzkich uczuciach. Urząd inspektora dzielili z nim tacy, którzy umieli łączyć rozsądek ze ścisłością, wygodę z oszczędnością, współczucie z prawością. Szkoła, w ten sposób ulepszona, stała się z czasem prawdziwie pożytecznym, dużej wartości zakładem. Pozostałam w obrębie jej murów, po jej odrodzeniu, przez dalszych osiem lat, z tych sześć jako uczennica, a dwa jako nauczycielka; tak w jednym, jak i w drugim charakterze mogę zaświadczyć o jej wartości i wysokim poziomie.

Przez te osiem lat pędziłam życie jednostajne; nie smutne jednakże, gdyż było pracowite. Miałam możność zdobycia doskonałego wykształcenia; miałam zamiłowanie do niektórych przedmiotów, a pragnienie odznaczenia się we wszystkich. Sprawiało mi wielką przyjemność móc zadowolić nauczycielki, zwłaszcza te, które kochałam; toteż korzystałam w pełni z otwartych przede mną źródeł wiedzy. Z czasem zostałam pierwszą uczennicą najstarszej klasy, a potem powierzono mi stanowisko nauczycielki, na którym gorliwie pracowałam przez dwa lata. Wtedy jednakże nastąpiła zmiana.

Panna Tempie przez cały czas pozostawała przełożoną szkoły; jej nauczaniu zawdzięczam największą część wiedzy, jej życzliwość i towarzystwo były stalą moją pociechą; ona zastępowała mi matkę, była moją nauczycielką, a w końcu towarzyszką. W tym okresie jednak wyszła za mąż za duchownego, najzacniejszego człowieka, prawie godnego takiej żony. Wyjechała z mężem, do odległego hrabstwa i tym sposobem straciłam ją na zawsze.

Od dnia jej wyjazdu nie czułam się ta sama: Lowood przestał mi być jakby domem rodzinnym. Przejęłam się szczerze indywidualnością panny Tempie, a więc wzorowałam się na jej sposobie myślenia, opanowywałam swą impulsywność. Zdawało mi się, że już osiągnęłam równowagę charakteru. Obowiązkowość i porządek uważałam za najwyższe prawa; byłam spokojna i łagodna, a w oczach koleżanek uchodziłam nawet za osobę o silnym charakterze.

Jednakże los w postaci wielebnego pana Nasmytha rozdzielił mnie od panny Tempie. Widziałam ją wkrótce po ceremonii ślubnej, wsiadającą w sukni podróżnej do karetki pocztowej; widziałam karetkę podjeżdżającą pod wzgórek i niknącą za jego szczytem; a wtedy udałam się do swego pokoju i tam w samotności spędziłam większą część poobiedniej rekreacji, udzielonej uczennicom na cześć tej uroczystości.

Chodziłam po pokoju rozmyślając. Zdawało mi się, że odczuwam jedynie żal po stracie panny Tempie i obmyślam, jak by ją zastąpić; ale gdy doszłam do końca mych rozmyślań, zobaczyłam nagle, że dzień skłonił się ku wieczorowi, i zaczęłam sobie uświadamiać, że tymczasem zaszła we mnie zasadnicza zmiana; strząsnęłam z siebie wszystko, co zapożyczyłam od panny Tempie, a raczej ona zabrała z sobą ten pogodny nastrój, jakim przy niej oddychałam;

pozostawiona własnej naturze, poczułam budzenie się dawnych, właściwych mi uczuć. Nie miałam wrażenia, że utraciłam jakąś podporę, ale jak gdyby zabrakło mi bodźca — nie utraciłam umiejętności zachowania spokoju, ale nie dostawało mi do tego powodu i bodźca. Światem moim przez szereg lat było Lowood; żyłam w obrębie jego regulaminu i praw; teraz przypomniałam sobie, że rzeczywisty świat jest szeroki i że otwiera on obszerne pole nadziei i obaw, wrażeń i podniety dla tych, którzy mają odwagę iść szukać prawdziwej znajomości życia wśród jego niebezpieczeństw.

Zbliżyłam się do okna, otworzyłam je i wyjrzałam. Przede mną wznosiły się oba skrzydła szkolnego budynku, leżał ogród, zarysowywała się granica Lowood, rozciągał się pagórkowaty horyzont. Oczy moje przesunęły się po tym, co najbliższe, i zatrzymały się na najdalszym krajobrazie: na błękitnych szczytach; zapragnęłam je przebyć; wszystko w ich skalistym obrębie wydało mi się więzieniem. Śledziłam okiem białą drogę wijącą się u stóp jednej góry i znikającą w wąwozie pomiędzy dwiema; jakże pragnęłam móc ją śledzić dalej! Przypomniałam sobie swoją podróż po tej drodze dyliżansem, przypomniałam sobie, jak o zmroku schodziłam z tego wzgórka. Wiek upłynął od tego dnia, gdy po raz pierwszy ujrzałam Lowood, i już odtąd nie opuściłam go nigdy. Wszystkie wakacje spędzałam w szkole; pani Reed nigdy nie wezwała mnie do Gateshead; ani ona, ani nikt z jej rodziny nigdy mnie nie odwiedził. Nie miałam żadnych stosunków ani listownych, ani osobistych ze światem zewnętrznym, znałam jedynie szkolne reguły i obowiązki, szkolne zwyczaje i pojęcia, głosy, twarze i zdania, sympatie i antypatie. A teraz czułam, że to nie wystarcza. I oto w jedno popołudnie uświadomiłam sobie, że znużyła mnie rutyna tych ośmiu lat; pragnęłam wolności, brakło mi jej, modliłam się o nią; wydało mi się, że wiatr rozwiewa to westchnienie i modlitwę. Wtedy wzniosłam do nieba skromniejsze błaganie: po prostu o zmianę, o nowy bodziec! I to błaganie zdawało się rozpraszać gdzieś w przestrzeni. „Niechże mi chociaż będzie dana nowa służba!" — zawołałam prawie zrozpaczona.

Tu dzwonek, oznajmiający godzinę wieczerzy, wezwał mnie na dół.

Nie mogłam podjąć przerwanych rozmyślań aż do godziny

spoczynku; ale i wtedy jeszcze nauczycielka, która dzieliła ze mną pokój, nie pozwalała mi powrócić do przedmiotu, koło którego moje myśli krążyły, przedłużając bez końca zdawkową gawędę. Jakżeż pragnęłam, żeby ją sen uciszył! Zdawało mi się, że skoro tylko będę mogła powrócić do myśli, która zaświtała mi w głowie, gdym stała przy oknie, jakiś szczęśliwy pomysł zrodzi się ku mojej pociesze.

Panna Gryce nareszcie zaczęła chrapać; była to ciężka Walijka i dotychczas jej nosowy koncert dokuczał mi zawsze. Tym razem z zadowoleniem posłyszałam pierwsze głębokie jego tony; nie groziła mi już żadna przeszkoda z jej strony i zaraz też moje przygaszone myśli ożyły.

„Nowa służba! Coś w tym jest — rozmyślałam. —

Tak, coś w tym jest, bo nie brzmi to nader ponętnie; nie brzmi jak słowa: wolność, radość, zadowolenie; prześlicznie brzmiące słowa, ale dla mnie to tylko puste i przelotne dźwięki, wsłuchiwać się w nie to prosta strata czasu. Ale służba! To coś zwykłego, rzeczywistego. Każdy może służyć. Służyłam tutaj przez osiem lat, teraz chcę służyć gdzie indziej. Czyż mi nie wolno? Czy to się nie da zrobić? Ależ tak, tak, to nie takie trudne zadanie; trzeba tylko wytężyć myśli i znaleźć sposób otrzymania innej służby."

Siadłam w łóżku, by pobudzić myśli; noc była chłodna, otuliłam się szalem i znów pogrążyłam się w rozmyślaniu.

„Czego pragnę? Innej posady, w innym domu, wśród innych twarzy, w innych warunkach. Pragnę tego, gdyż daremnie pragnęłabym czegoś lepszego. Jakim sposobem starają się ludzie o inną posadę? Sądzę, że zwracają się do przyjaciół i znajomych; ja ich nie mam. Ale jest wielu takich, którzy również nie mają przyjaciół i sami muszą się starać, sami sobie pomagać. I jak się oni biorą do tego?"

Nie wiedziałam; znikąd pomysłu. Nakazałam swemu mózgowi znaleźć wyjście. Mózg mój pracował z natężeniem; czułam, jak krew pulsuje mi w głowie i w skroniach, lecz z godzinę męczyłam się w daremnym chaosie, nie mogąc nic wynaleźć. Rozgorączkowana próżnym wysiłkiem wstałam i przeszłam się po pokoju; odsłoniłam storę, popatrzyłam na gwiazdy, ale poczuwszy chłód powróciłam niebawem do *łóżka.*

Jakaś dobrotliwa wróżka widocznie pod moją nieobecność złożyła upragniony pomysł na poduszce, gdyż zaledwie się położyłam, zupełnie spokojnie i naturalnie przyszło mi na myśl: „Ci, którzy szukają posady, dają ogłoszenia; musisz dać ogłoszenie w «Heraldzie»."

„Ale jak? Nie wiem, jak się to ogłasza."

Teraz już odpowiedź przyszła gładko i prędko:

„Musisz włożyć do koperty ogłoszenie i należne za nie pieniądze i zaadresować kopertę do wydawcy «Heralda»; przy pierwszej sposobności musisz to nadać na poczcie w Lowton. Musisz prosić o odpowiedź pod literami J. E. poste restante w Lowton. Za jaki tydzień po wystaniu listu dowiedz się, czy są odpowiedzi, i stosownie do tego działaj."

Ten plan rozważyłam jeszcze dobrze, a upewniwszy się w myśli, że jest jasny i praktyczny, usnęłam zadowolona.

Skoro tylko dzień zaświtał, wstałam; napisałam, zapieczętowałam i zaadresowałam ogłoszenie, zanim jeszcze rozległ się dzwonek budzący szkołę. Ogłoszenie moje brzmiało:

„Młoda osoba mająca wprawę w nauczaniu — czyż od dwóch lat nie byłam nauczycielką? — pragnie otrzymać posadę nauczycielki w domu prywatnym do dzieci poniżej lat czternastu — pomyślałam, że mając sama zaledwie osiemnaście lat, nie chciałabym podejmować się prowadzenia dziewcząt bliższych mi wiekiem. — Może udzielać zwykłych przedmiotów, objętych programem dobrego angielskiego wykształcenia wraz z językiem francuskim, rysunkami i muzyką.

(W owych czasach, czytelniku, ten, na dziś już za szczupły, katalog umiejętności był uważany za wcale obszerny.)

Adres J. E. poste restante, Lowton."

Dokument ten przeczekał cały dzień, zamknięty w mojej szufladzie; po herbacie poprosiłam nową przełożoną o pozwolenie pójścia do Lowton dla załatwienia kilku małych sprawunków; udzielono mi go

chętnie i poszłam; odległość wynosiła dwie mile; wieczór był wilgotny, dni jednakże były jeszcze długie; zaszłam do paru sklepów, wrzuciłam list na poczcie i powróciłam w rzęsisty deszcz, w ubraniu przemoczonym, ale z lekkim sercem.

Następny tydzień wydał mi się długi; dobiegł nareszcie końca, jak wszystko na świecie, i znowu ku schyłkowi miłego jesiennego dnia znalazłam się pieszo na drodze ku Lowton. Malownicza to była droga, biegła brzegiem strumienia i poprzez urocze zakręty doliny; tego dnia jednak więcej myślałam o tym, czy będą dla mnie listy w miasteczku niż o piękności łąk i wody.

Za oficjalny powód niniejszej wędrówki podałam tym razem zamówienie pary trzewików; ten sprawunek przeto załatwiłam najpierw, po czym spokojną, czystą uliczką przeszłam od szewca na pocztę. Poczmistrzynią była leciwa dama w rogowych okularach na nosie i w czarnych mitenkach.

— Czy są jakie listy dla J. E.? — zapytałam.

Poczmistrzyni przyjrzała mi się przez okulary, a potem otworzywszy szufladę długo przeglądała jej zawartość, tak długo, że zaczynałam tracić nadzieję. Nareszcie, podniósłszy do oczu jakąś kopertę, trzymała ją w ten sposób z pięć minut może, aż w końcu podała mi ją przez kontuar z jeszcze jednym badawczym i nieufnym spojrzeniem. List był dla J. E.

— Czy ten jeden tylko? — zapytałam.

— Nie ma nic więcej — odpowiedziała. Wsunęłam list do kieszeni i zawróciłam ku domowi.

Nie mogłam teraz otworzyć listu; regulamin wymagał, abym była z powrotem o ósmej, a już było wpół do ósmej.

Różne obowiązki czekały mnie po powrocie: musiałam siedzieć z dziewczętami w czasie godziny odrabiania lekcji; na mnie wypadała kolej odczytania modlitw, dopilnowania, żeby się dziewczęta spać pokładły; potem jadłam kolację z innymi nauczycielkami. Nawet po ostatecznym rozejściu się na noc miałam za towarzyszkę nieodstępną pannę Gryce; miałyśmy mały tylko kawałek świecy w

lichtarzu i drżałam, że się wypali, zanim ona przestanie mówić. Na szczęście ciężka kolacja wywarła skutek usypiający; tym razem chrapała już, zanim ja zdążyłam się rozebrać. W lichtarzu był jeszcze kawałek świeczki; wyciągnęłam list; na pieczątce widniał odcisk litery F.; rozerwałam pieczątkę, list był niedługi.

„Jeżeli J. E., która dała ogłoszenie w czwartkowym numerze «Heralda», posiada wspomniane warunki i jeżeli może podać zadowalające referencje o swym charakterze i uzdolnieniu, mogłabym jej ofiarować posadę nauczycielki do jednej uczennicy, małej dziewczynki poniżej lat dziesięciu; pensja wynosiłaby trzydzieści funtów rocznie. Proszę J. E. o przysłanie referencji, nazwiska, adresu i wszystkich szczegółów pod adresem: Pani Fairfax, Thornfield koło Millcote."

Długo przyglądałam się listowi: pismo było staroświeckie i niepewne jak pismo starszej kobiety. Byłam z tego rada; potajemny lęk mnie przejmował, ażebym, działając tak samodzielnie, nie zgotowała sobie jakiej nieprzyjemnej niespodzianki. Przede wszystkim pragnęłam, ażeby wynikiem moich starań było coś przyzwoitego, właściwego, coś *en règle.* Udział starszej pani wydał mi się czynnikiem wcale dodatnim w interesie, który przedsięwzięłam. Pani Fairfax! Wyobraziłam ją sobie w czarnej sukni i wdowim czepeczku, zimną, być może, ale nie pozbawioną uprzejmości — taką, jaką być musi szanowna matrona angielska. Thornfield! To niewątpliwie nazwa jej domu; byłam pewna, że jest porządnie i ładnie urządzony, daremnie jednak próbowałam wyobrazić sobie jego wygląd. Millcote, w hrabstwie X.; sięgnęłam pamięcią do mapy Anglii; tak, tak — to hrabstwo i to miasto leżały o siedemdziesiąt mil bliżej Londynu niż odległe hrabstwo, w którym obecnie przebywałam — to w moich oczach przemawiało za nimi korzystnie. Pragnęłam udać się gdzieś, gdzie wre życie i ruch; Millcote to duże miasto fabryczne nad brzegiem rzeki A.; wcale ruchliwe zapewne; tym lepiej, zmiana będzie zupełna. Co prawda, nie bardzo przypadała mi do smaku myśl o wysokich kominach i chmurach dymu, „ale — pomyślałam — Thornfield prawdopodobnie leży dosyć daleko od miasta".

Tu świeczka się wypaliła i knot zagasł.

Nazajutrz musiałam przedsięwziąć nowe kroki; nie mogłam dłużej

ukrywać swoich planów. Chcąc im zapewnić powodzenie, musiałam je wyjawić. Postarawszy się o posłuchanie u przełożonej podczas przerwy południowej, powiedziałam jej, że mam widoki otrzymania posady z pensją dwa razy większą niż moja obecna (w Lowood bowiem dostawałam 15 funtów rocznie), i poprosiłam ją, ażeby sprawę moją przedstawiła panu Brocklehurstowi albo któremuś z panów komitetowych, a zarazem dowiedziała się, czy wolno mi powołać się na nich. Przełożona zgodziła się uprzejmie być moją pośredniczką w tej sprawie. Na drugi dzień przedstawiła rzecz panu Brocklehurstowi, który powiedział, że należy napisać do pani Reed jako do mojej naturalnej opiekunki. W odpowiedzi na list wysłany w tej sprawie pani Reed oświadczyła, że mogę „robić, co mi się podoba, bo od dawna przestała mieszać się do moich spraw". List ten obszedł kolejno wszystkich członków komitetu i nareszcie po tej tak dla mnie nudnej zwłoce otrzymałam formalne pozwolenie na poprawienie sobie warunków bytu; zapewniono mnie przy tym, że ponieważ w Lowood, jako nauczycielka i jako uczennica, zachowywałam się zawsze dobrze, otrzymam świadectwo o charakterze i uzdolnieniach moich, podpisane przez inspektorów zakładu.

To świadectwo otrzymałam po miesiącu mniej więcej; posłałam kopię pani Fairfax i dostałam od niej odpowiedź wyrażającą zadowolenie i oznaczającą mi termin objęcia obowiązków nauczycielki w jej domu w dwa tygodnie od daty listu.

Zajęłam się teraz przygotowaniami; dwa tygodnie zbiegły szybko. Nieobfitą miałam garderobę, ale dla potrzeb moich wystarczającą; ostatniego dnia spakowałam walizkę — tę samą, którą przed ośmiu laty przywiozłam z Gateshead.

Walizka została związana, karta na niej przybita. Za pół godziny woźnica miał po nią wstąpić i zabrać ją do Lowton, dokąd miałam się udać nazajutrz rano bardzo wcześnie, by zdążyć na dyliżans. Wyszczotkowałam czarną wełnianą podróżną suknię, przygotowałam kapelusz, rękawiczki, mufkę; przejrzałam wszystkie szuflady, czy czasem nie zostawiłam czego, a teraz, nie mając nic więcej do roboty, usiadłam, chcąc odpocząć. Nie mogłam jednak; chociaż cały dzień byłam na nogach, nie mogłam ani chwili spocząć; nazbyt byłam podniecona. Tego wieczoru jeden okres

mojego życia dobiegał końca. Nowy miał się rozpocząć jutro — czyż podobna drzemać w przerwie? Musiałam czuwać gorączkowo, podczas gdy dokonywała się zmiana.

— Proszę pani — rzekła służąca widząc mnie na korytarzu, po którym snułam się jak dusza pokutująca — jest ktoś na dole, kto się z panią chce zobaczyć.

„Woźnica niezawodnie" — pomyślałam i zbiegłam ze schodów nie pytając. Mijałam właśnie pokój bawialny nauczycielek, którego drzwi były uchylone, i zmierzałam w stronę kuchni, gdy ktoś wybiegł z tego pokoju...

— To ona, jestem pewna!... Poznałabym ją wszędzie! — zawołała osoba, która mnie zatrzymała i pochwyciła moją rękę.

Spojrzałam: miałam przed sobą kobietę ubraną jak dobrze ubrana służąca, matronowatą, ale jeszcze młodą, bardzo przystojną brunetkę o czarnych oczach, świeżej cerze i żywych rysach.

— No, proszę, kto ja jestem? — zapytała mnie głosem i z uśmiechem, które mi się wydały znajome. — Nie zapomniała mnie chyba panienka zupełnie, panno Jane?

W jednej chwili ściskałam ją już i całowałam z radością.

— Bessie! Bessie! Bessie! — tyle tylko mogłam wymówić, a ona na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc weszła ze mną do bawialni. Przy kominku stał mały chłopaczek trzyletni w kratkowanym ubranku.

— To jest mój synek — przedstawiła Bessie od razu.

— Więc wyszłaś za mąż, Bessie?

— Tak; już prawie pięć lat temu za Roberta Leavena, stangreta; i oprócz tego oto Bobusia mam małą córeczkę, której na chrzcie świętym dałam imię Jane.

— I nie mieszkasz w Gateshead?

— Mieszkamy w portierni; stary odźwierny odszedł.

— No i cóż tam u nich wszystkich słychać? Opowiedz mi wszystko o nich, Bessie, ale przede wszystkim usiądź, a ty, Bobusiu, chodź tu, wezmę cię na kolana, chcesz? — ale Bobuś wolał przygarnąć się do matki.

— Nie bardzo panienka wyrosła, panno Jane, ani też nie jest pani tęga — mówiła dalej pani Leaven. — Przypuszczam, że niezbyt dobrze karmiono panienkę w tej szkole; panna Eliza będzie o głowę wyższa od panienki, a panienka Georgiana ze dwa razy tak szeroka w ramionach.

— Georgiana musi być ładna.

— Bardzo ładna. Przeszłej zimy pojechała z mamą do Londynu i tam wszyscy się nią zachwycali i jeden młody lord zakochał się w niej; ale rodzina jego sprzeciwiała się temu małżeństwu; no i... co panienka na to powie?... on i panna Georgiana postanowili uciec razem, ale wykryto ich i zatrzymano. To panna Eliza ich wykryła; ja myślę, że przez zazdrość; a teraz obie siostry żyją z sobą jak pies z kotem; ciągle się kłócą.

— No dobrze, a co słychać z Johnem Reedem?

— Ach, on się nie sprawuje tak dobrze, jak by sobie matka mogła życzyć. Poszedł do wyższych szkół, ale się obciął, tak to się, chyba, nazywa; a wtedy wujowie jego chcieli, żeby studiował prawo, by potem zostać adwokatem; ale to taki rozpuszczony młodzieniec, nigdy z niego nic porządnego nie zrobią, ja tak myślę.

— A jakżeż on wygląda?

— Jest bardzo wysoki; niektórzy mówią, że to przystojny młody człowiek; ale on ma takie grube wargi!

— A pani Reed?

— Pani jest tęga i na twarzy dobrze wygląda, ale myślę, że nie bardzo lekko jej na duszy; postępowanie pana Johna nie może jej się podobać; on wydaje tyle pieniędzy.

— Czy to ona ciebie tu przysłała, Bessie?

— O nie! Ja od dawna pragnęłam panienkę zobaczyć, a gdy posłyszałam, że był list od panienki i że się panienka przenosi w inne strony, pomyślałam, że się wyprawię i zobaczę ją, zanim mi zbyt daleko ucieknie.

— Boję się, żeś na mój widok doznała rozczarowania, Bessie — powiedziałam to ze śmiechem; zauważyłam, że spojrzenia Bessie, choć wyrażały uznanie, wcale nie wyrażały zachwytu.

— Nie, panno Jane, tego nie mogę powiedzieć; jest panienka dystyngowana, wygląda jak prawdziwa dama i tego się właśnie po panience spodziewałam; pięknością panienka nie była jako dziecko.

Uśmiechnęłam się słysząc szczerą odpowiedź Bessie; czułam, że powiedziała prawdę, ale przyznaję, że ta prawda nie była mi zupełnie obojętna. Gdy panna ma lat osiemnaście, pragnęłaby się móc podobać, a przekonanie, że nie ma po temu warunków, bynajmniej przyjemności nie sprawia.

— Ale za to z pewnością jest panienka mądra — mówiła dalej Bessie tonem pocieszenia. — Co panienka umie? Umie panienka grać na fortepianie?

— Trochę.

W pokoju znajdował się fortepian; Bessie podeszła i otworzyła go, a potem poprosiła mnie, żebym jej coś zagrała. Zagrałam dwa walce. Była zachwycona.

— Panny Reed nie umieją tak dobrze grać! — zawołała radośnie. — Ja zawsze mówiłam, że panienka przewyższy je uczonością. A rysować umie panienka?

— Oto jeden z moich obrazków, ten nad kominkiem.

Był to pejzażyk malowany akwarelą, który ofiarowałam przełożonej z podziękowaniem za jej uprzejme pośredniczenie w mojej sprawie. Kazała go oprawić i oszklić.

— Ależ to jest piękne, panno Jane! Takiego pięknego obrazka żaden z nauczycieli rysunków panien Reed nie potrafiłby namalować, a cóż dopiero one! Nie urnywają się do panienki. A francuskiego

uczyła się panienka?

— Tak, Bessie; umiem czytać i mówić po francusku.

— A haftować na muślinie i na kanwie?

— Umiem.

— O, ależ z panienki to prawdziwa dama, panno Jane! Wiedziałam, że panienka na taką wyrośnie; zajdzie panienka daleko w życiu, czy tam krewni znać panienkę będą, czy nie będą. Ale o coś chciałam, się panienkę zapytać. Czy słyszała panienka kiedy coś o krewnych swoich ze strony ojca, nazwiskiem Eyre?

— Nigdy w życiu.

— Otóż panienka wie, pani zawsze mówiła, że oni są biedni i że to hołota: może być, że są biedni, ale ja myślę, że to taka sama szlachta jak rodzina Reed; bo niegdyś, będzie temu prawie siedem lat, niejaki pan Eyre przybył do Gateshead i chciał się widzieć z panienką. Pani powiedziała, że panienka jest w szkole o pięćdziesiąt mil stamtąd. Widoczne było, że sprawiło mu to zawód, gdyż, jak mówił, nie mógł się dłużej zatrzymać: wyjeżdżał w podróż do obcego kraju i okręt jego miał odpłynąć z Londynu za dzień czy dwa dni. Wyglądał jak prawdziwy dżentelmen i zdaje mi się, że był to brat ojca panienki.

— Do jakiego kraju wybierał się, Bessie?

— To jakaś wyspa o tysiące mil stąd, gdzie wyrabiają wino; mówił mi kamerdyner.

— Może Madera? — poddałam.

— Tak, tak właśnie; tak powiedział.

— A więc pojechał?

— Pojechał; zaledwie kilka minut zatrzymał się w domu; pani potraktowała go z góry, a potem nazwała „marnym kupczykiem". Mój Robert przypuszcza, że był kupcem winnym.

— Bardzo możliwe — odpowiedziałam. — Albo może agentem kupca winnego.

Rozmawiałyśmy z Bessie o dawnych czasach jeszcze z godzinę, po czym musiała się ze mną pożegnać; zobaczyłam ją jeszcze raz nazajutrz rano w Lowton, kiedy czekałam na dyliżans. Pożegnałyśmy się ostatecznie przed drzwiami hotelu i każda udała się w swoją drogę; ona poszła odszukać furmankę, która miała ją zabrać z powrotem do Gateshead, ja wsiadłam do dyliżansu mającego mnie zawieźć ku nowym obowiązkom i nowemu życiu w nieznanych okolicach Millcote.

ROZDZIAŁ XI

Nowy rozdział w powieści to coś takiego jak nowa scena w sztuce teatralnej, a gdy teraz podnoszę kurtynę, wyobraź sobie, czytelniku, że widzisz pokój w hotelu „Pod Królem Jerzym" w Millcote, z takim obiciem w duży deseń na ścianach, jakie bywają w pokojach hotelowych; z takim dywanem, takimi meblami, ozdobami nad kominkiem i sztychami, wśród których widzisz portret Jerzego III oraz portret księcia Walii i scenę śmierci Wolfe'a. Wszystko to widzisz przy świetle lampy olejnej, zwieszającej się od sufitu, i sutego ognia, przy którym siedzę w płaszczu i kapeluszu: mufka i parasol leżą na stole, a ja rozgrzewam zziębłe i ścierpłe członki nasiąkłe chłodem po szesnastu godzinach podróży w ostrym październikowym powietrzu. Wyjechałam z Lowton o czwartej godzinie rano, a zegar ratuszowy w Millcote właśnie bije ósmą wieczór.

Chociaż siedzę tu względnie wygodnie, nie odczuwam zupełnego spokoju. Myślałam, gdy kareta pocztowa stanęła, że ktoś będzie tu na mnie czekał. Niespokojnie rozglądałam się schodząc po drewnianych schodkach, które posługacz przystawił dla mojej wygody; spodziewałam się usłyszeć swoje nazwisko, zobaczyć jakiś powóz przysłany po mnie z Thornfield. Tymczasem nic podobnego nie było widać, a kelner zapytany, czy kto nie dowiadywał się o pannę Eyre, odpowiedział przecząco. Toteż nie miałam innego wyboru jak poprosić o pokój w hotelu, i tutaj oto czekam przejęta różnymi wątpliwościami i obawą.

Bardzo dziwnego uczucia doznaje niedoświadczona młoda istota zdając sobie sprawę, że jest zupełnie sama na świecie, odcięta od wszelkich stosunków z ludźmi, niepewna, czy dotrze do portu, do którego zmierza, a świadoma, że wiele przeszkód nie pozwoli jej zawrócić do tego, który opuściła. Urok przygody osładza to wrażenie, duma się nim cieszy, ale lęk rzuca nań cień, we mnie zaś lęk zapanował przemożnie, gdy minęło pół godziny, a samotności mej nic nie przerywało. Postanowiłam zadzwonić.

— Czy jest tu w sąsiedztwie posiadłość zwana Thornfield? — zapytałam służącego, gdy stawił się na dzwonek.

— Thornfield? Nie wiem, proszę pani, zapytam przy bufecie.

Zniknął, ale wnet powrócił.

— Czy nazwisko pani panna Eyre? — zapytał.

— Tak.

— Jakiś człowiek czeka tu na panią.

Skoczyłam na równe nogi, pochwyciłam mufkę i parasol i wybiegłam na korytarz. Przy otwartych drzwiach stał jakiś mężczyzna, a na niejasno oświetlonej ulicy dojrzałam jednokonny powóz.

— To będzie zapewne bagaż pani — przemówił zobaczywszy mnie i wskazał walizkę stojącą na korytarzu.

— Tak.

Wyniósł walizkę i umieścił ją na powoziku, po czym Ja wsiadłam; zanim zatrzasnął drzwiczki, zapytałam, jak daleko do Thornfield.

— Będzie ze sześć mil.

— Jak długo potrwa nasza jazda?

— Może z półtorej godziny.

Zamknął drzwiczki, wsiadł na kozioł i ruszyliśmy.

Jechaliśmy powoli, miałam dość czasu na rozmyślania. Rada byłam, że nareszcie zbliżam się do celu podróży. Oparta w wygodnym, choć nieeleganckim powoziku, puściłam wodze dumaniu.

„Wyobrażam sobie — myślałam — sądząc po prostocie służącego i ekwipażu, że pani Fairfax nie musi być tak wielce świetną damą; tym lepiej; raz tylko w życiu mieszkałam w domu wielkich państwa i bardzo się wśród nich czułam nieszczęśliwa. Ciekawa jestem, czy

mieszka sama z tą małą dziewczynką tylko; jeżeli tak i jeżeli jest dosyć miła, potrafię z pewnością żyć z nią dobrze; będę się o to starała; w tym tylko bieda, że chociaż się człowiek najusilniej stara, nie zawsze mu się udaje. W Lowood, to prawda, postanowiłam być jak najlepsza, dotrzymałam postanowienia i udało mi się zyskać sympatię i uznanie; ale pamiętam, że u pani Reed najlepsze chęci moje rozbijały się o szorstką i wzgardliwą odprawę. Dałby Bóg, by pani Fairfax nie okazała się drugą panią Reed; a zresztą, gdyby nawet tak było, nic mnie nie zmusza, żebym pozostała u niej! W najgorszym razie mogę zawsze dać nowe ogłoszenie. Ciekawa jestem, czy to jeszcze daleko."

Spuściłam okno i wyjrzałam; Millcote pozostało za nami: sądząc po ilości świateł, miasto to było dość wielkie, o wiele większe niż Lowton. Przejeżdżaliśmy teraz, o ile mogłam dojrzeć, przez rodzaj pastwiska, wszędzie jednak widziało się rozsiane domostwa. Czułam, że znajduję się w okolicy odmiennej od Lowood, ludniejszej, mniej malowniczej, ruchliwszej, mniej romantycznej.

Droga była ciężka, noc mglista; woźnica mój pozwolił koniowi przez cały czas iść stępa i półtorej godziny przeciągnęło się bodaj do dwóch; na koniec odwrócił się na koźle i powiedział:

— A teraz to już dojeżdżamy do Thornfield!

Wyjrzałam znowu: mijaliśmy kościół; zobaczyłam niską, przysadzistą wieżę, a zegar na niej wybijał właśnie kwadrans; zobaczyłam rząd gęstych świateł na skłonie pagórka, oznaczający wieś czy osiedle. W dziesięć minut potem woźnica zsiadł z kozła i otworzył bramę na oścież; przejechaliśmy, a wrota zatrzasnęły się za nami. Posuwaliśmy się teraz powoli podjazdem, aż zajechaliśmy przed długi front domu. Światło świec błyszczało w jednym łukowym oknie; wszystkie inne były ciemne. Powozik zatrzymał się przed drzwiami frontowymi; otworzyła je służąca, wysiadłam i weszłam.

— Proszę panią tędy — rzekła dziewczyna. Przeszłam za nią przez kwadratowy hall o wysokich drzwiach dokoła; wpuściła mnie do pokoju, mocno oświetlonego buchającym na kominku ogniem i świecami. Światło olśniło mnie na razie po ciemnościach, do jakich przez dwie godziny oczy moje nawykły; gdy jednak wzrok mi

powrócił, miły obraz ukazał się moim oczom.

Zaciszny, mały pokój; stół przed wesołym ogniem na kominku; fotel o wysokim oparciu, staroświecki, a w nim siedząca najmilsza na świecie staruszka we wdowim czepeczku, czarnej jedwabnej sukni i śnieżnobiałym muślinowym fartuszku; zupełnie taka, jak sobie wyobraziłam panią Fairfax, tylko mniej okazała i z pozoru łagodniejsza. Zajęta była robotą na drutach; duży kot poważnie siedział u jej nóg; niczego, jednym słowem, nie brakło ku wytworzeniu idealnego domowego nastroju. Jak na pierwsze kroki początkującej nauczycielki trudno by wymarzyć pomyślniejszą atmosferę; nie było tu przygniatającej wielkości, krępującej wyniosłości; zaledwie też weszłam, staruszka wstała i szybko a uprzejmie podeszła do mnie.

— Jak się droga pani miewa? Boję się, że pani nudną miała drogę; John jeździ tak wolno; musiała pani zziębnąć, niech się pani zbliży do ognia.

— Mam przyjemność mówić z panią Fairfax, nieprawdaż? — przemówiłam.

— Tak; niech pani siada.

Zaprowadziła mnie do własnego fotela, a potem zaczęła zdejmować ze mnie szal i rozwiązywać mi wstążki kapelusza; prosiłam ją, żeby sobie nie zadawała tyle trudu.

— O, to żaden trud, a pani ręce zapewne zgrabiały z zimna. Lea, przyrządź trochę gorącego wina i podaj kilka kanapek; masz tu klucze od spiżarni.

I wyciągnąwszy z kieszeni prawdziwie gospodarski pęk kluczy wręczyła je służącej.

— Niechże się pani zbliży do ognia — mówiła dalej. — Rzeczy swoje, moja droga, przywiozła pani zapewne teraz?

— Tak, proszę pani.

— Każę je wnieść do pani pokoju — rzekła i wyszła drobnym kroczkiem.

„Traktuje mnie jak gościa — pomyślałam. — Nie spodziewałam się takiego przyjęcia; spodziewałam się chłodu i oficjalnej uprzejmości; co innego opowiadano mi o traktowaniu nauczycielki; ale nie trzeba cieszyć się za wcześnie."

Pani Fairfax powróciła; usunęła ze stołu swoją robotę i parę książek, robiąc miejsce na tacę, którą teraz wniosła Lea; sama też podała mi posiłek. Czułam się skrępowana taką uprzejmością, jakiej dotąd nigdy nie zaznałam, i to ze strony mojej pracodawczyni i zwierzchniczki; ponieważ jednak ona widocznie uważała, że to, co robi, jest słuszne, więc pomyślałam, że najlepiej będzie przyjmować jej grzeczności spokojnie.

— Czy będę miała przyjemność dziś jeszcze zobaczyć pannę Fairfax? — zapytałam po zjedzeniu tego, czym mnie częstowała.

— Co pani powiedziała, moja droga? Jestem trochę przygłucha — odpowiedziała dobra pani przysuwając ucho do moich ust.

Powtórzyłam wyraźnie pytanie.

— Pannę Fairfax? Ach, pani chce powiedzieć: pannę Varens. Przyszła pani uczenniczka nazywa się Varens.

— Ach, tak! Więc to nie pani córeczka?

— Nie, ja nie mam dzieci.

Miałam ochotę dopytywać dalej, dowiedzieć się, kim jest dla niej mała Varens, ale przypomniałam sobie, że to niegrzecznie zadawać zbyt wiele pytań i że przecież dowiem się o tym z czasem.

— Taka jestem zadowolona — mówiła dalej siadłszy naprzeciw mnie i biorąc kota na kolana — że pani przyjechała. Przyjemne teraz będzie życie w towarzystwie pani. Naturalnie, tutaj jest zawsze przyjemnie, bo Thornfield to piękny stary dwór, może trochę zaniedbany w ostatnich latach, ale zawsze bardzo to godna siedziba. A jednak, pani rozumie, że zimą smutno, gdy się jest zupełnie samą, choćby w najlepszym mieszkaniu. Powiedziałam „samą" — prawda, że Lea to miła dziewczyna, a John i jego żona — ludzie bardzo przyzwoici, ale, widzi pani, to tylko służba i nie

można rozmawiać z nimi jak z równymi sobie — trzeba ich trzymać trochę z daleka, żeby nie stracić na powadze. Minionej zimy (a była to bardzo surowa zima, jeśli pani pamięta; o ile śnieg nie padał, to lało i wiało), otóż minionej zimy od listopada do lutego oprócz rzeźnika i listonosza żywa dusza nie pokazała się tutaj. Toteż naprawdę wpadałam w melancholię, wieczór po wieczorze wysiadując tak sama, niekiedy wzywałam do siebie Leę, żeby mi poczytała trochę; ale zdaje mi się, że biednej dziewczynie nie bardzo to smakowało, ten obowiązek był dla niej zbyt uciążliwy. Wiosną i latem to już człowiekowi raźniej: słońce i długie dni tyle zmian przynoszą; a właśnie na początku tej jesieni mała Adelka Varens przybyła tu z boną; dziecko od razu ożywia cały dom; a teraz z panią będzie mi zupełnie wesoło!

Prawdziwie ciepłym uczuciem zabiło we mnie serce ku zacnej staruszce, gdym słuchała jej gawędzenia. Przysunęłam swoje krzesło bliżej ku niej i powiedziałam, że serdecznie pragnę, ażeby znalazła we mnie towarzystwo tak miłe, jak to sobie obiecuje.

— Ale nie będę już pani dłużej zatrzymywać — rzekła. — Dochodzi dwunasta, jechała pani cały dzień i musi być zmęczona. Jeżeli pani dobrze rozgrzała sobie nogi, to zaprowadzę panią do jej pokoju. Kazałam dla pani przygotować pokój obok mojego; to tylko pokoik, ale pomyślałam, że będzie go pani wolała niż który z wielkich frontowych; to prawda, że tam są meble piękniejsze, ale wielkie pokoje są takie smutne i opuszczone, ja sama nigdy w nich nie sypiam.

Podziękowałam za życzliwość przy wyborze, a że istotnie zmęczyła mnie długa podróż, oświadczyłam, że gotowa jestem położyć się. Pani Fairfax wzięła świecę i wyszła z pokoju, a ja w ślad za nią. Najpierw poszła przekonać się, czy drzwi od hallu są zamknięte; wyciągnąwszy klucz z zamka poprowadziła mnie na górę. Schody i poręcze były dębowe, okna nad schodami wysokie, z gotyckimi kratami. Zarówno okna, jak i długa galeria, na którą wychodziły drzwi sypialnych pokoi, robiły wrażenie jakiejś kościelnej, a nie mieszkalnej budowli. Nawet chłód i powietrze jakby sklepień podziemnych panowały na schodach i galerii, nasuwając niemiłe wrażenie pustki i samotności. Toteż rada byłam, gdy wszedłszy ostatecznie do mojego pokoju, przekonałam się, że jest mały i

umeblowany w zwykłym, nowoczesnym stylu.

Gdy pani Fairfax powiedziała mi życzliwie dobranoc, zamknęłam drzwi i rozejrzałam się spokojnie dokoła. Wesoły wygląd mojego pokoiku zatarł we mnie niesamowite wrażenie ciemnych, obszernych schodów i długiej, zimnej galerii. Uprzytomniłam sobie, że po całej dobie fizycznego trudu i duchowego niepokoju znajduję się nareszcie w bezpiecznym porcie. Wdzięcznością wezbrało we mnie serce, uklękłam przy łóżku i zaniosłam dziękczynną modlitwę, nie zapominając błagać o dalszą pomoc i możność zasłużenia na tę dobroć, którą mi tak szczerze ofiarowano, zanim na nią zapracowałam. Posłanie moje było miękkie, a w pustym pokoju nie czaiły się strachy. Zmęczona i równocześnie zadowolona zasnęłam niebawem mocno. Jasny był dzień, gdym się obudziła.

Tak wesołym wydał mi się pokoik, gdy słońce zaświeciło przez niebieskie perkalowe firanki ukazując ściany tapetowane i dywan na podłodze; tak się to różniło od prostych desek i wyplamionych tynków w Lowood, że na ten widok wpadłam w dobry humor. Zewnętrzne rzeczy mają wielki wpływ na młodych; pomyślałam, że jaśniejszy okres życia otwiera się przede mną — okres, który będzie miał i kwiaty, i przyjemności obok cierni i trudów. Wszystko we mnie, pobudzone zmianą otoczenia wobec nowego pola otwartego nadziejom, drgnęło nowym życiem. Nie wiem dokładnie, czego się spodziewałam, ale w każdym razie czegoś miłego; może nie dzisiaj, nie za miesiąc, ale w nieokreślonej przyszłości.

Wstałam, ubrałam się starannie, chociaż jak najskromniej, gdyż w całej swojej garderobie nie miałam niczego, co by nie było jak najprościej uszyte; lubiłam jednak schludność i staranność w ubiorze. Nie leżało w mej naturze zaniedbywać powierzchowność, nie dbać o wrażenie; przeciwnie, pragnęłam zawsze wyglądać możliwie najlepiej i podobać się o tyle, o ile mogłam nie będąc urodziwa. Żałowałam niekiedy, że nie jestem ładniejsza; pragnęłam niekiedy mieć żywszą cerę, prosty nos, drobne koralowe usta; pragnęłam być wysoka, postawna i dobrze zbudowana; odczuwałam to jako nieszczęście, że jestem taka mała i blada, że mam rysy tak nieregularne i wydatne. I skąd się brały we mnie te pragnienia i żale? Trudno by odpowiedzieć; ja sama wtedy nie umiałabym dać sobie na to jasnej odpowiedzi, a przecież był po temu powód,

logiczny i naturalny. Bądź co bądź, gdy wyszczotkowałam włosy bardzo gładko i włożyłam czarną sukienkę — która, choć skromna na modłę kwakrów, miała przynajmniej tę zaletę, iż doskonale leżała, gdy przypięłam czysty biały kołnierzyk, pomyślałam, że wyglądam dosyć przyzwoicie, by móc się pokazać pani Fairfax i nie wywołać antypatii w mojej nowej uczennicy. Otworzyłam tedy okno, ułożyłam wszystko w porządku na toalecie i wyszłam.

Minąwszy długą, matą zasłaną galerię, zeszłam po śliskich dębowych schodach i weszłam do hallu; tam zatrzymałam się chwilę; przyglądałam się obrazom na ścianach (jeden, pamiętam, przedstawiał mężczyznę z marsową miną, w zbroi, a drugi damę w upudrowanej peruce i naszyjniku z pereł), brązowej lampie zwieszającej się z sufitu, wielkiemu zegarowi, którego pudło było z kunsztownie rzeźbionego dębu i czarne jak heban od czyszczenia. Wszystko wydawało mi się wielce okazałe i wszystko mi imponowało, bo też tak mało byłam przyzwyczajona do wszelkich wspaniałości! Drzwi hallu, do połowy oszklone, były otwarte; stanęłam w progu. Piękny by! poranek jesienny; wczesne słońce świeciło pogodnie nad żółknącymi gajami i jeszcze zielonymi polami; wyszedłszy na trawnik podniosłam wzrok i obejrzałam front domu. Dom był na trzy piętra wysoki, niewielkich rozmiarów, ale dość okazały: dwór szlachecki, nie wielkopańska siedziba. Biegnące dokoła dachu blanki nadawały mu wygląd malowniczy. Szary front dworu odbijał od zielonego tła drzew, dźwigających mnóstwo gniazd wronich. Kraczące ich mieszkanki unosiły się teraz w powietrzu przelatując ponad trawnikiem i ogrodem, by opaść na wielkiej łące poza niskim płotem, gdzie rząd potężnych starych drzew cierniowych, silnych, sękatych i szerokich jak dęby, od razu wyjaśnił mi etymologię nazwy miejscowości. Dalej widniały pagórki; nie były one tak wyniosłe jak te, które otaczały Lowood, ani tak skaliste i nie tworzyły takiej zapory odgraniczającej od żyjącego świata, lecz ciche, spokojne, a jednak zamykające Thornfield w jakimś odosobnieniu, jakiego nie byłabym przypuszczała w pobliżu tak ruchliwej miejscowości jak Millcote. Małe osiedle, którego dachy wyglądały spośród drzew, rozpostarło się na pochyłości jednego pagórka; kościół miejscowy wznosił się bliżej Thornfield; szczyt jego starej wieży sterczał nad kępą drzew pomiędzy domem a bramą.

Radowałam się jeszcze spokojnym widokiem i miłą świeżością powietrza; przysłuchiwałam się z przyjemnością krakaniu wron. Jeszcze oglądałam szeroki, siwy front domu, zastanawiając się nad tym, jaki to wielki dom dla samotnej jego mieszkanki, małej staruszki pani Fairfax, gdy pani ta ukazała się w drzwiach.

— Co widzę? Już pani wyszła? — powiedziała. — Ranny ptaszek z pani.

Zbliżyłam się do niej; powitała mnie serdecznym pocałunkiem i uściskiem ręki.

— Jak się pani podoba Thornfield? — zapytała.

Powiedziałam jej, że bardzo mi się podoba.

— Tak — odpowiedziała — to ładna siedziba; lękam się tylko, że zakradną się tu nieporządki, jeżeli pan Rochester nie zastanowi się i nie zamieszka tu na stałe albo przynajmniej jeżeli częściej tu nie będzie zaglądał: wielkie domy i piękne ogrody wymagają obecności właściciela.

— Pan Rochester! Któż to jest? — zawołałam.

— Właściciel Thornfield — odpowiedziała spokojnie. — To pani nie wiedziała, że on się nazywa Rochester?

Naturalnie, że nie wiedziałam, nigdy o nim przedtem nie słyszałam; ale staruszka widocznie uważała istnienie jego za fakt ogólnie wiadomy, o którym każdy instynktownie musi wiedzieć.

— A ja myślałam — powiedziałam dalej — że Thornfield należy do pani.

— Do mnie? Dziecko moje, co za pomysł! Ja tu jestem tylko gospodynią-zarządczynią. To prawda, że jestem daleko spokrewniona z Rochesterami ze strony matki, a właściwie nie tyle ja, ile mój mąż. Mój mąż był duchownym, pastorem w Hay, tej małej wiosce tam na wzgórzu, a ten oto kościół blisko bram to był jego kościół. Matka obecnego pana Rochestera, z domu Fairfax, była kuzynką mojego męża; ale ja nie wykorzystuję tego pokrewieństwa, jest ono dla mnie niczym; uważam się po prostu za zwykłą

zarządczynię; mój chlebodawca jest zawsze uprzejmy, a ja też niczego więcej nie wymagam.

— A ta mała dziewczynka, moja uczennica?

— To jest pupilka pana Rochestera; polecił mi wyszukać dla niej nauczycielkę. Sądzę, że ją chce wychować w naszym hrabstwie. A oto właśnie ona idzie z boną!

Tak więc wyjaśniła się zagadka; ta uprzejma, dobrotliwa maleńka wdowa nie była żadną wielką panią, była osobą zależną tak jak i ja. Nic na tym w moich oczach nie straciła, przeciwnie, ucieszyło mnie to tylko. Równość pomiędzy nią a mną stawała się rzeczywistsza, nie wynikała tylko z łaskawości z jej strony; tym lepiej, będę się czuła swobodniejsza na swoim stanowisku.

Gdy tak rozmyślałam, mała dziewczynka wyprzedzając towarzyszkę biegła ku nam przez trawnik. Przyjrzałam się mojej uczennicy, która, zdaje się, z początku mnie nie zauważyła. Było to dziecko jeszcze, może siedmio- albo ośmioletnie, delikatnie zbudowane, z bladą, o drobnych rysach twarzyczką. Obfite włosy opadały jej w lokach do pasa.

— Dzień dobry, Adelko — przemówiła pani Fairfax. — Pójdź i przywitaj się z tą panią, która cię będzie uczyła, tak ażebyś wyrosła z czasem na mądrą kobietę.

Mała zbliżyła się.

— *C'est Ià ma gouvernante?* — rzekła wskazując mnie palcem i zwracając się do bony; ta odpowiedziała:

— *Mais oui, certainement.*

— Czy to są cudzoziemki? — zapytałam, ze zdumieniem usłyszawszy język francuski.

— Bona jest cudzoziemką, a Adelka urodziła się na kontynencie, który dopiero przed kilku miesiącami opuściła. Gdy tu przybyła, nie umiała zupełnie mówić po angielsku, teraz mówi trochę; ja jej nie rozumiem, tak miesza angielski z francuskim, ale pani z pewnością potrafi dobrze ją zrozumieć.

Mnie na szczęście francuskiego uczyła Francuzka, a że starałam się zawsze jak najwięcej rozmawiać z panią Pierrot, że przy tym przez siedem lat uczyłam się codziennie kawałka prozy francuskiej na pamięć, pracowałam nad akcentem naśladując wymowę swojej nauczycielki, więc też osiągnęłam pewien stopień biegłości i poprawności w tym języku i nie obawiałam się trudności w porozumiewaniu się z Adelką. Mała przybliżyła się do mnie i podała mi rękę, ja zaś prowadząc ją na śniadanie, powiedziałam kilka zdań w jej własnym języku; odpowiadała mi zrazu krótko, ale gdy siadłyśmy do stołu, mała przypatrzywszy mi się badawczo przez jakieś dziesięć minut swymi wielkimi piwnymi oczami, zaczęła nagle bardzo szybko mówić:

— Ach! — zawołała po francusku — pani umie mówić moim językiem tak dobrze jak pan Rochester! Mogę rozmawiać z panią, tak jak z nim rozmawiam; i Sophie będzie mogła mówić do pani! Jak ona się ucieszy! Nikt jej tutaj nie rozumie; pani Fairfax umie tylko po angielsku. Sophie to moja bona; przybyła tu ze mną przez morze wielkim okrętem z kominem, który dymił, i jak jeszcze!... Ja chorowałam i Sophie także, a i pan Rochester chorował. Pan Rochester leżał na kanapie w ładnym pokoju, który nazywał się salonem, a Sophie i ja miałyśmy łóżeczka gdzie indziej. Ja o mało nie wypadłam ze swego, było takie jak półeczka. A mademoiselle, jak się mademoiselle nazywa?

— Eyre. Jane Eyre.

— Aire? Ba! nie umiem tego wymówić! No, i nasz okręt zatrzymał się rano, zanim jeszcze zupełnie jasny dzień nastał, przed wielkim miastem, gdzie były bardzo ciemne domy, a wszystkie zadymione; wcale nie takie jak w ładnym, czystym mieście, skąd przybyłam; a pan Rochester przeniósł mnie na rękach przez deskę na ląd; a Sophie szła za nami; a potem wsiedliśmy wszyscy do powozu, który nas zawiózł do pięknego, wielkiego domu, większego niż ten i piękniejszego; taki dom nazywa się hotel. Tam pozostaliśmy prawie tydzień; ja i Sophie chodziłyśmy codziennie na spacer do wielkiego zielonego ogrodu pełnego drzew, który nazywają Parkiem; i było tam oprócz mnie wiele innych dzieci i staw z pięknymi ptakami, które karmiłam chlebem.

— Czy pani ją rozumie, choć ona tak prędko trzepie? — zapytała

pani Fairfax.

Rozumiałam ją bardzo dobrze, gdyż byłam przyzwyczajona do szybkiej mowy madame Pierrot.

— Pragnęłabym — ciągnęła dalej poczciwa staruszka — żeby jej pani zadała parę pytań o jej rodziców; ciekawam, czy ich pamięta.

— Adelko — zapytałam — u kogo mieszkałaś wtedy, gdy byłaś w tym ładnym, czystym mieście, o którym mówiłaś?

— Dawno temu mieszkałam u mamy; ale mama poszła do nieba. Mama uczyła mnie tańczyć, śpiewać i mówić wierszyki. Wielu panów i wiele pań przychodziło do mamy z wizytami, a ja wtedy tańczyłam przed nimi albo siadywałam u nich na kolanach i śpiewałam im; ja to lubiłam. Czy mam pani zaśpiewać co teraz?

Skończyła śniadanie, więc pozwoliłam jej przedstawić próbkę swych umiejętności. Zsunęła się z krzesła, przyszła do mnie i siadła mi na kolanach; potem złożywszy rączki poważnie przed sobą, strząsnąwszy w tył loki i podniósłszy oczy do sufitu zaczęła śpiewać arię z jakiejś opery. Była to skarga opuszczonej kobiety, która opłakuje zdradę swego kochanka, wzywa dumę na pomoc, a potem każe służebnej, by ją ubrała w najpiękniejsze klejnoty i najbogatsze suknie i postanawia spotkać się z niewiernym wieczorem na balu, by mu okazać wesołością i zachowaniem, jak mało obeszła ją jego zdrada.

Temat wydał mi się dziwnie niestosowny dla dziecka; przypuszczam jednak, że cała pointa leżała w tym właśnie, by słyszeć słowa miłości i zazdrości śpiewane usteczkami dziecka. Według mnie, był to pomysł w bardzo złym guście.

Adelka śpiewała wcale czysto i melodyjnie i z naiwnością swojego wieku. Skończywszy, zeskoczyła mi z kolan i powiedziała:

— A teraz, mademoiselle, powiem pani wierszyk! Stanęła, jak należało, i zaczęła: *„La ligue des rats, fable de la Fontaine."* Po czym zadeklamowała bajkę z przejęciem, modulując głos, zwracając uwagę na interpunkcję i z odpowiednią gestykulacją, istotnie niezwykłą jak na jej wiek; dowodziło to starannego wyuczenia.

— Czy to mama nauczyła cię tego wierszyka? — zapytałam.

— Tak, i to ona właśnie w ten sposób go mówiła: *„Qu'avez-vous danc? lui dit un de ces rats; parlez!"* Kazała mi rękę podnosić — o, tak — żebym sobie przypomniała, że mam głos podnieść przy zapytaniu. A teraz czy mam pani zatańczyć?

— Nie, tymczasem dosyć. Lecz gdy mama twoja poszła do nieba, jak mówisz, u kogo potem mieszkałaś?

— U pani Frédéric i jej męża. Opiekowała się mną, ale to nie żadna moja krewna. Ja myślę, że ona musi być biedna, gdyż nie miała tak ładnego domu jak moja mama. Ale ja tam nie byłam długo. Pan Rochester zapytał mnie, czy chciałabym pojechać i mieszkać z nim w Anglii, a ja odpowiedziałam, że chciałabym, bo pana Rochestera znałam już przedtem, zanim poznałam panią Frédéric, a on zawsze był dla mnie dobry i dawał mi ładne sukienki i zabawki; ale widzi pani, jak nie dotrzymał słowa! przywiózł mnie do Anglii, a teraz sam wyjechał i ja go nigdy nie widzę.

Po śniadaniu udałam się z Adelką do biblioteki, którą, zdaje się, pan Rochester wyznaczył na pokój szkolny dla nas. Większość książek zamknięta była w oszklonych szafach. Jedna tylko szafa była otwarta, a zawierała wszystko, co mogłoby być potrzebne z dziedziny elementarnej nauki, oraz kilka tomów lekkiej literatury, poezji, biografii, książek podróżniczych, kilka romansów itd. Prawdopodobnie pan Rochester uważał, że to jest wszystko, czego nauczycielka może potrzebować do własnej lektury; istotnie książki te zadowoliły mnie na razie w zupełności; w porównaniu z tym, co niekiedy dorywczo mogłam zdobyć w Lowood, przedstawiały one dla mnie źródło rozrywki i wiadomości. W tym pokoju również znajdował się fortepian, zupełnie nowy, o doskonałym tonie, sztalugi do malowania i dwa globusy.

Adelka była uczennicą dostatecznie posłuszną, choć nieskłonną do pilności i uwagi. Nie była wdrożona do pracy systematycznej. Czułam, że byłoby nierozsądnie na początek przetrzymywać ją zbyt długo nad książką; toteż opowiadałam jej dużo, zadałam jej trochę do nauki, a że zbliżało się południe, pozwoliłam jej powrócić do bony. Następnie obiecywałam sobie wyrysować parę małych szkiców na jej użytek.

Idąc na górę po swoją tekę i ołówki usłyszałam wołającą ku mnie panią Fairfax:

— Zapewne pani skończyła już ranne lekcje!

Znajdowała się w pokoju, którego drzwi były otwarte, weszłam tam, gdy do mnie przemówiła. Był to duży, okazały pokój z orzechową boazerią wzdłuż ścian; meble i portiery były w kolorze purpurowym, dywan turecki zdobił jego środek. Sufit był bogato i artystycznie rzeźbiony; piękny, choć trochę ciemny witraż dopełniał całości artystycznej tej sali. Pani Fairfax ocierała z kurzu piękne wazy z fioletowego kryształu, stojące na kredensie.

— Co za piękny pokój! — zawołałam rozglądając się dokoła; gdyż nigdy jeszcze równie imponującego nie widziałam.

— Tak, to pokój jadalny. Właśnie otworzyłam okno, żeby wpuścić trochę powietrza i słońca, bo wszystko tak wilgotnieje w pokojach rzadko zamieszkanych; tam w salonie czuć wprost piwnicą.

Wskazała szeroką arkadę wprost okna, zawieszoną, tak jak i okno, szkarłatną zasłoną, która była teraz rozchylona. Wstąpiwszy po dwóch szerokich stopniach i zajrzawszy do środka, mniemałam, że oglądam jakąś czarodziejską krainę. Był to tylko bardzo ładny salon, a tuż obok buduar, oba wyłożone białym dywanem w girlandy barwnych kwiatów, oba o sufitach ze śnieżną sztukaterią białych gron winnych i liści, co dawało bogaty kontrast z karmazynowym kolorem kuszetek i otoman. Nad białym marmurowym kominkiem błyszczały ozdoby z czeskiego szkła w kolorze rubinów. Szerokie zwierciadła między oknami odbijały to połączenie barw ognia i śniegu.

— W jakim porządku utrzymuje pani te pokoje! — zawołałam. — Ani odrobiny kurzu, choć nie ma pokrowców, i gdyby nie ten ostry chłód, można by myśleć, że są w codziennym użyciu.

— Bo pani widzi, chociaż pan Rochester rzadko tutaj bywa, to jego odwiedziny bywają zawsze nagłe i niespodziewane; zauważyłam, że go to drażni, gdy wszystko zastaje pozasłaniane, pozawijane i gdy po przybyciu musi znosić ruch i zamęt porządkowania pokoi, pomyślałam więc, że najlepiej trzymać pokoje w gotowości.

— Czy pan Rochester jest wymagający i wybredny?

— Nie powiedziałabym; ale ma pańskie gusta i przyzwyczajenia i chciałby, żeby odpowiednio do tego kierować sprawami.

— Czy pani go lubi? Czy jest ogólnie lubiany?

— O tak; ta rodzina zawsze tu była szanowana. Prawie wszystka ziemia w tej okolicy, jak daleko pani okiem sięgnie, od czasów niepamiętnych należała do Rochesterów.

— No dobrze, ale nie mówiąc o jego ziemi, czy pani go lubi? Czy jest w ogóle lubiany?

— Ja nie mam powodu go nie lubić, więc go lubię; a sądzę, że dzierżawcy uważają go za sprawiedliwego i hojnego; ale pan Rochester nigdy długo wśród nich nie mieszkał.

— Tak, ale czy nie ma on jakichś swoich szczególnych właściwości? Słowem, jaki jest jego charakter?

— O! charakter pana Rochestera jest bez zarzutu.

Jest on może trochę dziwny: wiele podróżował, widział, sądzę, kawał świata. Myślę, że musi być mądry, ale ja z nim nigdy wiele nie rozmawiałam.

— W czym jest dziwny?

— Nie wiem, to niełatwo opisać; nic uderzającego, ale czuje się to, gdy do człowieka mówi; nie zawsze można być pewnym, czy żartuje, czy mówi serio, czy jest kontent, czy przeciwnie; słowem, trudno go do gruntu wyrozumieć, ja przynajmniej nie potrafię; ale to nie ma znaczenia, bo to bardzo dobry pan i chlebodawca.

Tyle tylko mogłam się dowiedzieć od pani Fairfax o jej i moim chlebodawcy. Niektórzy ludzie nie potrafią naszkicować charakteru, zauważyć i opisać wybitnych rysów osób czy rzeczy; poczciwa kobieta widocznie należała do tej kategorii. Moje pytania wprowadzały ją w zakłopotanie, ale nie potrafiłam nic z niej wyciągnąć. W jej oczach pan Rochester to był pan Rochester, i koniec; szlachcic, właściciel ziemski — nic więcej; nie pytała i nie

szukała dalej, i dziwiła się widocznie, że ja pragnę posiąść dokładniejsze pojęcie o jego osobie.

Wychodząc z sali jadalnej zaproponowała mi pokazanie reszty domu. Chodziłam więc za nią na górę i na dół, podziwiając wszystko po drodze, bo też wszystko było dobrze urządzone i ładne. Wielkie pokoje frontowe wydały mi się szczególnie wspaniałe, niektóre zaś na trzecim piętrze, chociaż i ciemne, i niskie, zaciekawiały staroświeckim wyglądem. Meble należące pierwej do apartamentów z pierwszego i drugiego piętra przenoszono tutaj, w miarę jak się zmieniała moda. W niepewnym świetle wpadającym przez wąskie okna widziałam łoża sprzed stu lat; dębowe albo orzechowe szafy o dziwnych rzeźbionych gałązkach palm i główkach cherubinów, przypominające kształty arki przymierza; rzędy wytwornych krzeseł, wąskich i o wysokich oparciach; jeszcze starsze taborety, na których wyścielanych siedzeniach znać było jeszcze ślady na wpół wytartych haftów, wyszytych palcami, które już od dwóch pokoleń były prochem trumiennym. Wszystkie te staroświeckie pozostałości nadawały trzeciemu piętru Thornfield Hallu pozór jakiejś ojczyzny przeszłości — grobowca pamiątek. Miła mi była ta cisza, ten mrok, oryginalność tych zakątków — za dnia; bynajmniej jednak nie pragnęłabym spocząć nocą na którymś z tych szerokich, ciężkich łóżek, niektóre z nich zamykały się na drzwi dębowe; inne ocieniały stare angielskie kotary tkane, pokryte grubym haftem, przedstawiającym obrazy dziwnych kwiatów, dziwniejszych ptaków i najdziwniejszych ludzkich istot, wszystko to wyglądałoby niesamowicie, zaiste, w bladym świetle księżyca.

— Czy to służba sypia w tych pokojach? — zapytałam.

— Nie, służba zajmuje szereg mniejszych pokoi w tyle domu; tutaj nikt nie sypia; można by prawie powiedzieć, że gdyby Thornfield Hall miało swojego ducha, tutaj byłaby jego siedziba.

— I ja tak myślę; zatem nie macie tu żadnego ducha?

— Nie, ja nigdy o żadnym nie słyszałam — odpowiedziała uśmiechając się pani Fairfax.

— Ani żadnego podania o duchu? Żadnej legendy, żadnej historii o duchach?

— Chyba nie. A jednak słyszy się, że Rochesterowie był to swojego czasu ród gwałtowny i krewki, wcale nie spokojny; może właśnie dlatego śpią teraz w grobach tak cicho.

— Tak... „po życia gorączce śpią teraz cicho" — szepnęłam. — A dokąd pani teraz idzie? — zapytałam widząc, że rusza z miejsca.

— Idę wyjrzeć z górnego tarasu na dachu. Czy chce pani pójść ze mną i obejrzeć widok stamtąd?

Poszłam za nią, najpierw po bardzo wąskich schodach na strych, a stamtąd po drabince i przez podnoszoną klapę na dach domu. Znalazłam się teraz na równym poziomie z kolonią wron, mogłam zaglądać do ich gniazd. Oparta o parapet i patrząc daleko w dół, widziałam zarysy ogrodu, leżącego przede mną jak mapa; widziałam jasny, aksamitny trawnik otaczający z bliska szarą podstawę domu; pole, szerokie jak park, poznaczone tu i ówdzie starymi drzewami; las w złotobrązowych barwach, przecięty ścieżką, tak zarośniętą zielonym mchem, że była zieleńsza od drzew i liści; kościół przed bramą, drogę, łagodne pagórki, wszystko to spoczywające w świetle jesiennego słońca; widnokrąg objęty pogodnym, lazurowym niebem, zasnuty perłowobiałymi obłoczkami. Nic w tym krajobrazie nie było niezwykłego, lecz wszystko miłe dla oka. Gdy zawróciwszy schodziłam przez drzwi w dachu, zaledwie mogłam trafić na drabinkę; olśnionym moim oczom strych wydał się ciemny jak piwnica w porównaniu z błękitem nieba, rozsłonecznionym laskiem, pastwiskiem i zielonymi wzgórkami, na które patrzyłam z rozkoszą.

Pani Fairfax zatrzymała się chwilę, zajęta zamykaniem drzwi w dachu; ja, trochę po omacku, znalazłam wyjście z poddasza i zaczęłam schodzić po wąskich schodach. Stanęłam na chwilę w długim korytarzu, na który prowadziły schody; przegradzał on frontowe i tylne pokoje trzeciego piętra, był wąski, niski i ciemny, o jednym tylko małym okienku na najdalszym końcu; ze swymi dwoma rzędami małych, czarnych pozamykanych drzwi sprawiał wrażenie korytarza w zamku jakiegoś Sinobrodego.

Gdy cicho ruszyłam dalej, uderzył moje uszy odgłos, jakiego najmniej mogłam się spodziewać w miejscu tak spokojnym. Był to śmiech; śmiech dziwny, wyraźny, lecz niewesoły. Stanęłam; śmiech

ustał, lecz tylko na chwilę; znów zabrzmiał — ale głośniejszy, gdyż za pierwszym razem, chociaż wyraźny, był bardzo cichy. Teraz przeszedł w hałaśliwy wybuch, który zdawał się budzić echa we wszystkich tych zamkniętych pokojach, jakkolwiek najwyraźniej płynął z jednego pokoju, którego drzwi mogłabym wskazać.

— Pani Fairfax! — zawołałam, gdyż usłyszałam, że schodzi po schodach. — Czy pani słyszała ten głośny śmiech? Kto to się śmieje?

— Któraś służąca zapewne — odpowiedziała. — Może Gracja Poole.

— Czy pani słyszała? — powtórzyłam pytanie.

— Owszem, wyraźnie słyszałam: ja ją często słyszę; szyje w jednym z tamtych pokoi. Czasami Lea jest z nią; często, gdy pracują razem, bywają hałaśliwe.

Śmiech znowu się powtórzył cichą gamą i zakończył szczególniejszym mamrotaniem.

— Gracjo! — zawołała pani Fairfax.

Nie spodziewałam się doprawdy, żeby jakaś Gracja odpowiedziała, tak tragiczny, tak nadnaturalny wydal mi się ten śmiech; i gdyby nie to, że było samo południe, że ani pora dnia, ani otoczenie nie sprzyjały zabobonnym nastrojom, byłabym się przelękła. Pokazało się wszakże, że byłam niemądra, dziwiąc się tak bardzo i snując niejasne przypuszczenia. Najbliższe drzwi otworzyły się i wyszła służąca — kobieta trzydziestoletnia, a może starsza, przysadzista, krępa, ruda, niełądna; trudno by sobie wyobrazić zjawisko mniej romantyczne, mniej przypominające ducha.

— Za wiele hałasu, Gracjo — upomniała pani Fairfax. — Pamiętaj, co zapowiedziane.

Gracja ukłoniła się milcząc i wróciła do pokoju.

— Jest to osoba, którą wzięliśmy do szycia i do pomocy Lei, pokojowej — mówiła dalej wdowa. — Nie jest ona zupełnie bez zarzutu pod pewnym względem, ale na ogół nieźle się sprawuje. Ale jakże tam dziś lekcje poszły z pani nową uczennicą?

Tym sposobem rozmowa skierowana na Adelkę trwała dopóty, dopóki nie znalazłyśmy się w jasnej i pogodnej strefie na dole. W hallu Adelka wybiegła na nasze spotkanie, wołając:

— *Mesdames, vous êtes servies!* — i dodała: — *J'ai bien faim, moi!*

Istotnie obiad był gotów i czekał na nas w pokoju pani Fairfax.

ROZDZIAŁ XII

Zapowiedź pogodnego bytowania, która zdawała się kryć w miłym przyjęciu zgotowanym mi w Thornfield Hall, nie zawiodła przy dłuższym zaznajomieniu się z dworem i jego mieszkańcami. Pani Fairfax okazała się taka, jaka się wydawała, kobietą równego usposobienia, dobrotliwą, przyzwoitego wykształcenia i przeciętnej inteligencji. Moja uczennica była dzieckiem żywym, rozpieszczanym, nawykłym do pobłażania i dlatego niekiedy kapryśnym. Ponieważ została powierzona wyłącznie mojej opiece i żadne inne nierozsądne wpływy nie przeszkadzały mi w pracy nad nią, zapomniała wkrótce o małych wybrykach, stała się posłuszna i chętna do nauki. Nie miała wielkich zdolności ani wybitnych rysów charakteru, ani szczególnie rozwiniętych uczuć lub upodobań, co wznosiłoby ją ponad poziom rówieśniczek; ale nie było też w niej żadnych wad ani złych skłonności, które by ją stawiały poniżej tego poziomu. Robiła odpowiednie postępy, miała dla mnie żywe, choć może nie nazbyt głębokie przywiązanie, a ja lubiłam ją dla jej prostoty, wesołego szczebiotu, chęci dogadzania mi, i dobrze nam było z sobą.

To, co mówię — nawiasem — wydać się może zbyt chłodnym określeniem osobom głoszącym uroczyste teorie o anielskiej naturze dzieci i o obowiązku wychowawców odczuwania do dzieci bałwochwalczego przywiązania. Ja jednakże nie piszę dla schlebiania rodzicielskiemu egoizmowi lub z chęci wygłaszania obłudnych frazesów i nonsensów; po prostu mówię prawdę. Dbałam sumiennie o dobro Adelki, o jej postępy i lubiłam tę małą osóbkę; zupełnie tak samo, jak byłam wdzięczna pani Fairfax za dobroć i w jej towarzystwie znajdowałam przyjemność odpowiednią do jej spokojnego uznania dla mnie i umiarkowanej skali jej umysłu i charakteru.

Niech mnie zresztą zgani, kto zechce, gdy dodam jeszcze, że niekiedy, gdy przechadzałam się sama po ogrodzie, gdy dochodziłam do bramy i wyglądałam na drogę albo też, gdy Adelka

bawiła się z boną, pani Fairfax smażyła galaretki, a ja, wyszedłszy na trzecie piętro, podnosiłam klapę na strychu i wydostawałam się na dach — że wtedy, patrząc w dal ponad pola i wzgórza na mglistą linię widnokręgu, pragnęłam mieć siłę wzroku, która by sięgnęła poza te granice, która by dotarła do ruchliwego świata, do miast pełnych życia, o których słyszałam wprawdzie, lecz nie widziałam nigdy — że wtedy pragnęłam więcej poznać i doświadczyć, nawiązać więcej stosunków *z* ludźmi, zaznajomić się z większą rozmaitością typów, niż mi było dane. Ceniłam to, co było dobre w pani Fairfax i w Adelce, ale wierzyłam, że istnieją inne i żywsze rodzaje dobrego, a to, w co wierzyłam, pragnęłam zobaczyć.

Kto może mieć mi to za złe? Wielu niezawodnie, i ci nazwą mnie malkontentką. Nie moja jednak była to wina. Niepokój leżał w mojej naturze, wzburzał mnie niekiedy do bólu. Wtedy doznawałam ulgi chodząc wzdłuż korytarza trzeciego piętra tam i z powrotem, bezpieczna w ciszy i samotności, i pozwalając wyobraźni zajmować się jasnymi wizjami, jakie się przed nią jawiły — a liczne one były i promienne. Lubiłam gorączkowe bicie serca, które, co prawda, napełniało je niepokojem, ale też i życiem; a najbardziej kusiło mnie przysłuchiwanie się nigdy nie kończącej się opowieści, którą bez przerwy snuła moja wyobraźnia; opowieści tętniącej wypadkami, życiem, ogniem, uczuciem — wszystkim, czego pragnęłam, a czego w rzeczywistości nie posiadałam.

Daremnie byłoby mówić, że istoty ludzkie powinny zadowolić się spokojem: potrzebują działania — a jeżeli nie mogą go znaleźć, stwarzają je sobie. Miliony skazane są na cichszy los od mego i miliony w milczeniu buntują się przeciwko swemu losowi. Nikt nie wie, ile buntów — prócz buntów politycznych — fermentuje w tłumach zaludniających świat. Kobiety uważa się na ogół za bardzo spokojne istoty, ale kobiety czują tak samo jak mężczyźni; potrzebują ćwiczeń dla swych zdolności, pola dla swych wysiłków nie mniej niż ich bracia; cierpią, gdy są zbyt skrępowane, cierpią w bezwzględnym zastoju zupełnie tak samo, jak cierpieliby mężczyźni; i ciasnotą umysłu grzeszą ich bardziej uprzywilejowani bracia, którzy twierdzą, że kobiety powinny się ograniczyć do gotowania puddingów, robienia pończoch, grania na fortepianie i haftowania. Bezmyślnością jest potępiać je albo śmiać się z nich, jeżeli starają się robić więcej albo nauczyć więcej, niż zwyczaj wymaga dla ich

płci.

Chodząc tak w samotności, nierzadko słyszałam śmiech Gracji Poole: ten sam wybuch, to samo ciche, powolne „cha! cha!" które słyszane po raz pierwszy przejęło mnie dreszczem. Słyszałam także jej dziwaczne mamrotanie — dziwaczniejsze nawet niż jej śmiech. Bywały dni, gdy była zupełnie milcząca; ale kiedy indziej wcale nie mogłam zrozumieć wydawanych przez nią odgłosów. Niekiedy zdarzało mi się ją widywać: wychodziła z pokoju z miednicą i talerzem albo z tacką w ręku, schodziła do kuchni i zaraz wracała (o, romantyczny czytelniku, wybacz mi słowa brzydkiej prawdy) zazwyczaj niosąc dzbanek porteru. Widok jej działał zawsze jak tłumik na ciekawość podnieconą jej głosowymi dziwactwami: o rysach grubych i tępych, nie miała w sobie nic zajmującego. Próbowałam parę razy wciągnąć ją w rozmowę, ale była małomówna; krótka odpowiedź zazwyczaj udaremniała wszelkie usiłowania dalszej pogawędki.

Inni domownicy, mianowicie John i jego żona, Lea, pokojowa, i Sophie, bona Francuzka, byli to wszystko ludzie przyzwoici, ale pod żadnym względem nie wybitni; z Sophie rozmawiałam po francusku i niekiedy wypytywałam o jej kraj rodzinny. Nie miała ona jednak daru opisywania ani opowiadania i dawała najczęściej odpowiedzi tak puste i mętne, że to raczej zniechęcało, niż zachęcało do pytań.

Tymczasem upłynął październik, listopad i grudzień. Pewnego styczniowego popołudnia poprosiła mnie pani Fairfax o darowanie Adelce poobiednich lekcji z powodu kataru, jakiego się nabawiła. Zgodziłam się chętnie, zwłaszcza gdy Adelka gorąco poparła tę prośbę przypominając mi przez to, z jaką radością za lat dziecinnych witałam każdą trafiającą się rekreację. Był to piękny dzień, spokojny, chociaż bardzo zimny; zmęczona byłam przesiedziawszy w bibliotece całe długie przedpołudnie; pani Fairfax właśnie napisała list, który czekał okazji, by go zaniesiono na pocztę, więc włożyłam kapelusz i płaszcz i ofiarowałam się odnieść go do Hay; odległość dwu mil stanowiła miły spacer na zimowe popołudnie. Usadowiwszy Adelkę wygodnie na krzesełku przy kominku w saloniku pani Fairfax i podawszy jej do zabawy najlepszą lalkę woskową (którą zazwyczaj trzymałam w szufladzie zawiniętą w srebrny papier) oraz dla odmiany książkę z

powiastkami, pocałowałam ją na pożegnanie i wyszłam.

Grunt był stwardniały, powietrze spokojne, droga pusta. Szłam szybko, dopóki się nie rozgrzałam, a wtedy zwolniłam kroku, by nacieszyć się i zastanowić nad przyjemnością, jaką mi dawała ta chwila i widok dokoła. Była godzina trzecia; zegar kościelny wybijał ją, gdy mijałam dzwonnicę. Urok tej godziny leżał w bliskim zmierzchu, w niskich, bladych promieniach słońca. Znajdowałam się o milę od Thornfield, na ścieżce znanej latem z obfitości róż polnych, jesienią z orzechów i jeżyn, a nawet teraz posiadającej pewne kolorowe skarby w postaci głogów. Ale najmilszy czar zimowy tej okolicy polegał na zupełnej samotności i bezlistnej ciszy. Powiew nie wydawał tu wcale odgłosu; nie było tu bowiem ani jednego krzaczka ostrokrzewu czy bluszczu, który by mógł zaszemrać, a odarte z liści głogi i krzaki leszczyny ciche były jak te białe, zdeptane kamienie, którymi wysypany był środek ścieżki. Blisko i daleko po obu stronach drogi widać było tylko pola, na których pasło się bydło, a małe, brunatne ptaszki, ruszające się niekiedy w bezlistnym żywopłocie, wyglądały jak rdzawe zeschłe liście, które zapomniały opaść.

Dróżka ta szła pod górę przez całą drogę do Hay; doszedłszy do połowy, siadłam na przełazie prowadzącym stąd na pole. Ogarniając się szczelnie płaszczem i chroniąc ręce w mufce, nie czułam zimna, choć mroziło porządnie; dowodził tego lód pokrywający ścieżkę, na którą mały strumyk, obecnie zamarznięty, wylał był po raptownej odwilży parę dni temu. Z miejsca, gdzie siedziałam, mogłam patrzeć na Thornfield; szare, blankami uwieńczone mury dworu były głównym przedmiotem rzucającym się w oczy w dolinie pode mną; lasy i drzewa z gniazdami wronimi wznosiły się na tle nieba na zachodzie. Patrzyłam, dopóki słońce nie zaszło za drzewa i nie zatonęło w nich, czerwone i jasne. A wtedy spojrzałam na wschód.

Spoza szczytu wzgórka nade mną wynurzał się wschodzący księżyc; jeszcze blady jak chmurka, nabierał światłości z każdą chwilą i świecił nad Hay, które wpółukryte w drzewach, słało niebieskie dymy z nielicznych kominów; było jeszcze o milę odległe, ale w tej bezwzględnej ciszy mogłam dosłyszeć słabe odgłosy życia idące stamtąd. Ucho moje chwytało także szmery płynących potoków, w

jakich dolinach czy zagłębieniach — nie wiedziałam sama, ale wiele było wzgórków poza Hay i niewątpliwie wiele strumieni w wąwozach pomiędzy nimi. W ciszy wieczornej słyszało się plusk najbliższych i szum dalekich strumieni.

Jakiś szorstki odgłos wpadł nagle między te delikatne pluskoty i szmery, równocześnie bardzo daleko i wyraźnie: głośny tupot, chrzęst metaliczny zgasił cichutkie szepty płynących fal, tak jak na obrazie potężna masa skał albo surowy zarys wielkiego dębu, ciemny i silnie zaznaczony na przednim planie, zaciera zwiewną odległość lazurowych wzgórz, słonecznego widnokręgu i skłębionych chmur, gdzie barwa stapia się z barwą.

Stuk rozległ się na ścieżce: stuk kopyt końskich; zakręty drogi jeszcze ukrywały jeźdźca, ale przybliżał się. Miałam właśnie zejść z przełazu, ale ponieważ ścieżka była wąska, zostałam na miejscu, żeby koń mógł mnie ominąć. Młoda byłam wówczas i rozmaite fantazje, wesołe i ponure, snuły mi się w głowie: wspomnienia bajek opowiadanych niegdyś w dziecinnym pokoju; gdy wracały w pamięci, dojrzewająca młodość dodawała im siły i wyrazistości, jakiej im wiek dziecinny udzielić nie potrafił. Gdy się ten koń przybliżał, a ja czekałam, czy rychło się ze zmierzchu wyłoni, przypomniały mi się niektóre opowiadania Bessie o duchu z północnej Anglii, imieniem Gytrash, który pod postacią konia, muła albo wielkiego psa straszył na pustych, samotnych drogach, a niekiedy objawiał się spóźnionym podróżnym, właśnie jak ten koń miał się objawić mnie.

Bardzo już był blisko, ale jeszcze dla mnie niewidoczny; wtedy oprócz tupotu kopyt końskich usłyszałam szurgnięcie pod płotem i tuż blisko pod krzakami leszczyny przesunął mi się wielki pies, dzięki czarno-białemu zabarwieniu widoczny wśród drzew. Była to dokładnie jedna z postaci Gytrasha — stworzenie podobne do lwa, długowłose, wielkogłowe. Minęło mnie jednak wcale spokojnie, nie zatrzymując się, by spojrzeć mi w twarz dziwnymi, niemal ludzkimi oczami, jak się tego prawie spodziewałam. Za nim podążał koń — rosły wierzchowiec, na którym siedział jeździec. Mężczyzna, ludzka istota, od razu spłoszył czary. Nikt nigdy nie dosiadał grzbietu Gytrasha, był zawsze sam; a duszki, o ile wiedziałam, choć mogły przyoblekać nieme ciała zwierząt, nigdy nie szukały schronienia w

pospolitym kształcie ludzkim. Nie był to więc żaden Gytrash, tylko podróżny, który wybrał tę krótszą drogę do Millcote. Przejechał, a ja poszłam dalej; parę kroków uszłam zaledwie, gdy musiałam się obejrzeć, usłyszawszy zgrzyt poślizniecia się, okrzyk: „A cóż to, u pioruna?" i odgłos upadku. Jeźdźca i konia ujrzałam teraz na ziemi; koń pośliznął się na zlodowaciałej powierzchni ścieżki. Pies zawrócił w podskokach, a widząc swego pana w tym położeniu i słysząc stękanie konia, rozszczekał się tak, że aż wzgórza odpowiadały mu echem. Zrazu węszył dokoła leżących, a potem podbiegł do mnie; nie mógł nic innego zrobić, wyraźnie wzywał mnie na pomoc. Usłuchałam go i zbliżyłam się do podróżnego, który tymczasem usiłował wydostać się spod konia. Wysiłki jego tak były energiczne, że pomyślałam, iż wielkiej sobie krzywdy widocznie nie zrobił; zapytałam go jednakże:

— Czy panu się co stało?

Zdaje mi się, że klął pod nosem, choć nie jestem tego pewna; w każdym razie coś tam mamrotał, co mu przeszkodziło odpowiedzieć mi od razu.

— Czy mogłabym może w czym pomóc? — zapytałam znowu.

— Niech pani stanie na boku — odpowiedział podnosząc się najpierw na kolana, a potem na nogi. Usunęłam się; po czym zaczęło się dźwiganie, tupanie, chrzęst, nawoływanie przy wtórze takiego szczekania, że istotnie odstąpiłam o kilka kroków, nie mogłam się jednak zupełnie dać odpędzić, chcąc się wpierw przekonać, jak się to skończy. Rezultat ostatecznie wypadł szczęśliwie; koń stanął, pies na komendę: „Leżeć, Pilot!", uciszył się nareszcie. Teraz podróżny, nachyliwszy się, zaczął obmacywać stopę i nogę, jak gdyby badał, czy są całe; widocznie coś go bolało, gdyż przytrzymywał się przełazu, skąd ja właśnie wstałam, i usiadł.

Pragnęłam być użyteczna lub przynajmniej usłużna, więc przybliżywszy się powiedziałam:

— Jeżeli pana coś boli i potrzebuje pan pomocy, mogę panu sprowadzić kogo z Thornfield Hall albo z Hay.

— Dziękuję, dam sobie radę, nie mam złamanych kości, to tylko

zwichnięcie — i znowu podniósł się i próbował stanąć na obolałej nodze, ale przy tym mimo woli wyrwało mu się: „Ach!"

Światło dzienne niezupełnie jeszcze zgasło, a i księżyc świecił jasno; widziałam go teraz wyraźnie. Postać jego otulał płaszcz do konnej jazdy z futrzanym kołnierzem i stalową klamrą; w ogólnych zarysach mogłam dojrzeć, że jest to mężczyzna średniego wzrostu i bardzo szeroki w barach. Ciemną miał twarz o surowych rysach i nasępionym czole; oczy jego i ściągnięte brwi miały w tej chwili wyraz rozdrażniony i gniewny; był nie pierwszej młodości, ale nie doszedł jeszcze średniego wieku; mógł liczyć ze trzydzieści pięć lat. Nie bałam się go i nawet nie bardzo mnie onieśmielał. Gdyby był przystojnym młodzieńcem, o bohaterskiej powierzchowności, nie byłabym się odważyła tak stać przed nim. wypytywać go wbrew jego woli i ofiarowywać mu się z usługami nieproszona. Nie wiem, czy kiedy w życiu widziałam przystojnego młodzieńca, a nigdy w życiu z żadnym nie rozmawiałam. Miałam teoretyczne uznanie i respekt dla piękności, elegancji, rycerskości, wdzięku; gdybym jednak natknęła się na te zalety, wcielone w postać męską, odczułabym instynktownie, że taki mężczyzna nie może sympatyzować z niczym, co było we mnie, i unikałabym go tak, jak się unika ognia, pioruna i wszystkiego, co świeci jasno, ale jest antypatyczne.

Gdyby choć ten nieznajomy był się uśmiechnął i okazał mi dobry humor, gdy się do niego zwróciłam; gdyby ofiarowaną ma pomoc odrzucił był wesoło i z podziękowaniem, byłabym sobie poszła nie wznawiając dopytywań; jednakże wobec tego marsa, tej szorstkości podróżnego czułam się swobodna; nie ruszyłam się z miejsca, gdy ręką dał mi znak, bym sobie poszła, i oświadczyłam:

— Nie mogę pozostawić tu pana o tak późnej godzinie na tej pustej drodze, dopóki nie zobaczę, że pan może wsiąść na konia.

Spojrzał na mnie, gdy to powiedziałam; dotychczas nie wiem, czy zwrócił oczy w moją stronę.

— Sądzę, że pani sama powinna być już w domu — rzekł — jeżeli ma pani dom tu gdzieś w pobliżu; gdzie pani mieszka?

— Tam na dole; ja się wcale nie boję chodzić sama w nocy, kiedy

księżyc świeci, chętnie pobiegłabym do Hay, gdyby pan sobie życzył; idę tam i tak wrzucić list na pocztę.

— Mieszka pani tam na dole? Czy pani ma na myśli ten dom z blankami? — tu wskazał Thornfield Hall, na które księżyc rzucał mgliste światło, oświetlające dom wyraźnie i blado na tle lasu, który przez kontrast z poświatą księżycową wydawał się tonąć w gęstym cieniu.

— Tak, właśnie.

— Czyj to jest dom?

— Pana Rochestera.

— Czy pani zna pana Rochestera?

— Nie, nigdy go nie widziałam.

— A więc on tam nie mieszka?

— Nie.

— Czy może mi pani powiedzieć, gdzie on jest?

— Nie wiem.

— Pani nie jest służącą we dworze, rzecz prosta. Pani jest... — przerwał i powiódł okiem po moim ubraniu, które, jak zwykle, było nader proste: czarne wełniane okrycie, czarny filcowy kapelusz; panna służąca byłaby strojniej ubrana!

Widocznie nie mógł odgadnąć, kim jestem, dopomogłam mu.

— Jestem nauczycielką — oświadczyłam.

— Ach, nauczycielką! — powtórzył. — A niechże mnie licho, że też zapomniałem!... Nauczycielka! — i znowu przypatrzył się mojemu ubraniu. Po chwili wstał z przełazu; twarz skurczyła mu się bólem, gdy próbował się poruszyć.

— Nie mogę prosić pani, by mi sprowadziła pomoc — rzekł — ale

może mi pani sama trochę pomoże, jeżeli pani łaskawa.

— Jak najchętniej, proszę pana.

— Czy nie ma pani przy sobie parasola, który by mi mógł posłużyć za laskę?

— Nie mam, niestety.

— Niech pani spróbuje pochwycić cugle mojego konia i przyprowadzić go ku mnie; czy pani się nie boi? Bałabym się dotknąć konia, gdybym była sama, ale gdy mi polecił to zrobić, byłam gotowa usłuchać. Położyłam mufkę na przełazie i zbliżyłam się do wysokiego konia; starałam się pochwycić uzdę, ale koń, stworzenie rozumne, nie pozwalał mi zbliżyć się do swojej głowy; próbowałam, próbowałam, ale nadaremnie; a przez cały ten czas śmiertelnie się bałam drepcących jego przednich nóg. Podróżny czekał i patrzył czas jakiś, aż się w końcu roześmiał.

— Jak widzę — rzekł — góra nie da się sprowadzić do Mahometa, toteż jedyne, co pani może zrobić, to dopomóc Mahometowi, ażeby mógł podejść do góry; muszę panią prosić, żeby pani tu podeszła.

Podeszłam.

— Niech pani wybaczy — mówił dalej — konieczność zmusza mnie do wysługiwania się panią.

Położył ciężką rękę na moim ramieniu i opierając się na mnie dość mocno, kulejąc doszedł do wierzchowca. Raz pochwyciwszy cugle, opanował go od razu i wskoczył na siodło, wykrzywiając się przy tym strasznie, gdyż uraziło to jego zwichniętą nogę.

— A teraz — powiedział puszczając przygryzioną wargę — niech mi pani jeszcze tylko poda szpicrutę; leży tam. pod płotem.

Znalazłam ją i podałam.

— Dziękuję, a teraz niech się pani śpieszy z listem do Hay i wraca jak najprędzej.

Pod dotknięciem ostrogi koń drgnął, wspiął się i skoczył pędem,

pies za nim. Zniknęli...

Jak wrzosu gałązka, którą w pustym polu Wiatr dziki wirem unosi...

Podniosłam mufkę i poszłam dalej. Zdarzenie to nie miało znaczenia dla mnie. Był to wypadek nieromantyczny, nieciekawy, a jednak wniósł coś nowego w jedną godzinę jednostajnego życia. Pomoc moja była potrzebna i zażądano jej ode mnie; tę pomoc dałam, byłam rada, że coś uczyniłam: choć pospolity i przemijający był ten czyn, był jednak działaniem, a mnie znużyło bierne istnienie. A także ta nowa twarz była jak nowy obraz zawieszony w galerii pamięci; i niepodobny był do wszystkich tam wiszących: po pierwsze dlatego, że była to twarz męska, a po wtóre dlatego, że była ciemna, silna i surowa. Miałam ją wciąż przed oczami dochodząc do Hay i wrzucając list na poczcie; widziałam ją przez cały czas schodząc szybko ze wzgórza w drodze powrotnej. Doszedłszy do przełazu zatrzymałam się na chwilę, rozejrzałam dokoła i słuchałam, spodziewając się, że tętent kopyt końskich rozlegnie się znów na ścieżce, a jeździec w płaszczu, z psem nowofundlandzkim, podobnym do Gytrasha, stanie mi ponownie przed oczami. Ujrzałam jadnakże tylko płot i wierzbę o obciętych gałęziach, nieruchomo i prosto sterczącą w promieniach księżyca; doleciał mnie leciuchny szmer wiatru błądzącego chwilami wśród drzew dokoła Thornfield, odległego o milę; rzuciwszy okiem w kierunku tego szmeru, dostrzegłam światło w jednym oknie; to mi przypomniało, że już późno, więc przyśpieszyłam kroku.

Niechętnie wracałam do Thornfield. Przejść przez jego próg znaczyło dla mnie wracać do zastoju; przebyć milczący hall, wejść po ciemnawych schodach do samotnego pokoiku, a potem spotkać się ze spokojną panią Fairfax i spędzić z nią długi wieczór zimowy, z nią jedną tylko — to znaczyło dla mnie zgnieść zupełnie lekkie podniecenie, które wzbudził we mnie spacer, skrępować z powrotem moją istotę niewidzialnymi więzami jednostajnego i nazbyt spokojnego istnienia — istnienia, którego nawet dobre strony bezpieczeństwa i dostatku przestawałam doceniać. Ile dobrego zrobiłoby mi, gdybym została rzucona w odmęt niepewności i wir walki życiowej, by wśród ciężkich i bolesnych przeżyć nauczyć się pragnąć tego spokoju, wśród którego teraz tęskniłam za czym innym! Tak jest, tyle dobrego, ile by zrobił długi

spacer człowiekowi znużonemu nieruchomym siedzeniem w nazbyt wygodnym fotelu; i tak jak on zapragnąłby ruchu w swoich warunkach, tak ja go zapragnęłam w moich.

Zatrzymałam się przy bramie; zatrzymałam się na trawniku; chodziłam tam i z powrotem po brukowanej ścieżce; okiennice szklanych drzwi były zamknięte, nie mogłam zajrzeć do wnętrza; coś odciągało moje oczy i duszę od tej posępnej budowli — od tej szarej pustki pełnej ciemnych celek, bo taką mi się teraz wydała; coś mnie ciągnęło do tego nieba roztoczonego nade mną — niebieskiego oceanu bez jednej chmurki. Księżyc sunął po nim uroczyście; tarcza jego, wypłynąwszy zza wzgórz, zdawała się spoglądać coraz dalej i dalej i zmierzać ku zenitowi, czarnemu prawie w swojej otchłannej głębi, w niezmierzonej swej dali; w ślad za księżycem ciągnęły migotliwe gwiazdy, a patrząc na nie czułam drżenie serca, żar w krwi. Drobnostki przywołują nas z powrotem na ziemię; w hallu wybił zegar; to wystarczyło, odwróciłam się od gwiazd i księżyca, otworzyłam boczne drzwi i weszłam do domu.

Hall nie był ani ciemny, ani widny, oświetlony jedynie wysoko zawieszoną brązową lampą. Jakiś ciepły blask zalewał go oraz dolne stopnie dębowych schodów. To czerwonawe światło płynęło z wielkiego jadalnego pokoju, którego podwoje były otwarte, ukazując wesoły ogień mile oświetlający marmurowy kominek, mosiężne jego kraty, purpurowe draperie i politurowane meble. W tym świetle widać było kilka Osób siedzących przed kominkiem. Zaledwie pochwyciłam, okiem ten widok, zaledwie dosłyszałam wesoły gwar głosów, wśród których odróżniłam głos Adelki, gdy drzwi się zamknęły.

Pośpieszyłam do pokoju pani Fairfax; i tam palił się ogień, ale nie było ani świecy, ani pani Fairfax. Zamiast tego ujrzałam tam siedzącego prosto na dywaniku i wpatrzonego poważnie w płomień wielkiego czarno-białego psa o długiej sierści, podobnego do tego Gytrasha z drogi polnej. Tak był do niego podobny, że przystąpiłam bliżej i zawołałam: „Pilot!" Pies wstał, podszedł do mnie i obwąchal mnie. Pogłaskałam go, a on zamerdał wielkim ogonem. Tak niesamowitym jednak wydał mi się stworzeniem, zwłaszcza w samotności, że nie wiedziałam, skąd się tu wziął. Zadzwoniłam, gdyż potrzebowałam świecy, chciałam się też dowiedzieć czegoś o

tym gościu. Weszła Lea.

— Co to za pies, Leo?

— Przyjechał z panem.

— Z kim?

— Z naszym panem. Z panem Rochesterem; pan właśnie przyjechał.

— Rzeczywiście? A pani Fairfax jest z panem?

— Tak, i panna Adela także: są w jadalnym pokoju, a John pojechał po doktora, bo pan miał wypadek: koń jego upadł i pan ma nogę zwichniętą w kostce.

— Czy koń upadł na drodze do Hay?

— Tak, zstępując z góry poślizнął się na zamarzniętej kałuży.

— Ach, tak! Przynieś mi świecę, proszę cię, Leo!

Lea przyniosła mi świecę; weszła z nią i pani Fairfax, która mi powtórzyła nowiny dodając, że doktor Carter przyjechał i jest teraz u pana Rochestera. Następnie szybko wyszła, by zakrzątnąć się koło herbaty, a ja poszłam na górę zdjąć okrycie.

ROZDZIAŁ XIII

Pan Rochester tego wieczoru wcześnie się położył z rozkazu lekarza; nie wstał też wcześnie nazajutrz. Gdy wstał, musiał się zająć interesami. Przybył jego administrator i niektórzy dzierżawcy czekali na rozmowę z nim.

Adelka i ja musiałyśmy teraz opuścić bibliotekę; miała służyć jako pokój przyjąć. Zapalono ogień w jednym z pokoi na górze, a ja zaniosłam tam nasze książki i urządziłam w nim przyszły pokój szkolny. Zauważyłam przed południem, że Thornfield Hall było jak odmienione; już nie było w nim tak cicho jak w kościele, co jakiś czas rozlegało się pukanie do drzwi, rozbrzmiewał odgłos dzwonka, kroki także często przechodziły przez hall, nowe głosy o różnym tonie rozmawiały na dole; prąd zewnętrznego świata przepływał przez dom; dom miał swojego pana; wolałam tę zmianę od monotonii ciszy.

Z Adelką niełatwo poszła dnia tego lekcja; nie mogła skupić uwagi; wciąż biegała do drzwi i wychylała się przez poręcz schodów próbując dojrzeć pana Rochestera; to znowu wymyślała jakieś pozory, by zejść na dół, a właściwie — jak ją posądzałam — by zajrzeć do biblioteki, gdzie mogła tylko przeszkadzać. Gdy zaś rozgniewałam się trochę i kazałam jej siedzieć cicho, nie przestawała wc:ąż opowiadać o swoim *ami monsieur Edouard Fairfax de Rochester* (jak go tytułowała; dotychczas nie słyszałam jego pełnego nazwiska) i snuć przypuszczeń, jakie przywiózł dla niej podarki, pokazało się bowiem, że poprzedniego dnia powiedział jej, iż gdy przybędą jego rzeczy z Millcote, znajdzie się wśród nich pewna skrzynka, która ją powinna zainteresować.

— A to ma znaczyć — ciągnęła po francusku — że będzie tam wewnątrz prezent dla mnie, a może i dla pani, mademoiselle, bo monsieur mówił o pani: zapytał mnie, jak się nazywa moja nauczycielka i czy to nie jest mała osóbka, dosyć szczupła i trochę blada. Powiedziałam, że tak jest; gdyż to prawda, no nie,

mademoiselle?

Ja i moja uczennica jadłyśmy obiad, jak zwykłe, w pokoju pani Fairfax; popołudnie było wietrzne i śnieżne, więc spędziłyśmy je w szkolnym pokoju. O zmroku pozwoliłam Adelce odłożyć książki i robotę i zbiec na dół; po względnej bowiem ciszy na dole, gdzie już dzwonek u drzwi wejściowych przestał się odzywać, wywnioskowałam, że pan Rochester musiał ukończyć zajęcia. Pozostawszy sama podeszłam do okna, nic jednakże stamtąd nie mogłam zobaczyć: zmrok i płatki śniegu przesłaniały wszystko, nawet krzaki na trawniku. Spuściłam storę i wróciłam do kominka.

Żarzące się węgle układały się w obraz, trochę podobny do obrazu, który gdzieś widziałam, a przedstawiający zamek heidelberski nad Renem; wtem weszła pani Fairfax i swoim wejściem zburzyła ognistą mozaikę, rozpraszając równocześnie ciężkie, niemiłe myśli, które zaczynały nachodzić moją samotność.

— Pan Rochester byłby rad, gdyby pani ze swoją uczennicą zechciała wypić z nim herbatę dziś wieczór w salonie — rzekła. — Tak bardzo był zajęty przez cały dzień, że nie mógł wcześniej poprosić pani.

— O której godzinie pan Rochester pija herbatę? — spytałam.

— O szóstej; pan Rochester trzyma się na wsi wczesnych godzin. Ale pani powinna by się przebrać; pójdę z panią i pomogę zapiąć suknię. Tu jest świeca.

— Czy to konieczne, abym się przebrała?

— Tak, to się należy; ja się zawsze przebieram na wieczór, gdy pan Rochester tu bawi.

Ta dodatkowa ceremonia wydała mi się trochę zbyt uroczysta. Poszłam jednak do pokoju i z pomocą pani Fairfax zmieniłam czarną wełnianą suknię na czarną jedwabną; była to jedyna lepsza suknia, jaką posiadałam, z wyjątkiem jasnopopielatej; tę jednak, wedle moich pojęć wyniesionych z Lowood, uważałam za nazbyt piękną, by ją można nosić kiedy indziej niż przy uroczystych okazjach.

— Przydałaby się broszka — zauważyła pani Fairfax.

Przypięłam broszeczkę z perełką, którą mi panna Tempie przy pożegnaniu ofiarowała na pamiątkę, po czym zeszłyśmy na dół. Nie przyzwyczajonej do stykania się z obcymi, było mi trochę przykro stawiać się na takie oficjalne zaproszenie pana Rochestera. Puściłam panią Fairfax przodem, gdyśmy wchodziły do jadalni, i trzymałam się w jej cieniu, gdy przechodząc przez pokój i arkadę, której kotara była teraz spuszczona, zmierzałyśmy do eleganckiego salonu.

Dwie zapalone świece woskowe stały na stole i dwie nad kominkiem; pławiąc się w świetle i gorącu wspaniałego ognia leżał Pilot, Adelka klęczała tuż przy nim. Ujrzałam pana Rochestera na wpół leżącego na kanapce, z nogą podpartą poduszką; przyglądał się Adelce i psu: pełne światło ognia padało mu na twarz. Poznałam podróżnego o szerokich, kruczych brwiach; kwadratowe jego czoło wydawało się jeszcze bardziej kwadratowe przy gładkim uczesaniu czarnych włosów. Poznałam jego wybitny nos, raczej charakterystyczny niż piękny, pełne nozdrza świadczące o gwałtownym usposobieniu, jego surowe usta, brodę, szczękę — tak, to wszystko było strasznie surowe i groźne. Postać jego, teraz gdy nie miał na sobie płaszcza, wydała mi się zupełnie odpowiednia do charakteru twarzy: barczysta i krępa, budowa jego była doskonała w atletycznym rozumieniu słowa — szeroki w piersiach, wąski w biodrach, jednakże nie był ani wysoki, ani zgrabny.

Pan Rochester musiał dostrzec wejście pani Fairfax i moje; widocznie nie miał ochoty nas zauważyć, gdyż nie podniósł głowy, choć się zbliżyłyśmy.

— Oto panna Eyre, proszę pana — rzekła pani Fairfax spokojnie jak zawsze. Ukłonił się, nie odrywając jeszcze oczu od psa i dziecka.

— Proszę, niech panna Eyre usiądzie — rzekł; było coś w przymuszonym, sztywnym ukłonie, w niecierpliwym, choć ceremonialnym głosie, co zdawało się wyrażać: „A cóż mi, u licha, do tego, czy panna Eyre tu jest. czy jej nie ma? W tej chwili nie mam ochoty mówić do niej."

Usiadłam swobodnie; rozwiało się moje zakłopotanie. Przyjęcie nacechowane skończoną uprzejmością byłoby mnie

prawdopodobnie zmieszało; nie umiałabym się odwzajemnić, odpowiedzieć z gracją i elegancją. Ale szorstki kaprys nie zobowiązywał mnie do niczego; przeciwnie, przyzwoity spokój wobec wybryku złego humoru dawał mi pewną wyższość. A przy tym dziwaczność tego zachowania miała w sobie coś drażniącego: czekałam z zainteresowaniem, co on dalej zrobi.

Trwał dalej jak posąg, to jest ani nie mówił, ani się nie poruszył. Pani Fairfax widocznie uważała, że trzeba, aby ktoś był miły, i zaczęła mówić. Poczciwie jak zwykle — i jak zwykle raczej nudnie — ubolewała nad nawałem interesów, które gnębiły go przez cały dzień; nad trudnością, jaką mu to musiało sprawiać wobec bolesnego zwichnięcia; a potem zaczęła wychwalać jego cierpliwość i wytrzymałość.

— Pani, chętnie bym się napił herbaty — oto była jedyna odpowiedź, jaką otrzymała. Zadzwoniła czym prędzej, a gdy przyniesiono tacę, zaczęła szykować filiżanki, łyżeczki, pilnie i śpiesznie. Adelka i ja podeszłyśmy do stołu; ale pan domu nie opuścił kanapy.

— Czy będzie pani łaskawa podać filiżankę panu Rochesterowi? — zwróciła się do mnie pani Fairfax. — Adelka mogłaby wylać herbatę!

Spełniłam jej życzenie. W chwili gdy pan Rochester brał z mej ręki filiżankę, Adelka, uważając widocznie chwilę tę za odpowiednią do wstawienia się za mną, zawołała:

— Nieprawdaż, monsieur, że jest tam mały prezent dla mademoiselle Eyre w pańskim kufereczku?

— Któż mówi o prezentach? — odpowiedział mrukliwie. — Czy pani spodziewała się prezentu, panno Eyre? Czy pani przepada za prezentami? — i badawczo spojrzał mi w twarz oczami, które, jak zobaczyłam, były ciemne, gniewne i przenikliwe.

— Sama nie wiem — odpowiedziałam — brak mi w tym względzie doświadczenia; na ogół uważa się je za coś przyjemnego.

— Na ogół uważa się? Ale co pani o tym sądzi?

— Musiałabym się zastanowić, zanimbym mogła dać panu odpowiedź godną pana; na podarunek można się zapatrywać różnie, nieprawdaż? A należałoby rozważyć wszystkie względy, zanimby się coś rzekło o jego istocie.

— Panno Eyre, pani nie jest tak prostoduszna jak Adelka. Ona głośno woła o *cadeau,* jak tylko mnie zobaczy, pani kluczy.

— Ponieważ mniej mam zaufania do własnych zasług niż Adelka. Ona może się powoływać na prawo dawnej znajomości, a także na prawo zwyczaju. Mówi, że pan miał zawsze zwyczaj obdarzać ją zabawkami; ja zaś, gdybym się miała na coś powoływać, doprawdy byłabym w kłopocie, ponieważ jestem panu obca i nie uczyniłam nic takiego, co by mi dawało prawo do nagrody.

— O, niechże pani nie uderza w ton zbytecznej skromności! Przeegzaminowałem Adelkę i widzę, że pani bardzo starannie nią się zajęła; ona nie jest bardzo zdolna ani utalentowana, a jednak w krótkim czasie zrobiła duże postępy.

— Panie, teraz mi pan ofiarował *cadeau!* Jestem panu wdzięczna. To dla nauczyciela najbardziej upragniona nagroda: pochwała postępów ucznia.

— Hm! — mruknął pan Rochester i pił dalej herbatę w milczeniu.

— Usiądźcie przy kominku — powiedział, gdy zabrano tacę, a pani Fairfax zasiadła do swojej robótki; Adelka oprowadzała mnie właśnie za rękę po pokoju pokazując mi piękne książki i ozdobne drobiazgi na konsolach i szyfonierkach. Posłuchałyśmy oczywiście; Adelka była gotowa zakwaterować mi się na kolanach, ale rozkazano jej bawić się z Pilotem.

— Pani przebywa w moim domu od trzech miesięcy?

— Tak, proszę pana.

— A przybyła pani?...

— Ze szkoły w Lowood w hrabstwie X.

— Ach! Zakład dobroczynny. Jak długo była tam pani?

— Osiem lat.

— Osiem lat! Twardo się pani trzyma życia. Myślałem, że połowa tego czasu wystarczyłaby, by zniszczyć najsilniejszy organizm! Nic dziwnego, że pani wygląda po trosze jak nie z tego świata. Zadawałem sobie pytanie, skąd pani wzięła taką twarz. Gdy mi się pani ukazała wczoraj wieczór na Hay Lane, przyszły mi nagle na myśl bajki o wróżkach i krasnoludkach i prawie miałem ochotę zapytać, czy to pani urzekła mi konia: jeszcze teraz nie jestem pewien. Kim są pani rodzice?

— Nie mam rodziców.

— I zapewne nigdy ich pani nie miała; czy pani ich pamięta ?

— Nie.

— Tak też przypuszczałem. A więc czekała pani na swoich pobratymców siedząc tam na przełazie?

— Na kogo, proszę pana?

— Na tych ludków zielono ubranych; był to przecież odpowiedni dla nich wieczór księżycowy. Czy ja może przerwałem który z waszych tanecznych kręgów, że pani rozpostarła ten przeklęty lód na mojej ścieżce?

Potrząsnęłam głową.

— Wszystkie krasnoludki opuściły Anglię już sto lat temu — rzekłam, mówiąc równie poważnie jak on. — I nawet na drodze ku Hay, nawet na sąsiednich polach nie znalazłby pan śladu po nich. Sądzę, że już żaden księżyc, ani letni, ani jesienny, ani zimowy, nie oświeci więcej ich harców i tanów.

Pani Fairfax opuściła robótkę na kolana i podniosła brwi dziwiąc się, co to za rozmowa.

— Ale proszę — podjął znowu pan Rochester — chociaż pani zapiera się rodziców, musi pani przecież mieć jakichś krewnych: wujów, stryjów, ciotki?

— Nie, nie znam żadnych.

— A rodzinny dom pani?

— Nie mam domu.

— Gdzie mieszkają pani bracia i siostry?

— Nie mam ani braci, ani sióstr.

— Kto panią tutaj polecił?

— Dałam ogłoszenie w gazecie, a pani Fairfax odpowiedziała na moje ogłoszenie.

— Tak — wmieszała się dobra pani Fairfax rozumiejąc teraz, na jakim gruncie stanęliśmy — i nie ma dnia, ażebym nie dziękowała Opatrzności, że tak pokierowała moim wyborem. Panna Eyre była nieocenioną towarzyszką dla mnie, pełną dobroci i staranności nauczycielką dla Adelki.

— Niech się pani nie trudzi wystawianiem jej świadectwa — odpowiedział pan Rochester — pochwały mnie nie skaptują: polegam na własnym sądzie. Ta osoba zaczęła od tego, że przyprawiła o upadek mego konia.

— Jak to, proszę pana? — rzekła pani Fairfax.

— Jej zawdzięczam to zwichnięcie.

Wdowa słuchała zdumiona, nic nie rozumiejąc.

— Panno Eyre, czy mieszkała pani kiedy w mieście?

— Nie, proszę pana.

— Dużo pani bywała w towarzystwie?

— Jedynym moim towarzystwem były uczennice i nauczycielki w Lowood, a teraz mieszkańcy Thornfield.

— Czy dużo pani czytała?

— Tylko te książki, które przypadkiem wpadły mi w ręce, ale nieliczne i nie bardzo uczone.

— Prowadziła pani życie zakonnicy; niewątpliwie musi pani być należycie wyćwiczona w praktykach religijnych; Brocklehurst, który podobno jest dyrektorem Lowood, to duchowny, prawda?

— Tak, proszę pana.

— A wy, dziewczęta, prawdopodobnie uwielbiałyście go, tak jak klasztor pełen zakonnic uwielbia swego spowiednika?

— O, nie!

— Bardzo jest pani chłodna! Nie! Jak to? Nowicjuszka miałaby nie uwielbiać swego ojca duchownego! To brzmi jak bluźnierstwo.

— Bardzo nie lubiłam pana Brocklehursta i nie ja jedna tak czułam. To szorstki i ostry człowiek, pompatyczny i wtrącający się we wszystko; kazał nam obciąć włosy i przez oszczędność kupował dla nas złe igły i nici, tak że prawie nie mogłyśmy nimi szyć.

— To była źle zrozumiana oszczędność — zauważyła pani Fairfax, która teraz znowu chwytała nić naszej rozmowy.

— A czy na tym polegały wszystkie jego zbrodnie?

— Głodził nas, gdy sam miał w ręku zarząd działem aprowizacyjnym, zanim wyznaczono komitet, i zanudzał nas długimi kazaniami raz na tydzień oraz rozkazem codziennego wieczornego czytania książek jego pióra, traktujących o nagłych śmierciach, sądach, piekle; potem ze strachu nie mogłyśmy spać.

— Ile pani miała lat, gdy oddano panią do Lowood?

— Około dziesięciu.

— I przebywała pani tam osiem lat, więc teraz ma pani osiemnaście?

Potwierdziłam.

— Arytmetyka, jak pani widzi, przydaje się na coś; bez jej pomocy nie mógłbym chyba odgadnąć pani wieku. Trudne to jest do określenia, gdy rysy i wyraz takie są zmienne jak u pani. A teraz niech mi pani powie, czego pani się nauczyła w Lowood? Czy umie pani grać?

— Trochę.

— Naturalnie, to zwykła odpowiedź. Niech pani pójdzie do biblioteki, chciałem powiedzieć: niech pani będzie łaskawa (proszę mi darować rozkazujący ton, przywykłem do tego, nie mogę zmienić swych zwyczajów dla jednej nowej mieszkanki); a zatem, niech pani pójdzie do biblioteki, weźmie z sobą świecę, zostawi drzwi otwarte, siądzie do fortepianu i zagra coś.

Poszłam posłuszna jego rozkazom.

— Dosyć! — zawołał po kilku minutach. — Gra pani trochę, to prawda; jak każda inna angielska pensjonarka; może lepiej niż niektóre, ale niedobrze.

Zamknęłam fortepian i powróciłam. Pan Rochester mówił dalej:

— Adelka pokazywała mi dziś rano kilka szkiców, które, twierdziła, są pani dziełem. Nie wiem, czy je pani samodzielnie wykonała; prawdopodobnie nauczyciel pomagał pani?

— Ależ nie, naprawdę! -— zawołałam.

— A! urażona duma. No dobrze, niechże mi pani przyniesie swoją tekę, jeżeli mi pani zaręczy, że jej zawartość jest dziełem pani; tylko niech pani nie daje słowa, jeśli pani nie jest pewna; umiem poznać się na poprawkach.

— Wobec tego nic nie powiem, niech pan sam osądzi.

Przyniosłam tekę z biblioteki.

— Proszę przysunąć stół — rzekł. Przysunęłam stół do kanapy; Adelka i pani Fairfax podeszły blisko żeby także oglądać obrazki.

— Tylko się nie tłoczcie — rzekł pan Rochester — odbierajcie mi z

ręki rysunki, gdy je obejrzę, ale nie przysuwajcie waszych twarzy do mojej.

Powoli badał każdy szkic i obrazek. Trzy odłożył osobno, resztę odsunął po obejrzeniu.

— Niech pani to zabierze na tamten stół, pani Fair-fax, i niech pani obejrzy z Adelką, a pani — tu spojrzał na mnie — niech siada, gdzie siedziała, i odpowiada na moje pytania. Widzę, że wykonała to jedna ręka: czy to była pani ręka?

— Moja.

— A kiedy pani miała czas na malowanie? To musiało zająć sporo czasu i niemało myśli.

— Zrobiłam je podczas dwóch ubiegłych wakacji w Lowood, gdy nie miałam innego zajęcia.

— Skąd pani zaczerpnęła tematy?

— Z własnej głowy.

— Z tej głowy, którą widzę teraz na pani ramionach?

— Z tej samej.

— Czy ma ona w sobie jeszcze inne zapasy tego samego rodzaju?

— Myślę, że ma; spodziewam się, że może lepsze.

Rozłożył obrazki przed sobą i znowu badał je po kolei.

Podczas gdy pan Rochester zajęty jest oglądaniem obrazków, opowiem ci, czytelniku, co one przedstawiają; przede wszystkim muszę cię uprzedzić, że nie są niczym nadzwyczajnym. Tematy ich widziałam żywo oczami wyobraźni. Oglądając te tematy oczami ducha, zanim spróbowałam je przekazać na papier, uważałam, że są uderzające; lecz ręka moja nie potrafiła oddać mojej wizji i każdy obrazek był zaledwie słabym odbiciem mojego pomysłu.

Były to trzy akwarele. Pierwsza przedstawiała chmury, nisko

zawieszone, ołowiane, toczące się nad wzburzonym morzem. Horyzont tonął w mroku, a także i pierwszy plan czy pierwsze fale, gdyż lądu nie było na tym obrazku. Jeden promień światła uwypuklał przez pół zatopiony maszt, na którym siedział kormoran, wielki i czarny, o skrzydłach zbryzganych pianą; w dziobie trzymał złotą bransoletę wysadzaną szlachetnymi kamieniami, które iskrzyły się całym bogactwem barw, jakie potrafiłam wydobyć ze swej palety, i były tak uderzające, jak na to pozwalały moje zdolności malarskie. Poniżej ptaka i masztu nurzało się w zielonej wodzie ciało topielicy; widać było jedynie piękne ramię, z którego bransoletka została zmyta lub zdarta.

Drugi obrazek przedstawiał na pierwszym planie tylko ciemny szczyt wzgórza z trawą i kilkoma liśćmi jakby poruszanymi wietrzykiem. Poza nimi i w górze rozpościerała się przestrzeń nieba, ciemnogranatowego jak o zmroku; na tle nieba rysowało się popiersie postaci kobiecej, namalowane w barwach tak ciemnych i delikatnych, jak tylko je dobrać mogłam. Ciemne czoło wieńczyła gwiazda; rysy poniżej widoczne były jak przez warstwę mgły; oczy świeciły ciemne i gwałtowne, włosy spływały jak chmura bez promieni, szarpana burzą. Na szyi leżał słaby odblask jak gdyby światła księżycowego; ten sam odblask dotykał smugi cienkich chmurek, spomiędzy których wychylała się ta wizja Gwiazdy Wieczornej.

Trzeci obrazek ukazywał wierzchołek góry lodowej na tle polarnego zimowego nieba; zorza polarna słała krwawe światła na dalekim widnokręgu. Na przednim planie olbrzymia głowa chyliła się ku górze lodowej i opierała o nią. Dwie chude ręce, złączone poniżej czoła i dźwigające je, zasłaniały dolną część twarzy czarną zasłoną; czoło zupełnie bezkrwiste, białe jak kość, i oczy puste, martwe, pozbawione wyrazu oprócz wyrazu szklanej rozpaczy — to jedno tylko było widoczne. Nad skroniami, wśród zwojów czarnej materii turbanu, świecił krąg białych płomieni z plamami iskier żywszej barwy. Ten blady sierp światła przedstawiał ,,królewską koronę", spoczywającą na czole „czegoś, co nie ma kształtu".

— Czy pani czuła się szczęśliwa malując te obrazki? — zapytał nagle pan Rochester.

— Pochłaniała mnie robota; tak, byłam szczęśliwa. Malowanie ich

dało mi jedną z moich największych przyjemności.

— To jeszcze niewiele mówi. Mało pani zaznała przyjemności sądząc po tym, co pani sama opowiadała; ale wyobrażam sobie, że pani przebywała w jakiejś artystycznej krainie marzeń mieszając i dobierając te dziwne kolory. Długo pani siadywała nad tym codziennie?

— Nie miałam nic innego do roboty, ponieważ to były wakacje, więc też siedziałam nad tym od rana do południa i od południa do wieczora; długość dni letnich sprzyjała mojej ochocie do roboty.

— I czuła się pani zadowolona z wyników swojej gorączkowej pracy?

— O, bynajmniej! Dręczył mnie kontrast pomiędzy pomysłem a wykonaniem; w każdym wypadku wyobrażałam sobie coś, czego nie potrafiłam osiągnąć.

— Niezupełnie: pochwyciła pani cień swojej myśli, być może, że nie więcej. Nie miała pani dosyć artystycznej umiejętności i wiedzy, żeby nadać tej myśli pełne życie; ale rysunki są, jak na pensjonarkę, szczególne. Pomysły pochodzą z krainy bajek. Te oczy w Gwieździe Wieczornej musiała pani widzieć we śnie. Jak mogła im pani nadać to jasne spojrzenie, chociaż one same nie są wcale jasne, gdyż księżyc powyżej gasi ich promienie. A jakie ma znaczenie ta ich uroczysta głębia? A kto panią nauczył malować wiatr? Jest silny wiatr tam na niebie i na tym szczycie wzgórka. Gdzie pani widziała Latmos? Bo to jest Latmos. No! niech pani zabiera te rysunki!

Zaledwie zdążyłam zawiązać tasiemki teki, gdy, spojrzawszy na zegarek, zawołał nagle:

— Dziewiąta godzina! Co pani robi, panno Eyre, żeby Adelkę tak długo przetrzymywać? Niech ją pani zaprowadzi spać.

Adelka poszła pocałować go, zanim wyszłyśmy z pokoju; zniósł tę pieszczotę, ale widocznie nie zrobiło mu to większej przyjemności, niż zrobiłoby Pilotowi, a może nawet mniejszą.

— A teraz życzę wszystkim paniom dobranoc — rzekł, ruchem ręki

wskazując drzwi, jak gdyby na znak, że ma dosyć naszego towarzystwa i pragnie nas odprawić. Pani Fairfax złożyła robótkę, ja wzięłam tekę, ukłoniłyśmy się, otrzymałyśmy w zamian zimny ukłon i wyszłyśmy.

— Pani powiedziała, że pan Rochester nie jest dziwaczny, pani Fairfax — zauważyłam, gdy, położywszy spać Adelkę, przyszłam do jej pokoju.

— Czy pani uważa, że jest?

— Tak mi się wydaje; jest bardzo nierówny i popędliwy.

— Prawda; niewątpliwie musi się takim wydawać komuś obcemu, ale ja tak się przyzwyczaiłam do jego sposobu bycia, że nigdy o tym nie myślę; ale też, jeżeli ma jakie dziwactwo w swym usposobieniu, trzeba mu to wybaczyć.

— Dlaczego?

— Po części ponieważ to leży w jego naturze, a nikt z nas nie odpowiada za swoją naturę, a po części też dlatego, że ma niewątpliwie przykre myśli, które go dręczą i wpływają na nierówność jego humoru.

— Przykre myśli, o czym?

— O zmartwieniach rodzinnych przede wszystkim.

— Ależ on nie ma rodziny.

— Teraz nie, ale miał... a przynajmniej krewnych. Stracił starszego brata kilka lat temu...

— Starszego brata?

— Tak. Obecny pan Rochester nie od bardzo dawna jest właścicielem tej posiadłości; dopiero od dziewięciu lat.

— Dziewięć lat to dosyć długi czas. Czy tak bardzo kochał tego brata, że dotychczas jest niepocieszony po jego stracie?

— No nie. może nie. Zdaje mi się, że były jakieś nieporozumienia między nimi. Pan Rowland Rochester nie był zupełnie sprawiedliwy względem pana Edwarda i może źle nastawił ojca wobec niego. Stary pan bardzo kochał pieniądze i dbał o to, by dobra rodzinne pozostały w jednym ręku. Nie chciał dzielić majątku, a jednak chodziło mu o to, aby i pan Edward był bogaty dla podtrzymania znaczenia nazwiska. Toteż wkrótce po jego dojściu do pełnoletności poczyniono jakieś kroki, coś, co było nie bardzo ładne i co spowodowało wiele złego. Stary pan Rochester i pan Rowland wciągnęli pana Edwarda w jakieś bardzo przykre położenie, byle go uczynić bogatym; na czym to przykre położenie polegało, tego ja się nigdy dokładnie nie dowiedziałam; ale on nie mógł znieść tego, co miał do ścierpienia. Niechętnie przebacza; zerwał ze swoją rodziną i przez wiele lat prowadził bardzo niespokojne życie. Nie wiem, czy kiedy dłużej niż dwa tygodnie z rzędu przemieszkał w Thornfield od czasu, gdy śmierć brata bez testamentu uczyniła go panem tej majętności; i w istocie, nic dziwnego, że unika starego domu.

— Dlaczego miałby go unikać?

— Może mu się wydaje ponury.

Odpowiedź była wymijająca. Byłabym wolała usłyszeć coś wyraźniejszego; ale pani Fairfax albo nie mogła, albo nie chciała dać mi szczegółowych objaśnień co do powodu i natury przejść pana Rochestera.

Twierdziła, że dla niej samej są one tajemnicą i że to, co wie, czerpie przeważnie z domysłów. Zrozumiałam, że pragnie zmienić temat, co też uczyniłam.

ROZDZIAŁ XIV

Przez kilka następnych dni niewiele widywałam pana Rochestera. Rano bywał bardzo zajęty interesami, a po południu przyjeżdżali panowie z Millcote i sąsiedztwa i niekiedy zostawali na obiedzie. Gdy zwichnięta noga na tyle wydobrzała, że mógł dosiadać konia, zaczął dość dużo wyjeżdżać; prawdopodobnie oddawał wizyty, gdyż zazwyczaj wracał późną nocą.

W owym czasie nawet po Adelkę rzadko posyłał, a cała moja z nim znajomość ograniczała się do przypadkowych spotkań w hallu, na schodach albo na galerii; wtedy albo mnie mijał dumnie i chłodno, skinąwszy z daleka głową i musnąwszy mnie zimnym spojrzeniem, lub też niekiedy kłaniał się i uśmiechał dworsko i uprzejmie. Ta zmienność jego usposobienia nie obrażała mnie, ponieważ rozumiałam, że moja osoba nie gra w tym żadnej roli, że te zmiany nastroju wypływają z przyczyn zupełnie ze mną nie związanych.

Pewnego dnia, gdy miał gości na obiedzie, przysłał po moją tekę; niewątpliwie chciał zaprezentować jej zawartość. Panowie, jak mnie pani Fairfax objaśniła, odjechali wcześnie, zdążając na jakieś publiczne zebranie w Millcote; ponieważ jednak wieczór był chłodny i wilgotny, pan Rochester nie pojechał z nimi. Wkrótce po ich wyjeździe zadzwonił. Poproszono Adelkę i mnie na dół. Wyszczotkowałam włosy Adelki, uporządkowałam na niej ubranie, przekonałam się, że w moim zwykłym, prostym i skromnym kwakierskim stroju nie ma nic do poprawienia, nie wykluczając zaplecionych w warkocze włosów — i zeszłyśmy na dół. Adelka była zaciekawiona, czy *le petit coffre* przybył nareszcie, gdyż skutkiem jakiejś pomyłki dotychczas pozostawał w drodze. Nadzieje jej zostały spełnione; oto, gdy wchodziłyśmy do jadalnego pokoju, stało tam kartonowe pudło na stole. Adelka rozpoznała je instynktownie.

— *Ma boîte! Ma* boîte! — zawołała, pędem zmierzając ku pudełku.

— Tak, oto jest twoja *boîte* nareszcie; zabierz ją do kącika, ty rodowita córko Paryża, i zabaw się wydobywaniem z niej

wnętrzności — przemówił niski i raczej sarkastyczny głos pana Rochestera, płynący z głębi olbrzymiego fotela przy kominku. — I pamiętaj — dodał — żebyś mnie nie nudziła szczegółami tego anatomicznego zabiegu; co robisz, rób w milczeniu: *tiens-toi tranquille, enfant; comprends-tu?*

Adelka nie potrzebowała tego upomnienia; już się była schroniła na kanapę ze swoim skarbem i pracowicie rozwiązywała sznurek przytrzymujący wieko. Zdjęła je i rozwinąwszy cienką bibułkę, zawołała tylko:

— *Och, ciel! Que c'est beau!* — i zastygła w podziwie i zachwycie.

— Czy panna Eyre jest tutaj? — zapytał teraz pan domu unosząc się w fotelu, by obejrzeć się na drzwi, przy których dotąd stałam. — A! dobrze, niech się pani przybliży; niech pani tutaj usiądzie — przyciągnął fotelik do swojego. — Nie lubię gadulstwa dzieci — mówił dalej — jako stary kawaler nie znajduję nic miłego w ich paplaninie. Nieznośnie byłoby dla mnie spędzić cały wieczór *tête-à-tête* z małym brzdącem. Niechże pani nie odsuwa tego fotelika, panno Eyre; niech pani usiądzie tu właśnie, gdzie go umieściłem... Jeśli pani łaskawa, chciałem powiedzieć... Ach, te grzeczności... wciąż o nich zapominam.

Ani też nie przepadam za prostodusznymi starszymi paniami. Nawiasem mówiąc, muszę pamiętać o mojej; nie wypada mi jej zaniedbywać; ona jest Fairfax czy też zamężna za Fairfaxem, a przecież to nasza krew. Zadzwonił i kazał poprosić panią Fairfax, która przybyła niebawem z koszyczkiem do roboty w ręku.

— Dobry wieczór pani, posłałem po panią mając cel miłosierny na oku. Zakazałem Adelce mówić do mnie o prezentach, które otrzymała, a ona pęka od nawału hamowanych słów; niechże pani będzie tak dobra wysłuchać i odpowiadać jej; będzie to jeden z najlitościwszych uczynków, jakie pani kiedykolwiek spełniła.

Adelka istotnie, skoro tylko ujrzała panią Fairfax, zaciągnęła ją do siebie na kanapę i tam wytrząsnęła na jej kolana skarby ze swojej *boîte,* skarby porcelanowe, z kości słoniowej i wosku, sypiąc równocześnie objaśnieniami i zachwytami w łamanej angielszczyźnie.

— Teraz, kiedy spełniłem rolę dobrego gospodarza — ciągnął pan Rochester dalej — kiedy dałem gościom moim sposobność do zabawienia się ze sobą, powinno mi być wolno pomyśleć o własnej mojej przyjemności. Panno Eyre, niechże się pani wysunie trochę bardziej naprzód; siedzi pani zanadto w tyle; nie mogę pani widzieć bez wykręcania się w tym wygodnym fotelu, a na to nie mam ochoty.

Zrobiłam, jak sobie życzył, choć byłabym wolała pozostać trochę w cieniu; jednakże pan Rochester jakoś tak po prostu rozkazywał, że zdawało się rzeczą naturalną posłusznie się do niego stosować.

Znajdowaliśmy się, jak już wspomniałam, w jadalni; świecznik, który zaświecono do obiadu, wypełniał pokój świąteczną jasnością; obfity ogień płonął czerwonym blaskiem, purpurowe portiery zwieszały się, bogate i sute, u wysokiego okna i jeszcze wyższej arkady. Ciszę przerywało tylko przygłuszone paplanie Adelki (nie ośmieliła się mówić głośno), a w przerwach uderzenia zimowego deszczu o szybę.

Pan Rochester, siedząc w adamaszkiem krytym fotelu, wyglądał inaczej, niż gdy widziałam go pierwej, nie tak surowo — o wiele mniej chmurnie. Uśmiech miał na ustach i oczy jego błyszczały; nie jestem pewna, czy nie na skutek wina, ale przypuszczam, że bardzo to było możliwe. Słowem, był w swoim poobiednim usposobieniu przystępniejszy, swobodniejszy, a zarazem bardziej sobie folgujący niż w tym porannym, zimnym i sztywnym nastroju. Ale i tak dostatecznie groźnie wyglądał, oparty potężną głową o tył wyściełanego fotela, gdy światło ognia padało na jego jak z granitu wykute rysy i wielkie, ciemne oczy; miał bowiem wielkie, ciemne i bardzo piękne oczy, w których głębi jawiło się chwilami coś, co jeśli nie było błyskiem łagodności, to przynajmniej łagodność przywodziło na myśl.

Pan Rochester patrzył *ze* dwie minuty w ogień, a ja przez ten czas przyglądałam się jemu, gdy nagle, podniósłszy oczy, pochwycił moje spojrzenie utkwione w jego twarzy.

— Pani mi się przygląda, panno Eyre — powiedział — czy pani uważa, że jestem przystojny?

Gdybym się była zastanowiła, byłabym mu na to odpowiedziała coś konwencjonalnego i nieokreślonego; jakoś jednakże odpowiedź wymknęła mi się, zanim się spostrzegłam:

— Nie, proszę pana.

— A! słowo daję! w pani jest coś dziwnego — powiedział. — Wygląda pani jak mała myszka; skromna, spokojna, poważna i prosta, gdy pani tak siedzi *z* rączkami złożonymi i oczami najczęściej utkwionymi w dywan (o ile ich pani nie zatopi przenikliwie w mojej twarzy jak przed chwilą), a gdy zadać pani pytanie albo zrobić uwagę, na którą pani musi odpowiedzieć, bez ceremonii rąbie pani odpowiedź, jeżeli nie niegrzeczną, to co najmniej szorstką. Co pani przez to rozumie?

— Dałam odpowiedź nazbyt prostą, proszę pana; bardzo pana przepraszam. Powinnam była odpowiedzieć, że niełatwo dać nieprzemyślaną odpowiedź na zapytanie w kwestii powierzchowności; że gusta są przeważnie różne; że piękność małe ma znaczenie lub coś w tym rodzaju.

— Nic podobnego nie powinna była pani odpowiedzieć! Piękność małe ma znaczenie? Doprawdy! I tak pod pozorem zacierania spełnionej obrazy, pod pozorem ugłaskania i ułagodzenia mnie pakuje mi pani scyzoryk pod ucho! Niechże pani dalej mówi: co się pani we mnie nie podoba, proszę? Sądzę, że wszystkie członki moje i wszystkie rysy są takie jak u innych ludzi.

— Panie Rochester, niech pan pozwoli, że odwołam pierwotną odpowiedź; nie chciałam dotknąć pana odpowiedzią, wypsnęło mi się.

— Właśnie. I ja tak myślę, ale poniesie pani za to odpowiedzialność. Niech mnie pani krytykuje: czy moje czoło nie podoba się pani?

Odgarnął czarną falę włosów i odsłonił potężnie zakreślone, inteligentne czoło, na którym wszakże widniał brak w miejscu, gdzie łagodna linia dobrotliwości powinna się była znajdować.

— I cóż, łaskawa pani, czy jestem głupcem?

— O, w żadnym razie! Ale powie pan może, że jestem niegrzeczna, jeżeli zapytam, czy pan jest filantropem?

— Masz tobie! Znowu ukłucie scyzorykiem, podczas kiedy udawała, że głaska mnie po głowie, i to dlatego, że powiedziałem, iż nie lubię towarzystwa dzieci i starych kobiet (ale o tym nie wolno głośno mówić!). Nie, moja panienko, ja nie jestem filantropem na szeroką skalę, ale mam sumienie — tu wskazał wypukłości, które mają świadczyć o tej właściwości, a które, na jego szczęście, dosyć były widoczne, nadając wybitną szerokość górnej części jego głowy. — A przy tym miałem niegdyś pewną wrodzoną miękkość serca. Gdy byłem w pani wieku, wcale uczuciowym byłem chłopcem; sprzyjałem pokrzywdzonym, opuszczonym i nieszczęśliwym. Ale odtąd rozmaicie los mną poniewierał: tak mnie nawet wygniótł swymi pięściami, że stałem się, pochlebiam to sobie, twardy i giętki jak piłka gumowa, do której uczucie jeszcze zawsze przenika przez parę pozostałych szczelin, i z jednym wrażliwym punkcikiem w samym środku. Tak; czy pozostaje mi wobec tego jeszcze jakakolwiek nadzieja?

— Na co, proszę pana?

— Na ostateczne przeobrażenie się z powrotem z gumy w żywe ciało?

„Stanowczo wypił za wiele wina" — pomyślałam i nie wiedziałam, co na to dziwne zapytanie odpowiedzieć; skądże ja mogłam wiedzieć, czy on może raz jeszcze się przeobrazić?

— Ma pani bardzo zakłopotaną minkę, a chociaż pani nie jest ładna, tak jak ja nie jestem przystojny, jednak *z* tym wyrazem zakłopotania jest pani do twarzy; a przy tym jest mi z tym wygodnie, gdyż zakłopotanie odrywa te badawcze oczy pani od mojej fizjonomii i kieruje je na kwiaty na dywanie; więc niechże się pani dalej kłopocze i dziwi. Panienko, jestem dziś wieczór usposobiony towarzysko i rozmownie!

To oświadczywszy wstał z fotela i stanął, oparłszy się ramieniem o marmurowy gzyms kominka; w tej postawie widziało się wyraźnie zarówno jego postać, jak i twarz, tę niezwykłą szerokość w piersiach, prawie nieproporcjonalną w stosunku do wysokości.

Jestem pewna, że większość ludzi nazwałaby go brzydkim; jednakże tyle było nieświadomej dumy w jego postaci, tyle swobody w obejściu, taki wyraz zupełnej obojętności na własny wygląd zewnętrzny, a wyniosłego polegania na wartości innych zalet, że wynagradzało to brak fizycznej urody i sprawiało, że patrząc na niego musiało się podzielać jego obojętność i w jakiś niewytłumaczony sposób wierzyć, że słusznie jest pewny siebie.

— Tak — powtórzył — jestem dziś wieczór usposobiony towarzysko i rozmownie i dlatego poprosiłem panią tutaj. Ogień i świecznik nie wystarczają mi jako towarzystwo ani nawet Pilot, gdyż wszystko to nie umie gadać. Z Adelką już sprawa trochę lepiej stoi, chociaż także marnie; podobnie z panią Fairfax. Pani, jestem pewien, potrafiłaby prowadzić ze mną konwersację na poziomie, gdyby tylko zechciała; zaciekawiła mnie pani pierwszego wieczora, gdy panią tu poprosiłem. Odtąd prawie o pani zapomniałem; inne myśli wypędziły mi panią z głowy; ale dziś wieczór postanowiłem dać sobie swobodę, odegnać to, co trapi, a przyzwać to, co miłe. Otóż sprawiłoby mi przyjemność wyciągnąć coś niecoś z pani, dowiedzieć się czegoś więcej o pani; a więc niech pani mówi.

Zamiast mówić, uśmiechnęłam, się — nie bardzo ulegle ani potulnie.

— Niech pani mówi! — nalegał.

— O czym mam mówić?

— O czym pani chce. Zostawiam pani w zupełności wybór tematu i sposób jego traktowania.

Wobec tego siedziałam dalej, milcząc. „Jeżeli on myśli, że ja będę mówiła dla samego mówienia i popisywania się, to przekona się, że udał się pod fałszywy adres" — pomyślałam.

— Pani milczy, panno Eyre?

Milczałam dalej. Nachylił trochę głowę ku mnie i jedno szybkie spojrzenie zatopił w moich oczach.

— Uparta? — powiedział — i dotknięta. Ach, nic dziwnego.

Wyraziłem prośbę w sposób niemądry, nieledwie impertynencki. Panno Eyre, przepraszam panią. Fakt faktem, i to raz na zawsze, że nie chcę pani traktować jak kogoś niższego od siebie: to jest — tu się poprawił — że mam pretensję do takiej tylko wyższości, jaką nadaje dwadzieścia lat różnicy wieku i całe sto lat więcej doświadczenia. To jest słuszne, *et j'y tiens*, jak by powiedziała Adelka; otóż na zasadzie tej wyższości, tej jedynie, pragnę, by pani zechciała pomówić ze mną trochę i odwróciła moje myśli, które gorzknieją od kręcenia się dokoła jednego punktu, rdzewieją jak stary gwóźdź.

Raczył dać wytłumaczenie, niemal przepraszał; nie byłam nieczuła na jego dobrą wolę, nie chciałam się też laką wydawać.

— Chętnie przyczyniłabym się do rozweselenia pana, jeślibym potrafiła, bardzo chętnie; ale nie potrafię wybrać tematu, gdyż nie wiem, co by pana mogło zainteresować. Niech mi pan zadaje pytania, postaram się odpowiadać na nie.

— A więc przede wszystkim, czy zgadza się pani ze mną, że mam prawo mieć niekiedy wobec pani ton nieco rozkazujący, kategoryczny, że mam prawo być może czasem wymagający na podstawie powodów, które wymieniłem, a mianowicie, że mógłbym być pani ojcem i wiele doświadczyłem w życiu mając do czynienia z wieloma ludźmi i narodami, przewędrowawszy z połowę kuli ziemskiej, podczas gdy pani żyła spokojnie wśród jednego typu ludzi i w jednym domu?

— Niech pan robi, jak się panu podoba.

— To nie jest odpowiedź, a raczej to odpowiedź bardzo drażniąca, ponieważ jest bardzo wymijająca. Niech pani odpowie wyraźnie.

— Nie sądzę, żeby pan miał prawo rozkazywać mi jedynie dlatego, że jest pan starszy ode mnie albo że pan poznał więcej świata ode mnie; prawo do wyższości zależy od tego, jaki pan zrobił użytek z tych lat i doświadczenia.

— Hm! Łatwo to powiedzieć! Ale ja się na to nie zgadzam, gdyż nie poparłoby to wcale mojej sprawy, ponieważ ja zrobiłem marny, jeśli nie wprost zły użytek tak z jednego, jak i drugiego. Pozostawiając

więc kwestię wyższości na boku, musi się pani jednak zgodzić na to, by od czasu do czasu przyjmować ode mnie rozkazy nie czując się dotknięta ani obrażona rozkazującym tonem. Cóż, zgadza się pani?

Uśmiechnęłam się: pomyślałam w duchu, że pan Rochester jednak jest dziwny — zdaje się zapominać, że płaci mi trzydzieści funtów rocznie za prawo wydawania mi rozkazów.

— Uśmiecha się pani. to dobrze — rzekł chwytając natychmiast ten przelotny wyraz. — Ale ja czekam na słowa.

— Pomyślałam, proszę pana, że bardzo niewielu chlebodawców zadawałoby sobie trud dopytywania, czy ich rozkazy dotykają albo obrażają tych, którzy im służą za pieniądze.

— Służą za pieniądze! Co? To pani mi służy za pieniądze? Ach, tak, zapomniałem o pensji. Dobrze; a więc czy na tej pieniężnej podstawie pozwoli mi pani występować czasem w roli pana wydającego rozkazy?

— Nie, proszę pana, nie na tej podstawie, ale na tej, że pan zapomniał o tym, że mi płaci, i że dba pan o to, czy człowiek zależny czuje się dobrze w tej roli; na tej podstawie zgadzam się jak najchętniej.

— I nie weźmie mi pani za złe, jeżeli poniecham wielu konwencjonalnych form i frazesów, nie będzie się pani dopatrywała w tym ubliżającej impertynencji?

— O, z pewnością nie pomylę się w tym względzie i nie poczytam nieoficjalnego traktowania mnie za impertynencję; lubię raczej nieoficjalne traktowanie, a impertynencji nie zniósłby żaden człowiek wolny, nawet za zapłatę.

— Głupstwo! Większość ludzi wolnych zniesie wszystko za zapłatę. Toteż niech pani mówi za siebie, a nie wdaje się w uogólnienia co do rzeczy, o których pani nic a nic nie wie. Pomimo to w myśli ściskam dłoń pani za tę odpowiedź, choć niezupełnie trafną; i to zarówno za treść odpowiedzi, jak i za ton jej wypowiedzenia; ton był otwarty i szczery, nieczęsto się człowiek spotyka z takim tonem; nie, przeciwnie, afektacja albo chłód, albo głupie, ordynarne

niezrozumienie intencji bywają zwykłą nagrodą za szczerość. Nie wiem, czy na trzy tysiące nauczycielek prosto z pensji trzy odpowiedziałyby mi tak, jak pani przed chwilą. Ale ja nie chcę pani schlebiać; jeżeli jest pani inna niż większość, to nie pani w tym zasługa. To dar wrodzony. A zresztą, może ja ostatecznie za prędko wyciągam wnioski: może się pani jeszcze okazać nie lepsza od reszty; może pani mieć nieznośne wady równoważące parę zalet.

„I pan też!" — pomyślałam. Wzrok mój zetknął się z jego wzrokiem w chwili, gdy ta myśl przebiegła mi przez głowę; odczytał ją widocznie z mojego spojrzenia, gdyż odpowiedział, jak gdybym ją była wypowiedziała słowami.

— Tak, tak, ma pani słuszność; mam wiele wad; wiem o tym i nie myślę się ich wypierać, zapewniam panią. Bóg widzi, że nie powinienem być nadto surowy względem innych, mam przeszłość, mam wiele uczynków i taki rodzaj życia za sobą, które, gdy je oglądam w pamięci, zniewalają mnie do przenoszenia szyderstwa i krytyki z bliźnich na samego siebie. Wszedłem albo raczej (gdyż jak inni błądzący lubię składać winę na zły los i wrogie okoliczności) zostałem wepchnięty na złą drogę, gdy miałem lat dwadzieścia jeden, i nigdy odtąd nie odnalazłem właściwej drogi; mogłem jednak być zupełnie inny; mogłem być tak dobry jak pani, mądrzejszy, prawie równie nieskalany. Zazdroszczę pani spokoju duszy, czystego sumienia, pamięci bez zmazy. Dziewczątko, pamięć bez zmazy, bez zatrutej plamy to musi być skarb nieoceniony, niewyczerpane źródło czystego, odświeżającego pokrzepienia, czy tak nie jest?

— A jaka była pańska pamięć, gdy pan miał lat osiemnaście?

— O, wtedy! była czysta, zdrowa; wtedy zepsuta woda nie zamieniła jej jeszcze w zgniłą kałużę. Byłem równy pani, gdy miałem lat osiemnaście, zupełnie równy pani. Natura chciała stworzyć ze mnie na ogół dobrego człowieka, panno Eyre: człowieka lepszego gatunku, a widzi pani, że taki nie jestem. Pani chciałaby powiedzieć, że pani tego nie widzi, a przynajmniej pochlebiam sobie, że czytam to w pani oczach (niechże pani strzeże swoich oczu, gdyż ja szybko chwytam ich mowę!). Więc niechże pani uwierzy moim słowom: nie jestem żadnym niegodziwcem, tego niech pani nie przypuszcza, nie przypisuje mi jakichś takich

szczytów złego; ale szczerze w to wierzę, że wskutek raczej okoliczności niż wrodzonych skłonności jestem zwykłym, pospolitym grzesznikiem, wytartym we wszelakich drobnych i marnych rozrywkach, jakimi bogaci nicponie starają się zapełnić życie. Dziwi się pani, że się do tego przed nią przyznaje? Niechże pani wie o tym że w biegu dalszego życia często stanie się pani mimowolną powiernicą tajemnic swoich znajomych; ludzie instynktownie odkryją, lak jak ja to uczyniłem, że pani silną stroną nie jest mówienie o sobie, ale słuchanie, gdy inni o sobie mówią. Odczują też, że pani słucha bez złośliwej pogardy dla ich nierozwagi, ale *z* jakimś wrodzonym współczuciem, przynoszącym pociechę i dodającym siły, choć pani hamuje objawy tego współczucia.

— Skąd pan to wie?... Jak pan to wszystko mógł odgadnąć?

— Wiem to dobrze; toteż mówię dalej prawie tak swobodnie, jak gdybym spisywał swoje myśli w dzienniku. Mogłaby pani powiedzieć, że powinienem był być wyższy ponad okoliczności; tak, powinienem był — powinienem, ale widzi pani, nie byłem. Gdy los mnie skrzywdził, nie miałem dosyć rozumu, by zachować zimną krew: rozpacz mnie ogarnęła, a potem zaczął się mój upadek. Teraz, gdy jakiś rozpustny dureń budzi wstręt we mnie swoją marną rozwiązłością, nie mogę sobie pochlebiać, że jestem lepszy od niego; zmuszony jestem wyznać, że on i ja jesteśmy na jednym poziomie. Żałuję, że się nie oparłem. Bóg widzi, że żałuję! Niech się pani obawia wyrzutów sumienia, gdy pokusa zbłądzenia stanie przed panią, panno Eyre! Wyrzut sumienia to trucizna życia.

— Powiadają, że żal leczy.

— Nie leczy wyrzutu sumienia. Poprawa mogłaby być uleczeniem; a ja byłbym zdolny do poprawy, jeszcze by mi starczyło siły, gdyby... lecz na cóż się przyda myśleć o tym, gdy się jest skrępowanym, obciążonym, przeklętym, tak jak ja jestem? Zresztą, skoro szczęście zostało mi nieodwołalnie wzbronione, mam prawo do przyjemności życia i będę je miał, mniejsza o to, jakim kosztem.

— Ale wtedy upadnie pan jeszcze niżej.

— Być może; choć dlaczegóż miałbym upaść, gdybym mógł

osiągnąć słodką, świeżą przyjemność? A mógłbym ją dostać tak słodką i świeżą jak ten miód, który pszczoła zbiera na wrzosowisku.

— Pszczoła ukłuje, miód będzie miał posmak goryczy.

— Skąd pani wie?... Nigdy go pani nie kosztowała. Jak bardzo poważną, jak bardzo uroczystą ma pani minę, a jest pani równie nieświadoma jak ta oto kamea (tu wziął do ręki kameę z gzymsu kominka). Nie wolno pani prawić mi kazań, moja neofitko, bo pani jeszcze nie przebyła przedsionka życia i absolutnie nie zna tajemnic tego życia.

— Ja panu tylko przypominam jego własne słowa: powiedział pan, że błąd sprowadza wyrzuty sumienia, a wyrzuty sumienia nazwał pan trucizną życia.

— Ale któż teraz mówi o błędach? Nie zdaje xni się, by myśl, która mi teraz przebiegła przez głowę, miała być błędem. Sądzę, że była raczej natchnieniem niż pokusą: taka była pogodna, taka kojąca, wiem to. Wraca znowu! To nie żaden zły duch, zapewniam panią; a jeżeli tak, to przybrał szaty anioła światłości. Myślę, że trzeba mi wpuścić tak jasnego gościa, gdy szuka wejścia do mego serca.

— Niechaj mu pan nie ufa; to nie jest anioł prawdziwy.

— Jeszcze raz pytam skąd pani to może wiedzieć? Jakim instynktem rozróżnia pani rzekomo między upadłym serafem otchłani a posłem wiekuistego tronu? Pomiędzy przewodnikiem a uwodzicielem?

— Sądziłam po pańskiej twarzy, która miała wyraz wzburzenia, gdy pan mówił, że myśl owa nawiedziła pana znowu. Jestem pewna, że narazi się pan na większe jeszcze cierpienia, jeśli jej pan posłucha.

— Bynajmniej, niesie ona najmilszą wieść w świecie; a zresztą, nie jest pani stróżem mojego sumienia, więc niech się pani nie niepokoi. Pójdź, przyjdź do mnie, miły wędrowniku!

Powiedział to, jak gdyby mówił do jakiegoś zjawiska, jemu tylko widomego; po czym, złożywszy na piersiach ręce, które przedtem wyciągnął, zdawał się tulić w objęciach istotę niewidzialną.

— Oto — zwrócił się znowu do mnie — przyjąłem pielgrzyma, bóstwo przebrane, jak gotów jestem wierzyć. Już teraz czuję jego dobry wpływ; moje serce było dotychczas rodzajem kostnicy; odtąd będzie ołtarzem.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć, zupełnie pana nie rozumiem; nie mogę podtrzymać rozmowy, gdyż przechodzi ona moje pojęcie. Jedno tylko wiem: powiedział pan, że nie jest tak dobry, jak by pragnął być, i że żałuje pan swych własnych uchybień; jedno mogę zrozumieć: powiedział pan, że pamięć zbrukana to stała trucizna. Wydaje mi się, iż gdyby pan szczerze usiłował, potrafiłby pan stać się godnym własnego uznania i że gdyby od dziś dnia zaczął pan wytrwale udoskonalać swoje myśli i czyny, uskładałby pan w niewiele lat zasób nowych i nieskalanych wspomnień, do których mógłby pan z przyjemnością powracać.

— Trafnie pomyślane, dobrze powiedziane, panno Eyre; toteż ja w tej chwili energicznie brukuję drogę do piekieł.

— Jak to?

— Brukuję ją dobrymi chęciami, które uważam za trwałe jak kamień. To pewne, że towarzystwo, w którym się obracam, i moje dążenia będą odtąd inne.

— I lepsze?

— I lepsze; o tyle lepsze, o ile czysty metal jest lepszy od nieczystej rudy. Pani zdaje się wątpić we mnie; ja w siebie nie wątpię: wiem, jaki jest mój cel, wiem, jakie są moje pobudki; w tej chwili wydaję prawo niezmienne jak prawo Medów i Persów, że jedne i drugie jest słuszne.

— Nie mogą być słuszne, proszę pana, jeżeli potrzebują nowego statutu, który by je legalizował.

— Są słuszne, panno Eyre, chociaż absolutnie wymagają nowego statutu: niebywałe kombinacje okoliczności domagają się nowych, niebywałych regulaminów.

— Jest to twierdzenie niebezpieczne, panie, ponieważ od razu się

widzi, że może dać pole do nadużyć.

— Mądry sędzio, tak też jest; ale ja przysięgam na moje domowe bogi, że ja bym tego prawa nie nadużył.

— Pan jest istotą ludzką i ułomną.

— Jestem, to prawda; i pani również; cóż z tego?

— Istoty ludzkie i ułomne nie powinny przywłaszczać sobie władzy, którą tylko boskim i doskonałym istotom powierzyć można bezpiecznie.

— Jakiej władzy?

— Władzy orzekania o jakiejś niezwykłej, nie usankcjonowanej drodze postępowania, że „jest słuszna".

— Słuszna jest! O te słowa właśnie chodzi: pani je wyrzekła.

— Oby przeto była słuszna — odpowiedziałam wstając, gdyż uważałam, że daremną rzeczą byłoby przedłużać dyskusję tak niejasną dla mnie. Zdawałam sobie też sprawę, że charakteru mego rozmówcy przeniknąć nie mogę, a przynajmniej nie mogę jeszcze na razie; odczuwałam przy tym niepewność i nieokreślone niebezpieczeństwo idące w parze z niewiedzą.

— Dokąd pani idzie?

— Idę położyć Adelkę spać; o tej porze powinna być w łóżku.

— Pani się mnie boi, ponieważ mówię jak sfinks.

— Pańska mowa jest zagadkowa, ale chociaż mnie oszałamia, nie boję się przecież.

— Boi się pani; pani miłość własna boi się kompromitacji.

— Pod tym względem, to prawda, czuję lęk, nie chciałabym powiedzieć czegoś niemądrego.

— A gdyby nawet, powiedziałaby to pani tak poważnie i spokojnie,

że ja przez pomyłkę wziąłbym to za coś mądrego. Czy pani się nigdy nie śmieje, panno Eyre? Niech się pani nie sili na odpowiedź; ja widzę, że pani się rzadko śmieje, ale potrafi pani śmiać się bardzo wesoło. Niech mi pani wierzy, nie jest pani z natury bardzo surowa, tak jak ja nie jestem z natury człowiekiem zepsutym. Przymus, nabyty w Lowood, jeszcze się jakoś pani trzyma, panuje nad wyrazem twarzy, tłumi głos pani, krępuje swobodę ruchów; pani się lęka w obecności mężczyzny, który jest dla pani bratem albo ojcem, albo zwierzchnikiem, albo kimkolwiek bądź, uśmiechnąć się zbyt wesoło, mówić zbyt swobodnie albo poruszać się zbyt prędko. Z czasem jednak nauczy się pani być naturalna ze mną, tak jak dla mnie jest rzeczą niemożliwą być z panią konwencjonalnym; a wtedy i twarz pani, i pani ruchy nabiorą więcej żywości i urozmaicenia niż przy obecnym nieśmiałym skrępowaniu. Widzę u pani chwilami spojrzenie ciekawego ptaszka wyzierającego spoza gęstych prętów klatki: żwawy, niespokojny, rezolutny więzień tam siedzi; gdyby tylko był wolny, frunąłby pod obłoki. Więc koniecznie chce pani już iść?

— Wybiła dziewiąta, proszę pana.

— Mniejsza z tym, niech pani chwilę poczeka. Adelka jeszcze nie chce iść spać. Siedząc plecami do ognia, a twarzą do pokoju mogę wszystko obserwować. Rozmawiając z panią przyglądałem się też chwilami Adelce (mam swoje powody, by uważać ją za ciekawe studium; powody, które może... nie, które na pewno wyjawię pani kiedyś). Jakieś dziesięć minut temu wyciągnęła ze swego pudła różową jedwabną sukienkę; zachwyt rozpromienił jej twarz, gdy ją rozłożyła. Kokieteria płynie w jej żyłach, przenika jej mózg, sięga do szpiku kości. „Muszę ją przymierzyć — zawołała — i to natychmiast!" I wypadła z pokoju. Teraz jest ze swoją Sophie i stroi się, za parę minut powróci i wiem, co zobaczę: miniaturę Celiny Varens, jak się ukazywała na deskach przy podniesieniu... Ale mniejsza z tym. Jednak w moje najczulsze uczucia uderzy teraz cios; takie mam przeczucie; niechżeż się pani zatrzyma, by się przekonać, czy mam rację.

Po niedługiej chwili drobne nóżki Adelki zatupotały po podłodze hallu. Weszła przebrana, jak jej opiekun przepowiedział. Różowa atłasowa sukienka, bardzo krótka, ale ogromnie szeroka w

obwodzie, zastąpiła brązową wełnianą, którą wpierw miała na sobie; wianuszek z pączków różanych wieńczył jej głowę; na nogach miała jedwabne pończochy i malutkie białe atłasowe sandałki.

— *Est-ce que ma robe va bien?* — zawołała wysuwając się naprzód. — *Et mes souliers? et mes bas? Tenez, je crois que je vais danser!*

I rozszerzając rączkami spódniczkę, krokiem tanecznym sunęła przez pokój; przed panem Rochesterem zawirowała lekko na palcach, a potem przyklękła u jego stóp na jedno kolano, wołając:

— *Monsieur, je vous remercie mille fois de votre bonté?* — Po czym powstawszy, dodała: — *C'est comme cela que maman faisait, n'est-ce pas, monsieur?*

— Zupełnie tak! — brzmiała odpowiedź. — I *comme cela* wyczarowywała angielskie złoto z mojej brytyjskiej kieszeni. Zielony wtedy byłem, oj, zielony, panno Eyre! Wiosenna świeżość była wtedy we mnie taka, jaka dzisiaj jest w pani! Wiosna moja minęła, ale zostawiła mi w ręku ten francuski kwiatek, którego czasem, gdy mnie napadnie pewien nastrój, najchętniej bym się pozbył. Nie ceniąc już łodygi, na której zakwitł, a którą tylko złotym proszkiem można było podlewać, niezupełnie lubię ten kwiatek, zwłaszcza gdy wygląda tak sztucznie jak właśnie w tej chwili. Utrzymuję to dziecko i wychowuję je raczej na rzymskokatolickiej zasadzie zadośćuczynienia za liczne grzechy, wielkie i małe, przy pomocy jednego dobrego uczynku. Wszystko to kiedyś wytłumaczę. Dobranoc.

ROZDZIAŁ XV

Pan Rochester przy innej sposobności wytłumaczył mi to. Raz po południu spotkał przypadkiem mnie i Adelkę w ogrodzie; a gdy mała bawiła się i dokazywała z Pilotem, zaproponował mi, bym się z nim przeszła po długiej alei bukowej, skąd można było mieć Adelkę na oku.

Powiedział mi wtedy, że Adelka jest córką francuskiej baletnicy operowej Celiny Varens, dla której niegdyś żywił *une grande passion,* jak się wyraził. Ten afekt Celina, wedle swoich zapewnień, podzielała z większym jeszcze zapałem. Wierzył, że chociaż brzydki, jest jej bożyszczem, wierzył, że ona przenosi jego budowę atlety nad wytworność Apollina Belwederskiego.

— I, panno Eyre, tak mi schlebiały względy galijskiej sylfidy dla brytyjskiego gnoma, że zainstalowałem ją w pałacyku, sprawiłem jej całe urządzenie, służbę, powóz, kaszmiry, diamenty, koronki itd. Słowem, zacząłem się rujnować w sposób przyjęty, jak każdy inny zakochany żółtodziób. Jak gdyby mnie nie stać było na oryginalność; zamiast wytknąć sobie inną drogę wiodącą do hańby i zepsucia, kroczyłem starym, utartym szlakiem z głupią dokładnością, byle nie zboczyć o cal z ubitego toru. Spotkał mnie — tak jak na to zasługiwałem — los wszystkich innych zakochanych głuptasów. Zaszedłszy przypadkiem pewnego wieczora, gdy Celina się mnie nie spodziewała, nie zastałem jej w domu. Wieczór był ciepły, a że byłem zmęczony chodzeniem po Paryżu, więc usiadłem w jej buduarze, szczęśliwy, że mogę oddychać powietrzem uświęconym niedawną jej obecnością. Nie, przesadzam; nigdy nie myślałem, by była w niej jakaś uświęcająca cnota; zostawiła za sobą raczej woń perfum niż świętości. Powietrze, przesycone zapachem kwiatów i perfum, zaczynało mnie dusić, więc otworzyłem okno i wyszedłem na balkon. Świecił księżyc, świeciły również lampy gazowe, było cicho i pogodnie. Na balkonie stał fotel, usiadłem i wyjąłem cygaro; jeśli pani pozwoli, to i teraz jedno wypalę.

Tu pan Rochester zrobił przerwę; wyjął i zapalił cygaro i wypuściwszy kilka kłębów wonnego dymu w mroźne, bezsłoneczne powietrze, mówił dalej:

— Cukierki też lubiłem w owych czasach, panno Eyre, i właśnie kolejno chrupałem czekoladki i paliłem cygaro (proszę wybaczyć to barbarzyństwo) przyglądając się ekwipażom przejeżdżającym przez modne ulice ku pobliskiej operze, gdy w eleganckim, krytym powozie, zaprzężonym w parę pięknych angielskich koni, rozpoznałem *la voiture*, którą ofiarowałem, był Celinie. Wracała. Serce moje, naturalnie, zabiło z niecierpliwości, gdy przechyliłem się przez żelazną balustradę. Powóz zatrzymał się, jak się tego spodziewałem, przed bramą pałacyku; moja flama (to właśnie jest odpowiednia nazwa dla takiej operowej kochanki) wysiadła. Chociaż była otulona w płaszcz — zupełnie niepotrzebnie, nawiasem mówiąc, w tak ciepły czerwcowy wieczór — poznałem ją od razu po maleńkiej nóżce, widocznej spod sukni, gdy zeskakiwała ze stopnia powozu. Wychylając się z balkonu miałem właśnie szepnąć: *„Mon ange!",* tonem, naturalnie, dosłyszalnym jedynie dla ucha miłości, gdy druga jakaś postać wyskoczyła z powozu w ślad za nią — postać również w płaszcz otulona; jednakże ta noga zabrzęczała ostrogą o trotuar i głowa w męskim kapeluszu przesunęła się pod sklepioną bramą pałacyku.

Pani, panno Eyre, nigdy nie odczuła zazdrości, prawda? Naturalnie, że nie; nie potrzebuję pani pytać, ponieważ pani nigdy nie zaznała, co to miłość. Obydwa te uczucia pozna pani jeszcze *z* doświadczenia; dusza pani śpi, musi przyjść jeszcze ten wstrząs, który ją obudzi. Pani sobie wyobraża, że całe życie płynie tak spokojnie jak dotychczas młodość pani. Płynąc przed siebie z zamkniętymi oczami i zatkanymi uszami, nie widzi pani skał podwodnych ani nie słyszy rozbijających się o ich podstawę bałwanów. Ale ja pani mówię — i niech pani zapamięta moje słowa — dojdzie pani kiedyś do skalistego przejścia w kanale, gdzie cały strumień życia rozbija się w wirach i zamęcie, w łoskocie i pianie — i albo ostre skały rozbiją panią na atomy, albo jakaś potężna fala dźwignie panią i uniesie spokojniejszym prądem jak mnie w tej chwili.

Lubię taki dzień; lubię to niebo stalowe; lubię surowość i ciszę tego

mroźnego świata. Lubię Thornfield, jego staroświeckość, ustronność, stare drzewa pełne gniazd wronich i ciernie, i szarą fasadę domu, i rzędy ciemnych okien odbijających to metaliczne niebo. A jednak jakże długo nienawidziłem samej myśli o nim, stroniłem od niego jak od siedliska zarazy! Jak ja dotychczas nienawidzę...

Zgrzytnął zębami i zamilkł; wstrzymał kroki i tupnął o stwardniałą ziemię, jak gdyby jakaś myśl nienawistna chwyciła go w kleszcze i trzymała tak, że nie mógł ruszyć z miejsca.

Szliśmy w górę alei, gdy w ten sposób przystanął; dom był przed nami. Podnosząc oczy do jego blanków, rzucił ponad nie spojrzenie, jakiego nigdy przedtem ani potem nie widziałam. Ból, wstyd, gniew, zniecierpliwienie, wstręt, nienawiść zdawały się staczać walkę w wielkich rozszerzonych źrenicach pod kruczymi brwiami. Dziko zmagały się te porywy, walcząc, który będzie górą... lecz inne uczucie powstało i odniosło triumf; coś, co było twarde i sceptyczne — samowolne i zdecydowane, uśmierzyło jego wzburzenie i powlokło mu twarz kamiennym spokojem; mówił dalej:

— Gdy milczałem, panno Eyre, toczyłem spór z moim losem. Stał tam pod tym bukiem w postaci wiedźmy podobnej do tych, które ukazały się Makbetowi na wrzosowisku w Forres. „Lubisz Thornfield?", rzekła podnosząc palec; a wtedy wypisała w powietrzu przestrogę, która płomiennymi zgłoskami przebiegła wzdłuż frontu domu pomiędzy górnym a dolnym rzędem okien. „Możesz je lubić, jeżeli zdołasz! Możesz je lubić, jeśli się odważysz!" „Będę je lubić — odpowiedziałem — odważę się je lubić!"

— I — dodał z uporem — dotrzymam słowa; przełamię przeszkody na drodze do szczęścia, na drodze do dobroci... tak, do dobroci. Pragnę być lepszym człowiekiem, niż byłem dotychczas, niż jestem; a jak lewiatan Hioba złamał dzidę, strzałę i napierśnik zbroi, tak ja zmiażdżę jak słomę i zmurszałe drewno zapory, które innym się wydają z żelaza i spiżu.

Adelka przebiegła mu drogę z wolantem.

— Idź sobie! — krzyknął ostro — trzymaj się z daleka, dziecko, albo wracaj do Sophie. — Idąc przy nim w milczeniu, odważyłam się

przywołać go do punktu, skąd tak nagle zboczył.

— Czy opuścił pan balkon, kiedy panna Varens weszła do domu?

Lękałam się trochę, że się obruszy na to tak może nie w porę zadane pytanie, on tymczasem, jak gdyby się budził z chmurnego zamyślenia, zwrócił ku mnie oczy i rozpogodził czoło.

— Ach, zapomniałem o Celinie! Więc będę mówił dalej. Gdy ujrzałem moją nadobną przyjaciółkę wchodzącą w towarzystwie kawalera, zdawało mi się, że słyszę syk, i zielony wąż zazdrości uniósł swe falujące ciało z tonącego w poświacie księżyca balkonu, wpełzł mi na pierś i w niespełna dwie minuty wpił się w moje serce. To dziwne! — zawołał, nagle odbiegając od rzeczy. — To dziwne, że ja panią obieram za powierniczkę tego wszystkiego. A najdziwniejsze, że pani słucha mnie spokojnie, jakby to było najzwyklejszą rzeczą w świecie, że mężczyzna taki jak ja opowiada historię o swoich operowych kochankach takiej młodej, niedoświadczonej dziewczynie jak pani. Ale już raz o tym wspomniałem, że pani ze swoją powagą, względnością i ostrożnością stworzona jest do odbierania zwierzeń. Zresztą wiem, z jaką duszą przestaje w tej chwili moja dusza; wiem, że to dusza, której nie chwyta się zaraza; to szczególna dusza, jedyna w swoim rodzaju. Na szczęście nie zamierzam jej skrzywdzić, a gdybym nawet zamierzał, ona nie przejęłaby nic złego ode mnie. Im więcej przeto rozmawiamy z sobą, tym lepiej, ja nie mogę skalać pani duszy, a pani może moją duszę odświeżyć i orzeźwić.

Po tej dygresji opowiadał dalej:

— Pozostałem na balkonie. „Niewątpliwie przyjdą do jej buduaru — pomyślałem — niechże sobie przygotuję zasadzkę." Wsunąwszy rękę przez otwarte drzwi, zaciągnąłem na nich zasłonę, pozostawiając tylko szparę, przez którą mogłem obserwować, co się dzieje w pokoju; następnie przymknąłem drzwi, nie domykając ich zupełnie, tak ażeby szept zaklęć miłosnych mógł mnie dochodzić; wtedy powróciłem do fotela, a w chwili gdy usiadłem, weszli oboje. Czym prędzej przywarłem okiem do szpary. Weszła pokojówka Celiny, zaświeciła lampę, postawiła ją na stole i wyszła. Tym sposobem jasno mogłem widzieć tę parę; oboje pozdejmowali płaszcze i oto stała tam „la Varens", strojna, w atłasach i klejnotach — moich

darach oczywiście — a obok jej towarzysz w oficerskim mundurze. Poznałem w nim od razu pewnego szaławiłę wicehrabiego, rozpustnego idiotę; spotykałem go niekiedy w towarzystwie, nawet znienawidzić bym go nie potrafił, tak bezwzględnie nim pogardzałem. Zaledwie go poznałem, poczułem, że zazdrość przestaje mnie kąsać, gdyż równocześnie miłość moja dla Celiny zgasła. Kobieta, która mogła mnie zdradzać z takim rywalem, nie była warta, by się o nią ubiegać; zasługiwała jedynie na wzgardę, mniej jednakże niż ja, który się jej dałem oszukać.

Tamci dwoje zaczęli rozmawiać; rozmowa ich przyniosła mi ulgę ostateczną: płytka, bezduszna, interesowna, bez serca i bez sensu, mogła raczej znużyć niż do wściekłości doprowadzić słuchacza. Mój bilet wizytowy leżał na stole; to dało powód do rozmowy o mnie. Żadne z nich nie potrafiło obgadać mnie rzetelnie — brakło im energii czy dowcipu; ale obmawiali mnie tak ordynarnie, jak tylko umieli na swój małostkowy sposób. Celina zwłaszcza rozwodziła się z predylekcją nad brakami w mojej powierzchowności, które nazywała kalectwem... A trzeba wiedzieć, że było w jej zwyczaju wpadać w gorące zachwyty nad moją *„beauté mâle",* jak się wyrażała; w czym różniła się stanowczo od pani, która mi powiedziała nie obwijając w bawełnę, za drugim widzeniem, że nie uważa mnie za przystojnego. Ten kontrast uderzył mnie wtedy i...

W tej chwili Adelka podbiegła znowu.

— Monsieur, John właśnie przyszedł powiedzieć, że jest pan administrator i pragnie się z panem zobaczyć.

— Ach! w takim razie muszę kończyć. Otworzywszy drzwi, wszedłem pomiędzy nich; zwolniłem Celinę spod mojej opieki; zapowiedziałem, że ma opróżnić pałacyk; ofiarowałem jej sakiewkę na natychmiastowe potrzeby; nie zważałem na krzyki, łzy, prośby, zapewnienia, histeryczne ataki; z panem wicehrabią umówiłem się na spotkanie w Lasku Bulońskim. Nazajutrz rano miałem przyjemność zmierzyć się z nim; wpakowałem kulkę w jedno z jego cienkich, chudych ramion, słabych jak skrzydełka kurczęcia, i już myślałem, że skończyłem z całą tą paczką. Na nieszczęście jednak Celina na pół roku przedtem obdarzyła mnie tą dziewczynką, Adelką, twierdząc, że to moja córka; i może nią jest, chociaż nie widzę dowodów takiego brzydkiego ojcostwa, wypisanych na jej

twarzy; Pilot jest podobniejszy do mnie niż ona. W kilka lat po zerwaniu kobieta ta porzuciła dziecko i uciekła do Włoch z jakimś muzykiem czy śpiewakiem. Nie uznawałem naturalnego prawa Adelki do mojej opieki i nie uznaję go i teraz, gdyż nie uważam się za jej ojca; jednakże słysząc, że jest w zupełnej biedzie, wyciągnąłem biedactwo z brudu i błota Paryża i przeflancowałem ją tutaj, żeby sobie rosła czysto na zdrowym gruncie angielskiego wiejskiego ogrodu. Pani Fairfax wyszukała panią na jej wychowawczynię. Ale teraz, skoro pani wie, że to nieprawe dziecko francuskiej baletnicy, może pani inaczej spojrzy na swoje stanowisko i swoją wychowankę; może przyjdzie pani którego dnia do mnie z oznajmieniem, że znalazła pani inne miejsce, i poprosi mnie, bym się obejrzał za inną nauczycielką... No, co?

— Nie, Adelka nie jest odpowiedzialna ani za błędy swojej matki, ani za pańskie; nie mam powodu źle o niej myśleć; a teraz gdy wiem, że nie ma rodziców, gdyż matka ją opuściła, a pan się jej wypiera, będzie mi jeszcze bliższa niż poprzednio. Jakże mogłabym przenosić rozpieszczone dziecko bogatej rodziny, nie cierpiące swojej nauczycielki jak czegoś nieznośnego, nad samotną małą sierotkę, garnącą się do mnie jak do przyjaciółki?

— Ach, więc w tym świetle pani rzecz widzi! No, dobrze, teraz muszę wracać do domu i pani także. Ściemnia się.

Jednakże pozostałam jeszcze kilka minut dłużej z Adelką i Pilotem; goniłam się z nią, zagrałam z nią partię wolanta. Wróciwszy do domu, rozebrawszy ją *z* paletka i kapelusza, wzięłam ją na kolana i tak pozwoliłam jej siedzieć z godzinę i pleść, co jej się żywnie podobało; nie karciłam jej nawet, gdy sobie trochę za wiele pozwalała, do czego była skłonna, gdy się na nią zbytnio zwracało uwagę, co zdradzało w niej płytkość charakteru, odziedziczoną prawdopodobnie po matce, a tak niezgodną z mentalnością angielską. Jednakże Adelka miała swoje zalety, które gotowa byłam uznać jak najszczerzej. Szukałam w jej twarzy i rysach podobieństwa do pana Rochestera, ale nie odnalazłam żadnego: żaden rys, żaden odcień wyrazu nie wykazywał pokrewieństwa. Żal mi jej było: gdyby tylko można było dowieść, że jest do niego podobna, ceniłby ją sobie więcej.

Dopiero po udaniu się na noc do swojego pokoju rozważyłam

dokładnie to, co mi pan Rochester opowiedział. Wedle jego własnego wyznania, w treści tego przeżycia nie było prawdopodobnie nic tak dalece nadzwyczajnego: miłość bogatego Anglika do francuskiej tancerki i jej zdrada były to niewątpliwie w życiu towarzyskim rzeczy dość częste; jednakże było coś stanowczo niezwykłego w paroksyzmie wzruszenia, jaki go nagle ogarnął, w chwili gdy okazywał zadowolenie ze swego obecnego nastroju; gdy mówił o uroku, jaki zaczął znów odnajdywać w starym domu i jego otoczeniu. Dziwiąc się rozmyślałam nad tym zajściem; stopniowo jednak, nie mogąc go sobie na razie wytłumaczyć, przeszłam do rozważań nad stosunkiem mojego chlebodawcy do mnie. Zwierzenia jego wydały mi się hołdem złożonym mojej dyskrecji: jako takie je przyjęłam i jako takie ceniłam. Zachowanie jego względem mnie stało się od kilku tygodni równiejsze i jednostajniejsze niż początkowo. Nigdy już nie miałam wrażenia, że mu zawadzam; nie nachodziły go nastroje mrożącej wyniosłości. Jeśli mnie spotkał niespodziewanie, najwyraźniej bywał rad spotkaniu; miał zawsze słówko, a niekiedy uśmiech dla mnie; gdy przychodziłam, przyzwana formalnym zaproszeniem, zaszczycał mnie taką serdecznością przyjęcia, że czułam, iż rzeczywiście posiadam umiejętność rozerwania go i że pragnął tych wieczornych pogawędek zarówno dla własnej przyjemności, jak i mojej korzyści.

Ja, co prawda, mało stosunkowo mówiłam, ale niezmiernie lubiłam słuchać, gdy on mówił. Pan Rochester był z natury rozmowny; lubił przed oczami nie znającymi świata roztaczać jego widoki i dzieje (nie widoki zepsucia ani grzeszne dzieje, ale te. które były ciekawe ze względu na wielką widownię, na znamionującą je szczególną dla mnie nowość). Ja zaś doznawałam żywej rozkoszy przyjmując nowe myśli, które mi poddawał, wyobrażając sobie nowe obrazy, jakie kreślił, idąc myślą w ślad za nim przez nowe światy, nigdy nie przestraszona ani nie zmieszana najlżejszą niewłaściwą aluzją.

Łatwość jego obejścia uwolniła mnie od przykrego skrępowania; przyjacielska szczerość, serdeczna i nie wykraczająca poza granice przyjaźni, z którą mnie traktował, pociągała mnie ku niemu. Miałam niekiedy wrażenie, jakby był moim krewnym, a nie chlebodawcą; jednakże miewał niekiedy ton rozkazujący; nie brałam tego do serca wiedząc, że takie jest jego obejście.

Tak zadowolona i szczęśliwa poczułam się, gdy to nowe zainteresowanie przybyło mi w życiu, że przestałam tęsknić za towarzystwem ludzi; mój los, podobny dotąd do cieniutkiego księżyca na nowiu, zdawał się poszerzać; pustka istnienia wypełniła się; moje zdrowie się poprawiło; przytyłam, nabrałam sił.

I czy pan Rochester był teraz brzydki w moich oczach? Nie; wdzięczność i wiele innych związanych z nią wrażeń, miłych i pogodnych, uczyniły mi jego twarz ulubionym widokiem; obecność jego w pokoju rozgrzewała lepiej niż najsutszy ogień. Nie zapomniałam mimo to o jego wadach i zapomnieć o nich nie mogłam, gdyż często je przede mną odkrywał. Był dumny, sarkastyczny, szorstki wobec wszystkich stojących niżej od niego; w cichości serca wiedziałam, że jego wielką dobroć względem mnie równoważyła niesprawiedliwa surowość względem wielu innych. Usposobienie miał kapryśne, i to bez powodów. Nieraz gdy wzywał mnie, by mu poczytać, zastawałam go w bibliotece samego, z głową opartą na złożonych rękach; a wtedy, gdy podnosił oczy, ponury, nieledwie złośliwy grymas leżał jak czarna chmura na jego twarzy. Wierzyłam jednak, że jego złe humory, szorstkość i dawniejsze niemoralne wybryki (mówię dawniejsze, gdyż obecnie, zdaje się, już w nie nie wpadał) pochodziły z jakichś okrutnych powikłań losu. Wierzyłam, że był z natury człowiekiem o lepszych skłonnościach, wyższych zasadach, czystszych zamiłowaniach niż te, które okoliczności w nim rozwinęły, wychowanie wszczepiło czy też los pobudził. Myślałam, że posiada doskonałe cechy, choć na razie nadpsute i pokręcone. Nie mogę zaprzeczyć, że martwiłam się jego zmartwieniem, czymkolwiek ono było, i że wiele byłabym dała, by móc mu ulżyć.

Chociaż już zgasiłam świecę i położyłam się do łóżka, nie mogłam usnąć; wciąż myślałam o wyrazie jego twarzy, gdy zatrzymał się w alei i powiedział, że los jego stanął przed nim i wyzywał go, by spróbował znaleźć szczęście w Thornfield.

„Dlaczego nie? — zadawałam sobie pytanie. — Co go od tego domu odstręcza? Czy znowu opuści go wkrótce? Pani Fairfax mówiła, że rzadko pozostaje tutaj dłużej niż dwa tygodnie z rzędu, a teraz już bawi tu osiem tygodni. Jeżeli wyjedzie, jakżeż smutna nastąpi tu zmiana! Przypuśćmy, że byłby nieobecny przez wiosnę, lato i jesień;

jakże bezradosne byłoby wtedy światło słońca i piękne dni pogody."

Sama nie wiem, czy zasnęłam, czy nie po tych rozmyślaniach; tyle wiem, że zerwałam się zupełnie rozbudzona usłyszawszy nieokreślony jakiś pomruk, dziwny i posępny, rozlegający się, wydało mi się, tuż nade mną. Żałowałam, że zgasiłam świecę: noc była strasznie ciemna; ogarnęło mnie przygnębienie. Podniosłam się i siadłam w łóżku nasłuchując. Odgłos ów ucichł.

Starałam się znów zasnąć; jednakże serce biło we mnie niespokojnie; pierzchnął mój spokój wewnętrzny. Zegar w hallu wybił drugą. Właśnie w tej chwili wydało mi się, że coś dotknęło drzwi mojego pokoju, jak gdyby czyjeś palce przesunęły się po desce szukając drogi wzdłuż ciemnego korytarza. „Kto tam?" — zapytałam. Nie było odpowiedzi. Zimny strach przejął mnie dreszczem.

Nagle przypomniałam sobie, że to mógł być Pilot, który, o ile drzwi od kuchni bywały przypadkiem otwarte, wymykał się niekiedy i podchodził przed próg drzwi pana Rochestera; nieraz go tam rano widywałam leżącego. Ta myśl uspokoiła mnie nieco; położyłam się. Cisza koi nerwy, a że nieprzerwany spokój panował teraz w całym domu, zaczęłam na nowo odczuwać senność. Nie było mi jednak sądzone spać tej nocy. Zaledwie sen zaczął kleić mi powieki, pierzchnął spłoszony odgłosem ścinającym krew w żyłach.

A był nim śmiech jakiś szatański — półgłośny, przytłumiony i głęboki, dochodzący, zdawałoby się, spod samych drzwi mojego pokoju. Łóżko moje stało głowami tuż przy drzwiach, tak że w pierwszej chwili pomyślałam, iż ta szatańsko śmiejąca się zjawa stoi obok mojego posłania albo raczej czai się przy mojej poduszce. Wstałam jednak i rozejrzałam się; niczego nie mogłam dojrzeć. Gdy się wciąż jeszcze rozglądałam, niesamowity dźwięk powtórzył się; teraz wiedziałam, że płynie on zza drzwi. Odruchowo najpierw zerwałam się i zasunęłam rygiel, a potem znów zawołałam: „Kto tam?"

Coś odezwało się jakimś gardłowym głosem i jęknęło. Niebawem usłyszałam, że kroki oddalają się wzdłuż galerii ku schodom trzeciego piętra; w ostatnich czasach wprawiono tam drzwi, by móc to piętro zamykać. Usłyszałam otwieranie i zamykanie tych drzwi i

zaległa cisza.

„Czyżby to była Gracja Poole? I czyżby ona była opętana przez diabła?" — pomyślałam. Nie mogłam już dłużej wytrzymać w samotności: chciałam pójść do pani Fairfax. Spiesznie narzuciłam na siebie suknię i szal, odsunęłam rygiel i drżącą ręką otworzyłam drzwi. Tuż za drzwiami na chodniku galerii stał lichtarz z palącą się świecą. Zdziwiła mnie ta okoliczność; więcej jednak zdumiałam się spostrzegłszy, że jest zupełnie ciemno, jak gdyby powietrze było pełne dymu; i rozglądając się w prawo i lewo, by się przekonać, skąd płyną te błękitne kłęby, poczułam silną woń spalenizny.

Coś lekko skrzypnęło; jakieś drzwi stały otwarte, a były to drzwi pokoju pana Rochestera; to stamtąd dym się wydzierał kłębami. Już nie myślałam o pani Fairfax; nie myślałam o Gracji Poole ani o śmiechu: w jednej chwili byłam w pokoju. Ogniste języki tańczyły dokoła posłania; zasłony wokół łóżka stały w płomieniach. Wśród tych płomieni i dymu pan Rochester leżał bez ruchu, głęboko uśpiony.

— Proszę wstawać, proszę wstawać! — wołałam. Potrząsnęłam nim, ale on tylko mruknął coś i odwrócił się: dym go odurzył. Nie było chwili do stracenia, już nawet prześcieradła zaczynały się palić. Skoczyłam po jego miednicę i dzbanek, na szczęście miednica była duża, a dzbanek głęboki, a jedno i drugie pełne wody. Dźwignęłam je, oblałam łóżko i śpiącego, pobiegłam do mojego pokoju, przyniosłam stamtąd dzbanek z wodą, zlałam posłanie raz jeszcze i z Bożą pomocą udało mi się zgasić płomienie, które już je pożerały.

Syk gaszonego żywiołu, łoskot tłuczącego się dzbanka, który wyśliznął mi się *z* rąk, a nade wszystko zimna kąpiel, której nie pożałowałam, obudziły wreszcie pana Rochestera. Chociaż ciemno było, wiedziałam, że już nie śpi, ponieważ słyszałam, jak miota jakieś dziwne przekleństwa, poczuwszy, że leży w kałuży wody.

— Czy to potop? — wołał.

— Nie, proszę pana — odpowiedziałam — ale był pożar; niech pan wstaje, proszę; jest pan przemoczony do nitki, przyniosę świecę.

— W imię wszystkich elfów w chrześcijańskim świecie, czy to Jane

Eyre? — zapytał. —- Co pani ze mną zrobiła, mała czarownico? Kto jest w pokoju prócz pani? Czy pani chciała mnie utopić?

— Przyniosę panu świecę; i, na miłość boską, niechże pan wstaje. Tu ktoś uknuł zamach na życie pańskie, musi pan prędko zbadać, kto i co w tym jest...

— No! otóż i wstałem; ale broń Boże, niechże pani jeszcze nie przynosi świecy; niech pani poczeka parę minut, aż włożę na siebie suche ubranie, jeżeli znajdę coś suchego... o, tak... oto mój szlafrok. A teraz niech pani biegnie!

Pobiegłam; przyniosłam świecę, która wciąż jeszcze stała na korytarzu. Wziął mi ją z ręki, podniósł, obejrzał łóżko, całe sczerniałe i osmolone, z przemokłą pościelą; dywan koło łóżka pływał w wodzie.

— Co to jest? Kto to zrobił? — zapytał.

Opowiedziałam mu pokrótce o wszystkim, co zaszło: o tym dziwnym śmiechu, który posłyszałam na korytarzu, o krokach zdążających na trzecie piętro, o dymie i woni spalenizny, która zaprowadziła mnie do jego pokoju, o tym, co tutaj zastałam, i o tym, jak wylałam na niego wodę, którą miałam pod ręką.

Słuchał bardzo poważnie; twarz jego podczas mego opowiadania wyrażała więcej smutku niż zdziwienia; nie zaraz przemówił, chociaż skończyłam.

— Czy mam poprosić panią Fairfax? — zapytałam.

— Panią Fairfax? Nie, po cóż, u licha, chciałaby ją pani wołać? Cóż ona pomoże? Niech sobie śpi spokojnie.

— W takim razie pójdę po Leę, obudzę Johna i jego żonę.

— Wcale nie; niech się pani nie rusza. Ma pani na sobie szal? Jeżeli pani nie dosyć ciepło, może pani włożyć ten mój płaszcz; niech się pani w niego otuli i usiądzie w fotelu; tak, włożę go na panią. A teraz niech pani oprze nogi na tym stołku, żeby ich nie zamoczyć. Opuszczę panią na kilka minut. Świecę zabiorę. Niech pani tu siedzi, dopóki nie wrócę, i niech pani zachowuje się cichutko. Ja

muszę zajść na trzecie piętro. Niechże się pani nie rusza, proszę pamiętać, i niech pani nikogo nie woła!

Poszedł; patrzyłam na oddalające się światło. Przeszedł przez galerię bardzo cicho, jak najciszej otworzył drzwi na schody i zamknął je za sobą, a wtedy ostatni promień światła zagasł. Pozostałam w zupełnej ciemności. Nasłuchiwałam jakiegoś odgłosu, ale nic nie było słychać. Trwało to bardzo długo. Zaczęło mnie ogarniać zmęczenie; zimno mi było pomimo płaszcza; nie rozumiałam też, po co mam czekać, skoro i tak nie mam budzić domu. Już miałam narazić się na niezadowolenie pana Rochestera i odejść wbrew jego rozkazowi, gdy światło znowu mignęło na ścianie korytarza i usłyszałam kroki na chodniku. „Mam nadzieję, że to on, a nie co gorszego" — przebiegło mi przez głowę. Pan Rochester wszedł, blady i bardzo zasępiony.

— Wykryłem wszystko — powiedział, stawiając świecę na umywalni. — Jest tak, jak przypuszczałem.

— Ale jak? — zapytałam.

Nie odpowiedział, stał z założonymi rękami, patrząc w ziemię. W końcu po kilku minutach zapytał jakimś szczególnym tonem:

— Nie pamiętam... czy pani mówiła, że widziała coś otworzywszy drzwi swego pokoju?

— Nie, proszę pana, zobaczyłam tylko lichtarz na podłodze.

— Ale słyszała pani jakiś niesamowity śmiech? Ten śmiech słyszała już pani kiedyś czy coś podobnego?

— Tak, proszę pana; jest tam kobieta, która tutaj szyje, nazywa się Gracja Poole; to ona się w ten sposób śmieje. To dziwna osoba.

— Otóż właśnie Gracja Poole... zgadła pani. Ona jest, jak się pani wyraziła, dziwna... bardzo. No dobrze, ja się nad tym zastanowię. Tymczasem rad jestem, że pani jedyna, oprócz mnie, zna dokładnie szczegóły zajścia dzisiejszej nocy. Pani nie jest gadatliwa głuptasińska; niech pani nic o tym nie mówi. Ja już jakoś wytłumaczę to, co się tutaj stało — tu wskazał łóżko. — A teraz

niech pani wraca do swojego pokoju. Ja bardzo dobrze spędzę resztę nocy na kanapie w bibliotece. Już dochodzi czwarta; za dwie godziny służba będzie na nogach.

— A więc dobranoc panu — rzekłam zabierając się do odejścia.

Wydał się zdziwiony — bardzo niekonsekwentnie, co prawda, gdyż sam dopiero powiedział, że mam już pójść.

— Co! — zawołał — opuszcza mnie już pani, i to w ten sposób?

— Pan powiedział, że mogę już odejść.

— Ale nie bez pożegnania; nie bez paru słów podziękowania i wdzięczności z mojej strony, słowem, nie w ten nagły, oschły sposób. Pani mi przecież ocaliła życie!... Wyrwała mnie pani okropnej, pełnej męczarni śmierci! I tak pani przechodzi koło mnie, jak gdybyśmy sobie byli zupełnie obcy! Niech mi pani przynajmniej poda rękę!

Wyciągnął rękę; podałam mu swoją; ujął ją najpierw jedną, potem obiema dłońmi.

— Ocaliła mi pani życie; miło mi, że winien jestem pani dług tak niezmierny. Więcej powiedzieć nie mogę. Nie ścierpiałbym nikogo w roli wierzyciela za takie dobrodziejstwo; ale pani to co innego... Mnie pani dobrodziejstwa nie ciążą, panno Jane.

Umilkł; patrzył na mnie; słowa, prawie widoczne, drżały mu na wargach, ale głos ich nie wypowiedział.

— Jeszcze raz dobranoc panu — rzekłam. — Nie ma żadnego długu, dobrodziejstwa, ciężaru czy wdzięczności w tym wypadku.

— Wiedziałem — mówił dalej — że kiedyś, w jakiś sposób spłynie na mnie dobro dzięki pani... wyczytałem to w pani oczach, gdy po raz pierwszy je ujrzałem. Ich wyraz i uśmiech nie... — tu znowu urwał — nie — mówił dalej szybko — nienadaremnie napełniały moje serce taką błogością. Ludzie mówią o wrodzonych sympatiach; słyszałem też o dobrych duchach, są ziarna prawdy w najfantastyczniejszych bajkach. Moja umiłowana wybawicielko, dobranoc!

Dziwna energia brzmiała w jego głosie, dziwny ogień był w jego spojrzeniu.

— Cieszę się, iż przypadkiem nie spałam — odparłam i znów chciałam odejść.

— Co? Chce pani iść koniecznie?

— Zimno mi, proszę pana.

— Zimno? Tak... i stoi pani w kałuży wody! Idź więc, Jane, idź!

Ale wciąż jeszcze trzymał moją rękę, a ja nie mogłam jej uwolnić. Przyszedł mi na myśl fortel.

— Zdaje mi się, że pani Fairfax się krząta — powiedziałam.

— A więc odejdź... dobranoc! — wypuścił moją rękę, a ja wróciłam do siebie.

Położyłam się z powrotem, ale nie było mowy o śnie Dopóki dzień nie zaświtał, kołysałam się na niespokojnym morzu, gdzie fale troski toczyły się pod wierzchnią pianą radości. Zdawało mi się chwilami, że poza dzikim odmętem wód widzę brzeg rozkoszny. Raz po raz też rześki powiew, wzbudzony nadzieją, niósł tryumfalnie ducha mego ku przystani; nie mogłam jej jednak dosięgnąć nawet wyobraźnią — przeciwny wiatr wiał od lądu i stale mnie odpychał. Rozum opierał się szaleństwu; zdrowy sąd walczył z żarem uczucia. Nazbyt rozgorączkowana, żeby zasnąć, wstałam, jak tylko dzień zaświtał.

ROZDZIAŁ XVI

Pragnęłam i lękałam się zarazem zobaczyć pana Rochestera nazajutrz po tej bezsennej nocy. Pragnęłam znów usłyszeć jego głos, ale lękałam się spotkać z jego oczami. Podczas rannych lekcji każdej chwili spodziewałam się, że przyjdzie; nieczęsto zaglądał do naszego szkolnego pokoju, ale niekiedy wstępował tam na parę minut, a tego dnia miałam wrażenie, że z pewnością przyjdzie.

Tymczasem ranek minął jak zwykle; nic nie przerwało zwykłego biegu nauki Adelki, tylko zaraz po śniadaniu usłyszałam ruch w pobliżu pokoju pana Rochestera, głosy pani Fairfax, Lei i kucharki — żony Johna — a nawet szorstki głos samego Johna. Rozlegały się okrzyki: „Co za szczęście, że pan się nie spalił w łóżku! Jak to zawsze niebezpiecznie trzymać świecę zapaloną w nocy! Jak to dobrze, że nie stracił przytomności i pamiętał o dzbanku z wodą! Dziwię się, że nikogo nie obudził! Miejmy nadzieję, że się nie przeziębił śpiąc na kanapie w bibliotece!" itp.

Po różnych gawędach przyszły odgłosy szorowania, wycierania i porządkowania, a gdy schodziłam na dół na obiad, zobaczyłam przez otwarte drzwi, że wszystko już wróciło do porządku; łóżko jedynie pozbawione było zasłon. Lea stała przy oknie czyszcząc szyby, okopcone dymem. Miałam ochotę zagadnąć ją, gdyż byłam ciekawa, jak pan Rochester wytłumaczył całą sprawę, zbliżywszy się jednak ujrzałam drugą osobę w pokoju — kobietę siedzącą na krześle przy łóżku i przyszywającą kółka do świeżej zasłony. Kobietą tą ku mojemu zdumieniu była Gracja Poole.

Siedziała tam, spokojna i milcząca jak zwykle, w brązowej wełnianej sukni, kraciastym fartuchu, białej chusteczce i czepku. Pilnie była zajęta robotą i ta widocznie pochłaniała wszystkie jej myśli; ani na czole, ani na pospolitej tej twarzy nie było znać bladości czy przygnębienia, jakie spodziewałam się ujrzeć na twarzy kobiety, która popełniła zamach morderczy i którą upatrzona jej ofiara odszukała kilka godzin temu w jej jaskini (tak przynajmniej

sądziłam) i wyrzucała jej zamierzoną zbrodnię. Zdumiałam, osłupiałam. Spojrzała na mnie, podczas gdy ja wciąż na nią patrzyłam, nie drgnęła, nie zmieniła się na twarzy, nic nie zdradzało wzruszenia, świadomości winy czy też obawy wykrycia. Powiedziała „dzień dobry pani", flegmatycznie, krótko jak zawsze, wzięła nowe kółko i nitkę i szyła dalej.

„Wystawię ją na próbę — pomyślałam — taka skrytość i opanowanie przechodzi pojęcie!"

— Dzień dobry, Gracjo — powiedziałam. — Czy się tutaj co stało? Zdawało mi się, że słyszałam, jak wszyscy razem rozmawialiście tu przed chwilą,

— To tylko pan czytał w łóżku wczoraj w nocy; zasnął nie zgasiwszy świecy i zasłona się zapaliła; na szczęście jednak obudził się, zanim się pościel i drzewo zajęło, i udało mu się wodą z dzbanka zagasić płomienie.

— Dziwna sprawa! — rzekłam po cichu, a potem, wpatrując się w nią, dodałam: — Czy pan Rochester nikogo nie obudził? Czy nikt nie słyszał ruchu w jego pokoju?

Podniosła znowu wzrok na mnie, ale tym razem jak gdyby błysk czujności był w jej oczach. Zdawało mi się. że bada mnie ostrożnie; po chwili odpowiedziała:

— Służące śpią tak daleko, wie pani, trudno, żeby usłyszały. Pokoje pani Fairfax i pani są najbliższe pokoju pana; ale pani Fairfax powiada, że nic nie słyszała; ludzie starsi miewają mocny sen — przerwała, a potem dodała, niby to obojętnie, ale z naciskiem i znaczącym tonem: — Ale pani jest młoda i przypuszczam, że pani ma lekki sen; może pani słyszała jaki hałas?

— Tak, słyszałam — odparłam zniżając głos, tak żeby mnie Lea, wycierająca jeszcze szyby, nie dosłyszała — i początkowo myślałam, że to Pilot; ale Pilot nie potrafi się śmiać, a ja jestem pewna, że słyszałam śmiech, i to bardzo dziwny śmiech.

Wzięła nową nitkę, nawoskowała ją starannie, pewną ręką nawlokła igłę, po czym zauważyła z zupełnym spokojem:

— Trudno przypuszczać, proszę pani, żeby się pan śmiał, skoro był w takim niebezpieczeństwie; musiało się pani przyśnić.

— Nie śniło mi się — odpowiedziałam trochę porywczo, gdyż podrażnił mnie jej bezczelny spokój. Znowu popatrzyła na mnie tymi samymi badawczymi, kryjącymi coś oczami.

— Czy pani powiedziała panu, że słyszała ten śmiech? — zapytała.

— Nie miałam sposobności rozmawiać z panem dziś rano.

— A nie przyszło pani na myśl otworzyć drzwi i wyjrzeć na korytarz? — dopytywała się dalej.

Zdawało mi się, że mnie wypytuje licząc na to, że mimo woli zdradzę się z jakąś wiadomością. Przyszło mi na myśl, że gdyby odkryła, iż ja wiem o jej winie, a choćby ją o nią posądzam, wywarłaby na mnie jakąś złośliwą zemstę; toteż pomyślałam, że należy się strzec.

— Przeciwnie — odpowiedziałam — zaryglowałam drzwi mojego pokoju.

— A więc nie zamyka pani codziennie drzwi na zasuwkę, zanim się pani położy?

„Diablica! chce poznać moje zwyczaje, by odpowiednio układać swe plany!" Oburzenie znowu przeważyło względy przezorności; odpowiedziałam jej ostro:

— Dotychczas nieraz zaniedbywałam zasunąć rygiel; nie sądziłam, by to było potrzebne. Nie wiedziałam, że w Thornfield można się obawiać jakichś niebezpieczeństw albo zamachów; ale odtąd — te słowa wymówiłam z naciskiem — będę bardzo dbała, by się dobrze zabezpieczyć, zanim się odważę spocząć.

— I bardzo mądrze pani zrobi — odpowiedziała. — Ta okolica jest tak spokojna jak rzadko która i od czasu jak dom stoi, nigdy nie słyszałam, żeby tu na dwór napadli złodzieje albo włamywacze, choć jest tam sreber za setki funtów w schowanku, jak wszystkim wiadomo. I, widzi pani, jak na tak wielki dom, bardzo tu mało jest służby, ponieważ pan nigdy dłużej tu nie mieszkał, a nawet kiedy

przyjeżdża, będąc kawalerem niewiele usługi potrzebuje; ale ja zawsze myślę, że lepiej jest przesadzić niż nie dosadzić; łatwo jest zamknąć drzwi, a nigdy nie zawadzi odgrodzić się zasuniętym ryglem od jakiegokolwiek przypadku. Wiele ludzi, proszę pani, spuszcza się ze wszystkim na Opatrzność; ale ja zawsze powiem, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Tu zakończyła swą przemowę — długą jak na nią i wypowiedzianą ze skromną miną prawdziwej kwakierki. Stałam jeszcze, wprost oniemiała wobec jej zadziwiającego panowania nad sobą i nieprzeniknionej obłudy, gdy weszła kucharka.

— Pani Poole — zwróciła się do Gracji — obiad dla służby będzie zaraz gotów; czy pani zejdzie na dół?

— Nie; niech pani tylko postawi na tacce mój kufel porteru i kawałek puddingu, a ja sobie to sama zaniosę na górę.

— A kawałek mięsa życzy pani sobie?

— Mam ochotę na jeden kęs i odrobinę sera, to wszystko.

— A sago?

— Mniejsza o nie teraz; zejdę na dół przed herbatą, przyrządzę to sama.

Wtedy kucharka zwróciła się do mnie oznajmiając, że pani Fairfax na mnie czeka; wobec tego poszłam.

Opowiadanie pani Fairfax o spaleniu się zasłony puszczałam mimo uszu, głowę moją zaprzątnął zagadkowy charakter Gracji Poole i niezrozumiały dla mnie problem jej stanowiska w Thornfield. Nie mogłam pojąć, dlaczego zaraz rano nie oddano jej do aresztu albo co najmniej nie wydalono ze służby. Przecież pan Rochester tak jakby wyjawił w nocy przekonanie, że to ona jest zbrodniarką; jakaż tajemnicza przyczyna wzbraniała mu ją zaskarżyć? Dlaczego i mnie zobowiązał do tajemnicy? Dziwne to było: odważny, mściwy i dumny pan zdawał się być pod władzą jednej z najniższych swych sług, tak dalece pod jej władzą, że chociaż targnęła się na jego życie, nie śmiał jej otwarcie obwinić o zamach, a tym bardziej

ukarać jej za to.

Gdyby Gracja była młoda i ładna, miałabym pokusę pomyśleć, że jakieś czulsze względy niż przezorność i obawa przemawiają tutaj na jej korzyść; trudno jednakże było myśl tę dopuścić pamiętając o jej wieku i o tym, jak skąpo obdarzona była przez naturę. „A jednak — rozmyślałam — ona była kiedyś młoda, wtedy, gdy i pan Rochester był młody; pani Fairfax powiedziała mi kiedyś, że ona już od wielu lat przebywa w tym domu. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek mogła być ładna, ale czy ja wiem? Może w braku powabów zewnętrznych posiadała oryginalność i siłę charakteru... Pan Rochester lubi typy zdecydowane i ekscentryczne. Gracja w każdym razie jest ekscentryczna. A co, jeżeli dawniejszy kaprys (wybryk zupełnie możliwy przy takiej jak jego naturze, gwałtownej i upartej) oddał go w jej władzę, a ona teraz na skutek dawnego błędu wywiera tajemny wpływ na jego postępowanie; wpływ, którego on me śmie lekceważyć, a spod którego otrząsnąć się nie może?" Gdy w przypuszczeniach doszłam do tego punktu, stanęła mi nagłe w myśli jak żywa kwadratowa, płaska figura pani Poole, jej niełądna, sucha, nawet ordynarna twarz, tak że powiedziałam sobie: „Nie! to niemożliwe! Moje przypuszczenie nie m*oże* być trafne! A jednak — podszepnął mi głos tajemniczy, ten, który do nas z głębi serca mówi — i ty nie jesteś pięknością, a może się panu Rochesterowi podobasz; W każdym razie nieraz czułaś, jak gdyby tak było. A ostatniej nocy, przypomnij sobie jego słowa, przypomnij sobie jego wzrok, przypomnij sobie jego glos!"

Dobrze pamiętam wszystka; mowa, spojrzenia, ton — wszystko to w tej chwili odżyło. Byłam właśnie w pokoju szkolnym; Adelka rysowała; nachyliłam się nad nią, by poprowadzić jej ołówek. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Co pani jest, mademoiselle? — zapytała po francusku. — Palce pani drżą jak liść, a policzki ma pani czerwone; ależ tak, czerwone jak wiśnie!

— Gorąco mi się zrobiło, Adelko, od tego nachylania.

Rysowała dalej, a ja dalej rozmyślałam.

Czym prędzej wypędziłam z myśli szkaradne przypuszczenie

dotyczące Gracji Poole; wstrętne mi ono było. Porównywałam się z nią i doszłam do wniosku, że jesteśmy różne. Bessie Lieven powiedziała, że jestem prawdziwą damą, i prawdę powiedziała: była we mnie wrodzona dystynkcja. A teraz wyglądałam o wiele lepiej niż wtedy, kiedy mnie Bessie widziała; przytyłam, miałam więcej rumieńca, więcej życia, ożywienia, ponieważ miałam jaśniejsze nadzieje, więcej radości.

„Wieczór nadchodzi — pomyślałam popatrzywszy w okno — nie słyszałam dziś and głosu, ani kroków pana Rochestera w domu, ale z pewnością zobaczę go, nim noc zapadnie; bałam się spotkania rano, teraz go pragnę, gdyż oczekiwanie, dotychczas zawiedzione, zamieniło się w niecierpliwość."

Gdy już zmrok zapadł zupełnie, a Adelka poszła do dziecinnego pokoju bawić się z boną, pragnienie zobaczenia pana Rochestera spotęgowało się jeszcze we mnie. Nasłuchiwałam, czy nie odezwie się dzwonek na dole; nasłuchiwałam, czy Lea nie nadejdzie z wezwaniem do mnie; chwilami wydawało mi się, że słyszę kroki jego samego, i wtedy patrzyłam na drzwi oczekując, że się otworzą i że on W nich stanie. Drzwi nie otwierały się, ciemność tylko wpływała oknem. Jednakże nie było jeszcze późno; szósta zaledwie, a przecież nieraz bywałam proszona o siódmej, nawet o ósmej. Przecież nie spotka mnie chyba zupełny zawód dziś właśnie, kiedy mam mu tyle do powiedzenia! Pragnęłam wznowić temat Gracji Poole i usłyszeć, co by mi odpowiedział; zamierzałam zapytać go po prostu, czy wierzy w to, że to ona istotnie urządziła ten ohydny zamach ubiegłej nocy, a jeżeli tak, dlaczego zataja jej niegodziwość? Nie dbałam o to, że go może rozgniewać moja ciekawość; zaznałam przyjemności gniewania go i uspokajania z kolei; lubiłam to nade wszystko, a nieomylny instynkt chronił mnie zawsze od przeciągnięcia struny. Zatrzymywałam się na granicy prowokacji, a w ostatecznym momencie lubiłam przekonywać się o własnej zręczności. Zachowując wszelkie formy uszanowania, właściwego mojemu stanowisku, umiałam staczać z nim utarczki słowne swobodnie i bez obawy; to dogadzało tak jemu, jak i mnie.

Nareszcie schody zaskrzypiały pod czyimiś krokami. Ukazała się Lea, ale jedynie po to, by mi oznajmić, że herbata czeka w pokoju pani Fairfax. Tam przeto poszłam rada, że nareszcie mogę zejść na

dół, gdyż wyobrażałam sobie, że to mnie zbliża do pana Rochestera.

— Musi być pani spragniona herbaty — zaczęła zacna staruszka, gdy weszłam. — Tak mało jadła pani na obiad. Lękam się, czy pani nie jest niezdrowa dzisiaj, taka pani rozpalona, jakby pani miała gorączkę.

— O, jestem zupełnie zdrowa! Nigdy nie czułam się lepiej.

— To niechże pani tego dowiedzie dobrym apetytem! Czy nie nalałaby pani wody do imbryka, a ja tymczasem przerobię do końca oczka na tym drucie?

Dokończywszy zadania, wstała i poszła spuścić roletę dotychczas nie spuszczoną, prawdopodobnie dla wyzyskania światła, chociaż już teraz zmrok zgęstniał i było zupełnie ciemno.

— Mamy dzisiaj pogodną noc — rzekła wyjrzawszy przez szybę — chociaż nie świecą gwiazdy. Pan Rochester na ogół miał dobry dzień do podróży.

— Do podróży?... Czy pan Rochester gdzieś wyjechał? Nie wiedziałam, że go nie ma w domu.

— O, wyjechał zaraz po śniadaniu! Pojechał do Leas, majątku pana Eshtona, dziesięć mil za Millcote. Zdaje mi się, że jest tam duży zjazd gości: lord Ingram, sir George Lynn, pułkownik Dent i inni.

— Czy pani spodziewa się dziś wieczór powrotu pana Rochestera?

— Nie, ani jutro; myślę, że prawdopodobnie zabawi tam z tydzień albo i dłużej. Gdy ten modny, wyższy świat zbierze się razem, otacza ich taka elegancja i wygoda, tak sobie uprzyjemniają czas rozrywkami i zabawą, że niespieszno im się rozłączyć. Panowie zwłaszcza bywają często bardzo pożądani przy takich okazjach. A pan Rochester jest tak utalentowany i ożywiony w towarzystwie, że musi być chyba ulubieńcem wszystkich. Panie za nim przepadają, choć powie pani może, że powierzchowność ma niezbyt piękną; jednakże ja myślę, że jego wykształcenie i zalety towarzyskie, a może też bogactwo i dobra krew wynagradzają pewne niedostatki urody.

— Czy są tam panie w Leas?

— Jest pani Eshton i jej trzy córki, bardzo eleganckie panienki, i są tam córki baroneta Ingrama: Blanka i Mary, podobno bardzo piękne osoby; ja właściwie widziałam Blankę sześć czy osiem lat temu, gdy była osiemnastoletnią dziewczyną. Przyjechała tu aa wielką zabawę, którą w święta Bożego Narodzenia wydawał pan Rochester. Gdyby pani widziała wtedy jadalnie. jak bogato była przystrojona, jak jarząco oświetlona! Zdaje mi się, że było tu wtedy z pięćdziesiąt osób, panów i pań, wszyscy z najpierwszych rodzin hrabstwa, a pannę Ingram uważano za królowa wieczoru.

— Widziała ją pani, mówi pani? Jakże ona wyglądała?

— Tak, widziałam ją. Drzwi jadalni były na oścież otwarte, a że było Boże Narodzenie, pozwolono służbie zgromadzić się w hallu i słuchać; jak panie śpiewają i grają. Pan Rochester nalegał, żebym weszła, więc siadłam w spokojnym kąciku i przyglądałam się towarzystwo. Nigdy nie widziałam świetniejszego obrazu: panie były wspaniale poubierane; większość, zwłaszcza młodsze, były ładne; ale panna Ingram była niewątpliwie królową.

— Jakże ona wyglądała?

— Wysoka, piękny biust, spadziste ramiona; długa, pełna wdzięku szyja, cera śniada, matowa, gładka, szlachetne rysy, oczy może podobne do oczu pana Rochestera: wielkie i czarne, a tak błyszczące jak jej klejnoty. A jak śliczne miała włosy, kruczoczarne, i jak korzystnie uczesane: korona z grubych warkoczy z, tyłu, a z przodu długie lśniące loki. Ubrana była biało; jasnożółta szarfa obejmowała jedno jej ramię, przechodziła przez piersi i przewiązana była z boku w pasie, spadając długimi, obszytymi frędzlą końcami poniżej kolan. Miała też jasnożółty kwiat we włosach; stanowiło to dobry kontrast z kruczymi lokami.

— Zapewne bardzo ją podziwiano?

— Tak, istotnie, i nie tylko dla jej urody, ale i dla jej talentów. Była jedną z tych pań, które śpiewały; jeden z panów akompaniował na fortepianie. Śpiewała duet z panem Rochesterem.

— Z panem Rochesterem? Nie wiedziałam, że on śpiewa.

— O! pan Rochester ma piękny bas i jest nadzwyczaj muzykalny.

— A panna Ingram jaki ma rodzaj głosu?

— Bardzo bogaty i silny; ślicznie śpiewała; rozkoszą było ją słyszeć; a potem grała. Ja się nie znam na muzyce, ale pan Rochestar się zna, a słyszałam, jak mówił, że wykonanie było wybitnie dobre.

— I ta piękna i utalentowana panna jeszcze nie wyszła za mąż?

— Zdaje się, że nie. Przypuszczam, że ani ona, ani jej siostra nie mają wielkiego majątku. Majątki starego lorda Ingrama objęte są przeważnie majoratem i najstarszy syn dostał prawie wszystko.

— Ale ja się dziwię, że któryś z bogatej szlachty nie upodobał jej sobie; na przykład pan Rochester. Przecież on jest bogaty, nieprawdaż?

— O tak! Ale widzi pani, zachodzi tutaj znaczna różnica wieku; pan Rochester ma prawie czterdzieści lat, a ona zaledwie dwadzieścia pięć.

— Cóż stąd? Bardziej nierówne małżeństwa zawierają ludzie codziennie.

— To prawda; jednak ja sobie nie wyobrażam, żeby pan Rochester myślał o czymś podobnym. Ale pani nic nie je; zaledwie skosztowała pani cokolwiek prócz herbaty.

— Istotnie, zanadto mi się chce pić, żebym mogła jeść. Czy mogę panią poprosić jeszcze o jedną, filiżankę?

Chciałam powrócić do możliwości związku pomiędzy panem Rochesterem a piękną Blanką, jednakże weszła Adelka i rozmowa potoczyła się innym torem.

Znalazłszy się sama w swoim pokoju, zastanowiłam się nad tym, czego się dowiedziałam. Zajrzałam w głąb serca, zbadałam myśli swe i uczucia, a te, które rozbujałe błąkały się po bezdrożach wyobraźni, usiłowałam pewną ręką zapędzić z powrotem pod

bezpieczny schron zdrowego rozsądku.

Stawiona przed własny trybunał, gdy pamięć wskazała przyczyny budzące nadzieję, pragnienia, uczucia, jakie nosiłam w sercu od ostatniej nocy, gdy wytłumaczyła ogólny stan duszy, jakiemu folgowałam od ostatnich prawie dwóch tygodni — gdy rozum, wystąpiwszy, złożył spokojnie po swojemu zeznania proste, nie ubarwione, wykazujące, jak odrzucałam to, co rzeczywiste, a chłonęłam chciwie to, co wymarzone — wydałam na siebie sąd taki:

Nie było na świecie głupszej istoty od Jane Eyre; nie było na świecie niedorzeczniejszej idiotki karmiącej się słodkimi kłamstwami, połykającej truciznę, jak gdyby to był nektar.

„Ciebie — mówiłam sobie — miałby wyróżnić pan Rochester? Ty miałabyś posiadać dar podobania się jemu? Ty mogłabyś mieć dla niego jakiekolwiek znaczenie? Daj pokój! Mierzi mnie twoja głupota! I ty znajdowałaś przyjemność w pewnych objawach przychylności — dwuznacznych objawach, gdy darzy nimi mężczyzna wyższego rodu, światowiec, osobę zależną od siebie i niedoświadczoną. Jakżeś ty śmiała, biedna, niemądra ofiaro!... Czyż nawet własny interes nie mógł cię nauczyć rozumu? Powtarzałaś sobie dziś rano krótką scenę ubiegłej nocy? Zakryj twarz i wstydź się! Powiedział coś na pochwałę twoich oczu, czy tak? Ślepe szczenię! Otwórz oczy i spójrz na twój własny przeklęty brak rozsądku! Niedobrze, gdy kobieta słucha pochlebstw mężczyzny postawionego wyżej od niej, który nie może mieć zamiaru pojęcia jej za żonę, a szaleństwo popełnia kobieta pozwalając, by W sercu jej rozpaliła się miłość tajemna, która, nie odwzajemniona i nieznana, pochłonie jej życie, a odkryta i odwzajemniona, musi ją jak błędny ognik zaprowadzić na bagniste pustkowie, skąd nie ma powrotu.

Usłysz przeto, Jane, swój wyrok: jutro postawisz przed sobą zwierciadło i wyrysujesz kredkami własny portret, wiernie, nie łagodząc żadnego błędu; nie opuścisz ani jednej ostrej linii, nie wygładzisz ani odrobiny brzydkiej nieregularności, podpiszesz pod tym: «Portret nauczycielki bez koligacji, biednej i brzydkiej.»

Następnie weź płytkę najgładszej słoniowej kości — masz właśnie taką, przygotowaną w pudle rysunkowym; weź paletę, zmieszaj

najświeższe, najpiękniejsze, najjaśniejsze farby, wybierz najdelikatniejsze pędzelki, narysuj najpiękniejszą twarz, jaką sobie możesz wyobrazić; wymaluj ją w najsubtelniejszych odcieniach i najłagodniejszych barwach, odpowiednio do opisu, jakiego ci o Blance Ingram dostarczyła pani Fairfax, a nie zapomnij o kruczych lokach, o wschodnich oczach... Co to! chciałabyś wzorować oczy na oczach pana Rochestera! Do porządku! Bez mazgajstwa! bez czułostkowości!... precz z żalami! Uznaję tylko rozum i stanowczość! Przypomnij sobie dostojne a harmonijne rysy, grecką szyję i biust, uwidocznij odkryte, okrągłe, śnieżnobiałe ramię i delikatną rękę; nie opuść ani pierścienia z brylantami, ani złotej bransolety, namaluj wiernie lekką koronkę i lśniący atłas, wdzięczną szarfę i złotą różę. Nazwij ten portret: «Blanka, dystyngowana panna wysokiego rodu.»

Ilekroć w przyszłości zdarzy ci się mieć złudzenie, że pan Rochester tobie sprzyja, wydobądź obydwa te portrety i porównaj je. A potem powiedz: «Pan Rochester mógłby prawdopodobnie pozyskać miłość tej szlachetnej damy, gdyby chciał się o nią starać; czy to możliwe, żeby mógł choćby pomyśleć o tej ubogiej i nic nie znaczącej plebejuszce?»"

Zrobię to — postanowiłam; a powziąwszy ten zamiar uspokoiłam się i zasnęłam.

Dotrzymałam słowa. Godzina czy dwie wystarczyły mi na naszkicowanie własnego portretu kredkami; a w mniej niż dwa tygodnie ukończyłam miniaturę przypuszczalnej Blanki Ingram. Piękna to była twarz na tym idealnym portrecie, a gdy ją porównałam z rzeczywistym, kredkowym, kontrast uderzył znamiennie. Ta praca przyniosła mi pożytek: zajęła mi głowę i ręce, dodała mocy i stałości nowym postanowieniom, które pragnęłam utrwalić w sercu.

Przyszedł niebawem czas, gdy mogłam powinszować sobie zdrowej dyscypliny, narzuconej własnym uczuciom w ten sposób ujętym w karby. Dzięki temu potrafiłam znieść pewne wydarzenia z przyzwoitym spokojem, na co, gdybym była nie przygotowana, prawdopodobnie nie byłabym się zdobyła nawet zewnętrznie.

ROZDZIAŁ XVII

Minął tydzień, ale od pana Rochestera nie było wiadomości; dziesięć dni minęło, a on jeszcze nie wracał. Pani Fairfax powiedziała, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby z Leas pojechał prosto do Londynu, a stamtąd na kontynent i nie ukazał się w Thornfield aż po roku; nieraz już wyjeżdżał nagłe i niespodziewanie. Słysząc to zaczęłam odczuwać dziwny chłód i ściskanie w sercu. Poddałam się przez chwilę uczuciu nieznośnego zawodu. Jednakże oprzytomniawszy, pomyślałam o swoich zasadach i przywołałam swe uczucia do porządku. I aż dziw, jak przezwyciężyłam chwilowe zapomnienie się, jak wyperswadowałam sobie, że nie mam powodu interesować się żywiej sprawami pana Rochestera. I wcale nie poniżyłam siebie w niewolniczym poczuciu niższości: przeciwnie, powiedziałam sobie tylko:

„Nic cię nie łączy z właścicielem Thornfield prócz pensji, którą ci wypłaca za nauczanie jego wychowanki, oraz wdzięczności za pełne szacunku i uprzejmości traktowanie, do którego masz prawo, o ile spełniasz obowiązek. Bądź pewna, że to jedyny łącznik między nim a tobą, który on na serio uznaje. Toteż nie obieraj sobie pana Rochestera za przedmiot najsłodszych uczuć, uniesień, mąk i tak dalej. On nie jest z twojej sfery; trzymaj się swojej własnej i nie zlewaj miłości całego serca, duszy i siły na kogoś, kto tego daru nie pragnie i tylko by nim pogardził."

Spokojnie prowadziłam dalej zajęcia, niekiedy snuły mi się po głowie mgliste przypuszczenia, czyby nie dobrze było opuścić Thornfield. Mimo woli układałam ogłoszenia i zastanawiałam się nad możliwością uzyskania nowych posad. Tych myśli nie uważałam za potrzebne hamować; mogły sobie kiełkować, by z czasem przynieść owoce.

Pana Rochestera nie było już z górą dwa tygodnie, gdy poczta przyniosła pani Fairfax list.

— To od pana — powiedziała spojrzawszy na adres. — Teraz

zapewne dowiemy się, czy się mamy spodziewać jego powrotu, czy też nie.

A podczas gdy ona, złamawszy pieczęć, przeglądała pismo, ja w dalszym ciągu piłam kawę; była gorąca i temu przypisywałam fakt, że mnie tak strasznie zaczęła palić twarz, ale dlaczego ręka mi drżała, tak że mimo woli rozlałam połowę, nad tym wolałam się nie zastanawiać.

— No, czasami myślę, że u nas jest zanadto spokojnie; ale teraz będzie rojno i gwarno, przez jakiś czas przynajmniej — rzekła pani Fairfax wciąż jeszcze trzymając list przed okularami.

Zanim pozwoliłam sobie zapytać o wyjaśnienie, związałam tasiemki od fartuszka Adelki, przypadkiem rozwiązane, po czym dolawszy jej mleka i podawszy jeszcze jedną bułeczkę powiedziałam od niechcenia:

— Pan Rochester zapewne jeszcze nie wróci tak prędko?

— Owszem, wraca; pisze, że za trzy dni; to znaczy w czwartek; i w dodatku nie sam. Już sama nie wiem, ilu tych eleganckich gości z Leas ma przybyć wraz z nim; każe mi przygotować wszystkie najlepsze gościnne pokoje i uporządkować bibliotekę i salony; i mam się postarać o więcej pomocnic kuchennych z hotelu w Millcote i skąd będę mogła; a panie przywiozą swoje panny służące, panowie zaś swoich służących, tak że będziemy mieli pełen dom gości.

To powiedziawszy, pani Fairfax przełknęła szybko śniadanie i pośpieszyła od razu zabrać się do dzieła.

Następne trzy dni były bardzo pracowite. Sądziłam zawsze, że wszystkie pokoje w Thornfield są doskonale czyste i dobrze utrzymane, pokazało się jednak, że się myliłam. Trzy kobiety wzięto do pomocy i ani przedtem, ani potem nie widziałam takiego szorowania, szczotkowania, mycia, trzepania dywanów, zdejmowania i zawieszania obrazów, czyszczenia zwierciadeł i świeczników, palenia w gościnnych pokojach, wietrzenia pościeli. Adelka biegała jak szalona wśród tego wszystkiego; przygotowania na zjazd gości i nadzieja ich przybycia wprawiały ją wprost w

ekstazę. Chciała, żeby bona przejrzała wszystkie jej *toilettes,* jak nazywała swoje sukienki, odświeżyła te, które były *passées,* przewietrzyła i odprasowała nowe. Ona sama wierciła się tylko i kręciła po frontowych pokojach, wskakiwała na łóżka i zeskakiwała z nich, kładła się na materacach i na stosach poduszek nagromadzonych przed buchającym na kominkach ogniem. Od lekcji została zwolniona; pani Fairfax zagarnęła mnie sobie do pomocy, tak że cały dzień byłam w spiżarni i kuchni, pomagając (a może przeszkadzając) jej i kucharce; uczyłam się przyrządzać leguminy i ciastka serowe, i ciasto francuskie, oczyszczać zwierzynę i garnirować półmiski z deserem.

Przybycia towarzystwa spodziewano się w czwartek po południu na obiad o szóstej. W okresie poprzedzającym zjazd nie miałam czasu zajmować się urojeniami i zdaje mi się, że byłam równie czynna i wesoła jak wszyscy z wyjątkiem Adelki. Pomimo to wesołość moją coś tłumiło niekiedy i mimo woli spychało mnie z powrotem w sferę wątpliwości, domysłów i niejasnych przypuszczeń. A działo się to, ile razy ujrzałam drzwi na schodach do trzeciego piętra (w ostatnich czasach stale zamykane) otwierające się powoli i przepuszczające Grację Poole w gładkim czepeczku, białym fartuchu i chusteczce na ramionach; gdy widziałam, jak sunie wzdłuż korytarza spokojnym krokiem, tłumionym miękkimi pantoflami, jak zagląda do przewróconych do góry nogami pokoi gościnnych, może po to tylko, by rzucić słówko porządkującej kobiecie, jak należy do połysku doprowadzić kratę przed kominkiem, wyczyścić gzyms marmurowy nad nim albo wywabić plamę z obicia na ścianie. W ten sposób schodziła do kuchni raz na dzień, zjadała obiad, wypalała fajeczkę przy ogniu i wracała niosąc sobie na pociechę kufel porteru do swej posępnej siedziby na górze. Z dwudziestu czterech godzin jedną tylko spędzała w towarzystwie innych służących; przez resztę czasu pędziła żywot w jakimś niskim, dębowym pokoju trzeciego piętra, siedząc tam, szyjąc i prawdopodobnie śmiejąc się sama do siebie niesamowicie, osamotniona jak więzień w lochu.

Najdziwniejszą rzeczą było to, że nikt w domu, prócz mnie, nie zwracał uwagi na jej zwyczaje, nie zdawał się im dziwić; nikt nie zastanawiał się nad jej stanowiskiem ani nad jej zajęciami; nikt nie litował się nad jej samotnością i odosobnieniem. Raz, co prawda,

usłyszałam część rozmowy pomiędzy Leą a jedną z najętych kobiet, rozmowy dotyczącej Gracji. Lea coś powiedziała, czego nie dosłyszałam, a wtedy kobieta zapytała:

— Wyobrażam sobie, że musi dostawać dobrą pensję.

— Tak — odpowiedziała Lea. — Rada bym taką dostawać; to nie znaczy, żebym się na moją skarżyła... tu nie ma skąpstwa w Thornfield; ale moja pensja to nawet nie piąta część tego, co dostaje pani Poole. Toteż ona odkłada; co kwartał chodzi do banku w Millcote. Nie dziwiłabym się, gdyby już uzbierała dosyć, by móc się utrzymać, gdyby miała ochotę odejść. Jednakże myślę, że przyzwyczaiła się do miejsca, a przy tym nie ma jeszcze lat czterdziestu, a silna jest i zdolna do każdej pracy. Za wcześnie jeszcze dla niej porzucić posadę.

— To zręczna osoba, taką się przynajmniej wydaje — zauważyła kobieta.

— Ach!... ona się dobrze rozumie na tym, co ma do roboty, nikt by tego lepiej nie potrafił — odpowiedziała Lea znacząco. — I nie każdy też umiałby ją zastąpić... nawet za wszystkie te pieniądze, które bierze.

— O, co to, to z pewnością! — brzmiała odpowiedź. — Ciekawa jestem, czy pan...

Kobieta chciała dalej mówić, ale tu Lea odwróciła się, spostrzegła mnie i natychmiast trąciła towarzyszkę.

— Czy ona nie wie? — dosłyszałam szept.

Lea potrząsnęła głową i rozmowa się urwała. Wyrozumiałam z tego jedynie, że w Thornfield jest jakaś tajemnica i że od udziału w tej tajemnicy jestem rozmyślnie wykluczona.

Nadszedł czwartek; wszelką robotę ukończono poprzedniego wieczoru. Porozkładano dywany, pozawieszano zasłony przy łóżkach, rozłożono śnieżnobiałe kapy, urządzono stoliki toaletowe, powycierano meble, ułożono kwiaty w wazonach. Pokoje gościnne i salony nabrały takiej jasności i świeżości, jaką tylko rękami ludzi

osiągnąć było można. I hall także wyczyszczono, a wielki rzeźbiony zegar, zarówno jak stopnie i balaski schodów, błyszczał wypolerowany jak szkło; w jadalnym pokoju kredens jaśniał od sreber, a w salonie i buduarze poustawiano wszędzie egzotyczne kwiaty.

Godziny poobiednie upływały; pani Fairfax włożyła swoją najlepszą, czarną atłasową szatę, rękawiczki i przypięła złoty zegarek, w jej bowiem roli leżało przyjąć towarzystwo, odprowadzić panie do ich pokoi itd. I Adelka także chciała się wystroić, chociaż przypuszczałam, że małą ma szansę być przedstawiona gościom, tego dnia przynajmniej. Jednakże, chcąc jej dogodzić, pozwoliłam, by ją Sophie ubrała w krótką, sutą muślinową sukienkę. Ja zaś nie potrzebowałam się przebierać; nie będę przecież wezwana do opuszczenia szkolnego pokoju, mojego sanktuarium; gdyż moim sanktuarium stał się teraz ten pokój; „bardzo miłym schronieniem w okresie zawieruchy".

Łagodny to był, pogodny, wiosenny dzień — jeden *z* tych dni, które ku końcowi marca lub na początku kwietnia wstają jaśniejące nad ziemią jako zwiastuny lata. Dzień ten chylił się teraz ku końcowi, lecz jeszcze i wieczór był ciepły, tak że siedziałam nad robotą w pokoju szkolnym przy otwartym oknie.

— Już późno — rzekła pani Fairfax wchodząc ubrana w szeleszczące jedwabie. — Jestem zadowolona, że zadysponowałam obiad na siódmą, choć pan Rochester wspomniał o szóstej, bo już teraz jest po szóstej. Posłałam Johna, aby wyjrzał przez bramę, czy widać ich na drodze; stamtąd widzi się długi kawał drogi w kierunku Millcote.

Podeszła do okna.

— A otóż i on! No i cóż, Johnie — rzekła wychylając się — czy są jakie wiadomości?

— Jadą, proszę pani — odpowiedział. — Za dziesięć minut tu będą.

Adelka skoczyła do okna. Ja podążyłam za nią stając *z* boku tak, ażeby ukryta za firanką móc widzieć, sama pozostając nie widziana. Te dziesięć minut dłużyły mi się bardzo; nareszcie rozległ się turkot

kół; czworo jeźdźców konnych galopowało ku podjazdowi, a za nimi jechały dwa otwarte powozy. Wiatrem unoszone woale i powiewające pióra wypełniały powozy; dwaj jeźdźcy byli to młodzi, eleganccy panowie, trzecim był pan Rochester na karym wierzchowcu Mesrourze; Pilot w susach biegł przed nim. Przy boku pana Rochestera jechała dama i oboje wyprzedzali całe towarzystwo. Karmazynowa amazonka damy sięgała prawie do ziemi, jej długi woal unosił się z wietrzykiem; kruczoczarne loki mieszały się z jego przejrzystymi fałdami i przeświecały przez nie.

— Panna Ingram! — zawołała pani Fairfax i pośpieszyła objąć posterunek na dole.

Kawalkada, sunąc wzdłuż zakrętu podjazdowej drogi, niebawem znikła za węgłem domu; straciłam ją z oczu. Adelka teraz napierała się, by zejść na dół; ale ja wzięłam ją na kolana i zapowiedziałam, że pod żadnym pozorem nie wolno jej myśleć o pokazywaniu się paniom, ani teraz, ani kiedy indziej, dopóki wyraźnie jej nie zawezwą; w przeciwnym razie pan Rochester bardzo by się gniewał. Wylała parę łez usłyszawszy ten zakaz, ale gdy ja przybrałam bardzo poważną minę, zdecydowała się obetrzeć je w końcu.

Wesoły gwar dolatywał teraz z hallu; głębokie tony panów i srebrzyste głosy pań mieszały się harmonijnie, a spośród wszystkich wyróżniał się niegłośny, lecz głęboki głos pana domu witającego miłych gości. Po chwili na schodach rozległy się lekkie kroki i wnet na korytarzu zabrzmiał wesoły, przytłumiony śmiech; otwierano i zamykano drzwi, a potem na czas pewien zapanowała cisza.

— *Elles changent de toilettes* — rzekła Adelka, która nasłuchując uważnie śledziła każdy ruch, i westchnęła. — *Chez maman* — ciągnęła dalej — gdy byli goście, ja chodziłam za nimi wszędzie, do salonu i do ich pokoi; często przypatrywałam się, jak panny służące ubierały i czesały swoje panie, i to było takie zajmujące! W ten sposób można się wiele nauczyć.

— Musisz być głodna, Adelko.

— Ależ tak, mademoiselle: od pięciu czy sześciu godzin nic nie jadłyśmy.

— To dobrze; teraz gdy panie są w swoich pokojach, spróbuję zejść na dół i zdobyć dla ciebie coś do jedzenia.

Wysunęłam się ostrożnie ze swego schronienia i zeszłam na dół tylnymi schodami prowadzącymi prosto do kuchni. Tu buchał ogień, wrzał ruch; zupa i ryba już były na wydaniu, a kucharka pochylała się nad rozpaloną blachą zdenerwowana, rozczerwieniona, jak gdyby się sama wnet miała zapalić. W hallu dla służby dwóch stangretów i trzech służących stało lub siedziało dokoła ognia; panny służące musiały być zajęte przy swoich paniach; nowa służba, najęta z Millcote, krzątała się i kręciła wszędzie. Przesuwając się przez ten chaos dotarłam wreszcie do podręcznej spiżarki; tam zabrałam zimne kurczę, chleb, trochę ciastek, dwa talerze, nóż, widelec i z tym łupem pośpiesznie zawróciłam. Już byłam na galerii i zamykałam drzwi za sobą, gdy wzmożony gwar przestrzegł mnie, że panie zaczną wychodzić ze swoich pokoi. Nie mogłam dostać się do szkolnego pokoju bez minięcia niektórych drzwi i bez narażenia się, że mnie zobaczą z ładunkiem wiktuałów; toteż zatrzymałam się w tamtym końcu, który nie miał okien i zawsze był ciemny, a teraz zupełnie ciemny, gdyż słońce już zaszło i mrok zapadał.

Teraz z pokoi zaczęły się wynurzać panie jedna po drugiej; każda z nich wychodziła lekko i wesoło, błyszcząc w półmroku bogatym strojem. Przez chwilę stały zgromadzone razem na drugim końcu galerii, rozmawiając półgłosem z miłym ożywieniem; następnie zeszły ze schodów nieomal tak cicho jak jasna mgła, co stacza się po skłonie pagórka. Zebrane razem wywarły na mnie wrażenie takiej arystokratycznej wytworności, jakiej dotychczas nie znałam.

Zastałam Adelkę wyglądającą spoza drzwi szkolnego pokoju, które szeroko otworzyła.

— Co za piękne panie! — zawołała po angielsku. — Och, jak ja bym chciała do nich pójść! Czy pani myśli, że pan Rochester przyśle po nas, może później, po obiedzie?

— Nie, myślę, że nie; pan Rochester jest zajęty czym innym. Nie myśl już dziś o tych paniach; może zobaczysz je jutro; a tutaj masz obiad.

Była naprawdę głodna, więc kurczę i ciastka zajęły na razie jej uwagę. Dobrze się stało, że zdobyłam ten prowiant, gdyż inaczej ona, ja i Sophie, z którą podzieliłam się naszym posiłkiem, byłybyśmy prawdopodobnie zostały bez obiadu; wszyscy na dole byli zbyt zajęci, żeby pamiętać o nas. Deser podano dopiero po dziewiątej, a jeszcze o dziesiątej wciąż tam i z powrotem biegali lokaje nosząc tace i filiżanki kawy. Pozwoliłam Adelce nie kłaść się znacznie dłużej niż zwykle, gdyż oświadczyła, że nie mogłaby zasnąć słysząc ciągłe otwieranie i zamykanie drzwi na dole i kręcących się ludzi. A przy tym, dodała, mogłoby przyjść zaproszenie od pana Rochestera, gdy ona już byłaby rozebrana; *et alors quel dommage.*

Opowiadałam jej różne historyjki, dopóki chciała słuchać; a potem dla odmiany wyszłam z nią na korytarz; lampa w hallu była teraz zapalona, a mała przechyliwszy się przez balustradę śledziła, jak służba chodzi i wraca. Późniejszym wieczorem dźwięki muzyki popłynęły z salonu, dokąd przeniesiono fortepian. Siadłam z Adelką na górnym stopniu schodów, ażeby się przysłuchiwać. Po chwili czyjś głos zmieszał się z bogatymi tonami instrumentu, to jakaś pani śpiewała bardzo pięknie. Po śpiewie solo nastąpił duet, a potem radosny gwar; szmer wesołej rozmowy wypełniał przerwy. Słuchałam długo; nagle złapałam się na tym, że ucho moje pracuje wyłącznie nad rozróżnieniem zmieszanych dźwięków i wyłowieniem z tego zamętu głosu pana Rochestera; gdy zaś pochwyciło go niebawem, pracowało dalej nad składaniem w słowa dźwięków, niewyraźnych wskutek oddalenia.

Zegar wybił jedenastą. Spojrzałam na Adelkę, która oparła głowę o moje ramię; powieki jej się kleiły, toteż wzięłam ją na ręce i zaniosłam do łóżka. Dochodziła pierwsza, gdy panie i panowie powrócili do swoich pokoi.

Dzień następny był równie ładny jak poprzedni. Dzień ten poświęcono na wycieczkę do jakiejś pięknej miejscowości w sąsiedztwie. Towarzystwo wyruszyło wcześnie przed południem, jedni konno, inni powozami; przyglądałam się ich wyjazdowi i powrotowi. Panna Ingram, jak poprzednio, była jedyną damą jeżdżącą konno*;* pan Rochester galopował przy jej boku; oboje jechali trochę opodal od reszty. Pokazałam to pani Fairfax stojącej

obok mnie przy oknie.

— Mówiła pani, że nie jest prawdopodobne, ażeby ci państwo myśleli o pobraniu się — rzekłam. — A jednak widzi pani, że pan Rochester widocznie woli pannę Ingram od wszystkich innych panien.

— Tak, zdawałoby się, że ona mu się niewątpliwie podoba.

— A on jej — dodałam. — Niech pani patrzy, jak pochyla głowę ku niemu, jak gdyby poufnie z nim rozmawiała; chciałabym zobaczyć jej twarz; jeszcze jej dotąd nie widziałam.

— Zobaczy ją pani dziś wieczorem — odpowiedziała pani Fairfax. — Wspomniałam przypadkiem panu Rochesterowi, że Adelka tak bardzo pragnie być przedstawiona paniom. A on na to odpowiedział: „O, niechże przyjdzie do salonu po obiedzie; i niech pani poprosi pannę Eyre, żeby jej towarzyszyła."

— Tak, powiedział to z prostej grzeczności; nie potrzebuję tam iść, jestem pewna — odpowiedziałam.

— Otóż ja na to zauważyłam, że pani, nieprzywykłej do towarzystwa, zapewne nie będzie miło ukazać się przed tak wesołym gronem obcych ludzi. Wtedy odpowiedział prędko, jak to on: „Głupstwo! Jeżeli nie będzie chciała, niech jej pani powie, że ja sobie tego specjalnie życzę; a jeżeli się będzie opierała, niech pani powie, że przyjdę i sam ją sprowadzę."

— Nie narażę go na tyle trudu — odpowiedziałam. — Pójdę, skoro nie może być inaczej; ale nie sprawia mi to przyjemności. A czy pani tam będzie?

— Nie; wymówiłam się i przyjął moją wymówkę. Powiem pani, jak trzeba zrobić, żeby uniknąć żenującego publicznego wejścia, co jest ze wszystkiego najbardziej nieprzyjemne. Niech pani przyjdzie do salonu, podczas gdy będzie jeszcze pusty, zanim panie odejdą od stołu; niech pani sobie wybierze jakiś spokojny kącik; nie potrzebuje pani pozostawać długo po przyjściu panów, chyba że pani będzie wolała zostać; niech tylko pan Rochester zobaczy, że pani jest, a potem może się pani wymknąć, nikt tego nie zauważy.

— Czy ci goście długo tutaj zostaną? Jak pani sądzi?

— Może ze dwa albo trzy tygodnie, z pewnością nie dłużej. Po wielkanocnej przerwie sir George Lynn, który świeżo został obrany posłem z okręgu Millcote, będzie musiał pojechać do miasta i objąć swój mandat. Przypuszczam, że pan Rochester będzie mu towarzyszył; dziwię się i tak, że przedłużył pobyt w Thornfield.

Z pewnym drżeniem spostrzegłam, że zbliża się godzina, w której wypadnie mi zjawić się z moją uczennicą w salonie. Adelka przeżyła w podnieceniu cały dzień dowiedziawszy się, że wieczorem ma być przedstawiona paniom. Otrzeźwiała dopiero, gdy bona zaczęła ją ubierać. Wtedy ważność tego procederu uspokoiła ją prędko, a gdy kędziory jej ułożono w długie loki, gdy ubrano ją w różową atlasową sukienkę, zawiązano długą szarfę i włożono koronkowe mitenki, przybrała minę poważną niczym sędzia. Nie trzeba jej było upominać, by nie zmięła ubrania; gdy już była gotowa, usiadła cicho, wyprostowana na swym małym krzesełku, starannie przedtem uniósłszy atłasową spódniczkę, żeby jej nie zgnieść, i zapewniała mnie, że nie ruszy się stamtąd, dopóki ja się nie ubiorę. Załatwiłam się z tym prędko; włożyłam najstrojniejszą suknię (srebrnopopielatą, sprawioną na ślub panny Tempie i odtąd nigdy nie noszoną), szybko przygładziłam włosy, przypięłam jedyną swoją ozdobę, broszkę z perełką, i byłam gotowa. Zeszłyśmy na dół.

Na szczęście było tam drugie wejście do salonu oprócz wejścia przez jadalnię, gdzie wszyscy siedzieli przy stole. Zastałyśmy salon pusty; suty ogień palił się na marmurowym kominku, a woskowe świece świeciły jasno wśród wykwintnych kwiatów zdobiących stoły. Karmazynowa zasłona zwieszała się u arkady. Choć draperia ta stanowiła wątłą przegrodę od zgromadzonego w przyległej jadalni towarzystwa, rozmawiano tam tak przyciszonym głosem, że nic nie można było dosłyszeć prócz przytłumionego szmeru.

Adelka wciąż jeszcze pod wpływem uroczystego nastroju usiadła nic nie mówiąc na podnóżku, który jej wskazałam. Ja sama schroniłam się w zagłębienie okna, siadłam tam i wziąwszy jakąś książkę z najbliższego stołu próbowałam czytać. Adelka przyniosła sobie stołeczek do moich nóg; niebawem trąciła mnie w kolano.

— Czego chciałaś, Adelko?

— *Est-ce que je ne puis pas prendre une seule de ces fleurs magnifiques, mademoiselle? Seulement pour compléter ma toilette?*

— Za wiele myślisz o swojej toilette, Adelko; ale możesz dostać kwiatek.

I wyjąwszy różę z wazy przypięłam do jej paska. Westchnęła z niewymownym zadowoleniem, jak gdyby teraz czara jej szczęścia wypełniła się. Odwróciłam twarz, ażeby ukryć uśmiech, którego nie mogłam powstrzymać; było coś śmiesznego i przykrego zarazem w tym poważnym, wrodzonym przejęciu się małej paryżanki sprawami stroju.

Cichy odgłos wstawania od stołu dał się teraz słyszeć. Rozsunięto portierę nad arkadą; poza nią ukazał się pokój jadalny ze świecznikiem, siejącym blask na wspaniałą zastawę deserową ze sreber i kryształu; grono pań stanęło pod arkadą; weszły, a portiera opadła za nimi.

Było ich tylko osiem, ale jakoś, gdy wchodziły gromadką, sprawiły na mnie wrażenie o wiele liczniejszego grona. Niektóre były bardzo wysokiego wzrostu; kilka z nich było ubranych biało, a wszystkie strojne były bardzo, co zdawało się zwiększać ich postacie, jak otok mgły zwiększa księżyc. Wstałam i dygnęłam; jedna czy dwie pochyliły głowy w odpowiedzi, inne tylko popatrzyły się na mnie.

Rozproszyły się po pokoju, przypominając mi lekkością i kołysaniem ruchów stado białych, pierzastych ptaków. Niektóre rzuciły się w półleżącej pozycji na kanapy i niskie kuszetki; niektóre pochyliły się nad stołami oglądając książki i kwiaty; reszta zgromadziła się dokoła kominka; wszystkie mówiły cicho, ale wyraźnie; widocznie zwykle tak mówiły. Dowiedziałam się później ich nazwisk, ale równie dobrze mogę je teraz wymienić.

Więc przede wszystkim była tam pani Eshton z dwiema córkami. Musiała to być ładna niegdyś kobieta i teraz jeszcze trzymała się dobrze. Z córek jej starsza, Amy, była raczej mała, naiwna, o dziecinnej twarzy i obejściu, i zręcznej, ponętnej figurce; w białej muślinowej sukni z niebieską szarfą było jej bardzo ładnie. Druga, Luiza, była wyższa i elegantszą miała postawę, twarz bardzo ładną, z tego rodzaju, który Francuzi nazywają *minois chiffonné*; obydwie

siostry miały cerę białości lilii.

Lady Lynn była wysoką i tęgą osobą około czterdziestki, trzymała się bardzo prosto, minę miała wyniosłą, bogato była ubrana w atłasową suknię mieniącej barwy; ciemne jej włosy świeciły połyskiem pod cieniem błękitnego pióra, spięte diademem z klejnotów.

Pani pułkownikowa Dent była mniej okazała, ale wydała mi się więcej dystyngowana. Figurę miała szczupłą, twarz bladą, miłą i jasne włosy. Jej czarna jedwabna suknia, szarfa z bogatej, zagranicznej koronki i perły więcej mi się podobały niż tęczowa promienistość utytułowanej damy.

Jednakże trzy najwybitniejsze — po części może dlatego, że najwyższe postacie w tym gronie — były to: wdowa lady Ingram oraz jej córki Blanka i Mary. Wszystkie trzy były najwyższego jak na kobiety wzrostu. Sama pani mogła mieć lat czterdzieści kilka do pięćdziesięciu; figura jej dotąd pozostała piękna, włosy (przy świetle świec przynajmniej) dotąd nie straciły czarnej barwy, zęby nie straciły nic z doskonałości. Większość ludzi nazwałaby ją wspaniałą kobietą jak na jej wiek; i taką też była, niewątpliwie, pod względem fizycznym; ale za to bił z jej twarzy i obejścia wyraz niemożliwej prawie do zniesienia pychy. Rysy miała rzymski i podwójny podbródek spływający w szyję podobną do kolumny; to wszystko wydało mi się nie tylko nadęte, ale nawet napiętnowane dumą; na tej samej zasadzie broda wznosiła się wysoko, w pozycji prawie nienaturalnie wyprostowanej. Miała też ostre, o twardym wejrzeniu oczy. Przypomniało mi to panią Reed. Mówiąc cedziła słowa; głos miała głęboki, o modulacjach bardzo pompatycznych, bardzo dogmatycznych, słowem nieznośnych. Karmazynowa aksamitna suknia i turban upięty z szala z jakiejś złotem przerabianej indyjskiej materii nadawały jej (sądzę, że tak sobie wyobrażała) dostojność iście cesarską.

Blanka i Mary były jednakowego wzrostu — proste i wysokie jak topole. Mary była zbyt szczupła na swój wzrost, lecz Blanka miała budowę Diany. Przyglądałam jej się, naturalnie, ze szczególniejszym zaciekawieniem. Najpierw pragnęłam się przekonać, czy powierzchowność jej zgadza się z opisem pani Fairfax; następnie, czy w ogóle podobna jest do swej podobizny, przeze mnie

wymalowanej; a wreszcie — muszę to powiedzieć — czy jest taka, jaka wedle mojego pojęcia mogłaby się podobać panu Rochesterowi.

Co do samej postaci, to odpowiadała dokładnie zarówno mojemu portrecikowi, jak opisowi pani Fair-fax. Piękny biust, spadziste ramiona, pełna gracji szyja, ciemne oczy i czarne loki, wszystko to było; ale jej twarz? Jej twarz była odbiciem twarzy matki; młodzieńcza, żadną zmarszczką nie dotknięta podobizna: to samo niskie czoło, te same rzymskie rysy, ta sama duma. Nie była to jednak duma nasępiona!

Śmiała się wciąż; śmiech to był sarkastyczny i taki też był zwykły wyraz jej dumnie wygiętych warg.

Powiadają, że geniusz jest zarozumiały. Ja nie wiem, czy panna Ingram była geniuszem, ale była zarozumiała, uderzająco zarozumiała doprawdy. Zaczęła rozprawiać o botanice z miłą panią Dent; zdaje się, że pani Dent nie studiowała botaniki, chociaż, jak mówiła, lubiła kwiaty, „zwłaszcza polne i leśne"; panna Ingram, owszem, uczyła się jej, i z jakąż miną zasypywała słuchaczkę katalogiem nazw! Spostrzegłam od razu, że ona, jak to mówią, chce „wpakować" panią Dent, wyzyskując jej niewiedzę; to „pakowanie" może było sprytne, ale stanowczo nie było ani poczciwe, ani delikatne. Zagrała na fortepianie — wykonanie było świetne; śpiewała — głos miała piękny; rozmawiała z matką po francusku i mówiła biegle i z dobrym akcentem.

Mary miała twarz łagodniejszą i bardziej otwartą niż siostra; rysy jej były łagodniejsze i cera o parę odcieni jaśniejsza (panna Blanka Ingram smagła była jak Hiszpanka); ale Mary brakowało ożywienia; twarz była bez wyrazu, oczy bez blasku; nie miała nic do powiedzenia, a raz zająwszy miejsce, pozostawała tam nieruchomo jak posąg w niszy. Obydwie siostry ubrane były wyłącznie na biało.

I czyż teraz wydało mi się, że na pannę Ingram mógłby paść wybór pana Rochestera? Nie wiedziałam, nie znałam jego gustu co do piękności kobiecej. Jeżeli lubił majestatyczność, Blanka była doskonałym typem majestatyczności; przy tym była wykształcona pełna życia. Większość mężczyzn musiałaby ją podziwiać, pomyślałam; a że i on ją podziwia, zdawało mi się, że już miałam

tego dowód; ażeby usunąć ostatni cień wątpliwości, pozostawało mi tylko jeszcze zobaczyć ich razem.

Nie przypuszczaj czasem, czytelniku, że Adelka przez cały ten czas siedziała bez ruchu na stołeczku u moich nóg; nie; gdy panie weszły, wstała, podeszła ku nim, ukłoniła się z godnością i poważnie powiedziała:

— *Bonjour, mesdames.*

A wtedy panna Ingram spojrzała na nią drwiąco i *z* góry i zawołała:

— O, cóż to za laleczka? Lady Lynn zauważyła:

— To zapewne pupilka pana Rochestera, ta Francuzeczka, o której mówił.

Pani Dent dobrotliwie wzięła ją za rękę i pocałowała. Amy i Luiza Eshton zawołały równocześnie:

— Co za miluchne dziecko!

I zaraz też zawołały ją do siebie na kanapę, gdzie teraz siedziała, wciśnięta pomiędzy nie, trzepiąc to po francusku, to łamaną angielszczyzną i zajmując sobą uwagę nie tylko panien, ale pani Eshton i lady Lynn; zajmowano się nią, więc czuła się w siódmym niebie.

Nareszcie wniesiono kawę i poproszono panów. Siedzę w cieniu — jeżeli można mówić o cieniu w tym jasno oświetlonym salonie — zasłona na wpół mnie zakrywa. I znowu odsłania się arkada — wchodzą. Panowie sprawiają imponujące wrażenie. Wszyscy ubrani na czarno; są przeważnie wysocy, niektórzy młodzi. Henryk i Fryderyk Lynn to bardzo szykowni młodzieńcy, a pułkownik Dent — piękny oficer. Pan Eshton, sędzia, ma wygląd dystyngowany; włosy ma już zupełnie siwe, ale brwi i bokobrody jeszcze czarne, co nadaje jego twarzy charakter „szlachetnego ojca" ze sceny. Lord Ingram, podobnie jak siostry, jest bardzo wysoki i jak one bardzo przystojny; ma jednakże, tak jak Mary, minę apatyczną i obojętną; zdaje się, że więcej celuje długością członków niż żywością krwi i siłą mózgu.

A gdzie jest pan Rochester?

Wchodzi ostatni; nie patrzę na arkadę, ale widzę go wchodzącego. Staram się skupić uwagę na swoim szydełku, na oczkach sakiewki, którą robię; pragnę myśleć tylko o swojej robocie, widzieć tylko srebrne perełki i jedwabne nici leżące na moich kolanach; tymczasem widzę dokładnie jego postać i przemożnie narzuca mi się wspomnienie tej chwili, gdy go widziałam po raz ostatni; gdy po wyświadczeniu mu tej, jak on to nazwał, tak bardzo ważnej przysługi stałam przed nim, a on trzymał moją rękę i patrzył mi w twarz oczami mówiącymi o pełnym, o przepełnionym wzruszeniem sercu, i to z mego powodu. Jak bliska jemu czułam się w owej chwili! Cóż się odtąd stało, że tak się zmienił jego stosunek do mnie i mój do niego? Gdyż jakże dalecy i obcy byliśmy sobie teraz! Tak bardzo obcy, że nawet się nie spodziewałam, żeby podszedł do mnie i przemówił. Nie zdziwiłam się, gdy nie spojrzawszy na mnie, siadł w drugim końcu salonu i zaczął rozmawiać z paniami.

Zaledwie spostrzegłam, że zwrócił uwagę na nie i że mogę patrzeć nie zauważona, a natychmiast wbrew woli podniosłam oczy na jego twarz; nie mogłam opanować oczu: biegły ku niemu i tkwiły w nim. Patrzyłam i znajdowałam bolesną przyjemność w patrzeniu, jakbym w czystym złocie widziała stalowe błyski męki; przyjemność, jaką mógłby odczuwać ginący z pragnienia człowiek, który wiedząc, *że* źródło, do którego się doczołgał, jest zatrute, nachyla się i pomimo wszystko pije boski napój.

Wielce prawdziwe jest powiedzenie, że „piękność leży w oku patrzącego". Pozbawiona rumieńca, śniada twarz mojego chlebodawcy, jego kwadratowe, potężne czoło, szerokie czarne brwi, głębokie oczy, wybitne rysy, mocno zarysowane, surowe usta — świadczące o energii, stanowczości, woli — wszystko to nie było piękne wedle wszelkich reguł; dla mnie jednak ta twarz była więcej niż piękna; przykuwał mnie jej urok, wywierała na mnie ujarzmiające wrażenie. Nie chciałam go kochać; ciężko walczyłam, by wyplenić z serca ziarno kiełkującej miłości; a teraz, za pierwszym spojrzeniem na niego, ziarna te puszczały pędy silne i zielone! Budził we mnie miłość nie patrząc nawet na mnie.

Porównywałam go z jego gośćmi. Czymże był dorodny wdzięk Lynnów, niedbała wykwintność lorda Ingrama, nawet rycerska

dystynkcja pułkownika Denta wobec jego poczucia wrodzonej wartości i swoistej mocy? Nie przemawiały do mnie ani ich powierzchowność, ani ich wyraz — chociaż mogłam sobie wyobrazić, że oczom wielu patrzących wydawać się mogli sympatyczni, przystojni, imponujący nawet, pan Rochester zaś człowiekiem o surowych rysach i melancholijnym wyglądzie. Widziałam, jak się uśmiechali, jak się śmiali — jakie to było czcze! Światło świec miało w sobie tyle duszy co ich uśmiech, dźwięk dzwonka więcej znaczenia niż ich śmiech. Widziałam, jak się pan Rochester uśmiechał: jego surowe rysy złagodniały, oczy zabłysły i zajaśniały mile, spojrzenie ich było badawcze i zarazem słodkie. Rozmawiał w tej chwili z Luizą i Amy Eshton. Zdziwiłam się, że nie zaniepokoiło ich to spojrzenie, które mnie wydało się tak przejmujące; myślałam że spuszczą oczy, że rumieniec obleje ich twarze, jednakże rada byłam widząc, że wcale nie są wzruszone. „On nie jest dla nich tym, czym jest dla mnie — pomyślałam. — Nie jest taki jak one. Sądzę, że jest taki jak ja... tak, jestem tego pewna... czuję się jemu pokrewna; rozumiem wymowę jego twarzy i ruchów! Chociaż sfera i majątek tak bardzo nas dzielą, mam coś w mózgu i sercu, w krwi i nerwach, co łączy mnie z nim duchowo. Czy powiedziałam kilka dni temu, że nie mam z nim nic wspólnego prócz zapłaty, którą z rąk jego biorę? Czy zabroniłam sobie myśleć o nim w jakimkolwiek innym świetle, jak tylko o płacącym mi chlebodawcy? Bluźnierstwo przeciw naturze! Każde dobre, szczere, silne uczucie mej duszy samorzutnie skupia się dokoła niego. Wiem, że muszę, ukrywać swoje uczucia, zgnieść wszelką nadzieję: że muszę pamiętać, iż jestem dla niego prawie niczym. Bo jeżeli mówię, że jestem taka jak on, to nie rozumiem przez to, że posiadam jego moc oddziaływania, jego urok przyciągania; rozumiem tylko, że mam z nim pewne wspólne zamiłowania i uczucia. Muszę więc powtarzać sobie wciąż, że jesteśmy rozdzieleni na wieki — a jednak, dopóki myślę, dopóki tchu w piersiach stanie, muszę go kochać."

Roznoszono kawę. Panie od chwili, gdy weszli panowie, ożywiły się jak skowronki; potoczyła się rozmowa żwawa i wesoła. Pułkownik Dent i pan Eshton dysputują o polityce; żony ich przysłuchują się. Dwie dumne arystokratki, lady Lynn i lady Ingram, gawędzą z sobą. Sir George — bardzo gruby, czerstwy wiejski obywatel, stoi przed ich kanapą z filiżanką w ręku i raz po raz wtrąca słówko. Młody

Fryderyk Lynn usiadł obok Mary Ingram i pokazuje jej ilustracje w jakimś wspaniałym tomie; ona patrzy, uśmiecha się niekiedy, ale mówi niewiele. Wysoki, flegmatyczny lord Ingram opiera się złożonymi rękami o tył fotela małej, żywej Amy Eshton; ona podnosi na niego oczy i szczebioce jak sroczka; widać, że woli jego od pana Rochestera. Henryk Lynn zagarnął w posiadanie niskie siedzenie u stóp Luizy; Adelka siedzi obok niego, młodzieniec stara się rozmawiać z nią po francusku, a Luiza śmieje się z jego błędów. Kto będzie asystował Blance? Stoi samotna przy stole, schylona z gracją nad albumem. Zdaje się czekać, by ją poszukano; ale nie chce czekać zbyt długo; sama sobie wybiera towarzysza.

Pan Rochester, opuściwszy panny Eshton, stoi przy kominku równie samotnie jak ona przy stole; Blanka staje naprzeciw niego po drugiej stronie kominka.

— Panie Rochester, myślałam, że pan nie lubi dzieci.

— Istotnie, nie lubię.

— A więc cóż pana skłoniło do obarczenia się taką laleczką? — tu wskazała Adelkę. — Gdzie ją pan wyszukał?

— Ja jej wcale nie szukałem; zrzucono mi ją na barki.

— Trzeba ją było posłać do szkoły.

— Nie mogłem sobie na to pozwolić: szkoły są takie kosztowne!

— Jak to, zdaje mi się, że pan trzyma do niej guwernantkę; widziałam z nią jakąś osobę przed chwilą, czy poszła sobie? O nie! jest tam jeszcze za zasłoną, przy oknie. Pan jej płaci, naturalnie; to chyba nie kosztuje mniej, raczej więcej, bo pan musi je obie w dodatku utrzymywać.

Czy mam powiedzieć, że lękałam się, spodziewając się, iż ta wzmianka o mnie skieruje wzrok pana Rochestera w moją stronę? Mimo woli wsunęłam się głębiej w cień. Ale on wcale nie odwrócił oczu.

— Nie zastanawiałem się nad tym — odpowiedział obojętnie, patrząc prosto przed siebie.

— Nie, wy, mężczyźni, nigdy nie zastanawiacie się nad kwestią oszczędności i zdrowego rozsądku. Chciałabym, by pan usłyszał, co mama potrafi powiedzieć ha temat guwernantek. Mary i ja miałyśmy swojego czasu coś ze dwanaście guwernantek; połowa ich były to nieznośne kreatury, reszta śmieszne, a wszystkie czupiradła, nieprawdaż, mamo?

— Czy do mnie mówisz, moja jedyna?

Panna, tak pieszczotliwie nazwana, powtórzyła pytanie z odpowiednim objaśnieniem.

— Moja najdroższa, nie mów mi o guwernantkach; samo to słowo działa mi na nerwy. Wycierpiałam męki z powodu ich nieumiejętności i grymasów. Bogu dziękuję, że skończyłam z nimi raz na zawsze!

Tu pani Dent nachyliła się ku nabożnej damie i szepnęła jej coś na ucho; przypuszczam, po odpowiedzi sądząc, że zwróciła jej uwagę, iż jedna z tej wyklętej rasy jest tu obecna.

— *Tant pis!* To jej nie zaszkodzi! — odpowiedziała wspaniała lady. A potem ciszej, jednak dosyć głośno, tak że mogłam ją usłyszeć, dodała: — Zauważyłam ją; znam się na fizjonomiach, a na jej twarzy widzę wypisane wszystkie wady jej klasy.

— I jakie to mianowicie, zdaniem pani? — zapytał pan Rochester głośno.

— Powiem panu na ucho — odpowiedziała, kiwając po trzykroć turbanem majestatycznie a znacząco.

— Ale moja ciekawość zwietrzeje; niech ją pani teraz nasyci.

— Niech się pan zapyta Blanki; ona jest bliżej pana niż ja.

— O, niech go mama nie odsyła do mnie! Ja mara tylko jedno słowo do powiedzenia o całej tej zgrai: to plaga. Nie twierdzę, że ja sama wiele od nich ucierpiałam, bo umiałam odwrócić karty. Co za figle Teodor i ja płataliśmy naszym pannom Wilson, paniom Grey i madame Joubert! Mary zawsze była zanadto śpiąca, by odważnie wziąć udział w jakimś spisku. Najlepsza zabawa była z madame

Joubert; panna Wilson było to biedne, chorowite stworzenie, płaczliwe i smutne, słowem, nie warto było znęcać się nad nią; a pani Grey była gruboskórna i niewrażliwa; nie można jej było niczym dotknąć. Ale biedna madame Joubert! Widzę jeszcze jej wściekłą pasję, gdy doprowadziliśmy ją do ostateczności, wylewając herbatę, krusząc chleb z masłem, rzucając książkami o sufit, wygrywając piekielne koncerty linią o stół, pogrzebaczem o popielnik przed kominkiem. Teodorze, czy pamiętasz te wesołe czasy?

— A jakże, a jakże — odpowiedział przeciągle lord Ingram. — Jakżebym nie miał pamiętać! A biedna stara krzyczała wtedy, okropnie kalecząc nasz język: „Ach wy, niegodziwa dzieciska!" Wtedy my prawiliśmy jej kazanie, że jest zarozumiała chcąc uczyć takie mądrale jak my, skoro sama jest ignorantką.

— Tak; i, Tedo, przypomnij sobie, jak ja ci pomagałam prześladować twego guwernera, pana Vining o smętnym obliczu „pastora w pączku", jak go nazywaliśmy. On i panna Wilson pozwolili sobie na zakochanie się w sobie, tak się przynajmniej Tedowi i mnie wydawało; podchwytywaliśmy różne czule spojrzenia i westchnienia, uważając je za dowody *d'une belle passion*, i możecie państwo uwierzyć, że otoczenie skorzystało prędko z dobrodziejstw naszego odkrycia; użyliśmy go za rodzaj lewaru tło podważenia i wyrzucenia z domu tego, co nam ciężyło i zawadzało. Kochana mateczka, jak tylko zmiarkowała, co się święci, uznała, że to sprawa niemoralna, nieprawdaż, moja pani matko?

— Z pewnością, moja najmilsza. I miałam zupełną słuszność; możesz mi wierzyć, że jest tysiąc powodów po temu, ażeby czułych stosunków między guwernantkami a guwernerami ani przez chwilę nie tolerować w dobrze prowadzonym domu; najpierw...

— Och, litości, mamo! Oszczędź nam wyliczania! *Au* reste, wszyscy je znamy: niebezpieczeństwo złego przykładu dla niewinnej młodzieży; roztargnienie i skutkiem tego zaniedbywanie obowiązków przez osoby zainteresowane, wzajemny sojusz i poparcie, stąd płynąca pewność siebie, zuchwałość, bunt i generalna klapa. Czy mam słuszność, baronowo Ingram na Ingram Parku?

— Moja lilijko, masz słuszność teraz jak zawsze.

— Zatem dosyć o tym; zmieńmy przedmiot rozmowy.

Amy Eshton, czy to nie słysząc tego powiedzenia, czy nie zważając na nie, dorzuciła łagodnym, dziecięcym głosikiem:

— I my z Luizą psociłyśmy nauczycielce; ale to było takie dobre stworzenie, wszystko znosiła; nic jej nie mogło zniecierpliwić. Nigdy się na nas nie gniewała; prawda, Luizo?

— Nie, nigdy; mogłyśmy robić, co nam się podobało: gospodarować na jej biurku i w jej koszyczku do robótek, przewracać wszystko do góry nogami w jej szufladach; a taka była dobra, że dawała nam wszystko, o co tylko poprosiłyśmy.

— Przypuszczam, że teraz — rzekła panna Ingram sarkastycznie krzywiąc usta — czeka nas wyciąg ze wspomnień o wszelakich istniejących guwernantkach; żeby uniknąć tej klęski, wnoszę ponownie o podjęcie nowego tematu. Panie Rochester, czy pan popiera mój wniosek?

— Pani, popieram panią w tym punkcie jak we wszystkich innych.

— Więc biorę ten wniosek na własną odpowiedzialność. Signor Eduardo, czy jest pan dziś wieczór przy głosie?

— Donna Bianca, jeśli pani rozkaże, będę.

— Zatem, signor, do pana zwracam monarsze wezwanie, byś nastroił płuca, gdyż zawezwę je na swe królewskie usługi.

— Któż by nie chciał być Rizziem takiej boskiej Marii?

— Rizziem? nic mi po nim! — zawołała i potrząsnęła utrefioną głową, zmierzając do fortepianu. — Moim zdaniem grajek Dawid musiał być niemrawym chłopakiem; wolę czarnego Bothwella; w moich oczach mężczyzna jest niczym, jeżeli nie ma w sobie trochę z diabła. A niech sobie historia mówi, co chce, o Jamesie Hepburn, czuję, że był on właśnie tego rodzaju dzikim, srogim bandytą-bohaterem, którego bym zgodziła się obdarzyć swoją ręką.

— Słyszycie, panowie! Któryż z was jest najpodobniejszy do Bothwella? — zawołał pan Rochester.

— Sądziłbym, że przede wszystkim pan — odpowiedział pułkownik Dent.

— Słowo daję, wdzięczny panu jestem — brzmiała odpowiedź.

Panna Ingram, która tymczasem z dumną gracją zasiadła przy fortepianie, szeroko rozkładając śnieżne fałdy sukni, zaczęła teraz jakieś świetne preludium, rozmawiając równocześnie. Zdawało się, że tego wieczora dosiadła wysokiego konia — tak słowa, jak i ton obliczone były na wzbudzenie nie tylko podziwu, ale zdumienia słuchaczy: widocznie chciała ich olśnić świetnością i śmiałością.

— Och, jakże się brzydzę dzisiejszą młodzieżą! — zawołała, wygrywając pasaże na fortepianie. — Biedne, słabe stworzenia, niezdolne wyjść poza bramy ojcowskiego parku, a nawet i tak daleko nie odważają się zapuścić bez pozwolenia i opieki mamusi! Istoty tak przejęte dbałością o swoje ładne twarzyczki, białe rączki i małe nóżki, jak gdyby komukolwiek mogło coś zależeć na urodzie mężczyzny! Jak gdyby piękność nie była wyłącznym przywilejem kobiety, jej prawowitym posagiem i dziedzictwem! Przyznaję, że brzydka kobieta to plama na pięknym obliczu świata. Ale panowie niech tylko dbają o siłę i męstwo; niechże sobie wezmą za dewizę polowanie, strzelanie i walkę. Reszta niewarta grosza. Taką byłaby moja dewiza, gdybym ja była mężczyzną.

Jeżeli wyjdę za mąż — mówiła dalej po pauzie, której nikt nie przerwał — postanawiam, że mąż mój nie będzie moim rywalem, lecz moim przeciwieństwem. Nie zniosę współzawodnictwa o tron; wymagać będę niepodzielnego hołdu; nie wolno mu będzie dzielić swoich zachwytów pomiędzy mną a kształtem, który ujrzy w swoim zwierciadle. Panie Rochester, niech pan teraz śpiewa, będę panu akompaniowała.

— Do usług pani — odpowiedział.

— Tu oto jest pieśń korsarza. Niech pan pamięta, że ja przepadam za korsarzami; i dlatego niech pan śpiewa z ogniem.

— Rozkaz z ust panny Ingram zaprawiłby ogniem dzbanek mleka z wodą.

— Więc niechże się pan stara; jeżeli mi się śpiew pana nie spodoba, zawstydzę pana pokazując, jak się takie rzeczy powinno śpiewać.

— Jest to obiecywanie nagrody za nieudolność; będę się teraz starał, żeby mi się nie udało.

— *Gardez-vous en bien!* Jeśli pan będzie się rozmyślnie mylił, obmyślę za to odpowiednią karę.

— Pani powinna być miłosierna, gdyż ma pani w swej mocy karę, której śmiertelny człowiek nie zniesie.

— Proszę wytłumaczyć! — rozkazała.

— Niech pani daruje, to zbyteczne tłumaczyć, własne pani poczucie musi jej mówić, że jeden mars na jej czole równa się karze śmierci.

— Niech pan śpiewa! — powiedziała i dotknąwszy klawiszy zaczęła akompaniować w tempie brawurowym.

„Teraz na mnie pora, mogę się wymknąć" — pomyślałam; ale tony, które teraz zabrzmiały, zatrzymały mnie. Pani Fairfax powiedziała, że pan Rochester ma piękny głos, i tak też było. Dźwięczny, potężny bas, w który wkładał uczucie i siłę, którym trafiał do serca, budząc przedziwne wzruszenia. Czekałam, dopóki ostatnie głębokie, pełne wibracje nie przebrzmiały, dopóki tok rozmów, przerwanych na chwilę, nie popłynął znowu, a wtedy opuściłam zaciszny kącik i wymknęłam się bocznymi drzwiami, które na szczęście znajdowały się blisko. Stamtąd wąski korytarzyk prowadził do hallu; przechodząc przez hall, spostrzegłam, że pantofel mój się rozwiązał; zatrzymałam się, by go związać, i przyklękłam u stóp schodów. Usłyszałam, że otwierają się drzwi jadalni; jakiś pan wyszedł; podniósłszy się szybko, znalazłam się na wprost niego: był to pan Rochester.

— Jak się pani miewa? — przywitał mnie.

— Bardzo dobrze, dziękuję panu.

— Dlaczego nie podeszła i nie przemówiła pani do mnie w salonie?

Pomyślałam, że właśnie ja mogłabym zadać jemu to pytanie, ale nie

chciałam sobie na to pozwolić. Odpowiedziałam :

— Nie chciałam panu przeszkadzać, pan wydawał się zajęty gośćmi.

— Co pani robiła podczas mojej nieobecności?

— Nic szczególnego, uczyłam Adelkę jak zwykle.

— I zmizerniała pani; dużo pani bledsza niż przedtem, co od pierwszego wejrzenia spostrzegłem. Co pani dolega?

— Nic a nic, proszę pana.

— Czy nie zaziębiła się pani owej nocy, kiedy to mnie pani na wpół zatopiła?

— Ani trochę.

— Niech pani wróci do salonu: za wcześnie pani ucieka.

— Jestem zmęczona, proszę pana. Popatrzył na mnie dłuższą chwilę.

— I trochę przygnębiona — powiedział. — Skutkiem czego? Proszę mi powiedzieć.

— Ależ nic mi nie jest, nic. Nie jestem wcale przygnębiona.

— A ja twierdzę, że tak; tak bardzo przygnębiona, że jeszcze parę słów, a rozpłacze się pani... już pani płacze, łzy błyszczą, płyną, a jedna kropelka spadła z rzęsy na podłogę. Gdybym miał czas i nie bał się śmiertelnie jakiegoś plotkarza sługi przechodzącego tędy, dowiedziałbym się, co to wszystko ma znaczyć. No dobrze, dziś daruję pani. Ale niech pani wie, że tak długo, jak moi goście będą tutaj bawić, będę oczekiwał, by pani co wieczór ukazywała się w salonie; *życzą* sobie tego; niech pani tego nie zaniedbuje. A teraz proszę iść do siebie i przysłać bonę po Adelkę. Dobranoc, moja...

Przerwał, przygryzł usta i opuścił mnie nagle.

ROZDZIAŁ XVIII

Wesołe teraz nastały dni w Thornfield Hall. Ruch trwał od rana do nocy. Jakaż odmiana po tych pierwszych trzech miesiącach ciszy, jednostajności i samotności, które spędziłam pod tym dachem! Zdawało się, że wszelkie smutne uczucia wygnane zostały z tego domu, wszelkie posępne nastroje zapomniane. Dom tętnił życiem i ruchem. Nie można było teraz przejść galerii, niegdyś tak cichej, ani minąć pokoi frontowych, niegdyś tak pustych, żeby nie napotkać fertycznej panny służącej albo szykownego lokaja.

Kuchnia, kredens kamerdynera, hall służących, hall wejściowy — wszystkie te kąty tętniły życiem, a w salonach zapanowywała wtedy tylko pustka i cisza, gdy błękit nieba i blask słoneczny tej pogodnej wiosny wywabiał towarzystwo do parku. Nawet i wtedy, gdy popsuła się pogoda i deszcz nieprzerwanie padał przez kilka dni, nic nie zatruwało wesołości. Bawiono się tym żwawiej w pokojach, gdy przyszło przerwać zabawy na świeżym powietrzu.

Ciekawa byłam, co też będą robili pierwszego wieczora, gdy zaczęto proponować zmianę programu zabaw; była mowa o „odgrywaniu szarad", w nieświadomości swojej nie rozumiałam jednak, co to znaczy. Zawołano służbę, odsunięto stoły w jadalnym pokoju, światła umieszczono inaczej, krzesła ustawiono w półkole naprzeciwko arkady. Podczas gdy pan Rochester i inni panowie kierowali tymi przygotowaniami, panie biegały po schodach zwołując swoje służące. Proszone panią Fairfax o objaśnienie, jakie dom ma zasoby szali, ubrań, draperii wszelkiego rodzaju. Przetrząśnięto szafy na trzecim piętrze i zawartość ich — brokatowe spódnice, atłasowe kaftany, czarne stroje, kawałki koronek itd., itd. — całymi naręczami znosiły służące. Wybrawszy, co potrzebne, kazano to zanieść do buduaru przy salonie. Pan Rochester tymczasem zwołał znowu panie dokoła siebie i wybierał niektóre spośród nich do swojego kompletu.

— Panna Ingram, naturalnie, do mnie należy — powiedział, po

czym wezwał jeszcze obie panny Eshton i panią Dent. Popatrzył na mnie; byłam przypadkiem blisko, gdyż zapinałam zatrzask bransoletki pani Dent.

— Czy chce pani grać? — zapytał.

Potrząsnęłam głową, Nie nalegał, czego się trochę obawiałam; pozwolił mi wrócić spokojnie na zwykłe miejsce.

Pan Rochester i jego towarzyszki wycofali się teraz za zasłonę. Druga część towarzystwa z pułkownikiem Dentem na czele zasiadła na ustawionych półkolem krzesłach. Pan Eshton, popatrzywszy na mnie, zaproponował widocznie, żeby mnie poproszono o przyłączenie się do nich; jednakże lady Ingram zaoponowała natychmiast.

— Nie — usłyszałam. — Ona mi wygląda na zanadto głupią, żeby móc brać udział w grze tego rodzaju.

Po niedługiej chwili odezwał się dzwonek i zasłonę rozsunięto. Pod arkadą ukazała się barczysta postać sir George'a Lynna, udrapowanego w białe prześcieradło: przed nim, na stole, leżała otwarta księga; obok niego stała Amy Eshton, otulona w płaszcz pana Rochestera, z książką w ręku. Ktoś niewidzialny potrząsnął wesoło dzwoneczkiem. Wtedy Adelka (która wyprosiła sobie, by mogła należeć do gry po stronie swego opiekuna) wyskoczyła naprzód sypiąc dokoła kwiaty z koszyka zawieszonego na jej ręku. W ślad za nią ukazała się wspaniała postać panny Ingram, ubranej biało, w długim woalu na głowie i z wiankiem róż nad czołem; obok niej szedł pan Rochester. Oboje uklękli, podczas gdy pani Dent i Luiza Eshton, również biało ubrane, stanęły za nimi. Nastąpiła teraz ceremonia, mimicznie odegrana, w której łatwo było odgadnąć pantomimę ślubu. Gdy się to skończyło, pułkownik Dent z towarzyszami naradzali się szeptem przez chwilę, po czym pułkownik Dent zawołał:

— *Bride* — pan Rochester ukłonił się i zasłona opadła.

Dość długo trzeba było czekać, zanim się znów rozsunęła. Tym razem ukazała się scena pracowiciej przygotowana niż poprzednia. Salon, jak to już zaznaczyłam, wznosił się o dwa stopnie nad

poziom jadalni; otóż na drugim stopniu, może z łokieć w głąb pokoju, ukazał się wielki marmurowy basen, w którym poznałam ozdobę oranżerii (stał tam zawsze otoczony egzotyczną roślinnością i pływały w nim złote rybki), skąd z pewnym trudem musiano go przetransportować, gdyż wielki był i ciężki.

Na podłodze obok basenu siedział pan Rochester przybrany w szale, w turbanie na głowie. Czarne jego oczy, ciemna cera i mocne rysy odpowiadały doskonale kostiumowi: wyglądał jak prawdziwy wschodni emir, z tych, co to duszą strunami złoczyńców lub sami padają ofiarą takiej kary. W tej chwili ukazała się panna Ingram. I ona także ubrana była w kostium wschodni: szkarłatną szarfę miała przewiązaną w pasie, haftowaną chustkę owiniętą dokoła głowy; jej piękne, kształtne ramiona były odkryte, jednym z nich podtrzymywała wdzięcznie dzbanek na głowie. Tak postać jej, jak twarz oraz ogólny wygląd nasuwały na myśl jakąś księżniczkę izraelską z czasów patriarchalnych; i taką też postać niewątpliwie miała przedstawiać.

Nachyliła się nad basenem, jak gdyby dla napełnienia dzbana; dzban ten znowu podniosła i ustawiła na głowie. Mężczyzna, siedzący przy studni, zdawał się teraz przemawiać do niej, prosić ją o coś, ona opuściła dzban na rękę i dała mu się napić. Wtedy on dobył z zanadrza puzderko, otworzył je i ukazał wspaniałe bransolety i kolczyki; ona odegrała zdziwienie i podziw. Klęcząc złożył te skarby u jej nóg; niedowierzanie i zachwyt odbiły się na jej twarzy i w gestach; obcy umieścił bransolety na jej ramionach, kolczyki w jej uszach.

Byli to Eleazar i Rebeka, brakowało tylko wielbłądów.

Odgadywacze naradzali się znowu; widocznie nie mogli się pogodzić co do wyrazu czy sylaby, które ten obraz miał podsunąć. Pułkownik Dent poprosił o „żywy obraz całości", wobec tego zasłona znowu zapadła.

Za trzecim jej rozsunięciem ukazała się tylko część salonu; resztę zakrywał parawan zawieszony jakąś ciemną, grubą draperią. Marmurowy basen odsunięto; na jego miejscu stał prosty stół sosnowy i krzesło kuchenne; te przedmioty widziało się przy ciemnym świetle latarki rogowej, gdyż wszystkie woskowe świece

pogaszono.

W tym nędznym otoczeniu siedział mężczyzna z opartymi na kolanach zaciśniętymi rękami, z oczami utkwionymi w ziemię. Poznałam pana Rochestera, chociaż usmolona cera, ubiór w nieporządku (surdut zwisał, ściągnięty z jednego ramienia, jak gdyby prawie zdarty z niego w walce), zuchwała i chmurnie zmarszczona twarz i potargane włosy zmieniały go prawie nie do poznania. Gdy się poruszył, zadźwięczał łańcuch; na rękach miał kajdany.

— Bridewell! — zawołał pułkownik Dent i szarada była rozwiązana.

Potrwało dobrą chwilę, zanim „aktorzy" przebrali się i wrócili do jadalni. Pan Rochester prowadził pannę Ingram; prawiła mu komplementy, wychwalając jego grę.

— Czy pan wie — mówiła — że z tych trzech ról najwięcej mi się pan podobał w ostatniej? O, gdyby pan żył trochę wcześniej, jaki wspaniały dżentelmen-rozbójnik byłby z pana!

— Czy wszystka sadza zmyta z mojej twarzy? — zapytał zwracając twarz ku niej.

— Niestety, tak; a szkoda! Tak panu dobrze było, przy pańskiej cerze, w tej charakteryzacji na łotra!

— Więc podobałby się pani taki bohater-rozbójnik?

— Po włoskim bandycie najmilszym typem byłby mi taki angielski bohater gościńca; przewyższyć mógłby go tylko wschodni pirat.

— Trudno, czymkolwiek jestem, proszę pamiętać, że pani jest moją żoną; godzinę temu w obecności wszystkich tych świadków zostaliśmy poślubieni.

Zaczęła się śmiać i zarumieniła się.

— A teraz, Dent, twoja kolej! — powiedział pan Rochester.

Gdy zaś pułkownik ze swoją paczką wyszedł, on z partnerami gry zajął opróżnione krzesła. Panna Ingram usiadła po jego prawej ręce,

reszta zgadywaczy umieściła się po obu ich stronach.

Nie zważałam teraz na aktorów; uwagę moją pochłonęli widzowie. Oczy moje, poprzednio wpatrzone w arkadę, teraz nieodparcie pociągało półkole krzeseł. Jaką szaradę przedstawił pułkownik Dent ze swoimi, jakie wyrazy wybrali, jak zagrali, tego już nie pamiętam, ale wciąż mam przed oczami narady po każdej odegranej scenie; widzę, jak pan Rochester zwraca się do panny Ingram, a panna Ingram do niego; widzę, jak ona pochyla ku niemu głowę, że aż krucze jej loki nieledwie dotykają jego ramienia i muskają jego policzek; słyszę ich szepty, widzę zamieniane spojrzenia — i nawet uczucia, pobudzone tym widokiem, stają mi w pamięci.

Powiedziałam już, czytelniku, że pokochałam pana Rochestera; nie mogłam przestać go kochać teraz tylko dlatego, iż się przekonałam, że przestał mnie widzieć, że mogłam całe godziny spędzać w jego obecności, a on na mnie nawet nie spojrzał; że widziałam, jak jego całą uwagę, wszystkie jego starania zagarnęła wielka dama, która przechodząc unikała dotknięcia mnie krajem swojej szaty; która, jeśli kiedy ciemne i władcze jej oko spoczęło na mnie przypadkiem, odwracała je czym prędzej jak od przedmiotu niegodnego uwagi. Nie mogłam przestać go kochać pomimo pewności, iż wkrótce poślubi tę kobietę właśnie, chociaż patrzyłam codziennie na jej dumną pewność co do jego zamiarów i byłam stałym świadkiem jego starań o względy panny Ingram, starań niedbałych w swoim rodzaju, gdyż raczej kazał się szukać, niż poszukiwał, ale starań zdobywczych przez swą dumę i ujmujących niedbałością

Nie było w tych wszystkich okolicznościach niczego takiego, co by mogło ochłodzić moją miłość, wygnać ją z serca, choć wiele było powodów do rozpaczy. I do zazdrości — pomyślisz, czytelniku, o ile kobieta na moim stanowisku może się odważyć na zazdrość wobec kobiety na stanowisku panny Ingram. Ale ja nie byłam zazdrosna — a przynajmniej bywałam nią bardzo rzadko; ból, który odczuwałam, nie był zazdrością. Panna Ingram nie mogła budzić zazdrości, gdyż była z rodzaju kobiet zbyt poślednich. Daruj mi, czytelniku, ten pozorny paradoks; ale mówię to na serio. Miała świetne pozory, ale nie była naturalna; była osobą piękną, wykształconą, błyskotliwą, ale umysł jej był ubogi, serce oschłe z natury; nic samorzutnie nie kwitło na tym gruncie; żaden naturalny odruch nie radował

świeżością. Nie była dobra, nie była oryginalna; powtarzała pięknie brzmiące frazesy z książek; nigdy nie miała własnego zdania. Uderzała w wysoki ton sentymentów, ale nie znała uczuć litości ani współczucia; nie było w niej ani czułości, ani prawdy. Aż nazbyt często zdradzała się z tym, dając niewłaściwie folgę złośliwej antypatii względem Adelki; to odpychając ją z dodatkiem niemiłego epitetu, jeśli się dziecko do niej przypadkiem zbliżyło, to nakazując jej wyjść za drzwi, a zawsze traktując ją zimno i kwaśno. Były jeszcze inne oczy oprócz moich, które śledziły te objawy charakteru — śledziły uważnie, bacznie, bystro. Tak jest; przyszły mąż, pan Rochester, sam wykonywał nad wybraną bezustanny nadzór; właśnie ta jego bystrość, ostrożność, ta doskonała, jasna świadomość wad jego wybranej, ten widoczny brak miłości w stosunku do niej — to właśnie było źródłem nieustannej mej męki.

Rozumiałam, że zamierza ocenić się z nią, może dla względów rodzinnych, może politycznych, ponieważ stanowisko jej i stosunki mu odpowiadały. Czułam, że nie obdarza jej miłością i że ona nie ma danych po temu, by skarb ten u niego pozyskać. I to był punkt drażliwy, to podsycało we mnie i karmiło gorączkę: że ona go nie może oczarować.

Gdyby była od razu odniosła zwycięstwo, a on ugiął się i szczerze złożył serce u jej stóp, byłabym zakryła twarz i (wyrażając się obrazowo) umarła dla nich. Gdyby panna Ingram była kobietą dobrą i szlachetną, obdarzoną gorącym uczuciem, siłą, dobrocią, rozumem, musiałabym stoczyć walkę śmiertelną z dwoma wrogami: zazdrością i rozpaczą. A potem, zdusiwszy własne serce, podziwiałabym ją, uznałabym jej doskonałość i byłabym spokojna na resztę życia. A im większa byłaby jej wyższość nade mną, tym głębsze byłoby moje uwielbienie dla niej, tym spokojniej godziłabym się z losem. Ale widzieć pannę Ingram wysilającą się na oczarowanie pana Rochestera i wciąż chybiającą celu w nieświadomości, że chybia; widzieć, jak daremnie wyobraża sobie, że każdy pocisk trafia do celu, i zaślepiona pyszni się powodzeniem, podczas gdy duma jej i zarozumiałość odpycha coraz dalej tego, którego pragnęła przyciągnąć — obserwowanie tego budziło trudne do opanowania podniecenie.

A to dlatego, że gdy ona chybiała, ja rozumiałam, jak mogłaby

osiągnąć powodzenie. Strzały, które wciąż odbijały się od piersi pana Rochestera i nieszkodliwe padały u jego nóg, pewniejszą ręką wiedzione, mogłyby utkwić w jego dumnym sercu, wywołać miłość w jego surowym oku, złagodzić sarkastyczną twarz albo lepiej jeszcze, bez żadnej broni można było odnieść ciche zwycięstwo.

„Czemu ona nie może mieć więcej wpływu na niego, skoro ma szczęście tak blisko z nim przestawać? — zadawałam sobie pytanie. — Z pewnością nie kocha go, a przynajmniej nie kocha go prawdziwym uczuciem! Gdyby go kochała, nie potrzebowałaby siać tych obfitych uśmiechów, ciskać tych bezustannych spojrzeń, zdobywać się na te sztuczne miny, te wdzięczące się bez końca pozy. Zdaje mi się, że po prostu siedząc spokojnie przy jego boku, mówiąc niewiele i mniej szafując spojrzeniami, mogłaby bardziej zbliżyć się do jego serca. Widziałam na jego twarzy wyraz, o, jakże różny od tej twardej oschłości, która osiada mu na twarzy teraz, gdy ona z takim ożywieniem go nagabuje; ale wtedy ten wyraz przychodził sam z siebie; nie wywoływały go uwodzące sztuki ani wyrachowane zabiegi. Należało tylko wysłuchać go, odpowiedzieć, jeżeli pytał, bez pretensji, przemówić do niego w razie potrzeby bez minoderii, a wtedy wyraz ten pogłębiał się, nabierał dobrotliwości, serdeczności i ogrzewał jak promień słoneczny. Jakże ona potrafi podobać mu się, gdy się pobiorą? Myślę, że nie potrafi; a jednak można to osiągnąć, i żona jego mogłaby, wierzę w to głęboko, być najszczęśliwszą kobietą pod słońcem."

Nie zganiłam dotąd ani jednym słowem powziętego przez pana Rochestera zamiaru ożenku dla interesu i stosunków. Była to zrazu dla mnie przykra niespodzianka, gdy odkryłam, że taki jest jego zamiar; miałam go za człowieka niezdolnego do rządzenia się w wyborze żony tak pospolitymi motywami. Im dłużej jednak zastanawiałam się nad stanowiskiem, wychowaniem itd. obu stron, tym mniej czułam się w prawie sądzić i ganić tak jego, jak pannę Ingram za to, że postępują w myśl pojęć i zasad wpojonych w nich niewątpliwie od dzieciństwa. Cała ich klasa hołdowała tym zasadom, przypuszczałam przeto, że mają powody do cenienia tych zasad, powody, których ja nie umiałam zgłębić. Zdawało mi się, że gdybym była mężczyzną na jego stanowisku, przygarnęłabym do serca tylko taką żonę, którą mogłabym kochać, a że to oczywiście zapewniałoby szczęście mężczyźnie, więc muszą być chyba jakieś

powody, mnie nie znane, które się ogólnemu postępowaniu w ten sposób sprzeciwiają; gdyby nie to, byłam pewna, że wszyscy postępowaliby tak, jak ja bym postąpiła.

Ale i pod innymi względami, nie tylko pod tym, stawałam się coraz pobłażliwsza dla mojego chlebodawcy. Zapominałam o wszystkich jego błędach, których się przedtem dopatrywałam tak bacznie. Dawniej starałam się badać wszystkie strony jego charakteru; brać zło razem z dobrem i zważywszy jedno i drugie osądzać go sprawiedliwie. Teraz nie widziałam w nim nic złego. Nie raził mnie już jego sarkazm, nie obruszała szorstkość, widziałam w tym tylko właściwość samym kontrastem podnoszącą jego zalety. A to coś nieokreślonego — czy był to ponury, czy smutny, podstępny czy zrozpaczony wyraz — to coś, co jawiło się niekiedy w jego oku i znikało, zanim można było zmierzyć dziwną głębię częściowo odsłoniętą; to coś, wobec czego lęk mnie ogarniał i drżenie, jak gdybym chodząc wśród wzgórz wulkanicznych poczuła nagle grunt chwiejący się pod nogami i rozwierającą się przepaść; widywałam to coś od czasu do czasu i teraz — zawsze z bijącym sercem, lecz już nie zdrętwiała nerwowo. Zamiast pragnąć ucieczki, pragnęłam tylko móc odważyć się — odgadnąć. I myślałam, że panna Ingram jest szczęśliwa, gdyż będzie mogła niebawem patrzeć w tę przepaść do woli, badać jej tajniki i ich istotę.

Podczas tych refleksji o moim chlebodawcy i jego przyszłej żonie, kiedy ich jedynie widziałam, słyszałam jedynie ich rozmowę, reszta towarzystwa bawiła się doskonale. Lady Lynn i lady Ingram w dalszym ciągu konferowały na uroczystych sesjach, kiwając ku sobie turbanami, podnosząc cztery ręce w górę gestami zdziwienia, tajemniczości, grozy, odpowiednio do poruszanego tematu; wyglądały jak dwie olbrzymie lale. Łagodna pani Dent rozmawiała z poczciwą panią Eshton; te dwie obdarzały mnie niekiedy grzecznym słówkiem lub miłym uśmiechem. Sir George Lynn, pułkownik Dent i pan Eshton rozprawiali o polityce, o sprawach miejscowych w hrabstwie albo o kwestiach prawnych. Lord Ingram flirtował z Amy Eshton; Luiza grała i śpiewała z jednym z panów Lynn, a Mary Ingram słuchała spokojnie dworskich komplementów drugiego. Niekiedy wszyscy jak gdyby za wspólną zgodą zawieszali swoją grę i słuchali głównych aktorów; gdyż, ostatecznie, pan Rochester i nie odstępująca go panna Ingram byli duszą towarzystwa. Jeżeli pan

Rochester na jaką godzinę opuścił pokój, wśród jego gości odczuwało się wyraźną nudę; wracając wnosił świeży bodziec ożywienia i rozmowy.

Brak jego ożywczego wpływu dał się specjalnie odczuć pewnego dnia, gdy interesy zawezwały go do Millcote; nie spodziewano się go z powrotem aż późnym wieczorem. Po południu padał deszcz; skutkiem tego trzeba było odłożyć spacer do obozu Cyganów, rozłożonego od niedawna na pastwisku za Hay. Niektórzy z panów poszli odwiedzić stajnie; młodsi grali z pannami w bilard w pokoju bilardowym. Dwie starsze damy, panie Lynn i Ingram, pocieszały się spokojną grą w karty. Blanka Ingram, odrzuciwszy wzgardliwym milczeniem kilka prób pani Dent i pani Eshton wciągnięcia jej do rozmowy, najpierw półgłosem zanuciła parę sentymentalnych piosenek przy fortepianie, a potem, przyniósłszy sobie jakąś powieść z biblioteki, dumna i milcząca, rzuciła się na kanapę, zdecydowana czytaniem zabić nudne godziny oczekiwania. W pokoju i w całym domu panowała cisza; tylko od czasu do czasu dolatywały z góry wesołe głosy bilardzistów.

Ściemniało się. Zegar ostrzegał, że już czas przebierać się na obiad, gdy Adelka, która klęczała przy mnie w zagłębieniu okna, zawołała nagle:

— Voilà *monsieur Rochester, qui revient!* Odwróciłam się, a panna Ingram zerwała się z kanapy i rzuciła naprzód; inni także podnieśli oczy nasłuchując, równocześnie bowiem rozległ się turkot kół i tupot końskich kopyt na mokrym żwirze. Zbliżał się powóz pocztowy.

— Co mu się stało, że w ten sposób wraca? — rzekła panna Ingram. — Pojechał na Mesrourze (swoim karym koniu), nieprawdaż? I Pilot był z nim; gdzie on podział te zwierzęta?

Mówiąc to swoją wysoką postać i obfitą suknię tak przybliżyła do okna, że ja musiałam się odchylić w tył, aż mi w krzyżu zatrzeszczało; cała przejęta, nie zauważyła mnie zrazu, ale gdy mnie spostrzegła, wydęła usta i posunęła się do drugiej szyby. Powóz zatrzymał się; woźnica zadzwonił i wysiadł jakiś pan ubrany w strój podróżny; nie był to jednak pan Rochester, lecz wysoki, elegancko wyglądający mężczyzna, człowiek obcy.

— Ach, jakie to nieznośne! — zawołała panna Ingram. — Ty nudna smarkulo! — zwróciła się do Adelki. — Kto cię posadził w oknie, ażebyś dawała fałszywe wiadomości? — i rzuciła na mnie gniewne spojrzenie, jak gdybym ja była temu winna.

Trochę rozmowy dolatywało z hallu i niebawem przybysz wszedł do salonu. Ukłonił się lady Ingram uważając ją za najstarszą z obecnych pań.

— Zdaje mi się, że przybywam nie w porę, pani — rzekł — skoro mój przyjaciel Rochester jest nieobecny; odbyłem jednak bardzo długą podróż i sądzę, że na zasadzie starej i bliskiej znajomości mogę sobie pozwolić zatrzymać się tutaj aż do jego powrotu.

Zachowanie jego było uprzejme; w wymowie jego uderzył mnie trochę niezwykły akcent — nie wprost cudzoziemski, a jednak niezupełnie angielski; wiekiem zdawał się być bliski panu Rochesterowi, mógł mieć od trzydziestu do czterdziestu lat; cerę miał niezwykle ciemną; był to przystojny mężczyzna, zwłaszcza na pierwszy rzut oka. Przy bliższym natomiast przyjrzeniu się zauważyłam, że było w jego twarzy coś nieuchwytnego, co się nie mogło podobać. Rysy miał regularne, ale jakby zbyt mało skupione, oczy wielkie i dobrze zarysowane, ale wyraz w nich jakby przygasły, jakby nieobecny, tak mnie się przynajmniej wydało.

Dzwonek oznajmiający, że czas się przebierać, rozproszył towarzystwo. Dopiero po obiedzie zobaczyłam go znowu; widać było, że czuje się zupełnie swobodnie. Ale fizjonomia jego jeszcze mniej mi się teraz podobała niż przedtem; uderzył mnie w jego wyrazie równocześnie brak spokoju i martwota. Oczy jego błąkały się jak gdyby bez celu; to nadawało mu szczególny wyraz, jakiego nigdy u nikogo nie widziałam. Jak na przystojnego i miłego na pozór człowieka, dziwnie mnie czymś raził: nie było mocy w tej gładkiej twarzy o pełnym owalu; nie było charakteru w tym orlim nosie i małych, wiśniowych ustach; nie było myśli na tym niskim, równym czole; nie było woli w tym pustym, ciemnym oku.

Siedząc w kąciku i patrząc na niego, oświetlonego pełnym światłem żyrandoli płonących nad kominkiem — zajął był fotel tuż przy ogniu i wciąż się jeszcze przysuwał, jak gdyby mu było zimno — porównywałam go z panem Rochesterem. Myślę (nie obrażając

nikogo), że kontrast nie mógłby być większy między gładkim gąsiorem a dzikim sokołem, pomiędzy łagodną owcą a kudłatym psem o mądrym, bystrym oku.

Mówił o panu Rochesterze jako o starym przyjacielu. Ciekawa musiała być ta ich przyjaźń: doskonałe zobrazowanie starego powiedzenia, że „krańce się stykają".

Dwóch czy trzech panów siedziało obok niego, a ja chwytałam niekiedy urywki ich rozmowy. Z początku niewiele mogłam zrozumieć z tego, co słyszałam, gdyż rozmowa Luizy Eshton i Mary Ingram, siedzących bliżej mnie, plątała się z fragmentami dochodzących mnie zdań. Te dwie panienki mówiły o gościu; obie nazywały go „pięknym mężczyzną". Luiza wyraziła się, że to „przemiłe stworzenie" i że go „uwielbia", a Mary, jako na wzór tego, co uważa za ideał piękności, wskazywała jego „ładne małe usta i piękny nos".

— A jakie on ma łagodne czoło! — zawołała Luiza — takie gładkie... nie z tych marszczących się, nieregularnych czół, jakich nie znoszę; takie spokojne oczy i uśmiech!

Wtedy ku mojej radości pan Henryk Lynn zawezwał obie panienki w inny kąt pokoju, gdzie umawiano się co do odłożonej wycieczki na pastwisko w Hay.

Teraz już mogłam skupić uwagę na rozmawiających przy kominku i zaraz też dosłyszałam, że nowo przybyły nazywa się Mason; a potem dowiedziałam się, że dopiero świeżo przyjechał do Anglii i że przybywa z jakiegoś gorącego kraju; to było niewątpliwie powodem, dlaczego miał tak ciemną cerę i garnął się do kominka, nie zdjąwszy okrycia w pokoju. Za chwilę nazwy Jamajka, Kingston, Spanish Town objaśniły mnie, że Indie Zachodnie są miejscem jego zamieszkania; z niemałym też zdziwieniem zrozumiałam niebawem, że tam najpierw spotkał i poznał pana Rochestera. Mówił, że przyjaciel jego nie znosił srogich upałów, huraganów i pór deszczowych tamtej strefy. Wiedziałam, że pan Rochester dużo podróżował; mówiła mi to pani Fairfax, ale ja myślałam, że wędrówki jego ograniczały się do kontynentu Europy; dotychczas nie słyszałam żadnej wzmianki o odwiedzaniu dalszych stron świata.

Rozważałam w myśli to wszystko, gdy cokolwiek niespodziewane zdarzenie przerwało wątek moich dumań. Pan Mason, który trząsł się z zimna, gdy ktoś otworzył drzwi, poprosił, by dołożono węgla do ognia, jakkolwiek gorejące żużle płonęły czerwienią i żarem. Służący przyniósłszy węgiel zatrzymał się wychodząc przy krześle pana Eshtona i powiedział mu coś po cichu, z czego dosłyszałam tylko dwa słowa: „stara kobieta" i „uprzykrzona".

— Powiedz jej, że każę ją wsadzić do więzienia, jeżeli się nie wyniesie — odpowiedział sędzia.

— Nie... zaczekaj! — przerwał pułkownik Dent. — Nie każ jej odprawić, Eshton! Możemy z tego skorzystać; lepiej poradźmy się pań — i głośno mówił dalej: — łaskawe panie, mówiłyście, że macie zamiar pójść na pastwisko w Hay, ażeby zwiedzić obóz cygański; a oto właśnie Sam powiada, że w tej chwili jest w hallu służących stara Cyganka, która prosi, żeby ją wprowadzić przed „szlachetne towarzystwo", bo chciałaby wróżyć. Czy macie ochotę ją zobaczyć?

— Ależ, pułkowniku — zawołała lady Ingram — przecież nie zechce pan popierać takiego nędznego oszustwa? Odprawcie ją natychmiast!

— Nie mogę jej wyperswadować, żeby się wyniosła — odpowiedział służący — i nikogo też ze służby nie słucha; pani Fairfax teraz tam przyszła i błaga ją, żeby sobie poszła; ale Cyganicha zasiadła na krześle pod piecem i dowodzi, że nic jej stamtąd nie ruszy, dopóki nie otrzyma pozwolenia i nie zobaczy się z państwem.

— Czego ona chce? — zapytała pani Eshton.

— „Chcę wróżyć państwu", powiada i zaklina się, że musi wróżyć i wróżyć będzie.

— Jak ona wygląda? — zapytały obie panny Eshton równocześnie.

— Szkaradnie brzydka baba, panienko; prawie tak czarna jak sadza.

— A więc prawdziwa czarownica! — zawołał Fryderyk Lynn. — Dajcie ją tu, naturalnie! Dajcie ją tu!

— Ależ tak! — dorzucił jego brat. — Co by to była za szkoda stracić

taką okazję ubawienia się!

— Moi kochani chłopcy, co wam w głowie? — zawołała pani Lynn.

— Ja nie mogę w żaden sposób pozwolić na taki nierozsądny krok! — zawtórowała lady Ingram.

— Przepraszam, ale może mama pozwoli — rozległ się wyniosły głos Blanki z taburetu przy fortepianie, gdzie dotąd siedziała milcząca, przeglądając jakieś nuty. — Jestem ciekawa usłyszeć coś o swoich losach, toteż, Samie, sprowadź tę starą czarownicę.

— Moja ukochana Blanko, pamiętaj...

— Tak, tak, pamiętam wszystko, mamo, ale będzie tak, jak ja chcę... Spiesz się, Samie!

— Tak!... tak!... tak!... — zawołali wszyscy młodzi, panny i panowie. — Niech przyjdzie... to będzie świetna zabawa!

Służący jeszcze się wahał.

— Ona tak ordynarnie wygląda — zauważył.

— Idź! — krzyknęła panna Ingram i służący poszedł.

Podniecenie natychmiast ogarnęło całe towarzystwo; wrzała batalia żarcików i przekomarzań, gdy Sam powrócił.

— Ona tu nie chce przyjść — oznajmił. — Powiada, że nie jest powołana do tego, żeby się prezentować przed „pospolitą gromadą" (tak się wyraziła). Chce, żebym ją wprowadził do osobnego pokoju, „a wtedy, mówi, niech ci, co chcą, abym im wróżyła, przychodzą pojedynczo, po kolei".

— Więc teraz widzisz, moja królewska Blanko — zaczęła lady Ingram — że ona sobie za wiele pozwala. Bądźże rozsądna, moje anielskie dziecko... i...

— Zaprowadź ją do biblioteki, to się samo przez się rozumie — przerwało „anielskie dziecko". — I ja też nie jestem powołana do słuchania jej wobec „pospolitej gromady"; chcę ją mieć sama dla

siebie. Czy w bibliotece pali się ogień?

— Tak, proszę pani... ale ona wygląda na taką Cyganichę...

— Przestań pleść, zakuta głowo! i rób, co ci każę! Sam znowu zniknął i zaciekawienie, podniecenie, oczekiwanie wzrosło do najwyższej potęgi.

— Jest już gotowa — oznajmił służący wchodząc. —

Chciałaby wiedzieć, kto będzie jej pierwszym klientem.

— Sądzę, że lepiej będzie, abym ja wpierw jej się przypatrzył, zanim która z pań do niej pójdzie — powiedział pułkownik Dent.

— Powiedz jej, Samie, że jeden pan przyjdzie. Sam poszedł i wrócił.

— Ona powiada, proszę pana, że nie chce panów, że niech się nie trudzą i nie przychodzą do niej; ani też — dodał powstrzymując z trudem śmiech — nie chce widzieć starszych pań... tylko młode i... niezamężne.

— A do licha! Baba ma dobry gust! — zawołał Henryk Lynn.

Panna Ingram podniosła się uroczyście.

— Ja idę pierwsza! — oświadczyła tonem, który byłby odpowiedni dla wodza na straconym posterunku rzucającego się w nierówną walkę na czele garstki ludzi.

— O, moja najlepsza! O, moja najdroższa! Stój... zastanów się! — wołała jej matka; ale Blanka przesunęła się obok niej w dumnym milczeniu, wyszła przez drzwi, które dla niej pułkownik Dent trzymał otwarte, i usłyszeliśmy, że wchodzi do biblioteki.

Zrobiło się teraz dosyć cicho. Lady Ingram uważała, że *le cas* wymaga załamania rąk, co też uczyniła. Panna Mary oświadczyła, iż czuje, że nigdy się nie odważy. Amy i Luiza Eshton chichotały z cicha i miały trochę wystraszone minki.

Minuty upływały bardzo powoli; naliczono piętnaście, zanim się drzwi biblioteki znowu otworzyły. Panna Ingram wróciła przez

arkadę.

Czy będzie się śmiała? Czy potraktuje to wszystko jako żart? Wszystkie oczy pobiegły ku niej z wyrazem żywego zaciekawienia, a ona wszystkim tym oczom odpowiedziała wzrokiem odpychającym i zimnym; nie wydawała się ani podniecona, ani wesoła; sztywnym krokiem poszła na swoje miejsce i zajęła je w milczeniu.

— No i cóż, Blanko? — zapytał lord Ingram.

— Co ona ci powiedziała, siostro? — spytała Mary.

— Co o tym myślisz? Jak się czujesz? Czy to prawdziwa wróżka? — dopytywały się panny Eshton.

— Powoli, powoli, moi kochani — odpowiedziała panna Ingram — pozwólcież mi odetchnąć. Doprawdy, waszą ciekawość i łatwowierność nietrudno pobudzić. Można by pomyśleć, sądząc po znaczeniu, jakie wy wszyscy, nie wyłączając mojej drogiej mamy, przywiązujecie do tej sprawy, że stanowczo wierzycie, iż mamy tu w domu prawdziwą czarownicę, będącą za pan brat z prawdziwym rogatym diabłem. Widziałam tylko Cyganichę włóczęgę; odbyła na moją intencję zwykłe, oklepane praktyki chiromanckie i powiedziała mi to, co tacy ludzie zwykle mówią. Mojej zachciance stało się zadość: a teraz myślę, że pan Eshton dobrze by zrobił, gdyby, tak jak groził, zamknął jutro wiedźmę w więzieniu.

Panna Ingram wzięła książkę do ręki, zagłębiła się w fotelu i w ten sposób ucięła dalszą rozmowę. Przyglądałam się jej prawie przez pół godziny; przez cały ten czas ani razu nie obróciła stronicy, a twarz jej z każdą chwilą chmurzyła się bardziej, przybierając wyraz niezadowolenia i zawodu. Widocznie nie usłyszała nic dla siebie korzystnego. Z tego przedłużającego się nastroju chmurnego milczenia wnosiłam, że ona sama, chociaż głosiła obojętność, przywiązywała niepotrzebną wagę do czegoś, co jej powiedziano.

Tymczasem Mary Ingram, Amy i Luiza Eshton oświadczyły, że nie mają odwagi pójść każda z osobna, a jednak wszystkie pójść pragnęły. Rozpoczęto tedy negocjacje przez ambasadora Sama; po dłuższej krzątaninie tam i z powrotem, od czego Sama musiały

rozboleć nogi, surowa Sybilla z wielką trudnością zgodziła się w końcu, by wszystkie trzy panny odwiedziły ją razem.

Ich wizyta nie odbyła się tak cicho jak wizyta panny Ingram: dolatywał nas z biblioteki to śmiech histeryczny, to lekkie okrzyki, a po jakich dwudziestu minutach usłyszeliśmy otwieranie drzwi i panny biegnąc pędem przez hall wszystkie trzy wpadły do salonu, jak gdyby od zmysłów odchodząc, półprzytomne ze strachu.

— Jestem pewna, że w niej jest coś niesamowitego! — wołały jedna przez drugą. — Takie nam rzeczy powiedziała! Wie o nas wszystko! — i padły zadyszane na foteliki, które im panowie śpiesznie podsuwali.

Gdy nalegano, prosząc o dalsze wyjaśnienia, panienki opowiedziały, że wróżka mówiła im o rzeczach, które mówiły i robiły będąc jeszcze dziećmi; że opisywała książki i ozdoby, jakie miały w domu w buduarach; pamiątki, jakie od różnych krewnych dostały w upominku. Twierdziły, że nawet myśli ich odgadywała i że szepnęła każdej do ucha imię osoby przez nią najwięcej na świecie lubianej i powiedziała im, czego sobie najgoręcej życzą.

Tutaj panowie zaczęli poważnie upraszać, by ich bliżej objaśniono co do tych dwóch ostatnich punktów; to natręctwo jednak przyniosło im tylko za całą odpowiedź rumieńce, wykrzykniki, drżenia i śmieszki. Matrony tymczasem szły na pomoc z solami trzeźwiącymi i wachlowaniem, raz po raz powtarzając, jak to źle, że panny nie posłuchały ich przestróg zawczasu; starsi panowie śmieli się z tego, młodsi zaś starali się usłużyć wzruszonym pięknościom.

Podczas tego całego zamieszania, gdy wzrok mój i słuch pochłaniała rozgrywająca się przede mną scena, usłyszałam czyjeś chrząknięcie tuż blisko. Obejrzałam się; stał przy mnie Sam.

— Proszę pani, Cyganka mówi, że W pokoju jest jeszcze jedna panna, która dotąd u niej nie była, i zaklina się, że nie pójdzie, dopóki wszystkich nie zobaczy. Pomyślałem, że to na pewno o panią chodzi, bo poza tym nie ma nikogo. Co mam jej powiedzieć?

— O, pójdę, owszem, czemu nie? — odpowiedziałam; i rada byłam niespodziewanej okazji zaspokojenia mocno pobudzonej ciekawości.

Wysunęłam się z pokoju, nie zauważona przez nikogo, gdyż całe towarzystwo skupiło się dokoła drżącej trójki, i spokojnie zamknęłam drzwi *za.* sobą.

— Jeżeli pani sobie życzy — rzekł Sam — będę na panią czekał w hallu; a jeżeliby ona panią przestraszyła, niech pani tylko zawoła, a wejdę.

— Nie, Samie, wracajcie do kuchni; ja się ani trochę nie boję.

I rzeczywiście nie bałam się; ale byłam mocno zaciekawiona i podniecona.

ROZDZIAŁ XIX

Wszedłszy do biblioteki ujrzałam Sybillę — jeśli to była Sybilla — siedzącą spokojnie i wygodnie w fotelu przy kominku. Miała na sobie czerwony płaszcz i czarny kapelusz cygański o szerokim rondzie, spuszczonym na twarz na kształt budki zawiązanej pod brodą pasiastą chustką. Zgaszona świeca stała na stole. Cyganka chyliła się nad ogniem i przy świetle płomieni zdawała się czytać w małej czarnej książeczce podobnej do modlitewnika; czytając mruczała półgłosem wyrazy, jak to czyni wiele starszych kobiet. Nie zaraz przestała, chociaż weszłam; zdawało się, że chce doczytać do końca ustępu.

Stanęłam na dywaniku i grzałam sobie ręce, gdyż zziębłam w salonie. Czułam się tak spokojna jak zazwyczaj; w powierzchowności Cyganki nie było nic niepokojącego. Zamknęła książkę i powoli podniosła oczy; opuszczone rondo kapelusza częściowa zasłaniało jej twarz, mogłam jednakże dojrzeć, gdy ją podniosła, że jest to twarz szczególna. Cała była brunatna i czarna; kosmyki kołtuna sterczały spod białej przepaski obejmującej jej podbródek i zakrywającej połowę policzków czy raczej szczęk; skierowała śmiałe spojrzenie prosto na mnie.

— Tak więc, panienko, chcesz, żebym ci wywróżyła przyszłość? — przemówiła głosem równie stanowczym jak jej spojrzenie, równie szorstkim jak jej rysy.

— Nie dbam o to, matko; możecie mówić, jeśli wam się podoba, ale ostrzegam was, że nie wierzę.

— Zuchwalstwo przemawia przez ciebie; spodziewałam się tego po tobie; słyszałam to w twoich krokach, gdy przechodziłaś przez próg.

— Czy tak? Macie, matko, bystre ucho.

— Tak jest; i bystre oko, i bystry rozum.

— Tego wszystkiego potrzeba w waszym zawodzie.

— Prawda, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z klientami takimi jak ty. Dlaczego nie drżysz?

— Bo mi nie zimno.

— Dlaczego nie bledniesz?

— Bo nie jest mi niedobrze.

— Dlaczego nie chcesz radzić się mojej sztuki?

— Bo nie jestem niemądra.

Starucha ukryła śmiech pod kapeluszem i bandażem, po czym wyciągnęła krótką czarną fajeczkę i zapaliwszy ją zaciągnęła się dymem. Po chwili wyprostowała zgarbione plecy, wyjęła fajkę z ust i, wpatrzona w ogień, powiedziała powoli:

— Jest ci zimno, jest ci niedobrze i jesteś niemądra.

— Proszę mi tego dowieść — odpowiedziałam.

— Owszem, dowiodę, i to w kilku słowach. Jest ci zimno, ponieważ jesteś sama; żadne zetknięcie nie krzesze z ciebie tego ognia, który jest w tobie. Jest ci niedobrze, ponieważ najlepsze z uczuć, danych człowiekowi, najwyższe i najsłodsze, trzyma się z dala od ciebie. Jesteś niemądra, ponieważ jakkolwiek cierpisz, nie chcesz przyzwać skinieniem tego uczucia, nie chcesz posunąć się krokiem tam, gdzie ono na ciebie czeka.

Przytknęła znowu do ust krótką fajeczkę i energicznie zaczęła palić.

— Moglibyście to samo powiedzieć prawie każdej młodej kobiecie żyjącej samotnie jako osoba zależna w wielkim domu.

— Mogłabym to powiedzieć, ale czy mówiąc to o każdej, powiedziałabym prawdę?

— O każdej będącej w moim położeniu.

— Tak, właśnie w twoim położeniu; ale znajdź mi choć jedną dokładnie w takim położeniu.

— Łatwo byłoby znaleźć tysiące.

— Nie wiem, czy znalazłabyś choć jedną. Wiedz, że znajdujesz się w bardzo szczególnym położeniu: jesteś bardzo blisko szczęścia; wystarczy tylko po nie sięgnąć. Wszystkie warunki istnieją, jednym ruchem można je urzeczywistnić. Los nieco je oddalił; wystarczy zbliżyć je, a wyniknie z tego szczęście.

— Nie rozumiem zagadek. Nigdy w życiu nie odgadłam żadnej łamigłówki.

— Jeśli chcesz, żebym mówiła wyraźniej, pokaż mi dłoń.

— Należy ją posrebrzyć, przypuszczam?

— Naturalnie.

Dałam jej szylinga; włożyła go do starej stopy od pończochy, dobytej z kieszeni, obwiązała, schowała z powrotem, po czym kazała mi wyciągnąć rękę. Usłuchałam. Przybliżyła twarz do mojej dłoni i przyglądała się nie dotykając jej zgoła.

— Zbyt delikatna — rzekła. — Nie mogę niczego wyczytać z tego rodzaju dłoni; prawie pozbawiona linii; a zresztą, cóż można znaleźć na dłoni? Los nie tam się pisze.

— Wierzę wam — powiedziałam.

— Nie — ciągnęła dalej — los pisze się na twarzy, na czole, dokoła oczu, w oczach samych, w liniach ust. Uklęknij i podnieś głowę.

— A! teraz przechodzicie do rzeczywistości — rzekłam czyniąc, co nakazała. — Zacznę teraz po trosze wam wierzyć.

Uklękłam o jakie pół łokcia od niej. Poruszyła ogień na kominku, tak że strumień światła trysnął z potrąconych węgli; blask jednakże — tak jak ona siedziała — pogrążył tylko jej twarz w jeszcze głębszym cieniu, moją za to oświetlił.

— Ciekawa jestem, z jakimi uczuciami przyszłaś dziś wieczór do mnie — przemówiła popatrzywszy na mnie badawczo przez chwilę. — Ciekawa jestem, jakie myśli krążą w twojej głowie, gdy tam siedzisz godzinami wśród tych eleganckich ludzi, którzy jak obrazki w latarni magicznej przesuwają się przed twoimi oczami: obcy ci, bez żadnej z tobą łączności, jak gdyby doprawdy byli tylko cieniami ludzi, a nie żywymi istotami.

— Bywam często zmęczona, niekiedy śpiąca, ale rzadko smutna.

— W takim razie musisz mieć jakąś tajemną nadzieję, która cię podtrzymuje i cieszy, szepcąc o przyszłości?

— O, nie! Co najwyżej mam nadzieję, że *z* zarobionych pieniędzy oszczędzę tyle, by kiedyś w wynajętym domku otworzyć własną szkołę.

— Marny to pokarm dla ducha i niedostateczny; a siedząc tam pod oknem (jak widzisz, znam twoje zwyczaje)...

— Dowiedzieliście się od służących.

— Ach! Wyobrażasz sobie, że jesteś bardzo bystra. Zresztą, być może; prawdę mówiąc, mam jedną znajomą wśród służących, Grację Poole...

Usłyszawszy to imię, zerwałam się na równe nogi. „Czy tak?... — pomyślałam — więc jednak jest jakaś diabelska sztuka w tej całej sprawie!"

— Nie lękaj się — ciągnęła dalej dziwna istota — pani Poole to bardzo pewna osoba: dyskretna i spokojna; każdy może jej zaufać. Ale, jak mówiłam: czy siedząc tam pod oknem o niczym nie myślisz, tylko o przyszłej szkole? Czy nikt cię nie interesuje z całego tego towarzystwa siedzącego przed tobą na kanapach, fotelach i krzesłach? Czy nie ma tam żadnej twarzy, którą byś badała? Żadnej osoby, którą byś śledziła z ciekawością przynajmniej?

— Lubię obserwować wszystkie twarze i wszystkie osoby.

— I nigdy nie wyróżniasz jednej spomiędzy reszty albo może dwóch?

— Owszem, często; gdy gesty albo spojrzenia jakiejś pary stają się wymowne: bawi mnie patrzeć na nich.

— Na co najchętniej lubisz patrzeć?

— O, nie mam wielkiego wyboru! Jeden na ogół temat się powtarza: zaloty; i jedna i ta sama zapowiedź końcowej katastrofy: małżeństwo.

— A czy ty lubisz ten monotonny temat?

— Osobiście nic mnie on nie obchodzi; niczym jest dla mnie.

— Niczym jest dla ciebie? Gdy panna, młoda, pełna życia i zdrowia, wybitnie piękna i obdarzona darami fortuny i stanowiska siedzi i uśmiecha się do pewnego pana, którego ty...

— Którego ja... co?

— Którego ty znasz... i o którym może dobrze myślisz.

— Ja nie znam tych panów; nie wiem, czy z którym zamieniłam dwa słowa; co do tego, czy dobrze o nich myślę, to jednych uważam za szanownych, godnych, poważnych, starszych, a innych za młodych, szykownych, przystojnych i pełnych życia; ale to pewna, że mogą wszyscy przyjmować, czyje zechcą, uśmiechy, dla mnie nie ma to żadnego znaczenia.

— Nie znasz tych panów? Nie zamieniłaś z żadnym dwóch słów? Czy możesz to powiedzieć o panu tego domu?

— Nie ma go w domu.

— Głęboka uwaga! Nader dowcipne igranie słowami! Pojechał dziś rano do Millcote i wróci dziś wieczór lub jutro; czy ta okoliczność wykreśla go z listy twoich znajomych, czy dlatego przestał on niejako istnieć dla ciebie?

— Nie; ale ja nie mogę zrozumieć, co ma wspólnego pan Rochester z tematem, który poruszyliście.

— Mówiłam o paniach uśmiechających się do panów; a ostatnimi

czasy tyle uśmiechów wpłynęło do oczu pana Rochestera, że aż się przelewają jak dwie przepełnione filiżanki; czy tego nie zauważyłaś?

— Pan Rochester ma prawo cieszyć się towarzystwem gości.

— Nikt mu nie zaprzecza tego prawa, ale czy nie zauważyłaś, że wśród wszystkich tutaj gawęd o małżeństwie o nikim tak żywo i stale nie mówi się jak o panu Rochesterze?

— Chętne ucho słuchacza podnieca język opowiadającego. — Powiedziałam to raczej do samej siebie niż do Cyganki, której dziwna mowa, zachowanie się, głos zdołały mnie tymczasem ukołysać jakby do snu. Jedno po drugim padały z jej ust niespodziewane zdania, aż omotała mnie siecią tajemniczej jakiejś zagadkowości; nie pojmowałam, co za duch niewidzialny pilnował mojego serca, z dnia na dzień śledząc jego bicie, notując każde uderzenie tętna.

— „Chętne ucho słuchacza!" — powtórzyła. — Tak jest, pan Rochester godzinami przesiadywał z uchem nachylonym ku uroczym ustom, które z taką rozkoszą mówiły a mówiły; i pan Rochester tak chętnie przyjmował miodowe słówka i taki wdzięczny za nie się wydawał; czyś to zauważyła?

— Wdzięczny! Nie przypominam sobie, bym odkryła wdzięczność w jego twarzy.

— Odkryła! A zatem zastanawiałaś się, badałaś.

I cóż odkryłaś, jeżeli nie wdzięczność? Nie odpowiedziałam.

— Widziałaś miłość, nieprawdaż?... I patrząc w przyszłość, widziałaś go żonatym, a jego żonę szczęśliwą?

— Hm!... Niezupełnie. Wasza wróżbiarska mądrość myli się niekiedy.

— A więc cóż ty, u diabła, widziałaś?

— Mniejsza z tym; przyszłam tutaj, żeby pytać, a nie, żeby się spowiadać. Czy to wiadomo, że pan Rochester ma się ożenić?

— Tak, z piękną panną Ingram,

— Czy wkrótce?

— Sądząc z pozorów, tak należy wnioskować; i z największą pewnością (choć ty w swym zuchwalstwie zdajesz się wątpić o tym) będzie z nich jak najszczęśliwsza para. On musi kochać taką piękną, szlachetną, dowcipną, wykształconą kobietę i ona prawdopodobnie kocha jego, a jeżeli nie jego osobę, to przynajmniej jego sakiewkę. Wiem, że uważa Rochestera z jego dobrami za pierwszorzędną partię; chociaż (niech mi to Bóg przebaczy!) z godzinę temu powiedziałam jej w tej kwestii coś, wobec czego spoważniała dziwnie. Kąciki jej ust opadły o pół cala. Radziłabym jej czarnemu konkurentowi mieć się na baczności: jeśli się zjawi inny z dłuższym czy czystszym wykazem dochodów, czeka go kosz...

— Ależ, matko, ja nie przyszłam tutaj słuchać wróżb przyszłości pana Rochestera; przyszłam dowiedzieć się czegoś o mojej własnej; a dotąd nic mi o tym nie powiedzieliście.

— Twój los jest jeszcze wątpliwy; badałam twoją twarz: jeden rys w niej przeczy drugiemu. Los odmierzył dla ciebie wielką miarę szczęścia, to wiem. Wiedziałam to, zanim tu przyszłam dziś wieczór. Odłożył to szczęście starannie na bok dla ciebie. Widziałam, jak to czynił. Od ciebie tylko zależy wyciągnąć rękę i wziąć, co ci przeznaczone, ale czy ty to uczynisz, oto zagadka do rozwiązania. Uklęknij jeszcze raz.

— Nie każcie mi długo klęczeć, ogień mnie piecze. Uklękłam. Nie nachyliła się ku mnie, patrzyła tylko siedząc oparta w fotelu. Zaczęła szeptać:

— Płomień tańczy w jej oku; oko błyszczy jak rosa; łagodne jest i pełne uczucia, uśmiecha się słysząc mój żargon; wrażliwe jest: wrażenie za wrażeniem przemyka po czystej jego źrenicy; gdy przestaje się uśmiechać, jest smutne; bezwiedne znużenie ciąży na powiece; to oznacza melancholię wypływającą z samotności. Odwraca się ode mnie; unika dalszego badania; zdaje się przeczyć drwiącym spojrzeniem prawdzie odkryć, które już zrobiłam; zdaje się przeczyć zarzutowi uczuciowości i smutku. Duma jego i rezerwa utwierdzają mnie tylko w moim zdaniu. Oko jest przychylne.

Co do ust, to usta lubią niekiedy śmiać się wesoło; skłonne są dzielić się wszystkim, co przez myśl przechodzi, choć sądzę, że milczałyby o niejednym, czego doświadcza serce. Ruchliwe, wrażliwe, nie po to zostały stworzone, by zaciskać się w wieczystym milczeniu samotności; to są usta, które powinny mówić wiele i uśmiechać się często, i ludzkie przywiązanie mieć za słuchacza. Ten rys także jest przychylny.

Jedynego wroga pomyślnego wyniku twoich losów widzę tylko w czole; a czoło to zdaje się mówić: „Potrafię żyć sama, jeżeli poczucie własnej godności i okoliczności zażądają tego ode mnie. Nie sprzedam swojej duszy za cenę szczęścia. Mam w głębi duszy skarb wrodzony, który potrafi utrzymać mnie przy życiu, gdyby wszelkie z zewnątrz płynące radości były mi wzbronione lub ofiarowane jedynie za cenę, której zapłacić nie mogę." Czoło oświadcza: „Rozum stoi pewnie i dzierży cugle, i nie pozwoli się ponieść uczuciom i pędzić ku dzikim przepaściom. Niech sobie namiętności, pogańskie plemię, szaleją wściekle; niechaj pragnienia snują w wyobraźni ułudne mary, ale zdrowy sąd będzie miał zawsze i w każdym sporze ostatnie słowo i rozstrzygający głos w każdej decyzji. Może przyjść wicher, trzęsienie ziemi, pożar, ale ja zawsze słuchać będę wskazań tego cichego głosu, który tłumaczy rozkazy sumienia."

Dobrze mówisz, szlachetne czoło; wola twoja zostanie uszanowana. Ułożyłem swoje plany — słusznymi je mienię — stosowałem się w nich do wymagań sumienia, do wskazań rozumu. Wiem, jak prędko zwiędłaby młodość, zmarniałby kwiat, gdyby czara ofiarowanego szczęścia kryła choć trochę mętów wstydu, choć najlżejszy posmak wyrzutu sumienia; i nie chcę poświęcenia, żalu, zatraty, o, nie! Pragnę ogrzać, nie zmrozić; zyskać wdzięczność, nie krwawe łzy... nie, nawet nie słone; żniwem moim muszą być uśmiechy, słowa pieszczotliwe, słodka... Dosyć. Zdaje mi się, że śnię w jakiejś rozkosznej gorączce. Pragnąłbym przedłużyć *tę* chwilę w nieskończoność, ale nie śmiem. Dotychczas opanowywałem się całkowicie. Grałem swoją rolę tak, jak sobie poprzysiągłem, że ją zagram; grać dłużej byłoby może ponad moje siły. Niech pani powstanie, panno Eyre; niech mnie pani opuści; komedia skończona.

Gdzie ja byłam? Czy sen to, czy jawa? Czy może śniłam? Czy sen ten trwał jeszcze? Głos starej kobiety zmienił się; jej akcent, jej gest, wszystko było mi tak znajome jak własna twarz w zwierciadle, jak moja własna mowa. Wstałam, ale nie odeszłam. Spojrzałam; poprawiłam ogień i znowu spojrzałam, ale ona ściągnęła kapelusz i bandaż mocniej na twarz i znowu skinęła, że mam odejść. Płomień oświetlił wyciągniętą rękę; czujna teraz, zdecydowana odkryć prawdę, od razu zauważyłam tę rękę. Nie była to wyschła, starcza ręka, lecz zaokrąglona, giętka, o gładkich, kształtnych palcach; szeroki pierścień błysnął na małym palcu, a na tym pierścieniu poznałam szlachetny kamień, setki razy oglądany. I znowu spojrzałam na twarz; twarz ta już nie odwracała się ode mnie — przeciwnie, kapelusz i bandaż były zrzucone, głowa swobodna.

— I cóż, Jane, czy poznaje mnie pani? — zapytał dobrze znajomy głos.

— Niech pan tylko zdejmie ten czerwony płaszcz, a wtedy...

— Ale sznurek zaplątał się na węzeł; pomóż mi.

— Niech go pan zerwie.

— Zaraz. Już!... Precz, wypożyczone szaty! — I pan Rochester ukazał się bez przebrania.

— Co za dziki pomysł, proszę pana!

— Ale dobrze wykonany, co?

— Wobec pań musiał pan dobrze grać.

— A wobec ciebie nie?

— Ze mną nie grał pan roli Cyganki.

— Jakąż więc rolę odegrałem? Czy własną?

— Nie; jakaś niezrozumiałą. Krótko mówiąc, myślę, że pan chciał ze mnie coś wyciągnąć albo mnie naciągnąć; prawił pan niedorzeczności, żeby mnie wyciągnąć na niedorzeczności. To nie bardzo ładnie, proszę pana.

— Czy wybaczysz mi, Jane?

— Nie wiem, dopóki się nad tym wszystkim nie zastanowię. Jeżeli, po namyśle, przekonam się, że nie naplotłam zbyt wielkich głupstw, będę starała się przebaczyć panu; ale to nie było słusznie ze strony pana.

— Ach, zachowałaś się bardzo właściwie, bardzo ostrożnie, bardzo rozsądnie.

Zastanowiłam się i doszłam do przekonania, że na ogół tak było; ale bo też uważałam i byłam ostrożna od samego początku rozmowy. Podejrzewałam jakąś maskaradę. Wiedziałam, że Cyganki i wróżbiarki nie wyrażają się w ten sposób jak ta rzekoma stara baba; przy tym zauważyłam, że mówi zmienionym głosem i że starannie ukrywa twarz. Myśli moje jednakże krążyły dokoła Gracji Poole, tej żywej zagadki, tej tajemniczej dla mnie istoty. Nie pomyślałam nawet o panu Rochesterze.

— O czymże to panna duma? — zapytał. — Co oznacza ten poważny uśmiech?

— Zdziwienie i zadowolenie z siebie. Pozwoli mi pan teraz odejść, prawda?

— Nie, jeszcze chwilę. Powiedz mi, co moi goście robią w salonie.

— Przypuszczam, że rozprawiają o Cygance.

— Usiądź! Powiedz mi, co o mnie mówili.

— Lepiej, żebym już sobie poszła; musi być blisko jedenastej. Ach, ale czy pan wie, że jakiś nieznany gość przybył tu podczas pańskiej nieobecności?

— Nieznany gość!... Nie; któż to być może? Nie oczekiwałem nikogo; czy odjechał?

— Nie; powiedział, że zna pana od dawna i że może sobie pozwolić na zainstalowanie się tutaj aż do pańskiego powrotu.

— A niechże go licho! Tak powiedział?! Czy podał swoje nazwisko?

— Jego nazwisko jest Mason, proszę pana, a przybywa z Indii Zachodnich; zdaje mi się, że ze Spanish Town na Jamajce.

Pan Rochester stał przy mnie; ujął był moją rękę jakby z zamiarem poprowadzenia mnie do krzesła. Gdy mówiłam, ścisnął mi rękę konwulsyjnie; uśmiech zamarł na jego ustach, jak gdyby kurcz zatamował mu oddech.

— Mason!... Indie Zachodnie! — powiedział tonem automatu, nastawionego na te jedyne słowa. — Mason... Indie Zachodnie!... — powtórzył.

Trzy razy wymówił te słowa, blednąc coraz bardziej; zdawało mi się, że traci przytomność.

— Czy panu słabo? — zapytałam.

— To jest straszny cios, Jane; to jest straszny cios, Jane! — zatoczył się.

— O, niech się pan na mnie wesprze!

— Ofiarowałaś mi już raz swoje ramię; wesprę się na nim i teraz...

Poprowadziłam go do krzesła, prosił, żebym usiadła przy nim. Trzymając moją rękę w obu swoich, głaskał ją patrząc na mnie równocześnie wzrokiem jakby strwożonym i straszliwym.

— Moja mała przyjaciółko! — mówił — o, gdybym mógł znaleźć się na jakiej spokojnej wyspie z tobą jedną tylko i gdyby troska i niebezpieczeństwo, i ohydne wspomnienia mogły mi być odjęte!

— Czy mogłabym być panu pomocna?... Życie bym oddała, by móc usłużyć panu.

— Jeśli pomoc będzie mi potrzebna, zwrócę się do ciebie, Jane, to ci przyrzekam.

— Dziękuję! Niech mi pan powie, co mam zrobić... spróbuję przynajmniej zrobić, co pan każe.

— Tymczasem przynieś mi kieliszek wina z jadalni; będą tam teraz

siedzieli przy kolacji; i powiedz mi, czy Mason jest z nimi i co robi.

Poszłam. Zastałam całe towarzystwo w jadalni przy kolacji; nie siedzieli przy stole — kolacja ustawiona była na kredensie; każdy brał, co mu się podobało, i jedli stojąc tu i tam grupkami, z talerzami i kieliszkami w ręku. Wszyscy wydawali się w doskonałym humorze; śmiano się i rozmawiano z ożywieniem. Pan Mason stał przed kominkiem rozmawiając z pułkownikiem i panią Dent i zdawał się równie wesół jak wszyscy. Nalałam wina do kieliszka (widziałam, że panna Ingram patrzy na mnie marszcząc czoło; uważała widać, że zanadto sobie pozwalam) i powróciłam do biblioteki.

Niezmierna bladość pana Rochestera minęła, wyglądał znowu stanowczo i surowo. Wziął z mojej ręki kieliszek.

— Za twoje zdrowie, duchu pomocny! — powiedział. Przełknął wino i oddał mi kieliszek. — Co oni tam robią, Jane?

— Śmieją się i rozmawiają!

— Czy nie mają min poważnych i tajemniczych, jak gdyby coś dziwnego usłyszeli?

— Bynajmniej; żartują, wesołość ich ponosi.

— A Mason?

— I on się śmiał.

— Gdyby wszyscy ci ludzie weszli tutaj gromadą i napluli na mnie, co byś zrobiła, Jane?

— Wypędziłabym ich z pokoju, proszę pana, gdybym mogła.

Uśmiechnął się słabo.

— Ale gdybym ja poszedł do nich, a oni tylko popatrzyliby na mnie chłodno, poszeptali między sobą drwiąco i zaczęli się wynosić po kolei zostawiając mnie samego, co wtedy? Czy poszłabyś razem z nimi?

— Myślę, że chyba nie; milej by mi było pozostać z panem.

— Ażeby mnie pocieszać?

— Tak, proszę pana, ażeby pana pocieszać, o ile by to było w mojej mocy.

— A gdyby się wszyscy od ciebie odwrócili za to, że trwasz przy mnie?

— Prawdopodobnie nic bym o tym nie wiedziała, a gdyby nawet, nie dbałabym o to wcale.

— Tak więc dla mnie potrafiłabyś stawić czoło obmowie?

— Potrafiłabym to uczynić dla każdego przyjaciela, który by wart był, ażebym przy nim została, tak jak z pewnością pan jest tego wart.

— Wróć teraz do pokoju, podejdź spokojnie do pana Masona i szepnij mu do ucha, że Rochester wrócił i pragnie się z nim zobaczyć; przyprowadź go tutaj, a potem zostaw nas samych.

— Dobrze, proszę pana.

Spełniłam jego rozkaz. Całe towarzystwo wytrzeszczało na mnie oczy, gdy szłam wśród nich prosto do miejsca, gdzie stał pan Mason; powtórzyłam mu, co miałam polecone; wyszedł za mną z pokoju, wpuściłam go do biblioteki, a potem poszłam na górę.

O późnej godzinie, gdy już czas jakiś leżałam w łóżku, usłyszałam gości wracających do swoich pokoi; rozróżniłam głos pana Rochestera i usłyszałam, jak mówił:

— Tędy, proszę cię, tędy; oto twój pokój. Mówił wesoło; swobodny ton głosu uspokoił mnie.

Wkrótce zasnęłam.

ROZDZIAŁ XX

Zapomniałam dnia tego zaciągnąć zasłonę koło łóżka, co zwykle czyniłam, a także spuścić storę na oknie. Toteż gdy księżyc w pełni posunął się tak daleko, że przez nie zasłoniętą szybę oświecił moje posłanie, blask jego mnie obudził. Zbudzona w środku nocy otworzyłam oczy i popatrzyłam na tarczę księżyca — srebrnobiałą i czystą jak kryształ. Piękna była, lecz zbyt uroczysta; uniosłam się i wyciągnęłam rękę chcąc zaciągnąć zasłonę.

Wielki Boże! Co za krzyk!

Noc — jej spokój, jej ciszę — rozdarł dziki, ostry, przeraźliwy głos, wstrząsający domem od końca do końca.

Puls mój stanął; serce bić przestało; wyciągnięta ręka zdrętwiała. Krzyk zamarł i nie powtórzył się więcej. W istocie, żadne stworzenie, które by wydało krzyk tak okropny, nie mogłoby powtórzyć go prędko; żaden potężny kondor ze swego gniazda na szczytach Andów nie mógłby powtórzyć go, nie odpocząwszy przed nowym wysiłkiem.

Głos ten płynął z trzeciego piętra, gdyż dochodził z góry.

I na górze też — w pokoju tuż nad moim sufitem — posłyszałam teraz walkę; śmiertelna wydawała mi się, sądząc po hałasie; równocześnie na wpół zduszony głos zawołał po trzykroć z rzędu:

— Na pomoc! Na pomoc! Na pomoc!

— Czy nikt nie pójdzie? — zawołałam; a wtedy, podczas gdy borykanie się i dziki tupot trwały dalej, doleciało mnie przez sufit i ściany wołanie:

— Rochester! Rochester! Na miłość boską, przyjdź! Drzwi jakieś otworzyły się; ktoś biegł, ktoś pędził wzdłuż korytarza. Usłyszałam na górze inne kroki i coś upadło. Teraz nastąpiła cisza.

Narzuciłam na siebie ubranie, chociaż groza mną wstrząsała; wyszłam z pokoju. Wszyscy goście pobudzili się: okrzyki, szepty przerażenia słychać było we wszystkich pokojach; jedne za drugimi otwierały się drzwi; wyglądały przez nie różne osoby; korytarz się zapełnił. Panowie i panie powstawali. W zamieszaniu ze wszystkich stron rozległy się pytania: „Ach, co to jest?" „Czy się komu co złego stało?" „Co się stało?" „Przynieś świecę!" „Czy to pożar?" „Czy to rozbójnicy?" „Dokąd my uciekniemy?" Gdyby nie światło księżyca, byliby wszyscy w zupełnej ciemności. Biegali tam i z powrotem, skupili się w gromadę, ktoś klął, ktoś się potykał i zataczał, zamęt był nieopisany.

— Gdzież, u licha, jest Rochester? — zawołał pułkownik Dent. — Nie widzę go w łóżku!

— Jestem! Jestem! — odkrzyknięto mu w odpowiedzi. — Bądźcie wszyscy państwo spokojni; już idę.

Tu otworzyły się drzwi na końcu korytarza i ukazał się pan Rochester ze świecą w ręku; wracał z trzeciego piętra. Jedna z pań podbiegła natychmiast ku niemu; chwyciła go za ramię; była to panna Ingram.

— Cóż to za straszny wypadek się zdarzył? — przemówiła. — Niech pan mówi. Niech pan nam od razu powie najgorsze!

— Tylko niech mnie panie nie przewrócą albo nie uduszą — odpowiedział, gdyż teraz uczepiły się go obydwie panny Eshton, a dwie starsze damy w obszernych białych szlafrokach płynęły prosto na niego jak okręty z rozwiniętymi żaglami.

— Wszystko w porządku!... Wszystko w porządku! — wołał. — To po prostu scena z *Wiele hałasu o nic.* Panie, usuńcie się, proszę, bo stanę się niebezpieczny!

I niebezpiecznie wyglądał: czarne jego oczy ciskały błyskawice. Opanowując się z wysiłkiem, dodał:

— Jedna ze służących miała zmorę nocną, nic więcej. Jest to osoba wrażliwa, nerwowa, wydało jej się przez sen. że widzi jakąś zjawę czy coś podobnego, i ze strachu dostała nerwowego ataku. A teraz

muszę prosić, żebyście państwo powrócili do swoich pokoi, bo dopóki w domu nie zapanuje spokój, nie można się nią należycie zająć. Panowie, bądźcie łaskawi dać paniom dobry przykład. Panno Ingram, jestem pewien, że pani pokaże się wyższa ponad niemądre strachy. Amy, Luizo, wracajcie do swych gniazdek jak para posłusznych gołąbków. Mesdames (tu zwrócił się do dwóch matron), zaziębicie się, jak Bóg na niebie, jeżeli dłużej stać będziecie w tej zimnej galerii.

I tak, to łagodząc, to rozkazując, zdołał wreszcie zapędzić wszystkich do sypialni. Ja zaś, nie czekając na rozkaz, usunęłam się do swojej nie zauważona przez nikogo.

Nie miałam mimo to zamiaru kłaść się do łóżka; przeciwnie, ubrałam się starannie. Odgłosy, które mnie doszły po owym krzyku, i słowa wypowiedziane słyszałam prawdopodobnie ja jedna tylko, gdyż płynęły one z pokoju położonego nad moim. Sądząc z nich jednak byłam pewna, że nie sen służącej taką grozą wstrząsnął cały dom i że wyjaśnienie podane przez pana Rochestera było prostym wymysłem dla uspokojenia gości. Ubrałam się przeto, ażeby w razie potrzeby być gotowa. Ubrawszy się siedziałam długi czas przy oknie, patrząc na cichy ogród i osrebrzone pola w oczekiwaniu sama nie wiedząc czego. Zdawało mi się, że jakieś zdarzenie musi nastąpić po tym dziwnym krzyku, tej walce i tym wołaniu.

Tymczasem nie: spokój powrócił; wszelki szept, wszelki ruch ustawał stopniowo i może w jaką godzinę później zapanowała w Thornfield Hall cisza jak na pustyni. Noc i sen objęły dom w posiadanie. Tymczasem i księżyc kłonił się już ku zachodowi. Zamiast siedzieć w chłodzie i ciemności pomyślałam, że raczej wyciągnę się ubrana na łóżku. Odeszłam od okna i jak najciszej przeszłam po dywanie; w chwili gdy nachylałam się, aby zdjąć trzewiki, ostrożna ręka cicho zapukała do drzwi.

— Czy jestem potrzebna? — zapytałam.

— Czy wstałaś? — zapytał głos, którego się spodziewałam, głos pana Rochestera.

— Tak, proszę pana.

— I jesteś ubrana?

— Tak.

— Więc proszę wyjść, ale spokojnie. Usłuchałam. Pan Rochester stał na korytarzu trzymając świecę.

— Jesteś mi potrzebna — rzekł — pójdź tędy; ale nie śpiesz się i nie rób hałasu.

Miałam na nogach cienkie pantofle, mogłam więc stąpać cicho jak kot po chodniku korytarza. Pan Rochester szedł wzdłuż korytarza i po schodach, aż w końcu zatrzymał się w niskim, ciemnym korytarzu nieszczęsnego trzeciego piętra; ja szłam za nim i stanęłam przy jego boku.

— Czy nie masz gąbki w swoim pokoju? — zapytał szeptem.

— Mam, owszem.

— A sole... sole trzeźwiące?

— I te mam także.

— Więc proszę wrócić i przynieść jedno i drugie.

Poszłam, wzięłam gąbkę z umywalni, sole z szuflady i powróciłam. Pan Rochester czekał, trzymał w ręku klucz; zbliżywszy się do jednych z tych małych, czarnych drzwi, wsunął go w zamek; zatrzymał się jednak i znów zwrócił się do mnie:

— Czy nie zrobi ci się słabo na widok krwi?

— Sądzę, że nie; jednak nie byłam dotąd nigdy wystawiona na próbę.

Poczułam dreszcz, gdy to mówiłam; nie zrobiło mi się jednak ani zimno, ani słabo.

— Proszę mi podać rękę — rzekł — nie możemy ryzykować omdlenia.

Podałam mu rękę.

— Ciepła i spokojna — zauważył. Przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Ujrzałam pokój, który widziałam już przedtem, kiedy pani Fairfax oprowadzała mnie po domu. Pokój zawieszony był makatami; w jednej części jednak makata była teraz odgarnięta i widać było drzwi, wtedy niewidoczne. Drzwi te były otwarte; światło świeciło w pokoju w głębi; słyszałam stamtąd jakiś chrapliwy pomruk przypominający warczenie psa. Pan Rochester postawiwszy świecę powiedział do mnie: „Proszę poczekać chwilę", po czym wszedł do wewnętrznego pokoju. Powitał go wybuch śmiechu — hałaśliwy zrazu, a kończący się tym diabelskim „cha! cha!", właściwym Gracji Poole. A więc to ona tam się znajdowała... Pan Rochester coś tam zarządził nic nie mówiąc, chociaż słyszałam zwracający się do niego cichy głos; następnie wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

— Przyjdź tutaj, Jane — zwrócił się teraz do mnie.

Przeszłam na drugą stronę wielkiego łoża, które z opuszczonymi firankami zasłaniało znaczną część pokoju. Fotel stał w głowach łóżka; w tym fotelu siedział mężczyzna, cały ubrany, z wyjątkiem ściągniętego surduta; nie ruszał się, głowę miał przechyloną w tył, oczy zamknięte. Pan Rochester oświecił go świecą; poznałam w jego bladej, na pozór martwej twarzy — obcego przybysza, pana Masona. Zauważyłam, że bielizna jego z jednego boku i na jednym ramieniu przesiąknięta była krwią.

— Potrzymaj mi świecę — rzekł pan Rochester. Usłuchałam. Przyniósł z umywalni miednicę z wodą.

— I to mi potrzymaj.

Zrobiłam, jak kazał. Wziął gąbkę, zanurzył ją w wodzie i zwilżył nią trupiobladą twarz; zażądał ode mnie buteleczki z solami i przytknął ją do nozdrzy zemdlonego. Pan Mason niebawem otworzył oczy; jęknął. Pan Rochester rozpiął koszulę rannego, którego barki i ramię były obandażowane; zebrał gąbką krew, ściekającą szybkimi kroplami.

— Czy jestem zagrożony? — szepnął pan Mason.

— Cóż znowu! Nie, to proste zadraśnięcie. Nie przerażaj się tak, człowieku; trzymaj się! Sprowadzę ci teraz chirurga, sam to zrobię; do rana, mam nadzieję, będzie cię można stąd wywieźć. Jane — zwrócił się do mnie.

— Słucham.

— Będę cię musiał zostawić w tym pokoju z tym oto panem na godzinę, a może na dwie; będziesz zbierała gąbką krew, tak jak ja to czynię, jeśli się znów pokaże; gdyby mu się robiło słabo, podasz mu do ust tę szklankę z wodą, która tu stoi na umywalni, i podsuniesz mu pod nos sole. Nie mów do niego pod żadnym pozorem, a ty, Ryszardzie, naraziłbyś swe życie, gdybyś mówił do niej; jeżeli otworzysz usta albo poruszysz się, nie odpowiadam za następstwa.

Biedny człowiek znowu jęknął; zdawało się, że nie śmie się ruszyć; strach przed śmiercią czy przed czym innym paraliżował go po prostu. Pan Rochester wsunął mi skrwawioną gąbkę do ręki, a popatrzywszy przez chwilę, jak jej używam, rzucił jeszcze te słowa: „Pamiętaj! Żadnej rozmowy!", i wyszedł z pokoju. Dziwnego doznałam uczucia, gdy klucz zgrzytnął w zamku i zamarł odgłos oddalających się kroków.

Więc byłam oto na trzecim piętrze, zamknięta w jednej z tych tajemnych celek; dokoła mnie noc; blady i krwawy widok przed oczyma i zaledwie odgrodzona drzwiami ode mnie — morderczyni; tak, to było przerażające; resztę mogłam znieść, ale drżałam na myśl, że Gracja Poole może rzucić się na mnie.

Wiedziałam jednak, że muszę wytrwać na stanowisku; muszę śledzić tę twarz widmową, te sine, milczące wargi, którym nie wolno się poruszać, te oczy, to zamknięte, to otwierające się, to błądzące po pokoju, to utkwione we mnie, a zawsze powleczone tępotą grozy. Muszę raz po raz zanurzać rękę w miednicy skrwawionej wody i ocierać kapiącą krew. Muszę patrzeć na to, jak światło nie objaśnionej świecy przygasa; jak ciemnieją cienie na haftowanej starożytnej makacie dokoła mnie; czarne pod zasłonami wielkiego starego łoża, dziwnie drżące nad drzwiami wielkiej szafy stojącej naprzeciw, której front, podzielony na dwanaście pól, dźwigał grubo rzeźbione głowy dwunastu apostołów, a na szczycie ponad nimi wznosił się hebanowy krzyż z konającym Chrystusem.

I w miarę jak ciemność na przemian z błyskami światła błąkała się to tu, to tam, wyłaniał się z cienia brodaty św. Łukasz o pochylonym czole, to św. Jan o długich falujących włosach, to znów jawiła się diabelska twarz Judasza, nabierała życia i zdawało się, że lada chwila przedzierzgnie się w oblicze arcyzdrajcy — samego szatana.

Wpośród tego wszystkiego musiałam nie tylko czuwać, ale i nasłuchiwać; wytężać słuch, czy nie usłyszę ruchów tej dzikiej bestii czy też szatana w sąsiedniej norze. Jednakże od chwili bytności tam pana Rochestera jakby czar jakiś ją uciszył; przez całą noc usłyszałam jedynie trzy odgłosy w długich odstępach czasu: skrzypnięcie czyjegoś kroku, chwilowe wznowienie chrapliwego, psiego pomruku i głęboki ludzki jęk.

A wtedy własne myśli zaczęły mnie dręczyć. Jakaż to zbrodnia żyła tutaj wcielona w tym ustronnym domu, której ani wygnać, ani opanować nie mógł jego właściciel?... jaka tajemnica, wybuchająca to ogniem, to krwią w późnych godzinach nocy? Cóż to było za stworzenie, które ukryte w twarzy i postaci zwykłej kobiety odzywało się raz głosem drwiącego demona, to znów krzykiem drapieżnego ptaka szukającego padliny?

A ten człowiek, nad którym się pochylałam, ten zwykły, spokojny cudzoziemiec, co wplątało jego w tę sieć pełną grozy? Dlaczego napadła go ta furia? Co mu kazało błąkać się po tej części domu o tak niezwykłej porze, kiedy powinien był spoczywać we śnie? Słyszałam, jak pan Rochester wskazywał mu pokój na dole — cóż go tu sprowadziło? A dlaczego teraz był taki uległy, chociaż doświadczył gwałtu czy też zdrady? Dlaczego tak spokojnie godził się na ukrycie, którego żądał pan Rochester? Ale dlaczego pan Rochester żądał tego ukrycia? Na gościa jego uczyniono zamach, niedawno ohydnie nastawano na własne jego życie, a on tak jedno, jak i drugie osłaniał tajemnicą i puszczał w niepamięć. Zauważyłam poprzednio, że pan Mason ulegał panu Rochesterowi, który mu narzucał swą gwałtowną wolę; upewniło mnie o tym tych parę słów, które zamienili. Widoczne było, że w dawniejszych ich stosunkach bierne usposobienie jednego było pod stałym wpływem czynnej energii drugiego; gdzież więc źródło tego przerażenia, z jakim pan Rochester usłyszał o przybyciu pana Masona? Dlaczego

samo imię tej uległej osobistości, którą jak dziecko samym słowem mógł prowadzić, poraziło go jak grom kilka godzin temu?

O! nie mogłam zapomnieć wyrazu jego twarzy i bladości, gdy szepnął: „To jest straszny cios, Jane... to jest straszny cios, Jane!" Nie mogłam zapomnieć, jak drżała ta ręka, którą oparł na moim ramieniu; a nie była to błaha sprawa, skoro mogła tak pognębić śmiałego ducha, tak wstrząsnąć potężną postacią Rochestera.

„Kiedyż on wróci? Kiedyż wróci?" — wołałam w głębi duszy, gdy noc się przeciągała, a mój krwawiący pacjent słabł, wzdychał i jęczał. A tu ani dzień nie nadchodził, ani pomoc nie przybywała. Już kilka razy przysuwałam szklankę z wodą do zbielałych warg Masona, raz po raz podawałam mu trzeźwiące sole. Wysiłki jednak moje wydawały się bezskuteczne: czy to sprawiło cierpienie fizyczne, czy moralne, czy też utrata krwi, czy wszystko to razem, dosyć, że siły jego wyczerpywały się prędko. Jęczał i wyglądał taki słaby, zagubiony i bezwładny, że obawiałam się, iż umiera; a nawet mówić do niego nie było mi wolno.

Świeca, wypalona do końca, zgasła nareszcie; ujrzałam wtedy smugi szarego światła po brzegach story: świtało. Zaraz też usłyszałam szczekanie Pilota w odległej jego budzie na podwórzu; odżyła we mnie nadzieja. I niedaremna: w pięć minut później zgrzyt klucza, lekkie skrzypnięcie drzwi zwiastowały mi kres mego czuwania. Nie mogło ono trwać więcej niż dwie godziny, a jednak zdawało mi się, że okres kilku tygodni nie trwałby dłużej.

Pan Rochester wszedł do pokoju, a z nim chirurg, po którego pojechał.

— A teraz, Carter, śpiesz się — zwrócił się pan Rochester do chirurga. — Daję ci tylko pół godziny czasu na opatrzenie rany, założenie bandaży, sprowadzenie pacjenta na dół, słowem na wszystko.

— Czy jednak będzie można go ruszyć?

— Bez wątpienia; to nic poważnego; jest zdenerwowany, trzeba w nim podtrzymać ducha. Dalej, bierz się do roboty.

Pan Rochester odsunął ciężką portierę, podniósł płócienną storę i wpuścił, ile można, dziennego światła. Zdziwiłam się i ucieszyłam widząc, jak świt się posunął, jakie różowe pręgi zaczynają rozświecać wschód. Następnie pan Rochester zbliżył się do Masona, którego już chirurg wziął w obroty.

— No i cóż, mój poczciwcze, jak się czujesz? — zapytał.

— Zamordowała mnie, lękam się — brzmiała słaba odpowiedź.

— Nic podobnego! Nie traćże odwagi! Od dziś za dwa tygodnie śladu po tym nie zostanie: straciłeś trochę krwi, to i wszystko. Carter, zapewnijże go, że nie ma niebezpieczeństwa.

— Mogę to sumiennie uczynić — powiedział Carter, który tymczasem zdjął bandaże. — Żałuję tylko, że nie mogłem być tu trochę wcześniej: nie byłby tak bardzo krwawił... ale co to? Ciało na ramieniu jest rozszarpane, nie tylko przecięte. To nie jest rana zadana nożem; tu były zęby w robocie!

— Ugryzła mnie — szepnął pacjent. — Szarpała mnie jak tygrysica, gdy Rochester wydarł jej nóż.

— Nie powinieneś był ustępować; powinieneś był od razu z nią walczyć — powiedział pan Rochester.

— Ale w tych warunkach cóż można było zrobić? — odparł Mason. — Ach, to było straszne! — dodał wstrząsając się. — A ja się tego nie spodziewałem; taka się z początku wydawała spokojna!

— Przestrzegałem cię — odpowiedział jego przyjaciel — mówiłem: „Strzeż się, gdy się do niej będziesz zbliżał." Zresztą mogłeś był zaczekać do jutra i pójść do niej razem ze mną. To było czyste szaleństwo urządzać te odwiedziny dziś w nocy, i to samemu.

— Myślałem, że będę mógł zrobić coś dobrego.

— Myślałeś! Myślałeś! Doprawdy, gdy cię słucham, tracę cierpliwość; ale z tym wszystkim ucierpiałeś i jeszcze pewnie dosyć będziesz cierpiał za to, żeś nie posłuchał mej rady, więc już nic więcej nie powiem. Carter... śpiesz się! śpiesz się! Słońce wzejdzie niezadługo, a ja go muszę stąd wyprawić.

— Zaraz, panie; ramię już obandażowałem. Teraz muszę opatrzyć tę drugą ranę na przedramieniu: i tu, zdaje mi się, pracowały jej zęby.

— Ssała krew; powiedziała, że wyssie ze mnie serce — szepnął Mason.

Widziałam, jak się pan Rochester wzdrygnął; dziwnie mocny wyraz wstrętu, obrzydzenia, nienawiści wykrzywił jego twarz; powiedział jednak tylko:

— No, bądźże cicho, Ryszardzie, i nie rób sobie nic z jej bredzenia; nie powtarzaj tego.

— Chciałbym zapomnieć — brzmiała odpowiedź.

— Zapomnisz, skoro raz opuścisz ten kraj; gdy wrócisz do Spanish Town, będziesz mógł o niej myśleć jak o umarłej i pochowanej albo raczej nie potrzebujesz wcale o niej myśleć.

— Niepodobieństwem będzie zapomnieć o tej nocy!

— Nie jest to żadne niepodobieństwo; zdobądźże się, człowieku, raz na trochę energii! Dwie godziny temu myślałeś, że już po tobie, a oto teraz żyjesz w najlepsze i rozmawiasz. Widzisz, Carter już prawie skończył swą robotę; teraz ja ciebie przyzwoicie ubiorę. Jane! (tu zwrócił się do mnie po raz pierwszy od powrotu) weź ten klucz, idź na dół do mojej sypialni, stamtąd prosto naprzód, do mojej ubieralni, otwórz górną szufladę komody i wydobądź czystą koszulę i krawat; przynieś je tutaj, a spraw się zręcznie.

Poszłam; wedle jego wskazówek znalazłam wymienione rzeczy i powróciłam z nimi.

— A teraz — powiedział — przejdź na drugą stronę łóżka, podczas gdy ja go będę ubierał; ale nie wychodź z pokoju; możesz być jeszcze potrzebna.

Usunęłam się, tak jak rozkazał.

— Czy nikt się nie ruszał na dole, gdy schodziłaś, Jane? — zapytał po chwili pan Rochester.

— Nie, proszę pana, było wszędzie bardzo cicho.

— Gładko cię wyprowadzimy, Ryszardzie; i tak będzie lepiej zarówno dla ciebie, jak dla tego nieszczęsnego stworzenia. Długo się o to starałem, by nie doszło do publicznego skandalu, i nie chciałbym, żeby do tego miało dojść teraz. Proszę cię, Carter, pomóż mu włożyć kamizelkę. Gdzieś ty zostawił futrzany płaszcz? Nie możesz bez tego mili ujechać w tym przeklętym zimnym klimacie. W twoim pokoju?... Jane, pobiegnij, proszę, do pokoju pana Masona... obok mojego, i przynieś płaszcz, który tam zobaczysz.

Znów pobiegłam i znów wróciłam niosąc ogromny płaszcz podbity i obłożony futrem.

— A teraz, Jane, mam nowe zadanie dla ciebie — powiedział mój niezmordowany chlebodawca. — Musisz znów zejść do mojego pokoju. Co za szczęście, że masz aksamitne pantofle. Głośno stąpający posłaniec na nic by w tym wypadku się nie przydał. Musisz otworzyć środkową szufladę w moim stoliku toaletowym i wyjąć stamtąd małą buteleczkę i szklaneczkę, które tam znajdziesz, ale żywo!

Poleciałam i przyniosłam żądane przedmioty.

— To dobrze! A teraz, doktorze, pozwolę sobie dać choremu lekarstwo, na moją własną odpowiedzialność. Dostałem ten kordiał w Rzymie od włoskiego szarlatana, draba, którego ty byś kopnął. Nie można tego używać bezmyślnie, ale dobre jest w niektórych wypadkach; tak jak teraz na przykład. Jane, trochę wody!

Wyciągnął małą szklaneczkę, a ja napełniłam ją do połowy z karafki stojącej na umywalni.

— Dosyć; a teraz zwilż brzeg buteleczki! Zrobiłam to; odmierzył dwanaście kropel karmazynowego płynu i podał to Masonowi.

— Wypij, Ryszardzie; to ci na jaką godzinę doda otuchy, której ci potrzeba.

— Czy tylko mi to nie zaszkodzi?... Czy to nie wywołuje zapalenia?

— Pijże! pij! pij!

Pan Mason usłuchał, ponieważ opierać się byłoby rzeczą daremną. Był już teraz ubrany, choć ciągle jeszcze wyglądał blado, ale bez śladów krwi i zabrudzenia. Pan Rochester pozwolił mu posiedzieć trzy minuty po zażyciu lekarstwa, po czym ujął go pod ramię.

— Teraz jestem pewien, że potrafisz utrzymać się na nogach — rzekł. — Spróbuj.

Pacjent wstał.

— Carter, weź go pod drugie ramię. Bądź dobrej myśli, Ryszardzie; no, ruszże się... tak... o, widzisz!

— Czuję się lepiej — zauważył pan Mason.

— Byłem tego pewien. A teraz, Jane, idź, proszę, naprzód przed nami tylnymi schodami. Otwórz drzwi od bocznego korytarza i powiedz woźnicy pocztowego ekwipażu, którego zobaczysz na podwórzu albo tuż za bramą, gdyż powiedziałem mu, żeby terkoczącymi kołami nie jechał po bruku, ażeby był gotów, że idziemy; ale, ale... Jane, gdyby się tam kto kręcił, stań u stóp schodów i chrząknij.

Wybiło już tymczasem pół do szóstej i słońce miało wzejść za chwilę; w kuchni jednakże zastałam jeszcze ciemności i ciszę. Drzwi od bocznego korytarza były zaryglowane; otworzyłam je, jak mogłam najciszej; wszędzie na podwórzu panował spokój, ale bramy były szeroko otwarte i stała tam karetka pocztowa z zaprzęgniętymi końmi i woźnicą na koźle. Zbliżyłam się i powiedziałam mu, że panowie już idą; skinął na to głową, ja zaś rozejrzałam się uważnie dokoła i nasłuchiwałam. Cisza wczesnego ranka zalegała wszędzie; zasłony na oknach pokoi służących były jeszcze zaciągnięte; małe ptaszki ćwierkały w kwiatami ubielonych drzewach sadu, których gałęzie, jak białe girlandy, przewieszały się przez mur zamykający z jednej strony podwórze; konie powozowe tupały raz po raz w zamkniętych stajniach; nad wszystkim innym panowała cisza.

Teraz ukazali się panowie. Mason, podpierany z obu stron przez

pana Rochestera i chirurga, szedł stosunkowo swobodnie; pomogli mu wsiąść do karety; Carter wsiadł za nim.

— Polecam go twojej opiece — powiedział pan Rochester do doktora. — Nie wypuść go ze swego domu, dopóki zupełnie nie wydobrzeje; za dzień albo dwa dni wpadnę do ciebie zobaczyć, jak on się miewa. Ryszardzie, jakże się czujesz?

— Świeże powietrze orzeźwia mnie, Edwardzie.

— Doktorze, zostaw okno po jego stronie otwarte; nie ma wiatru. Bywaj zdrów, Dick!

— Edwardzie...

— Czego sobie życzysz?

— Daj jej dobrą opiekę; każ ją traktować jak najłagodniej i najczulej; każ ją... — tu przerwał i rozpłakał się.

— Robię wszystko, co mogę; robiłem to i będę robił — brzmiała odpowiedź; zamknął drzwiczki karetki i ekwipaż ruszył.

— Ale dałby Bóg, żeby się to wszystko raz mogło skończyć! — dodał pan Rochester zamykając i ryglując ciężkie bramy podwórzowe.

Po czym ruszył roztargniony wolnym krokiem ku furtce w murze okalającym sad. Mniemając, że już mu jestem niepotrzebna, zamierzałam wrócić do domu, gdy znów usłyszałam wołanie:

— Jane! — Otworzył furtkę i stał przy niej czekając na mnie. — Chodźmy odetchnąć przez chwilę świeżością — rzekł. — Ten dom to po prostu więzienie; czy tego nie odczuwasz?

— Mnie się on wydaje wspaniałą rezydencją.

— Masz na oczach urok niedoświadczenia — powiedział — widzisz ten dom przez zaczarowane szkła; nie potrafisz się dopatrzyć, że pozłota to brud, jedwabne draperie to pajęczyny; że marmur to ordynarny łupek, politurowane drzewo to nędzne heblowiny i chropawa kora. Ale tutaj (tu wskazał na liściaste otoczenie dokoła

nas), tu wszystko jest rzetelne, miłe i czyste.

Szedł wzdłuż ścieżki, po jednej stronie obsadzonej bukszpanem, jabłoniami, gruszami i czereśniami, po drugiej obwiedzionej grządką różnych kwiatów: lewkonii, goździków, prymul, bratków, zmieszanych z polnymi różyczkami i różnymi wonnymi ziołami. Były tak świeże, jak tylko być mogły po szeregu kwietniowych deszczyków i słonecznych prześwietleń w ten uroczy wiosenny poranek; słońce właśnie wypływało na zaróżowione od wschodu niebo, a promienie jego oświecały kwiatem i rosą osypane drzewa owocowe i cieniste ścieżki pod nimi.

— Czy chcesz kwiat, Jane?

Zerwał na wpół rozwiniętą różę, pierwszą z brzegu, i podał mi ją.

— Dziękuję panu.

— Czy podoba ci się ten wschód słońca? To niebo z tymi lekkimi chmurkami, które z pewnością rozwieją się, w miarę jak dzień będzie się ogrzewał; to pogodne, wonne powietrze?

— O, bardzo.

— Dziwną noc spędziłaś, Jane.

— Tak, proszę pana.

— I pobladłaś od tego; czy bałaś się, gdym cię zostawił samą z Masonem?

— Bałam się, żeby kto nie wyszedł z tamtego drugiego pokoju.

— Ależ ja zamknąłem drzwi, miałem klucz w kieszeni; byłbym bardzo niedbałym pasterzem, gdybym był zostawił owieczkę, moją najmilszą owieczkę, nie strzeżoną, tak blisko jaskini wilka; byłaś zupełnie bezpieczna.

— Czy Gracja Poole będzie tu dalej mieszkała, proszę pana?

— O, tak! nie zaprzątaj sobie nią głowy, wyrzuć tę sprawę z myśli.

— Jednakże zdaje mi się, że życiu pańskiemu grozi niebezpieczeństwo, dopóki ona tu pozostaje.

— Nie bój się, będę się strzegł.

— Czy niebezpieczeństwo, którego się pan wczoraj lękał, minęło do tego czasu?

— Nie mógłbym za to ręczyć, dopóki Mason nie opuści Anglii; a i wtedy nawet nie. Moje życie, Jane, to przebywanie na skorupie krateru, która może pęknąć i każdej chwili wybuchnąć ogniem.

— Jednakże pan Mason wydaje się człowiekiem, którego łatwo prowadzić. Widocznie pan ma wielki wpływ na niego; on nigdy się panu nie sprzeciwi ani rozmyślnie nie skrzywdzi pana.

— O, nie! Mason mi się nie sprzeciwi; ani też z wiedzą i wolą krzywdy mi nie wyrządzi, ale, bez złego zamiaru, mógłby w jednej chwili, jednym nieostrożnym słowem pozbawić mnie na zawsze, jeżeli nie życia, to szczęścia.

— Niech mu pan powie, żeby był ostrożny; niech mu pan powie, czego się pan obawia, i niech go pan nauczy, jak ma unikać niebezpieczeństwa.

Roześmiał się sarkastycznie, chwycił moją rękę i natychmiast odrzucił ją od siebie.

— Gdybym mógł to zrobić, ty naiwne stworzenie, gdzież by było niebezpieczeństwo? Zniknęłoby od razu. Odkąd znam Masona, wystarczyło zawsze, bym mu powiedział: „Zrób to" czy „Zrób tamto", a on natychmiast to robił. Ale w tym wypadku ja mu nie mogę dawać rozkazów, nie mogę mu powiedzieć: „Strzeż się, byś mi krzywdy nie wyrządził. Ryszardzie", gdyż on w żaden sposób nie może wiedzieć, że mi się krzywda stanie. Teraz wyglądasz zdziwiona jak wobec zagadki; ale ja jeszcze dalej będę mówić zagadkowo. Jesteś moją przyjaciółeczką, wszak prawda?

— Lubię służyć panu i słuchać go we wszystkim, co słuszne.

— Tak, właśnie; widzę, że tak jest. Widzę szczere zadowolenie w ruchach twych, w oczach, w twarzy, gdy mi pomagasz i dogadzasz,

pracując dla mnie i ze mną we wszystkim, co, jak się tak charakterystycznie wyraziłaś, jest słuszne; bo gdybym zażądał od ciebie czegoś, co byś uważała za niesłuszne, nie byłoby tego lekkonogiego biegania, tego zręcznego pośpiechu, tego żwawego spojrzenia i ożywionej cery. Przyjaciółka moja spojrzałaby wtedy na mnie spokojna i blada i powiedziałaby: „Nie, panie, to niemożliwe: ja tego zrobić nie mogę, ponieważ to nie jest słuszne." I byłaby niewzruszona jak gwiazda stała. Tak, tak, i ty masz władzę nade mną i mogłabyś mi krzywdę wyrządzić; ale ja nie śmiem ci pokazać miejsca, gdzie mogłabyś zadać ranę, gdyż, choć taka wierna i przyjacielska, przebiłabyś mnie od razu.

— Jeżeli nie ma pan powodu więcej się lękać pana Masona niż mnie, to nic panu nie zagraża!

— Bóg by to dał, żeby tak było! Tutaj, Jane, jest altanka; usiądź.

Altankę stanowiło sklepione zagłębienie w murze. oplecione bluszczem; wewnątrz było proste siedzenie. Pan Rochester zajął je, zostawiając dla mnie miejsce przy sobie; ja jednakże stałam.

— Usiądź — powtórzył. — Ławka jest dosyć długa dla dwojga. Nie lękasz się chyba usiąść obok mnie, co? Czy uważałabyś to za niesłuszne, Jane?

Zamiast odpowiadać, usiadłam; czułam, że niemądrze byłoby odmawiać.

— A teraz, moja przyjaciółeczko, podczas gdy słońce spija rosę, podczas gdy wszystkie kwiaty w tym starym ogrodzie budzą się i rozwijają, ptaki znoszą swoim pisklętom śniadanie, a wczesne pszczoły zaczynają swoją dzienną pracę, przedłożę ci sprawę, którą postaraj się uważać za swoją własną. Przede wszystkim jednak popatrz na mnie i powiedz, czy czujesz się swobodna, czy nie lękasz się, że popełniam błąd zatrzymując cię albo że ty popełniasz błąd pozostając.

— Nie, proszę pana, jestem swobodna i zadowolona.

— A więc, Jane, wezwij na pomoc wyobraźnię. Wyobraź sobie, że nie jesteś dobrze wychowaną i opanowaną dziewczyną, ale

rozpuszczonym chłopcem, którego rozpieszczano od dzieciństwa; wyobraź sobie, że jesteś w dalekim, obcym kraju; przypuść, że popełniasz tam wielki błąd, mniejsza o to, jakiej natury i z jakich powodów, ale taki, którego następstwa musisz ponosić przez całe życie i który zatruwa całe twoje istnienie. Zwracam uwagę, że nie nazwałem tego zbrodnią; nie mówię tu o rozlewie krwi ani innym czynie, który stawiałby sprawę w kolizji z prawem; wyraziłem się: „błąd". Rezultaty tego, coś uczyniła, stają się dla ciebie z czasem wprost nieznośne. Przedsiębierzesz środki, by ulżyć twemu losowi: niezwykłe środki, ale ani przeciwne prawu, ani nacechowane winą. Pomimo tego jesteś nieszczęśliwa, gdyż nadzieja opuściła cię u samego zarania życia; słońce twe uległo zaćmieniu w południe i czujesz, że tak już zostanie aż do zachodu. Gorzkie, nikczemne wspomnienia stały się jedynym pokarmem twojej pamięci. Tułasz się to tu, to tam, szukając odpoczynku na obczyźnie, szczęścia w uciechach — bezdusznych, zmysłowych uciechach, które oszałamiają myśl i mrożą uczucie. Z sercem znużonym i oschłą duszą wracasz do domu po latach dobrowolnego wygnania. Zawierasz nową znajomość — jak i gdzie, o to mniejsza; w tej obcej osobie znajdujesz wiele dobrych i jasnych zalet, których na próżno szukałaś przez lat dwadzieścia, a takie są świeże, takie zdrowe, bez plamy i bez skazy... Takie towarzystwo wskrzesza człowieka, odradza go. Czujesz, że teraz wracają lepsze dni, wznioślejsze pragnienia, czystsze uczucia; pragniesz rozpocząć życie na nowo. spędzić pozostałe dni w sposób godniejszy istoty nieśmiertelnej. Dla osiągnięcia tego celu czy masz prawo przeskoczyć zaporę zwyczajową — prostą, konwencjonalną przeszkodę, której ani sumienie twoje nie uświęca, ani twój sąd nie uznaje?

Zamilkł czekając na odpowiedź. I cóż ja mogłam odpowiedzieć? O, gdyby jaki dobry duch chciał mi podszepnąć trafną, zadowalającą odpowiedź. Daremne pragnienie! Wietrzyk zachodni szeptał w bluszczach dokoła mnie, ale żaden dobrotliwy Ariel nie przemówił do mnie jego tchnieniem; ptaki śpiewały wśród gałęzi, ale śpiew ich, chociaż słodki, nie kształtował się w wyrazy.

Tu znowu pan Rochester zadał pytanie: — Czy taki błądzący grzesznik, ale teraz zdjęty żalem, pragnący spokoju, ma prawo, wbrew opinii świata, przywiązać do siebie na zawsze to miłe, wdzięczne, mądre stworzenie, zdobywając przez to spokój duszy i

nowe życie?

— Panie — odpowiedziałam — odpoczynek tułacza ani poprawa grzesznika nie powinny nigdy zależeć od innej istoty. Ludzie umierają; filozofom często braknie mądrości, chrześcijanom dobroci; jeżeli ktoś, kogo pan znał, cierpiał i błądził, niechaj spojrzy wyżej ponad swoich bliźnich, szukając tam siły ku poprawie i pociechy kojącej cierpienie.

— Ale narzędzie, narzędzie! Bóg, który spełnia dzieło, wyznacza narzędzie. Ja sam, mówię ci to teraz bez obsłonek, byłem człowiekiem wykolejonym, błądzącym, grzesznym i wierzę, że ku uleczeniu swemu znalazłem narzędzie w...

Przerwał; ptaki śpiewały dalej, liście lekko szeleściły. Aż dziwnie mi było, że nie przerwały śpiewów i szeptów, by pochwycić najbliższe słowo wyznania; ale długo musiałyby czekać, gdyż długo trwało milczenie. W końcu podniosłam oczy na milczącego towarzysza; on przenikliwie wpatrywał się we mnie.

— Przyjaciółeczko — przemówił zmienionym zupełnie tonem, podczas gdy i twarz jego przybrała inny wyraz, tracąc łagodność i powagę, a przyoblekając się w szorstkość i sarkazm — zauważyłaś moje tkliwe uczucia dla panny Ingram; czy nie sądzisz, że gdvbym się z nią ożenił, ona by mnie skutecznie powiodła ku wielkiemu odrodzeniu?

Podniósł się szybko, poszedł aż na drugi koniec ścieżki, a wracając nucił jakąś melodię.

— Jane, Jane — rzekł stając przede mną — strasznie pobladłaś wskutek tego czuwania; czy nie przeklinasz mnie za to, żem ci zakłócił spokój?

— Ja miałabym pana przeklinać? Nie, proszę pana.

— Więc podaj mi rękę na potwierdzenie tego. O, jakie zimne paluszki! Cieplejsze były, kiedy dotknąłem ich w nocy przed drzwiami tajemniczego pokoju. Kiedy znów będziesz czuwać wraz ze mną, Jane?

— Kiedy będę mogła być pożyteczna.

— Na przykład w przeddzień mojego ślubu! Jestem pewien, że wtedy nie będę mógł spać. Czy przyrzekniesz mi, że posiedzisz ze mną i dotrzymasz mi towarzystwa? Do ciebie mogę mówić o mojej ślicznej, gdyż teraz ty ją widziałaś i znasz ją.

— Tak, proszę pana.

— Wyjątkowa osoba, nieprawdaż, Jane?

— Tak, proszę pana.

— Okazała kobieta, prawdziwie okazała, Jane; brunetka, wielka i pełna; włosy ma zupełnie takie, jakie musiały mieć damy kartagińskie... Masz tobie! Oto Dent i Lynn zeszli do stajni! Wracaj przez ogród, przez tę furtkę.

Poszłam w jedną stronę, on w drugą i usłyszałam, jak mówił wesoło na podwórzu:

— Mason wstał najwcześniej z was wszystkich dziś rano; wyjechał przed wschodem słońca; a ja wstałem o czwartej, żeby go pożegnać.

ТОМ 2

ROZDZIAŁ XXI

Przeczucia, sympatie i znaki są to trzy dziwne zjawiska, które razem tworzą tajemnicę, ale do tej ludzkość jeszcze nie znalazła klucza. Nigdy nie wyśmiewałam przeczuć, gdyż sama ich doświadczałam. Wierzę, że istnieją niezrozumiałe dla nas, śmiertelników, sympatie, jak na przykład sympatia między krewnymi, którzy albo wcale, albo mało się znają. Istnienie takich uczuć stwierdza bodaj ich pochodzenie z jednego źródła. A znaki? Czyż możemy wiedzieć? Może to po prostu dowody sympatii natury dla człowieka.

Będąc jeszcze małą dziewczynką, może sześcioletnią, słyszałam, jak Bessie Lieven opowiadała raz Marcie Abbot, że śniła o małym dziecku i że sen o dzieciach to nieomylny znak zmartwienia dla tego, który śni, albo dla jego krewnych. To wyjaśnienie byłoby mi może wyszło z pamięci, gdyby nie nastąpił potem wypadek, który je utrwalił. Nazajutrz wezwano Bessie do umierającej siostrzyczki.

W ostatnich czasach często przypominało mi się to opowiadanie i ten wypadek, przez cały bowiem poprzedni tydzień nie było prawie nocy, która by mi nie przyniosła snu o małym dziecku: to piastowałam je na ręku, to kołysałam na kolanach, to przyglądałam się bawiącemu się stokrotkami na trawniku, to maczającemu rączki w bieżącej wodzie. Jednej nocy było to dziecko płaczące, innej znowu śmiejące się; raz tuliło się do mnie, kiedy indziej uciekało ode mnie; jakikolwiek jednak zdradzało humor, jakikolwiek był jego wygląd, przez siedem nocy z rzędu zjawiało się z chwilą, gdy wstępowałam w krainę snów.

Niemiły był ten dziwny powrót jednego zjawiska; jednego obrazu, i czułam się zdenerwowana, gdy nadchodziła godzina spoczynku. Z takiego snu o małym dziecku zbudziłam się owej nocy księżycowej, gdy usłyszałam ten straszny krzyk; po obiedzie zaś dnia następnego wezwano mnie na dół zawiadamiając, że w pokoju pani Fairfax jest ktoś, kto chce się ze mną widzieć. Przyszedłszy tam ujrzałam czekającego na mnie człowieka, z pozoru służącego dworskiego:

ubrany, był w głęboką żałobę, a kapelusz, który trzymał w ręku, otoczony był krepą.

— Zapewne pani nie przypomina mnie sobie, panienko — zaczął wstając, gdy weszłam — ale nazywam się Lieven; służyłem za stangreta u pani Reed, gdy panienka była w Gateshead, osiem czy dziewięć lat temu, i dotychczas tam służę.

— O, Robercie! jak się macie? Bardzo dobrze was pamiętam; pozwalaliście mi czasem przejechać się na karym kucyku panny Georgiany. A jakże się miewa Bessie? Wyście się z nią ożenili, nieprawdaż?

— Tak, panienko; moja żona ma się doskonale, dziękuję; dała mi jeszcze jedno maleństwo ze dwa miesiące temu; troje teraz mamy i zdrowi są oboje: matka i dziecko.

— A we dworze czy wszystko dobrze, Robercie?

— Bardzo mi żal, że nie mogę dać panience lepszych wiadomości o państwu: bardzo tam źle u nich teraz, wielkie mają zmartwienie.

— Przecież chyba nikt nie umarł — rzekłam spojrzawszy na jego czarne ubranie.

On także popatrzył na krepę dokoła swego kapelusza i odpowiedział:

— Pan John umarł przed tygodniem w swoim mieszkaniu w Londynie.

— Pan John?...

— Tak jest.

— I jakże matka jego to znosi?

— Bo widzi panienka, to nie jest zwyczajne nieszczęście: on prowadził hulaszcze życie; przez te ostatnie trzy lata puścił się na dziwne wybryki, a śmierć jego była skandalem.

— Słyszałam od Bessie, że nie prowadził się dobrze.

— Nie prowadził się dobrze! Nie mógł się gorzej prowadzić: stracił zdrowie i zrujnował majątek wśród najgorszych towarzyszy i najgorszych kobiet. Wpadł w długi i dostał się do więzienia. Matka uratowała go dwa razy, ale jak tylko znalazł się na wolności, wracał do dawnych towarzyszy i dawnych przyzwyczajeń. Nie miał mocnego rozumu; łotry, wśród których żył, nabierały go tak, że to wszelkie pojęcie przechodzi. Ze trzy tygodnie temu przyjechał do Gateshead i chciał, żeby mu pani oddała wszystko. Pani odmówiła, bo i tak środki jej od dawna były uszczuplone z winy jego rozrzutności ; toteż wyjechał z powrotem, a wkrótce przyszła wiadomość, że nie żyje. Jak umarł, Bóg to wie... Mówią ludzie, że sam sobie życie odebrał.

Milczałam; straszne to były wieści. Robert Lieven mówił dalej:

— Pani już od pewnego czasu szwankowała na zdrowiu; utyła bardzo, ale sił jej brakło, a strata pieniędzy i strach przed ubóstwem zupełnie ją podcinały. Wiadomość o śmierci pana Johna i o tym, jaką ta śmierć była, zbyt nagle ją doszła; to sprowadziło atak paraliżu. Na trzy dni odjęło jej mowę, ale ostatniego wtorku było jej jakby lepiej: zdawało się, że chce coś powiedzieć, i wciąż dawała znaki mojej żonie i coś bełkotała. Dopiero wczoraj Bessie zrozumiała, że pani wymawia imię panienki; w końcu zrozumiała wyrazy: „Sprowadźcie Jane... sprowadźcie Jane Eyre, chcę z nią pomówić". Bessie nie jest pewna, czy pani jest przy zdrowym rozumie i czy te słowa co znaczą, ale powtórzyła je pannom Reed i radziła, żeby posłać po panienkę. Panny odkładały to z początku, ale matka ich tak się zaczęła niepokoić i tyle razy powtarzała: „Jane, Jane", że zgodziły się w końcu. Wczoraj wyjechałem z Gateshead i jeżeli panienka może być gotowa, rad bym panienkę zabrać z sobą jutro rano.

— Dobrze, Robercie, będę gotowa; zdaje mi się, że powinnam pojechać.

— I ja tak myślę, panienko. Bessie powiedziała, że jest pewna przyjazdu panienki; ale panienka zapewne będzie musiała poprosić o urlop, zanim będzie mogła Wyjechać?

— Naturalnie, i zaraz też to uczynię.

I zaprowadziwszy go do hallu służących poleciłam go opiece żony Johna i Johnowi samemu, a sama poszłam poszukać pana Rochestera.

Nie było go w dolnych pokojach; nie było go na podwórzu, w stajniach, w ogrodzie. Zapytałam panią Fairfax, czy go widziała; tak, zdawało jej się, że gra w bilard z panną Ingram. Pośpieszyłam przeto do pokoju bilardowego; dolatywał stamtąd stuk kul i gwar głosów; pan Rochester, panna Ingram, obydwie panny Eshton I ich wielbiciele uczestniczyli w grze. Musiałam zdobyć się na trochę odwagi, by przerwać tak interesującą partię; nie mogąc jednak odwlekać sprawy przybliżyłam się do pana domu stojącego obok panny Ingram. Gdy podchodziłam, panna Ingram obróciła się i spojrzała na mnie z góry; oczy jej zdawały się pytać: „Czego tu może chcieć to pełzające stworzenie?", gdy zaś cichym głosem przemówiłam: "Panie Rochester", uczyniła ruch. jakby miała ochotę pokazać mi drzwi. Pamiętam, jak wyglądała w tej chwili, a wyglądała wdzięcznie i uderzająco ładnie: miała na sobie ranną toaletę z jasnoniebieskiej krepy, błękitny gazowy szalik owinięty dokoła głowy. Była wielce ożywiona grą, a podrażniona pycha nie zeszpeciła wyrazu dumnych, jej rysów.

— Czy ta osoba ma do pana interes? — zapytała pana Rochestera; a wtedy pan Rochester obejrzał się chcąc się przekonać, kto to taki ta „osoba". Po twarzy jego przemknął ciekawy wyraz, jeden z tych jego dziwnych, dwuznacznych Wyrazów, odrzucił kij i wyszedł za mną z pokoju.

— No i cóż, Jane? — zapytał opierając się o drzwi szkolnego pokoju, które zamknął za sobą.

— Jeżeli pan łaskaw, chciałabym prosić o pozwolenie wyjazdu na tydzień, a może dwa.

— Po co?... Dokąd chcesz jechać?

— Odwiedzić chorą osobę, która po mnie przysłała.

— Co za chorą osobę?... gdzie ona mieszka?

— W Gateshead, w hrabstwie X.

— W hrabstwie X? To sto mil stąd! Któż to być może, kto z takiej odległości przysyła po ludzi i każe się odwiedzać?

— Nazwisko jej Reed... pani Reed.

— Reed z Gateshead? Był taki Reed z Gateshead, sędzia.

— To wdowa po nim, proszę pana.

— A co ty masz z nią wspólnego? Skąd ją znasz?

— Pan Reed był moim wujem, bratem mojej matki.

— Doprawdy? Nigdy mi o tym nie mówiłaś; zawsze mówiłaś, że nie masz żadnych krewnych.

— Żadnych, którzy by się chcieli przyznać do mnie. Wuj Reed umarł, a wdowa po nim wyrzekła się mnie.

— Dlaczego?

— Ponieważ byłam biedna, byłam dla niej ciężarem i nie lubiła mnie.

— Ale Reed pozostawił dzieci? Musisz mieć kuzynów. Sir George Lynn mówił wczoraj o młodym Reedzie z Gateshead, jednym z najgorszych nicponiów w mieście, a Ingram wspominał o pannie Georgiame Reed, również z Gateshead, wielce podziwianej piękności rok czy dwa lata temu w sezonie londyńskim.

— John Reed także już nie żyje, panie Rochester; zrujnował siebie i po części swoją rodzinę. Przypuszczają, że popełnił samobójstwo. Te wiadomości wywarły takie wrażenie na matce, że tknęła ją apopleksja.

— I cóż ty jej możesz zrobić dobrego? To nie ma sensu, Jane! Nigdy by mi nie przyszło do głowy pędzić sto mil, ażeby odwiedzić starą kobietę, która może umrzeć, zanim do niej dojedziesz; a przy tym powiadasz, że się ciebie wyparła.

— Tak, ale to było dawno temu i kiedy jej życie inaczej się układało; nie miałabym spokojnego sumienia, gdybym teraz nie

spełniła jej życzenia.

— Jak długo chcesz tam zabawić?

— Jak będę mogła najkrócej.

— Przyrzeknij mi, że zabawisz tam tylko tydzień...

— Wolałabym nie dawać słowa, może musiałabym je złamać.

— W każdym razie powrócisz; pod żadnym pozorem nie dasz się u niej zatrzymać na stałe?

— O, nie! Z pewnością powrócę, jeśli wszystko będzie dobrze.

— A kto z tobą pojedzie? Przecież nie pojedziesz sto mil sama?

— Nie, proszę pana, przysłała po mnie stangreta.

— Czy to człowiek godny zaufania?

— O, tak, od dziesięciu lat służy w tej rodzinie. Pan Rochester rozmyślał chwilę.

— Kiedy byś chciała pojechać?

— Jutro wcześnie rano, proszę pana.

— No dobrze; będziesz potrzebowała pieniędzy; nie możesz puszczać się w podróż bez pieniędzy, a przypuszczam, że wiele ich nie masz; dotychczas nie wypłaciłem ci pensji. Ile też masz całego majątku, Jane? — zapytał uśmiechając się.

Wyciągnęłam sakiewkę; chuda była jej zawartość.

— Pięć szylingów, proszę pana.

Wziął sakiewkę, wytrząsnął sobie cały skarb na dłoń i śmiał się, jak gdyby jego szczupłość go bawiła. Niebawem wyciągnął portfel.

— Weź to — rzekł podając mi banknot.

Był to banknot pięćdziesięciofuntowy, a był mi winien tylko

piętnaście funtów. Powiedziałam mu, że nie mogę wydać reszty.

— Ja nie chcę reszty; przecież wiesz. Bierz swoją pensję.

Nie chciałam przyjąć więcej, niż mi się należało. Zmarszczył zrazu czoło, ale wnet, jak gdyby sobie coś przypomniał, powiedział:

— Słusznie! Słusznie! Lepiej ci teraz wszystkiego nie dawać: zostałabyś tam może ze trzy miesiące, gdybyś miała całe pięćdziesiąt funtów. Oto masz dziesięć; czy to nie dosyć?

— Tak, panie, ale teraz winien mi pan jeszcze pięć.

— To wracaj po nie; masz u mnie czterdzieści funtów.

— Panie Rochester, może dobrze będzie, jeżeli wspomnę panu o jeszcze jednym interesie, skoro mam po temu sposobność.

— O interesie? Ciekaw jestem usłyszeć, o jakim.

— Pan mi jakby oznajmił, że niezadługo zamierza się ożenić.

— Prawda, i cóż stąd za wniosek?

— W tym wypadku, proszę pana, Adelka powinna pójść do szkoły; pan z pewnością uzna tę konieczność.

— Ażeby ją usunąć z drogi mojej przyszłej żonie, która w przeciwnym razie przeszłaby po niej bez dalszych ceremonii. Tak, niewątpliwie to myśl rozsądna. Adelka, jak mówisz, musi iść do szkoły, a panna Eyre, naturalnie, musi iść prosto do diabła?

— Niekoniecznie, proszę pana, ale muszę sobie poszukać posady gdzie indziej.

— Czas na to! — zawołał zmienionym głosem i wykrzywiając twarz zarazem dziwacznie i śmiesznie.

Popatrzył na mnie przez dobrą chwilę.

— A stara pani Reed i panny, jej córki, będą zapewne proszone o wyszukanie ci posady?

— Nie, proszę pana, nie jestem z krewnymi w takich stosunkach, żeby mnie to upoważniało do proszenia ich o jakąś grzeczność, ale dam ogłoszenie.

— Wejdziesz prędzej na piramidy egipskie! — mruknął. — Żebyś mi się nie ważyła dawać ogłoszenia ! Żałuję, że nie dałem ci tylko jednego suwerena zamiast dziesięciu funtów. Oddaj mi dziesięć funtów, Jane, ja ich potrzebuję.

— I ja również — odpowiedziałam chowając ręce z sakiewką za siebie. — Nie mogę się w żaden sposób obejść bez tych pieniędzy.

— Skąpe stworzonko! — rzekł. — Odmawia mi, gdy ją proszę o pieniądze! Daj mi pięć funtów, Jane!

— Nie dam ani pięciu szylingów, proszę pana, ani pięciu pensów nawet.

— Pozwól mi tylko spojrzeć na te pieniądze.

— Nie, proszę pana; nie można panu ufać,

— Jane!

— Czego pan sobie życzy?

— Przyrzeknij mi coś.

— Przyrzeknę panu wszystko, co sądzę, że będę mogła dotrzymać.

— Więc przyrzeknij mi, że nie dasz ogłoszenia i że mnie powierzysz wyszukanie ci posady. Już ja ci ją znajdę.

— Chętnie to uczynię, jeżeli mi pan w zamian przyrzeknie, że ja i Adelka opuścimy dom, zanim żona pańska do niego wejdzie.

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze! Na to mogę ci dać słowo. Zatem jedziesz jutro?

— Tak, z samego rana.

— Czy zejdziesz do salonu po obiedzie?

— Nie, proszę pana, muszę się przygotować do drogi.

— Więc musimy się pożegnać na czas pewien?

— Chyba tak, proszę pana.

— I jakże to ludzie odprawiają taką pożegnalną ceremonię, Jane? Naucz mnie, ja nie wiem dobrze.

— Mówią sobie „do widzenia" albo, jeżeli wolą, używają innego zwrotu.

— Więc powiedz.

— Do widzenia, tymczasem.

— A co ja mam odpowiedzieć?

— To samo, jeśli pan zechce.

— Do widzenia, tymczasem, panno Eyre; czy to już wszystko?

— Tak.

— Wydaje mi się to skąpe, oschłe i nie po przyjacielsku. Wolałbym jakoś inaczej; a gdyby tak coś dodać: do tego rytuału? Gdyby, na przykład, dołączyć uścisk dłoni; ale nie... to by mnie także nie zadowoliło. Więc ty mi tylko powiesz „do widzenia"?

— To wystarczy, proszę pana; tyleż życzliwości można zawrzeć w jednym serdecznym słowie jak w wielu.

— Zapewne; ale to brzmi sucho i zimno... „Do widzenia"...

„Jak długo on tu będzie stać podpierając plecami drzwi? — zadawałam sobie pytanie. — Chciałabym zacząć się pakować." Tu odezwał się dzwonek obiadowy. Pan Rochester wyskoczył nagle z pokoju nie dodając ani słowa; już go więcej tego dnia nie widziałam, a nazajutrz rano wyjechałam, zanim on wstał jeszcze.

Około piątej godziny po południu pierwszego maju stanęłam w Gateshead przed domkiem portiera; wstąpiłam tam, zanim się

udałam do dworu. Bardzo tu było czysto i ładnie; na oknach wisiały białe firaneczki; podłoga bez jednej plamki; przy kominku krata i pogrzebacze aż świeciły czystością, a ogień palił się jasno. Bessie siedziała przy ogniu piastując swoje najmłodsze dziecko, a mały Robert z siostrzyczką bawili się spokojnie w kąciku.

— Chwała Bogu!... wiedziałam, że panienka przyjedzie — zawołała pani Lieven widząc mnie wchodzącą.

— Tak, Bessie — rzekłam ucałowawszy ją — i mam nadzieję, że nie przybywam za późno. Jak się miewa pani Reed?... Ufam, że jeszcze żyje?

— Żyje i przytomniejsza jest, i spokojniejsza niż poprzednio. Doktor mówi, że może się to jeszcze przeciągnąć z jaki tydzień albo dwa, ale nie spodziewa się, żeby mogła ostatecznie wyzdrowieć.

— Czy wspominała mnie w ostatnich czasach?

— Jeszcze dziś rano mówiła o panience i wyrażała życzenie, żeby panienka przyjechała, ale teraz śpi, a przynajmniej spała dziesięć minut temu, gdy zachodziłam do dworu. Pani pogrążona jest jakby w letargu prawie przez całe popołudnie, ale budzi się o szóstej albo siódmej. Czy zechce panienka odpocząć tutaj z godzinkę, a potem ja bym poszła z panienką do dworu?

W tej chwili wszedł Robert, a Bessie, ułożywszy śpiące dziecko w kołysce, poszła go powitać. Następnie nalegała, bym zdjęła kapelusz i napiła się herbaty, gdyż twierdziła, że jestem blada i zmęczona. Rada przyjęłam jej gościnność i pozwoliłam zdjąć z siebie płaszcz podróżny tak biernie jak ongiś, gdy dzieckiem będąc dawałam jej się rozbierać.

Szybko odżyły we mnie wspomnienia dawnych czasów, gdym patrzyła, jak się Bessie krząta, jak ustawia na tacy najlepsze filiżanki, jak kraje chleb, przynosi masło, przypieka grzanki, a wśród tego wszystkiego to klapnie, to szturchnie małego Roberta albo Jane, jak niegdyś mnie szturchała. Bessie zachowała żywe usposobienie, podobnie jak dawną lekkość ruchów i dawną urodę.

Gdy już herbata była gotowa, chciałam przybliżyć się do stołu;

Bessie jednak nie pozwoliła mi się ruszyć. Rozkazującym jak dawniej tonem oświadczyła, że mam siedzieć przy kominku, a ona mi wszystko poda; umieściła tedy przede mną mały okrągły stoliczek, na nim filiżankę i talerz z grzankami, zupełnie tak jak niegdyś w dziecinnym pokoju, gdy fetowała mnie czasem ściągniętym chyłkiem smakołykiem. Uśmiechnęłam się i byłam jej posłuszna jak za dawnych czasów.

Bessie była ciekawa, czy czuję się dobrze w Thornfield Hall i jakiego rodzaju osobą jest pani; gdy jej zaś powiedziałam, że jest tam tylko pan, dopytywała, czy to miły dżentelmen i czy ja go lubię. Powiedziałam jej, że to mężczyzna raczej brzydki, ale prawdziwy dżentelmen; że traktuje mnie życzliwie i że jestem zadowolona. Następnie zaczęłam jej opisywać wesołe towarzystwo, które ostatnimi czasy bawiło w domu. Bessie słuchała tych szczegółów z zajęciem.

Na takiej rozmowie godzina szybko zeszła. Bessie podała mi kapelusz i okrycie i w jej towarzystwie udałam się do dworu. W jej to przecież towarzystwie prawie dziewięć lat temu szłam z dworu tą ścieżką, którą teraz szłyśmy do dworu. W ciemny, mglisty, zimny poranek styczniowy opuściłam nieprzyjazny mi dach ze zrozpaczonym i rozgoryczonym sercem, czując się niejako wyrzutkiem i osobą potępioną, szłam szukać tej chłodnej przystani w Lowood, tego dalekiego i nieznanego celu. Ten sam nieprzyjazny dach wznosił się oto znów przede mną: przyszłość moja wciąż jeszcze była wątpliwa, a serce mnie bolało. Wciąż jeszcze czułam się niejako wędrowcem na ziemi; więcej jednak czułam ufności we własne siły, a mniej dojmującego strachu przed uciskiem. I również otwarta rana moich krzywd zagoiła się już teraz zupełnie i zarzewie nienawistnej urazy wygasło.

— Pójdzie panienka najpierw do bawialni — oświadczyła Bessie, prowadząc mnie przez hall. — Młode panie tam będą.

W chwilę potem już byłam w tym pokoju. Każdy mebel w nim wyglądał tak samo jak owego ranka, gdy mnie po raz pierwszy przedstawiono panu Brocklehurstowi, zauważyłam przed kominkiem ten sam dywanik, na którym on stał. Wydało mi się, że widzę na półkach z książkami oba tomy Bewicka o brytyjskich ptakach, na dawnym miejscu, na trzeciej półce, a tuż nad nimi

Podróże Gulliwera i *Noce arabskie.* Nie zmieniły się martwe przedmioty, lecz to, co żyło, zmieniło się nie do poznania.

Ujrzałam przed sobą dwie młode osoby: jedną bardzo wysoką, prawie tak wysoką jak panna Ingram, bardzo chudą, o śniadej twarzy i surowym wyrazie. Było coś ascetycznego w jej wyglądzie, a wrażenie to zwiększała nadzwyczajna prostota jej gładkiej, czarnej, wełnianej sukni, krochmalonego płóciennego kołnierzyka, włosów sczesanych ze skroni i zakonnicza ozdoba, sznur hebanowych paciorków z krzyżem. Byłam pewna, że to jest Eliza, chociaż mało podobieństwa do dawnej Elizy odnajdowałam w tej wydłużonej i bezbarwnej twarzy.

Drugą oczywiście była Georgiana, ale nie ta, jaką pamiętałam: wiotkie, subtelne, jedenastoletnie dziewczątko; teraz miałam przed sobą rozkwitłą, bardzo pełną pannę, piękną jak woskowa lalka, o ładnych i regularnych rysach, omdlewających niebieskich oczach i wijących się blond włosach. Kolor jej sukni również był czarny, ale krój jak różny od kroju sukni jej siostry — o wiele sutszy i ozdobniejszy. Wyglądała modnie i stylowo, podczas gdy tamta wyglądała jak purytanka.

W każdej z sióstr odnalazłam po jednym rysie ich matki — ale tylko po jednym. Chuda i blada starsza córka miała po matce twarde, piwne oczy; kwitnąca i pełna młodsza miała jej zarys szczęki i brody, może nieco złagodzony, ale nadający jakąś trudną do opisania twardość twarzy, skądinąd tak zmysłowej i świeżej.

Obydwie powstały, żeby mnie przywitać, gdym się przybliżyła; obydwie, zwracając się do mnie, tytułowały mnie „panną Eyre". Eliza wygłosiła swoje powitanie krótkim, urywanym tonem, bez uśmiechu, po czym usiadła z powrotem, wpatrzyła się w ogień i jakby zapomniała o mnie. Georgiana do swojego: „Jak się pani miewa?", dodała kilka zdawkowych frazesów o mojej podróży, pogodzie itp., wypowiedzianych nieco przymusowo, przy czym spod oka rzucała moc spojrzeń. Mierzyła mnie od stóp do głów, przenikając fałdy mego brązowego płaszcza i zatrzymując się na skromnym przybraniu mego kapelusza. Młode panny potrafią niesłychanie umiejętnie dać komuś do poznania, że uważają go za „byle kogo", nie wymawiając tego wcale słowami. Pewnym lekceważeniem w spojrzeniu, chłodem obejścia, tonem od

niechcenia wyrażają doskonale, co czują, nie popełniając wyraźnej niegrzeczności ni słowem, ni czynem.

Wzgardliwy jednak uśmieszek, skryty czy otwarty, nie miał już teraz nade mną tej władzy co niegdyś. Siedząc z kuzynkami dziwiłam się sama, że tak swobodnie się czuję wobec zupełnego ignorowania mnie przez jedną, a na pół sarkastycznej grzeczności drugiej. Eliza nie potrafiła mi wyrządzić przykrości, Georgiana nie mogła mnie wyprowadzić z równowagi. Bo też o czym innym miałam do myślenia; w ubiegłych paru miesiącach obudziły się we mnie uczucia tak potężne, że one takich nie mogły we mnie wywołać; moje cierpienia i radości były żywsze i pełniejsze niż uczucia, które one mogły we mnie poruszyć, więc miny ich i tony pozostawiły mnie zupełnie obojętną.

— Jak się miewa pani Reed? — zapytałam niebawem, patrząc spokojnie na Georgianę, która uważała za właściwe żachnąć się z lekka na to zapytanie zadane wprost, jakby to było niespodziewanym zbytkiem poufałości z mojej strony.

— Pani Reed? Ach! to znaczy mama; czuje się nadzwyczaj marnie; wątpię, czy pani będzie mogła zobaczyć ją dziś wieczorem.

— Gdyby pani zechciała — rzekłam — pójść na górę i powiedzieć matce, że przyjechałam, byłabym pani bardzo wdzięczna.

Georgiana nieledwie skoczyła i wytrzeszczyła na mnie szeroko niebieskie oczy.

— Wiem, że specjalnie życzyła sobie widzieć się ze mną — dodałam — a ja nie chciałabym ociągać się dłużej, niż koniecznie potrzeba, z wypełnieniem jej życzenia.

— Mama nie lubi, żeby jej przeszkadzano wieczorem — zauważyła Eliza.

Na to ja wstałam, spokojnie zdjęłam kapelusz i rękawiczki, choć nikt mnie o to nie prosił, i powiedziałam, że pójdę odszukać Bessie, która zapewne będzie w kuchni, i poproszę ją, żeby się dowiedziała, czy pani Reed chce mnie przyjąć dziś wieczór, czy nie. Poszłam i odnalazłszy Bessie wysłałam ją z tym zleceniem; następnie

przedsięwzięłam dalsze kroki. Dotychczas było moim zwyczajem unikać w postępowaniu wszelkiego zuchwalstwa; rok temu, gdybym była doznała takiego przyjęcia, byłabym postanowiła zaraz nazajutrz rano opuścić Gateshead; teraz zrozumiałam, że czyniąc tak, postąpiłabym niedorzecznie. Odbyłam tak daleką podróż, ażeby odwiedzić ciotkę, muszę więc pozostać u niej, dopóki nie doczekam się albo poprawy jej zdrowia, albo — śmierci; z pychą czy głupotą jej córek nie mogę się liczyć, muszę się od nich uniezależnić. Toteż zwróciłam się do gospodyni; poprosiłam ją, żeby mi wskazała pokój; powiedziałam jej, że prawdopodobnie zabawię tu z tydzień albo dwa, i prosiłam, żeby zaniesiono mój kuferek do mego pokoju, dokąd też sama się udałam. Na schodach spotkałam Bessie.

— Pani nie śpi — rzekła. — Powiedziałam jej, że panienka tu jest; pójdźmy i przekonajmy się, czy pozna panienkę.

Nie potrzeba mi było pokazywać drogi do dobrze znajomego pokoju; wszakże niegdyś tak często bywałam tu wzywana, by usłyszeć burę albo otrzymać karę. Wyprzedziłam Bessie, cicho otworzyłam drzwi. Zasłonięta lampa stała na stole, gdyż już się ściemniało. Oto ujrzałam tam, jak dawniej, wielkie łóżko, toaletę, fotel i podnóżek, na którym setki razy kazano mi klękać, by przepraszać za winy nie popełnione. Obejrzałam się szukając okiem pewnego znajomego mi kącika, jak gdybym się spodziewała, że ujrzę postrach dawnych dni: wiszącą tam rózgę gotową wyskoczyć, by oćwiczyć moją drżącą dłoń albo kurczący się ze strachu kark. Zbliżyłam się do łóżka; rozsunęłam zasłony i pochyliłam się nad wysoko usłanymi poduszkami.

Dobrze pamiętałam twarz pani Reed i chciwie szukałam znajomego obrazu. Jakże to szczęśliwie, że czas gasi mściwe pragnienia i ucisza podszepty wściekłości i wstrętu! Opuściłam tę kobietę w rozgoryczeniu i nienawiści, a wracałam teraz do niej bez innych wzruszeń oprócz litości nad wielkością jej cierpień i silnego pragnienia, by zapomnieć, przebaczyć wszelkie krzywdy — pogodzić się i przyjaźnie uścisnąć jej dłoń.

Dobrze znana mi twarz była oto przede mną: surowa, nieubłagana jak zawsze; to samo szczególne oko, którego spojrzenia nic zmiękczyć nie mogło, wpatrywało się we mnie; ta sama nieco podniesiona, władcza, despotyczna brew. Jakże często mierzyło

mnie jej oko z groźbą i nienawiścią! Jak odżywało wspomnienie strachów i strapień dziecka, gdy oglądałam teraz twarde rysy jej twarzy. A jednak nachyliłam się i pocałowałam ją; spojrzała na mnie.

— Czy to Jane Eyre? — zapytała.

— Tak, to ja, ciociu. Jak się ciocia miewa? Ślubowałam niegdyś, że jej już nigdy nie nazwę ciocią; pomyślałam, że to nie grzech poniechać tego ślubu i złamać go teraz. Palce moje ujęły jej rękę leżącą na kołdrze; gdyby była życzliwie uścisnęła moją rękę, byłabym w tej chwili doznała prawdziwej przyjemności. Ale niewrażliwe natury nieprędko łagodnieją, a wrodzona antypatia niełatwo daje się wykorzenić. Pani Reed usunęła rękę i odwracając twarz ode mnie zauważyła, że gorąco jest tej nocy. I znowu popatrzyła na mnie z tak lodowatym chłodem, że poczułam od razu, iż zdanie jej o mnie i uczucia dla mnie są nie zmienione i niezmienne. Poznałam po jej kamiennych oczach, niedostępnych dla czułości, nie mięknących w łzach, że postanowiła do końca uważać mnie za istotę z gruntu złą — ponieważ myśl o mojej dobroci nie sprawiłaby jej szlachetnej przyjemności, a tylko wzbudziłaby przykrość i zawstydzenie.

Zabolało mnie to, a potem rozgniewało; w końcu obudziło się we mnie postanowienie zapanowania nad nią wbrew jej naturze i wbrew jej woli. Łzy cisnęły mi się do oczu jak w latach dzieciństwa; powstrzymałam je. Przysunęłam sobie krzesło i siadłam w głowach łóżka; nachyliłam się nad poduszką.

— Ciocia posłała po mnie — powiedziałam — i oto jestem; mam zamiar pozostać tu, aż się przekonam, że zdrowie cioci się poprawia.

— Ach, naturalnie. Czy widziałaś się z moimi córkami?

— Owszem.

— Dobrze; więc powiedz im, że życzę sobie, byś tu pozostała, dopóki nie będę mogła pomówić z tobą o pewnych rzeczach, na których mi zależy; dziś wieczorem już za późno i trudno mi je sobie przypomnieć. Ale było coś, co chciałam powiedzieć.. niech się

zastanowię...

Błędny wzrok i zmieniona wymowa świadczyły, jakiemu rozstrojowi uległ jej silny niegdyś organizm. Kręcąc się niespokojnie, poprawiała kołdrę na sobie. Łokieć mój, oparty o brzeg łóżka, przypadkiem ją przytrzymywał; to ją od razu zirytowało.

— Podnieś się! — rzekła — czemu mnie drażnisz przytrzymując kołdrę? Czyś ty Jane Eyre?

— Tak, jestem Jane Eyre.

— Więcej kłopotu miałam z tym dzieckiem, niżby ktokolwiek uwierzył. Taki ciężar na mnie zwalić... i tyle utrapienia, co ona mi sprawiała, co dzień, co godzina, tym swoim niezrozumiałym usposobieniem i tymi nagłymi wybuchami gniewu, i bezustannym a nienaturalnym śledzeniem każdego mojego ruchu! Doprawdy, przecież ta dziewczyna przemawiała raz do mnie zupełnie jak wariatka albo jak sam szatan — żadne dziecko nigdy tak nie przemawiało i nie wyglądało jak ona; rada byłam, kiedy jej się pozbyłam z domu. Co oni z nią zrobili w Lowood? Zaraza tam wybuchła i wiele uczennic zmarło: a ona nie umarła. Ale ja powiedziałam, że umarła; żałuję że nie umarła!

— Dziwne życzenie, pani Reed; dlaczego jej pani tak nienawidzi?

— Nigdy nie lubiłam jej matki, gdyż była to jedyna siostra mojego męża i bardzo przez niego kochana. Gdy rodzina wypierała się jej z powodu mezaliansu, on się temu sprzeciwiał, a gdy przyszła wiadomość o jej śmierci, płakał jak głuptas. Uparł się posłać po dziecko, chociaż go błagałam, żeby je raczej oddał do mamki i płacił za jego utrzymanie. Znienawidziłam je od pierwszego wejrzenia — chorowite, piszczące, skamlące stworzenie! Kwiliło w kołysce jak noc długa, nie krzycząc zdrowo i głośno jak każde inne dziecko, ale popiskując i pojękując... Mąż litował się nad nim; nieraz je niańczył i roztkliwiał się nad nim więcej niż kiedykolwiek nad własnymi dziećmi w tym wieku. Starał się usposobić moje dzieci przyjaźnie do tej małej żebraczki, ale kochaneczki nie mogły jej znieść, a on się gniewał na nie, gdy okazywały jej antypatię. W ostatniej chorobie kazał sobie wciąż dzieciaka przynosić do łóżka, a

na godzinę przed śmiercią wymógł na mnie uroczyste przyrzeczenie, że będę chowała i zatrzymam to stworzenie. Równie chętnie dałabym sobie narzucić bębna nędzarki z przytułku, ale on był słaby, słaby z natury... John nie jest ani trochę podobny do ojca, i to mnie cieszy; wdał się we mnie i moich braci... John to wykapany Gibson. Och, jakżebym chciała, żeby przestał mnie dręczyć listami o pieniądze! Nie mam już pieniędzy... nic mu nie mogę dać: popadamy w biedę. Muszę odprawić połowę służby i zamknąć część domu... albo dom wynająć. Nigdy się na to nie potrafię zdobyć... ale jakże mamy dalej ciągnąć? Dwie trzecie moich dochodów idzie na opłacenie procentów od długów. John strasznie gra i zawsze przegrywa, biedny chłopak! Lichwiarze go napastują; John podupadł, zmarniał, wygląda okropnie; wstydzę się za niego, gdy go widzę!

Podniecała się coraz bardziej.

— Może ja bym lepiej teraz poszła — zwróciłam się do Bessie, stojącej po drugiej stronie łóżka.

— Może byłoby lepiej, panienko. Pani często w ten sposób mówi ku nocy; rano bywa spokojniejsza.

Podniosłam się.

— Nie odchodź! — zawołała pani Reed — jeszcze coś chciałam powiedzieć. John mi grozi... ciągle mi grozi... swoją śmiercią albo moją; i często śni mi się, że go widzę na katafalku z wielką raną na szyi albo z twarzą opuchłą, zsiniałą. Przyszła na mnie ciężka godzina: straszne mam zmartwienie. Co mam zrobić? Skąd mam wziąć pieniądze?

Bessie usiłowała teraz ją nakłonić do zażycia proszku nasennego; chora z trudem dała się namówić. Niebawem jednak uspokoiła się i zapadła w półsen. Wtedy wyszłam z pokoju.

Upłynęło więcej niż dziesięć dni, zanim doszło znów między nami do rozmowy. Pani Reed w dalszym ciągu majaczyła albo zapadała w letarg, a lekarz zabraniał wszystkiego, co by w sposób przykry mogło ją podniecać. Ja tymczasem radziłam sobie, jak mogłam, z Georgianą i Elizą. Bardzo były, co prawda, z początku zimne. Eliza

potrafiła przesiedzieć pół dnia szyjąc, czytając lub pisząc i nie odezwać się prawie wcale do mnie ani do siostry. Georgianą potrafiła godzinami droczyć się z kanarkiem nie zwracając na mnie uwagi. Ja jednak postanowiłam okazać, że nie potrzebuję, żeby się mną ktoś zajmował albo mnie bawił; przywiozłam z sobą materiały rysunkowe i te mi posłużyły do zabicia czasu.

Zaopatrzona w pudło z ołówkami i kilka arkuszy papieru siadałam opodal nich pod oknem i zajmowałam się szkicowaniem fantazyjnych winietek przedstawiających jakieś sceny, które mi się przypadkowo kształtowały w kalejdoskopie wyobraźni: to kawałek morza między dwiema skałami, to wschodzący księżyc i okręt przesuwający się przez jego tarczę, to łan trzcin i sitowia z wynurzającą się spośród nich głową najady, uwieńczoną kwiatami lotosu, to znów krasnoludka siedzącego w ptasim gnieździe pod gałęzią kwitnącego głogu.

Pewnego ranka zaczęłam szkicować twarz: co to za twarz będzie, sama nie wiedziałam. Wzięłam miękki czarny ołówek, zatemperowałam go na grubo i zaczęłam pracować. Niebawem nakreśliłam na papierze szerokie i wypukłe czoło oraz kwadratowy zarys podbródka. Z przyjemnością oglądałam kontury tej twarzy i szybko zaczęłam uzupełniać jej rysy. Pod takim czołem trzeba dać silnie zaznaczone, prosto biegnące brwi; a potem, naturalnie, wyraźnie zarysowany nos o prostym mostku i pełnych nozdrzach; dalej ruchliwe usta, bynajmniej nie małe; następnie silną brodę z wyraźnym dołkiem w środku; oczywiście należało tu jeszcze dodać czarne bokobrody i włosy bujnie nastrzępione nad skroniami, falujące nad czołem. A teraz oczy: pozostawiłam je na sam koniec, ponieważ wymagały jak najstaranniejszej pracy. Narysowałam je wielkie, nadałam im dobry kształt, o rzęsach długich i ciemnych, o wielkich, błyszczących źrenicach.

„Dobrze, a jednak niezupełnie! — pomyślałam oceniając całość — potrzeba im więcej siły i więcej życia". Toteż pogłębiłam cienie, ażeby blask tych oczu zabłysł jaśniej... kilka trafnych dotknięć ołówka pomyślnie dopełniło dzieła. I otóż miałam przed sobą twarz przyjaciela; cóż więc mogło mi to szkodzić, że te panny odwracały się tyłem do mnie? Patrzyłam na mój obrazek; uśmiechałam się do tej żywej podobizny; byłam cała przejęta i zadowolona.

— Czy to portret kogoś znajomego? — zapytała Eliza, która przybliżyła się nie zauważona przeze mnie. Odpowiedziałam, że to taka fantazyjna głowa, i szybko wsunęłam rysunek pod inne papiery. Skłamałam, rzecz prosta: była to bardzo wierna podobizna pana Rochestera. Ale cóż to ją obchodziło albo kogokolwiek oprócz mnie jednej? Georgiana też przysunęła się, żeby popatrzeć. Inne rysunki podobały jej się bardzo, ale o tym wyraziła się, że to „brzydki mężczyzna". Zaimponowała im moja umiejętność. Ofiarowałam się naszkicować ich portreciki i obie kolejno pozowały mi do szkicu. Wtedy Georgiana wydobyła swój album. Obiecałam, że jej wymaluję w albumie obrazek akwarelą; to ją od razu wprawiło w dobry humor. Zaproponowała mi spacer po ogrodzie. Nie upłynęły dwie godziny, a już byłyśmy pogrążone w poufnej rozmowie: uszczęśliwiła mnie opisem świetnej zimy spędzonej przez nią dwa sezony temu w Londynie, opisem podziwu, który tam wzbudzała, uprzejmości, jakich była celem; nie poskąpiła mi nawet wzmianek o utytułowanym wielbicielu jakiego tam zdobyła. Po południu i wieczorem wzmianki te zostały uzupełnione. Wysłuchałam sprawozdania z różnych rozmów, różnych scen sentymentalnych: słowem, Georgiana dnia tego zaimprowizowała dla mnie cały tom romansu z życia modnego świata. Zwierzenia takie powtarzały się odtąd codziennie; toczyły się zawsze dokoła tego samego tematu; jej miłości i jej żalów. Rzecz dziwna, że ani razu nie wspomniała o chorobie matki ani o śmierci brata, ani o obecnym posępnym stanie interesów rodziny. Duszę jej całą pochłaniały wspomnienia minionych zabaw i wesołości oraz pragnienie dalszych rozrywek w przyszłości. W pokoju matki spędzała jedynie około pięciu minut dziennie.

Eliza mówiła niewiele; widocznie nie miała czasu na rozmowę. Nigdy nie widziałam aktywniejszej osoby; jednakże trudno było powiedzieć, co właściwie robiła, a raczej trudno było dopatrzyć się wyników jej pracowitości. Zrywała się bardzo wcześnie. Nie wiem, czym się zajmowała przed śniadaniem, ale po śniadaniu dzieliła sobie czas na regularne odstępy i każda godzina miała wyznaczone zadanie. Trzy razy dziennie wczytywała się w książeczkę, która, jak się przekonałam, była modlitewnikiem. Zapytałam ją raz, co ją tak bardzo w tej książeczce pociąga; odpowiedziała, że „Rubryki", czyli przepisy dotyczące nabożeństwa. Trzy godziny przeznaczała na haftowanie złotymi nićmi brzegów kwadratowego kawałka

karmazynowego sukna, tak wielkiego, że starczyłoby go na dywan. Na moje zapytanie, do czego to ma służyć, odpowiedziała, że jest to nakrycie na ołtarz do nowego kościoła w pobliżu Gateshead. Dwie godziny poświęcała na pisanie dziennika; przez dwie pracowała samotnie w ogrodzie warzywnym, a jednej używała na regulowanie rachunków. Robiła wrażenie osoby nie potrzebującej ani towarzystwa, ani rozmowy. Sądzę, że była po swojemu szczęśliwa: ta rutyna wystarczała jej najzupełniej, a nic tak jej nie mogło dokuczyć jak drobne wypadki krzyżujące ten uregulowany tryb życia.

Powiedziała mi pewnego wieczoru, gdy była rozmowniej usposobiona, że zachowanie się Johna i zagrażająca im ruina były dla niej źródłem głębokiego strapienia, ale że już teraz uspokoiła się i powzięła postanowienie. Własny majątek postarała się zabezpieczyć, a po śmierci matki — jest zupełnie nieprawdopodobne, zauważyła spokojnie, by matka mogła wyzdrowieć albo utrzymać się przy życiu czas dłuższy — chciała urzeczywistnić dawno upragniony zamiar: poszukać schronienia, gdzie by nic nie mąciło punktualnych zwyczajów i gdzie bezpieczna zapora odgradzałaby ją od lekkomyślnego świata. Zapytałam, czy towarzyszyłaby jej tam Georgiana.

— Oczywiście, że nie — odrzekła. Z Georgiana nie miała nic wspólnego; tak było zawsze. Za nic na świecie nie obciążyłaby się jej towarzystwem. Georgiana powinna pójść swoją drogą, a ona pójdzie swoją.

Georgiana, jeżeli nie wylewała swych zwierzeń przede mną, spędzała czas przeważnie leżąc na kanapie, skarżąc się na nudy w domu i wzdychając raz po raz, by ciotka jej, pani Gibson, zaprosiła ją do miasta. „O tyle byłoby lepiej — mawiała — gdybym się mogła na miesiąc albo dwa usunąć z domu, aż będzie po wszystkim. Nie pytałam jej, co rozumie przez to „aż będzie po wszystkim", ale sądzę, że miała na myśli spodziewany zgon matki i posępną ceremonię pogrzebową. Eliza na ogół nie zwracała uwagi na próżniacze niedołęstwo i utyskiwania siostry; raz wszakże odłożywszy książkę rachunkową na bok i rozwijając swój haft, wycięła jej nagle taką reprymendę:

— Georgiano, próżniejsze i głupsze od ciebie stworzenie z

pewnością nigdy nie chodziło po świecie. Nie powinnaś się była urodzić, gdyż nie umiesz spożytkować życia. Zamiast żyć dla samej siebie, w sobie i z sobą, jak każdy rozumny człowiek powinien, ty tylko szukasz, do czyjej siły mogłabyś przyczepić swoją słabość. A jeżeli nie znajdujesz nikogo, kto by był gotów wziąć na siebie ciężar takiej tłustej, słabej, pustej, niezdarnej istoty, krzyczysz, że cię maltretują, zaniedbują, żeś nieszczęśliwa. Przy tym życie musi być dla ciebie szeregiem ciągłych zmian i podniecających wrażeń, inaczej świat, wedle ciebie, to więzienie; chcesz, by cię podziwiano, by cię uwielbiano, by ci pochlebiano; potrzeba ci muzyki, tańca, towarzystwa, bez tego nudzisz się, tęsknisz, zamierasz. Czyż nie masz dość rozumu, żeby obmyślić sobie sposób życia, który by cię uniezależnił od czyjejś pomocy, od czyjejś woli poza twoją własną? Weź jeden dzień, podziel go na części, każdej jego części wyznacz zadanie, nie pozostawiaj wolnych i nie zajętych kwadransów, dziesięciu, pięciu minut, wypełnij sobie cały czas; każdą robotę z kolei wykonaj systematycznie, ściśle i dokładnie. Dzień ci upłynie, zanim się spostrzeżesz, że się zaczął, a nikomu nie będziesz zawdzięczała, że ci dopomógł przebyć choćby jedną zbędną chwilę. Nie będziesz potrzebowała szukać niczyjego towarzystwa, rozmowy, sympatii, względności; słowem, będziesz żyła tak. jak powinna żyć istota niezależna. Przyjmij tę radę, pierwszą i ostatnią, jaką ci daję, a wtedy nie będziesz potrzebowała ani mnie, ani nikogo innego, cokolwiek by się stało. Nie chcesz? Żyj dalej jak dotąd, wiecznie czegoś pragnąc, utyskując i próżnując, a będziesz musiała znieść następstwa swej głupoty, choćby były najprzykrzejsze i trudne do zniesienia. I to ci mówię wyraźnie; słuchaj, gdyż chociaż powtarzać tego nie będę, stanowczo wedle tego postąpię: po śmierci naszej matki ja umywam ręce co do ciebie; z chwilą gdy trumnę jej wyniosą do podziemi kościelnych, między tobą a mną nastąpi rozbrat, jak gdybyśmy się nigdy nie znały. Nie wyobrażaj sobie, że ponieważ przypadkiem urodziłyśmy się z tych samych rodziców, ja zniosę, byś ty rościła sobie do mnie jakieś urojone prawa. I to ci mogę powiedzieć: gdyby cała ludzkość, z wyjątkiem nas dwóch, została zniesiona ze świata, jeszcze bym cię zostawiła samą w starym świecie, a sama podążyła ku nowemu.

Zamilkła.

— Niepotrzebnie trudziłaś się wygłaszaniem tej tyrady —

odpowiedziała Georgiana. — Wszyscy wiedzą, że nie ma na całym świecie samolubniejszej od ciebie istoty bez serca; a ja wiem, jak ty mnie nienawidzisz, miałam już próbę tego w tym, jak mi podstawiłaś nogę w sprawie lorda Edwina Vere: nie mogłaś znieść, bym się wzniosła wyżej od ciebie, bym miała tytuł, bym była przyjmowana w kołach, gdzie ty byś się nie śmiała pokazać; toteż postąpiłaś jak szpieg i donosiciel i zrujnowałaś moje widoki na zawsze.

Tu Georgiana wyciągnęła chusteczkę i przez następną godzinę wycierała nos; Eliza zaś siedziała zimna, niewzruszona i pilnie zapracowana.

Niektórzy ludzie mają w pogardzie szczere, cieple uczucia. Ale oto miałam przed sobą dwie istoty pozbawione takiego uczucia. Jedna stała się nieznośnie cierpka, druga budziła niesmak. Uczucie nie słuchające rozsądku jest wodnistym napojem; lecz rozsądek nie poskromiony uczuciem staje się kąskiem tak gorzkim i twardym, że człowiek nie może go przełknąć.

Było dżdżyste i wietrzne popołudnie. Georgiana zasnęła na kanapie czytając romans; Eliza poszła na jakieś nabożeństwo w nowym kościele, gdyż w sprawach religii była surową formalistką: żadna niepogoda nie powstrzymywała jej od punktualnego spełniania dewocyjnych praktyk. W pogodę i słotę chodziła do kościoła trzykrotnie co niedziela, a w dnie powszednie — ilekroć odmawiano publicznie modlitwy.

Pomyślałam, że pójdę na górę i przekonam się, jak się miewa umierająca, która leżała tam prawie opuszczona; nawet służące tylko niekiedy przypominały sobie o jej istnieniu; wynajęta pielęgniarka, którą się nikt nie zajmował, wymykała się z pokoju, gdy tylko mogła. Bessie pozostała wierna; miała jednak własną rodzinę i tylko czasem mogła przychodzić do dworu. Nie zastałam, jak się tego spodziewałam, nikogo w pokoju chorej; pielęgniarki nie było; chora leżała spokojnie jak w letargu; sina jej twarz zapadła w poduszki; ogień na kominku dogasał. Dołożyłam węgla, poprawiłam posłanie łóżka, popatrzyłam chwilę na tę, która teraz patrzeć na mnie nie mogła, a potem odeszłam do okna.

Deszcz bił silnie o szyby, wiatr szarpał gwałtownie. „Tu oto —

pomyślałam — leży ludzka istota, dla której niebawem walki ziemskich żywiołów będą niczym. Dokąd poleci ten duch walczący teraz o wyzwolenie z cielesnej powłoki, gdy się nareszcie wyswobodzi?"

Rozmyślając nad wielką tajemnicą, przypomniałam sobie Helenę Burns, jej przedśmiertne słowa, jej wiarę, jej teorię o równości dusz bezcielesnych. Wciąż jeszcze nasłuchiwałam w myśli jej dobrze pamiętnego mi głosu, wciąż jeszcze uprzytomniałam sobie jej blady, uduchowiony wygląd, jej wymizerowaną twarz i nieziemskie spojrzenie, gdy leżała spokojnie na śmiertelnym posłaniu i szeptała o swej tęsknocie do niebieskiego Ojca — gdy wtem słaby głos odezwał się z łóżka poza mną:

— Kto tu jest?

Wiedziałam, że pani Reed już od szeregu dni zaniemówiła. Czyżby wracała do życia? Podeszłam do niej.

— To ja, ciociu.

— Kto taki... „ja"? — odpowiedziała. — Kto ty jesteś? — i spojrzała na mnie zdziwiona i jakby przestraszona, ale wciąż jeszcze przytomna. — Ty mi jesteś zupełnie obca... gdzie Bessie?

— U siebie w domu, ciociu.

— „Ciociu"? — powtórzyła. — Kto mnie nazywa ciocią? Nie jesteś żadną z Gibsonów; a jednak ja ciebie znam: ta twarz... te oczy i czoło... to wszystko jest mi dobrze znajome, jesteś podobna... tak, jesteś podobna do Jane Eyre!

Nie odpowiedziałam nic: bałam się wywołać wstrząsające wrażenie, gdybym oświadczyła, kim jestem.

— Tak — zaczęła chora znowu — lękam się, że to pomyłka; myśli mnie łudzą. Pragnęłam zobaczyć Jane Eyre i wyobraziłam sobie podobieństwo tam, gdzie go nie ma, zresztą przez osiem lat ona się musiała mocno zmienić.

Teraz ja bardzo ostrożnie zapewniłam ją, że jestem właśnie tą osobą, za którą mnie bierze i którą pragnie zobaczyć, a widząc, że

mnie rozumie i jest zupełnie przytomna, wytłumaczyłam, że Bessie wysłała po mnie męża do Thornfield.

— Wiem, że jestem bardzo chora — powiedziała po chwili. — Kilka minut temu chciałam się obrócić, ale widzę, że nie mam żadnej władzy w członkach. Może i lepiej, żebym zrzuciła ciężar z serca, zanim umrę; to, co sobie mało ważymy, dopóki zdrowie nam służy, cięży bardzo w takiej godzinie jak obecna dla mnie.

Czy jest tutaj pielęgniarka? Albo czy jest tutaj w pokoju ktoś więcej oprócz ciebie?

Zapewniłam ją, że jesteśmy same.

— Otóż ja ciebie dwa razy skrzywdziłam, czego teraz żałuję. Raz, łamiąc obietnicę daną mężowi, że wychowam cię jak własne dziecko; po raz drugi... — tu przerwała — ostatecznie to może nie ma wielkiego znaczenia — szepnęła sama do siebie. — A zresztą, może wyzdrowieję... a tak się przed nią upokarzać to rzecz przykra.

Usiłowała poruszyć się na łóżku, ale daremnie. Zmieniła się na twarzy; targnęło nią widocznie jakieś wewnętrzne przeczucie, może zwiastun bliskiego końca.

— Ostatecznie muszę przejść przez to. Wieczność przede mną. Trzeba jej to powiedzieć... Idź do mojego biureczka, otwórz je i wyjmij list, który tam zobaczysz.

Posłuchałam jej wskazówki.

— Przeczytaj ten list — powiedziała. List był krótki; brzmiał:

„Pani,

Proszę o łaskawe przysłanie mi adresu mojej bratanicy. Jane Eyre i o doniesienie mi, jak ona się miewa. Mam zamiar napisać do niej wkrótce i prosić, żeby przyjechała do mnie na Maderę. Opatrzność błogosławiła mojej pracy i pozwoliła uzbierać majątek, a ponieważ jestem bezżenny i bezdzietny, pragnę zaadoptować bratanicę za życia i uczynić ją spadkobierczynią mego majątku po śmierci. Z

wysokim poważaniem

John Eyre, Madera".

Data była sprzed trzech lat.

— Dlaczego ja się nigdy o tym liście nie dowiedziałam? — zapytałam.

— Ponieważ nie cierpiałam cię zbyt silnie, by przyłożyć rękę do zapewnienia ci dobrobytu. Nie mogłam zapomnieć o twoim postępowaniu względem mnie, Jane; o tej furii, z jaką niegdyś rzuciłaś się na mnie; o tym tonie, jakim oświadczyłaś, że nienawidzisz mnie jak nikogo na świecie; nie mogłam zapomnieć tego niedziecinnego spojrzenia i głosu, jakim twierdziłaś, że wstrętna ci jest sama myśl o mnie, i dowodziłaś, że obchodziłam się z tobą z bezlitosnym okrucieństwem. Nie mogłam zapomnieć własnych uczuć, gdy się tak zerwałaś i wylewałaś jad swojej duszy; bałam się wtedy i miałam wrażenie jak gdyby zwierzę, które uderzyłam albo popchnęłam, spojrzało na mnie ludzkimi oczami i przeklinało mnie ludzkim głosem... Podaj mi trochę wody! Ach, śpiesz się!

— Droga ciociu — rzekłam podając jej wodę — nie myśl już o tym wszystkim, usuń te wspomnienia z duszy. Wybacz mi moje namiętne uniesienia; byłam dzieckiem wtedy; osiem, dziewięć lat minęło od tego czasu!

Nie zważała na to, co mówiłam; ale napiwszy się wody i odetchnąwszy mówiła dalej:

— Mówię ci, że nie mogłam tego zapomnieć. I zemściłam się: ścierpieć nie mogłam, żeby ciebie stryj adoptował, żebyś ty miała dojść do wygód i dostatku. Napisałam do niego; powiedziałam, iż żałuję, że spotka go zawód, ale Jane Eyre nie żyje; umarła na tyfus w Lowood. Teraz ty postąp, jak zechcesz; napisz, zaprzecz mojemu twierdzeniu, oskarż mnie o kłamstwo, jeśli ci się podoba. Urodziłaś się na moje udręczenie; ostatnie moje godziny zatruwa męka wspomnienia o czynie, którego, gdyby nie ty, nigdy bym nie była

popełniła.

— Gdyby tylko ciocia mogła już o tym nie myśleć, gdyby mogła odnieść się do mnie z dobrocią i przebaczeniem!

— Masz bardzo zły charakter — powiedziała — i taki, że go do dziś dnia nie mogę zrozumieć; jakim sposobem przez dziewięć lat mogłaś cierpliwie i spokojnie znosić surowe traktowanie, a potem w dziesiątym wybuchnąć tak wściekle i tak gwałtownie, tego nigdy nie zrozumiem.

— Mój charakter nie jest taki zły, jak ciocia sobie wyobraża: jestem gwałtowna, ale nie mściwa. Wiele razy jako małe dziecko bardzo pragnęłam kochać ciocię, gdyby mi ciocia tylko była pozwoliła; a i teraz gorąco pragnę, byśmy się pogodziły. Niech mnie ciocia pocałuje.

Przybliżyłam twarz do jej ust; nie chciała jej dotknąć. Powiedziała, że jej duszno, gdy się nachylam nad łóżkiem, i ponownie zażądała wody. Gdym ją znów położyła, bowiem uniosłam ją i podtrzymywałam ramieniem, podczas gdy piła, ujęłam jej lodowatą i spoconą rękę; słabe palce jednakże cofnęły się przed moim dotknięciem, a mgłą zachodzące oczy unikały mego wzroku.

— Niechże mnie ciocia kocha czy nienawidzi — powiedziałam wreszcie — ja cioci z serca przebaczam; niech Bóg jej przebaczy i przywróci spokój.

Biedna, cierpiąca kobieta! za późno jej było zdobyć się na zmianę dotychczasowego myślenia i odczuwania: za życia nienawidziła mnie zawsze, w godzinę śmierci nie umiała z tej nienawiści się otrząsnąć.

Weszła teraz pielęgniarka, a za nią Bessie. Pozostałam jeszcze godzinę w nadziei, że doczekam się jakiejś oznaki życzliwości. Próżna to była nadzieja. Chora szybko zapadała w odrętwienie; nie oprzytomniała więcej; o dwunastej w nocy skonała. Nie byłam obecna, by zamknąć jej oczy, nie była też obecna żadna z jej córek. Powiedziano nam nazajutrz rano, że już jest po wszystkim. Ciało tymczasem ubrano i wystawiono. Poszłyśmy do niej z Elizą. Georgiana, która uderzyła w głośny płacz, oświadczyła, że nie

odważy się pójść. Oto leżała przed nami Sara Reed, silna i czynna niegdyś, teraz sztywna i spokojna; twarde jej oko kryła zimna powieka; na czole i wyrazistych rysach leżało jeszcze teraz piętno jej nieubłaganej duszy. Dziwnym i uroczystym przedmiotem były dla mnie te zwłoki. Patrzyłam na nie przejęta posępnym smutkiem i przykrością: nie budziły żadnych uczuć łagodnych, rzewnych, litosnych lub osłodzonych nadzieją, lecz jedynie drażniącą mękę na myśl o jej cierpieniach, nie o mojej stracie, i posępną grozę bez łez wobec okropności takiej śmierci.

Eliza spokojnie przypatrywała się matce. Po kilkuminutowym milczeniu zauważyła:

— Z jej organizmem można było dożyć późnej starości ; życie jej skróciły zmartwienia.

A wtedy chwilowy skurcz przebiegł po ustach Elizy; gdy przeminął, odwróciła się i wyszła z pokoju, a ja za nią. Żadna z nas nie uroniła ani jednej łzy.

ROZDZIAŁ XXII

Pan Rochester dał mi tylko tydzień urlopu, miesiąc jednak upłynął, nim opuściłam Gateshead. Pragnęłam wyjechać zaraz po pogrzebie, ale Georgiana błagała mnie, ażebym pozostała, dopóki ona nie wyjedzie do Londynu, dokąd nareszcie zaprosił ją wuj, pan Gibson, który przyjechał, by zarządzić pogrzebem siostry i załatwić interesa rodziny. Georgiana twierdziła, że boi się pozostać sama z Elizą. Nie znajdowała u niej ani współczucia w przygnębieniu, ani uspokojenia w obawach, ani pomocy w przygotowaniach; ja zaś znosiłam, jak mogłam, jej małoduszne utyskiwania i egoistyczne lamenty i starannie szyłam dla niej i pakowałam jej ubrania. To prawda, że kiedy ja pracowałam, ona próżnowała; myślałam też w głębi duszy: ,,Gdybyśmy, kuzynko, musiały żyć zawsze razem, postawiłoby się sprawę zupełnie inaczej. Nie wzięłabym na siebie tej potulnej roli; wyznaczyłabym tobie część pracy i zmusiłabym cię, byś ją spełniła, bo nikt by tego za ciebie nie zrobił. Żądałabym także, byś zaniechała tych nieco afektowanych, niezupełnie szczerych skarg. Jedynie dzięki temu, że nasz stosunek jest taki przypadkowy i krótkotrwały, że trafił na okres żałoby i smutku, jedynie dlatego zgadzam się na tyle cierpliwości i pobłażliwości dla ciebie."

Nareszcie pożegnałam Georgianę; ale teraz Eliza z kolei poprosiła mnie, bym się jeszcze tydzień zatrzymała. Planom swoim, mówiła, musi poświęcić cały czas i uwagę; zamierzała się udać w nieznany świat i cały dzień pozostawała w swoim pokoju, zapełniając kufry, wypróżniając szuflady, paląc papiery i nie widując się z nikim. Poprosiła mnie, bym dopilnowała domu, przyjmowała gości i odpowiadała na listy kondolencyjne. Pewnego ranka oświadczyła, że zwraca mi swobodę.

— Jestem ci wdzięczna, kuzynko — dodała — za twoje cenne usługi i dyskretne zachowanie się! Niemała to różnica żyć z kimś takim jak ty, a nie z Georgianą; ty wypełniasz swoje zadanie w życiu i nie ciężysz nikomu. Jutro — ciągnęła dalej — wyjeżdżam na kontynent.

Zamieszkam w zakładzie religijnym w pobliżu Lilie, ty byś to nazwała klasztorem; tam znajdę ciszę i spokój. Mam zamiar poświęcić pewien czas na przestudiowanie dogmatów rzymskokatolickiego Kościoła i na staranne zbadanie, jak działa ich system. Jeżeli się przekonam, że jest to system, jak po trosze przypuszczam, najlepiej obliczony na wprowadzenie regularności i porządku we wszelkie działania, wtedy przyjmę zasady Kościoła rzymskiego i prawdopodobnie przywdzieję welon zakonny.

Nie wyraziłam ani zdziwienia wobec tego zamiaru, ani nie starałam się jej go odradzać. „To powołanie będzie do ciebie pasowało jak najdokładniej — pomyślałam — niechże ci przyniesie zadowolenie!"

Przy rozstaniu powiedziała:

— Żegnam cię, kuzynko Jane; życzę ci wszystkiego dobrego; tobie nie brak rozsądku.

— I tobie go nie brak, kuzynko Elizo — odpowiedziałam — ale cały twój majątek pochłonie prawdopodobnie po roku ów zakład. Jednakże to nie moja sprawa, a jeżeli to tobie dogadza, mnie mało to obchodzi,

— Masz słuszność — odpowiedziała. I przy tych słowach rozeszłyśmy się na zawsze. Ponieważ nie będę miała sposobności powracać ani do niej, ani do jej siostry, mogę już tutaj napomknąć, że Georgiana zrobiła korzystną partię wychodząc za bogatego, przeżytego światowca i że Eliza istotnie przywdziała habit i jest dziś przełożoną klasztoru, w którym przebyła nowicjat i który wyposażyła swoim majątkiem.

Nie wiedziałam, co czują ludzie powracający do domu po dłuższej czy krótszej nieobecności, nigdy tego nie doświadczyłam. Wiedziałam, co czułam jako dziecko, gdy wracałam do Gateshead po długim spacerze i dostawałam burę, że wyglądam zziębnięta albo chmurna; a potem pamiętam, co czułam, gdy wracając z kościoła do Lowood pragnęłam obfitego jedzenia i dobrego ognia i nigdy nie było mi to dane. Żaden z owych powrotów nie był ani miły, ani upragniony; żaden magnes nie przyciągał mnie do miejsca mego zamieszkania; magnes, którego siła przyciągania rosłaby w miarę zbliżania się do celu. O tym, jaki będzie mój powrót do

Thornfield, miałam się dopiero przekonać.

Podróż wydawała mi się nudna. Pięćdziesiąt mil jednego dnia, nocleg w hotelu; pięćdziesiąt mil drugiego dnia. Pierwszy dzień zeszedł mi na rozmyślaniu o pani Reed i jej ostatnich chwilach; widziałam twarz jej wykrzywioną i bezbarwną, słyszałam jej głos dziwnie zmieniony. Przesuwał mi się we wspomnieniu dzień pogrzebu, trumna, karawan, czarny orszak dzierżawców i służby, niewielu krewnych, otwarta otchłań grobowych podziemi, milczący kościół, uroczyste nabożeństwo. A potem pomyślałam o Elizie i Georgianie; jedną widziałam jako królową sali balowej, drugą jako mieszkankę celi zakonnej; zastanawiałam się nad odrębnością ich osobowości i charakterów. Wieczorne przybycie do wielkiego miasta X rozwiało te myśli; noc nadała im zupełnie inny kierunek; leżąc w łóżku hotelowym, przeszłam od wspomnień do przewidywań przyszłości.

Wracałam do Thornfield; lecz jak długo miałam tam pozostać? Niedługo, tego byłam pewna. Miałam list od pani Fairfax; towarzystwo we dworze rozjechało się, pan Rochester wyjechał do Londynu przed trzema tygodniami, ale wtedy spodziewano się jego powrotu za dwa tygodnie. Pani Fairfax przypuszczała, że pojechał poczynić przygotowania do ślubu, ponieważ mówił o kupnie nowego powozu. Pisała, że jego projekt zaślubienia panny Ingram wciąż jeszcze wydaje jej się dziwny; że jednakże, sądząc po tym, co wszyscy mówią i co sama widziała, nie może dłużej wątpić o tym, że to wydarzenie wkrótce nastąpi. „Byłabyś dziwnie upartym niedowiarkiem, gdybyś o tym powątpiewała — pomyślałam. — Nie; teraz o tym nie wątpię."

Zadawałam sobie pytanie: „Dokąd się udam?" Przez całą noc śniła mi się panna Ingram; nad ranem w bardzo wyraźnym śnie ujrzałam ją zamykającą przede mną bramy Thornfield i wskazującą mi palcem inną drogę. Obok zaś z założonymi na piersiach rękami stał pan Rochester i śmiał się sarkastycznie, jak się zdawało, zarówno z niej, jak i ze mnie.

Nie zawiadomiłam pani Fairfax o dokładnym dniu mego powrotu, gdyż nie pragnęłam, by po mnie przysyłano konie do Millcote. Miałam zamiar przejść pieszo ten kawałek drogi. Pozostawiwszy rzeczy pod opieką stróża hotelowego, wybrałam się około szóstej

wieczorem dobrze mi znajomą drogą do Thornfield; droga ta biegła przeważnie polami i obecnie mało była uczęszczana.

Nie był to bardzo jasny ani wspaniały wieczór letni, choć dosyć pogodny i ciepły. Kosiarze wzdłuż drogi zbierali siano, niebo zaś, chociaż nie pozbawione chmur, zapowiadało pogodę; błękit jego, tam gdzie przeświecał, był czysty, a pasma obłoków lekkie były i płynęły wysoko. I zachód też był ciepły; nie chłodziła go wilgotna mgła, wyglądało, jak gdyby ogień tam się palił, jak gdyby płonął tam ołtarz za zasłoną marmurkowatych obłoczków, a z otworów świeciła czerwień złocista.

Z przyjemnością widziałam, że mi ubywa drogi, z taką przyjemnością, że raz przystanęłam, by się zapytać, co ta radość znaczy, i żeby sobie rozumnie przypomnieć, że nie do własnego powracam domu, nie do stałego miejsca pobytu, gdzie kochający przyjaciele wyglądają mnie i oczekują mojego powrotu. „Pani Fairfax z pewnością powita cię spokojnym uśmiechem — powiedziałam sobie. — A mała Adelka będzie klaskać w ręce i skakać zobaczywszy ciebie; ale ty wiesz bardzo dobrze, że o kim innym myślisz i że ten ktoś nie myśli o tobie."

Ale cóż jest bardziej uparte od młodości? Cóż bardziej zaślepia od niedoświadczenia? Młodość i niedoświadczenie twierdziły, że dostateczną przyjemnością jest mieć szczęście znowu patrzeć na pana Rochestera, choćby on na mnie nie patrzył, i dodawały: „Śpiesz się! śpiesz się! Bądź z nim, dopóki możesz; już niewiele dni, co najwyżej tygodni, a rozstaniesz się z nim na zawsze!" A wtedy zdusiłam nową, rodzącą się mękę — potworne uczucie, którego uznać w sobie ani hodować nie chciałam — i podążyłam naprzód.

I w Thornfield koszono łąki, a raczej robotnicy, ukończywszy właśnie pracę, wracali do domu z grabiami na ramionach. Mam jeszcze jedno czy dwa pola do przejścia, a wtedy wejdę na drogę i dostanę się do bramy. Jak pełne róż są żywopłoty! Ale ja nie mam czasu na zrywanie kwiatów, śpieszno mi do domu. Mijam wysoki krzak głogu, widzę wąski przełaz z kamiennymi schodkami i — pana Rochestera siedzącego tam z książką i ołówkiem w ręku; pisze.

Doprawdy, to przecież nie duch: a jednak czuję rozstrój nerwów i przez chwilę nie mogę się opanować. Co to ma znaczyć? Nie

przypuszczałam, że będę tak drżeć, gdy go zobaczę, że stracę głos i możność poruszania się w jego obecności. Zawrócę, skoro tylko odzyskam władzę nad ruchami; po cóż mam się okrywać śmiesznością? Znam inną drogę do domu. Ale cóż z tego, gdybym i dwadzieścia dróg znała? Wszakże on mnie już zobaczył...

— Witam! — woła i składa książkę i ołówek. — Więc powróciłaś! Proszę bliżej, jeśli łaska!

Zdaje się, że się przybliżam, chociaż, jak to się dzieje, nie wiem sama, bo sobie nie zdaję sprawy z własnych ruchów i dbam tylko o to, by wydać się spokojna, a przede wszystkim opanować twarz, która, czuję, buntuje się przeciw mej woli i dąży do wyrażenia tego, co chcę ukryć. Ale mam przecież woalkę — jest spuszczona; jeszcze może uda mi się zachować pozory spokoju.

— Więc to Jane Eyre? Czy przybywasz z Millcote, i to na piechotę? Tak... oto właśnie godna ciebie sztuczka: nie zażądać powozu, by przejechać z turkotem przez ulice i drogi jak zwykły śmiertelnik, ale zjawić się o zmroku w sąsiedztwie domu, zupełnie jak gdybyś była snem, albo cieniem. Cóżeś, u licha, poczynała ze sobą przez ten ostatni miesiąc?

— Byłam u ciotki, proszę pana, która umarła.

— Godna ciebie odpowiedź! Dobrzy anieli, strzeżcie mnie! Ona przybywa z drugiego świata, z przybytku ludzi, którzy nie żyją, i mówi mi to spotykając mnie samego w godzinie zmierzchu! Gdybym śmiał, dotknąłbym ciebie, by się przekonać, czyś istotą cielesną, czy cieniem, rusałko!... Ale równie dobrze mógłbym chcieć dotknąć błędnego ognika na bagnisku. Włóczęga! — dodał przerwawszy na chwilę. — Opuścić mnie na cały miesiąc i zupełnie o mnie zapomnieć. Przysiągłbym, żeś zapomniała!

Wiedziałam, że przyjemność mi sprawi spotkanie z moim chlebodawcą, jakkolwiek przyjemność zatrutą obawą, że już niezadługo przestanie nim być, oraz świadomością, że jestem dla niego niczym; jednakże była zawsze w panu Rochesterze taka bogata moc uszczęśliwiania (tak to przynajmniej czułam), że już te okruchy, które rozsiewał dla przelotnych i obcych ptaków jak ja, stanowiły obfitą ucztę. Ostatnie jego słowa były dla mnie

balsamem; czyż nie oznaczały, że zależy mu trochę na tym, bym go pamiętała? A o Thornfield mówił jako o momi domu; o, gdybyż to był mój dom!

Pan Rochester nie ruszał się z przełazu, a ja nie śmiałam go prosić, żeby mnie przepuścił. Zapytałam go, czy był w Londynie.

— Owszem; ale zapewne dowiedziałaś się o tym w jasnowidzeniu.

— Pani Fairfax pisała mi o tym.

— I napisała także, po co pojechałem?

— O, tak, proszę pana! Wszyscy wiedzą, jaki pan tam miał interes.

— Musisz zobaczyć powóz, Jane, i musisz mi powiedzieć, czy uważasz, że będzie się podobał pani Rochester i czy nie będzie wyglądała jak królowa Boadicea, oparta o te purpurowe poduszki. Chciałbym, Jane, trochę więcej harmonizować z nią zewnętrznie... Powiedz mi, jesteś przecież wróżką, czy nie możesz mi dać jakiego talizmanu, napoju, cudownego ziela czy czegoś w tym rodzaju, żeby ze mnie zrobić przystojnego mężczyznę?

— Na to magia nie ma środka, proszę pana — odpowiedziałam dodając w myśli: „Kochające oczy byłyby tym talizmanem; i dla takich oczu jesteś wystarczająco urodziwy, a surowość twej twarzy ma większą moc niż uroda."

Pan Rochester odczytywał niekiedy moje nie wypowiadane myśli z trafnością dla mnie niezrozumiałą; w tym wypadku pominął moją szorstką ustną odpowiedź, tylko uśmiechnął się do mnie właściwym sobie uśmiechem, który się rzadko u niego pojawiał. Zdawało się, że nie chce nim szafować w zwyczajnych okolicznościach. Była w tym uśmiechu cała słoneczność uczucia; ogarnął mnie nim teraz.

— Przejdź, Żanetko — rzekł robiąc mi miejsce do przejścia przez przełaz — idź do domu i niech twoje zdrożone nóżki odpoczną u przyjacielskiego progu.

Pozostawało mi tylko usłuchać go w milczeniu; zbyteczna była dalsza rozmowa. W milczeniu przeszłam przez przełaz i zamierzałam opuścić go spokojnie. Coś mnie jednak powstrzymało,

jakaś siła zniewoliła mnie, bym stanęła i obejrzała się. Powiedziałam, czy też uczucie, którego nie mogłam opanować, przemówiło mimo mej woli:

— Dziękuję panu, panie Rochester, za wielką dobroć. Dziwnie jestem rada, że znowu wracam do pana; a gdziekolwiek pan jest, tam jest mój dom, mój jedyny dom.

Oddaliłam się tak szybko, że nawet gdyby chciał, byłoby mu trudno mnie dogonić. Adelka, ujrzawszy mnie, po prostu oszalała z radości. Pani Fairfax przyjęła mnie ze zwykłym przyjacielskim spokojem. Lea uśmiechnęła się, a nawet Sophie z radością powiedziała mi *bonsoir*. Wszystko to było bardzo miłe: nic tak nie uszczęśliwia człowieka jak poczucie, że się jest kochanym przez bliskich i że obecnością swoją sprawia się im przyjemność.

Tego wieczora stanowczo odwróciłam oczy od przyszłości: zatkałam uszy nie chcąc słyszeć głosu, który przypominał mi o bliskim rozstaniu i zbliżającym się cierpieniu. Po herbacie, gdy pani Fairfax zabrała się do swojej roboty, gdy ja zajęłam niskie siedzenie obok niej, a Adelka, klęcząc na dywanie, przygarnęła się do mnie — uczucie wzajemnego przywiązania otoczyło nas pierścieniem złotego spokoju. Modliłam się w duchu, by nas nic prędko nie rozłączyło; ale gdy na to niespodziewanie wszedł pan Rochester i patrząc na nas zdawał się znajdować przyjemność w widoku tak przyjacielskiego grona, gdy powiedział, że teraz zapewne pani Fairfax będzie kontenta, mając z powrotem adoptowaną córeczkę przy sobie, gdy dodał, że widzi, iż Adelka jest *prête à croquer sa petite maman anglaise*, zbudziła się we mnie wątła nadzieja, że przecież może nawet po ślubie zatrzyma nas jakoś razem pod swoją opieką, niezupełnie nas pozbawi swej słonecznej obecności.

Dwa tygodnie niepewnego spokoju nastąpiły po moim powrocie do Thornfield Hall. Nic się nie słyszało o małżeństwie pana i nie robiono żadnych przygotowań w tym celu. Prawie codziennie pytałam panią Fair-fax, czy nie słyszała o jakiejś decyzji; odpowiadała stale przecząco. Raz powiedziała mi, że zapytała pana Rochestera, kiedy zamyśla przywieźć młodą panią do domu; ale on odpowiedział jej tylko żartem i zagadkowym spojrzeniem, tak że nie wiedziała, jak ma go rozumieć. Jedna rzecz szczególnie mnie dziwiła, a mianowicie to, że nikt z rodziny Ingram nie przyjeżdżał

do Thornfield ani też pan Rochester nie składał wizyt w Ingram Park. To prawda, że odległość wynosiła dwadzieścia mil, bo Ingram Park leżało na pograniczu innego hrabstwa. Ale czym była taka odległość dla gorąco zakochanego? Dla tak sprawnego i niezmordowanego jeźdźca jak pan Rochester stanowiłoby to spacer przedpołudniowy. Budziła się we mnie nadzieja, do której nie miałam prawa, że małżeństwo zostało zerwane, że mylił się głos ogółu, że jedna albo druga strona rozmyśliła się. Przyglądałam się twarzy pana Rochestera chcąc z niej wyczytać, czy jest smutny, czy gniewny. Nie pamiętam jednak takiego okresu, kiedy twarz ta była tak jednolicie wolna od chmur lub niedobrych uczuć. Jeżeli w chwilach, które wraz z moją uczenniczką z nim spędzałyśmy, zapadałam w przygnębienie, on stawał się nawet wesoły. Nigdy jeszcze tak często nie szukał mego towarzystwa; nigdy nie okazywał mi tyle dobroci — a ja, niestety! nigdy go jeszcze tak bardzo nie kochałam.

ROZDZIAŁ XXIII

Wspaniałe wczesne lato zaświeciło nad Anglią; niebo tak czyste, słońce tak promienne, jak się je wtedy widziało w długim szeregu dni, rzadko kiedy nawet przez dzień jeden uszczęśliwia naszą falami otoczoną krainę. Było to tak, jak gdyby gromadka włoskich dni nadleciała z południa i niby stado wspaniałych przelotnych ptaków przysiadła odpocząć na skałach Albionu. Zwieziono siano, pola dokoła Thornfield zieleniły się bujnie; drogi pobielały, spieczone słońcem; drzewa pokrył ciemny liść w pełnym rozwoju; żywopłoty i lasy głęboką barwą listowia odbijały od słonecznego tonu skoszonych łąk.

W wigilię najdłuższego dnia Adelka, znużona zbieraniem przez pół dnia poziomek na drodze do Hay, poszła spać z kurami. Pilnowałam jej, dopóki nie usnęła, a potem wyszłam do ogrodu.

Była to najmilsza godzina z dwudziestu czterech godzin doby. „Dzień gorące ognie strwonił", a chłodna rosa opadała na spragnione równiny i spieczone szczyty. Tam gdzie słońce skromnie zaszło — nie w przepychu chmur — roztaczała się purpura, płonąc jak krwawy klejnot lub rozżarzony ogień na szczycie jednego wzgórza i sięgając w coraz łagodniejszych tonach do połowy nieba. Wschód miał też swój własny urok pięknego, głębokiego szafiru i własny skromny klejnot — wschodzącą, pojedynczą gwiazdę; niebawem miał się poszczycić księżycem; ale tymczasem księżyc był jeszcze poniżej widnokręgu.

Przechadzałam się czas jakiś po dróżce, gdy nagle delikatna, dobrze znajoma woń, woń cygara, zaleciała mnie od jednego okna; zobaczyłam, że okno w bibliotece jest cokolwiek uchylone; wiedziałam, że stamtąd mogę być widziana, toteż przeszłam do sadu. Żaden zakątek w ogrodzie nie był tak zaciszny, tak rajski jak ten; pełen był drzew, pełen rozkwitłych kwiatów; z jednej strony bardzo wysoki mur odgradzał go od podwórza, z drugiej aleja bukowa osłaniała go od drogi. Na końcu znajdował się płot nad

rowem, jedyna przegroda od pustych pól; wijąca się ścieżka obsadzona krzewami, a kończąca się olbrzymim kasztanem z okalającą go dokoła ławeczką, prowadziła do płotu i rowu. Tutaj mogłam spacerować nie widziana przez nikogo. Wzruszona pięknem wieczoru, padającą rosą, ciszą — czułam, że w tym zakątku mogłabym przebywać wiecznie. Gdy jednak zaczęłam krążyć po kwiatowo-owocowej części sadu, dokąd zwabiło mnie widoczniejsze na tej wolniejszej przestrzeni światło księżyca, nagle wstrzymał moje kroki nie odgłos żaden, nie widok, lecz znowu ostrzegawczy zapach. Dziki bez, akacje, jaśmin, goździki i róże od dawna już złożyły wieczorną ofiarę kadzidła; lecz tego nowego zapachu nie wydaje ani krzew, ani kwiat; jest to znany mi dobrze — zapach cygara pana Rochestera. Oglądam się dokoła i słucham. Widzę drzewa obarczone dojrzewającym owocem. Słyszę słowika śpiewającego w pobliskim lasku; nie widać żadnej poruszającej się postaci, nie słychać przybliżających się kroków, a zapach staje się silniejszy; muszę uciekać. Zmierzam do furtki prowadzącej w gąszcz krzewów i widzę pana Rochestera. Chronię się do bluszczowej altanki. „Przecież — myślę sobie — on się długo tu nie zatrzyma, wróci niebawem tam, skąd przyszedł, a jeśli będę siedziała cicho, nie zobaczy mnie wcale."

Ale nie, ten wieczór musi być równie miły jemu jak i mnie, a ten staroświecki ogród równie go nęci. Przechadza się więc dalej, to podnosząc gałązki agrestu, by popatrzeć na obciążający je owoc wielki jak śliwki, to zrywając dojrzałą wiśnię pod murem, to nachylając się nad kępką kwiatów, by wchłonąć ich woń lub podziwiać kropelki rosy na płatkach. Wielka ćma brzęcząc przelatuje koło mnie; siada na roślinie u stóp pana Rochestera; on widzi ją i schyla się, by ją dokładniej obejrzeć.

„Teraz jest obrócony plecami do mnie — myślę — a przy tym jest zajęty; może idąc cicho, będę się mogła wymknąć nie zauważona."

Stąpałam po trawie brzegiem ścieżki, by nie zdradził mnie chrzęst kamyków; on stał wśród grządek o jakie dwa kroki od miejsca, którędy musiałam przechodzić; ćma widocznie zajmowała jego uwagę. „Przejdę bez trudu" — myślałam. Gdym przekraczała jego cień rzucony przez księżyc, odezwał się spokojnie, nie odwracając się wcale:

— Chodź tu, Jane, zobacz tę stworę.

Zachowywałam się tak cicho! Przecież nie miał oczu w plecach; czyżby cień jego mnie poczuł? Drgnęłam w pierwszej chwili, a potem podeszłam bliżej.

— Popatrz na jej skrzydła — rzekł — ona mi przypomina owady z Indii Zachodnich; nieczęsto widuje się w Anglii okazy tak wielkie i barwne; o, poleciała!

Ćma odfrunęła. I ja zażenowana cofałam się także. Jednak pan Rochester poszedł za mną, a gdy doszliśmy do furtki, powiedział:

— Zawróćmy; to wstyd siedzieć w domu w tak piękną noc, z pewnością nikomu nie chce się iść spać, gdy w ten sposób zachód słońca zbiega się z wschodem księżyca.

Jest to jedną z moich wad, że chociaż język mój jest niekiedy dość skory do odpowiedzi, bywają zdarzenia, że gdy chodzi o znalezienie wymówki, haniebnie mnie zawodzi. A trafia się to najczęściej w takich warunkach, gdy łatwe słowo lub wiarygodna wymówka wybawiłyby mnie z przykrej sytuacji. Nie miałam ochoty spacerować o tej godzinie sama z panem Rochesterem po tym cienistym ogrodzie, nie mogłam jednak znaleźć powodu, dla którego bym go miała pożegnać. Szłam więc ociągając się i szukając w myślach sposobu, jak by się tu wykręcić. On jednakże wydawał się taki spokojny i poważny, że zrobiło mi się wstyd mojego zmieszania; zło — bezpośrednie lub ukryte — leżało widocznie we mnie tylko; jego umysł był tego nieświadomy i spokojny.

— Jane — zaczął znowu, gdy wszedłszy na ścieżkę wśród krzewów posuwaliśmy się w kierunku płotu nad rowem i kasztana — Thornfield to miła miejscowość latem, prawda?

— O tak, proszę pana.

— Musiałaś się do pewnego stopnia przywiązać do tego domu, mając poczucie piękna przyrody i łatwość przywiązywania się.

— Toteż przywiązałam się do Thornfield.

— I chociaż nie rozumiem, jak to być może, widzę, że przywiązałaś

się i do tego głupiutkiego dziecka, Adelki, a nawet do prostodusznej pani Fairfax.

— Tak, proszę pana; każda jest mi droga na inny sposób.

— I żal by ci było rozstać się z nimi?

— O, tak!

— Szkoda! — powiedział, westchnął i zamilkł. — Taki to już bieg rzeczy na świecie — ciągnął dalej. — Zaledwie człowiek zadomowi się gdzieś, gdzie mu dobrze, a już jakiś głos każe mu wstawać i iść dalej, gdyż godzina wypoczynku minęła.

— Czy ja muszę iść dalej ? — zapytałam. — Czy muszę opuścić Thornfield?

— Myślę, że musisz, Żanetko. Przykro mi bardzo, ale myślę doprawdy, że musisz.

Był to cios, ale zebrałam wszystkie siły.

— Dobrze, proszę pana, będę gotowa, gdy przyjdzie rozkaz odejścia.

— Ten rozkaz przychodzi teraz, muszę go wydać dziś jeszcze.

— A więc pan się jednak żeni, panie Rochester?

— Wła-śnie. O to chodzi. Ze zwykłą swoją bystrością trafiłaś w sedno.

— Czy to ma prędko nastąpić?

— Bardzo prędko, moja... to jest, panno Eyre; i przypomnij sobie, Jane, że kiedy pierwszy raz dowiedziałaś się, ode mnie czy od kogoś, że mam zamiar nałożyć świętą pętlę na mój starokawalerski kark, wstąpić w święty stan małżeński, wziąć pannę Ingram w objęcia (jest co objąć naprawdę, ale to nie ma nic do rzeczy... nie można mieć nigdy za wiele czegoś tak doskonałego jak moja piękna Blanka), otóż, jak mówiłem... czy mnie słuchasz? Nie odwracaj głowy, nie oglądaj się za ćmami! To tylko była „Wstęga Wieczorna",

dziecko, pofrunęła do domu! Otóż chciałem ci przypomnieć, że to ty pierwsza powiedziałaś do mnie z taktem, który tak w tobie szanuję, z tą przezornością, roztropnością i skromnością tak stosowną w tej odpowiedzialnej i zależnej sytuacji — że na wypadek, gdybym się ożenił z panną Ingram, ty i Adelka powinnyście stąd odejść. Pomijam, że ta uwaga rzuca pewien obraźliwy cień na charakter mojej ukochanej. Istotnie, gdy już będziesz daleko, Żanetko, będę się starał o tym zapomnieć; zapamiętam tylko mądrość tej rady, która dała mi wskazówkę postępowania. Adelka musi pójść do szkoły, a panna Eyre musi sobie poszukać innej posady.

— Tak, panie, dam natychmiast ogłoszenie; a tymczasem, myślę... — chciałam dodać, „że mogę chyba pozostać tutaj, aż znajdę inny dach, pod który się schronię", lecz urwałam nie chcąc ryzykować długiego zdania, gdyż czułam, że niezupełnie panuję nad głosem.

— Za miesiąc mniej więcej, jak sądzę, będę już żonaty — mówił dalej pan Rochester — a tymczasem sam rozejrzę się za schronieniem i pracą dla ciebie...

— Dziękuję panu; przykro mi, że sprawiam...

— Ach, nie ma za co przepraszać! Uważam, że jeżeli pracownica spełniała obowiązek tak dobrze jak ty, ma prawo wymagać od pracodawcy pewnej pomocy, jeśli on ją dać może. Istotnie, już nawet słyszałem od mojej przyszłej teściowej o posadzie, która by może była odpowiednia; chodzi mianowicie o podjęcie się edukacji pięciu córek pani O'Gall w Bitternutt Lodge w Connaught w Irlandii. Spodoba ci się Irlandia, sądzę; powiadają, że ludzie tam tacy bardzo serdeczni.

— To bardzo daleko, proszę pana.

— Cóż to szkodzi, dziewczyna tak rozsądna nie może się obawiać podróży ani odległości.

— Nie podróży, ale odległości; a przy tym... morze odgradza...

— Od czego, Jane? No?

— ...od Anglii i od Thornfield, i... od pana, panie Rochester.

Powiedziałam to prawie mimo woli i również bezwolnie popłynęły moje łzy. Płakałam jednak cicho, niedosłyszalnie, powstrzymywałam łkanie. Myśl o pani O'Gall i Bitternutt Lodge zmroziła we mnie serce, a jeszcze bardziej myśl o tych falach oceanu, które stanowić miały zaporę pomiędzy mną a moim panem; ale najbardziej bolesna była myśl o tym szerszym oceanie — oceanie bogactwa, sfery, zwyczajów, oddzielającym mnie od tego, którego całą istotą kochałam.

— To tak bardzo daleko — powtórzyłam.

— To prawda; a gdy raz się dostaniesz do Bitternutt w Irlandii, nigdy już ciebie nie zobaczę, Jane; tego jestem pewny. Nigdy nie bywam w Irlandii, nie mam jakoś przekonania do tego kraju. W dobrej żyliśmy przyjaźni, prawda?

— Tak, proszę pana.

— A gdy przyjaciele są w przededniu rozstania, lubią spędzić z sobą trochę pozostałego im czasu. Chodź! Pogawędzimy o podróży i o rozstaniu spokojnie z jakie pół godzinki, podczas gdy na niebie gwiazdy się zapalą. Oto kasztan i ławeczka nad jego starymi korzeniami. Posiedźmy tu w spokoju dziś wieczór, choćby nie było nam sądzone nigdy już zasiąść razem.

Zmusił mnie, bym usiadła, i sam usiadł także.

— Daleka to droga do Irlandii, Jane, i żal mi wysyłać moją przyjaciółeczkę w tak męczącą podróż; skoro jednakże nie mogę nic lepszego uczynić, cóż na to poradzę? Czy czujesz jakąś więź między nami, jak myślisz, Jane?

Nie mogłam się w tej chwili zdobyć na żadną odpowiedź: serce we mnie zamierało.

— Ponieważ — mówił dalej — podlegam niekiedy w stosunku do ciebie dziwnemu uczuciu, zwłaszcza gdy znajdujesz się blisko mnie, jak teraz; mam wrażenie, że gdzieś w okolicy lewych żeber mam umocowany sznur silnym węzłem spojony z takimże sznurem przytwierdzonym w takimże miejscu u ciebie. A jeżeli burzliwe morze i przestrzeń tylu mil staną pomiędzy nami, ten łączący sznur

może przerwać się, pęknąć: a wtedy, odczuwam to nerwowo, ja zacząłbym krwawić wewnętrznie. A ty?... ty byś mnie zapomniała.

— O, co to, to nigdy, pan wie... — nie mogłam mówić dalej.

— Czy słyszysz, jak słowik śpiewa w lasku? Posłuchaj !

Słuchając łkałam konwulsyjnie, gdyż już nie mogłam dłużej opanować uczuć; musiałam im ulec. Dojmująca męka wstrząsnęła mną całą. Gdy przemówiłam, to jedynie po to, by wybuchnąć gwałtowną skargą, że w ogóle na ten świat przyszłam, że w ogóle poznałam Thornfield.

— Tak żal ci porzucać Thornfield?

Gwałtowne uczucie, pobudzone żalem i miłością, zbuntowało się we mnie, zażądało władzy, pełni lotu, prawa do życia, wzniesienia się i zapanowania nareszcie; tak, domagało się prawa głosu.

— Żal mi porzucać Thornfield; kocham Thornfield; kocham, gdyż tu żyłam życiem pełnym i błogim... chwilowo przynajmniej. Nikt mnie nie deptał. Nikt nie zmuszał do zaskorupienia się w sobie. Nie pogrzebano mnie z niższymi duszami, nie wykluczono od przestawania z tym, co jasne, energiczne i wzniosłe. Żyłam obok tego, co czczę, co nad wszystko przenoszę; obcowałam z oryginalnym, potężnym, szerokim umysłem. Poznałam pana, panie Rochester, przerażenie i męka przejmują mnie na myśl, że koniecznie muszę się oderwać od pana na zawsze. Widzę konieczność odejścia i czuję, jakbym patrzyła na konieczność śmierci.

— W czym widzisz tę konieczność? — zapytał nagle.

— W czym? Pan sam ją przede mną postawił.

— W jakiej postaci?

— W postaci panny Ingram; szlachetnej i pięknej kobiety: pańskiej narzeczonej.

— Mojej narzeczonej! Jakiej narzeczonej ? Ja nie mam narzeczonej.

— Ale ją pan będzie miał.

— Tak, będę miał... Będę! — zaciął zęby.

— Więc ja muszę odejść; pan sam to powiedział.

— Nie, musisz pozostać! Przysięgam, i tej przysięgi dotrzymam.

— A ja panu mówię, że muszę odejść! — zawołałam z uniesieniem. — Czy pan sobie wyobraża, że ja tu potrafię pozostać stając się dla pana niczym? Czy pan mnie uważa za bezduszny automat, za maszynę bez czucia? Sądzi pan, że potrafiłabym znieść, gdyby mi kęs chleba wydzierano od ust i kroplę życiodajnej wody wylewano z czary? Ponieważ jestem biedna, nieznana, niełądna i mała, myśli pan, że i duszy we mnie nie ma ani serca? O, jak się pan myli! Mam duszę jak i pan i takież serce! A gdyby mi Bóg dał nieco urody i wielkie bogactwa, postarałabym się, aby panu było równie ciężko odejść ode mnie, jak mnie jest ciężko odejść od pana. Nie zwracam się teraz do pana tak, jak nakazuje zwyczaj czy konwenans światowy, nawet nie jak człowiek do człowieka, ale jak wolny duch do wolnego ducha, jak gdybyśmy, przeszedłszy przez śmierć i przez grób, stali przed Bogiem równi, bo i równi przecież jesteśmy!

— Równi jesteśmy! — powtórzył pan Rochester. — O, tak — dodał biorąc mnie w ramiona, przygarniając do piersi i przyciskając usta do moich ust. — Tak, Jane!

— Tak — odpowiedziałam — a jednak nie tak, gdyż pan jest człowiekiem żonatym... czy jakby żonatym, i to z kobietą niższą od pana, z którą pan nie ma nic wspólnego, którą, nie wierzę, by pan kochał prawdziwie, gdyż widziałam i słyszałam, jak pan z niej drwił. Ja bym wzgardziła takim związkiem; dlatego uważam się za lepszą od pana. Niech mnie pan puści!

— Dokąd chcesz iść, Jane? Czy do Irlandii?

— Tak, do Irlandii. Wypowiedziałam to, co mam na sercu, a teraz mogę jechać gdziekolwiek.

— Uspokój się; nie wyrywaj się jak dziki, oszalały ptak, który łamie własne pióra miotając się w sieci.

— Nie jestem ptakiem, żadna sieć mnie nie więzi; jestem wolną istotą ludzką o niezależnej woli, a ta wola posłuży mi do opuszczenia pana.

Jeszcze jednym wysiłkiem uwolniłam się z jego objęć i stałam przed nim wyprostowana.

— Niechże twoja wola decyduje o twoim losie — powiedział. — Ofiaruję ci rękę, serce i udział we wszystkim, co posiadam.

— Gra pan farsę, z której ja się tylko śmieję.

— Proszę cię, byś spędziła życie przy moim boku, byś była moim drugim ja, moim najlepszym towarzyszem na ziemi.

— Do tej roli już pan wybrał kogoś i musi przy tym wyborze pozostać.

— Ucisz się na chwilę, Jane; jesteś nadmiernie rozdrażniona ; i ja także będę milczał.

Powiew wiatru przeleciał wzdłuż ścieżki, zatrząsł gałęźmi kasztana; odleciał w nieokreśloną dal, gdzie zamarł. Śpiew słowika był jedynym głosem rozlegającym się o tej godzinie; słuchając go rozpłakałam się znowu. Pan Rochester siedział spokojnie, patrząc na mnie łagodnie i poważnie. Jakiś czas upłynął, zanim przemówił:

— Usiądź tu przy mnie, Jane, wytłumaczymy sobie wszystko i zrozumiemy się wzajemnie.

— Nigdy już nie usiądę przy panu; oderwałam się i nie mogę powrócić.

— Ależ, Jane, proszę cię, zechciej być moją żoną, tylko z tobą zamierzam się ożenić.

Milczałam; myślałam, że żartuje ze mnie.

— Chodź tu, Jane, chodź bliżej.

— Narzeczona pańska stoi między nami. Wstał i jednym krokiem był przy mnie.

— Tu jest moja narzeczona — rzekł przyciskając mnie znów do siebie — ponieważ tu jest równy mi człowiek, człowiek do mnie podobny. Czy chcesz być moją żoną, Jane?

Wciąż jeszcze nie odpowiadałam, wciąż jeszcze wyrywałam się z jego objęcia, gdyż nie dowierzałam mu nadal.

— Czy wątpisz we mnie, Jane?

— Całkowicie.

— Nie wierzysz mi?

— Ani trochę.

— Czyż jestem kłamcą w twoich oczach? — zawołał namiętnie. — Ty mała sceptyczko, ja ciebie muszę przekonać. Jaką ja miłość odczuwam dla panny Ingram? Żadnej, i ty o tym wiesz! Jaką miłość ona ma dla mnie? Żadnej, przekonałem się o tym. Postarałem się, by dotarła do niej pogłoska, że mój majątek nie wynosi nawet trzeciej części tego, czego się spodziewała, a potem stawiłem się przed nią, by stwierdzić rezultat; spotkało mnie oziębłe przyjęcie z jej strony i ze strony jej matki. Nie chciałbym, nie mógłbym ożenić się z panną Ingram. Ty... ty prawie nieziemskie stworzenie! Ciebie kocham jak siebie samego. Ciebie: biedną i nieznaną, małą i niełądną, ciebie błagam, byś przyjęła mnie za męża.

— Jak to, mnie? — zawołałam zaczynając wierzyć w jego szczerość wobec powagi, a zwłaszcza wobec jego niegrzeczności. — Mnie, która na całym świecie nie ma przyjaciela prócz pana, jeśli pan nim jest; która nie ma ani jednego grosza poza tym, co pan mi płaci?

— Ciebie, Jane, ty musisz być moja, zupełnie moja. Czy chcesz być moja? Odpowiedz, że chcesz, odpowiedz prędko!

— Panie Rochester, niech mi pan pozwoli popatrzeć w swoją twarz; niech się pan obróci do księżyca.

— Dlaczego?

— Ponieważ chcę czytać myśli w pańskiej twarzy. Niech się pan obróci!

— Proszę! Nie będzie ona czytelniejsza niż zgnieciona, zagryzmolona kartka. Czytajże, tylko śpiesz się, bo ja cierpię.

Twarz jego była bardzo wzburzona i bardzo rozogniona; przebiegały po niej silne skurcze i dziwne błyski miał w oczach.

— O Jane! Jak ty mnie męczysz! — zawołał. — Swoim badawczym, a jednak wiernym i szlachetnym spojrzeniem dręczysz mnie!

— Jak to być może? Jeśli pan jest szczery, a pańska propozycja uczciwa, ja przecież mogę czuć dla pana tylko wdzięczność i serdeczne oddanie, to przecież nie może dręczyć!

— Wdzięczność! — zawołał i dodał gwałtownie: — Zgódź się prędko. Powiedz: Ewardzie, będę twoją żoną.

— Czy pan mówi serio? Czy pan mnie naprawdę kocha? Czy pan szczerze pragnie mieć mnie za żonę?

— Tak, a jeżeli dla upewnienia potrzeba ci przysięgi, tedy przysięgam!

— Jeśli tak, będę pańską żoną...

— Moja żono! Nazwij mnie po imieniu.

— Edwardzie!

— Przyjdź do mnie... przyjdź do mnie, jedyna moja — powiedział i dodał tonem głęboko wzruszonym, z twarzą przytuloną do mojej: — Daj mi szczęście, a będę dbał o twoje. Niech Bóg mi przebaczy! — dodał niebawem — a ludzie niech się do mnie nie wtrącają; moją jest i już jej nie oddam.

— Któż by się mógł wtrącać, proszę pana? Ja nie mam krewnych, którzy by się mogli mieszać do moich spraw.

— Nie, i to właśnie najlepsze — odparł. Gdybym go mniej kochała, jego ton i ten wyraz triumfalnej radości wydałyby mi się niesamowite. Siedząc jednak przy nim, obudzona z tej straszliwej zmory rozstania, czując, że raj mi się otwiera, myślałam tylko o tym szczęściu, które na mnie spadło. On zapytywał raz po raz:

— Czy jesteś szczęśliwa, Jane?

— O, tak! — odpowiadałam za każdym razem. Wtedy on szepnął:

— To odkupi!... to odkupi! Czyż nie znalazłem jej sierotą, bez przyjaciół, zmrożoną, niepocieszoną? Czyż nie będę jej strzegł i miłował, i pocieszał? Przecież miłość jest w sercu moim, stałość w mych postanowieniach. To zadośćuczyni przed trybunałem Najwyższego. Wiem, że Stwórca zezwala na ten czyn. Nie dbam o sąd świata. Opinii ludzkiej stawię czoło!

Ale co się działo tej nocy? Księżyc jeszcze nie zaszedł, a nas objął cień zupełny; zaledwie mogłam dojrzeć twarz pana Rochestera, chociaż tak blisko siedziałam. A co wyprawiał ten kasztan? Wił się, szumiał i jęczał, gdy wiatr hulał wzdłuż ścieżki i ogarniał nas potężnym tchnieniem.

— Musimy wracać — powiedział pan Rochester. — Nadchodzi burza. Mógłbym tak przesiedzieć z tobą do rana.

„I ja z tobą" — pomyślałam. Byłabym to może powiedziała, gdyby nie to, że sina, jaskrawa iskra wyskoczyła z chmury, na którą właśnie patrzyłam, i rozległ się trzask bliskiego pioruna; schowałam oślepione oczy na ramieniu pana Rochestera.

Lunął deszcz. Pan Rochester spiesznie poprowadził mnie wzdłuż ścieżki, przez ogród i do domu; zanim jednakże przestąpiliśmy próg, byliśmy przemoczeni do nitki. Właśnie pan Rochester zdejmował ze mnie szal w sieni i wytrząsał wodę z moich rozpuszczonych włosów, gdy pani Fairfax wyszła z pokoju. Nie zauważyłam jej zrazu, nie zauważył też jej pan Rochester, Lampa paliła się w hallu. Zegar właśnie miał wybić dwunastą.

— Spiesz się zdjąć przemoczone ubranie — rzekł — a zanim pójdziesz, dobranoc ci, dobranoc, moje kochanie!

Ucałował mnie kilkakrotnie. Gdy podniosłam oczy wysuwając się z jego objęcia, ujrzałam stojącą tuż obok wdowę, bladą, poważną i zdumioną. Uśmiechnęłam się tylko do niej i pobiegłam na górę. „Na wytłumaczenie musi jeszcze poczekać" — pomyślałam. A jednak, gdy dotarłam do swego pokoju, zrobiło mi się przykro, że ona,

chociaż chwilowo, może źle zrozumieć to, co widziała. Radość jednak zatarła wszelkie inne uczucia; i chociaż głośno dął wicher, choć blisko i potężnie huczały grzmoty, często i strasznie błyskały pioruny, a ulewa lała strumieniami przez dwie godziny trwającą burzę, nie doświadczałam strachu ani uczucia grozy. Pan Rochester trzy razy podchodził do moich drzwi i pytał, czy się nie boję, a to było pociechą i dawało mi siły, by zmóc obawę.

Rano, zanim wstałam, wbiegła Adelka, by mi powiedzieć, że piorun tej nocy uderzył w wielki kasztan na końcu sadu i rozłupał go na dwoje.

ROZDZIAŁ XXIV

Wstając i ubierając się rozmyślałam nad tym, co się stało, i pytałam siebie, czy to sen. Nie mogłam być pewna, że to się naprawdę wydarzyło, dopóki znów nie zobaczę pana Rochestera i z ust jego nie usłyszę wznowionych słów miłości i oświadczyn.

Układając włosy przypatrzyłam się swej twarzy w zwierciadle i przekonałam się, że już nie jest brzydka: promieniała nadzieją, zabarwiło ją ożywienie, oczy jaśniały nowym jakimś blaskiem. Często niechętnie patrzyłam na mojego pana w obawie, że mój wygląd nie może mu się podobać; ale teraz byłam pewna, że mogę śmiało wznieść ku niemu twarz, gdyż jej wyraz nie ostudzi jego przywiązania. Wyjęłam z komody prostą, ale czystą i jasną letnią sukienkę i włożyłam ją; zdawało mi się, że nigdy w żadnej sukni nie było mi tak dobrze, ale bo też w tak szczęśliwym usposobieniu nie miałam na sobie żadnej.

Nie zdziwiło mnie to bynajmniej, gdy zbiegłszy na dół do hallu ujrzałam, że słoneczny ranek czerwcowy nastąpił po nocnej burzy i że przez otwarte szklane drzwi zalatuje świeży, wonny wietrzyk. Natura musi być radosna, kiedy ja jestem taka szczęśliwa. Ścieżką ku domowi szła żebraczka z chłopczykiem, oboje bladzi, obszarpani; pobiegłam ku nim i dałam im wszystkie pieniądze, jakie miałam przy sobie, jakieś trzy czy cztery szylingi; źli czy dobrzy, niechże się cieszą w to moje wielkie święto. Wrony krakały, śpiewały weselsze ptaki, ale nic nie dorównywało weselem memu rozradowanemu sercu.

Zaskoczyła mnie pani Fairfax, ukazując w oknie smutną twarz i mówiąc poważnie:

— Panno Eyre, czy pani przyjdzie na śniadanie?

Podczas śniadania była spokojna i chłodna; ja jednak wtedy nie mogłam wywieść jej z błędu. Musiałam czekać, aż pan Rochester udzieli jej wyjaśnień; i ona też musiała poczekać. Zjadłszy

pośpieszyłam na górę. Spotkałam Adelkę wychodzącą ze szkolnego pokoju.

— Dokąd idziesz? Czas już zacząć lekcje.

— Pan Rochester kazał mi iść do dziecinnego pokoju.

— Gdzie jest pan Rochester?

— Tutaj — wskazała drzwi szkolnego pokoju. Weszłam; i oto on stał przede mną.

— Chodź tu, powiedz mi dzień dobry — rzekł. Zbliżyłam się radośnie; nie chłodne słowa, nie uścisk ręki nawet stał się moim udziałem, ale uścisk i pocałunek. Takie się to wydawało naturalne i tak słodka była miłość jego i pieszczota!

— Świetnie wyglądasz, Jane; taka uśmiechnięta i ładna, doprawdy ładna dziś rano — powiedział. — Czy to moja blada rusałeczka? Czy to moje ziarnko gorczyczne? To małe, słoneczne dziewczątko z dołeczkami na twarzyczce, z różowymi usteczkami, z gładziuchnymi jak atłas kasztanowatymi włosami i promiennymi orzechowymi oczami? (Miałam zielone oczy, czytelniku, ale trzeba mu darować pomyłkę; widocznie dzisiaj widział je w innych kolorach.)

— To jest Jane Eyre, proszę pana.

— A wkrótce Jane Rochester — dodał. — Za cztery tygodnie, Żanetko, ani o dzień później. Słyszysz?

Słyszałam i nie mogłam tego zupełnie pojąć: kręciło mi się w głowie. Uczucie, wzbudzone we mnie tym oświadczeniem, było czymś, co wstrząsało i ogłuszało; był to nieledwie strach.

— Zarumieniłaś się, a teraz zbladłaś, Jane. Dlaczego?

— Ponieważ nadał mi pan nowe imię: Jane Rochester, a to wydaje się takie dziwne.

— Tak, pani Rochester — powtórzył. — Młoda pani Rochester, młoda żona Fairfaxa Rochestera.

— To się nigdy nie stanie; to nie brzmi prawdopodobnie. Zupełne szczęście nigdy nie staje się udziałem ludzi na tym świecie. Czyż miałby mi być sądzony inny los niż reszcie ludzi? Wyobrazić sobie, żeby mnie miał spotkać los taki, to bajka, to sen na jawie.

— Który ja mogę urzeczywistnić i urzeczywistnię zaczynając od dzisiaj. Napisałem dziś rano do mojego bankiera w Londynie, by przysłał mi pewne klejnoty, które ma w przechowaniu, dziedzictwo dla pań na Thornfield. Za dzień lub dwa, mam nadzieję, będę ci je mógł wysypać na kolana, gdyż każdy przywilej, każdy hołd, który bym złożył u stóp córki para, gdybym się z nią ożenił, będzie twoim.

— O, dajmy pokój klejnotom! Nie lubię słuchać, gdy się o nich mówi. Klejnoty dla Jane Eyre to brzmi tak nienaturalnie i dziwnie; wolę ich nie mieć.

— Sam ci założę kolię brylantową na szyję i diadem nad czołem, gdzie będzie odpowiedni, gdyż natura sama wycisnęła piętno szlachectwa na tym czole, Jane; i zapnę bransolety dokoła tych delikatnych rączek, i obciążę te drobne paluszki pierścionkami.

— Nie, nie! Niech pan myśli o czym innym i mówi o czym innym i w innym tonie. Niech pan nie przemawia do mnie, jak gdybym była pięknością; jestem tylko skromną kwakierską nauczycielką.

— Jesteś pięknością w moich oczach, pięknością wedle pragnień mego serca, delikatną i powiewną.

— Nikłą i nic nie znaczącą, chce pan powiedzieć. Pan śni albo szydzi. Na miłość boską, niech się pan nie bawi w ironię!

— Sprawię, że i świat także uzna cię za piękność — ciągnął dalej, podczas gdy istotnie nieswojo było mi go słuchać, gdyż czułam, że albo sam się łudzi, albo mnie chce łudzić. — Ubiorę moją Jane w atłasy i koronki i będzie nosiła róże we włosach; i nakryję jej ukochaną głowę bezcennym welonem.

— A wtedy mnie pan nie pozna i nie będę już pańską Jane Eyre, lecz małpką w kurtce arlekina, lekkomyślną kobietką przystrojoną w cudze piórka. Równie przykro byłoby mi widzieć pana w

aktorskim przebraniu, jak siebie w dworskiej toalecie; i nie nazywam pana ładnym, choć kocham pana tak gorąco, o wiele za gorąco, by panu pochlebiać. Niech mi pan też nie pochlebia.

On jednakże ciągnął swoje dalej nie zważając na moje prośby.

— Dziś jeszcze zabiorę cię powozem do Millcote i musisz sobie wybrać kilka sukien. Powiedziałem ci, że pobierzemy się za cztery tygodnie. Ślub odbędzie się cicho w tym oto kościele; a wtedy od razu cię porwę do miasta. Po krótkim pobycie zawiozę mój skarb w strony bliższe słońca; ku francuskim winnicom, ku włoskim równinom, niech zobaczy, co jest sławnego w historii starożytnej i w dziejach nowszych, niech pokosztuje także życia miast i nauczy się cenić siebie przez sprawiedliwe porównanie z innymi.

— Będę podróżowała? I z panem?

— Będziesz mieszkała w Paryżu, Rzymie i Neapolu; we Florencji, Wenecji i Wiedniu: całą przestrzeń, którą ja przewędrowałem, ty też przemierzysz, gdzie ja wycisnąłem swoje kopyto, tam i ty postawisz swoją nóżkę sylfidy. Dziesięć lat temu przeleciałem przez Europę na wpół szalony, mając za towarzyszy niesmak, nienawiść i wściekłość; teraz odwiedzę ją znów uzdrowiony i oczyszczony, z prawdziwym aniołem pocieszenia.

Roześmiałam się, gdy to powiedział.

— Nie jestem aniołem — oświadczyłam — i nie będę aniołem, póki życia; będę tylko sobą. Panie Rochester, niech się pan po mnie nie spodziewa ani niech pan ode mnie nie wymaga nic niebiańskiego, gdyż się pan tego nie doczeka, tak jak ja się tego nie doczekam od pana; i wcale się tego nie spodziewam.

— A czego ty się po mnie spodziewasz?

— Przez bardzo krótki przeciąg czasu będzie pan może taki jak teraz; przez bardzo krótki przeciąg czasu. A potem pan ostygnie; a potem stanie się pan kapryśny; a potem będzie pan poważny i surowy, a ja będę miała dużo kłopotu chcąc panu dogodzić. Gdy się pan jednak dobrze do mnie przyzwyczai, może mnie pan znów polubi — polubi, mówię, nie pokocha. Przypuszczam, że miłość

pańska wypali się w sześć miesięcy, może prędzej. Czytałam w książkach pisanych przez mężczyzn, że to najdalszy kres, do jakiego sięga zapał miłosny męża. Jednak mam nadzieję, że jako przyjaciółka i towarzyszka nigdy nie stanę się niemiła mojemu drogiemu panu.

— Niemiła! I polubić cię znowu! Myślę, że będę cię lubił i lubił, i lubił; i będziesz mi musiała przyznać, że nie tylko cię lubię, ale kocham, prawdziwie, gorąco, stale.

— Ale czy nie jest pan kapryśny?

— Względem kobiet, które podobają mi się z twarzy jedynie, potrafię być diabłem wcielonym, gdy odkryję, że nie mają ani serca, ani duszy i że czeka mnie z ich strony płaskość, pospolitość, a może głupota, ordynarność i zły humor; w stosunku jednak do kogoś, kto ma jasne oko i wymowny język, gorącą duszę i charakter, który się nagina, ale nie łamie — będąc giętki zarazem i stały — w stosunku do kogoś takiego jestem zawsze tkliwy i wierny.

— Czy spotkał się pan kiedyś z takim charakterem? Czy kochał pan kiedy kogoś takiego?

— Kocham teraz.

— Ale przede mną, jeśli ja rzeczywiście odpowiadam pańskim trudnym wymaganiom?

— Nie spotkałem nigdy nikogo podobnego do ciebie, Jane! Ty mi się podobasz i ty nade mną panujesz, ulegasz na pozór, a mnie tak miłe jest poczucie twojej ustępliwości; lecz podczas gdy owijam dokoła palca delikatną nić jedwabną, słodki dreszcz płynie od niej i przenika mi wprost do serca. Jestem pod twoim wpływem; jestem zwyciężony; a wpływ to nad wyraz słodki, porażka, której ulegam, ma w sobie urok czarowny, któremu nie dorównałby żaden mój triumf. Dlaczego się uśmiechasz, Jane? Co znaczy ta niezrozumiała, tajemnicza minka?

— Myślałam, proszę pana (proszę mi darować tę myśl mimowolną), myślałam o Herkulesie i Samsonie i o ich uwodzicielkach...

— Myślałaś o tym, ty mała...

— Cicho! Nie bardzo to było mądre, co pan przed chwilą mówił, tak jak i tamci panowie niemądrze postępowali. Gdyby się jednakże byli ożenili, to jako małżonkowie byliby wynagrodzili sobie surowością poprzednią uległość, i z panem, lękam się, będzie to samo. Chciałabym wiedzieć, jak mi pan odpowie za rok, jeśli poproszę o łaskę, której panu będzie niedogodnie albo nieprzyjemnie udzielić.

— Poproś mnie o cokolwiek teraz, Żanetko, choćby o jakąś drobnostkę; pragnąłbym, żebyś mnie o coś poprosiła...

— I owszem, chętnie poproszę; mam już gotową prośbę.

— Mów! Ale jeżeli będziesz patrzeć i uśmiechać się w ten sposób, gotów jestem z góry przysiąc, że spełnię twą prośbę, a tak postępują ostatni głupcy.

— Ależ bynajmniej, panie Rochester; proszę tylko o to: niech pan nie posyła po te klejnoty, niech pan nie wieńczy mnie różami; mógłby pan równie dobrze obszyć złotą koronką tę oto prostą chustkę do nosa.

— Mógłbym równie dobrze „złocić czyste złoto". Wiem. Prośby twojej wysłuchano zatem, na razie. Cofnę zlecenie wysłane bankierowi. Ale tyś mnie jeszcze o nic nie poprosiła; prosiłaś tylko, bym cofnął dar; proś dalej.

— Dobrze więc, niech pan będzie tak dobry zaspokoić moją ciekawość, bardzo podrażnioną w pewnym punkcie.

— Co? Co? — podchwycił pośpiesznie. Wyglądał zaniepokojony. — Ciekawość to rzecz niebezpieczna; dobrze, że nie ślubowałem zgodzić się na każdą prośbę...

— Ale tu panu nic nie grozi, choćby się pan zgodził.

— Powiedz więc, czego sobie życzysz, Jane; wolałbym jednak, żebyś zamiast dopytywać się może o jakąś tajemnicę, zażądała ode mnie połowy mojego majątku.

— Ależ, królu Ahaswerusie! Na cóż mi połowa twojego majątku? Czy pan myśli, że ja jestem Żyd lichwiarz szukający dobrej lokaty w ziemi? Wolę posiąść całe pańskie zaufanie. Przecież nie odmówi mi pan zaufania oddawszy mi swoje serce?

— Bierz całe moje zaufanie, które jest warte brania, Jane, ale, na miłość boską, nie pragnij niepotrzebnego ciężaru! Nie sięgaj po truciznę, nie bądź wcieloną Ewą.

— Dlaczego nie, proszę pana? Właśnie mi pan opowiadał, jak bardzo pan lubi być zwyciężony, jak panu przyjemnie dać się przekonać. A gdybym tak skorzystała z tego wyznania, gdybym tak zaczęła naprzykrzać się i błagać, a w razie potrzeby nawet dąsać się i płakać, po prostu dla wypróbowania swojej władzy?

— Spróbuj tylko. Żądaj za wiele, wymagaj, a skończy się zabawa.

— Czy doprawdy? O, jak pan prędko daje za wygraną! Jakże surowo pan teraz wygląda. Grube brwi zbiegły się panu razem, a na czole zalega coś, co w poezji nazwano „piorunową chmurą". Czy taka będzie pańska mina po ślubie?

— Jeżeli taka będzie twoja mina po ślubie, to ja, jako chrześcijanin, odrzeknę się przestawania z jakąś wodnicą czy salamandrą. Ale cóżeś to chciała wiedzieć, moje ty stworzonko? No, dalej... gadaj!

— Otóż to, teraz jest pan mniej niż grzeczny, a ja wolę szorstkość od pochlebstwa. Wolę być stworzonkiem aniżeli aniołem. Zapytać zaś chciałam o to: dlaczego tak się pan silił na wmówienie we mnie, że pan pragnie ożenić się z panną Ingram?

— Tylko tyle? Dzięki Bogu, że to nic gorszego! — Rozjaśniła mu się twarz, uśmiechnął się do mnie i pogładził mnie po głowie, jak gdyby był rad, że jakieś niebezpieczeństwo zostało odwrócone. — Sądzę, że mogę wyznać — mówił dalej — chociaż może trochę cię oburzę, Jane, a widziałem, jak potrafisz wybuchnąć, gdy się oburzasz. Płonęłaś cała wczoraj w chłodnej poświacie księżyca, gdy podniosłaś bunt przeciwko losowi i domagałaś się równości ze mną. Ale mówiąc nawiasem, Żanetko, to ty mi się oświadczyłaś!

— Naturalnie! Ale do rzeczy, jeżeli łaska, mój panie... Co z panną

Ingram?

— No cóż, udawałem, że się staram o pannę Ingram, ponieważ chciałem cię tak szalenie rozkochać w sobie, jak sam się w tobie kochałem, a wiedziałem, że zazdrość będzie mi najlepszym sprzymierzeńcem w osiągnięciu tego celu.

— Doskonale! A oto jaki pan mały! Przecież to skandal, wstyd i hańba postępować w ten sposób. I nic się pan nie liczył z uczuciami panny Ingram?

— U niej wszelkie uczucia zastępuje pycha, a tę warto upokorzyć. Czy byłaś zazdrosna, Jane?

— Mniejsza z tym, panie Rochester, co panu po tej wiadomości? Niech mi pan jeszcze raz szczerze odpowie. Czy pan myśli, że panna Ingram nie będzie cierpiała skutkiem pańskiej nieuczciwej kokieterii? Czy nie będzie się czuła opuszczona i porzucona?

— To niemożliwe!... przecież ci już powiedziałem, że to ona mnie opuściła; myśl o moim zadłużeniu ostudziła, a raczej zgasiła od razu jej sentyment.

— Ciekawą pan uknuł intrygę. Boję się, że pańskie zasady w niektórych punktach może szwankują.

— Moje zasady nigdy nie były utwierdzone; może wykoślawiły się nieco przez zaniedbanie.

— Jeszcze raz mówmy serio. Czy mogę się cieszyć tym wielkim szczęściem, jakie stało się moim udziałem, bez obawy, że ktoś inny cierpi tak gorzko, jak ja cierpiałam niedawno?

— Możesz, możesz, moje dobre dziewczątko; nie ma na świecie istoty, która by mnie darzyła taką czystą miłością jak ty, bo to słodkie przeświadczenie noszę w duszy: wiarę w twoją miłość, Jane.

Dotknęłam ustami ręki, która spoczywała na moim ramieniu. Kochałam go bardzo, więcej, niż odważyłabym się wypowiedzieć słowami, więcej, niż słowa zdołałyby wyrazić.

— Zażądaj jeszcze czegoś — rzekł po chwili. — To dla mnie

największa przyjemność, gdy mnie prosisz, a ja ci ulegam. Miałam znów gotową prośbę.

— Niech pan powie o swoich zamiarach pani Fair-fax, ona mnie widziała z panem dziś w nocy w hallu i była bardzo zgorszona. Niech jej pan wszystko wytłumaczy, zanim się z nią zobaczę. Przykro mi, że taka dobra kobieta fałszywie mnie osądza.

— Idź do swego pokoju i włóż kapelusz — odpowiedział. — Chcę, byś dziś rano towarzyszyła mi do Millcote; a gdy będziesz się przygotowywała do drogi, ja staruszce wszystko wyjaśnię. Czy ona sobie wyobraziła, że się zapomniałaś?

— Myślę, że wyobraziła sobie, iż ja zapomniałam o moim stanowisku, a pan o swoim.

— Stanowisko! Stanowisko! Twoje stanowisko jest w moim sercu, a biada tym, którzy chcieliby obrazić ciebie teraz czy kiedykolwiek. Idź.

Ubrałam się szybko: skoro zaś tylko usłyszałam, że pan Rochester wychodzi z saloniku pani Fairfax, pośpieszyłam tam czym prędzej. Staruszka czytała właśnie swój ranny ustęp Pisma św., naukę na ten dzień; Biblia leżała przed nią otwarta, na niej okulary. O tym zajęciu, przerwanym wizytą pana Rochestera, widocznie zapomniała; oczy jej, utkwione w pustą ścianę naprzeciw, wyrażały zdumienie spokojnej duszy poruszonej niezwykłą wiadomością. Ujrzawszy mnie obudziła się niejako; usiłowała uśmiechnąć się i nawet zdobyła się na kilka słów powinszowania; jednakże uśmiech zgasł, a zdanie nie dokończone przerwała Odłożyła okulary, zamknęła Biblię i odsunęła fotel od stołu.

— Taka jestem zdziwiona — zaczęła — że sama nie wiem, co mam pani powiedzieć, panno Eyre. Przecież chyba nie śniło mi się... Czyżby? Czasami zdarza mi się, że się zdrzemnę, gdy jestem sama, i przywidują mi się rzeczy, które się wcale nie zdarzyły. Zdawało mi się nieraz, gdy się tak zdrzemnęłam, że mój kochany mąż, który umarł piętnaście lat temu, przyszedł i usiadł koło mnie, a nawet, że słyszałam, jak mówił do mnie po imieniu: „Alicjo", tak jak za życia. A teraz proszę mi powiedzieć, czy to istotnie prawda, że pan Rochester oświadczył się pani? Niech się pani ze mnie nie śmieje.

Ale mnie się rzeczywiście zdawało, że on tu wszedł pięć minut temu i powiedział, że za miesiąc będzie pani jego żoną.

— Mnie powiedział to samo — odparłam.

— Naprawdę? I pani mu wierzy? I przyjęła go pani?

— Tak.

Spojrzała na mnie oszołomiona.

— Nigdy bym tego nie przypuszczała. To dumny człowiek. Wszyscy Rochesterowie byli dumni; a jego ojciec przy tym lubił pieniądze. I o nim także zawsze mówiono, że jest wyrachowany. Więc on zamierza ożenić się z panią?

— Tak mnie zapewnia.

Przyjrzała mi się od stóp do głowy; wyczytałam z jej oczu, że nie znalazła w mojej postaci dostatecznego uroku na wytłumaczenie tej zagadki.

— To przechodzi moje pojęcie! — ciągnęła dalej. — Ale oczywiście to musi być prawda, skoro pani tak mówi. Co z tego wyniknie, nie umiałabym powiedzieć; naprawdę nie wiem. Równość stanowiska i majątku bywa pożądana w takich wypadkach, a przy tym zachodzi tutaj różnica prawie dwudziestu lat... Pan Rochester mógłby nieledwie być ojcem pani.

— Nie, doprawdy, pani Fairfax! — zawołałam podrażniona. — Nic podobnego! Pan Rochester wcale na mego ojca nie wygląda! Nikt, kto by nas razem widział, nie przypuściłby tego ani na chwilę. Pan Rochester wygląda tak młodo i jest taki młody jak niejeden dwudziestopięcioletni mężczyzna.

— Czy on rzeczywiście chce się z panią żenić z miłości? — zapytała.

Tak mnie dotknęła swoim chłodem i wątpliwościami, że mi łzy stanęły w oczach.

— Bardzo mi żal, że pani przykrość sprawiam — ciągnęła dalej wdowa. — Ale jest pani taka młoda i tak mało zna mężczyzn, że

chciałabym panią przestrzec. Stare to przysłowie, że „nie wszystko złoto, co się świeci", a w tym wypadku boję się, by się coś nie znalazło, co byłoby różne od tego, czego się spodziewamy.

— Dlaczego?... Czy ze mnie taki potwór? — rzekłam. — Czy to niemożliwe, żeby pan Rochester mógł darzyć mnie szczerym przywiązaniem?

— Nie, pani jest bardzo miła i bardzo pani wyładniała w ostatnich czasach, a pan Rochester z pewnością ma dla pani uczucie. Zawsze uważałam, że jest pani jakoś jego ulubienicą. Zdarzało się niekiedy, że niepokoiły mnie trochę te okazywane pani względy i miałam ochotę przestrzec panią dla jej własnego dobra. Było mi jednak niemiło nawet napomknąć o możliwości czegoś złego. Wiedziałam, że myśl taka dotknęłaby panią, może by obraziła; a pani była tak taktowna, tak prawdziwie skromna i rozumna, że sądziłam, iż można pani zaufać, że się pani sama potrafi ochronić. Wczorajszej nocy... nie umiem pani powiedzieć, co przecierpiałam szukając pani po całym domu i nie mogąc pani *znaleźć* ani pana również; a potem, widząc panią wracającą o dwunastej z nim razem...

— Mniejsza z tym — przerwałam niecierpliwie. — Dosyć, że wszystko jest w porządku.

— Spodziewam się, że wszystko w końcu będzie w porządku — powiedziała. — Ale proszę mi wierzyć, ostrożność jest tu konieczna. Niech pani się stara trzymać pana Rochestera z daleka; niech pani nie ufa zarówno sobie, jak jemu. Panowie z jego sfery nie mają zwyczaju żenić się z nauczycielkami.

Zaczęło mnie to naprawdę irytować. Na szczęście wbiegła Adelka.

— Tak bym chciała, tak bym chciała pojechać do Millcote! Pan Rochester nie chce mnie wziąć, chociaż jest tyle miejsca w tym nowym powozie. Niech go pani poprosi, żeby mnie zabrał, mademoiselle!

— Owszem, poproszę, Adelko!

I pobiegłam z nią, rada, że mogę pożegnać moją posępną mentorkę. Powóz był gotów, zajeżdżał właśnie przed front, a pan Rochester

przechadzał się tam i z powrotem po bruku, Pilot biegł za nim.

— Adelka może nam towarzyszyć, prawda?

— Powiedziałem jej, że nie. Nie potrzeba mi bębnów!... Chcę jechać tylko z tobą.

— Niech ją pan zabierze, jeśli pan łaskaw, panie Rochester! Tak będzie lepiej.

— Nie będzie lepiej; będzie nas krępowała. Apodyktycznie wyglądał, apodyktyczny był jego głos. Czułam jeszcze w sobie chłód przestróg pani Fairfax i jej wątpliwość; niepewność zaciążyła nad moimi nadziejami. Opuszczało mnie poczucie władzy nad nim. Już byłam gotowa automatycznie posłuchać nie upierając się dłużej; on jednak pomagając mi wsiąść do powozu, spojrzał mi w twarz.

— Co się stało? — zapytał. — Cała słoneczność gdzieś się podziała. Czy rzeczywiście życzysz sobie, żeby ta mała pojechała? Czy sprawi ci to przykrość, jeżeli zostanie w domu?

— Wolałabym, żeby mogła pojechać.

— A więc leć po kapelusz i wracaj piorunem! — krzyknął na Adelkę.

Mała popędziła co sił.

— Ostatecznie jeden ranek z przeszkodami tak wiele nie znaczy — zauważył pan Rochester — skoro niebawem mam posiąść ciebie, twoje myśli, rozmowę, towarzystwo na całe życie.

Adelka, umieszczona w powozie, zaczęła mnie całować wyrażając w ten sposób wdzięczność za wstawiennictwo; natychmiast została wpakowana w kącik przy panu Rochesterze. Wyzierała stamtąd ku mnie; taki srogi sąsiad zbyt był krępujący; do niego, gdy był w tak burzliwym humorze, nie śmiała się odzywać ze swoimi spostrzeżeniami ani pytać o objaśnienia.

— Niech jej pan pozwoli usiąść koło mnie — prosiłam. — Panu będzie może przeszkadzała, a po tej stronie jest tyle miejsca! Podał ją jak małego pieska.

— Wkrótce oddam ją do szkoły — rzekł, ale teraz się uśmiechał.

Adelka, słysząc to, zapytała, czy ma iść do szkoły *sans mademoiselle*.

— Tak — odpowtedział. — Absolutnie *sans mademoiselle,* gdyż ja wezmę mademoiselle na księżyc i tam poszukam jaskini w jednej z tych białych dolin pomiędzy szczytami wulkanów, a mademoiselle będzie tam mieszkać ze mną, i tylko ze mną.

— Nie będzie tam miała nic do jedzenia; pan ją zagłodzi — zauważyła Adelka.

— Będę dla niej zbierał mannę rankiem i nocą: równiny i stoki gór na księżycu białe są, Adelko, od manny.

— Będzie się chciała rozgrzać; z czego rozpali ogień?

— Ogień wybucha z gór księżycowych; gdy jej będzie zimno, zaniosę ją na jaki szczyt i położę nad brzegiem krateru.

— O, jak jej tam będzie źle, niewygodnie! A jej suknie przecież się zużyją; skąd weźmie nowe?

Pan Rochester udał zakłopotanie.

— Hm... — rzekł — co byś ty zrobiła, Adelko? Łam sobie głowę i wymyśl. A co byś powiedziała na suknię z białej i różowej chmurki, jak ci się zdaje? A z tęczy można by ładną szarfę wykroić.

— Mademoiselle jest daleko lepiej teraz — rzekła Adelka po chwili namysłu. — A zresztą znudziłaby się, gdyby miała mieszkać tylko z panem samym na księżycu. Gdybym ja była na miejscu mademoiselle, nigdy bym się nie zgodziła pojechać tam z panem.

— Ale ona się zgodziła; dała na to słowo.

Byliśmy teraz poza bramami Thornfield, kołysząc się lekko na gładkiej drodze, na której po deszczu nie wznosił się kurz. Po obu jej stronach niskie żywopłoty i wysokie drzewa połyskiwały zielone i odświeżone.

— Po tym polu, Adelko, przechadzałem się późno jednego wieczora

ze dwa tygodnie temu, a był to ten wieczór, kiedyś ty mi pomagała zbierać siano na trawnikach w sadzie; a że byłem zmęczony grabieniem pokosów, siadłem odpocząć na przełazie w płocie; tam wyciągnąłem małą książeczkę i ołówek i zacząłem coś pisać o nieszczęściu, jakie mnie spotkało dawno temu, i o tym, jak pragnę szczęścia w przyszłości; pisałem bardzo prędko, bo już światło dzienne gasło, gdy coś zaczęło zbliżać się ścieżką i stanęło o dwa kroki ode mnie. Popatrzyłem na to zjawisko. Było to maleńkie stworzonko i miało welon z nitek babiego lata na głowie. Skinąłem, dając mu znak, by się zbliżyło; niebawem stanęło u moich kolan. Nie mówiłem do niego ani ono do mnie nie mówiło słowami; ale czytałem w jego oczach i ono czytało w moich, i ta nasza rozmowa bez słów znaczyła:

Że to wróżka i że przybywa z krainy czarów; że przychodzi, aby mnie uszczęśliwić; że muszę z nią razem opuścić zwyczajny świat i udać się w miejsce samotne — takie jak księżyc, na przykład — tu skinęła główką ku rogom księżyca wschodzącego nad Hay-hill i powiedziała mi o alabastrowej grocie i srebrnej dolinie, gdzie moglibyśmy zamieszkać. Powiedziałem, że chętnie bym się tam udał, ale przypomniałem jej, jak ty mnie, że nie mam skrzydeł do latania.

— O, to nic nie znaczy! — odpowiedziała wróżka. — Oto talizman, który usunie wszystkie trudności — i wyciągnęła ku mnie ładny złoty pierścionek. — Włóż go — rzekła — na czwarty palec mojej lewej ręki, a będę twoją, a ty będziesz mój; i porzucimy ziemię, i swoje własne szczęście znajdziemy tam — i znowu skinęła ku księżycowi. Ten pierścionek, Adelko, jest w mojej kieszeni pod postacią złotego pieniądza; ale ja zamierzam wkrótce znowu go zamienić na pierścionek.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z mademoiselle? Mnie wróżka nic nie obchodzi; pan mówił, że pan chce zabrać mademoiselle na księżyc.

— Mademoiselle to wróżka — oświadczył tajemniczym szeptem.

Na to powiedziałam Adelce, żeby sobie nic nie robiła z jego żartów; ona też wykazała sceptycyzm iście francuski: nazwała pana Rochestera *un vrai menteur* i zapewniła go, że ani trochę nie wierzy

w jego *contes de fée*, dodała, że przede wszystkim nie ma wróżek, a gdyby nawet były, z pewnością jemu by się nie pokazywały, nie ofiarowałyby mu pierścionków ani nie chciały mieszkać z nim na księżycu.

Godzina spędzona w Millcote była dla mnie nieco męcząca. Pan Rochester zaprowadził mnie do sklepu z jedwabiami; tam kazał mi wybrać materiały na pół tuzina sukien. Czułam się w najwyższym stopniu nieswojo, prosiłam, żeby można odłożyć tę sprawę; lecz nie; chciał, by zaraz teraz ją załatwić. Błagając energicznym szeptem, zdołałam wytargować, że zamiast sześciu będą dwie, te jednak postanowił sam wybrać. Z niepokojem widziałam, że oko jego błądzi wśród jaskrawych kolorów; wybrał nareszcie jedwab pięknego ametystowego odcienia i wspaniały różowy atłas. Energicznym szeptem oświadczyłam mu wtedy, że niechże mi od razu wybierze złotą suknię i srebrny kapelusz; ja i tak nigdy się nie odważę nosić tego, co on wybierze. Z nieskończoną trudnością, gdyż uparty był jak kozioł, wyperswadowałam mu, by tamto zamienił na czarny atłas i perłowopopielaty jedwab.

— Niechże będzie na razie — przystał — z czasem i tak zobaczę cię barwną jak ogród ukwiecony.

Rada byłam, gdy udało mi się wyciągnąć go ze sklepu z jedwabiami, a potem od złotnika. Im więcej dla mnie kupował, tym więcej paliła mnie twarz uczuciem przykrości i poniżenia. Gdy już z powrotem wsiedliśmy do powozu, a ja odetchnęłam, zgorączkowana i znużona, przypomniałam sobie to, o czym w pośpiesznym toku smutnych i wesołych wypadków zupełnie zapomniałam: list mojego stryja Johna Eyre do pani Reed i jego zamiar adoptowania mnie i zapisania mi majątku. „To doprawdy byłoby ulgą dla mnie — pomyślałam — posiadać choć maleńki mająteczekj nie potrafiłabym znieść tego, by mnie pan Rochester ubierał jak lalkę albo żeby, jak na drugą Danae, złoty deszcz spadał na mnie codziennie. Napiszę na Maderę z chwilą, gdy wrócę do domu, doniosę stryjowi, że wychodzę za mąż i za kogo. Gdybym tylko miała nadzieję, że z czasem przysporzę panu Rochesterowi majątku, łatwiej zniosłabym to, że on mnie będzie utrzymywał teraz." Pocieszona trochę tą myślą (zamiar swój zresztą spełniłam tegoż dnia), odważyłam się spotkać znowu wzrok mojego pana i ukochanego, który uporczywie

szukał moich oczu, chociaż odwracałam twarz i spojrzenie. Uśmiechnął się i pomyślałam, że jego uśmiech jest taki, jakim sułtan mógłby w chwili miłosnego rozradowania obdarzyć niewolnicę, obsypaną przezeń złotem i klejnotami; ścisnęłam z całej siły jego rękę, szukającą mojej, i odrzuciłam ją, zaczerwienioną od tego gwałtownego uścisku.

— Niech para nie patrzy w ten sposób — rzekłam, — Jeżeli pan nie przestanie, nigdy nie włożę na siebie nic innego oprócz starych sukienek z Lowood; do ślubu pójdę w tej lila muślinowej: może pan, sobie zrobić szlafrok z tego perłowego jedwabiu i nieskończoną ilość kamizelek z czarnego atłasu!

Roześmiał się i zatarł ręce.

— Och, warto ją widzieć i słyszeć! — zawołał. — Czyż nie jest oryginalna? Czy nie jest z niej filutka? Nie zamieniłbym tej jednej angielskiej dziewczyneczki za cały seraj sułtana, za wszystkie oczy gazel i kształty hurysek!

Ta wschodnia aluzja nie podobała mi się znowu.

— Ja panu bynajmniej nie myślę stwarzać seraju — powiedziałam. — Nie uważam siebie za coś równoznacznego. Jeżeli się panu zachciewa czegoś w tym rodzaju, niech pan co prędzej spieszy do bazarów w Stambule i tam zużyje na zakup niewolnic te niepotrzebne pieniądze, których tu widocznie nie ma pan na co wydać.

— A co ty będziesz robiła, Żanetko, podczas gdy ja będę zakupywał tyle a tyle ton mięsa i tyle a tyle czarnych oczu?

— Będę się sposobiła na misjonarkę, by głosić wolność niewolnicom, mieszkankom pańskiego haremu między innymi. Każę się tam wpuścić i podniosę bunt; a pana, srogiego baszę, w mig skrępujemy własnymi rękami; a ja nie zgodzę się przeciąć pańskich więzów, dopóki pan nie podpisze ustawy tak liberalnej, jakiej dotąd nie podpisał żaden despota.

— Zgodziłbym się zdać na twoją łaskę, Jane!

— A ja bym się wcale nie okazała łaskawa, gdyby mnie pan błagał z takimi oczami jak teraz. Gdyby pan patrzył w ten sposób, byłabym pewna, że cokolwiek by pan podpisał pod przymusem, pierwszym pana czynem po uwolnieniu byłoby pogwałcić podpisane warunki.

— No i czego byś ty chciała? Czuję, że będziesz mi chciała narzucić jakąś prywatną umowę ślubną niezależnie od ceremonii kościelnej. Będziesz chciała zastrzec sobie, jak widzę, jakieś specjalne warunki. Jakież to?

— Chcę tylko mieć poczucie swobody, proszę pana; nie chcę, by mnie przygniatały liczne zobowiązania. Czy pan pamięta, co mi pan mówił o Celinie Varens? O tych brylantach, kaszmirach, które jej pan dawał? Ja nie chcę być pańską angielską Celiną Varens. Będę w dalszym ciągu nauczycielką Adelki; tym sposobem zarobię na swoje utrzymanie i mieszkanie, i na trzydzieści funtów rocznie prócz tego. Z tego będę sobie sprawiała ubranie, a pan mi nic nie będzie dawał oprócz...

— No dobrze, ale oprócz czego?

— Oprócz uczucia; a jeżeli ja panu dam w zamian swoje, to dług będzie wyrównany.

— Przyznam się, że tak chłodnej angielskiej arogancji i wrodzonej pychy nigdy nie widziałem — odpowiedział. Dojeżdżaliśmy teraz do Thornfield. — Czy zechcesz zjeść dziś ze mną obiad? — zapytał, gdy wjeżdżaliśmy do bramy.

— Nie, dziękuję panu.

— A dlaczego „nie, dziękuję panu", jeśli wolno zapytać?

— Nigdy z panem nie jadłam i nie widzę powodu, dlaczego bym miała teraz... dopóki...

— Dopóki co? Lubujesz się w nie dokończonych zdaniach.

— Dopóki nie będę mogła inaczej.

— Czy przypuszczasz, że jadam jak smok albo jak dziki człowiek, że lękasz się być moją towarzyszką przy stole?

— Żadnych przypuszczeń w tym kierunku nie snuję, panie Rochester, ale pragnę, żeby wszystko pozostało tak, jak było, przez ten miesiąc jeszcze.

— Porzucisz nauczycielską niewolę od razu.

— Bardzo pana przepraszam, ale nie zrobię tego. Będę dalej uczyła Adelkę jak dotąd. Będę panu schodziła z drogi przez cały dzień tak, jak się przyzwyczaiłam; może pan po mnie przysyłać wieczorem, o ile pan będzie miał ochotę zobaczyć się ze mną, a wtedy ja przyjdę; ale o żadnej innej porze dnia.

— Tak mi się chce zapalić, Jane, albo zażyć niuch tabaki wobec wszystkiego tego, co usłyszałem, *pour me donner une contenance,* jak by się wyraziła Adelka; ale, na nieszczęście, nie mam przy sobie ani cygarnicy, ani tabakierki. Ale słuchaj! — mówił szeptem. —

Teraz to twój czas, mała tyranko, ale mój nadejdzie niebawem; a gdy raz dobrze cię uchwycę, będę trzymał i — mówiąc obrazowo — przywieszę cię na łańcuszku ot tak — tu dotknął łańcuszka od zegarka. — Tak, ty miłe maleństwo, będę cię nosił na sercu, aby nie zgubić mojego klejnotu.

Powiedział to pomagając mi wysiąść z powozu, a podczas gdy wysadzał Adelkę, ja weszłam do domu i pośpieszyłam na górę.

Wieczorem, jak było do przewidzenia, zaprosił mnie do salonu. Ja tymczasem obmyśliłam już zajęcie dla niego, postanowiwszy nie spędzać całego czasu na rozmowie w cztery oczy. Pamiętałam, że ma piękny głos, wiedziałam, że lubi śpiewać, jak to zwykle bywa z dobrymi śpiewakami; sama głosu nie miałam, grałam też, wedle wybrednych jego wymagań, nieświetnie, ale nade wszystko lubiłam słuchać dobrej muzyki. Zaledwie też zmrok zajrzał do okna gwiaździstym szafirem, wstałam, otworzyłam fortepian i poprosiłam, żeby mi zaśpiewał jakąś piosenkę. Powiedział, że jestem kapryśną czarownicą i że wolałby zaśpiewać kiedy indziej. Ale zapewniłam go, że teraz jest najlepszy czas.

— Czy lubisz mój głos? — zapytał.

— Bardzo! — Nie lubiłam schlebiać jego próżności; ale na ten raz,

ze względów oportunistycznych, gotowa byłam ją podniecać.

— W takim razie musisz mi akompaniować.

— Bardzo dobrze, proszę pana, spróbuję.

Istotnie spróbowałam, ale wnet usunął mnie z krzesła nazywając „małym partaczem". Zepchnąwszy mnie bez ceremonii na bok, czego właśnie chciałam, zajął moje miejsce i zaczął sam sobie akompaniować, umiał bowiem grać równie dobrze jak śpiewać. Usunęłam się do zagłębienia pod oknem i tam, patrząc na ciche drzewa i cieniem objęty ogród, słuchałam słodkiej melodii następujących zwrotek, śpiewanych miękkim, głębokim głosem:

Najczulsza miłość, jaka serce

Nakłania do żywszego bicia,

Wlała mi w żyły rwącą falą

Gorący prąd nowego życia.

Jej przypływ słodką był nadzieją.

Zaś odpływ sprawiał ból nad siły,

Los, co opóźnił jej przybycie,

Śmiertelnym lodem ścinał żyły.

Śniłem o szczęściu nienazwanym,

Żem znalazł duszę mi wzajemną,

Która i we śnie i na jawie

Jak sen najsłodszy była ze mną.

Lecz między nami niby przepaść

Szumiało morze wściekłą pianą —

I wróżąc burzę, jak olbrzymy

Wzbierały fale oceanu.

I wicher straszył niby w puszczy

Albo w zaklętym jakimś borze,

Bo między nami stały moce,

Których na ziemi nikt nie zmoże.

Lecz ja, przeszkody ważąc lekce,

Szydziłem z czarów, gróźb i piekła —

I wszystkie kłody i zapory

Zmiatała rozpacz moja wściekła.

Jak we śnie mknąłem za mą tęczą,

Co ponad mgłą okrutnej ziemi

Rozpięła wielobarwną wstęgę

Utkaną z deszczu i promieni.

Mej tęczy blask nad chmurą cierpień

Lśni jak radości wstążka złota —

Już teraz nie dbam, jakie gromy

Uderzą jeszcze w moje wrota.

O nic już nie dbam w szczęsnej chwili,

Chociażby wszystkie te straszydła,

Którem odtrącił — chciały wrócić

I zemstę przynieść mi na skrzydłach.

Choćby mię Złość raziła gromem

I Przemoc zagrodziła drogę —

O nic już nie dbam! Wszystkie Moce

Niech będą mym śmiertelnym wrogiem.

Dziś moja mila drobną rączkę

Z ufnością w mej złożyła dłoni,

Ślubując miłość najgorętszą,

Która przed wszelkim złem osłoni.

Miła najsłodszym pocałunkiem

Przysięga miłość mi wzajemną!

Już teraz wiem: ta, którą kocham,

Żyć i umierać będzie ze mną.

Skończywszy pieśń wstał od fortepianu i szedł ku mnie; ujrzałam jego płonącą twarz, błyszczące sokole oczy, namiętną tkliwość w każdym rysie twarzy. Przelękłam się na chwilę, ale wnet nabrałam odwagi. Nie chciałam czułej sceny, nie chciałam demonstracyjnych wylewów uczucia — a przecież to mi groziło: należało przygotować jakąś odporną broń. Wyostrzyłam dowcip. Gdy zbliżył się do mnie, zapytałam cierpkawo:

— Kogoż to pan Rochester zamierza wziąć za żonę?

— To bardzo dziwne pytanie z ust mojej ukochanej Jane!

— Doprawdy! A ja sądzę, że bardzo naturalne, a nawet konieczne. Mówił pan o swojej przyszłej żonie jako umierającej z nim razem. Co znaczy taki pogański pomysł? Ja wcale nie mam zamiaru umierać z panem razem, proszę o tym wiedzieć.

— Ach, przecież ja tylko pragnę, ja tylko modlę się o to, byś ty mogła żyć razem ze mną! Śmierć nie dla takich jak ty!

— Owszem, jest dla takich jak ja; mam równie dobre prawo umrzeć, gdy przyjdzie moja godzina, jak pan je ma; ale ja chcę doczekać swojej pory, nie mam zamiaru umierać jak indyjska wdowa na stosie!

— Czy przebaczysz mi tę egoistyczną myśl, czy dowiedziesz przebaczenia pocałunkiem na zgodę?

— Nie; przepraszam, ale wolę nie.

Tu usłyszałam, że jestem „stworzonkiem bez serca", i dowiedziałam się, że „inna kobieta zmiękłaby jak wosk słysząc takie strofy wyśpiewane na jej cześć",

Zapewniałam go, że jestem z natury twarda, bardzo kanciasta i że sam się o tym nieraz przekona, i że przy tym postanowiłam odkryć przed nim różne nierówności swojego charakteru, zanim upłyną najbliższe cztery tygodnie: powinien dokładnie wiedzieć, jaki zrobił interes, dopóki jeszcze czas wycofać się z niego.

— Czy uspokoisz się wreszcie, czy zaczniesz rozsądnie gadać?

— Uspokoić się mogę, jeżeli pan sobie *życzy,* ale co do rozsądnego gadania, pochlebiam sobie, że właśnie to czynię.

Kręcił się, sarkał, mruczał. „Bardzo dobrze — pomyślałam — możesz się dąsać, możesz się niecierpliwić, ile ci się podoba; ale jestem pewna, że to najlepsza droga postępowania z tobą. Jesteś mi miły ponad wszelki wyraz, ale nie chcę wpaść w śmieszny sentymentalizm. A tą szpileczką gotowej odpowiedzi i ciebie powstrzymam nad krawędzią przepaści; dopomoże mi też jej ostrze do zachowania między mną a tobą odległości pożądanej dla naszego wspólnego dobra"

Po trosze doprowadziłam go do dość silnego rozdrażnienia; wtedy, gdy obrażony poszedł w drugi koniec pokoju, wstałam i powiedziawszy swoim naturalnym, zwykłym, pełnym szacunku sposobem: „Życzę panu dobrej nocy" — wysunęłam się bocznymi drzwiami i poszłam do siebie.

Tego systemu trzymałam się odtąd przez cały czas naszego „nowicjatu". Z najlepszym zresztą rezultatem. Mój pan, to prawda, bywał często kwaśny i chropawy, ale na ogół widziałam, że bynajmniej się nie nudzi i że gdybym była uległa jak baranek, a czuła jak synogarlica, wzmacniałabym tylko jego despotyzm, ale mniej bym mu się podobała, mniej zadowalała jego rozsądek, a nawet jego smak.

W obecności innych osób byłam jak dawniej pełna uszanowania i spokojna, bo każde inne postępowanie byłoby niewłaściwe; tylko w czasie wieczornych posiedzeń tak mu się sprzeciwiałam i dokuczałam, W dalszym ciągu kazał mnie zawsze prosić, z chwilą gdy zegar wybił siódmą; chociaż, gdy teraz stawałam przed nim, nie miał dla mnie tych miodowych słówek: „kochanie moje", „moja najmilsza"; dostawały mi się zamiast tego takie wyrazy, jak „impertynencka figura", „złośliwy chochlik", „odmieniec" itp. Zamiast pieszczot darzył mnie srogimi minami, zamiast uścisków dłoni — szczypnięciem w ramię; zamiast pocałunku w policzek — szarpnięciem za ucho. Owszem, owszem, na razie stanowczo wolałam szorstkość od tkliwości. Widziałam, że w oczach pani Fairfax mam uznanie; jej obawy o mnie znikły; to mnie utwierdziło w przekonaniu, że postępuję słusznie. Pan Rochester skarżył się, że go zamęczam, i groził straszną zemstą w niedalekim czasie.

Śmiałam się w duchu z jego gróźb. „Potrafię trzymać cię w ryzach teraz — rozmyślałam — nie wątpię, że potrafię i później; jeżeli zużyje się jeden sposób, trzeba będzie obmyślić inny."

Ale ostatecznie zadanie moje nie było łatwe; często byłabym wolała dogodzić mu, niż go tak dręczyć. Przyszły mój mąż stawał się dla mnie całym światem; i więcej niż światem: nieledwie nadzieją nieba. Przesłaniał swoją osobą wszelkie myśli o Bogu, jak zaćmienie słońca przesłania przed oczami człowieka samo słońce. W owych dniach nie widziałam Boga poza jego stworzeniem, z którego zrobiłam sobie bożyszcze.

ROZDZIAŁ XXV

Miesiąc narzeczeństwa upłynął; mijały ostatnie jego godziny. Nie można było powstrzymać dnia, który się zbliżał — dnia ślubu; wszystkie też przygotowania były ukończone. Ja przynajmniej nie miałam już nic do roboty: oto tam, w moim pokoju, stały wzdłuż ścian rzędem kuferki, spakowane i zamknięte, obwiązane; jutro o tej porze będą już daleko w drodze do Londynu; i ja z nimi — albo raczej nie ja, ale pewna Jane Rochester, osoba, której jeszcze nie znałam. Jeszcze tylko należało przybić karty z adresem, leżały te cztery kwadraciki w szufladzie. Pan Rochester sam wypisał adres: „Pani Rochester, Londyn, Hotel X", na każdej; nie mogłam się zdecydować na ich przytwierdzenie. Pani Rochester! Taka osoba przecież nie istniała, miała się dopiero narodzić jutro, coś około ósmej rano; chciałam zaczekać, by się upewnić, czy przyszła na świat żywa, zanimbym jej przekazała tę całą własność. Dosyć, że w szafie, naprzeciw mojej toaletki, ubranie, mające być jej ubraniem, wyrugowało już moją starą wełnianą sukienkę i słomkowy kapelusz; gdyż nie do mnie przecież należał ten strój ślubny, ta perłowa suknia jedwabna i cienki, zwiewny welon... Zamknęłam szafę, by ukryć ten dziwny strój widmowy, gdyż o tej wieczornej godzinie — była dziewiąta — w cieniu mojego pokoju błyszczał on istotnie poświatą jakiejś nieziemskiej zjawy. „Pozostawię cię w samotności, ty biały śnie — pomyślałam. — Taka się czuję rozgorączkowana: słyszę, że wiatr wieje; wyjdę, pragnę się odświeżyć jego tchnieniem."

Nie tylko pośpiech i przygotowania tak mnie rozgorączkowały, nie tylko przewidywanie wielkiej zmiany — nowego życia, które się miało jutro rozpocząć; obie te okoliczności miały niewątpliwie udział w wytworzeniu tego niespokojnego, podnieconego nastroju, jaki o tej późnej godzinie wypędzał mnie do ciemnego ogrodu; lecz była i trzecia przyczyna, silniej od tamtych oddziaływająca na mnie,

Trapiła mnie dziwna, niespokojna myśl. Zdarzyło się coś, czego nie mogłam zrozumieć; nikt o tym nie wiedział i nikt tego nie widział

prócz mnie. Zdarzyło się to minionej nocy. Pana Rochestera owej nocy nie było w domu; jeszcze i teraz nie wrócił; jakiś interes wezwał go do małego majątku, złożonego z dwóch czy trzech folwarków, który posiadał o trzydzieści mil stąd — interes, który musiał załatwić osobiście przed zamierzonym wyjazdem z Anglii. Czekałam teraz jego powrotu, pragnąc wywnętrzyć się przed nim i znaleźć u niego rozwiązanie dręczącej mnie zagadki. Poczekaj i ty, czytelniku, aż on wróci, a kiedy odkryję mu gnębiącą mnie tajemnicę, i ty się jej dowiesz. Poszłam do sadu: zapędził mnie w to stosunkowo zaciszne schronienie wiatr, który przez cały dzień dął od południa, nie przynosząc jednak ani kropli deszczu. Zamiast przycichnąć ku nocy, zdawało się, że zwiększa jeszcze pęd i pogłębia szum; drzewa chyliły się stale na jedną stronę, ledwie raz na godzinę prostując na chwilę gałęzie — tak bezustanny był pęd naginający je ku północy. I chmury gnały od bieguna do bieguna szybko, jedne za drugimi, wielkimi gromadami; owego lipcowego dnia nie ukazał się ani skrawek błękitu.

Nie bez pewnej dzikiej rozkoszy gnałam, pędzona wiatrem, topiąc troskę mojej duszy w bezmiernym strumieniu powietrznym grzmiącym w przestworzach. Przebiegłszy ścieżkę wśród krzewów, stanęłam przed ruiną kasztana; stał tam sczerniały, rozdarty; pień, rozłupany przez środek, świecił straszną raną. Rozłupane połowy nie odłamały się od siebie, gdyż mocna podstawa i silne korzenie spajały je od spodu; jednakże wspólne życie uległo zniszczeniu; soki już nie mogły krążyć; wielkie konary po obu stronach były martwe, a wichury zimowe niewątpliwie zwalą je na ziemię; tymczasem jednak można było powiedzieć, że jeszcze tworzą jedno drzewo — ruinę wprawdzie, ale ruinę czegoś jednolitego. „Dobrze, że się trzymacie razem — powiedziałam, jakby te olbrzymie drzazgi były żywymi stworzeniami i mogły mnie słyszeć. — Choć wyglądacie na zniszczone, spalone i zwęglone, musiała w was pozostać jakaś iskra płynąca z waszej wspólnoty u podstawy wiernych, dobrych korzeni; nie okryjecie się już nigdy zielonym listowiem, nigdy już ptaki nie uwiją gniazd, nie zaśpiewają pieśni w waszych gałęziach, czas wesela i miłości przeminął dla was, nie jesteście jednak opuszczone: każde z was ma współczującego towarzysza w godzinie śmierci." Gdym na nie patrzyła, księżyc na jedną chwilę ukazał się między obiema częściami pnia. Krąg jego był krwawy, na wpół zamglony; zdawał się rzucać na mnie jakieś złowrogie spojrzenie i zaraz znów

zasnuł się głęboką falą chmur. Wiatr ucichł na moment dokoła Thornfield, ale w oddali nad lasami, nad wodami zawodził smętnym, ponurym jękiem. Smutno było go słuchać. Ruszyłam dalej.

Tu i tam błądziłam po sadzie; zbierałam jabłka gęsto opadłe pod drzewami; potem zajęłam się przebieraniem dojrzałych od niedojrzałych, odniosłam je do domu i schowałam do spiżarni. Potem poszłam do biblioteki przekonać się, czy rozpalono ogień w kominku, gdyż chociaż było lato, wiedziałam, że w taki chmurny dzień pan Rochester rad powita przyjazny kominek. Owszem, ogień już się dobrze palił. Przysunęłam fotel i stół przed kominek, spuściłam storę, kazałam przynieść świece gotowe do zapalenia. Coraz niespokojniejsza, po ukończeniu tych przygotowań nie mogłam usiedzieć na miejscu ani nawet pozostać w domu. Mały zegar stojący w pokoju i stary zegar w hallu równocześnie wybiły dziesiątą.

„Jak późno się robi! — westchnęłam. — Pobiegnę do bramy; księżyc ukazuje się chwilami, stamtąd widać duży kawał drogi. Może on już nadjeżdża; spotkawszy go oszczędzę sobie kilku minut niespokojnego oczekiwania."

Wiatr szumiał głośno w wielkich drzewach okalających bramę, ale droga, jak okiem sięgnąć na prawo i na lewo, była cicha i pusta; kiedy księżyc wyzierał, przemykały po niej cienie chmur, poza tymi chwilami wyglądała jak długa blada linia bez żadnej poruszającej się drobiny.

Niemądra łza zaćmiła mi oczy, gdy tak patrzyłam, łza zawodu i niecierpliwości; wytarłam ją zawstydzona. Czekałam; księżyc zamknął się szczelnie w swojej komorze, zapuścił gęstą zasłonę chmur. Noc zapadła ciemna; deszcz przygnany wichurą zaczynał padać.

„Ach, żeby już przyjechał! Ach, żeby już przyjechał!" — zawołałam, zdjęta jakimś nerwowym lękiem.

Spodziewałam się jego przyjazdu przed herbatą, a teraz już było ciemno; cóż mogło go zatrzymać? Czy spotkał go jaki wypadek? Przypomniałam sobie znowu wydarzenie ostatniej nocy.

Wytłumaczyłam je sobie jako przestrogę, jako zapowiedź nieszczęścia. Zdjął mnie lęk, że nadzieje moje są zbyt jasne, by mogły się urzeczywistnić; a tyle szczęścia zaznałam w ostatnich czasach, że pomyślałam, iż szczęście moje już dosięgło zenitu — i odtąd musi go ubywać.

„To trudno, ale ja nie mogę wracać do domu — pomyślałam — nie mogę zasiąść przy kominku, gdy on jest wystawiony na niepogodę; lepiej przemęczyć ciało niż dręczyć serce; wyjdę na drogę."

Ruszyłam z miejsca; szłam szybko, ale nie uszłam daleko; niebawem posłyszałam tupot kopyt końskich; jeździec się zbliżał w pełnym galopie; pies biegł obok niego. Precz, złe przeczucie! To on — siedzi na Mesrourze, za nim podąża Pilot. Zobaczył mnie, gdyż księżyc otworzył niebieskie okno wśród chmur i przepływał tę jasną przestrzeń. Rochester zdjął kapelusz i powiewał nim nad głową. Pobiegłam na jego spotkanie.

— A widzisz — zawołał wyciągając rękę i przechylając się z siodła — nie możesz się obejść beze mnie. to widoczne. Stań na końcu mego buta i podaj mi obie ręce. Wsiadaj!

Usłuchałam; radość uczyniła mnie zwinną; wskoczyłam na siodło przed nim. Dostał mi się na powitanie serdeczny pocałunek i trochę triumfujących przechwałek, które przełknęłam. Pohamował się w swoim rozradowaniu, pytając:

— Ale czy się co stało, Żanetko, żeś wyszła spotkać mnie o takiej godzinie? Czy stało się co złego?

— Nie, ale myślałam, że pan już nigdy nie przyjedzie. Nie mogłam znieść czekania na pana w domu, zwłaszcza przy tym deszczu i wietrze.

— Deszcz i wiatr, doprawdy! Tak, ty ociekasz wodą jak syrena; zaciągnij mój płaszcz dokoła siebie. Ale zdaje się, że masz gorączkę, Jane: twoja twarz i ręce pałają. Jeszcze raz cię pytam, czy się co stało?

— Teraz już nic; ani się nie baję, ani nie jestem nieszczęśliwa.

— Ale bałaś się? Ale byłaś nieszczęśliwa?

— Tak, trochę; ale o tym wszystkim jednak opowiem panu po trosze i zapewne wyśmieje mnie pan tylko.

— Wyśmieję cię serdecznie, niech tylko jutro przeminie; do tego czasu nie mam zupełnej pewności, czy mi się nie wymkniesz. Tyżeś to, coś przez ten ubiegły miesiąc była śliska jak węgorz, a ciernista jak dzika różyczka? Nie mogłem cię palcem, dotknąć, tak kłułaś, a teraz, wydaje mi się, że tulę w objęciach zbłąkane jagnię. Wyszłaś *z* szopy, żeby odszukać swojego pasterza, czy tak, Jane?

— Tęskno mi było za panem, ale niech pan nie triumfuje. Otóż jesteśmy w Thornfield; niech mi pan pomoże zsiąść.

Postawił mnie na ziemi. Gdy John odebrał konia, a ja weszłam z nim do hallu, kazał mi prędko przebrać się w suche rzeczy i wrócić do niego do biblioteki Jeszcze mnie zatrzymał, gdy zmierzałam ku schodom, i wymógł na mnie obietnicę, że nie zabawię długo; toteż pośpieszyłam się; w pięć minut byłam, z powrotem. Zastałam go przy kolacji.

— Usiądź, Jane, i dotrzymuj mi towarzystwa. Da Bóg; będzie ta twoja ostatnia: wieczerza przed odjazdem stąd na długo.

Usiadłam, ale powiedziałam, że nie mogę jeść.

— Czy dlatego, że cię czeka podróż? Czy myśl o tym, że masz jechać do Londynu, tak ci odbiera apetyt?

— Dziś wieczorem, nie widzę jasno, co mnie czeka. Zaledwie wiem, jakie myśli mam w głowie. Wszystko w życia wydaje mi się nierealne.

— Oprócz mnie: ja jestem dosyć realny; dotknij mnie!

— Pan więcej niż wszystko inne wydaje mi się jakąś zjawą; pan jest po prostu snem! Wyciągnął rękę śmiejąc się.

— Czy to sen? — zapytał wysuwając ją prosto przed moje oczy. Miał zaokrągloną, muskularną i silną rękę oraz długie, silne ramię.

— Tak, chociaż jej dotykam, to sen — odpowiedziałam odsuwając ją. — Czy para już więcej nie będzie jeść?

— Nie, Jane, skończyłem.

Zadzwoniłam i kazałam sprzątnąć tacę. Gdy pozostaliśmy znów sami, poprawiłam ogień i zajęłam niski stołeczek u kolan mojego pana.

— Już dochodzi północ — rzekłam.

— Tak; ale pamiętaj, Jane, żeś mi przyrzekła czuwać ze mną w przeddzień mojego ślubu.

— Tak, i dotrzymam przyrzeczenia; chętnie posiedzę jeszcze co najmniej z godzinę albo dwie; wcale nie mam ochoty kłaść się spać.

— Czy pokończyłaś wszystkie przygotowania?

— Wszystkie, proszę pana.

— I ja również — powiedział. — Załatwiłem wszystko i wyjedziemy z Thornfield jutro, w pół godziny po powrocie z kościoła.

— Bardzo dobrze, proszę pana.

— Z jakim nadzwyczajnym uśmiechem wypowiedziałaś te słowa „bardzo dobrze", Jane! Jak ci pałają rumieńce na policzkach i jak dziwnie błyszczą oczy! Czy aby dobrze się czujesz?

— Chyba tak.

— „Chyba tak"! Co ci jest? Powiedz mi, co czujesz.

— Nie mogę; żadne słowa nie potrafiłyby wyrazić mych uczuć. Pragnęłabym, aby ta godzina nie miała końca kto wie, jaki los przynieść może następna.

— To chorobliwe przywidzenia, Jane! Podnieciłaś się zbytecznie albo przemęczyłaś !

— A pan czy czuje się spokojny i szczęśliwy?

— Spokojny?... nie, ale szczęśliwy do głębi serca.

Podniosłam ku niemu wzrok, chcąc wyczytać na jego twarzy oznaki szczęścia; zarumieniona była i pełna ognia.

— Miej ufność we mnie, Jane — powiedział. —

Ulżyj duszy, jeżeli ją ciężar jaki przygniata, podziel go ze mną. Czego się obawiasz?... Że nie okażę się dobrym mężem?

— To nawet przez myśl mi nie przeszło.

— Czy może lękasz się tej nowej sfery, w jaką masz wejść?... Albo nowego życia, które cię czeka?

— Nie.

— Stawiasz mnie wobec zagadki, Jane; twój wygląd i ton smutny, chociaż odważny, niepokoi mnie i sprawia mi przykrość. Pragnę wyjaśnienia.

— Więc niech pan słucha. Nie było pana w domu wczorajszej nocy.

— Tak, wiem; i wspomniałaś przed chwilą, że coś się stało podczas mej nieobecności; prawdopodobnie nic ważnego; dość, że cię to zaniepokoiło. Niechże usłyszę, co to takiego. Czy pani Fairfax powiedziała coś może? Albo posłyszałaś jakieś plotki służących?... Może coś uraziło twoje drażliwe poczucie godności?

— Nie, proszę pana.

Zaczęła bić dwunasta; zaczekałam, aż mały zegar wydzwonił ją srebrzyście, a wielki zegar ochrypłym, wibrującym tonem; potem ciągnęłam dalej:

— Przez cały dzień wczorajszy byłam bardzo zajęta i bardzo szczęśliwa wśród tej ciągłej krzątaniny; wcale mnie bowiem nie prześladują, jak pan przypuszcza, lęki co do tej przyszłej sfery itp. Uważam za wielkie szczęście cieszyć się nadzieją pożycia z panem, ponieważ pana kocham. Nie, niech mnie pan teraz nie pieści. Niech mi pan pozwoli mówić swobodnie. Wczoraj pełna byłam ufności w Opatrzność i wierzyłam, że wypadki układają się zarówno dla

pańskiego, jak i mojego dobra. Był to piękny dzień, jeśli pan pamięta, spokojne powietrze, czyste niebo nie nasuwały ani cienia niepokoju o pańskie bezpieczeństwo i wygodę w podróży. Po herbacie przechadzałam się trochę, myśląc o panu. Czułam pana w myślach, tak blisko siebie, że prawie mi nie brakowało istotnej pańskiej obecności. Myślałam o czekającym mnie życiu — życiu z panem, szerszym i ruchliwszym od mojego własnego, jak głębina morska jest szersza od płytkiego łożyska wąskiego strumyka, który w nią wpada. Dziwiłam się, dlaczego moraliści nazywają ten świat dziką pustynią: dla mnie kwitł on jak róża. O zachodzie słońca oziębiło się, niebo powlokło się chmurami, wróciłam do domu. Sophie zawołała mnie na górę, żebym obejrzała ślubną suknię, którą właśnie przyniesiono, a pod nią, w pudle, znalazłam dar pański — ten welon, który w swojej książęcej hojności kazał pan przysłać z Londynu, postanowiwszy widocznie, skoro nie chciałam klejnotów, zmusić mnie fortelem do przyjęcia czegoś równie kosztownego. Uśmiechałam się rozwijając go i układałam w myśli, jak będę żartować z pana, jego arystokratycznych gestów i chęci przebrania plebejskiej narzeczonej za damę wysokiego rodu. Myślałam o tym, że zaniosę na dół do pana welon z gładkiego tiulu, który sama przygotowałam jako nakrycie dla mojej nisko urodzonej głowy, i że zapytam, czy to wystarcza dla kobiety, która nie może przynieść mężowi w posagu ani majątku, ani piękności, ani stosunków. Widziałam wyraźnie, jaką pan będzie miał minę; słyszałam pańskie gwałtowne republikańskie odpowiedzi i dumne twierdzenie, że nie potrzebuje pan ani majątku zwiększać, ani stanowiska swego podnosić przez ożenek dla pieniędzy albo dla tytułu.

— Jak ty mnie dobrze znasz, ty mała czarownico! — wtrącił pan Rochester. — Ale cóżeś znalazła w tym welonie oprócz haftów? Czy znalazłaś truciznę albo sztylet, że taką żałosną masz teraz minę?

— Nie, nie, oprócz subtelności i bogactwa wyrobu znalazłam tam tylko pychę Fairfaxa Rochestera; lecz to mnie nie przestraszyło, już oswoiłam się z tym demonem. Ale ściemniło się, wiatr się zerwał, chociaż nie taki gwałtowny jak dzisiaj; smutno, ponuro zawodził, daleko bardziej niesamowicie. Zatęskniłam do pana. Weszłam do tego pokoju i widok pustego fotela i kominka bez płonącego ognia wionął ku mnie chłodem. Położyłam się spać, ale czas jakiś nie mogłam zasnąć. Trapił mnie niepokój, nurtowało podniecenie.

Wichura wzmagała się, i zdawało mi się, że przygłusza jakiś inny, posępny głos. Czy ten głos płynął z domu, czy z zewnątrz, tego na razie nie mogłam rozróżnić, ale powracał, niewyraźny, a jednak żałosny, ilekroć przycichał wiatr; nareszcie wytłumaczyłam sobie, że to gdzieś daleko pies wyje. Rada byłam, gdy w końcu przestał. Gdy zasnęłam, prześladowała mnie dalej we śnie ciemna, wietrzna noc. W dalszym też ciągu bardzo pragnęłam być z panem, odczuwałam takie dziwne, żałosne wrażenie, że przegradza nas jakaś zapora. Śniło mi się z początku, że szłam wzdłuż zakrętów jakiejś nieznanej drogi, otaczała mnie ciemność zupełna, deszcz mnie smagał; krępował mnie ciężar, gdyż niosłam małe dziecko: bardzo małe stworzenie, za małe i za słabe, by mogło samo chodzić, a drżało ono w moich zziębniętych rękach i boleśnie kwiliło. Pomyślałam, że pan wyprzedza mnie o duży kawał drogi; toteż natężałam wszystkie siły, by pana dogonić; czyniłam daremne wysiłki, by wymówić pańskie imię i błagać, by pan się zatrzymał; jednakże byłam skrępowana w ruchach, a głos mój zamierał bez słów; pan tymczasem, czułam to, usuwał się z każdą chwilą coraz dalej, coraz dalej...

— I te sny jeszcze teraz ciążą ci na sercu, Jane, chociaż jestem tak blisko ciebie? Ty małe nerwowe stworzenie! Zapomnij o przywidzeniach, myśl tylko o szczęściu, które jest na jawie. Powiadasz, że mnie kochasz, Żanetko; ja o tym nie zapomnę i ty temu nie możesz zaprzeczyć. Te słowa nie zamarły, nie wypowiedziane, na twoich ustach. Słyszałem je, wyraźne, jasne, może odrobinę zbyt uroczyste, ale jak muzyka słodkie: „Uważam za wielkie szczęście cieszyć się nadzieją pożycia z panem, ponieważ pana kocham." Więc ty mnie kochasz, Jane? Powtórz mi to.

— Kocham, panie, kocham całym sercem!

— No tak, to dziwne — powiedział po paru minutach milczenia — ale to zdanie przeniknęło mnie boleśnie. Dlaczego? Chyba dlatego, że wymówiłaś je z taką powagą, z takim religijnym przejęciem, a wzrok twój, wzniesiony ku mnie, miał najgłębszy wyraz wiary, prawdy i oddania; to trochę tak, jak gdyby duch jakiś stanął przy mnie. Przybierz złośliwą minkę, Jane, tak jak ty to umiesz; zdobądź się na taki przekorny, wyzywający uśmieszek; powiedz, że mnie nie cierpisz, drażnij mnie, dokuczaj, rób, co chcesz, tylko mnie nie

wzruszaj; wolałbym, żebyś mnie rozgniewała, niż nastrajała smutnie.

— Będę pana drażniła, będę panu dokuczała do syta, niech tylko dokończę swego opowiadania; ale proszę mnie wysłuchać do końca.

— Myślałem, żeś mi już wszystko opowiedziała. Myślałem, że źródłem twej melancholii był sen. Potrząsnęłam głową.

— Jak to? Jest tam coś więcej? Ale ja nie uwierzę, żeby to było coś ważnego. Z góry przestrzegam cię, że będę niedowiarkiem. Mów dalej.

Zaniepokojona jego mina, trochę lękliwa niecierpliwość tonu dziwiły mnie; mimo to mówiłam dalej:

— Śniło mi się potem, że Thornfield Hall było straszną ruiną, schroniskiem nietoperzy i sów. Śniło mi się, że z całego okazałego frontu pozostał tylko cienki mur, bardzo wysoki i wyglądający bardzo krucho. Błądziłam w noc księżycową po zarosłym trawą wnętrzu; tu potykałam się o marmurowy kominek, tam o odłamek spadłego gzymsu. Owinięta w szał, wciąż niosłam to nieznane małe dziecko; nie mogłam go nigdzie położyć, choć bolały mnie ramiona i chociaż ciężar jego opóźniał moje kroki, musiałam je piastować. W odległości, na drodze usłyszałam galop konia; byłam pewna, że to pan, a pan wyjeżdżał na wiele lat i do dalekiego kraju. Wdrapywałam się na cienki mur z szalonym, niebezpiecznym pośpiechem, pragnąc ze szczytu jeszcze dojrzeć pana na chwilę. Kamienie usuwały się spod moich nóg, gałęzie bluszczu, których się chwytałam, urywały się, dziecko w przerażeniu ściskało mnie za szyję i prawie dusiło; na koniec wydostałam się na szczyt. Ujrzałam pana jak plamkę na białej linii drogi, plamkę coraz niniejszą i mniejszą.

Wiatr wiał tak silny, że nie mogłam ustać, usiadłam na wąskim murze, uspokajałam na kolanach przestraszone dziecko; postać pana mignęła na zakręcie drogi; pochyliłam się naprzód, żeby ostatni raz pana zobaczyć; mur zaczął się kruszyć, dziecko zsunęło mi się z kolan, straciłam równowagę, spadłam i obudziłam się.

— No, teraz, Jane, to już chyba koniec.

— Koniec wstępu, proszę pana; opowiadanie dopiero przyjdzie. Przy przebudzeniu błysk światła olśnił mi oczy. Pomyślałam: „O, to już dzień!" Omyliłam się jednak, było to tylko światło świecy. Przypuszczałam, że to Sophie weszła. Na toaletce stała świeca, a drzwi szafy, w której przed pójściem spać powiesiłam ślubną suknię i welon, były otwarte. Usłyszałam tam szelest i zapytałam: „Co tam Sophie robi?" Nikt mi nie odpowiedział, ale jakaś postać wysunęła się zza szafy, wzięła świecę, podniosła ją do góry i oglądała suknię wiszącą na wieszadle. „Sophie! Sophie!" zawołałam znowu i znowu zaległo milczenie. Siadłam na łóżku, pochyliłam się naprzód: najpierw ogarnęło mnie zdziwienie, potem oszołomienie, w końcu mróz przeszedł mi po kościach. Panie Rochester, to nie była Sophie, to nie była Lea ani pani Fairfax; to nie była — nie, byłam tego i jestem dotąd pewna — to nie była nawet ta dziwna kobieta, Gracja Poole!

— Musiała to być jedna z nich — przerwał mój pan.

— Nie, proszę pana, uroczyście pana zapewniam, że nie. Postaci, która teraz stała przede mną, nigdy dotąd nie widziałam w obrębie Thornfield Hall; jej wzrost i zarys, wszystko to było nowe dla mnie.

— Opisz ją, Jane.

— Była to kobieta wysoka i tęga, z długimi, gęstymi, ciemnymi włosami, opadającymi jej na plecy. Nie wiem, jakie ubranie miała na sobie; było to coś białego i prostego, ale czy to była suknia, prześcieradło czy koszula, nie wiem.

— Czy widziałaś jej twarz?

— Z początku nie. Ale po chwili wzięła mój welon z miejsca, gdzie wisiał, podniosła go w górę, patrzyła na niego długo, a potem zarzuciła go sobie na głowę i obróciła się do zwierciadła. W tej chwili zobaczyłam odbicie jej twarzy i jej rysów zupełnie dokładnie w ciemnym podłużnym zwierciadle!

— Jakież one były?

— Straszne i widmowe. O panie, ja nigdy nie widziałam podobnej twarzy! Była to twarz bez koloru... była to twarz dzika.

Pragnęłabym zapomnieć o tych toczących się błędnie zaczerwienionych oczach, o tej okropnej sinej obrzmiałości rysów!

— Duchy zazwyczaj bywają blade.

— Ten był fioletowy; usta miał nabrzmiałe i ciemne; czoło zmarszczkami poryte; czarne brwi wysoko podniesione ponad krwią nabiegłymi oczami. Czy mam panu powiedzieć, kogo przypominała mi ta twarz?

— Powiedz.

— Diabelskie widmo... upiora.

— Ach!... I cóż ona zrobiła?

— Zdjęła mój welon ze swej strasznej głowy, rozdarła go na dwie połowy i rzuciwszy na ziemię deptała po nim.

— A potem?

— Odsunęła zasłonę okna i wyjrzała; może zobaczyła, że świt już bliski, gdyż, wziąwszy świecę, cofnęła się ku drzwiom. Tuż przy moim łóżku postać ta stanęła; ogniste oczy wpatrzyły się we mnie, przybliżyła świecę tuż do mojej twarzy i zdmuchnęła ją przed moimi oczyma. Czułam, że ohydna jej twarz pochyla się nad moją, i straciłam przytomność; po raz drugi w moim życiu, tylko po raz drugi, straciłam przytomność z przerażenia.

— Kto był przy tobie, gdy odzyskałaś zmysły?

— Nikt, proszę pana, tylko jasny dzień. Wstałam, oblałam zimną wodą głowę i twarz, napiłam się zimnej wody; czułam, że jakkolwiek osłabiona, nie jestem chora, i postanowiłam, że nikomu nie powiem o tym zjawisku, tylko panu jednemu. A teraz proszę, niech mi pan powie, kim jest ta kobieta.

— To twór nadmiernie podnieconego mózgu, bądź pewna. Będę się musiał starannie opiekować tobą, mój skarbie; nerwy takie jak twoje nie znoszą szorstkiego dotknięcia.

— Proszę mi wierzyć, moje nerwy to nie zawiniły; to było coś

realnego; ten fakt istotnie się wydarzył.

— A twoje poprzednie sny czv także były realne? Czy Thornfield Hall jest rudną? Czy rozłączają nas niezwyciężone przeszkody? Czy opuszczam ciebie bez łzy, bez pocałunku, bez słowa?

— Dotychczas jeszcze nie.

— Czy zamierzam to uczynić? Ale już zaczął się dzień, który nierozerwalnie ma nas związać; a gdy raz będziemy złączeni, nie powtórzą się te imaginacyjne strachy, na to ci daję słowo.

— Imaginacyjne strachy! Pragnęłabym uwierzyć, że to tylko to pragnęłabym tego więcej teraz niż kiedykolwiek, skoro nawet pan nie może mi wyjaśnić tajemnicy tego okropnego gościa.

— A skoro ja tego uczynić nie mogę, Jane. więc nie mogła to być realna istota.

— Ależ gdy powiedziałam sobie to samo, wstawszy dziś rano, i gdy rozejrzałam się po pokoju, czerpiąc odwagę i pociechę z miłego wyglądu znajomych rzeczy w pełnym świetle dnia, ujrzałam na podłodze to, co wyraźnie zadało kłam mojemu przypuszczeniu, ujrzałam welon rozdarty na dwie połowy!

Czułam, że pan Rochester drgnął i zatrząsł się; szybko chwycił mnie w objęcia.

— Bogu niech będą dzięki — zawołał — że jeżeli coś złośliwego zbliżyło się do ciebie wczrajszej nocy, welon tylko na tym ucierpiał. Och, gdy pomyślę, co mogło się było zdarzyć!

Oddychał szybko i tak silnie przyciskał mnie do piersi, że tchu prawie nie mogłam złapać. Po paru minutach milczenia mówił dalej, już pogodnie:

— Ja ci to wszystko wytłumaczę. To był półsen, półjawa. Pewna kobieta, nie wątpię o tym, weszła do twojego pokoju: a tą kobietą była — musiała być —

Gracja Poole. Ty sama nazywasz ją dziwną istotą; po tym wszystkim, co o niej wiesz, masz prawo tak ją nazywać. Co ona

zrobiła mnie? Co zrobiła Masonowi? W stanie takiego półsnu-półjawy zauważyłaś jej wejście i jej czynności. Ale tak jak byłaś rozgorączkować na, prawie w malignie, przypisałaś jej wygląd diabelskiej zjawy, różny od jej prawdziwego wyglądu. Długie, rozczochrane włosy, obrzękła sina twarz, przesadnie wielki wzrost to była złuda wyobraźni, to był wynik nocnej zmory; złośliwe podarcie welonu jest prawdą i to do niej podobne. Pojmuję, że chciałabyś mnie zapytać, dlaczego taką kobietę trzymam w moim domu. W rok po naszym ślubie powiem ci to, ale nie teraz. Czy jesteś zadowolona, Jane? Czy zgadzasz się na to moje wyjaśnienie tajemnicy?

Zastanowiłam się i rzeczywiście Wydało mi się ono jedynie możliwe. Zadowolić mnie ono nie mogło, ale chcąc zrobić przyjemność mojemu panu, udałam, że tak. Ulgę mi to jednakie przyniosło; toteż odpowiedziałam mu zdecydowanym uśmiechem. A ponieważ dawno już minęła pierwsza, zaczęłam się zbierać do odejścia.

— Czy Sophie śpi z Adelką w dziecinnym pokoju? — zapytał, gdy zapalałam świecę.

— Tak.

— A w łóżeczku Adelki znajdzie się dość miejsca dla ciebie. Musisz się dzisiaj przespać z nią razem, Jane; nie dziw, że cię zdenerwował wypadek, o którym mi opowiedziałaś, toteż wolałbym, żebyś nie spała dziś sama. Przyrzeknij mi, że pójdziesz do dziecinnego pokoju.

— Uczynię to z największą chęcią, proszę pana.

— I zamknij drzwi bezpiecznie od środka. Obudź Sophie, gdy pójdziesz na górę, pod pozorem, że chcesz ją prosić, by cię jutro Wcześnie obudziła, gdyż musisz być ubrana i zjeść śniadanie przed ósmą. A teraz już żadnych ponurych myśli... odpędź smutki i troski, Żanetko! Czy słyszysz, jak wiatr przycichł, jak łagodnie szemrze? I deszcz już nie bije w szyby. Spójrz — rzekł podnosząc storę — jaka piękna noc.

I tak też było. Połowa nieba była zupełnie czysta: chmury, skupiając się teraz przed wiatrem, który zmienił się na zachodni, pomykały ku

wschodowi w długich, osrebrzonych zwałach. Spokojnie świecił księżyc.

— No i cóż — powiedział pan Rochester, patrząc mi w oczy pytającym spojrzeniem. — Jakże się teraz czuje moja Żanetka?

— Noc jest pogodna i ja również.

— I nie będziesz dziś śniła o rozłączeniu i zgryzotach, ale o szczęściu w miłości i radosnym połączeniu!

Ta przepowiednia do połowy się tylko ziściła; nie śniłam istotnie o smutkach, ale też nie o radości, gdyż w ogóle nie spałam tej nocy. Z małą Adelką w objęciach, śledziłam sen dziecka — taki spokojny, beznamiętny, niewinny — i czekałam, czy rychło dzień nadejdzie. Trzeźwa, z pobudzonym w sobie życiem, skoro tylko słońce wstało, wstałam i ja. Pamiętam, że Adelka tuliła się do mnie, gdy ją opuszczałam; pamiętam, że ucałowałam ją, zdejmując jej rączki z mej szyi, i płakałam nad nią z dziwnym wzruszeniem, i uciekłam lękając się, by moje łkanie nie przerwało jej zdrowego spoczynku. Wydała mi się symbolem minionego życia, a ten, na którego spotkanie miałam się teraz przystroić, ten budzący we mnie lęk, lecz uwielbiany człowiek, uosabiał dla mnie nie znaną mi przyszłość.

ROZDZIAŁ XXVI

Sophie przyszła ubrać mnie o siódmej; bardzo długo spełniała swoje zadanie, tak długo, że aż pan Rochester, zniecierpliwiony widać tym zwlekaniem, przysłał zapytać, dlaczego nie przychodzę. Przypinała mi właśnie broszką do włosów welon (ten prosty tiulowy); jak mogłam najprędzej, wymknęłam się z jej rąk.

— Niech pani zaczeka! — zawołała po francusku. —

Niech się pani przejrzy w lustrze! Ani razu pani nie spojrzała!

Obróciłam się przeto w drzwiach i spojrzałam w lustro: ujrzałam jakąś postać w strojnej sukni i welonie, tak niepodobną do mnie, że wydała mi się niemal obrazem kogoś obcego. „Jane!" — usłyszałam wołanie i pośpieszyłam na dół. U stóp schodów powitał mnie pan Rochester.

— Maruda! — rzekł — ja tu płonę z niecierpliwości, a ty tak zwlekasz!

Zaprowadził mnie do jadalni, obejrzał bystro od stóp do głów, oświadczył, że jestem ,,jasna jak lilia i nie tylko dumą jego życia, ale radością jego oczu", po czym zapowiedział, że daje mi tylko dziesięć minut na zjedzenie śniadania, i zadzwonił. Zjawił się niedawno przyjęty lokaj.

— Czy John przygotował powóz?

— Tak, proszę pana.

— A kufry czy zniesione na dół?

— Właśnie w tej chwili je znoszą.

— Idź do kościoła, przekonaj się, czy pan Wood (pastor) i kościelny już tam są; wracaj i powiedz mi.

Kościół, jak czytelnikowi wiadomo, był tuż za bramą; służący niebawem powrócił.

— Pan Wood jest w zakrystii, proszę pana; ubiera się w komżę.

— A powóz?

— John zaprzęga konie.

— Nie będziemy go potrzebowali do kościoła, ale musi być gotów z chwilą, gdy powrócimy; wszystkie pudła i kufry ułożone i przywiązane, a stangret na koźle.

— Słucham pana.

— Jane, jesteś gotowa?

Wstałam. Nie było drużbów ani druhen, nie było żadnych krewnych, nikogo prócz pana Rochestera i mnie. Pani Fairfax stała w hallu, gdyśmy przechodzili. Byłabym chętnie do niej przemówiła, ale ręka moja była w żelaznym uścisku; pan Rochester ciągnął mnie tak, że ledwo zdołałam nadążyć a widząc jego twarz czułam, że nie zniesie pod żadnym pozorem ani sekundy opóźnienia. Nie wiem, czy kiedy inny pan młody wyglądał tak jak on — taki skupiony w swoim zamiarze, tak groźnie zdecydowany, a przy stanowczości na czole z takimi płomieniami i blaskami w oczach.

Nie wiem, czy była pogoda, czy słota; idąc ścieżką nie patrzałam ani na niebo, ani na ziemię; serce moje przeszło, w oczy, a oczy moje tkwiły w nim. Chciałam ujrzeć tę rzecz niewidzialną, w której zdawał się topić spojrzenie nienawistne i groźne, odgadnąć te myśli, których sile przeciwstawiał wyzwanie i opór.

U furtki cmentarza kościelnego przystanął; spostrzegł, że jestem zupełnie bez tchu.

— Jakiż ja jestem okrutny w miłości! — powiedział. — Zaczekaj chwilkę, oprzyj się o mnie, Jane!

I teraz już mogę sobie przypomnieć widok starego domu Bożego wznoszącego się przede mną, jakąś wronę okrążającą jego wieżę, a w głębi czerwonawe niebo poranne. Pamiętam też trochę zielone

mogiły i nie zapomniałam o dwóch postaciach ludzi obcych, błądzących wśród tych zielonych wzgóreczków i odczytujących napisy na kilku omszałych kamieniach grobowych. Zauważyłam ich, ponieważ, zobaczywszy nas, poszli za tylną ścianę kościoła, skąd byłam pewna, że bocznym wejściem wejdą do kościoła i będą świadkami ceremonii. Pan Rochester ich nie spostrzegł; poważnie wpatrywał się w moją twarz, z której widocznie krew chwilowo uciekła, gdyż czułam pot na czole, chłód ust i policzków. Gdy niebawem przyszłam do siebie, poszedł ze mną wolno ścieżką ku wejściu.

Weszliśmy do cichej, skromnej świątyni: kapłan czekał w białej komży przy niskim ołtarzu, obok niego kościelny. Cicho było wokół; dwa cienie tylko poruszały się w odległym kącie. Przypuszczenia moje były trafne; dwaj obcy wsunęli się przed nami i teraz, odwróceni do, nas plecami, stali przed grobową niszą Rochesterów i przez barierkę przyglądali się staremu marmurowemu grobowcowi, gdzie anioł klęczący strzegł szczątków Damera de Rochester, poległego pod Marston Moor w wojnie domowej, i Elżbiety, jego żony.

Uklękliśmy przed ołtarzem. Słysząc ostrożne kroki za sobą, spojrzałam przez ramię: jeden z obcych panów zbliżał się ku ołtarzowi. Zaczął się obrzęd ślubny. Kapłan odczytał wytłumaczenie związku małżeńskiego, po czym postąpiwszy jeszcze krok naprzód, nachylił się lekko ku panu Rochesterowi i ciągnął dalej:

— Żądam, tego i kładę na sumieniu wam obojgu (tak jak odpowiadać będziecie w dzień straszliwego sądu, gdy tajemnice serc wszelkich będą odkryte), ażebyście, jeżeli które z was wie o przeszkodzie, dla której nie możecie, być prawnie małżeństwem związani, teraz to wyznali; gdyż bądźcie tego pewni, że ci, którzy połączyli się inaczej, niż słowo Boże dozwala, nie są połączeni przez Boga ani też małżeństwo ich nie jest prawowite.

Zatrzymał się wedle zwyczaju. Czyż pauzę po tym zdaniu przerywa, kiedykolwiek odpowiedź? Może raz na sto lat. Toteż duchowny, który oczu nie oderwał od książki i zatrzymał się tylko na chwilę, już wyciągnął rękę ku panu Rochesterowi, już otwierał usta, by wypowiedzieć pytanie; „Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę pojąć tę kobietę za małżonkę?" — gdy wyraźny głos odezwał się w

pobliżu:

— Małżeństwo zawarte być nie może; oświadczam, że istnieje przeszkoda.

Kapłan podniósł wzrok na mówiącego i stał niemy; kościelny również; pan Rochester zachwiał się, jak gdyby ziemia zatrzęsła mu się pod stopami; stanąwszy mocniej i nie odwracając głowy ani oczu powiedział:

— Proszę kontynuować.

Głębokie milczenie zapadło, gdy wymówił te słowa cichym tonem. Po chwili pan Wood przemówił:

— Nie mogę kontynuować, dopóki nie zbadam tego oświadczenia i nie przekonam się, czy to prawda, czy fałsz.

— Małżeństwo nie może dojść do skutku — odezwał się głos za nami. — Mam możność udowodnić to, co twierdzę: istnieje niepokonalna przeszkoda.

Pan Rochester słyszał, ale nie zważał na to, co słyszy. Stał uparty, sztywny, bez ruchu, pochwycił tylko moją rękę. Ach, jakiż gorący, jakiż silny był to uścisk; jakże jego blade, stanowcze, szerokie czoło wyglądało w tej chwili, jakby z marmuru wykute! Jakże błyszczały jego oczy, spokojne i czujne, a jednak jakby oszalałe w głębi!

Widać było, że pan Wood nie wiedział, co ma począć.

— Jakiegoż rodzaju jest ta przeszkoda? — zapytał. — Może da się ona obejść... może jakoś wytłumaczyć?

— Wątpię — brzmiała odpowiedź. — Nazwałem ją „niepokonalną", a mówię na pewnej podstawie.

Mówca wysunął się naprzód i oparł o galeryjkę. Ciągnął dalej, wymawiając każde słowo wyraźnie, spokojnie, dobitnie, chociaż niegłośno:

— Przeszkoda po prostu polega na tym, że wchodzi tu w grę poprzednie małżeństwo. Pan Rochester ma żonę w danej chwili

żyjącą.

Wszystkie nerwy na dźwięk tych cicho wymówionych słów szarpnęły się we mnie, jak nigdy nie szarpnął nimi huk pioruna; mróz ani ogień nigdy tak gwałtownie na bieg krwi mej nie podziałały. Opanowałam się jednakże; nie groziło mi omdlenie. Spojrzałam na pana Rochestera; przyciągnęłam do siebie jego spojrzenie. Cała jego twarz była jak bezbarwna skała; w oczach lśniła iskra i taił się piorun. Nie zaprzeczał niczemu — zdawało się, że wyzywa świat cały. Bez słów, bez uśmiechu, jak gdyby nie rozpoznawał we mnie ludzkiej istoty, objął mnie tylko wpół ramieniem i przykuł do swego boku.

— Kto pan jest? — zapytał obcego.

— Nazywam się Briggs, jestem prawnikiem z Londynu.

— I chce mi pan narzucić żonę?

— Chcę panu przypomnieć o istnieniu pańskiej małżonki, którą prawo uznaje, choć pan jej nie uznaje.

— Zechciej mi pan udzielić bliższych szczegółów, jakie jej imię, rodzina, miejsce zamieszkania.

— Oczywiście.

Pan Briggs wydobył papier z kieszeni i przeczytał urzędowym, nosowym głosem:

— „Twierdzę i mogę przedstawić na to dowody, że dwudziestego października roku (tu była data o piętnaście lat wcześniejsza) Edward Fairfax Rochester z Thornfield Hall w hrabstwie X i z Ferndean Manor w hrabstwie N w Anglii pojął za żonę siostrę moją, Bertę Antoninę Mason, córkę Jonasza Masona, kupca, i Antoniny, jego żony Kreolki, w kościele N w Spanish Town na Maderze. Akt ślubny wniesiony został do ksiąg kościelnych tegoż kościoła, kopia jego jest obecnie w moim posiadaniu. Podpis: Ryszard Mason."

— O ile to jest dokument autentyczny, może on dowodzić, że byłem ożeniony, ale nie dowodzi, że kobieta, wymieniona jako moja żona, żyje dotychczas.

— Żyła trzy miesiące temu — odpowiedział prawnik.

— Skąd panu o tym wiadomo?

— Mam na to świadka, którego świadectwu nawet pan chyba nie zaprzeczy.

— Proszę, niech go pan przedstawi albo ruszaj pan do diabła!

— Najpierw go przedstawię, jest tutaj obecny. Panie Mason, bądź pan łaskaw przyjść tu bliżej.

Pan Rochester na dźwięk tego imienia zaciął zęby; przejął go jakiś konwulsyjny dreszcz; będąc tak blisko, tuż przy nim, odczułam ten wstrząs furii i rozpaczy. Drugi z dwu obcych, który dotychczas pozostawał w tyle, teraz postąpił naprzód; blada twarz wychyliła się sponad ramienia prawnika — tak, to był Mason. Pan Rochester odwrócił się i przeszył go wzrokiem. Oczy jego, jak często wspominałam, były czarne; teraz w ich ponurej czerni błyskało jakieś rdzawe, a raczej krwawe światło. Twarz jego zarumieniła się, jak gdyby śniade policzki i blade czoło rozżarzyły się płomieniem ognia płynącego z serca. Podniósł silne ramię i byłby uderzył Masona, byłby go rzucił na posadzkę kościoła i zabił może zapamiętałym ciosem, gdyby nie to, że Mason się cofnął, wydając słaby okrzyk: „O wielki Boże!" Pogarda ostudziła gniew pana Rochestera, pasja jego zamarła jak pod mrożącym powiewem, zapytał tylko:

— I cóż ty masz do powiedzenia?

Zbielałe wargi Masona wyszeptały jakąś niezrozumiałą odpowiedź.

— Diabli nadali, że też ty nie potrafisz odpowiedzieć wyraźnie. Jeszcze raz pytam, co ty masz do powiedzenia?

— Panie, panie — przerwał duchowny — niech pan nie zapomina, że pan jest w świątyni! — po czym zwracając się do Masona zapytał łagodnie: — Co panu wiadomo o tym, czy żona tego pana żyje, Czy też nie?

— Odwagi — nalegał prawnik — niechże pan mówi!

— Żyje i mieszka teraz w Thornfield Hall — wyraźniej już wykrztusił Mason. — Widziałem ją tego roku w kwietniu. Jestem jej bratem.

— W Thornfield Hall! — wykrzyknął kapłan. — Ależ to niemożliwe; jestem starym mieszkańcem tych stron, mój panie, i nigdy nie słyszałem o żadnej pani Rochester w Thornfield Hall!

Widziałam, jak posępny uśmiech wykrzywił usta pana Rochestera, gdy mruknął:

— Nie, na Boga! Postarałem się o to, by nikt nie słyszał o tym czy o niej pod tym nazwiskiem.

Zamyślił się, jak gdyby przez kilka minut sam z sobą się naradzał; po czym powziąwszy postanowienie wyjawił je:

— Dosyć tego! niech wszystko wyjdzie na jaw od razu jak wystrzelona kula z lufy! Panie Wood, proszę zamknąć księgę i zdjąć komżę; Johnie Green — zwrócił się do kościelnego — wyjdźcie z kościoła, nie będzie dzisiaj ślubu.

Kościelny posłusznie wyszedł.

Pan Rochester mówił dalej śmiało, bez ogródek: — Bigamia to brzydkie słowo... ja jednak zamierzałem popełnić bigamię; los jednakże mnie przechytrzył czy też Opatrzność mnie powstrzymała, może ta ostatnia. W tej chwili niewiele lepszy jestem od diabła i, jak by mi to powiedział tu obecny pastor, zasługuję niewątpliwie na najsurowszy wyrok Boży, nawet na ognie piekielne, na wiekuiste potępienie. Panowie, mój plan został zburzony; to, co ten prawnik i jego klient mówią, jest prawdą: jestem żonaty, a kobieta, która została mi zaślubiona, żyje! Mówi pan, panie Wood, że pan nigdy nie słyszał o żadnej pani Rochester tam we dworze, przypuszczam jednak, że nieraz dawał pan posłuch pogłoskom o jakiejś tajemniczej wariatce, trzymanej tam pod kluczem i strażą. Niektórzy szeptali panu, że to moja przyrodnia siostra z nieprawego łoża, inni, że moja porzucona kochanka. Otóż teraz oznajmiam panu, że ona jest moją żoną poślubioną przeze mnie piętnaście lat temu — Bertą Mason, siostrą tego zucha, który teraz blady, drżący na całym ciele pokazuje, jakie odważne serce zdobić może

mężczyznę. Nabierz otuchy, Dick!... nie bój się mnie!... tak jak bym nie uderzył kobiety, tak nie uderzyłbym i ciebie. Berta Mason jest obłąkana i pochodzi z obłąkańczej rodziny: idioci i wariaci przez trzy pokolenia. Matka jej, Kreolka, była nie tylko wariatką, ale i pijaczką, o czym dowiedziałem się już po ślubie, gdyż przedtem oni milczeli o tych tajemnicach rodzinnych. Berta, jako posłuszna córka, naśladowała swoją rodzicielkę tak w jednym, jak i w drugim. Uroczą miałem towarzyszkę: czystą, mądrą, skromną, możecie sobie wyobrazić, jaki szczęśliwy był ze mnie człowiek. Jakie bajeczne sceny przeżyłem! Jakie niebiańskie miałem życie, żebyście tylko wiedzieli! Ale nie potrzebuję dawać wam bliższych wyjaśnień. Panie Briggs, panie Wood, Ryszardzie, zapraszam was wszystkich, przyjdźcie do mojego domu i odwiedźcie pacjentkę pani Poole, a moją żonę! Zobaczycie, jakiego rodzaju istotę, oszukany, pojąłem w małżeństwo, i osądźcie, czy miałem prawo, czy nie powinienem był zerwać tego związku i szukać współżycia z człowiekiem. To dziewczątko — ciągnął dalej patrząc na mnie — tyle wiedziało co i pan, panie Wood, o tej wstrętnej tajemnicy; myślała, że wszystko załatwiam prawnie, że wszystko jest w porządku. Nie śniło się jej, że może być wciągnięta w fikcyjny związek z nieszczęśliwcem już związanym ze złą, obłąkaną i zbydlęconą istotą! Pójdźcie wszyscy, proszę, za mną!

Wciąż trzymając mnie silnie przy sobie wyszedł z kościoła; trzej panowie poszli za nami. Przed frontowymi drzwiami dworu stał powóz.

— Zabierz powóz do wozowni, John — rozkazał pan Rochester chłodno. — Nie będzie dzisiaj potrzebny.

Gdyśmy weszli, pani Fairfax, Adelka, Sophie i Lea wystąpiły naprzeciw nas z powitaniem i życzeniami.

— Idźcie każda w swoją drogę! — krzyknął pan domu. — Co mi po waszych życzeniach? Komu są potrzebne? Nie mnie! O piętnaście lat są spóźnione!

Przeszedł i zaczął wstępować na schody, wciąż trzymając moją rękę i wciąż dając tym panom znaki, by szli za nim, co też uczynili. Weszliśmy na pierwsze schody, przeszliśmy wzdłuż korytarza i stamtąd udaliśmy się na trzecie piętro. Niskie czarne drzwi,

otworzone kluczem pana Rochestera, wpuściły nas do obwieszonego makatami pokoju z wielkim łożem i malowaną szafą.

— Znasz to miejsce, Ryszardzie — zwrócił się pan domu do Masona — ona cię tutaj pogryzła i pchnęła nożem.

Podniósł zasłonę ze ściany odkrywając drugie drzwi; te drzwi otworzył także. W pokoju bez okna palił się ogień, osłonięty wysoką i silną kratą, i lampa zawieszona u sufitu na łańcuchu. Gracja Poole nachylała się nad ogniem, widocznie gotując coś w garnuszku. W głębokim cieniu, w najdalszym końcu pokoju, postać jakaś biegała tam i z powrotem. Co to było, zwierzę czy ludzka istota, trudno było na pierwszy rzut oka rozpoznać; posuwało się to, zdaje się, na czworakach; parskało i mruczało jak dziwne jakieś dzikie zwierzę. Jednakże było ubrane, a obfitość ciemnych, siwiejących włosów, rozczochranych jak grzywa, zakrywała głowę i twarz.

— Dzień dobry, pani Poole! — przemówił pan Rochester. — Jak się pani miewa i jak się miewa dzisiaj pani pupilka?

— Mamy się nie najgorzej, dziękuję panu — odpowiedziała Gracja odstawiając ostrożnie garnuszek. — Trochę burkliwa, ale nie „szalejąca".

Dziki krzyk zadał kłam tej korzystnej ocenie. Ubrana hiena podniosła się i stała, wysoka, na tylnych łapach.

— Ach! panie, ona pana widzi! — zawołała Gracja — lepiej niech pan odejdzie.

— Tylko kilka chwil, Gracjo, musi pani pozwolić pozostać kilka chwil.

— A więc niechże pan uważa... Na miłość boską, niechże pan uważa!

Wariatka ryknęła; odgarnęła z twarzy splątane włosy i patrzyła dziko na gości. Poznałam tę fioletową twarz, te obrzękłe rysy. Pani Poole zbliżyła się.

— Usuń się, pani, z drogi — rzekł pan Rochester odpychając ją na bok — ona teraz chyba nie ma noża, a ja dobrze uważam.

— Nigdy się nie wie, co ona może mieć, proszę pana; ona jest taka przebiegła; to ponad siły człowieka zgłębić jej chytrość!

— Może byśmy już poszli? — szepnął Mason.

— A idźże do diabła! — ofuknął go szwagier.

— Uważać! — krzyknęła Gracja.

Trzej panowie cofnęli się równocześnie. Pan Rochester rzucił mnie poza siebie; wariatka skoczyła i ze złością chwyciła go za gardło przykładając zęby do jego policzka; zaczęła się walka, zmaganie. Była to wielka kobieta, wzrostem prawie dorównująca mężowi, a przy tym tęga; okazywała męską siłę w walce, parę razy omal że go nie zadusiła, mimo że on był taki mocny. Mógł był uwolnić się od niej jednym dobrze wymierzonym ciosem, ale nie chciał bić; chciał tylko poskromić ją siłą. W końcu unieruchomił jej ręce; Gracja Poole podała mu sznur, który miała w pogotowiu; skrępował ręce szalonej na plecach; przy pomocy dłuższego sznura, który też był pod ręką, przywiązał ją do krzesła. Wszystko to odbywało się wśród najdzikszych wrzasków i konwulsyjnych rzutów ciała obłąkanej. Pan Rochester, ukończywszy to zadanie, odwrócił się do widzów; popatrzył na nich z uśmiechem gorzkim i zrozpaczonym.

— Taka oto jest moja żona — powiedział. — Taki jest jedyny małżeński uścisk, jaki znać mi wolno... takie pieszczoty mają mnie cieszyć w wolnych chwilach! A tu oto jest to (tu położył rękę na moim ramieniu), co pragnąłem zdobyć — ta młoda dziewczyna, która tak poważna i spokojna stoi u wrót piekła i w skupieniu przygląda się szatańskim harcom. Upragniona mi była taka odmiana... Panie Wood, panie Briggs, popatrzcież, jaka różnica! Porównajcie te czyste oczy z tamtymi czerwonymi gałkami, tę twarz z tamtą maszkarą, tę postać z tamtą bezkształtną masą ciała, a potem sądźcie mnie, kapłanie Ewangelii i stróżu prawa, i pamiętajcie, że jak będziecie sądzili, tak będziecie sądzeni! A teraz odejdźcie, proszę! Muszę zamknąć swój skarb.

Usunęliśmy się wszyscy. Pan Rochester pozostał jeszcze na chwilę, by wydać jakieś polecenie Gracji Poole. Adwokat przemówił do mnie, gdy schodziliśmy ze schodów:

— Pani — rzekł — jest wolna od wszelkiego zarzutu; wuj pani ucieszy się, gdy się o tym dowie, o ile naturalnie będzie jeszcze żył, gdy pan Mason powróci na Maderę.

— Mój wuj! Co pan wie o nim? Czy pan go zna?

— Pan Mason go zna. Pan Eyre przez kilka lat był korespondentem jego firmy w Funchalu. Gdy wuj pani otrzymał list z wiadomością o zamierzonym małżeństwie pani z panem Rochesterem, pan Mason przypadkiem był właśnie u niego. Pan Eyre wspomniał o tej wiadomości, gdyż wiedział, że mój klient znał pana tego nazwiska. Pan Mason zdziwiony i zmartwiony, jak pani może to sobie wyobrazić, wyjawił istotny stan rzeczy. Wuj pani (przykro mi, że muszę to powiedzieć) jest obłożnie chory. Zważywszy istotę jego cierpienia — uwiąd starczy już mocno posunięty — trudno się spodziewać, by się mógł jeszcze podźwignąć. Nie mógł zatem sam pośpieszyć do Anglii, by wyplątać panią z sieci, w jaką pani wpadła, ale błagał pana Masona, by nie tracąc czasu poczynił odpowiednie kroki ku zapobieżeniu nieprawemu małżeństwu. Odesłał go do mnie po pomoc. Spieszyłem się, jak tylko mogłem, i rad jestem, jak i pani niewątpliwie, że się nie spóźniłem. Gdybym nie był przekonany, że wuj pani umrze, zanimby pani zdążyła dostać się na Maderę, radziłbym pani towarzyszyć panu Masonowi w jego powrotnej drodze: w obecnym jednakże położeniu myślę, że lepiej, by pani pozostała w Anglii, dopóki nie otrzyma pani dalszych wiadomości albo od pana, albo o panu Eyre. Czy czekamy tu jeszcze na co? — zwrócił się do pana Masona.

— Nie... nie, chodźmy już — odpowiedział tamten trwożliwie; i nie czekając na pożegnanie z panem Rochesterem wyszli obydwaj przez hall. Duchowny zatrzymał się jeszcze, by udzielić parę słów upomnienia czy nagany swemu dumnemu parafianinowi; spełniwszy ten obowiązek i on się pożegnał.

Stojąc w na wpół otwartych drzwiach mojego pokoju słyszałam, jak odchodzi. Wtedy zamknęłam drzwi, zasunęłam rygiel i zaczęłam — nie płakać, nie rozpaczać, na to zbyt jeszcze byłam spokojna, ale automatycznie zdejmować ślubną suknię i na jej miejsce włożyłam wełnianą, którą, jak myślałam, ostatni raz miałam na sobie wczoraj. A potem usiadłam. Czułam się słaba i zmęczona. Oparłam ramiona o stół i głowa mi na nie opadła. I teraz zaczęłam myśleć; dotychczas

tylko słuchałam, patrzyłam, poruszałam się, chodziłam tu i tam, gdzie mnie prowadzono lub ciągnięto, widziałam następujące po sobie wypadki i słyszałam wyjaśnienia. Ale teraz zaczęłam myśleć.

Wypadki tego ranka miały przebieg wcale spokojny — z wyjątkiem jednej krótkiej sceny z obłąkaną; przejście w kościele nie było hałaśliwe; nie było wybuchu namiętności, głośnych sporów, kłótni, zuchwałych wyzywań, łez i łkań. Powiedziano kilka słów, zrobiono spokojnie zastrzeżenie co do ważności ślubu; padło kilka surowych, krótkich zapytań ze strony pana Rochestera, dano odpowiedzi, wyjaśnienia, przedstawiono dowód; mój pan otwarcie uznał prawdę, po czym obejrzano żyjący dowód; ci, co przyszli, poszli sobie, a teraz było po wszystkim.

Byłam w swoim pokoju jak zwykle — niby ta sama, bez widocznej zmiany. A jednak gdzież była wczorajsza Jane Eyre? Gdzie było jej życie?... Gdzie były jej nadzieje?...

Jane Eyre, wczoraj płonąca, pełna nadziei kobieta, panna młoda — dziś była znowu zziębniętym, samotnym dziewczęciem; życie jej było bezbarwne, widoki na przyszłość smutne. Mróz grudniowy przyszedł w pełni lata; lód osiadł na dojrzałych owocach; wicher złamał rozkwitające róże; łąki i pola pokrył lodowaty całun; dróżki, które ubiegłej nocy rumieniły się kwieciem, były dziś zasypane śniegiem, a lasy, jeszcze przed dwunastu godzinami tak zielone i pachnące jak tropikalne gaje, rozciągały się teraz puste i białe jak puszcze świerkowe w zimnej Norwegii. Wszystkie moje nadzieje umarły pod obuchem straszliwego wyroku takiego, jaki padł niegdyś na wszystkich pierworodnych w krainie Egiptu. Spojrzałam na swe najmilsze życzenia jeszcze wczoraj tak żywo płonące: leżały martwe, zimne, sine trupki, które już nigdy odżyć nie mogły. Spojrzałam na moją miłość, na to uczucie, własność mego pana, gdyż on je stworzył; drżało w moim sercu jak chore dziecko w zimnej kołysce. Choroba i męka nim wstrząsały; nie mogło szukać objęć pana Rochestera, nie mogło zaczerpnąć ciepła przy jego piersi. Ach, nigdy już nie będę mogła się zwrócić do niego, gdyż wiara zawiodła, zaufanie znikło! Pan Rochester nie był już dla mnie tym, kim był pierwej, gdyż nie był tym, za którego go miałam. Nie chciałam przypisywać mu występku; nie chciałam powiedzieć, że mnie oszukał, ale pojęcie nieskazitelnej prawdy już się nie wiązało z

wyobrażeniem o nim. Widziałam jasno, że muszę wyjechać. Kiedy, jak, dokąd — tego nie wiedziałam na razie, ale on sam, nie wątpiłam o tym, będzie mnie śpiesznie chciał wydalić z Thornfield. Rzeczywistego przywiązania, zdaje się, nie mógł czuć dla mnie; był to tylko kaprys namiętności; ten został udaremniony; teraz już nie będzie mnie pragnął. Bałabym się nawet spotkać z nim teraz; mój widok musiałby mu być przykry. O, jakież wielkie było moje zaślepienie! Jak niewłaściwie postępowałam. Oczy miałam zamknięte; falująca ciemność zdawała się mnie opływać, a myśli wpadały prądem czarnym, zmąconym. Pozostawiona samej sobie, osłabła, do wysiłku niezdolna, wyobrażałam sobie, że ległam w wyschłym łożysku wielkiej rzeki, że słyszę huczące w dalekich górach wody, że czuję nadpływający strumień; nie miałam dość woli, by wstać; nie miałam siły uciekać. Leżałam bezsilna i pragnęłam umrzeć. Jedna myśl tylko jeszcze kołatała we mnie żywa — pamięć o Bogu. Ona zrodziła nie wypowiedzianą słowami modlitwę; te słowa snuły się w ciemnicy mej duszy jak coś, co powinnam była wyszeptać, choć do wyrażenia ich brakło mi energii:

„Nie bądź daleki ode mnie, gdyż utrapienie jest bliskie; nie mam nikogo, kto mógłby mi pomóc." Niebezpieczeństwo było bliskie, a że nie zaniosłam modłów do nieba o odwrócenie go, przyszło; pełną, ciężką falą zalał mnie strumień. Cała świadomość mojego osieroconego życia, straconej miłości, zgaszonej nadziei, śmiertelnie ugodzonej wiary potężnie nade mną zawisła. Gorycz tej ciężkiej godziny nie da się wysłowić; zaiste: „Wody wpłynęły do mojej duszy; ugrzęzłam w głębokim błocie, grunt mi się spod nóg usunął; dostałam się na głębinę, zalały mnie fale."

ROZDZIAŁ XXVII

O pewnej godzinie po południu podniosłam głowę, a widząc, że słońce na ścianie zaznacza bliski już zachód, zadałam sobie pytanie: „I co ja teraz pocznę?"

Jednakże odpowiedź, jaką myśl moja dała: „Opuść Thornfield natychmiast" — była tak nagła, tak straszna, że zatkałam uszy. „Nie jestem żoną Edwarda Rochestera, ale to jeszcze najmniejszy powód do żalu — mówiłam sobie. — Zbudziłam się wprawdzie z najpiękniejszych snów i przekonałam się, że próżne są i puste, i to jest okropne, ale potrafiłabym to znieść i opanować się; natomiast nieznośna jest myśl, że muszę go opuścić stanowczo, niezwłocznie, nieodwołalnie. Tego uczynić nie mogę."

Ale wtedy głos wewnętrzny powiedział mi, że mogę to uczynić, i przepowiedział, że to uczynię. Walczyłam z własnym postanowieniem; pragnęłam być słaba, by uniknąć nowych dotkliwych cierpień, które, już wiedziałam, mnie czekają... Moje sumienie okazało się despotą chwytającym miłość za gardło, powtarzającym jej szyderczo, że zaledwie umoczyła elegancką nóżkę w bagnie, przysięgającym, że żelazną ręką zepchnie ją w przepaść męki.

„A więc niech mnie ktoś stąd wyrwie! — wołałam w duszy. — Niechaj mi kto dopomoże!"

„Nie; sama się stąd oderwiesz, nikt ci nie dopomoże; sama wydrzesz sobie prawe oko, sama odetniesz sobie prawą rękę; serce twoje będzie ofiarą, a ty kapłanem, który ją przebije."

Wstałam nagle, przerażona samotnością, którą ten srogi sędzia nawiedzał; przerażona milczeniem, w jakim ten okropny głos rozbrzmiewał. Kręciło mi się w głowie, gdy powstałam. Jasne było, że osłabłam z podniecenia i czczości, nic bowiem dotąd w ustach nie miałam, nawet śniadania nie jadłam. I z dziwnym bolesnym skurczem serca pomyślałam teraz, że chociaż tak długo byłam tu

zamknięta, nikt się nawet nie zapytał, jak się czuję, nikt mnie nie poprosił, żebym zeszła na dół; nawet mała Adelka nie zapukała do drzwi, nawet pani Fairfax mnie nie odwiedziła. „Przyjaciele zawsze zapominają o tych, których szczęście opuściło" — szepnęłam odsuwając rygiel i wychodząc. Potknęłam się o jakąś przeszkodę; w głowie miałam zawrót, wzrok mi się mącił, nogi się pode mną chwiały. Nieprędko mogłam przyjść do siebie. Upadłam, ale nie na podłogę; chwyciło mnie wyciągnięte ramię. Podniosłam oczy — to pan Rochester mnie podtrzymywał siedząc na krześle pod progiem mojego pokoju.

— Wychodzisz nareszcie — powiedział. — Od tak dawna czekam tu na ciebie i słucham, ale żadnego poruszenia nie usłyszałem ani łkania; jeszcze pięć minut tej śmiertelnej ciszy, a byłbym wyrwał zamek jak włamywacz. Tak więc ty mnie unikasz?... Zamykasz się i zamartwiasz sama?! Wolałbym, byś przyszła i zasypała mnie gwałtownymi wyrzutami. Jesteś porywcza: spodziewałem się jakiejś sceny. Byłem przygotowany na gorący deszcz łez, tylko pragnąłem, byś wypłakała je na mojej piersi, a tymczasem przyjęła je nieczuła podłoga albo twoja przemoczona chusteczka. Ale ja się mylę... tyś wcale nie płakała! Widzę wybladłą twarzyczkę i zagasłe oko, ale ani śladu łez. Czyżby więc twoje serce krwią płakało, Jane?

Jak to, ani słowa wymówki? Żadnego gorzkiego, ostrego słówka? Nic, co by zraniło uczucie, ukłuło dumę, nic? Siedzisz spokojnie, tak jak cię umieściłem, i patrzysz na mnie zmęczonym, biernym wzrokiem.

Jane, nigdy nie zamierzałem tak ciebie zranić. Gdyby człowiek mający jedną tylko owieczkę, drogą mu jak własne dziecko, która by jadła chleb jego, piła z jego czarki i na piersiach jego sypiała, gdyby człowiek ten przez jakąś pomyłkę zabił ją w jatkach, nie mógłby bardziej żałować swojej krwawej pomyłki, niż ja żałuję mojej. Czy ty mi kiedykolwiek przebaczysz?

Ależ tak, ja mu przebaczyłam w tej chwili, ja mu przebaczyłam natychmiast. Taki głęboki żal widniał w jego oczach, taka prawdziwa litość drżała w jego głosie, taka męska energia przebijała w każdym słowie, a przy tym taka niezmienna miłość płonęła w wyrazie twarzy i w każdym spojrzeniu, że przebaczyłam mu wszystko; jednakże nie słowami, nie zewnętrznie, tylko w głębi

mego serca.

— Ty wiesz, że ze mnie łotr, Jane? — zapytał po chwili smutno, dziwiąc się, przypuszczam, mojemu milczeniu i mojej bierności, płynącym raczej z osłabienia niż z rozmyślnej woli.

— Tak, proszę pana.

— To powiedz mi to ostro, bez ogródek, nie oszczędzaj mnie!

— Nie mogę; jestem zmęczona i źle się czuję. Prosiłabym o trochę wody.

Zadrżał, westchnął głęboko i wziąwszy mnie na ręce zaniósł na dół. Zrazu nie wiedziałam, do którego pokoju mnie zaniósł, wszystko mi mgła zasłaniała przed oczyma. Niebawem jednak poczułam ożywcze ciepło ognia, gdyż choć to było lato, przejął mnie chłód lodowy w moim pokoju. Podał mi do ust wina: przełknęłam je i to mnie ożywiło; następnie zjadłam coś, co mi podał, i wkrótce przyszłam do siebie. Byłam w bibliotece, siedziałam w jego fotelu, on był tuż blisko... „Gdybym mogła skończyć teraz życie nie cierpiąc zbytnio, jak by to było dobrze dla mnie! — pomyślałam. — Nie potrzebowałabym zdobywać się na wysiłek zrywania więzów serdecznych wiążących mnie z nim... Muszę go opuścić, jak się zdaje... Nie chciałabym go opuścić, nie mogę go opuścić."

— Jak się teraz czujesz, Jane?

— O wiele lepiej, proszę pana; wkrótce będzie mi zupełnie dobrze.

— Napij się jeszcze wina, Jane.

Posłuchałam; po czym on odstawił kieliszek na stół, stanął przede mną i popatrzył na mnie uważnie. Nagle obrócił się z bezsłownym okrzykiem jakiegoś namiętnego wzruszenia, poszedł szybkim krokiem na koniec pokoju i powrócił; nachylił się ku mnie chcąc mnie pocałować; jednakże ja pamiętałam, że pieszczoty są już teraz zakazane. Odwróciłam się i odsunęłam jego twarz.

— Co!... Jak to?.. — zawołał żywo. — O, już wiem: nie chcesz pocałować męża Berty Mason? Uważasz, że moje uściski do kogo innego należą?

— W każdym razie ja do nich nie mam prawa, proszę pana.

— Poczekaj, Jane! Oszczędzę ci trudu długiego gadania; odpowiem za ciebie... Ponieważ ja już mam żonę. Czy zgadłem?

— W istocie.

— Jeżeli tak myślisz, musisz mieć dziwne wyobrażenie o mnie. Musisz mnie uważać za rozpustnika, intryganta, za podłego niegodziwca, który udawał bezinteresowną miłość, ażeby cię wciągnąć w rozmyślnie nastawioną pułapkę, ażeby obedrzeć cię z honoru i z szacunku dla samej siebie... Co ty mi na to odpowiesz? Widzę, że nie możesz nic powiedzieć, bo najpierw, jesteś tak słaba, że z trudem oddychasz, po wtóre, jeszcze nie przyzwyczaiłaś się obwiniać mnie i oczerniać, a przy tym źródła łez są otwarte i gotowe wytrysnąć, gdybyś coś więcej mówiła. Ty zaś nie masz ochoty czynić wymówek i wyrzutów, robić scen. Myślisz nad tym, jak działać; mówienie uważasz za rzecz niepotrzebną. Ja ciebie znam... toteż mam się na baczności.

— Ja nie chcę działać przeciwko panu... — odpowiedziałam, ale mój niepewny głos ostrzegł mnie, że należy przerwać zdanie.

— Nie w twoim rozumieniu słowa, ale w moim, układasz plany na moją zgubę. Przecież powiedziałaś, że jestem człowiekiem żonatym i jako żonatego człowieka będziesz mnie unikała, trzymała się z dala ode mnie; oto przed chwilą odmówiłaś mi pocałunku. Zamierzasz stać się dla mnie zupełnie obcą osobą; żyć pod tym dachem jako nauczycielka Adelki, słowem, jeżeli przyjacielskie uczucie pociągnie cię kiedy do mnie, powiesz sobie: „Ten człowiek o mało nie zrobił ze mnie swojej kochanki, muszę być względem niego zimna jak lód, jak skała." I zimna, i twarda jak lód, jak skała staniesz się dla mnie.

Odchrząknęłam, starałam się opanować głos i odpowiedziałam :

— Wszystko się wokół mnie zmieniło, proszę pana, i ja muszę się zmienić, to niewątpliwe; a na to, by uniknąć ciągłych buntów uczucia i ciągłych walk ze wspomnieniami, jest tylko jedyna droga: Adelka musi dostać inną nauczycielkę.

— Ach, Adelka pójdzie do szkoły, to już postanowiłem ; ani też nie myślę dręczyć się ohydnymi wyobrażeniami i wspomnieniami Thornfield Hall, tego przeklętego miejsca, tego ciasnego kamiennego piekła z tym żywym diabłem gorszym od legionu złych duchów, które sobie wyobrażamy. Ty tutaj nie pozostaniesz ani ja również. Źle zrobiłem, że cię w ogóle sprowadziłem do Thornfield Hall wiedząc, co tu pokutuje. Domownikom poleciłem ukrywać przed tobą, zanim cię jeszcze poznałem, wszelką wiadomość o tym, jakie przekleństwo ciąży nad tym dworem, po prostu dlatego, że obawiałem się, iż Adelka nigdy nie będzie mogła mieć nauczycielki, któż bowiem chciałby dzielić dach z taką mieszkanką? Moje plany nie pozwalały mi usunąć wariatki gdzie indziej, chociaż posiadam stary dom — Ferndean Manor — jeszcze ustronniejszy, jeszcze bardziej ukryty niż ten, gdzie mogłem był bezpiecznie ją umieścić. Powstrzymał mnie jednak skrupuł sumienia, że to miejscowość niezdrowo położona w głębi lasów. Prawdopodobnie tamte wilgotne mury prędko by mnie uwolniły od ciężaru jej istnienia; jednakże każdy niegodziwiec ma swój rodzaj niegodziwości, w moim nie leży skłonność do powolnego mordowania nawet tego, czego najbardziej nienawidzę.

Ukrywając jednakże przed tobą sąsiedztwo wariatki postąpiłem jak ktoś, kto nakrywszy dziecko płaszczem położyłby je w cieniu trującego drzewa: wszystko w pobliżu tej diablicy jest zatrute i zawsze było zatrute. Ale ja zamknę Thornfield Hall, zabiję gwoździami frontowe drzwi, deskami dolne okna, dam Gracji Poole dwieście funtów rocznie, żeby mieszkała tu z „moją żoną", jak ty tą okropną czarownicę nazywasz; Gracja wiele zrobi dla pieniędzy, a będzie miała swego syna, który jest dozorcą w zakładzie w Grimsby, do towarzystwa i pomocy w razie ataków, gdy „mojej żonie" zechce się podpalać ludzi nocą w łóżkach, wbijać w nich noże albo odgryzać im ciało od kości itp. ...

— Jest pan niemiłosierny dla tej nieszczęsnej kobiety — przerwałam mu — mówi pan o niej z nienawiścią, z mściwością i wstrętem. To okrutne! Przecież ona temu nie winna, że jest obłąkana.

— Jane, moje maleństwo kochane (tak cię będę nazywał, gdyż tym jesteś), ty sama nie wiesz, co mówisz; ty znowu mnie fałszywie

sądzisz: ja nie dlatego jej nienawidzę, że jest obłąkana. Gdybyś ty była obłąkana, czy myślisz, że ja bym ciebie nienawidził?

— Myślę, że tak, proszę pana.

— Więc mylisz się, nie znasz mnie wcale, nie wiesz, do jakiego rodzaju miłości jestem zdolny. Każdy atom twego ciała jest mi tak drogi jak mój własny; w cierpieniu, w chorobie zawsze byłby mi drogi. Umysł twój jest moim skarbem, a gdyby się zaćmił, zawsze pozostałby moim skarbem. Gdybyś szalała, krępowałyby cię moje ramiona, nie kaftan bezpieczeństwa; gdybyś rzuciła się na mnie tak dziko jak owa kobieta dziś rano, przyjąłbym cię uściskiem przynajmniej równie miłującym jak obezwładniającym. Nie cofałbym się przed tobą ze wstrętem jak przed tamtą; w twoich spokojnych chwilach nikt by nad tobą nie czuwał, nikt by ciebie nie pielęgnował prócz mnie, a otaczałbym cię niewyczerpaną tkliwością, choćbyś mi najlżejszym nie odpłacała uśmiechem. Nigdy bym nie przestawał wpatrywać się w twoje oczy, choćby mnie oczy te przestały poznawać... Ale czemuż tym torem idą moje myśli? Mówiłem o zabraniu ciebie z Thornfield. Wszystko, jak wiesz, jest przygotowane do natychmiastowego wyjazdu: jutro pojedziesz. Proszę cię tylko o zniesienie jednej jeszcze nocy pod tym dachem, Jane; a potem pożegnamy nędzę jego i strachy na zawsze! Mam miejsce, dokąd możemy się udać, a które będzie bezpiecznym zaciszem, schronieniem przed znienawidzonymi wspomnieniami, niepożądanym najściem ludzi, nawet przed fałszem i obmową.

— I niech pan zabierze Adelkę ze sobą — przerwałam — będzie pan miał w niej towarzyszkę.

— Co ty mówisz. Jane? Powiedziałem ci, że poślę Adelkę do szkoły; i na co mi dziecko potrzebne do towarzystwa, i to nie moje własne, lecz bękart tej francuskiej baletnicy? Dlaczego chcesz mi ją narzucić? Pytam, dlaczego przeznaczasz mi Adelkę za towarzyszkę?

— Mówił pan o usunięciu się w zacisze; a zacisze i samotność są nudne, za nudne dla pana.

— Samotność! Samotność! — powtórzył zirytowany. — Widzę, że musi tu dojść do wyjaśnienia. Nie wiem, w jaki sfinksowy wyraz układa się twoja twarz. Ty masz podzielać moją samotność.

Rozumiesz?

Potrząsnęłam głową; trzeba było pewnej odwagi; widząc go tak podnieconym, by zdobyć się choćby na ten niemy znak przeczenia. Tak jak chodził szybko po pokoju, tak stanął nagle jak w ziemię wrośnięty. Popatrzył na mnie długo i wnikliwie; ja odwracałam oczy i starałam się wyglądać spokojnie i naturalnie.

— A ot i węzełek w charakterze Jane — powiedział w końcu spokojniej, niż się spodziewałam sądząc z jego wyglądu. — Nić jedwabna nawijała się dotąd dość gładko; ale ja zawsze wiedziałem, że przyjdzie supełek, a wtedy łam sobie głowę! A otóż i jest. Teraz tylko utrapienie, irytacja, przykrości bez końca! Bóg widzi! mam ochotę użyć cząsteczki siły Samsona i zerwać tę plątaninę jak sznur!

Zaczął znowu chodzić, ale w końcu przystanął, tym razem wprost przede mną.

— Jane, czy posłuchasz rozsądnego słowa? — nachylił się nade mną i mówił mi wprost do ucha. — Bo jeżeli nie, będę musiał uciec się do przemocy!

Głos jego był ochrypły; wyglądał jak człowiek gotowy zerwać nieznośne więzy i rzucić się na oślep w nieobliczalność nadużycia. Widziałam, że jeszcze chwila, jeszcze jeden poryw uniesienia, a stracę nad nim władzę. Tylko ta chwila, ten jeden moment czasu pozostawał mi do opanowania go i powstrzymania; jeden ruch odpychający, ucieczka, strach — byłyby przypieczętowały moją i jego zgubę... Ale ja się nie bałam, nie bałam się ani trochę; miałam poczucie wewnętrznej mocy, możności wpływu, i to mnie podtrzymywało. Moment napięcia był niebezpieczny, lecz nie pozbawiony czaru; podobne uczucie przeżywa, być może, Indianin przepływający wodospad w leciutkiej łódce. Ujęłam jego zaciśniętą pięść, rozprostowałam skurczone palce i przemówiłam łagodnie, uspokajająco:

— Niech pan usiądzie; będę z panem rozmawiała, dopóki pan zechce; wysłucham wszystkiego, co pan ma mi do powiedzenia, bez względu na to, czy słowa pańskie będą rozsądne, czy nierozsądne.

Usiadł; nie od razu jednakże mógł mówić. Walczyłam ze łzami już

dość długo; i z wielkim trudem dotąd je powstrzymywałam, ponieważ wiedziałam, że sprawię mu przykrość. Teraz dałam im folgę, jeżeli go zabolą, tym lepiej... Rozpłakałam się serdecznie.

Niebawem zaczął mnie poważnie prosić, bym się uspokoiła. Odpowiedziałam, że nie mogę, skoro jego ponosi taka pasja.

— Ależ ja się nie gniewam, Jane, ja tylko kocham cię tak bardzo... a ty uzbroiłaś bladą twarzyczkę w taki stanowczy, lodowaty wyraz, że nie mogłem tego znieść. No, cicho już, cicho... i obetrzyj oczy.

Złagodzony głos jego dowodził, że się uspokoił; więc i ja stałam się spokojniejsza. Teraz usiłował oprzeć głowę na moim ramieniu, ale ja na to nie pozwoliłam. Wtedy chciał mnie przyciągnąć do siebie; i temu się sprzeciwiłam.

— Jane, Jane! — powiedział z akcentem tak gorzkiego smutku, że dreszcz przebiegł wszystkie moje nerwy — więc ty mnie nie kochasz? Więc ty ceniłaś tylko moje stanowisko i stanowisko mojej żony?

A teraz, kiedy uważasz, że nie mogę zostać twoim mężem, cofasz się przed moim dotknięciem, jak gdybym był małpą albo ropuchą!

Zabolały mnie te słowa, ale co mogłam zrobić, co mogłam powiedzieć? Powinnam była zapewne nic nie robić i nic nie mówić; dręczył mnie jednak wyrzut, że ranię jego uczucia, toteż nie mogłam opanować pragnienia złagodzenia rany.

— Owszem, kocham pana — powiedziałam — kocham więcej niż kiedykolwiek, ale nie mogę okazywać tego uczucia, nie mogę mu ulegać i teraz po raz ostatni daję mu wyraz.

— Po raz ostatni, Jane? Jak to? Czy myślisz, że potrafisz żyć ze mną, widywać mnie co dzień, a jednak, jeżeli mnie nie przestaniesz kochać, być zawsze zimna i daleka?

— Nie, proszę pana, jestem pewna, że tego bym nie potrafiła, i dlatego widzę jedną tylko drogę; ale pan wpadnie w gniew, gdy ją wymienię.

— Ach, wymień ją! Jeżeli ja wpadam w pasję, ty za to umiesz

płakać.

— Panie Rochester, ja muszę pana opuścić.

— Na jak długo, Jane? Czy na pięć minut, żeby przyczesać trochę potargane włosy i obmyć rozgorączkowaną twarz?

— Muszę opuścić Adelkę i Thornfield. Muszę się z panem rozłączyć na całe życie; muszę rozpocząć nowe istnienie wśród obcych twarzy i w nowych warunkach.

— Naturalnie, powiedziałem ci, że musisz. Pomijam to szaleństwo o rozłączeniu się ze mną. Masz na myśli zapewne, że musisz stać się cząstką mnie. Co do nowego istnienia, to wszystko jest w porządku: będziesz jeszcze moją żoną; ja nie jestem żonaty. Będziesz panią Rochester — i w rzeczywistości, i z imienia. Do ciebie jednej będę należał, póki twego i mego życia. Zamieszkasz w domu, który posiadam na południu Francji; jest to biała willa nad brzegiem Morza śródziemnego. Tam będziesz wiodła życie szczęśliwe, bezpieczne i tak bardzo niewinne. Nie lękaj się, nie chcę cię otumanić, nie chcę cię uczynić swoją kochanką. Dlaczego potrząsasz głową, Jane? Bądźże rozsądna, gdyż doprawdy oszaleję znowu!

Głos mu drżał, ręka mu drżała, rozszerzały się nozdrza, ogniem błyszczały oczy; pomimo to odważyłam się powiedzieć:

— Żona pańska żyje! Jest to fakt, który pan sam uznał dziś rano. Gdybym żyła z panem, tak jak pan tego pragnie, byłabym pańską kochanką; nazywać to inaczej to wykręt i fałsz.

— Nie jestem człowiekiem spokojnym, zapomniałaś o tym; nie jestem cierpliwy; nie jestem chłodny i beznamiętny. Przez litość nade mną i nad samą sobą dotknij mojego pulsu, przekonaj się, jak bije, i strzeż się!

Wyciągnął do mnie rękę; krew odpłynęła z jego twarzy i warg, powlekała je siność. Mnie ogarnęła rozpacz. Okrucieństwem było poruszać go tak do głębi oporem, którego nie znosił, a jednak niepodobna było ustąpić. W tej ostateczności instynktownie westchnęłam o pomoc do Boga: „Panie Boże, dopomóż mi!" — szepnęłam mimo woli.

— Głupiec ze mnie! — zawołał nagle pan Rochester. — Mówię jej, że nie jestem żonaty, a nie tłumaczę dlaczego. Zapominam, że ona nic nie wie o charakterze tej kobiety ani o okolicznościach, w jakich zawarłem ten przeklęty związek. O! jestem pewien, że Jane zgodzi się ze mną, skoro się dowie o wszystkim, co ja wiem! Złóż tylko swoją rączkę w moją dłoń, Żanetko, ażebym czuł, tak jak widzę, że jesteś przy mnie, a w kilku słowach przedstawię ci rzeczywisty stan rzeczy. Czy możesz mnie wysłuchać?

— O tak, jeśli pan zechce, mogę słuchać godzinami.

— Ja tylko cię proszę, o minuty. Jane, czyś ty kiedy słyszała, że nie byłem najstarszym synem w rodzinie? Że miałem brata starszego od siebie?

— Przypominam sobie, że pani Fairfax mówiła mi to kiedyś.

— A czy ty kiedy słyszałaś, że ojciec mój był skąpym i chciwym człowiekiem?

— Coś podobnego słyszałam także.

— Otóż, Jane, ojciec postanowił utrzymać majątek w całości. Nie mógł znieść myśli o podziale i daniu mi części majątku; wszystko wedle jego woli miał dostać brat mój Rowland. Ale nie mógł również znieść myśli. żeby drugi jego syn był człowiekiem biednym. Trzeba było znaleźć dla mnie bogatą partię. Zawczasu oglądał się za żoną dla mnie. Pan Mason, plantator i kupiec z Indii Zachodnich, był jego starym znajomym. Ojciec wiedział, że ma wielkie posiadłości, że to człowiek bogaty; zasięgał wiadomości. Dowiedział się, że pan Mason ma syna i córkę i że zamierza dać córce trzydzieści tysięcy funtów posagu; to wystarczyło. Gdy skończyłem szkoły, posłano mnie na Jamajkę, ażebym tam poślubił żonę, o którą się już dla mnie starano. Mój ojciec nic mi nie wspominał o jej pieniądzach, powiedział tylko, że słynie z piękności w Spanish Town: i to nie było kłamstwem. Gdy ją poznałem, była to piękna kobieta w stylu Blanki Ingram: brunetka wysoka i majestatyczna. Pokazywano mi ją na zebraniach towarzyskich, wspaniale ubraną. Rzadko widywałem ją samą, bardzo mało rozmawiałem z nią na osobności. Pochlebiała mi i dla mojej przyjemności hojnie roztaczała przede mną swe wdzięki i talenty. Wszyscy mężczyźni w

jej otoczeniu zdawali się podziwiać ją, a mnie zazdrościć. Byłem olśniony, podniecony i pobudzony zmysłowo; a że byłem młody, naiwny i niedoświadczony! wyobraziłem sobie, że ją kocham. Jakiegoż szaleństwa nie popełni mężczyzna, gdy go pobudzi idiotyczna rywalizacja towarzyska, próżność, a zaślepi niedoświadczenie młodości! Krewni jej zachęcali mnie, współzawodnicy podniecali, ona mnie pociągała; małżeństwo zostało zawarte, zanim się obejrzałem. Och, nie mam dla siebie szacunku, gdy myślę o tym kroku!... męka pogardy dla samego siebie szarpie mną dziś jeszcze. Nie kochałem jej wcale, nie szanowałem jej wcale, nawet jej nie znałem. Nie wiedziałem, czy posiada bodaj jedną zaletę, nie zauważyłem w niej ani skromności, ani dobroci, ani szczerości, ani subtelności duszy i obejścia... i ożeniłem się z nią — marna, ślepa, zakuta głowa... bo tym byłem! Mniej byłbym zgrzeszył, gdybym był... ale nie wolno mi zapomnieć, do kogo mówię...

Matki mojej żony nigdy nie widziałem; sądziłem, że nie żyje. Gdy upłynął miesiąc miodowy, dowiedziałem się prawdy. Ona żyła, lecz była wariatką zamkniętą w domu obłąkanych. Był tam także młodszy brat, kompletny idiota, niemowa. Starszego, którego widziałaś (a do którego nie mogę czuć nienawiści, jaką czuję do całej tej rodziny, gdyż w słabej swej duszy ma on iskierkę uczucia, interesując się stale nieszczęsną siostrą, a i do mnie przywiązany był jak pies), czeka prawdopodobnie ten sam los. Ojciec mój i mój brat Rowland wiedzieli o tym wszystkim, ale myśleli tylko o tych trzydziestu tysiącach funtów i przyłączyli się do spisku przeciw mnie.

Były to brzydkie odkrycia; jednakże z wyjątkiem oszukańczego zatajenia nie byłbym o nie robił wyrzutów mojej żonie, nawet gdy się przekonałem, że natura jej jest mi obca, że jej gusta są dla mnie rażące, jej umysł pospolity, niski, ciasny, wyjątkowo przyziemny, niezdolny ogarnąć szerszych widnokręgów. Nawet gdy się przekonałem, że nie mogę z nią spędzić jednego wieczoru, jednej godziny w pokoju, że przyjacielska rozmowa nie może mieć miejsca między nami, gdyż każdy przeze mnie poruszony temat ona natychmiast podejmowała w sposób ordynarny i pusty, przewrotny i głupi; nawet gdy przekonałem się, że nigdy nie będę posiadał spokojnego, dobrze prowadzonego domu, gdyż żadna służąca nie

mogła znieść jej gwałtownych, nierozsądnych wybuchów albo jej bezsensownych, sprzecznych wymagań i rozkazów; nawet wtedy jeszcze powstrzymywałem się. Unikałem wyrzutów, sporów; starałem się ukryć mój żal i wstręt, opanowywałem głęboko odczuwaną antypatię.

Jane, nie będę cię zamęczał wstrętnymi szczegółami.

W kilku słowach powiem ci, co mam do powiedzenia. Cztery lata przeżyłem z tą kobietą; przed upływem tego czasu ciężko dała mi się we znaki; charakter jej dojrzewał i rozwijał się z przerażającą szybkością: wstrętne nałogi rosły, a tak były silne, że tylko okrutną surowością można je było powstrzymać, a ja się do tego nie chciałem uciekać. Jak nikły był jej umysł a jak olbrzymie złe skłonności! Jak straszne były dla mnie następstwa tych skłonności? Berta Mason, nieodrodna córka niecnej matki, ściągnęła na mnie wszystkie ohydne i poniżające męki, jakim podlegać musi mężczyzna związany z żoną zarazem niewstrzemięźliwą i nieczystą.

Brat mój w tym czasie umarł, a przy końcu czwartego roku umarł i mój ojciec. Dość teraz byłem bogaty, a jednak jakże straszliwie ubogi: istota najordynarniejsza, nieczysta, do dna zdeprawowana, związana była ze mną, a prawo i społeczeństwo uważały ją za jedno ze mną. A nie mogłem się od niej uwolnić żadnym prawnym sposobem, gdyż doktorzy odkryli, że moja żona jest obłąkana, jej wybryki rozwinęły przedwcześnie zalążki choroby. Widzę, Jane, że ci przykrość sprawia moje opowiadanie: mienisz się na twarzy, czy mam odłożyć resztę do innego dnia?

— Nie, miech pan kończy; żal mi pana, szczerze mi pana żal!

— Litość, Jane, to ze strony niektórych ludzi niepożądany i obraźliwy haracz, który ma się prawo odrzucić. Mówię o litości właściwej sercom twardym i samolubnym, litości złożonej z egoistycznej przykrości na widok cierpienia i pogardy dla cierpiących. Ale nie taka jest twoja litość, Jane; nie to uczucie maluje się w tej chwili na twojej twarzy, jaśnieje w twoich oczach, nie takim uczuciem bije twoje serce, drży twoja ręka w mojej. Twoja litość, kochanie moje, jest cierpiącą matką miłości, męka tej litości jest męką rodzenia się boskiej miłości. Przyjmuję ją, Jane, niech i jej córka swobodnie przybywa, wyciągam ku niej ramiona.

— A teraz proszę, niech pan mówi dalej: co pan uczynił, gdy pan się dowiedział, że ona jest obłąkana?

— Wpadłem w rozpacz. Resztki szacunku dla siebie powstrzymywały mnie od zatracenia się w tej rozpaczy. W oczach świata honor mój niewątpliwie był przez nią splamiony; jednakże postanowiłem być czysty we własnych oczach; zerwałem wszelką łączność z jej zbrodniczym postępowaniem, wszelką styczność z upośledzoną jej umysłowością. Pomimo to ludzie wiązali jej nazwisko i osobę z moim nazwiskiem i osobą. Widywałem ją i słyszałem codziennie, jej tchnienie zatruwało powietrze, którym oddychałem, a przy tym pamiętałem, że byłem niegdyś jej mężem, to wspomnienie było wtedy i jest dotąd niewypowiedzianie wstrętne dla mnie; wiedziałem też, że dopóki ona żyje, nie mogę poślubić innej, lepszej żony; a chociaż starsza ode mnie o pięć lat (jej rodzina i na punkcie jej wieku okłamała mnie także), mogła żyć prawdopodobnie równie długo jak ja, będąc tak silna na ciele, jak była chora na umyśle. W ten sposób, mając lat dwadzieścia sześć, byłem pozbawiony wszelkiej nadziei.

Pewnej nocy obudziły mnie jej krzyki (od czasu gdy lekarze uznali ją za obłąkaną, trzymałem ją oczywiście w zamknięciu). Była to ogniem dysząca noc — jedna z takich, jakie zwykły poprzedzać huragan w owym klimacie. Niezdolny spać, wstałem i otworzyłem okno. Powietrze było jak opary siarki, nie mogłem nigdzie znaleźć wytchnienia. Moskity wpadały brzęcząc do pokoju. Morze, które stamtąd mogłem słyszeć, grzmiało głucho jak trzęsienie ziemi, czarne chmury toczyły się nad nim; zachodzący księżyc zapadał w fale, wielki, czerwony jak rozpalona kula armatnia — ostatnie krwawe spojrzenia rzucał na świat drgający fermentem burzy. Byłem fizycznie pod wpływem atmosfery i tego widoku, a do uszu moich docierały przekleństwa, które wariatka wciąż wykrzykiwała; do przekleństw mieszała moje imię tonem takiej szatańskiej nienawiści, z takimi wyzwiskami!... żadna ulicznica nie miała nigdy wstrętniejszego słownictwa!... Z odległości dwóch pokoi słyszałem każde słowo, cienkie ściany tamtejszego domu mało hamowały jej nieludzkie ryki.

„To życie — powiedziałem sobie w końcu — jest piekłem: piekielne jest to powietrze, piekielne te diabelskie głosy! Mam przecież prawo

uwolnić się od tego. Cierpienia moje na ziemi opuszczą mnie wraz z tym ciałem, które obciąża moją duszę. Nie lękam się wiekuistego ognia; nie może być w przyszłości nic gorszego od mojej obecnej doli, wyrwę się, pójdę, powrócę do Boga!"

Mówiąc to klęczałem i otwierałem walizkę, w której miałem parę nabitych pistoletów: zamierzałem się zastrzelić. Zamiar ten jednakże trwał tylko przez chwilę; byłem zdrów na umyśle, więc natężenie niewymownego bólu i rozpaczy, powodujące to życzenie i ten zamiar, przesiliło się, ustąpiło miejsca rozwadze.

Świeży wiatr płynący od strony Europy przewiał nad oceanem i wpadł przez otwarte okno; zerwała się burza, deszcz lał, grzmiało, błyskało się. Po burzy powietrze się odświeżyło, wtedy powziąłem postanowienie. Chodząc pod ociekającymi wodą pomarańczowymi drzewami mego wilgotnego ogrodu, pośród zmoczonych granatów i ananasów, podczas gdy świt krajów tropikalnych zapalał się dokoła mnie, rozumowałem w ten sposób. Ale teraz słuchaj, Jane, gdyż to prawdziwa mądrość pocieszyła mnie w tej godzinie i wskazała właściwą drogę!

Łagodny wiatr od strony Europy wciąż jeszcze szemrał wśród odświeżonych liści, a Atlantyk grzmiał, wolny, swobodny. Serce moje wyschłe, spieczone od dawna, rozszerzało się przy tym odgłosie, nabiegało żywą krwią, istota moja zatęskniła za odnowieniem, dusza zapragnęła źródła czystej wody. Odżywała we mnie nadzieja: czułem, że odrodzenie jest możliwe. Spod kwiecistej arkady na końcu mojego ogrodu patrzyłem na morze bardziej niebieskie od samego nieba: stary świat był tam, poza nim, a jasne widoki tak się przedstawiały:

„Idź — mówiła nadzieja — żyj znowu w Europie; tam nikt nie wie, jakie splamione nosisz imię, jakie brudne brzemię dźwigasz na sobie. Możesz zabrać wariatkę z sobą do Anglii; zamknij ją pod odpowiednią opieką i ostrożnością w Thornfield, a potem podróżuj sam, dokąd zechcesz, i zawrzyj nowy związek. Ta kobieta, która tak nadużyła twojej cierpliwości, tak skalała twoje imię, tak splamiła twój honor, tak ci młodość zatruła, nie jest twoją żoną ani ty nie jesteś jej mężem. Dbaj o to, ażeby się nią opiekowano starannie, jak tego wymaga jej stan, a uczynisz wszystko, czego Bóg i ludzkość mogą od ciebie wymagać. Kim ona jest, jaki jej stosunek do ciebie,

niechaj to zapadnie w otchłań niepamięci; nie masz obowiązku wyjawiać tego żywej duszy. Umieść ją w bezpieczeństwie i wygodzie; osłoń upadek jej tajemnicą i opuść ją."

Wedle tego postąpiłem. Ojciec mój i brat nie powiadomili znajomych o moim małżeństwie; ja bowiem w pierwszym liście, w którym donosiłem im o jego zawarciu, zaczynając już odczuwać przykre jego następstwa i wnosić ze stosunków rodzinnych, jaka ohydna przyszłość mnie czeka — nagląco prosiłem, by utrzymali je w tajemnicy. Bardzo też prędko ojciec mój zawstydził się niecnego postępowania tej, którą mi wybrał, i nie uznał jej za synową. Nie pragnął więc rozgłaszać ożenku, równie gorliwie jak ja zapragnął go ukryć.

Zawiozłem ją zatem do Anglii; straszna była to podróż z takim potworem na okręcie. Rad byłem, gdy nareszcie odstawiłem ją do Thornfield i bezpiecznie umieściłem w owym pokoju na trzecim piętrze, z którego tajnej przyległej komory uczyniła jaskinię dzikiego zwierza — celę szatana. Niejaką trudność sprawiło mi wyszukanie dla niej dozorczyni, gdyż trzeba było znaleźć osobę pewną i zaufaną. Jej szaleństwa bowiem mogłyby zdradzić moją tajemnicę; miewała przy tym okresy przytomności, trwające dni, niekiedy tygodnie całe, które wypełniała wygadywaniem i pomstowaniem na mnie. Nareszcie przyjąłem Grację Poole z zakładu w Grimsby. Ona i doktor Carter (ten, który owej nocy opatrywał rany Masona) to jedyne osoby, którym zwierzyłem tajemnicę. Pani Fairfax, być może, coś podejrzewała, ale dokładnej znajomości faktów mieć nie mogła. Gracja, ogółem biorąc, okazała się dobrą dozorczynią, jakkolwiek po części z winy jej nałogu, z którego, zdaje się, nic wyleczyć jej nie może, a który wypływa z jej męczącego zawodu, czujność jej nieraz zawiodła. Obłąkana jest chytra i złośliwa zarazem; nigdy nie omieszkała skorzystać z chwilowych uchybień dozorczyni. Raz wykradła nóż, którym zraniła brata, a dwa razy wykradła klucz od swojej celi i wydostała się z niej nocą. Za pierwszym razem dokonała próby spalenia mnie w łóżku; za drugim nastąpiły te okropne odwiedziny u ciebie. Błogosławię Opatrzność, która czuwała nad tobą, za to, że szalona wylała furię na twój strój ślubny, który jej może nasunął niejasne wspomnienia własnego dnia ślubu, ale o tym, co mogło się było zdarzyć, nie potrafię myśleć spokojnie. Gdy pomyślę, że ten potwór,

który dziś rano rzucił mi się do gardła, siną i purpurową twarzą zawisł nad łóżkiem mojej gołąbki, krew mi się w żyłach ścina...

— A co pan zrobił, gdy ją pan tam umieścił? — zapytałam, gdy przerwał. — Dokąd się pan udał?

— Co zrobiłem, Jane? Zamieniłem się w błędny ognik. Dokąd się udałem? Na niespokojne wędrówki. Błądziłem po kontynencie, po wszystkich krajach Europy. Miałem stałe pragnienie, by szukać i znaleźć kobietę dobrą i inteligentną, przeciwieństwo tej furii pozostawionej w Thornfield...

— Ależ pan się nie mógł ożenić.

— Postanowiłem i byłem przekonany, że mogę i ze powinienem. Nie miałem pierwotnie zamiaru oszukiwać, tak jak oszukiwałem ciebie. Zamierzałem opowiedzieć moje dzieje po prostu i oświadczyć się otwarcie. Wydawało mi się to zupełnie uzasadnione, że wolno mi kochać i być kochanym, i nie wątpiłem, iż znajdzie się kobieta chcąca i umiejąca zrozumieć moje położenie i przyjąć mnie mimo ciążącego nade mną przekleństwa.

— No i cóż, proszę pana?

— Gdy ty się dopytujesz, Jane, zawsze muszę się uśmiechnąć. Otwierasz oczy szeroko jak ciekawy ptaszek i przy tym od czasu do czasu poruszasz się niespokojnie, jak gdyby odpowiedź nie dość prędko płynęła i jakbyś chciała zajrzeć do dna czyjegoś serca. Zanim jednak będę mówił dalej, wytłumacz mi, co znaczy to twoje „no i cóż, proszę pana?". To małe zdanie często jest na twoich ustach i nieraz wyciągnęło mnie na nieskończone gadanie, sam dobrze nie wiem dlaczego.

— Rozumiem przez to: I co dalej? Jak pan postąpił? Co z tego wynikło?

— Właśnie! A co byś teraz chciała wiedzieć?

— Czy pan znalazł kogoś, kto się panu podobał? Czy pan ją poprosił, żeby za pana wyszła? I co ona odpowiedziała ?

— Mogę ci powiedzieć, że znalazłem kogoś, kto mi się podobał, i że

prosiłem ją, by za mnie wyszła. Ale co mi odpowiedziała, to dopiero będzie zapisane w księdze losu. Przez dziesięć długich lat błądziłem po świecie, mieszkając to w jednej stolicy, to w drugiej; niekiedy w Petersburgu, częściej w Paryżu, czasami w Rzymie, Neapolu i Florencji. Mając dużo pieniędzy i stare nazwisko mogłem sobie dobierać towarzystwo, żadne koła nie były przede mną zamknięte. Szukałem mojego ideału kobiety pośród dam angielskich, francuskich hrabianek, włoskich signorin i niemieckich baronówien. Nie mogłem go znaleźć. Niekiedy przez krótką chwilę mniemałem, że chwytam spojrzenie, słyszę ton, widzę kształt, który mi zapowiada ziszczenie marzenia, ale rozczarowywałem się prędko. Nie wyobrażaj sobie, że poszukiwałem doskonałości. Pragnąłem tylko czegoś, co by mi odpowiadało — pragnąłem przeciwieństwa Kreolki, a pragnienie moje było daremne. Pomiędzy nimi wszystkimi nie znalazłem ani jednej, którą, gdybym był nawet najzupełniej wolny, znając ryzyko, okropność, cierpienia niedobranych związków, byłbym poprosił o rękę. Zawód życiowy mnie rozzuchwalił; próbowałem oszołomić się rozrywkami, nigdy jednak rozpustą. Rozpusty nie cierpiałem i nie cierpię. To była właściwość mojej Mesaliny; zakorzeniony wstręt do niej powstrzymywał mnie nawet w używaniu przyjemności. Wszelkie używanie życia, które by graniczyło z rozpasaniem, wydawało mi się zbliżeniem do niej i jej nałogów, toteż tego unikałem. Nie mogłem jednak żyć sam, spróbowałem więc towarzystwa kochanek. Pierwszą, którą wybrałem, była Celina Varens — znowuż taki krok, za który we wspomnieniu człowiek sam sobą pogardza. Wiesz już, czym była i jak się mój stosunek z nią zakończył. Miała następczynie: Włoszkę Giacintę i Niemkę Klarę, obie uchodziły za wielkie piękności. Ale co znaczyła ich piękność po paru tygodniach pożycia z nimi? Giacinta była gwałtowna i nie miała zasad. Sprzykrzyła mi się po trzech miesiącach. Klara była uczuciowa i spokojna, lecz ciężka, tępa, niewrażliwa i zupełnie nie w moim guście. Z przyjemnością dałem jej dość pieniędzy, by mogła sobie założyć dobry interes. W ten sposób pozbyłem się jej nie robiąc jej krzywdy. Ale widzę po twojej twarzy, że wyrabiasz sobie o mnie w tej chwili wcale niekorzystne mniemanie. Uważasz mnie za łotrzyka bez serca i zasad, nieprawdaż?

— W istocie nie podoba mi się pan tak jak kiedy indziej. Czy nie wydawało się panu co najmniej rzeczą niesłuszną żyć w ten sposób

najpierw z jedną kochanką, potem z drugą? Mówi pan o tym jak o najzwyklejszej rzeczy.

— Bo tak się na to zapatrywałem. Ale to mi nie odpowiadało. Poniżający to był sposób życia, nigdy bym do niego nie chciał wrócić. Najmować kochankę to niewiele lepsze niż kupować niewolnicę; obie są często z natury, a zawsze ze swego położenia niższe od płacącego, a żyć poufale z niższymi od siebie poniża człowieka. Nie lubię teraz wspominać o czasach, które przeżyłem z Celiną, Giacintą i Klarą.

Czułam prawdę tych słów i wysnułam wniosek, że gdybym kiedykolwiek mogła się tak dalece zapomnieć — zapomnieć o tych naukach, jakie zawsze we mnie wpajano — by pod jakimkolwiek pozorem, na mocy jakiegokolwiek usprawiedliwienia, pod wpływem jakiej bądź pokusy stać się następczynią tych biednych dziewcząt, on kiedyś patrzyłby na mnie z tym samym uczuciem, które teraz w myśli jego hańbiło ich pamięć. Nie wypowiedziałam tego przekonania, wystarczało mi, że je odczułam. Zapadło mi jednak głęboko w serce, bym się mogła nim bronić w godzinie próby.

— Dlaczego nie mówisz teraz: „No i cóż, proszę pana?", ja jeszcze nie skończyłem. Wyglądasz poważnie. Czytam wyrzut w twej twarzy. Ale niechże przejdę do rzeczy. W styczniu tego roku, wolny od wszelkich kochanek, w szorstkim, zgorzkniałym usposobieniu wytworzonym przez to bezużyteczne, wędrowne, samotne życie, zgryziony zawodem, skwaszony w stosunku do wszystkich ludzi, a zwłaszcza do kobiet (gdyż zacząłem uważać istnienie inteligentnej, wiernej, kochającej kobiety za puste marzenia), przyzwany interesami powróciłem do Anglii.

W mroźne zimowe popołudnie dojeżdżałem do Thornfield Hall. Znienawidzone miejsce! Nie spodziewałem się tam spokoju ani przyjemności. Na przełazie w Hay Lane ujrzałem cichą, małą osóbkę, siedzącą tam samotnie. Minąłem ją tak niedbale, jak minąłem wierzbę naprzeciw niej. Nie miałem przeczucia, czym ona dla mnie się stanie, nic mi nie powiedziało, że to pani mojego życia, że to mój dobry duch czeka tam w skromnym przebraniu. Nie wiedziałem tego nawet wtedy, gdy po upadku Mesroura zbliżyła się i poważnie zaofiarowała mi pomoc. Dziecinne, drobne stworzonko!

To tak jak gdyby sikorka przyskoczyła mi do nogi z propozycją, że poniesie mnie na swym maleńkim skrzydełku. Byłem kwaśny; ale to stworzenie nie chciało odejść: stało przy mnie dziwnie wytrwale, a patrzyło i mówiło z jakąś władczą powagą. Musiałem przyjąć pomoc, i to z tej ręki; i pomoc mi dano.

Gdy raz dotknąłem tego wątłego ramienia, wstąpiło we mnie coś nowego, jak gdyby świeży sok żywotny wpłynął w moje żyły. Dobrze mi było, gdy się dowiedziałem, iż ta istotka musi wrócić do mnie, że należy do mojego domu tam w dole, gdyż czułem szczególny żal, że mi spod ręki uchodzi i niknie za płotem. Słyszałem, jak wracałaś do domu tego wieczora, Jane, choć ty zapewne nie domyśliłaś się, że ja myślę o tobie i wyglądam ciebie. Nazajutrz obserwowałem cię — sam niewidzialny — przez pół godziny, kiedy bawiłaś się z Adelką na galerii. Była dnia tego śnieżyca, przypominam sobie, i nie mogłyście wyjść na spacer. Ja znajdowałem się w swoim pokoju; drzwi były otwarte; mogłem widzieć i mogłem słyszeć, co się działo. Adelka czegoś od ciebie chciała, lecz wydawało mi się, że myśli twoje zajęte są czym innym. A jednak byłaś bardzo cierpliwa dla niej, moja mała Jane; mówiłaś do niej i zabawiałaś ją przez czas dłuższy. Gdy mała nareszcie odeszła, zapadłaś od razu w głęboką zadumę; zaczęłaś się powoli przechadzać po galerii. Raz po raz, mijając któreś z okien, przystawałaś i patrzyłaś na prószący śnieg, przysłuchiwałaś się jękom wiatru i znowu zaczynałaś cicho stąpać i marzyć. Nie musiały to być ponure dumania, gdyż raz po raz zjawiał się w twoich oczach błysk wesela, twarz jaśniała łagodnym podnieceniem, nie świadczącym bynajmniej o gorzkich, pesymistycznych rozmyślaniach. Wyraz twój raczej mówił o słodkich marzeniach młodości, na chętnych skrzydłach szlakiem nadziei wzlatującej ku idealnemu niebu. Głos pani Fairfax, która w tej chwili wołała w hallu na służącą, zbudził cię i jak ciekawie sama do siebie uśmiechnęłaś się, Jane! Mądry to był uśmieszek, bardzo bystry, zdawało się, że żartował z własnego zamyślenia. Jakby mówił: „Moje wizje to rzecz bardzo piękna, ale nie wolno mi zapominać, że są zupełnie nierzeczywiste. Mam zaróżowione niebo i zielony, kwietny raj w głowie, ale doskonale: widzę, że przede mną leży uciążliwa do przebycia droga i że dokoła mnie gromadzą się ciemne chmury grożące nawałą." Zbiegłaś na dół i poprosiłaś panią Fairfax o jakieś zajęcie; zdaje się, że chodziło o tygodniowe

rachunki gospodarskie czy coś podobnego. Rozgniewałem się na ciebie, że mi z oczu schodzisz.

Niecierpliwie oczekiwałem wieczoru, aby móc cię zaprosić na dół. Podejrzewałem, że masz niezwykły, dla mnie zupełnie nowy charakter; pragnąłem zgłębić go i poznać lepiej. Weszłaś do pokoju z wyrazem nieśmiałości i niezależności równocześnie; milutko byłaś ubrana — podobnie jak teraz. Wyciągnąłem cię na rozmowę; wkrótce przekonałem się, że pełna jesteś dziwnych przeciwieństw. Ubranie twoje i zachowanie były skromne, jak nakazywał zwyczaj; chwilami uderzała w tobie niepewność, a przy wrodzonej dystynkcji zupełne nieobycie towarzyskie. Widać było, że bardzo się boisz wypaść niekorzystnie popełniając jakiś błąd, jakąś pomyłkę. Gdy się jednak zwracałem do ciebie, podnosiłaś ku mej twarzy oczy bystre, odważne, pełne ognia. Przenikliwość i moc była w każdym twym spojrzeniu; naciskana pytaniami, znajdowałaś zawsze gotowe, trafne odpowiedzi. Bardzo prędko oswoiłaś się ze mną: myślę, że odczuwałaś ogniwo sympatii pomiędzy sobą a twoim surowym i chmurnym panem, Jane, gdyż zadziwiająco prędko jakaś miła swoboda nadała spokój twemu zachowaniu. Mogłem sarkać, ile mi się podobało, nie okazywałaś wobec mego złego humoru ani zdziwienia, ani zalęknienia, ani urazy, ani przykrości. Przyglądałaś mi się i niekiedy uśmiechałaś do mnie z tym pełnym prostoty i mądrości wdziękiem, jakiego nie umiem opisać. To, co widziałem, zadowalało mnie i zarazem dodawało mi bodźca. Podobały mi się zalety dostrzeżone w tobie, zapragnąłem poznać ich więcej. Jednakże dłuższy czas trzymałem się z daleka, rzadko szukałem twego towarzystwa. Byłem intelektualnym epikurejczykiem, pragnąłem przedłużyć przyjemność zawierania tej nowej, interesującej znajomości. Przy tym przez czas jakiś prześladowała mnie obawa, że jeżeli kwiatu tego będę dotykał swobodnie, zwiędnie przedwcześnie — utraci słodki wdzięk świeżości. Nie wiedziałem wtedy, że to nie kwiat przemijający, ale raczej promienna jego podobizna wyrzeźbiona w trwałym klejnocie. Poza tym chciałem się przekonać, czy ty mnie będziesz szukać, jeżeli ja cię będę unikał, lecz nie, nie szukałaś mnie. Siedziałaś cicho w pokoju szkolnym, a jeżeli przypadkowo mnie spotkałaś, przemykałaś się szybko, z lekkim ukłonem w dowód uszanowania. Zwykłym twoim wyrazem w owe czasy, Jane, był wyraz zamyślenia; nie smutku, ale też i nie wesołości, gdyż miałaś mało

nadziei i żadnej przyjemności. Byłem ciekaw, co myślisz o mnie i czy w ogóle myślisz o mnie, i postanowiłem to zbadać.

Zacząłem znowu zwracać na ciebie uwagę. Było coś radosnego w twoim spojrzeniu, coś pogodnego w twoim zachowaniu, gdy rozmawiałaś. Przekonałem się, że masz usposobienie towarzyskie; to ten milczący pokój szkolny, to nuda twojego życia tak cię przygniatały. Pozwoliłem sobie na rozkosz okazania ci dobroci i uprzejmości; dobroć niebawem obudziła wzruszenie. Twarz twoja nabrała wyrazu słodyczy, głos łagodności; lubiłem słyszeć swoje nazwisko wymawiane z akcentem radosnej wdzięczności. Cieszyłem się w owym czasie, Jane, gdy ciebie spotkałem przypadkiem. Było jakieś dziwne wahanie w twym obejściu: rzucałaś mi spojrzenia lekko zakłopotane, niepewne, trochę zaciekawione. Nie wiedziałaś, w jakim jestem humorze, czy będę odgrywał rolę pana i będę surowy, czy też przyjaciela i będę dobrotliwy. Zanadto już wtedy byłaś mi droga, bym często mógł odgrywać rolę pana, gdy zaś wyciągałem rękę serdecznie, taki słoneczny rumieniec szczęścia oblewał twoją twarzyczkę, że z trudem powstrzymywałem się od przyciśnięcia cię od razu do serca.

— Niech pan już nie wspomina o tych czasach — przerwałam, chyłkiem strącając kilka łez z oczu. Mowa jego była dla mnie męką; wiedziałam, co muszę uczynić, co muszę uczynić wkrótce, a wszystkie te wspomnienia i wyznania utrudniały mi tylko zadanie na przyszłość.

— Przerwę je, Jane — odpowiedział. — Czyż potrzeba zastanawiać się nad przeszłością, gdy teraźniejszość jest o tyle pewniejsza, a przyszłość o tyle jaśniejsza?

Zadrżałam słysząc to egzaltowane twierdzenie.

— Widzisz teraz, jak sprawa stoi — ciągnął dalej. — Spędziwszy młodość i wiek męski po części w niewypowiedzianej niedoli, a po części w ponurej samotności, po raz pierwszy znalazłem przedmiot prawdziwej miłości, znalazłem ciebie. Ty jesteś moim lepszym „ja", moim dobrym aniołem. Silne uczucie przywiązuje mnie do ciebie. Uważam cię za dobrą, inteligentną, uroczą; gorące, poważne uczucie zrodziło się w moim sercu. Ku tobie ono płonie, ciebie wciąga w głąb i źródło mego życia. Istnienie moje wije się wokół

ciebie i płonąc czystym, potężnym płomieniem stapia ciebie i mnie w jedno.

Czując to i wiedząc postanowiłem pojąć cię za żonę. Mówić mi, że już mam żonę, to puste drwiny; ty wiesz teraz, że miałem tylko ohydnego demona. Źle zrobiłem, że próbowałem cię oszukać; ale lękałem się pewnego uporu, który masz w swoim charakterze. Lękałem się uprzedzeń wpojonych od dzieciństwa; chciałem cię posiąść bezpiecznie, zanimbym zaryzykował zwierzenia. To było z mej strony tchórzostwem, powinienem był odwołać się do twej szlachetności i wspaniałomyślności od razu, tak jak to czynię teraz; powinienem był odsłonić przed tobą wyraźnie życie moje pełne męki, opisać ci głód i pragnienie wyższego, godniejszego istnienia, wykazać ci nie moje postanowienia (to za słabe słowo), ale nieodpartą konieczność kochania wiernie i gorąco, jeżeli będę nawzajem wiernie i gorąco kochany. Wtedy powinienem był prosić cię o przyjęcie mojego zobowiązania i o danie mi twojego. Jane, daj mi je teraz!

Milczałam.

— Dlaczego milczysz, Jane?

Szarpała mną męka nadludzka, jak gdyby kleszcze z rozpalonego żelaza ściskały we mnie wnętrzności.

Straszna chwila: pełna walki, czarna jak noc! Nigdy żadna żyjąca istota nie mogła chcieć być bardziej kochaną, niż ja byłam kochana, a tego, który mnie w ten sposób kochał, ja po prostu ubóstwiałam. I oto muszę wyrzec się miłości i bożyszcza. Jedno straszne słowo określało mój twardy obowiązek: „Uchodź!"

— Jane, czy rozumiesz, czego ja chcę od ciebie? Tylko tej obietnicy: „Będę twoją, panie Rochester."

— Panie Rochester, ja nie będę twoją. Znowu długie milczenie.

— Jane! — zaczął znowu tak łagodnie, że załamałam się w sobie pod naciskiem żalu i lęku, gdyż cichy ten głos był jak dyszenie lwa zrywającego się do skoku — Jane, czy zamierzasz iść w świat jedną drogą, a mnie każesz iść inną?

— Tak, proszę pana.

— Jane — mówił nachylając się ku mnie i obejmując mnie — czy i teraz tak myślisz?

— Tak, proszę pana.

— A teraz? — łagodnie całując moje czoło i policzek.

— I teraz, proszę pana — odpowiedziałam wyzwalając się z uścisku szybko i zdecydowanie.

— O, Jane, to boli! To... to jest niepoczciwie! nie byłoby w tym nic złego, gdybyś mnie kochała!

— Ale postąpiłabym źle słuchając pana.

Wyraz uniesienia przebiegł po jego twarzy; podniósł brwi, wstał, ale hamował się jeszcze. Zadrżałam, lęk mnie ogarnął, mimo to trwałam w postanowieniu.

— Jedną chwilę, Jane! Spojrzyj na mój okropny los, gdy mnie opuścisz. Wszelkie szczęście opuści mnie wraz z tobą. Co mi zostanie? Wariatka żona. Możesz mnie równie dobrze odsyłać do jakiegoś trupa. Co mam uczynić? Gdzie szukać towarzyszki życia? Dokąd się zwrócić po odrobinę nadziei?

— Niech pan uczyni to, co i ja: niech pan zaufa Bogu i samemu sobie. Niech pan uwierzy w niebo. Niech pan ma nadzieję, że tam się spotkamy.

— Więc nie chcesz ustąpić?

— Nie.

— Więc skazujesz mnie na życie w upodleniu i na śmierć przeklętego? — mówił coraz głośniej.

— Radzę panu żyć bezgrzesznie i życzę panu spokoju w godzinie śmierci.

— Więc wydzierasz mi miłość, wydzierasz mi niewinność? Rzucasz

mnie na pastwę niskich namiętności? Każesz mi być występnym?

— Panie Rochester, nie przeznaczam panu tego losu, tak jak sama po niego nie sięgam. Urodziliśmy się na walkę i cierpienie, tak pan jak i ja; niech pan to czyni. Zapomni pan o mnie, zanim ja zapomnę o panu.

— Kłamcę ze mnie czynisz mówiąc tak, kalasz mój honor. Oświadczyłem, że nie mogę się zmienić, a ty w oczy mi mówisz, że się zmienię, i to wkrótce. A jakiej wykrętności sądu, jakiej przewrotności pojęć dowodzi twoje postępowanie! Czy lepiej doprowadzić bliźniego do rozpaczy niż przekroczyć marne ludzkie prawo, gdy nikomu się tym krzywdy nie czyni? Bo przecież ty nie masz krewnych ani znajomych, których byś obraziła żyjąc ze mną?

To była prawda; gdy to mówił, własne moje sumienie, własny mój rozum zdradziły mnie mówiąc, że popełniłabym zbrodnię przeciwstawiając się jemu. Głośno przemawiały, prawie tak głośno jak samo uczucie; a to uczucie krzyczało rozpaczliwie: „Zgódź się! Pomyśl, jak on cierpi, pomyśl, jakie mu grozi niebezpieczeństwo, pomyśl, czym będzie jego życie, gdy zostanie sam; zważ, jak jest gwałtowny z natury, jakie nieobliczalne skutki pociąga za sobą rozpacz! Ach, pociesz go, ocal, ukochaj; powiedz mu, że go kochasz, że będziesz należeć do niego. Kto na całym świecie dba o ciebie? Komu wyrządzisz krzywdę tym, co uczynisz?"

A jednak bezwzględna odpowiedź brzmiała: „Ja sama dbam o siebie. Im samotniejsza jestem, im mniej będę miała przyjaciół i oparcia, tym bardziej strzec będę własnej godności. Trzymać się będę prawa nadanego przez Boga, uznanego przez ludzi. Trzymać się będę zasad przyjętych przeze mnie, gdy byłam przy zdrowych zmysłach, a nie szalona jak w tej chwili. Prawa i zasady nie są stworzone na okresy wolne od pokus, ale na takie właśnie chwile jak obecna, gdy ciało i dusza buntują się przeciw ich surowości; są surowe, lecz nie będą pogwałcone. Gdybym dla osobistych względów mogła je złamać, jakaż byłaby ich wartość? Mają wartość — zawsze w to wierzyłam. A jeżeli nie mogę uwierzyć w to teraz, to dlatego, że jestem chora, zupełnie chora: w żyłach moich płynie ogień, serce moje bije tak szybko, że nie zliczę jego uderzeń. Dawno powzięte przekonania, postanowienia to jedyne, przy czym w tej godzinie stać mogę; na nich się opieram."

Tak myślałam, a pan Rochester z twarzy wyczytał moje myśli. Furia jego doszła do szczytu, zawładnęła nim na chwilę; przeszedł przez pokój, chwycił moją rękę i opasał mnie ramieniem. Pochłaniał mnie płonącym wzrokiem; fizycznie czułam się w tej chwili tak bezsilna jak źdźbło słomy porwane wichrem, ale wolę w sobie czułam niezachwianą, i to mi dawało pewność bezpieczeństwa. Dusza, na szczęście, ma swego tłumacza — często bezwiednego, ale zawsze wiernego — jest nim oko. Podniosłam oczy ku jego oczom; a kiedy patrzyłam w jego rozpłomienioną twarz, westchnęłam mimo woli: uścisk jego był bolesny, a nadmiernie wyczerpane siły już mnie opuszczały.

— Świat nie widział — odezwał się zgrzytnąwszy zębami — czegoś wątlejszego, a bardziej nieugiętego. Wiotką trzciną wydaje mi się w ręku! — tu potrząsnął mną. — Mógłbym ją zgiąć dwoma palcami; i cóż mi z tego, gdybym ją zgiął, złamał i skruszył? Z jej oka wyziera śmiała, mężna, wolna istota i stawia mi czoło nie tylko odważnie, ale z surowym triumfem. Cokolwiek bym zrobił z jej zewnętrzną powłoką, nie dosięgnę tej wolnej, pięknej istoty! Jeśli zniszczę tę powłokę, mój gniew tylko ją wyzwoli. Zdobyć dom mógłbym, ale mieszkanka uciekłaby do nieba, zanimbym posiadł jej siedzibę. A przecież, duchu wolny, ciebie, coś obdarzony wolą, energią i czystością, ciebie pragnę, nie tylko twej kruchej powłoki. Sam, gdybyś zechciał, mógłbyś zlecieć ku mnie i przytulić się do mego serca; schwytany wbrew twojej woli wymkniesz się dotknięciu jak lotny zapach, zanim wchłonę woń twoją. O, przyjdź, Jane, przyjdź!

Mówiąc to uwolnił mnie z żelaznego uścisku i tylko patrzył na mnie. O wiele trudniej było oprzeć się temu spojrzeniu niż gwałtowności uścisku, a przecież nie mogłam ulec. Obroniłam się przed jego pasją, muszę uciekać przed jego bólem: postąpiłam ku drzwiom.

— Odchodzisz, Jane?

— Odchodzę, proszę pana.

— Opuszczasz mnie?

— Tak.

— Nie chcesz przyjść? Nie chcesz mnie pocieszyć, ocalić? Moja głęboka miłość, mój żal serdeczny, moje gorące błaganie są niczym dla ciebie?

O, cóż za niewypowiedziany ból drżał w jego głosie! Jak ciężko było powtórzyć stanowczo: „Odchodzę."

— Jane!

— Panie Rochester!

— Odejdź zatem, zgadzam się; ale pamiętaj, że zostawisz mnie tutaj w męce. Idź do swego pokoju, zastanów się nad wszystkim, co ci powiedziałem, i rzuć okiem, Jane. na moje cierpienia, miej wzgląd na mnie.

Odwrócił się, padł twarzą na kanapę.

— Jane! nadziejo moja! miłości moja! moje życie! — w męce padały te słowa z ust jego. A potem usłyszałam głęboki, silny szloch.

Już byłam przy drzwiach; powróciłam jednak, powróciłam równie stanowczo, jak odchodziłam. Uklękłam przy nim; odwróciłam twarz jego od poduszki ku sobie; ucałowałam ją; ręką przygładziłam mu włosy.

— Niech cię Bóg błogosławi, mój drogi panie! — powiedziałam. — Niech cię Bóg chroni od nieszczęścia i od złego, niech cię prowadzi, pociesza, nagrodzi za twoją dobroć dla mnie!

— Miłość małej Jane byłaby mi najlepszą nagrodą — odpowiedział — bez niej serce moje pęka. Ale Jane da mi swoją miłość; tak, tak, da mi ją szlachetnie, wspaniałomyślnie!

Krew uderzyła mu do twarzy; ogniem błysnęły oczy, zerwał się jednym skokiem; wyciągnął ramiona, ale ja uniknęłam uścisku i od razu wyszłam z pokoju.

„Bywaj zdrów!" krzyczało we mnie serce, gdy go porzuciłam. A rozpacz dodawała: „Żegnaj na zawsze!"

Nie przypuszczałam, że będę spać tej nocy. Jednakże zasnęłam, zaledwie głowę przyłożyłam do poduszki. Sen przeniósł mnie w lata mojego dzieciństwa; śniło mi się, że leżę w czerwonym pokoju w Gateshead; noc była ciemna, dziwny lęk ciążył mi na duszy. Światło, które niegdyś przyprawiło mnie o atak, teraz zdawało się posuwać w górę po ścianie i, drżące, zatrzymało się pośrodku ciemnego sufitu. Podniosłam głowę, żeby na nie popatrzeć; dach rozwiał się zamieniając się w chmury dalekie i mgliste; światełko było takie, jakim księżyc prześwieca mgłę, którą za chwilę rozwieje. Czekałam, aż wypłynie, czekałam z dziwnym przeczuciem, jak gdybym miała wyczytać jakieś słowa wyroczne wypisane na jego twarzy. Ukazał się wreszcie, ale nigdy jeszcze księżyc w ten sposób nie wydzierał się zza chmur. Najpierw ręka czyjaś przedarła się i odgarnęła ciemną zasłonę obłoków; potem nie księżyc, ale biała postać ludzka zajaśniała w błękicie, chyląc ku ziemi świetlane oblicze. Postać ta wpatrywała się we mnie. Przemawiała do mojego ducha: z niezmiernej dali płynął głos, lecz tak blisko szeptał w moim sercu:

„Moja córko, uciekaj przed pokusą."

„Matko, uczynię to" — odpowiedziałam.

Tak też powiedziałam sobie obudziwszy się z tego snu. Noc jeszcze była, ale noce lipcowe są krótkie; zaraz po północy zaczyna świtać. „Nigdy nie dość wcześnie na rozpoczęcie tego, co mam dokonać" — pomyślałam. Wstałam; byłam ubrana, gdyż nie rozbierałam się wcale, zdjęłam tylko trzewiki. Wiedziałam, gdzie znaleźć w szufladach trochę bielizny, medalion, pierścionek. Szukając tych rzeczy natrafiłam na naszyjnik z pereł, który zmuszona byłam przyjąć od pana Rochestera kilka dni temu. Nie zabrałam tego, nie było to moją własnością; należało do tej urojonej panny młodej, która rozwiała się w powietrzu jak mgła. Resztę rzeczy zawinęłam w paczkę; sakiewkę, zawierającą dwadzieścia szylingów (więcej nie posiadałam), włożyłam do kieszeni; zawiązałam słomiany kapelusz, przypięłam szal i wykradłam się cicho z pokoju.

„Bywaj zdrowa, dobra pani Fairfax! — szepnęłam przemykając się pod jej drzwiami. — Bywaj zdrowa, Adelko, moje kochanie!" — rzekłam patrząc na drzwi dziecinnego pokoju. Nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby wstąpić i uściskać małą. Musiałam oszukać

bystre ucho, które może nasłuchiwało.

Byłabym przeszła bez zatrzymania się obok drzwi pana Rochestera, ale serce moje nagle przestało bić przed tym progiem, tak że musiałam przystanąć. On nie spał; słyszałam niespokojne kroki krążące po pokoju i powtarzające się westchnienia. Tam było niebo — chwilowe niebo dla mnie, gdybym tylko zechciała; trzeba mi tylko było wejść i powiedzieć:

„Panie Rochester, będę pana kochała i żyła z panem przez życie całe aż do śmierci" — i kielich szczęścia dotknąłby moich ust. Pomyślałam o tym.

Ten dobry pan, który teraz nie może spać, niecierpliwie wyczekuje dnia. Przyśle po mnie rano, lecz mnie już nie będzie. Każe mnie szukać — na próżno. Poczuje, że jest opuszczony; że odrzucono jego miłość; będzie cierpiał, może popadnie w ostateczną rozpacz. I o tym też pomyślałam. Ręka moja sięgnęła po klamkę; cofnęłam ją i przesunęłam się dalej.

W męce schodziłam na dół: wiedziałam, co mam robić, i robiłam to automatycznie. Poszukałam klucza od bocznych drzwi w kuchni; poszukałam buteleczki z oliwą i piórka; nasmarowałam klucz i zamek. Wzięłam trochę wody, trochę chleba, gdyż może wypadnie mi iść daleko; a źle by było, gdyby mnie siły, mocno nadszarpnięte w ostatnich czasach, zawiodły. Wszystkiego dokonywałam jak najciszej. Otworzyłam drzwi, wyszłam, zamknęłam je za sobą. Mroczny świt zalegał podwórze. Wielkie bramy były na klucz zamknięte; ale furtka w jednej z nich była tylko zamknięta na klamkę. Tamtędy się wysunęłam; i teraz byłam poza obrębem Thornfield.

W odległości mili, poza polami, ciągnęła się droga w kierunku przeciwnym do Millcote; droga nieznana, o której nie wiedziałam, dokąd prowadzi; tam ruszyłam. Nie wolno mi było teraz się zastanawiać, obejrzeć wstecz lub wyglądać naprzód. Ani jednej myśli nie wolno mi było teraz poświęcić przeszłości ani przyszłości; przeszłość była tak niebiańsko słodka, tak śmiertelnie smutna, że wspominanie jej podcięłoby we mnie odwagę, złamało energięPrzyszłość była straszną pustką — niby świat po potopie.

Mijałam pola, płoty i drogi do wschodu i po wschodzie słońca. Zdaje mi się, że był piękny letni poranek, w każdym razie wiem, że trzewiki moje wkrótce zwilgotniały od rosy. Nie patrzyłam jednak ani na wschodzące słońce, ani na uśmiechnięte niebo, ani na budzącą się naturę. Skazaniec prowadzony na rusztowanie nie myśli o kwiatach, które widzi po drodze, przed oczami ma pień i ostrze topora, widzi głowę oddzieloną od tułowia i czekający go grób. A ja myślałam o tej strasznej ucieczce, o bezdomnym tułaniu się i — och! z najwyższą męką myślałam o tym, którego porzuciłam. Nie mogłam się oprzeć tym myślom. Widziałam go teraz — w jego pokoju — czekającego na wschód słońca i pełnego nadziei, że ja wkrótce przyjdę i powiem, że pozostanę z nim, że będę należeć do niego. Pragnęłam doń należeć; dyszałam chęcią powrotu; jeszcze nie było za późno; mogłam mu jeszcze oszczędzić gorzkiego bólu opuszczenia: jeszcze dotąd, byłam tego pewna, nikt nie zauważył mojej ucieczki. Mogłam powrócić i stać się jego pocieszycielką, jego dumą; mogłam ochronić go od nieszczęścia, a może od zguby. Och, ta obawa, że on teraz może zejść z dobrej drogi, jakże mnie ona dręczyła! Znacznie bardziej niż myśl o moim własnym opuszczeniu. Była jak kolczasta strzała w mojej piersi, rozdzierała mi ciało, kiedy usiłowałam ją wyciągnąć, doprowadzała mnie do mdłości, gdy wspomnienia jeszcze pogłębiały mękę. Ptaki zaczynały śpiewać w kępach drzew i krzaków: ptaki są wierne swoim towarzyszom; ptaki są symbolem miłości. A czymże ja jestem? Z sercem pełnym bólu, walcząc o zwycięstwo zasad nienawidziłam samej siebie. Nie było dla mnie pociechy w uznaniu dla samej siebie ani nawet w poczuciu własnej godności. Skrzywdziłam, zraniłam, opuściłam mojego pana. Czułam wstręt do samej siebie.

A jednak nie mogłam zawrócić, nie mogłam się cofnąć. Chyba sam Bóg mnie prowadził. Własną moją wolę, własne sumienie namiętny żal podeptał i obezwładnił. Płakałam rozpaczliwie idąc samotną drogą, szybko, szybko jak w gorączce. Ogarnęła mnie słabość i upadłam; leżałam przez kilka minut na ziemi przyciskając twarz do wilgotnej trawy. Trochę się lękałam, a może miałam nadzieję, że tam umrę. Niebawem jednak podniosłam się. Zrazu posuwałam się naprzód na czworakach, wkrótce jednak wstałam z gorączkowym, jak pierwej, postanowieniem dotarcia do drogi.

Gdy do niej doszłam, zmuszona byłam usiąść pod płotem, ażeby

wypocząć; siedząc tam usłyszałam turkot i ujrzałam nadjeżdżający powóz. Wstałam i podniosłam rękę; powóz stanął. Zapytałam, dokąd jedzie; woźnica wymienił odległą miejscowość, gdzie, byłam pewna, pan Rochester nie ma znajomych. Spytałam, za jaką kwotę mógłby mnie tam zawieźć; powiedział mi, że za trzydzieści szylingów; odparłam, że mam tylko dwadzieścia; zgodził się na tę sumę. Pozwolił mi wejść do środka, gdyż wehikuł był pusty; wsiadłam, drzwiczki się zatrzasnęły i powóz ruszył naprzód.

Miły czytelniku, obyś nigdy nie czuł tego, co ja wtedy czułam. Oby z oczu twych nie polały się nigdy takie gwałtowne, gorące, z głębi serca płynące łzy. Obyś nigdy nie wzywał pomocy Niebios modlitwą tak beznadziejną i bolesną jak ta, która w owej chwili zrywała się z mych ust.

ROZDZIAŁ XXVIII

Dwa dni minęły. Jest letni wieczór. Woźnica wysadził mnie w miejscu zwanym Whitcross; nie mógł mnie zawieść dalej za pieniądze, które mu dałam, a ja już nie miałam ani szylinga. Powóz tymczasem odjechał; jestem sama. W tej chwili spostrzegłam, że zapomniałam paczki w powozie; trudno — jest tam i musi pozostać, tylko że teraz zostaję ogołocona ze wszystkiego.

Whitcross to nie miasto, nawet nie osada; to tylko kamienny słup osadzony w miejscu, gdzie schodzą się cztery drogi; jest pobielony, zapewne po to, by był widoczny z daleka i w ciemnościach. Cztery drogowskazy sterczą na jego szczycie; wskazują, że najbliższe miasto jest odległe o dziesięć, następne o dwadzieścia mil. Dobrze znane nazwy miast mówią mi, w jakim hrabstwie się znalazłam. Jest to jedno z północno-środkowych, faliste, przecięte górami. Widzę to. Wielkie przestrzenie zarosłych wrzosem pagórków są za mną i po obu moich bokach, faliste wzgórza wznoszą się daleko poza tą głęboką doliną leżącą u moich stóp. Zaludnienie musi tu być słabe; nie widzę też przechodniów na drogach. Te drogi ciągną się na wschód, zachód, północ i południe — białe, szerokie, puste. Wszystkie prowadzą przez wrzosowisko, a wrzosy, gęste i bujne, sięgają po same ich brzegi. Drogi są puste, jednak jakiś przypadkowy podróżny mógłby przechodzić tędy, a ja pragnę, by mnie żadne ludzkie oko nie widziało. Obcy mogliby się dziwić, co ja robię pod tym drogowskazem, stojąc widocznie bez celu, jak ktoś zabłąkany. Może zacząłby mnie wypytywać, a to, co mogłabym odpowiedzieć, wydałoby się niewiarogodne i podejrzane. Nic mnie w tej chwili nie łączy ze społecznością ludzką, żadna nadzieja nie wzywa mnie między ludzi; nikt z nich nie mógłby o mnie dbać, nikt nie okazałby mi życzliwości. Pozostaje mi tylko matka natura; na jej łonie poszukam wypoczynku...

Puściłam się prosto w gęstwinę wrzosów; po kolana brodziłam w zaroślach. Udałam się do kotliny, gdzie mchem porosły złom granitu stanowił pewną ochronę; usiadłam; złom granitu osłaniał mi

głowę; nade mną roztaczało się niebo.

Pewien czas minął, zanim się i tutaj nawet poczułam spokojna. Lękałam się, że może w pobliżu pasie się bydło albo że jaki myśliwy czy kłusownik może mnie tu odkryć. Gdy wiatr zrywał się na tym pustkowiu, podnosiłam oczy w obawie, że to może odłączony od stada byk; gdy siewka zagwizdała, wyobrażałam sobie, że to człowiek. Widząc jednak, że obawy moje są płonne, uspokojona głęboką ciszą chylącego się ku nocy wieczoru, nabrałam otuchy. Do tej chwili nie myślałam o niczym: słuchałam, patrzyłam i lękałam się. Teraz odzyskałam zdolność myślenia.

Co miałam począć? Dokąd się udać? O, nieznośne pytania! Przecież nie mogłam nic począć, nie miałam dokąd się udać. Daleką drogę musiałyby przemierzyć moje znużone, drżące nogi, nimbym dotarła do zabudowań ludzkich; musiałabym się dopraszać zimnego miłosierdzia, zanimbym uzyskała dach nad głową: czy wysłucha kto, choć niechętnie, mojego opowiadania, czy nie oddali od progu nie zaspokoiwszy moich potrzeb?

Dotknęłam ręką wrzosów: były suche i jeszcze ciepłe od upału letniego dnia; na czystym niebie migotała dobrotliwie gwiazda. Rosa opadła, lecz niewielka; nie było śladu wiatru. Natura wydała mi się dobra, życzliwa; zdawało mi się, że ona mnie kocha, choć byłam wyrzutkiem, a oczekując od ludzi jedynie nieufności, chłodu i obelg garnęłam się do niej serdecznie jak dziecko do matki, Ona mi na dzisiaj udzieli przytułku jak matka, nie żądając za to zapłaty. Miałam jeszcze kawałeczek chleba, resztę tego, który przejeżdżając przez jakieś miasto w południe kupiłam za pozostałego mi pensa, ostatnią monetę. Widziałam dojrzałe jagody błyszczące jak czarne perły tu i owdzie wśród wrzosów; zebrałam ich garstkę i zjadłam z chlebem. Zaspokoiłam na razie głód dokuczliwy, chociaż nie nasyciłam się tą ucztą pustelnika. Skończywszy, zmówiłam wieczorne pacierze i ułożyłam się do snu.

Pod granitowym złomem wrzosy były bujne i wysokie, zatonęłam w nich prawie w zupełności, a nakryta złożonym szalem nie odczuwałam chłodu. Byłabym odpoczęła wygodnie i dobrze, gdyby ciężki smutek nie przeszkadzał mi zasnąć. A smutek ten skarżył się otwarta raną, wewnętrznie krwawiącą; drżał lękiem o pana Rochestera i jego los; opłakiwał go żałosną litością; pragnął go

nieustanną tęsknotą, a bezsilny jak ptak o złamanych skrzydłach, trzepotał nimi w daremnym wysiłku odlotu ku niemu. Udręczona tą męką uklękłam. Noc nadeszła i ukazały się gwiazdy. Spokojna, cicha noc, zbyt pogodna, by strach miał do niej dostęp. Wiemy, że Bóg jest wszędzie, ale z pewnością nigdy tak nie czujemy Jego obecności jak wtedy, gdy patrząc na niebo, gdzie w milczącym biegu toczą się Jego światy, widzimy jasno Jego nieskończoność, wszechmoc, wszechobecność. Klękłam, by pomodlić się za pana Rochestera. Unosząc w górę zalane łzami oczy ujrzałam drogę mleczną. Pomyślałam, ile niepoliczonych światów błyska tam w górze jak słaba smuga świetlna, i odczułam potęgę i moc Boga. Pewna byłam, że Bóg może ocalić swe stworzenie, zrodziła się we mnie ufność, że ziemia się nie zapadnie i ani jedna dusza ludzka nie zginie. Modlitwa moja przerodziła się w modlitwę dziękczynną: źródło życia to zarazem Zbawiciel dusz. Pan Rochester był bezpieczny, gdyż był w ręku Boga. Uspokojona przytuliłam się znowu do łona ziemi i niebawem we śnie zapomniałam o zgryzotach.

Ale nazajutrz nędza moja odsłoniła przede mną nagie oblicze. Już dawno ptaszki wyleciały z gniazd, już dawno pszczoły uwijały się, by zebrać miód z wrzosów, zanim rosa obeschnie, słońce już stało wysoko na niebie, gdy wstałam i rozejrzałam się dokoła.

Co za cichy, gorący, wspaniały dzień! Co za złotą pustynię tworzyło pagórkowate wrzosowisko! Wszędzie jaśniał blask słoneczny! Żałowałam, że nie mogę żyć w tym blasku i tym blaskiem. Zobaczyłam jaszczurkę przebiegającą po kamieniu; zobaczyłam pszczołę kręcącą się wśród słodkich jagód. Ach, jakże pragnęłam stać się pszczołą lub jaszczurką i znaleźć odpowiednie pożywienie i stałe schronienie tutaj! Byłam jednakże ludzką istotą, miałam ludzkie potrzeby; nie mogłam zatrzymywać się tutaj, gdzie nie znalazłabym nic do ich zaspokojenia. Wstałam, obejrzałam się raz jeszcze na miejsce mojego nocnego spoczynku. Pozbawiona wszelkiej nadziei na przyszłość, żałowałam, że Stwórca nie powołał tej nocy mojej duszy do siebie i że moje umęczone ciało nie zostało wyzwolone przez śmierć. Nie musiałoby dalej walczyć z przeciwnościami losu, lecz mogłoby stać się cząstką tego pustkowia. Byłam jednakże przy życiu odczuwając wszystkie potrzeby, bóle i obowiązki życia. Musiałam dźwigać ciężar tego życia, znaleźć

sposoby zaspokojenia mych potrzeb, znosić cierpienie, wypełnić obowiązek. Ruszyłam w drogę.

Wróciwszy do Whitcross poszłam w przeciwnym kierunku do biegu słońca, dopiekającego i stojącego już teraz wysoko. Był to jedyny czyn, na który mogłam się zdobyć. Szłam czas dłuższy, a gdy pomyślałam, że na razie dosyć, że mam już prawo odpocząć po szalonym zmęczeniu, że mogę zaprzestać narzuconej sobie wędrówki i poddać się apatii ogarniającej moje serce i członki, usłyszałam dźwięk kościelnego dzwonu.

Spojrzałam w stronę dolatującego dźwięku i wśród wzgórz romantycznych, na których malowniczość już od godziny przestałam uważać, ujrzałam wioskę i wieżę kościelną. Cała dolina po mojej prawej ręce pełna była pastwisk, łanów zbożowych i lasków; błyszczący strumień płynął kręto wśród rozmaitych odcieni zieleni, dojrzewającego ziarna, ciemnego lasu, jasnych, słonecznych łąk. Usłyszawszy turkot kół na drodze przed sobą ujrzałam ładowny wóz, toczący się ciężko pod górę. a niedaleko człowiek jakiś pędził dwie krowy, Ludzkie życie, ludzka praca były w pobliżu. Trzeba było iść naprzód, walczyć o życie i podejmować trudy, jak czynią to inni ludzie.

Około drugiej po południu dotarłam do wioski. Na końcu uliczki znajdował się sklepik, gdzie w oknie wystawiono parę bułek. Zapragnęłam takiej bulki. Posilona nią, mogłabym odzyskać nieco energii; bez tego trudno będzie iść dalej. Pragnienie odzyskania odrobiny sił wróciło mi, jak tylko znalazłam się wśród ludzi. Wstydziłabym się zemdleć z głodu. Czy nie miałam przy sobie czego, co mogłabym ofiarować w zamian za jedną z tych bułek? Zastanowiłam się. Miałam małą jedwabną chusteczkę, zawiązaną dookoła szyi, i miałam rękawiczki. Nie bardzo wiedziałam, jak postępują ludzie w warunkach ostatecznej nędzy. Nie wiedziałam, czy który z tych przedmiotów będzie przyjęty, prawdopodobnie nie — ale trzeba spróbować.

Weszłam do sklepiku; była tam kobieta. Widząc przyzwoicie ubraną osobę, damę, jak sądziła, uprzejmie podeszła do mnie. „Czym można mi służyć?" Wstyd mnie ogarnął; nie śmiałam wymówić przygotowanych słów; nie śmiałam zaproponować jej znoszonych rękawiczek, zgniecionej chusteczki, zresztą czułam, że to byłoby

niedorzecznością. Poprosiłam więc ją tylko, by mi pozwoliła usiąść na chwilę, gdyż jestem zmęczona. Zawiedziona, że nie znalazła we mnie klientki, chłodno zgodziła się na moją prośbę. Wskazała mi krzesło; opadłam na nie. Strasznie chciało mi się płakać, czując jednak, jak bardzo byłoby to nie w porę siłą powstrzymałam łzy. Po chwili zapytałam ją, czy jest we wsi krawcowa.

— O tak, są dwie czy trzy. Tyle właśnie, ile potrzeba.

Zastanowiłam się. Stanęłam twarzą w twarz z potrzebą. Bez żadnych środków, bez przyjaciół, bez grosza — coś należało zrobić. Ale co? Starać się o jaką robotę? Ale gdzie?

— Czy pani nie wie o jakim miejscu w sąsiedztwie, gdzie by potrzebowano służącej?

— Nie, nie wiem o żadnym.

— Czym się tu ludzie głównie zajmują? Co tu większość ludzi robi?

— Niektórzy pracują na roli: wielu pracuje w fabryce igieł i w odlewni pana Olivera.

— Czy pan Oliver zatrudnia także kobiety?

— Nie, to jest robota wyłącznie dla mężczyzn.

— A co tu robią kobiety?

— Nie wiem — odpowiedziała. — Jak się zdarzy; jedne to, drugie tamto. Biedni ludzie muszą sobie radzić, jak mogą.

Wydawała się znudzona moimi pytaniami. Jakim prawem zajmowałam jej czas? Przyszły jakieś sąsiadki, moje krzesło było potrzebne. Pożegnałam się.

Poszłam wzdłuż ulicy przyglądając się po drodze wszystkim domom na prawo i na lewo, nie mogłam jednak wymyślić żadnego pozoru, by wejść do któregoś z nich. Błądziłam po wiosce z dobrą godzinę. Mocno wyczerpana i bardzo już teraz zgłodniała, zeszłam na jakąś boczną drogę i siadłam pod płotem. Nim jednak upłynęło kilka minut, znowu byłam na nogach i znowu czegoś szukałam —

pomocy, a choćby objaśnienia. Ładny mały domeczek stał na końcu drogi w bardzo miłym, ślicznie kwitnącym ogródku. Jakim prawem podchodziłam do białych drzwi, by dotknąć błyszczącej kołatki? Dlaczego mieszkańcy tego domku mieliby mi pomóc? Mimo tego przybliżyłam się i zapukałam. Ładnie wyglądająca, czysto ubrana młoda kobieta otworzyła drzwi. Takim głosem, na jaki zdobyć się mogło pozbawione nadziei serce i omdlewające ciało — głosem cichym i drżącym — zapytałam, czy tu nie potrzeba służącej.

— Nie — odpowiedziała — my nie trzymamy służącej.

— Czy może mi pani powiedzieć, gdzie bym tu mogła znaleźć zajęcie jakiegokolwiek rodzaju? — mówiłam dalej. — Jestem tu obca, nie znam nikogo. Potrzebuję roboty, wszystko jedno jakiej.

Nie było przecież jej rzeczą myśleć za mnie albo szukać dla mnie miejsca; przy tym jakże wątpliwa musiała się jej wydawać moja rola, osoba i opowieść. Potrząsnęła głową, mówiąc, że „przykro jej, że nie może mnie objaśnić", i bardzo delikatnie i grzecznie zamknęły się białe drzwi, ale zamknęły się przede mną. Gdyby trochę dłużej były otwarte, przypuszczam, że byłabym poprosiła o kawałek chleba; bo już do tej ostateczności dochodziłam.

Nie mogłam znieść myśli o powrocie do brudnej wioski, gdzie zresztą nie widziałam nadziei pomocy. Wolałabym była zboczyć do lasu nie opodal i tam poszukać schronienia. Taka jednakże byłam słaba, strudzona, udręczona głodem, że sam instynkt kazał mi błąkać się dookoła siedzib ludzkich, gdzie jednak mogłabym znaleźć pożywienie. Nie znalazłabym w lesie samotności i odpoczynku, podczas gdy głód szarpał mi wnętrzności. Podchodziłam bliżej do wioski i oddalałam się od niej. Odpędzała mnie świadomość, że nie mam prawa wymagać, by ktoś się interesował nieszczęsnym moim losem. Tymczasem gdy tak się błąkałam jak bezpański, głodny pies, upływały godziny popołudniowe. Przechodząc przez jakieś pola, ujrzałam przed sobą wieżę kościelną; spiesznie ku niej podążyłam. Blisko cmentarza, pośrodku ogrodu stał dobrze zbudowany mały domek, niewątpliwie mieszkanie pastora. Przypomniałam sobie, że obcy przybysze szukający zajęcia w miejscu, gdzie nie mają znajomych, zwracają się niekiedy do duchownego po pomoc. Przecież kapłan ma za zadanie pomagać, przynajmniej radą, tym, którzy pragną sami sobie pomóc. Zebrawszy odwagę i siły dotarłam

do tego domu i zapukałam do drzwi kuchennych. Otworzyła mi stara kobieta; zapytałam, czy to plebania.

— Tak.

— Czy pleban w domu?

— Nie ma go.

— Czy wróci prędko?

— Nie, wyjechał.

— Czy daleko?

— Nie bardzo — może będzie ze trzy mile stąd. Wezwano go, bo ojciec jego nagle umarł; jest obecnie w Marsh End i prawdopodobnie zostanie tam jeszcze ze dwa tygodnie.

— Czy jest jaka pani w domu?

— Nie, ja tylko jestem; a ja jestem gospodyni. Nie mogłam jej prosić o jedzenie, bez którego siły mnie opuszczały; nie umiałam jeszcze żebrać. I znów powlokłam się gdzie indziej. Jeszcze raz zdjęłam z szyi chusteczkę, jeszcze raz pomyślałam o bułkach w sklepiku. Żeby choć dostać kromkę! Kawałeczek, który uspokoi ból głodu! Instynktownie powróciłam do wioski, odnalazłam sklepik i weszłam, a chociaż i inni byli tam obecni, odważyłam się zapytać:

— Czy zechce mi pani dać bułkę za tę chusteczkę?

Spojrzała na mnie z wyraźną podejrzliwością.

— Nie, ja nigdy nie sprzedaję towarów w ten sposób.

Już prawie zrozpaczona poprosiłam chociaż o pół bułki; odmówiła znowu:

— Jakże ja mogę wiedzieć, skąd pani wzięła tę chusteczkę? — rzekła.

— A przyjęłaby pani te rękawiczki?

— Nie! Co mi po nich?

To nie należy do rozkoszy, czytelniku, przypominać sobie te wydarzenia. Powiadają, że przyjemnie jest patrzeć wstecz na nieszczęście, które minęło, lecz ja do dziś dnia nie potrafię myśleć o tamtych czasach. Poniżenie moralne połączone z cierpieniem fizycznym jest zbyt bolesne samo w sobie, by można było chętnie wracać doń w myślach. Nie miałam żalu do ludzi, którzy mi nie przychodzili z pomocą. Tego należało się spodziewać i nie było na to rady. Zwykły żebrak jest często przedmiotem nieufności, a dobrze ubrany żebrak nieuchronnie budzi nieufność. Co prawda żebrałam o pracę, lecz dlaczego ktokolwiek miał mi ją dać? Przecież nie ludzie, którzy widzieli mnie po raz pierwszy w życiu i nic o mnie nie wiedzieli. Natomiast kobieta, która mi nie chciała dać chleba za chustkę, miała rację, jeśli propozycja wydała się jej podejrzana lub niekorzystna. Słowem, temat moich ówczesnych przeżyć budzi we mnie mdłości.

Pod wieczór przechodziłam obok domu farmera; przed otwartymi drzwiami siedział gospodarz i spożywał kolację, złożoną z chleba i sera. Przystanęłam i powiedziałam:

— Czy nie dałby mi pan kawałka chleba, gdyż jestem bardzo głodna?

Spojrzał na mnie zdziwiony, ale nie odpowiadając odkrajał grubą kromkę z bochenka i podał mi ją. Przypuszczam, że nie wziął mnie za żebraczkę, tylko za jakąś ekscentryczną osobę, której się zachciało jego czarnego chleba. Oddaliwszy się tak, żeby mnie nie mógł widzieć, usiadłam i zjadłam chleb.

Nie mając nadziei znalezienia noclegu pod dachem poszukałam go w lesie, o którym przedtem wspomniałam. Nędzną jednak noc spędziłam; spoczynek mój był przerywany; ziemia była wilgotna, powietrze zimne; przy tym kilka razy przechodzili tamtędy ludzie, więc raz po raz szukałam innego miejsca; nie miałam zupełnie poczucia bezpieczeństwa czy spokoju. Nad ranem rozpadał się deszcz; cały następny dzień był dżdżysty. Nie żądaj ode mnie, czytelniku, dokładnego opisu wydarzeń tego dnia. Szukałam pracy i głodowałam jak poprzedniego dnia; raz tylko jadłam. Przed drzwiami jakiejś chaty ujrzałam małą dziewczynkę mającą właśnie

wyrzucić porcję zimnej owsianki do koryta świni.

— Czy nie dałabyś mi tego? — zapytałam. Wytrzeszczyła na mnie oczy.

— Matko! — zawołała — tu jest kobieta, która prosi, żebym jej dała tę kaszę.

— Daj jej, jeżeli to żebraczka — odpowiedział głos z izby. — Wieprz tego nie potrzebuje.

Dziewczynka wytrząsnęła mi na rękę zgęstniałą masę, a ja pochłonęłam ją chciwie.

Dżdżysty mrok zapadał, gdy zatrzymałam się na samotnej ścieżce, wzdłuż której szłam już od godziny.

„Brak mi już sił — mówiłam do siebie. — Czuję, że już nie zajdę daleko. Czyż znowu mam być wyrzutkiem bez dachu tej nocy? Chociaż taki deszcz pada, czy będę zmuszona położyć się na zimnej, przemokłej ziemi? Cóż mi innego pozostaje; bo któż mnie przyjmie? Ale to będzie straszne z tym uczuciem głodu, osłabienia, chłodu i z tą zupełną beznadziejnością. Najprawdopodobniej umrę, nim ranek nadejdzie. Dlaczegóż jednak nie mogę się pogodzić z myślą o śmierci? Czemu walczę o podtrzymanie życia bez wszelkiej wartości? Dlatego, że wiem, a przynajmniej sądzę, że pan Rochester żyje... a przy tym umierać z głodu i zimna to los, przed którym natura się wzdryga.

O Boże, podtrzymaj mnie! O Boże, prowadź mnie!" Błądziłam wzrokiem po ciemnym, zamglonym krajobrazie. Oddaliłam się już znacznie od wioski. Jej zabudowania, a nawet pola znikły mi zupełnie z oczu. Różnymi przejściami i ścieżynami dotarłam znowu do wrzosowiska. Kilka pól równie dzikich i bezużytecznych jak wrzosowisko dzieliło mnie od ciemnych pagórków.

„Tam raczej wolę umrzeć — pomyślałam — niż na ulicy lub na uczęszczanej drodze! I wolę, żeby kruki i wrony, jeżeli tu są jakieś kruki, obdarły moje kości z ciała, niż żebym została pochowana na koszt dobroczynności publicznej i gniła w żebraczej mogile." Skierowałam się ku pagórkom i zaczęłam upatrywać jakiegoś

zagłębienia, gdzie bym się mogła spokojnie ukryć. Ale grunt wyglądał równo. Nie było w nim żadnych odmian prócz odmian barw: zielony, gdzie mech i trzciny porastały bagnisko, czarny, gdzie sucha gleba rodziła jedynie wrzos. Choć ściemniało się, mogłam jeszcze dostrzec te odmiany — lecz jako jaśniejsze i ciemniejsze pasma, bo kolory zatarły się z zachodem słońca.

Oko moje jeszcze błądziło po odkrytej przestrzeni tego dzikiego widoku, gdy nagle w pewnym ciemnym punkcie, daleko wśród torfowisk i wzgórz, zabłysło światełko. „To błędny ognik" — pomyślałam w pierwszej chwili i czekałam, że rychło zniknie. Światło paliło się jednak zupełnie spokojnie, nie posuwając się ani naprzód, ani w tył. „Czy to może świeżo rozpalone ognisko? — zadałam sobie pytanie. Czekałam, czy się nie powiększy, ale nie, ani się nie zwiększało, ani nie zmniejszało. „To może być światło świecy w jakimś domu — domyśliłam się — ale jeżeli tak, to ja nigdy do niego nie dotrę. Jest zbyt daleko; a nawet gdyby było tuż, co mi z tego przyjdzie? Zapukałabym do drzwi po to, by je przede mną zamknięto."

Upadłam tam, gdzie stałam, i przywarłam twarzą do ziemi. Leżałam jakiś czas; nocny wiatr szumiał nad wzgórzami, nade mną i zamierał jęcząc w oddali; deszcz rozpadał się na nowo przenikając mnie do żywego ciała. Gdybym już była umarła, nie czułabym go, lecz żyłam jeszcze i drżałam z zimna. Podniosłam się niebawem.

Światełko świeciło ciągle wskroś deszczu, niejasno, ale stale. Starałam się iść znowu: powoli, wyczerpana, wlokłam się ku niemu na przełaj przez wielkie trzęsawisko, które zimą byłoby nie do przebycia, a i teraz, w pełni lata, uginało się mokre pod stopami. Tutaj dwukrotnie upadłam; podnosiłam się jednak za każdym razem i zbierałam siły. Światełko było moją ostateczną nadzieją; ku niemu dążyłam.

Przeszedłszy torfiastą łąkę natrafiłam na biały ślad drogi czy ścieżki; prowadziła prosto do światełka, które teraz świeciło spoza kępy drzew, świerków, zdaje się, o ile mogłam w ciemności rozeznać. Moja gwiazda przewodnia znikła, gdy się przybliżyłam, jakaś przeszkoda musiała mi ją zasłonić. Wyciągniętą ręką namacałam kamienie niskiego muru, na którym wznosiła się niby palisada; od wewnątrz był wysoki, kłujący żywopłot. Szukałam dalej; coś białego

zabłysło przede mną: była to brama, a raczej furtka; gdy jej dotknęłam, poruszyła się na zawiasach, z każdej jej strony stał czarny krzak — ostrokrzew czy też cis.

Minąwszy furtkę i krzaki, ujrzałam przed sobą sylwetkę domu, czarną, niską, długawą, ale moje przewodnie światło nie świeciło nigdzie. Ciemność panowała wszędzie. Czyżby mieszkańcy już poszli na spoczynek? Tego się obawiałam. Szukając drzwi zawróciłam koło węgła — i oto zabłysło znowu przyjazne światełko zza szyby bardzo małego, zakratowanego okienka nisko osadzonego nad ziemią. Bluszcz czy inny pnącz gęsto osłaniał liśćmi tę część muru, gdzie ono widniało. Otwór był tak osłonięty bluszczem i tak mały, że uważano za zbyteczne dać tu zasłonę lub okiennicę. Toteż nachyliwszy się i odgarnąwszy gałązki pnączy mogłam dobrze zobaczyć całe wnętrze. Zobaczyłam izbę o czysto wyszorowanej, piaskiem posypanej podłodze, półkę orzechową z rzędem cynowych talerzy odbijających blask i czerwień płonącego torfu. Zobaczyłam zegar, biały stół sosnowy, kilka krzeseł. Świeca, której płomień był moim światłem przewodnim, paliła się na stole; przy jej świetle starsza kobieta, o wyglądzie trochę pospolitym, ale niezmiernie czysta, jak i całe otoczenie, robiła na drutach pończochę.

Zauważyłam to wszystko tylko pobieżnie, nie było w tym nic nadzwyczajnego. Przed kominem ujrzałam bardziej zajmującą grupę, siedzącą w różowym blasku i cieple ogniska. Były to dwie młode, pełne wdzięku kobiety, damy w każdym calu, jedna siedziała na niskim bujającym fotelu, druga niżej, na stołeczku; obie były w grubej żałobie, a czarny ten strój dziwnie podkreślał białość ich szyi i twarzy; stary wyżeł opierał potężną głowę na kolanach jednej z dziewcząt, druga piastowała czarnego kota.

Dziwne wrażenie sprawiały takie dwie osoby w tej skromnej kuchni! Kim one były? Nie mogły to być córki tej starszej kobiety przy stole, wyglądała bowiem na wieśniaczkę, a młode panie cechowała wytworność i elegancja. Nigdzie nie widziałam takich twarzy, a jednak gdy im się przyglądałam, odnosiłam wrażenie, że w każdym rysie są mi znajome. Nie mogę ich nazwać ładnymi — były zbyt blade i poważne — a gdy się schylały nad książkami, miały wyraz tak zamyślony i skupiony, że nieledwie surowy. Na stoliczku ustawionym pomiędzy nimi stała druga świeca i leżały

dwa grube tomy, do których zaglądały raz po raz, widocznie porównując ich treść z mniejszymi książkami, które miały w ręku, jak ktoś, kto tłumacząc zagląda do słownika. Cisza tam panowała taka, jak gdyby wszystkie te postacie były cieniami, a izba oświetlona ogniem — malowanym obrazem; w tej ciszy słyszałam trzask ognia, tykanie zegara gdzieś w ciemnym kącie, a nawet zdawało mi się, że słyszę, jak druty starszej kobiety trącają o siebie. Toteż gdy głos przerwał to dziwne milczenie, usłyszałam go od razu.

— Posłuchaj, Diano — odezwała się jedna ze studiujących panien. — Franciszek i Daniel są razem nocą i Franciszek opowiada sen, który go przeraził, posłuchaj!

I cichym głosem przeczytała coś, z czego nie zrozumiałam ani słowa; był to bowiem język mi nie znany: ani francuski, ani łaciński. Czy to było po grecku, czy po niemiecku — tego nie wiedziałam.

— To mocne — rzekła skończywszy. — Podoba mi się!

Druga panienka, która podniosła głowę, podczas gdy pierwsza mówiła, powtórzyła, patrząc w ogień, jeden wiersz z książki. W przyszłości miałam się nauczyć tego języka i przeczytać tę książkę. Zacytuję więc teraz ten wiersz, choć gdy go usłyszałam po raz pierwszy, był jedynie pustym dźwiękiem bez znaczenia.

„Da trat hervor Einer, anzusehen wie die Sternennacht." To dobre! Dobre! — wykrzyknęła z błyskiem w ciemnych, głębokich oczach. — Oto masz przed sobą niewyraźnego potężnego archanioła. Ten jeden wiersz wart stu stronic nadętej frazeologii. *„Ich wäge die Gedanken in der Schale meines Zornes und die W erke mit dem Geivichte meines Grimmes."* Wspaniałe!

Obie znowu zamilkły.

— Czy jest taki kraj, gdzie ludzie gadają w ten sposób? — zapytała stara kobieta podnosząc oczy znad swojej pończochy.

— Jest, Hanno, o wiele większy kraj niż Anglia, a ludzie tam tylko tak mówią.

— Doprawdy, ja nie wiem, jak oni tam jedni drugich mogą zrozumieć; a przecież gdyby która z was tam pojechała, z pewnością rozumiałaby, co oni mówią.

— Zapewne rozumiałybyśmy trochę, ale nie wszystko, gdyż nie jesteśmy tak uczone, jak myślicie, Hanno. Nie umiemy mówić po niemiecku i nie umiemy czytać bez pomocy słownika.

— I na co wam to potrzebne?

— Chcemy uczyć kiedyś tego języka, a przynajmniej jego początków, wtedy zapłacą nam lepiej niż teraz.

— Z pewnością... Ale już dajcie pokój nauce; dosyć zrobiłyście na dziś wieczór.

— I ja tak myślę, bo jestem już zmęczona. A ty, Mary?

— Śmiertelnie; ostatecznie to ciężka praca obkuwać się jakiegoś języka bez nauczyciela, tylko ze słownikiem.

— Prawda, zwłaszcza jeśli idzie o tak trudny, choć wspaniały język jak niemiecki. Ciekawa jestem, kiedy St. John powróci.

— Z pewnością już niedługo; jest właśnie dziesiąta. — Tu spojrzała na mały złoty zegarek, który wyciągnęła zza paska. — Taki deszcz pada! Niech Hanna będzie tak dobra i zajrzy, czy w bawialni dobrze się pali.

Kobieta wstała, otworzyła drzwi, przez które niejasno dojrzałam korytarz; wkrótce usłyszałam poprawianie ognia w dalszym pokoju; zaraz też wróciła.

— Ach, dzieci! — powiedziała — teraz to mi tak ciężko wchodzić do tamtego pokoju; tak tam smutno z tym pustym fotelem odstawionym w kąt!

Otarła oczy fartuchem; panienki, przedtem poważne, teraz posmutniały.

— Ale pan jest w lepszym świecie — mówiła dalej Hanna — nie powinniśmy żałować, że go tu nie ma. A poza tym, nikomu nie

można życzyć lepszej, spokojniejszej śmierci.

— Powiadacie, że nawet o nas nie wspomniał? — zapytała jedna z panien.

— Nie miał czasu, dziecko; w jednej chwili skończył życie. Wasz ojciec trochę niedomagał w przeddzień śmierci, ale to nie było nic wielkiego, a gdy go pan St. John zapytał, czy nie chciałby, żeby po którą z was posłać, wyśmiał go po prostu. Na drugi dzień, a to właśnie dwa tygodnie temu, skarżył się, że mu znowu trochę ciąży głowa, i poszedł spać, i już się więcej nie obudził; prawie sztywny już był, kiedy wasz brat wszedł do pokoju i tak go zastał. Ach, dzieci! on był ostatni z tych starszych państwa, bo wy i pan St. John jesteście innego rodzaju niż tamci, którzy odeszli. Wasza matka była do was podobna i też taka w książkach uczona. Ty, Mary, jesteś całkiem jak ona, Diana podobniejsza jest do ojca.

Mnie one wydały się tak podobne, że nie rozumiałam, w czym stara służąca (wywnioskowałam, że musi być służącą) widzi różnicę. Obie miały jasną cerę i smukłe figury, obie miały twarze inteligentne i dystyngowane. Jedna, co prawda, miała włosy ciemniejsze i różnie się też czesały; Mary miała jaśniejsze włosy, gładko uczesane i z przedziałkiem, ciemniejsze włosy Diany opadały na kark gęstymi kędziorami. Zegar wybił dziesiątą.

— Czas na wieczerzę, nieprawdaż? — zauważyła Hanna — czas dla was i dla pana St. Johna, jak przyjdzie.

I zabrała się do przygotowania wieczerzy. Panny wstały; widocznie zamierzały przejść do bawialnego. Do tej chwili tak pilnie im się przyglądałam, tak żywo zainteresował mnie ich wygląd i rozmowa, że prawie zapomniałam o własnym nieszczęsnym położeniu; teraz objawiło mi się znowu, jeszcze rozpaczliwsze przez porównanie. Wydało mi się niemożliwością, by mieszkanki tego domu mogły się wzruszyć moją niedolą, uwierzyć w prawdę moich potrzeb i cierpień, bym mogła je skłonić do udzielenia mi schronienia po długiej wędrówce! Szukając w ciemnościach drzwi i pukając do nich nieśmiało, nie miałam prawie żadnej nadziei. Hanna mi otworzyła.

— Czego chcecie? — zapytała zdziwionym głosem oglądając mnie

przy świetle świecy, trzymanej w ręku.

— Czy mogłabym zobaczyć się z waszymi paniami? — zapytałam.

— Lepiej powiedzcie mnie, jaki macie do nich interes. Skąd przybywacie?

— Jestem tutaj obca.

— Cóż za interes macie tu o tej godzinie?

— Pragnę noclegu w jakiej szopie albo gdziekolwiek i kawałka chleba do zjedzenia.

Podejrzliwość, której się najwięcej obawiałam, odmalowała się na twarzy Hanny.

— Dam wam kawałek chleba — powiedziała po chwili — ale nie możemy przyjmować włóczęgów na nocleg.

— Proszę mi pozwolić pomówić z paniami!

— Nie, ani myślę. A cóż one dla was mogą zrobić? Nie powinniście się włóczyć o tej godzinie. To wygląda bardzo podejrzanie.

— Dokąd pójdę, jeśli mnie odpędzicie? Co zrobię ze sobą?

— O, głowę daję, że dobrze wiecie, dokąd pójść i co zrobić ze sobą. Bylebyście tylko nic złego nie robili, w tym rzecz. Tu macie pensa; a teraz idźcie sobie.

— Penis mnie nie nakarmi, a ja nie mam siły iść dalej. Nie zamykajcie drzwi, proszę was, nie zamykajcie, na miłość boską!

— Muszę, deszcz zacina do sieni...

— Powiedzcie waszym paniom. Pozwólcie mi się z nimi zobaczyć...

— Ani myślę. Nie jesteście tym, czym powinniście być. inaczej tak byście nie krzyczeli. Ruszajcie stąd.

— Ależ ja umrę, jeżeli mnie wypędzicie.

— Nie ma strachu. Wy tam musicie mieć jakieś złe zamiary, kiedy kręcicie się dokoła mieszkań ludzkich tak późno po nocy. A jeżeli macie tu gdzie blisko jakich kamratów, włamywaczy lub coś podobnego, możecie im powiedzieć, że nie jesteśmy tu same kobiety; mamy pana, psy i strzelby.

Tu uczciwa, ale niewzruszona służąca zatrzasnęła drzwi i zasunęła rygiel.

To już był szczyt. Straszny ból, wybuch prawdziwej rozpaczy rozdarł mi serce. Byłam wyczerpana do cna, nie mogłabym kroku zrobić. Padłam na mokre schodki przed drzwiami; jęczałam, załamywałam ręce, płakałam w ostatecznej męce. Och, to widmo śmierci! Och, ta ostatnia godzina zbliżająca się z taką grozą! To osamotnienie, to wygnanie ze społeczeństwa bliźnich! Nie tylko nadzieja mnie opuściła, ale i męstwo. Przynajmniej na chwilę. Jednak usiłowałam odzyskać odwagę.

— Mogę jedynie umrzeć — powiedziałam — ale wierzę w Boga. Będę się starała w milczeniu poddać Jego woli.

Te słowa nie tylko pomyślałam, ale wymówiłam szeptem, i postanowiłam do ostatka cierpieć w milczeniu.

— Wszyscy musimy umrzeć — odezwał się jakiś głos tuż przy mnie — ale nie wszyscy są skazani na powolny i przedwczesny koniec, jaki by panią spotkał, gdyby tu pani zmarła z głodu.

— Kto czy co to mówi? — zapytałam przerażona niespodziewanym głosem, a niezdolna już wykrzesać iskry nadziei na pomoc.

Postać jakaś stała blisko, w ciemnościach nocy nie mogłam rozróżnić, co to za postać. Nowo przybyły głośno i długo zapukał do drzwi.

— Czy to pan, panie St. John? — zawołała Hanna.

— Tak, tak, otwierajcie prędko!

— Ależ pan musi być zmoczony i zziębnięty w taką szkaradną pogodę! Niech pan wchodzi, siostry się tam o pana niepokoją, a mnie się zdaje, że tu jacyś źli ludzie się kręcą. Była tu żebraczka...

Ależ doprawdy! Ona jeszcze nie poszła! Tutaj się oto położyła. Wstawajcie! Nie wstyd wam? Wynoście się, mówię wam!

— Cicho, Hanno, cicho! Mam coś do powiedzenia tej kobiecie. Wyście spełnili swój obowiązek nie wpuszczając jej do domu, teraz pozwólcie mi spełnić mój i wpuścić ją. Byłem blisko i słyszałem, coście obie mówiły. Zdaje mi się, że to szczególny wypadek, w każdym razie muszę to zbadać. Wstań, młoda kobieto, i wejdź do domu.

Posłuchałam go z trudem. Za chwilę stałam w tej jasnej, czystej kuchni, przed kominem, trzęsąc się, omdlała prawie, zdając sobie sprawę, że muszę wyglądać jak widmo. Obie panny, brat ich, pan St. John, i stara służąca — wszyscy mi się przyglądali.

— St. John, kto to? — usłyszałam pytanie.

— Nie wiem, zastałem ją pod progiem — brzmiała odpowiedź.

— Taka bardzo blada — zauważyła Hanna.

— Tak, blada jak śmierć — odpowiedział ktoś. — Gotowa upaść, trzeba, żeby usiadła.

Istotnie kręciło mi się w głowie; zachwiałam się i padłam, ale na podsunięte krzesło. Byłam jeszcze przytomna, chociaż na razie nie mogłam wcale mówić.

— Może by ją trochę wody orzeźwiło? Hanno, dajcie trochę wody. Ależ biedaczka wychudzona jest do szczętu! Jaka szczupła i jaka bezkrwista!

— Po prostu widmo!

— Czy ona jest chora, czy tylko zagłodzona?

— Zdaje mi się, że tylko zagłodzona. Hanno, czy to mleko? Podajcie mi je, a także kawałek chleba.

Diana — poznałam ją po długich kędziorach opadających na plecy, gdy się nade mną schyliła — ułamała kawałek chleba, umaczała w mleku i podała mi do ust. Twarz jej była blisko mojej; czytałam

litość w tej twarzy, współczucie w przyśpieszonym jej oddechu. Ta sama słodka litość brzmiała w jej prostych słowach, gdy powiedziała:

— Niech pani spróbuje to zjeść!

— Tak, niech pani spróbuje — powtórzyła za nią Mary łagodnie i ręka jej usunęła mój przemoczony kapelusz i podtrzymała mi głowę. Skosztowałam tego, co mi podawały; zrazu powoli, ale po chwili z chciwością.

— Nie za dużo na początek, nie pozwólcie — rzekł brat. — Chwilowo będzie miała dosyć.

I usunął kubek z mlekiem i talerz z chlebem.

— Jeszcze trochę, St. John, spójrz, jak chciwie patrzą jej oczy.

— Dosyć tymczasem, siostro. Przekonaj się, czy ona może mówić teraz, zapytaj jej, jak się nazywa.

Czułam, że już teraz mogę zdobyć się na słowa, więc też odpowiedziałam:

— Nazywam się Jane Elliott — w obawie przed odkryciem już przedtem postanowiłam przybrać inne nazwisko.

— A gdzie pani mieszka? Gdzie ma pani przyjaciół, znajomych?

Milczałam.

— Czy możemy posłać po kogoś, jakiegoś pani znajomego?

Potrząsnęłam głową.

— Co nam pani może o sobie opowiedzieć?

Jakoś od razu, z chwilą gdy przestąpiłam próg tego domu i zetknęłam się z jego mieszkańcami, przestałam czuć się wyrzutkiem, włóczęgą wzgardzoną przez cały świat. Przestałam czuć się żebraczką, poczułam się znowu sobą. Na pytanie zaś pana St. Johna odpowiedziałam po krótkiej chwili, będąc zbyt słaba, by

móc się zdobyć na dłuższe opowiadanie.

— Panie, nie mogę panu udzielić dzisiaj bliższych szczegółów.

— Ależ w takim razie — odparł — czego się pani spodziewa? Co ja dla pani mogę uczynić?

— Nic — odparłam. Siły moje starczyły tylko na krótkie odpowiedzi. Teraz Diana przemówiła:

— Czy pani przez to rozumie, że już daliśmy pani wszelką pomoc, jakiej pani potrzebuje, i że możemy wyprawić panią na pole w tę dżdżystą noc?

Spojrzałam na nią. Twarz jej była wyrazista, pełna charakteru i dobroci. Wstąpiła we mnie nagła odwaga. Odpowiadając uśmiechem na jej pełne współczucia spojrzenie, powiedziałam:

— Ja państwu ufam. Gdybym była bezpańskim, zabłąkanym psem, wiem, żebyście mnie nie odpędzili od ogniska dzisiejszej nocy; a tak jak jest, nie lękam się w istocie. Zróbcie państwo ze mną i dla mnie, co chcecie; tylko nie żądajcie ode mnie, ażebym wiele mówiła... tchu mi brak... i skurcz mnie chwyta, gdy mówię.

Wszyscy troje patrzyli na mnie i wszyscy troje milczeli.

— Hanno — przemówił w końcu pan St. John — niech ona tutaj tymczasem siedzi i o nic jej nie pytajcie; za dziesięć minut dajcie jej resztę tego mleka i chleba. Mary, Diano, przejdźmy do bawialnego, tam omówimy tę sprawę.

Wyszli. Wkrótce jedna z panien powróciła, nie wiem, która. Rodzaj miłego oszołomienia ogarnął mnie, gdym tak siedziała w błogim cieple ognia. Dała półgłosem kilka wskazówek Hannie. Niezadługo, z pomocą służącej, zdołałam wejść na schody; zdjęto ze mnie ociekające wodą ubranie, niebawem znalazłam się w ciepłym, suchym łóżku. Dziękowałam Bogu — w niewypowiedzianym wyczerpaniu odczuwając przypływ wdzięcznej radości — i zasnęłam.

ROZDZIAŁ XXIX

Mglista tylko pozostała mi pamięć o następnych trzech dniach i nocach. Przypominam sobie niektóre odczucia i wrażenia, myśleć jednakże logicznie nie mogłam, a byłam wprost niezdolna do jakiegokolwiek czynu. Wiedziałam, że jestem w małym pokoiku i że leżę w wąskim łóżku. Do tego łóżka byłam jakby przyrośnięta — leżałam na nim bez ruchu, jak kamień, i umarłabym chyba, gdyby mnie chciano zeń zerwać. Nie uważałam na bieg czasu, na to, że ranek zmieniał się w południe, południe w wieczór. Spostrzegałam, gdy ktoś wchodził do pokoju albo gdy wychodził; wiedziałam nawet, kto to taki, rozumiałam, co mówili, o ile mówiący stał blisko mnie; odpowiadać jednakże nie mogłam; nie potrafiłabym otworzyć ust albo poruszyć się. Hanna była najczęstszym u mnie gościem. Jej przyjście zawsze było mi niemiłe. Miałam wrażenie, że jest mi nierada, że nie rozumie mnie ani moich warunków, że jest do mnie uprzedzona. Diana i Mary zjawiały się u mnie w pokoju raz, czasem dwa razy dziennie. Szeptały niekiedy do siebie tego rodzaju zdania:

— Jak to jednak dobrze, że wzięłyśmy ją do siebie.

— Tak; z pewnością znaleziono by ją nieżywą przed drzwiami, gdyby była tam pozostała całą noc. Ciekawa jestem, jakie przeszła koleje.

— Pewnie jakieś dziwnie ciężkie, biedna, wymizerowana, blada wędrowniczka!

— To nie jest, sądząc po jej sposobie mówienia, osoba bez wykształcenia; akcent ma zupełnie czysty; a i ubranie, które zdjęła, chociaż zabłocone i mokre, jest mało znoszone i z dobrego materiału.

— Szczególną ma twarz; taka wychudzona i mizerna, a jednak raczej mi się podoba, przy zdrowiu zaś i ożywieniu, wyobrażam sobie, że fizjonomia jej musi być miła.

Nigdy w rozmowach ich nie usłyszałam ani słowa żalu, że mnie przyjęły tak gościnnie, ani słowa podejrzliwości, ani niechęci ku mnie. To mnie pocieszało.

Pan St. John zaszedł raz jeden; popatrzył na mnie i powiedział, że mój stan bezwładu wynika z reakcji po nadmiernym i długotrwałym przemęczeniu. Oświadczył, że nie potrzeba posyłać po doktora, że z pewnością sama natura najlepiej sobie poradzi. Powiedział, że każdy nerw został jakimś sposobem silnie nadwerężony i że cały system potrzebuje czas jakiś odpoczywać we śnie; choroby nie ma tu żadnej; uważał, że szybko przyjdę do siebie, skoro tylko wejdę na drogę poprawy. Ten sąd wypowiedział spokojnym, cichym głosem i dodał po chwili tonem człowieka nieprzywykłego do obszernych objaśnień:

— Raczej niezwykła fizjonomia; niewątpliwie nie zdradza ani pospolitości, ani upadku.

— Wręcz przeciwnie — odpowiedziała Diana. — Prawdę powiedziawszy, St. John, serce mnie ciągnie do tego biedactwa. Ach, jak bym chciała, żebyśmy mogli na stałe nią się zająć!

— To mało prawdopodobne — odpowiedział. — Przekonasz się, że to panienka, która poróżniła się ze swoją rodziną i lekkomyślnie ją opuściła. Może nam się uda powrócić ją rodzinie, o ile nie jest uparta. Jednakże widzę na jej twarzy linie siły charakteru, które każą mi wątpić, czy jest łatwa do poprowadzenia — stał przyglądając mi się przez kilka minut, po czym dodał: — Wydaje się rozumna, ale ładna bynajmniej nie jest.

— Ona taka chora, St. John!

— Chora czy zdrowa, zawsze będzie niełądna. Tym rysom zupełnie brak wdzięku i harmonii piękności.

Trzeciego dnia poczułam się lepiej; czwartego mogłam już mówić, poruszać się, usiąść, obracać na łóżku. Hanna przyniosła mi zupę z kaszki i trochę grzanek około godziny obiadowej, jak mi się wydawało. Zjadłam z przyjemnością, jedzenie było dobre, nie miało smaku gorączki, który zatruwał mi wszystko, co dotąd przełykałam. Po odejściu Hanny poczułam się stosunkowo silna; wstępowało we

mnie życie; dosyć miałam spoczynku, budziła się we mnie chęć ruchu i czynu. Zapragnęłam wstać; ale cóż mogłam włożyć na siebie? Wilgotne, zabłocone ubranie, w którym sypiałam na ziemi i upadłam w błoto? Wstyd mi było ukazać się moim dobroczyńcom w takim stroju. Oszczędzono mi tego upokorzenia.

Na krześle przy łóżku leżały wszystkie moje rzeczy czyste i suche. Czarna wełniana sukienka wisiała na ścianie oczyszczona z błota, odprasowana, wyglądała zupełnie przyzwoicie. Nawet trzewiki i pończochy były wyczyszczone, możliwe do włożenia. Była w pokoju woda i miednica, leżała szczotka i grzebień do włosów. Mimo osłabienia, odpoczywając co pięć minut, jako tako mogłam się ubrać. Ubranie wisiało na mnie luźno, gdyż mocno schudłam; zakryłam jednakże niedobory szalem i teraz, czysta i wyglądająca przyzwoicie, bez śladu brudu czy nieporządku, którego tak nie znosiłam i który zdawał się tak mnie poniżać, zeszłam powoli po kamiennych schodach, trzymając się poręczy, do niskiego korytarza, skąd od razu trafiłam do kuchni.

Kuchnia pełna była zapachu świeżego pieczywa i ciepła dobrego ognia. Hanna piekła chleb. Uprzedzenia najtrudniej jest wykorzenić z serca, którego nie zmiękczyło i nie ożywiło wykształcenie. Przesądy wypełniały serce Hanny jak chwasty rosnące na kamiennej glebie. Hanna była zimna i sztywna z początku, później zaczęła trochę łagodnieć; a gdy ujrzała mnie wchodzącą, czystą i dobrze ubraną, uśmiechnęła się nawet.

— Co to, wstała pani? — rzekła. — Więc widać pani zdrowsza. Niech pani usiądzie na moim fotelu przy ogniu, jeśli pani ma ochotę.

Wskazała mi bujający fotel; usiadłam. Krzątała się, przyglądając mi się od czasu do czasu badawczo spod oka. Wyjmując kilka bochenków z pieca, zwróciła się nagle ku mnie i zapytała bez ogródki:

— Czy pani kiedy już chodziła po żebraninie, zanim pani tutaj przyszła?

Oburzyłam się w pierwszej chwili; ale przypomniawszy sobie, że doprawdy nie można się tu gniewać i że ja jej istotnie

przedstawiłam się jako żebraczka, odpowiedziałam spokojnie, z pewnym naciskiem jednakże:

— Mylicie się biorąc mnie za żebraczkę. Nie jestem żebraczką; tak jak ani wy, ani wasze panienki nie jesteście żebraczkami.

— Ja tam nie rozumiem tego dobrze — powiedziała po chwili. — Pani to pewnie nie ma ani domu, ani pieniędzy, co?

— Kto nie ma domu ani pieniędzy, jeszcze niekoniecznie jest żebrakiem, tak jak wy to rozumiecie.

— Czy pani jest uczona w książkach? — zapytała niebawem.

— O tak, i bardzo.

— Ale pani nie była na pensji, w szkole?

— Owszem, byłam przez osiem lat. Otworzyła szeroko oczy.

— A więc dlaczego się pani sama nie może utrzymać?

— Utrzymywałam się sama i mam nadzieję, że i nadal będę się utrzymywać. A co macie zamiar robić z tym agrestem? — zapytałam, gdy wydobyła koszyczek z owocami.

— Ciastka z tym będą.

— Dajcie mi to; ja wam oczyszczę.

— Nie, nie chcę, żeby się pani męczyła.

— Ale ja muszę coś robić; proszę was, dajcie mi to!

Zgodziła się, a nawet przyniosła mi czysty ręcznik, ażebym go rozpostarła na sukni, by jej, jak powiedziała, „nie powalać".

— Pani nie była przyzwyczajona do roboty służących, ja to widzę po rękach pani — zauważyła. — Może pani była krawcową?

— Nie, mylicie się. Ale teraz mniejsza z tym, czym ja byłam; nie łamcie sobie więcej głowy nade mną i lepiej powiedzcie mi, jak się nazywa ten dom, w którym jesteśmy.

— Niektórzy nazywają go Marsh End, a niektórzy Moor House.

— A ten pan, który tu mieszka, nazywa się St. John?

— Nie, pan St. John tutaj nie mieszka, jest tu tylko chwilowo. Mieszka we własnej parafii w Morton.

-— W tej wiosce o parę mil stąd?

— Tak.

— A czym on jest?

— Jest duchownym.

Przypomniałam sobie odpowiedź starej gospodyni na plebanii, gdy chciałam się widzieć z proboszczem.

— Więc to tutaj mieszkał jego ojciec?

— Tak, starszy pan Rivers tu mieszkał, a także jego ojciec i dziadek, i pradziadek przed nim.

— Więc ten pan nazywa się St. John Rivers?

— Tak, St. John to jego chrzestne imię.

— A siostry jego to panny Diana i Mary Rivers?

— Tak.

— Ojciec ich nie żyje?

— Umarł trzy tygodnie temu na apopleksję.

— Matki nie mają?

— Nasza pani już wiele lat temu umarła.

— A wy już dawno jesteście u tej rodziny?

— Jestem u nich od dwudziestu lat. Wyniańczyłam ich wszystkich troje.

— To dowodzi, że musieliście być uczciwą i wierną służącą. Mówię wam to, chociaż byliście tak niegrzeczni, że nazwaliście mnie żebraczką.

Znowu popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Zdaje mi się — powiedziała — że mi się zupełnie w myślach pomieszało co do pani; ale tyle się oszustów kręci, że musi mi pani przebaczyć.

— I chociaż — mówiłam dalej nieco surowo — chcieliście odpędzić mnie od drzwi w taką noc, że psa nie bylibyście odpędzili.

— No tak, to było niepoczciwie, ale co człowiek może wiedzieć? Ja więcej myślałam o dzieciach niż o sobie. Biedaczki! Toż przecie nie mają nikogo, kto by o nie dbał, prócz mnie. Muszę czasami ostro się stawić.

Przez kilka minut milczałam poważnie.

— Nie powinna pani zbyt źle o mnie myśleć — zauważyła znowu.

— Ale ja myślę źle o was — powiedziałam. — I powiem wam dlaczego; nie tyle dlatego, że nie chcieliście mnie przygarnąć lub że uważaliście mnie za oszustkę, ile dlatego, że przed chwilą zrobiliście mi rodzaj zarzutu z tego, że nie mam pieniędzy ani domu. Najlepsi ludzie bywali nieraz tak biedni jak ja teraz, a jeżeli jesteście chrześcijanką, nie powinniście uważać biedy za zbrodnię.

— To prawda, że nie powinnam — powiedziała. — I pan St. John mi to mówi; widzę, że zawiniłam... toteż zupełnie inne mam teraz pojęcie o pani niż przedtem. Pani wygląda na osobę do gruntu porządną i przyzwoitą.

— No dobrze, już się na was nie gniewam. Podajcie mi rękę.

Złożyła swoją umączoną, twardą rękę w mojej dłoni; serdeczny uśmiech rozjaśnił jej twarz i od tej chwili zapanowała między nami przyjaźń.

Hanna widocznie lubiła gawędzić. Podczas gdy ja przebierałam owoce, a ona robiła ciasto, opowiadała mi w dalszym ciągu

rozmaite szczegóły o nieboszczyku panu, o pani i o „dzieciach", jak nazywała troje młodych.

Stary pan Rivers, mówiła, był dosyć prostym człowiekiem, chociaż prawdziwym panem z bardzo starego rodu. Marsh End należało do Riversów, odkąd dom ten istniał, a ten dom liczył sobie, twierdziła, przeszło dwieście lat, chociaż wydawał się taki mały i skromny — ani go porównać ze wspaniałym dworem pana Olivera w Morton Vale. A jednak pamiętała ojca Billa Olivera, robotnika w fabryce igieł, podczas kiedy Riversowie byli szlachtą już za czasów Henryków, o czym się każdy może przekonać, jeżeli zechce zajrzeć do rejestrów w zakrystii kościoła w Morton. Przyznawała jednak, że stary pan był taki jak inni ludzie, przepadał za polowaniem, gospodarką na roli i innymi zajęciami wiejskimi. Pani to była inna. Bardzo wiele czytała, bardzo dużo studiowała w książkach; a „dzieci" wdały się w matkę. Nikogo podobnego do nich nie ma w tych stronach ani nigdy nie było; lubiło się to uczyć, wszyscy troje prawie od maleństwa. Pan St. John, jak tylko podrósł, chciał iść do szkół i zostać kapłanem; a dziewczęta, jak tylko pokończyły szkoły, wzięły posady jako nauczycielki. Powiedziały jej bowiem, że ojciec ich przed kilku laty stracił dużo pieniędzy przez człowieka, któremu zaufał, a który zbankrutował, a ponieważ teraz nie jest tak bogaty, by dać im majątek, one muszą pracować na siebie. Już od dawna niewiele przebywały w domu, a teraz przyjechały tylko na parę tygodni z powodu śmierci ojca. Ale one tak lubią Marsh End i Morton, i wszystkie te wrzosowiska, i pagórki dokoła! Były w Londynie i wielu innych wielkich miastach, ale zawsze mówią, że nie ma to jak w domu. A tacy zawsze byli grzeczni jedni dla drugich, nigdy się między sobą nie gniewali i nie kłócili. Hanna nie widziała nigdy tak zgodnej rodziny.

Skończywszy przebierać agrest zapytałam, gdzie są w tej chwili obie panie i ich brat.

— Poszli do Morton na spacer; ale za pół godziny wrócą na herbatę.

W oznaczonym czasie wrócili rzeczywiście; weszli przez drzwi kuchenne. Pan St. John, zobaczywszy mnie, ukłonił się tylko i przeszedł dalej; obydwie panny zatrzymały się. Mary w kilku słowach życzliwie i spokojnie powiedziała, jaką jej to sprawia przyjemność, że widzi mnie już tak silną, iż mogłam zejść na dół;

Diana ujęła moją rękę potrząsając głową.

— Należało poczekać, aż ja pani pozwolę zejść — rzekła. — Jeszcze pani bardzo blada i taka szczupła! Biedne dziecko... Biedne dziewczątko!

Diana miała glos brzmiący w moich uszach jak gruchanie gołębicy, oczy, których spojrzenie sprawiało mi najwyższą przyjemność. Cała jej twarz miała dla mnie wdzięk nieporównany. Mary miała fizjonomię równie inteligentną, rysy równie ładne; jednakże wyraz jej był powściągliwszy, a obejście miłe, ale chłodniejsze. Diana patrzyła i przemawiała z pewną stanowczością, widać było, że to osoba mająca zdecydowaną wolę. Zawsze z przyjemnością ulegałam czyjejś wyższości przejawiającej się w ten sposób i poddawałam się, o ile mi sumienie i poczucie własnej godności pozwalało, woli bardziej aktywnej niż moja własna.

— A przy tym, co pani ma tu do roboty? — mówiła dalej. — To nie miejsce dla pani. My z Mary lubimy niekiedy siadywać w kuchni, ponieważ lubimy w domu swobodę i nie krępujemy się, ale pani jest gościem i miejsce pani w bawialnym pokoju.

— Bardzo mi tutaj dobrze.

— Wcale nie, Hanna kręci się i osypuje panią mąką.

— A przy tym tu ogień za gorący dla pani — wtrąciła Mary.

— Ależ tak — dorzuciła jej siostra. — No, dalej, proszę być posłuszną.

I wciąż trzymając mnie za rękę, przymusiła mnie do wstania i zaprowadziła do pokoju.

— Niech pani tu siedzi — rzekła umieściwszy mnie na kanapie — podczas gdy my się rozbierzemy i przygotujemy herbatę. To także przywilej, z którego korzystamy w naszym domeczku pod wzgórzami, że same przyrządzamy jedzenie, gdy mamy na to ochotę albo gdy Hanna piecze, porządkuje, pierze czy prasuje.

Zamknęła drzwi pozostawiając mnie sam na sam z panem St. Johnem siedzącym naprzeciw z książką czy gazetą w ręku.

Przyjrzałam się najpierw bawialni, a potem jemu.

Był to niewielki pokój, bardzo skromnie umeblowany, jednakże miły, gdyż czysty i schludny. Staroświeckie krzesła lśniły, a orzechowy stół błyszczał jak zwierciadło. Kilka dziwnych, starych portretów mężczyzn i kobiet z dawnych czasów zdobiło malowane ściany; oszklona szafa zawierała trochę książek i serwis staroświeckiej porcelany. Nie było żadnych zbytecznych ozdób w tym pokoju, ani jednego modnego mebla oprócz dwóch szkatułek do roboty i damskiego sekretarzyka z różanego drzewa, stojącego na bocznym stoliku; wszystko tu — nie wyłączając dywanu i firanek — dowodziło, że jest stare, lecz porządnie utrzymane.

Panu St. Johnowi, siedzącemu nieruchomo, nie odrywającemu oczu od kartek czytanej książki, nie otwierającemu zaciśniętych ust, nietrudno się było przypatrzyć. Gdyby był posągiem, a nie człowiekiem, nie mogłoby to być łatwiejsze. Był młody — mógł mieć lat dwadzieścia osiem do trzydziestu — wysoki, szczupły. Twarz jego przykuwała oko; była to twarz greckiego posągu, niezmiernie czysta w rysunku: zupełnie prosty, klasyczny nos, usta i broda Ateńczyka. Rzadko istotnie twarz Anglika tak bardzo się zbliża do antycznego modelu. Nie dziw, że go raziła nieregularność moich rysów, skoro sam miał tak harmonijne. Oczy jego były wielkie, niebieskie, o ciemnych rzęsach; wysokie czoło, blade jak kość słoniowa, przysłaniały częściowo niedbale opadające pukle jasnych włosów.

Jest to opis łagodnego człowieka, prawda, czytelniku?

A jednak ten, którego opisuję, wcale nie robił wrażenia człowieka miłego, ustępliwego, wrażliwego, a choćby równego z natury. Chociaż siedział teraz w spokoju, było coś w zarysach jego nozdrzy, ust i czoła, co, moim zdaniem, świadczyło o niepokoju, twardości czy też nadmiernej gorliwości w jego charakterze. Nie przemówił do mnie ani słowa, nawet nie spojrzał na mnie, dopóki nie powróciły jego siostry. Diana wchodząc i wychodząc w trakcie przygotowywania herbaty przyniosła mi ciastko upieczone na płycie kuchennej.

— Niech pani to zje teraz — rzekła. — Musi pani być głodna. Hanna mówi, że od śniadania nic pani nie jadła, tylko trochę kaszki.

Nie odmówiłam, gdyż obudził się we mnie silny apetyt. Pan Rivers zamknął teraz książkę, zbliżył się do stołu i usiadłszy utkwił we mnie głębokie spojrzenie niebieskich oczu. Patrzył teraz bezceremonialnie, prosto, otwarcie, badawczo, co dowodziło, że nie przez nieśmiałość, ale rozmyślnie odwracał dotąd wzrok od gościa.

— Bardzo pani jest głodna — rzekł.

— To prawda, panie.

Miałam zawsze w zwyczaju krótko i prosto odpowiadać na krótkie powiedzenie i zapytanie.

— To dobrze dla pani, że mała gorączka zmusiła ją do wstrzemięźliwości przez ostatnie trzy dni; byłoby niebezpiecznie, gdyby pani ulegała zaraz od początku nadmiernemu apetytowi. Teraz już może pani jeść, chociaż zawsze jeszcze z pewnym umiarkowaniem.

— Mam nadzieję, że nie będę długo jadła na koszt pański — odpowiedziałam niezręcznie i niegrzecznie.

— Zapewne — odpowiedział chłodno — skoro nam pani tylko wskaże, gdzie mieszka pani rodzina, będziemy mogli napisać do niej, a pani będzie mogła powrócić do domu.

— Tego, muszę panu otwarcie powiedzieć, nie będę mogła uczynić, gdyż absolutnie nie mam ani domu, ani rodziny.

Wszyscy troje patrzyli na mnie, ale bez nieufności; odczułam, że nie ma podejrzliwości w ich spojrzeniach, a raczej zaciekawienie. Mówię to zwłaszcza o obu panienkach. Oczy St. Johna, choć na pozór takie jasne, były zagadkowe. Używał ich raczej jako narzędzia do badania myśli drugich niż jako drogi do objawienia swoich własnych; to połączenie przenikliwości i skrytości raczej wprawiało w zakłopotanie, niż dodawało odwagi.

— Czy pani przez to rozumie — zapytał — że pani nie ma absolutnie nikogo?

— Tak. Żaden węzeł nie łączy mnie z nikim w świecie, nie mam prawa żądać, by mnie jakikolwiek dom w Anglii przyjął pod swój

dach.

— Bardzo dziwne położenie w pani wieku.

Tu spostrzegłam, że spojrzał na moje ręce złożone na stole przede mną. Zdziwiłam się, czego szuka; słowa jego wyjaśniły mi to niebawem.

— Nie jest pani zamężna? Jest pani panną? Diana roześmiała się.

— Ależ, St. John, pani nie może mieć więcej niż siedemnaście lub osiemnaście lat! — rzekła.

— Mam prawie dziewiętnaście, ale nie jestem zamężna. Nie.

Poczułam, że palący rumieniec rozlewa mi się po twarzy, gdyż wzmianka o małżeństwie obudziła gorzkie, niepokojące wspomnienia. Wszyscy zauważyli moje zmieszanie. Diana i Mary odwróciły wzrok od mojej zarumienionej twarzy, ale chłodniejszy i surowszy ich brat patrzył w dalszym ciągu, aż ból, który obudził, wycisnął mi łzy z oczu.

— Gdzie pani ostatnio mieszkała? — spytał teraz.

— Za wiele pytasz, St. John — szepnęła Mary cicho. Ale on przechylił się przez stół i domagał się odpowiedzi stanowczym i przeszywającym wzrokiem.

— Nazwa miejscowości, w której mieszkałam, i osób, z którymi przebywałam, jest moją tajemnicą — odpowiedziałam zwięźle.

— Którą, moim zdaniem, ma pani prawo utrzymać tak przed St. Johnem, jak przed kimkolwiek — zauważyła Diana.

— Jeżeli nic o pani nie będę wiedział, nie będę mógł pani dopomóc — powiedział. — A pani przecież potrzebuje pomocy, prawda?

— Potrzebuję jej i pragnę, by ktoś poczciwy wskazał mi sposób uzyskania pracy, którą umiałabym spełniać i która pozwoliłaby mi zarobić chociaż na najskromniejsze utrzymanie.

— Nie wiem, czy jestem kimś tak poczciwym, ale chętnie, o ile

tylko będę mógł, dopomogę pani do osiągnięcia tak uczciwego celu. Przede wszystkim więc niech mi pani powie, co pani dotąd robiła i co pani potrafi.

Wypiłam już teraz herbatę. Wielce mnie pokrzepił ten napój; dodał nowego bodźca nerwom, tak że mogłam już teraz spokojnie przemawiać do tego przenikliwego, młodego sędziego.

— Panie Rivers — zaczęłam zwracając się ku niemu i patrząc na niego tak jak on na mnie, otwarcie i bez nieśmiałości — pan i siostry pańskie wyświadczyliście mi wielkie dobrodziejstwo, największe, jakie człowiek może wyświadczyć bliźniemu; uratowaliście mnie od śmierci. To dobrodziejstwo daje wam nieograniczone prawo do mojej wdzięczności i, w pewnym stopniu, do mojego zaufania. Opowiem wam tyle, ile mogę, z dziejów przygarniętej przez was przybłędy... tyle, ile mogę opowiedzieć bez narażenia własnego spokoju, własnego bezpieczeństwa moralnego i fizycznego oraz bezpieczeństwa innych.

Jestem sierotą, córką duchownego. Rodzice moi odumarli mnie maleńką. Wychowano mnie z łaski, kształcono w zakładzie dobroczynnym. Mogę nawet państwu powiedzieć nazwę tego zakładu, gdzie spędziłam sześć lat jako uczennica, dwa jako nauczycielka: było to schronisko dla sierot w Lowood, może pan o nim słyszał, panie Rivers? Wielebny Robert Brocklehurst jest tam skarbnikiem.

— Słyszałem o panu Brocklehurst i widziałem szkołę.

— Opuściłam Lowood rok temu, ażeby zostać nauczycielką prywatną. Otrzymałam dobrą posadę i czułam się szczęśliwa. Miejscowość tę musiałam opuścić na cztery dni przed przybyciem tutaj. Powodu nie mogę i nie powinnam wyjawiać; byłoby to niepotrzebne, niebezpieczne i brzmiałoby niewiarogodnie. Zarzut żaden na mnie nie spoczywa: jestem tak wolna od wszelkiej winy jak każde z was trojga. Jestem nieszczęśliwa i nie od razu przestanę być nieszczęśliwa, gdyż katastrofa, która wygnała mnie z domu będącego dla mnie rajem, była dziwnej i strasznej natury. Planując ucieczkę dbałam tylko o dwie rzeczy — o pośpiech i o tajemnicę; toteż musiałam pozostawić wszystko, co posiadałam, z wyjątkiem małej paczki; tę w pośpiechu i strapieniu zapomniałam wyjąć z

powozu, który dowiózł mnie do Whitcross. W te strony więc przybyłam ogołocona ze wszystkiego. Dwie noce spałam pod gołym niebem i błąkałam się około dwóch dni nie przestępując ludzkiego progu; dwa razy tylko przez cały czas miałam cośkolwiek w ustach. A gdy z głodu, wyczerpania, rozpaczy już ostatnim prawie tchem goniłam, pan, panie Rivers, nie dał mi zginąć z głodu u swoich drzwi i ofiarował schronienie pod swym dachem. Wiem o wszystkim, co pańskie siostry odtąd uczyniły dla mnie, gdyż nie byłam nieprzytomna mimo pozornego bezwładu, i winna jestem ich samorzutnemu, szczeremu, serdecznemu współczuciu dług równie wielki, jak pańskiemu ewangelicznemu miłosierdziu.

— Nie daj jej więcej mówić, St. John — powiedziała Diana, gdy umilkłam. — Przecież to widać, ile ją takie podniecenie kosztuje. Niech pani przejdzie na kanapę, panno Elliott, i niech pani wygodnie usiądzie.

Mimo woli drgnęłam usłyszawszy swoje przybrane nazwisko, gdyż zapomniałam o nim. Pan Rivers, którego uwagi nic widocznie ujść nie mogło, spostrzegł to od razu.

— Pani powiedziała, że nazywa się Jane Elliott? — zauważył.

— Tak powiedziałam; nazwisko to uważałam za właściwe przybrać chwilowo; ale nie jest ono moim prawdziwym i dlatego gdy je słyszę, brzmi ono dla mnie dziwnie.

— Prawdziwego nazwiska swego nie chce pani podać?

— Nie, przede wszystkim obawiam się, by mnie nie odnaleziono, i unikam wszystkiego, co by do tego mogło doprowadzić.

— I ma pani słuszność, jestem tego pewna — wtrąciła Diana. — A teraz, bracie, zostaw ją chwilę w spokoju.

Jednakże St. John, pomyślawszy trochę, rozpoczął na nowo, spokojnie i dociekliwie jak przedtem.

— Pani nie chciałaby korzystać długo z naszej gościnności, pani pragnęłaby, rozumiem to, obejść się jak najprędzej bez współczucia moich sióstr i, przede wszystkim, bez mojego miłosierdzia (zupełnie

rozumiem tę różnicę i nie mam jej za złe, jest słuszna), pani pragnęłaby uniezależnić się od nas?

— Tak, panie; już to powiedziałam. Niech mi pan wskaże, gdzie mam pracować albo jak mam szukać pracy, o to tylko teraz proszę; a wtedy niech mi pan pozwoli pójść do najskromniejszej choćby chaty; do tego czasu jednak niechaj mi pan pozwoli pozostać tutaj: boję się jeszcze jednej okropnej próby bezdomności i głodu.

— Ależ naturalnie, zostanie pani tutaj — rzekła Diana kładąc białą dłoń na mojej głowie.

— Zostanie pani — powtórzyła Mary właściwym sobie tonem prostej szczerości.

— Moje siostry, jak pani widzi, znajdują przyjemność w zatrzymywaniu pani — powiedział pan St. John — tak jak znajdowałyby przyjemność w zatrzymaniu i pielęgnowaniu na wpół zmarzłego ptaka, którego by im wiatr zimowy przywiał do okna. Ja zaś skłonniejszy jestem dać pani możność samodzielnego utrzymania się i o to będę się starał; jednakże, niech pani zauważy, mój zakres możliwości jest dość ograniczony. Jestem tylko plebanem biednej parafii wiejskiej : pomoc moja może być bardzo skromna. A gdyby pani miała pogardzać szczupłym polem pracy, niech pani poszuka skuteczniejszej pomocy niż ta, którą ja ofiarować mogę.

— Przecież ona już powiedziała, że gotowa jest wziąć się do wszelkiej uczciwej roboty, jaką tylko spełnić potrafi — odpowiedziała Diana za mnie. — A ty wiesz, że co do innej pomocy, to ona nie ma wyboru; zmuszona jest poprzestać na tak nieznośnym człowieku jak ty.

— Będę krawcową, robotnicą, służącą, piastunką, jeżeli nie mogę być czymś lepszym.

— Dobrze — odpowiedział pan St. John zupełnie chłodno. — Jeżeli tak pani myśli, przyrzekam, że pani dopomogę we właściwym czasie i na swój sposób.

Zabrał się teraz z powrotem do książki, którą czytał przed herbatą.

Ja zaś poszłam się wkrótce położyć, gdyż mówiłam tak dużo i byłam na nogach tak długo, jak na to pozwalały moje obecne siły.

ROZDZIAŁ XXX

Im lepiej poznawałam mieszkanki Moor House, tym bardziej je lubiłam. Po kilku dniach do tego stopnia odzyskałam zdrowie, że już nie potrzebowałam się kłaść w ciągu dnia, a nawet mogłam niekiedy się przejść. Mogłam brać udział we wszystkich zajęciach Diany i Mary, rozmawiać z nimi, ile zapragnęły, i pomagać im, w czym mi pozwoliły. Znajdowałam ożywczą przyjemność w tym stosunku — przyjemność pierwszy raz w życiu poznaną, a wynikającą z pokrewieństwa upodobań, uczuć i zasad.

Lubiłam czytać to co i one; co je cieszyło, sprawiało mi radość; co one uznawały, i ja szanowałam. Kochały wielce swój ustronny domek. I dla mnie ten szary, mały, staroświecki budynek o niskim dachu, okratowanych oknach, omszałych ścianach, z aleją starych jodeł — krzywo wyrosłych pod naporem górskich wiatrów — z ogrodem ciemnym od cisów i ostrokrzewów, posiadał nieodparty urok.

Kochały purpurowe pagórki dokoła swego mieszkania, głęboką dolinę, do której prowadziła od ich bramy kamienista ścieżka wijąca się zrazu wśród paprocią zarosłych brzegów, a dalej wśród dzikich pastwisk otoczonych polami wrzosowisk, gdzie pasły się stada szarych, górskich owiec i jagnięta o omszonych pyszczkach. Widoki te kochały gorąco. Umiałam zrozumieć to uczucie i podzielić je z równą mocą i prawdą. Odczuwałam pociągający urok tej miejscowości — świąteczny nastrój jej osamotnienia; oczy moje rozkoszowały się linią wzniesień i zboczy, urozmaiconym zabarwieniem, jakie wzgórzom i wklęsłościom terenu nadawały mchy, dzikie dzwonki, ukwiecone łączki, jaskrawe wrzosy i łagodne tony skał granitowych. Te szczegóły były dla mnie tym samym, czym były dla nich — czystymi i słodkimi źródłami przyjemności. Silny wicher i łagodny wietrzyk, posępny lub pogodny dzień, wschód i zachód słońca, światło księżycowe i chmurne noce — wszystko to miało dla mnie taki sam powab jak i dla nich, takim samym napawało mnie czarem.

W domu zgadzałyśmy się równie dobrze. One więcej miały wiadomości i więcej czytały ode mnie; ja jednakże gorliwie podążałam ścieżką wiedzy, którą one już przeszły przede mną. Pochłaniałam książki, które mi pożyczały, wieczorem zaś rozkoszą było przedyskutować z nimi to, co w ciągu dnia przeczytałam. Myśl trafiała do myśli, zdanie przystosowywało się do zdania, słowem, zgadzałyśmy się doskonale.

Rej w naszej dobranej trójce wodziła Diana. Fizycznie przewyższała mnie znacznie; była ładna i silna. W swej werwie miała taką pełnię rozpędu życiowego, że budziło to mój podziw i przechodziło pojęcie. Ja mogłam mówić przez chwilę, gdy zapadał wieczór, ale skoro pierwszy napływ ożywienia przemijał u mnie, siadałam najchętniej na stołeczku u stóp Diany, kładłam głowę na jej kolanach i słuchałam kolejno jej i Mary, podczas gdy zgłębiały do gruntu przedmiot, którego ja ledwo dotknęłam. Diana ofiarowała się uczyć mnie niemieckiego. Lubiłam uczyć się z nią; widziałam, że rola nauczycielki jej odpowiada, jak mnie rola uczennicy. Natury nasze uzupełniały się: wynikiem tego było bardzo silne wzajemne przywiązanie. Siostry odkryły, że umiem rysować; natychmiast oddały na moje usługi swe ołówki i pudła z farbami.

Umiejętność moja, na tym jednym punkcie większa od ich umiejętności, zadziwiała je i zachwycała. Mary godzinami siadywała i przypatrywała mi się, a potem zapragnęła brać ode mnie lekcje; posłuszna, inteligentna, pilna była z niej uczennica. Przy takich zajęciach i miłym wzajemnym stosunku dnie mijały jak godziny, a tygodnie jak dni.

Zażyłość, która wytworzyła się tak naturalnie i prędko pomiędzy mną, Mary i Dianą, nie rozciągała się na ich brata. Jedną z przyczyn luźnego stosunku między nami był dość rzadki pobyt jego w domu; znaczną część wolnego czasu poświęcał, zdaje się, odwiedzaniu chorych i biednych wśród rozrzuconej ludności swojej parafii.

Nic nie mogło go powstrzymać od tych duszpasterskich wycieczek; w deszcz czy pogodę, skoro tylko minęły godziny jego rannej pracy, brał kapelusz i w towarzystwie starego ojcowskiego wyżła Carla wyruszał spełniać tę misję miłości czy obowiązku, sama nie wiem, jak on się na to zapatrywał. Niekiedy w razie niepogody, siostry starały się go zatrzymać. Odpowiadał wtedy ze szczególnym

uśmiechem, raczej uroczystym niż pogodnym:

— Gdyby trochę wiatru albo deszczu miało mnie od tych łatwych obowiązków powstrzymać, jakimże przygotowaniem byłoby takie lenistwo do zadań, które chcę podjąć w przyszłości?

A wtedy Diana i Mary wzdychały tylko i zapadały w smutną zadumę.

Jednakże oprócz jego częstych nieobecności inna jeszcze przeszkoda stała na drodze do naszego zaprzyjaźnienia się; wydawał mi się zamkniętym, żyjącym w oderwaniu, pochmurnie zamyślonym człowiekiem. Gorliwy w kapłańskich obowiązkach, nieskazitelny w życiu i obyczajach, nie cieszył się, zdawało się, tą duchową pogodą, tym wewnętrznym zadowoleniem, jakie powinno być nagrodą każdego szczerego i czynnego chrześcijanina. Często siedząc wieczorem przy oknie, mając sekretarzyk i papiery przed sobą, przestawał czytać albo pisać i z brodą opartą na ręku zapadał w jakieś głębokie zamyślenie; myśli te były wzburzone i niespokojne, a poznać to było można po częstych błyskach i zmiennej grze świateł w oczach.

Zdaje mi się przy tym, że przyroda nie była dlań tym skarbcem rozkoszy, jakim była dla jego sióstr. Raz jeden w mojej obecności mówił o surowym uroku wzgórz i swym wrodzonym przywiązaniu do ciemnego dachu i sędziwych murów, które nazywał domem rodzinnym. Było jednakże więcej posępnego smutku niż przyjemności w tonie, jakim uczucie to wyraził. Nigdy też nie błąkał się po wzgórzach, nigdy tam nie szukał ciszy, nigdy nie poił się ich spokojną radością.

Tak był zamknięty w sobie i małomówny, że sporo czasu upłynęło, zanim zdarzyła mi się sposobność zajrzenia do jego duszy. Pierwszy raz nabrałam pojęcia o tej duszy, gdy usłyszałam jego kazanie w kościele w Morton. Pragnęłabym opisać to kazanie, ale to przechodzi moje siły. Nie potrafię nawet oddać wiernie wrażenia, jakie na mnie wywarło.

Zaczęło się spokojnie — i istotnie, o ile chodzi o ton i skalę głosu, było spokojne do końca; poważnie odczuta, lecz powstrzymywana żarliwość tchnęła w wyraźnych akcentach, w nerwowym toku

mowy. Żarliwość ta rosła w siłę — zwięzła, ścisła, opanowana potęga kaznodziei przejmowała serce, zdumiewała umysł, ani na serce, ani na umysł jednakże nie działała łagodząco. Kazanie tchnęło dziwną goryczą, brakło mu pocieszającej dobrotliwości: powtarzały się w nim surowe aluzje do doktryn kalwinistycznych — o wybraniu, predestynacji, potępieniu, a każda wzmianka o tych kwestiach brzmiała jak wyrok potępienia. Gdy skończył, zamiast czuć się lepsza, spokojniejsza, oświecona jego kazaniem, odczułam tylko niewypowiedziany smutek. Zdawało mi się bowiem, nie wiem, czy i innym, że ten strumień wymowy wypływał z głębiny, gdzie leżał mętny osad zawodu, gdzie kłębiły się niepokojące impulsy nienasyconych pragnień i burzliwych aspiracji. Byłam pewna, że St. John Rivers, człowiek czystego życia, sumienny, gorliwy, nie znalazł jeszcze tego bożego spokoju, wyższego nad wszelkie pojęcie; pomyślałam, że on go tak samo nie znalazł jak ja przy swoich ukrytych a dręczących żalach za rozbitym bożyszczem i straconym rajem — żalach, o których nie chciałam wspominać, lecz które opanowały i bezlitośnie szarpały moją duszę.

Tymczasem upłynął miesiąc. Diana i Mary miały niebawem opuścić Moor House i wrócić do innego życia i otoczenia. Były nauczycielkami w wielkim, modnym mieście południowej Anglii. Obie miały tam posady w rodzinach, których dumni członkowie widzieli w nich tylko skromne pracownice i nie bacząc na ich wysoką wrodzoną wartość, cenili tylko ich nabyte umiejętności, tak jak cenili sztukę swego kucharza albo dobry smak panny służącej. Pan St. John nic mi dotąd nie powiedział o przyobiecanym zajęciu; nagląca jednakże stawała się dla mnie potrzeba znalezienia jakiegoś zawodu. Pewnego ranka zostawszy na chwilę z nim sama w pokoju przybliżyłam się do okna, gdzie pracował, i zamierzałam przemówić. Sama dobrze nie wiedziałam, w jakie słowa ubrać pytanie, bo zawsze trudno jest przełamać lód, który opancerza tego rodzaju natury, gdy on sam wyprowadził mnie z kłopotu, pierwszy rozpoczynając rozmowę.

— Chce mnie pani o coś zapytać? — zagadnął podnosząc oczy.

— Tak, pragnęłabym się dowiedzieć, czy pan słyszał o jakim zajęciu, którego bym się mogła podjąć?

— Znalazłem, a raczej obmyśliłem coś dla pani już trzy tygodnie

temu; ale ponieważ widziałem, iż pani jest użyteczna i zadowolona tutaj, a siostry moje widocznie przywiązały się do pani i towarzystwo pani sprawia im niezwykłą przyjemność, uważałem za niewłaściwe płoszyć wzajemne wasze zadowolenie, dopóki bliski odjazd sióstr z Marsh End nie uniemożliwi pani pobytu tutaj.

— A siostry pańskie mają za trzy dni wyjechać?

— Tak; gdy one wyjadą, ja powrócę na plebanię w Morton; Hanna będzie mi towarzyszyła, a ten stary dom zamkniemy.

Czekałam chwilę w nadziei, że będzie mówił dalej. Zdawało się jednak, że jego uwaga poszła w innym kierunku; ze spojrzenia jego poznałam, że już nie myśli o mnie ani o mojej sprawie. Musiałam przywołać go z powrotem do tematu, który był tak ważny dla mnie.

— Jakie jest to zajęcie, które pan ma na. widoku dla mnie, panie Rivers? Mam nadzieję, że ta zwłoka nie zwiększyła trudności otrzymania go?

— Ach, nie, ponieważ jest to zajęcie, którego danie zależy jedynie ode mnie, a przyjęcie od pani.

Zatrzymał się znowu; wydało mi się, że nie ma ochoty mówić dalej. Zniecierpliwiłam się; jakieś niespokojne poruszenie, jakieś nieco natarczywe spojrzenie, utkwione w jego twarzy, dały mu to poczuć równie skutecznie jak słowa, a mniej kłopotliwie.

— Tak pani pilno usłyszeć! — rzekł. — Ale ja szczerze pani powiem, że nic korzystnego do zaproponowania pani nie mam. Przypominam pani swe wyraźne zastrzeżenie, iż jeżeli dopomogę pani, to po trosze tak jak ślepy, co wiódł kulawego. Jestem niezamożny; gdyż po zapłaceniu długów mego ojca całym pozostającym mi spadkiem będzie to zrujnowane domostwo, rząd krzywych jodeł za domem i kawałek torfiastego gruntu z cisami i ostrokrzewem z frontu. Jestem nieznany; Riversowie to stary ród, ale z trojga ostatnich jego potomków dwoje zarabia na kawałek chleba wśród obcych, na stanowiskach zależnych, a trzeci uważa się za obcego w kraju rodzinnym, obcego nie tylko za życia, ale i po śmierci. Tak jest — i los swój uważa za zaszczytny i wzdycha do dnia, gdy przyjdzie mu dźwigać krzyż rozstania, zerwania wszelkich

więzów cielesnych, gdy Głowa tego Kościoła wojującego, do którego najpokorniejszych członków on się zalicza, wyda mu rozkaz: „Wstań i pójdź za mną."

St. John wypowiedział te słowa tak, jak wygłaszał kazania: głosem spokojnym, głębokim, bez rumieńca na twarzy, z błyszczącymi oczyma. Mówił dalej:

— Jako biedny i nieznany mogę pani ofiarować tylko stanowisko skromne, graniczące z biedą. Pani będzie je może uważała za poniżające, gdyż widzę teraz, że przywykła pani do wytworniejszego życia, do towarzystwa ludzi wykształconych; ja jednakże uważam, że żadna praca zmierzająca do doskonalenia naszych bliźnich nie poniża człowieka. Uważam, że im twardszy, im bardziej nieurodzajny zagon, który chrześcijański oracz ma uprawiać, im szczuplejsza zapłata za jego trud, tym większy honor i zasługa. W tego rodzaju okolicznościach przypada mu rola pioniera, a pierwszymi pionierami Ewangelii byli apostołowie, zaś wodzem ich Jezus, Odkupiciel. On sam.

— A więc — rzekłam, gdy znowu zamilkł — niech pan mówi, proszę.

Popatrzył na mnie, zanim znowu zaczął. Istotnie, zdawało się. że uważnie czyta w mojej twarzy, jak gdyby jej rysy i linie były literami na stronicy. Wnioski wysnute z tego badania wyraził częściowo w następujących uwagach:

— Sądzę, że pani przyjmie posadę, którą pani ofiaruję — rzekł — i zatrzyma ją pani przez czas jakiś; nie na stałe jednakże, tak jak i ja nie mógłbym na stałe zatrzymać ciasnego i zacieśniającego, spokojnego stanowiska na uboczu, stanowiska angielskiego wiejskiego proboszcza. W pani naturze bowiem jest przymieszka równie nie znosząca spokoju jak i w mojej naturze, jakkolwiek jest ona innego rodzaju.

— Niech pan to wytłumaczy — nalegałam, gdy znowu przerwał.

— Dobrze, i przekona się pani, jaka to marna propozycja, pospolita i krępująca. Ja nie pozostanę długo w Morton; teraz, kiedy ojciec mój nie żyje, jestem panem siebie. Opuszczę te strony

prawdopodobnie w ciągu roku. Dopóki jednak tu jestem, zrobię, co tylko w mojej mocy, dla tej okolicy. Morton, gdy tutaj dwa lata temu przybyłem, nie miało szkoły; dzieci biedaków pozbawione były wszelkiej nauki. Założyłem szkołę dla chłopców, teraz zamierzam otworzyć drugą szkołę dla dziewcząt. Nająłem budynek na ten cel z chatką dwupokojową dla nauczycielki. Pensja jej wynosiłaby trzydzieści funtów rocznie. Mieszkanie jest już umeblowane, bardzo skromnie, ale dostatecznie, dzięki dobroci pewnej damy, panny Oliver, jedynej córki jedynego bogatego człowieka w mojej parafii, pana Olivera, właściciela fabryki igieł i odlewni żelaza w dolinie. Ta sama osoba płaci za naukę i ubranie sieroty z domu pracy pod warunkiem, że ta dziewczynka będzie pomagała nauczycielce w zajęciach koło domu i szkoły, których nauczycielka nie będzie miała czasu wykonać sama. Czy chce pani być tą nauczycielką?

Zadał to pytanie pośpiesznie; widocznie na pół spodziewał się, że z oburzeniem, a przynajmniej ze wzgardą odrzucę tę propozycję; nie znając wszystkich moich myśli i uczuć, chociaż odgadywał niektóre, nie wiedział, jaki mi się wyda taki los. Istotnie, skromnie się przedstawiał, ale dawał zaciszne, bezpieczne schronienie, a tego potrzebowałam. Wymagał twardej pracy, ale w porównaniu ze stanowiskiem nauczycielki w domu bogatych ludzi dawał niezależność; tak się lękałam zależności od obcych, a tu nie groziło mi ani poniżenie, ani upokorzenie. Zdecydowałam się.

— Dziękuję panu za tę propozycję i przyjmuję ją całym sercem.

— Ale pani mnie rozumie? — powiedział. — To wiejska szkoła: pani uczennicami będą tylko biedne dziewczęta, dzieci chłopów, co najwyżej córki farmerów. Robienie na drutach, szycie, czytanie, pisanie, rachunki — oto wszystko, czego je pani będzie uczyła. Co pani zrobi ze swymi umiejętnościami? Co ze swym umysłem, uczuciami, upodobaniami?

— Schowam je, dopóki mi nie będą potrzebne. Zaczekają.

— A więc pani rozumie, czego się pani chce podjąć? — Rozumiem.

Uśmiechał się teraz, i to nie gorzko ani smutno, ale pogodnie i z prawdziwym zadowoleniem.

— I kiedyż zamierza pani przystąpić do pracy?

— Przeniosę się tam jutro; a szkołę, jeśli pan sobie życzy, mogę otworzyć w przyszłym tygodniu.

— Bardzo dobrze; niech tak będzie.

Wstał i przeszedł przez pokój. Stanąwszy popatrzył znów na mnie. Potrząsnął głową.

— Co się panu we mnie nie podoba, panie Rivers? — zapytałam.

— Pani nie zostanie długo w Morton: nie, nie!

— Dlaczego? Na jakiej podstawie pan to mówi?

— Czytam to w pani oczach; nie zapowiadają one utrzymania równej linii w życiu.

— Nie jestem ambitna.

Drgnął, usłyszawszy to słowo. Powtórzył:

— Nie. Co panią naprowadziło na myśl o ambicji? Kto jest ambitny? Ja wiem, że jestem ambitny; ale jakim sposobem pani to odkryła?

— Mówiłam o sobie.

— No więc, jeżeli pani nie jest ambitna, jest pani... — przerwał.

— Jestem jaka?

— Chciałem powiedzieć: namiętna, ale może by pani źle zrozumiała to słowo i może by panią dotknęło. Ja przez to rozumiem, że ludzkie uczucia i sympatie mają nad panią potężną władzę. Jestem pewien, że pani nie potrafiłaby być długo zadowolona spędzając wolne godziny w samotności, a godziny pracy na jednostajnym zajęciu, zupełnie bez podniety. Tak jak ja nie mogę być zadowolony — dodał z naciskiem — żyjąc tu zagrzebany w bagnach, zduszony górami, wbrew naturze mojej, od Boga mi danej, przy zdolnościach, jakimi mnie niebo obdarzyło, bezpożytecznie skrępowanych. Słyszy pani teraz, jak ja sam sobie przeczę. Ja, który zalecałem

zadowolenie ze skromnego losu i pochwalałem nawet zawód rębaczy drzewa i woziwodów w służbie Bożej, ja, wyświęcony kapłan Boży, szaleję prawie z niepokoju. Trudno, skłonności i zasady trzeba jakimś sposobem pogodzić.

Wyszedł z pokoju. W tej jednej godzinie dowiedziałam się o nim więcej niż przez cały poprzedni miesiąc, a jednak wciąż jeszcze był dla mnie zagadką.

Diana i Mary Rivers smutniały i cichły w miarę zbliżania się chwili pożegnania z bratem i domem. Starały się nie dać tego poznać po sobie, jednakże smutek, który zwalczały, był taki, że nie dał się ukryć ani przezwyciężyć. Diana mi powiedziała, że będzie to inne rozstanie niż wszystkie dotychczasowe. Prawdopodobnie będzie to rozstanie na lata, a może i na całe życie, z St. Johnem.

— On poświęci wszystko dla dawno powziętego postanowienia — powiedziała — nawet rodzinne przywiązanie i silniejsze jeszcze uczucia. St. John wydaje się spokojny, Jane, ale on kryje w sobie gorączkę. Sądziłabym, że jest łagodny, jednakże w niektórych sprawach jest nieubłagany jak śmierć; a najgorsze jest to, że sumienie nie pozwala mi odradzać mu tej surowej decyzji; ani przez chwilę nie mogę mu z tego robić zarzutu. To jest słuszne, szlachetne, godne chrześcijanina, ale serce mi od tego pęka!

I z pięknych jej oczu polały się łzy. Mary pochyliła nisko głowę nad robotą.

— Nie mamy już ojca — szepnęła. — Wkrótce zabraknie nam domu i brata.

W tej chwili zaszedł wypadek, którym los jakby chciał stwierdzić powiedzenie, że „nieszczęście nigdy nie przychodzi samo", i dodać do ich zmartwienia drażniącą przykrość zawiedzionej nadziei. St. John przechodził pod oknem, czytając jakiś list. Wszedł.

— Wuj John umarł — powiedział.

Znać było, że obie siostry silnie odczuły tę wiadomość, ale raczej jako ważną niż zasmucającą.

— Umarł? — powtórzyła Diana.

— Tak, umarł.

Utkwiła badawczy wzrok w twarzy brata.

— No i co? — zapytała cichym głosem.

— No i co, Dianko? — odpowiedział nie tracąc marmurowego spokoju twarzy. — No i co? No i nic... Czytaj.

Rzucił jej list na kolana. Przejrzała go i podała Mary. Mary przeczytała go i oddała bratu. Wszyscy troje zamienili spojrzenia i wszyscy troje uśmiechnęli się niewesołym, zamyślonym uśmiechem.

— Amen! Jakoś mimo to przeżyjemy! — rzekła w końcu Diana.

— W każdym razie nie będzie nam przez to gorzej, niż było dotychczas — zauważyła Mary.

— Tylko że człowiek musi myśleć o tym, co mogłoby być — rzekł pan Rivers — i przeciwstawia to zbyt jaskrawo temu, co jest.

Złożył list, zamknął go w sekretarzyku i znowu wyszedł.

Przez kilka minut nikt nie mówił. W końcu Diana zwróciła się do mnie:

— Jane, dziwisz się zapewne nam i naszym tajemnicom — rzekła — i myślisz, że jesteśmy istotami bez serca, skoro nas tak mało wzrusza śmierć naszego wuja; ale myśmy go nigdy nie widzieli ani znali. Był to brat naszej matki. Ojciec nasz pokłócił się z nim dawno temu. Za jego to poradą ojciec zaryzykował większą część majątku w spekulacji, która go zrujnowała. Czynili sobie wzajemne wyrzuty, rozeszli się w gniewie i nie pogodzili się nigdy. Wuj nasz wdał się potem w szczęśliwsze interesy i, jak się pokazuje, zebrał fortunę dwudziestu tysięcy funtów. Nie był nigdy żonaty i nie miał innych bliskich krewnych oprócz nas i jeszcze jednej osoby w tym samym stopniu spokrewnionej z nim co i my. Ojciec mój zawsze miał nadzieję, że wuj naprawi swój błąd zostawiając nam majątek. Ten list powiadamia nas, że zapisał wszystko co do grosza tej innej krewnej, z wyjątkiem trzydziestu gwinei „do podziału między St.

Johna, Dianę i Mary Rivers na kupno trzech żałobnych pierścionków". Miał prawo, naturalnie, zrobić, jak mu się podobało; jednakże taka wiadomość przygnębia na chwilę. Mary i ja uważałybyśmy się za bogate posiadając po tysiąc funtów, a dla St. Johna taka suma byłaby cenna dając mu możność spełnienia wiele dobrego!

Po tym wyjaśnieniu nikt już o liście nie wspominał. Nazajutrz opuściłam Marsh End i przeniosłam się do Morton. Następnego dnia Diana i Mary wyjechały, a po tygodniu pan Rivers i Hanna przenieśli się na plebanię. I tak stary dom opustoszał.

ROZDZIAŁ XXXI

Mój dom zatem — gdy nareszcie znalazłam się u siebie w domu — okazał się chatą; na dole był mały pokoik, właściwie kuchnia o bielonych ścianach i piaskiem wysypanej podłodze, zawierający skromne umeblowanie: cztery malowane krzesła, stół, zegar, mały kredens z paru talerzami i półmiskami, i fajansowym serwisem do herbaty. Na górze pokój o tych samych rozmiarach co kuchnia, z białym sosnowym łóżkiem i małą komodą, za wielką jednak, bym ją mogła wypełnić szczupłą garderobą, chociaż dobroć moich miłych i zacnych przyjaciółek powiększyła jej zapas tym, co potrzebne.

Nadszedł wieczór. Odprawiłam sierotkę, która pomaga mi w gospodarstwie, zapłaciwszy jej pomarańczą. Siedzę sama przy kominku. Dziś rano szkółka wiejska została otwarta. Miałam dwadzieścia uczennic. Tylko trzy umieją czytać, żadna nie umie pisać ani rachować. Niektóre umieją robić na drutach, a kilka z nich trochę szyje. Mówią najbardziej gwarowym językiem miejscowym. Na razie mamy wzajemną trudność w rozumieniu się wobec tych odrębności naszego języka. Niektóre z dziewcząt są źle wychowane, nieokrzesane, trudne do prowadzenia i nic nie umieją. Ale inne są posłuszne, chętne do nauki i miłe. Nie wolno mi zapomnieć, że te prosto ubrane wieśniaczki są z krwi i ciała równie dobre jak potomkowie rodowej szlachty i że zarodki wrodzonej doskonałości, kultury, inteligencji, delikatnych uczuć mogą równie dobrze istnieć w ich sercach jak w sercach wysoko urodzonych. Mam obowiązek rozwijać te zarodki; z pewnością spełnianie tego zadania da mi zadowolenie. Nie obiecuję sobie wiele uciechy z życia, które się przede mną otwiera; niewątpliwie jednak, gdy doprowadzę do ładu swoje myśli i zdobędę się na właściwy wysiłek, da mi ono tyle radości, ile potrzeba, by żyć z dnia na dzień.

Czy bardzo byłam uradowana, zadowolona podczas godzin, które spędziłam w pustym, skromnym szkolnym pokoju dziś rano i po południu? Nie chcąc samej siebie oszukiwać, muszę odpowiedzieć — nie. Było mi ciężko: czułam się... idiotka ze mnie!... czułam się

poniżona. Zadawałam sobie pytanie, czy nie uczyniłam kroku, który mnie obniża, zamiast podnieść, w skali społecznej. Przeraziłam się małodusznie brakiem wiedzy, ubóstwem i prostactwem wszystkiego, co słyszałam i widziałam wokół siebie. Ale nie będę zanadto gardziła sobą za te uczucia. Wiem, że są godne nagany, a to już wielki krok naprzód; będę się starała je przezwyciężyć. Jutro, mam nadzieję, zwalczę je częściowo; a za parę tygodni może zduszę je w sobie zupełnie. Być może, za parę miesięcy na widok postępów, zmiany na lepsze dokonującej się w moich uczennicach, poczuję radość zamiast niesmaku.

Tymczasem zadam sobie jedno pytanie: Co lepiej? Czy gdybym była poddała się pokusie, uległa namiętności, bez wysiłków bolesnych, bez walki, gdybym się była zaplątała w jedwabną sieć — zasnęła na kwiatach zakrywających pułapkę, by obudzić się w południowym klimacie, wśród zbytków rozkosznej willi jako kochanka pana Rochestera, upojona jego miłością, gdyż on by mnie kochał, o tak, on by mnie bardzo kochał przez pewien czas. Bo on mnie kochał — nikt mnie już nigdy tak nie będzie kochać. Nigdy już nie zaznam słodkiego hołdu świadczonego piękności, młodości, wdziękom, gdyż nikt inny ich we mnie nie dostrzeże. On mnie kochał i był dumny ze mnie — nikt inny takim uczuciem mnie nie obdarzy... Ale gdzież to ja się błąkam, co mówię, a przede wszystkim, co czuję?... Zapytywałam siebie, czy lepiej by mi było być niewolnicą złudnego raju w Marsylii, rozgorączkowaną złudnym szczęściem w jednej godzinie, a dławiącą się gorzkimi łzami żalu i wstydu w następnej, czy też być wiejską nauczycielką, wolną i uczciwą, w zdrowym zakątku górskim w samym sercu Anglii?

Tak, czuję teraz, że miałam słuszność trwając przy zasadach i prawie, a odpychając, hamując podszepty chwilowego szału. Bóg mną pokierował i dobrze wybrałam: opatrzności Jego dziękuję za pomoc i opiekę.

Doszedłszy w dumaniach do tego punktu, wstałam, otworzyłam drzwi i wyjrzałam. Słońce zachodziło. Wokół mojej chaty rozciągały się spokojne pola, gdyż szkoła i mój domek były pół mili odległe od wsi. Ptaki śpiewały ostatnie piosenki...

Powietrze ciepłe, rosa jak balsam.

Patrzyłam przed siebie i myślałam, że jestem szczęśliwa, ale oto ze zdziwieniem spostrzegłam niebawem, że płaczę... I co mi wyciskało te łzy? Los okrutny, który mnie oderwał od mojego pana; myśl, że go już nigdy nie zobaczę; myśl o jego rozpaczy, gniewie z powodu mojej ucieczki... które go może ściągną z uczciwej drogi zbyt daleko, by ostateczny powrót był dlań możliwy... Na myśl o tym odwróciłam oczy od cudnego wieczornego nieba i pustej doliny Morton; pustej, powiadam, gdyż w zasięgu mego wzroku nie było żadnego budynku prócz kościoła i plebanii, na wpół zasłoniętej drzewami, a na horyzoncie dachy Vale Hall, gdzie mieszkał bogaty pan Oliver z córką. Zakryłam oczy i oparłam głowę o kamienne obramowanie drzwi; wkrótce jednak spojrzałam, gdyż posłyszałam ruch jakiś koło furtki zamykającej od strony łączki mój mały ogródek. To pies — stary Carlo, popychał furtkę nosem, a sam St. John opierał się o nią łokciami; brwi miał ściągnięte, spojrzenie poważne, nieledwie surowe tkwiło we mnie. Poprosiłam go, by zechciał wejść.

— Nie, nie mogę się zatrzymać; przyniosłem pani tylko małą paczkę, którą moje siostry pozostawiły dla niej. Zdaje mi się, że jest w niej pudło z farbami, ołówki i papier.

Zbliżyłam się, by odebrać paczkę; jakiż pożądany był to dar! Mój gość badawczo mi się przyglądał, wydało mi się, że patrzy na mnie surowym okiem; ślady łez niewątpliwie były widoczne.

— Czy pierwszy dzień pracy wydał się pani cięższy, niż się pani spodziewała? — zapytał.

— O nie! Przeciwnie, myślę, że z czasem bardzo dobrze dam sobie radę z uczennicami.

— Ale może urządzenie domu, chatka, umeblowanie, może to zawiodło pani oczekiwanie? Jest tego, co prawda, niewiele, ale...

Przerwałam mu:

— Moja chatka jest czysta i zaciszna; moje umeblowanie dostateczne i wygodne. Wszystko, co tu widzę, napełnia mnie wdzięcznością, nie smutkiem. Nie jestem wcale taka niemądra i wrażliwa na zbytki, żeby żałować braku dywanu, kanapy albo

srebrnych nakryć; a zresztą pięć tygodni temu nie miałam nic — byłam wyrzutkiem, żebraczką, włóczęgą; teraz mam znajomych, dom i zajęcie. Podziwiam dobroć Boga, szlachetność moich przyjaciół, hojność losu. Nie smucę się i nie żałuję.

— Ale odczuwa pani osamotnienie i ciężko pani? Ten mały domek, przed którym pani stoi, jest ciemny i pusty.

— Zaledwie miałam czas nacieszyć się spokojem, tym bardziej nie zdążyłam obrzydzić sobie samotności.

— Bardzo dobrze; mam nadzieję, że pani istotnie czuje to zadowolenie, o którym pani mówi; w każdym razie własny rozsądek powie pani, że jeszcze za wcześnie poddawać się chwiejnym lękom żony Lota. Co pani zostawiła za sobą, zanim panią poznałem, tego oczywiście nie wiem. Ale radziłbym pani opierać się wszelkim pokusom oglądania się wstecz. Niech pani wytrwale pracuje w obecnym zawodzie, przynajmniej przez kilka miesięcy.

— Właśnie zamierzam to zrobić — odrzekłam. St. John mówił dalej:

— Ciężkie to zadanie opanowywać skłonności i odwracać pęd natury; ale wiem z doświadczenia, że można to osiągnąć. Bóg dał nam w pewnej mierze możność kształtowania naszego własnego losu; a gdy nasze siły zdają się żądać pokarmu, którego otrzymać nie mogą, gdy wola nasza wytęża się ku ścieżce, którą nam iść nie dozwolono, nie potrzebujemy ani umierać z głodu, ani stać w miejscu z rozpaczy. Musimy tylko poszukać innego pokarmu dla ducha, pokarmu równie mocnego jak ten zakazany, a może lepszego; i wyrąbać dla odważnej stopy drogę równie prostą i szeroką jak ta, którą los nam zagrodził, chociaż może nie tak gładką.

Rok temu ja też byłem bardzo nieszczęśliwy. Sądziłem bowiem, że popełniłem pomyłkę zostając kapłanem; jednostajne obowiązki pastora nużyły mnie śmiertelnie. Rwałem się ku bardziej aktywnemu życiu świata, ku bardziej podniecającym trudom kariery literackiej, pragnąłem losu artysty, pisarza, mówcy, jakiegokolwiek losu, byle nie losu duchownego. Tak jest, serce polityka, żołnierza, czciciela chwały, miłośnika sławy, człowieka żądnego władzy biło pod moją komżą wikarego. Zastanawiałem się

nad sobą, czułem się tak nieszczęśliwy, że pozostawało mi zmienić drogę życia lub umrzeć. Po okresie ciemności i walki ujrzałem światło, przyszła ulga; dla mojego skrępowanego istnienia otworzył się nagle nieograniczony widnokrąg, moje władze duchowe otrzymały nakaz z nieba, by powstały, zebrały wszystkie siły, rozwinęły skrzydła i wstępowały wzwyż. Bóg zlecił mi posłannictwo. A trzeba mi zręczności i siły, odwagi i wymowy, najlepszych zalet żołnierza, męża stanu i mówcy, by wypełnić to posłannictwo w dalekich krajach, gdyż wszystko to jednoczy się w dobrym misjonarzu.

Postanowiłem zostać misjonarzem. Od tej chwili stan mojego ducha się odmienił; więzy rozluźniły się i opadły ze mnie, wyzwoliły mnie, pozostawiając tylko obolałe rany, które czas jedynie leczy. Ojciec mój, co prawda, sprzeciwiał się mojemu postanowieniu; jednakże od jego śmierci nikt nie ma prawa stawać na mej drodze; pozostaje mi jeszcze załatwić parę interesów, znaleźć następcę na probostwo w Morton, zerwać albo przeciąć niektóre uczuciowe więzy, stoczyć ostatnią walkę ze słabością ludzką, walkę, w której wiem, że zwyciężę, gdyż ślubowałem sobie, że zwyciężę, a opuszczę Europę i podążę na Wschód.

Powiedział to właściwym sobie, przyciszonym, ale dobitnym głosem. A gdy skończył, spojrzał nie na mnie, lecz na zachodzące słońce, na które i ja patrzyłam. Oboje byliśmy odwróceni plecami do ścieżki prowadzącej przez pole ku furtce. Nie słyszeliśmy żadnych kroków na zarosłej trawą ścieżce, a szmer wody płynącej w dolinie był jedynym odgłosem w tym miejscu i o tej godzinie; toteż nie dziw, że drgnęliśmy, gdy wesoły głos, dźwięczny jak srebrny dzwoneczek, zawołał:

— Dobry wieczór, panie Rivers. I dobry wieczór, stary Carlo! Pański pies prędzej poznaje przyjaciół niż pan, łaskawy panie; nadstawił uszu i kręcił ogonem, gdy jeszcze byłam na końcu pola, a pan jeszcze teraz stoi odwrócony do mnie plecami.

I prawda. Chociaż pan Rivers drgnął przy pierwszych dźwiękach tego muzykalnego głosu, jak gdyby piorun rozdarł chmurę nad jego głową, stał wciąż jeszcze w tej samej pozycji, w jakiej go mówiąca zastała, z łokciem opartym o furtkę, z twarzą skierowaną ku zachodowi. Odwrócił się wreszcie nie spiesząc się. A mnie się

wydawało, że zjawisko jakieś nieziemskie stanęło obok niego. O trzy kroki od niego ujrzałam postać biało ubraną, dziewczęcą, wdzięczną postać, pełną, ale piękną w linii; a gdy popieściwszy Carla podniosła głowę i odrzuciła długi welon, ukazała się twarz doskonałej piękności. Doskonała piękność to mocne słowo, a jednak go nie cofam ani go nie zmieniam: tak delikatne rysy, jakie tylko umiarkowany klimat Albionu wytworzyć zdoła, tak czyste barwy róż i lilii, jakie tylko wilgotne wiatry i mgliste niebo Anglii wyhodować potrafią, usprawiedliwiały w tym wypadku to określenie. Zjawisku temu nie brakło żadnego wdzięku, nie posiadało widocznych defektów. Młode dziewczę miało rysy regularne i delikatne, oczy, jakie widzimy na cudnych malowidłach: wielkie, ciemne, ocienione długimi rzęsami, dodającymi im tyle łagodnego uroku; brew jak malowaną, białe, gładkie czoło, które dodaje spokoju żywszym urokom cery, zarys twarzy owalny, świeży, czysty; usta również świeże, rumiane, ślicznie zarysowane, równe, lśniące zęby bez skazy; dołeczek na brodzie i piękne, bujne włosy; słowem, posiadała wszystkie uroki, które, połączone tworzą ideał piękności. Z zachwytem patrzyłam na to śliczne stworzenie; podziwiałam ją z całego serca. Natura musiała ją stworzyć będąc w nastroju niezwykłej wspaniałomyślności i zapominając o swym zwykłym macoszym skąpstwie obdarzyła swą wybrankę z hojnością wielkiej damy.

I cóż St. John Rivers myślał o tym ziemskim aniele? Zupełnie naturalnie zadałam sobie to pytanie widząc, że odwraca się i patrzy na nią, i równie naturalnie poszukałam odpowiedzi w jego twarzy. On jednakże odwrócił już wzrok od tej zjawiskowej istoty i patrzył na skromny krzaczek stokrotek rosnących przy furtce.

— Śliczny wieczór, ale że też pani tak późno sama wyszła — powiedział gniotąc nogą śnieżne główki zwiniętych kwiatów.

— Ach, ja dopiero dziś po południu wróciłam z S. — tu wymieniła nazwę dużego miasta odległego o jakieś dwadzieścia mil. — Papa mi mówił, że pan już otworzył szkołę i że nowa nauczycielka przybyła. Toteż po herbacie włożyłam kapelusz i przebiegłam przez dolinę chcąc ją poznać. Czy to pani?

— Tak — odpowiedział St. John.

— Czy pani myśli, że będzie się pani podobało w Morton? — zapytała mnie ze szczerą i naiwną prostotą, miłą, choć dziecinną.

— Sądzę, że tak. Mam do tego wiele powodów.

— Czy uczennice są tak uważne, jak się pani spodziewała?

— Najzupełniej.

— Czy podoba się pani ten domek?

— Bardzo.

— Czy ładnie go umeblowałam?

— Bardzo ładnie, doprawdy.

— A czy dobrą pomocnicę wyszukałam dla pani wybierając Alicję Wood?

— Dobrze pani wybrała. Jest pojętna i zręczna.

„To więc — pomyślałam — jest panna Oliver, bogata dziedziczka, wyposażona, jak widać, zarówno od natury, jak i materialnie! Co za szczęśliwa konstelacja planet świeciła nad jej kołyską!"

— Przybiegnę tu niekiedy i dopomogę pani uczyć — dodała. — Odwiedziny będą dla mnie miłym urozmaiceniem, a ja tak lubię rozmaitość. Panie Rivers, tak się wesoło bawiłam podczas pobytu w S. Ubiegłej nocy, a raczej dziś rano, tańczyłam do drugiej. Od czasu rozruchów zakwaterowano tam pułk wojska, a oficerowie to najmilsi w świecie ludzie; niech się schowają wobec nich nasi młodzi szlifierze i handlarze nożyczkami.

Wydało mi się, że dolna warga St. Johna wysunęła się naprzód, a na górnej osiadł grymas. Usta jego mocno się zacisnęły, a dolna część twarzy nabrała surowej zaciętości podczas opowiadania roześmianej dziewczyny. Oderwał oczy od stokrotek i zwrócił je na nią. Poważne, badawcze, znaczące było to spojrzenie. Odpowiedziała na nie śmiechem, a śmiech tak dobrze pasował do jej młodości, jej dołeczków i błyszczących oczu!

Podczas gdy St. John stał milczący i poważny, ona znowu zaczęła pieścić Carla.

— Biedny Carlo mnie kocha — powiedziała. — On nie jest surowy i zimny dla przyjaciół; a gdyby umiał mówić, nie milczałby z pewnością.

Gdy głaszcząc głowę psa chyliła się z wrodzonym wdziękiem przed młodym i surowym jego panem, ujrzałam, że płomień zalewa twarz St. Johna. Uroczysta powaga jego oczu roztopiła się w nagłym ogniu, oczy błysnęły przemożnym wzruszeniem. Tak zarumieniony i wzruszony dorównywał nieledwie jej urodzie prawdziwie męską pięknością. Pierś jego podniosła się jednym głębokim westchnieniem, jak gdyby jego wielkie serce, znużone despotycznym uściskiem, odprężyło się wbrew woli i jednym potężnym uderzeniem zabiło ku swobodzie. Ale on je poskromił, jak śmiały jeździec poskromiłby ponoszącego rumaka. Nie odpowiedział ani słowem, ani ruchem na miłe oznaki sympatii.

— Papa powiada; że pan nigdy teraz do nas nie zagląda — ciągnęła panienka. — Nie widać pana w Vale Hall. Papa jest sam dziś wieczór i czuje się nieco słaby. Może mnie pan odprowadzi i odwiedzi papę?

— To nie jest odpowiednia godzina do składania wizyt panu Oliverowi — odpowiedział St. John.

— Nieodpowiednia godzina! Twierdzę, że przeciwnie. To właśnie godzina, kiedy papa najwięcej potrzebuje towarzystwa, bo fabryka staje, a on nie ma nic do roboty. No, panie Rivers, niechże pan przyjdzie! Dlaczego pan taki dziki i taki zachmurzony?

Jego milczenie po tym zapytaniu wypełniła własną odpowiedzią.

— Zapomniałam! — zawołała potrząsając piękną główką, jak gdyby sama sobą zgorszona. — Taka jestem nieuważna i roztargniona! Niech mi pan wybaczy. Wyszło mi z pamięci, że to bardzo naturalne, iż pan nie ma ochoty do gawędzenia ze mną. Diana i Mary wyjechały. Moor House jest zamknięty i pan taki osamotniony! Doprawdy, żal mi pana. Niech pan przyjdzie, niech pan odwiedzi papę!

— Nie dziś wieczór, panno Rozamundo, nie dziś wieczór.

St. John mówił prawie jak automat; on sam tylko wiedział, co go kosztuje ta odmowa.

— Trudno, skoro pan taki uparty, będę musiała pana pożegnać, gdyż nie śmiem pozostać dłużej; rosa zaczyna opadać. Dobranoc!

Wyciągnęła rękę. Zaledwie jej dotknął.

— Dobranoc! — powtórzył głosem cichym i dalekim jak echo.

Poszła, ale wnet powróciła.

— Czy pan jest zdrów? — zapytała.

Mogła śmiało zadać to pytanie, gdyż twarz jego była blada jak jej sukienka.

— Najzupełniej — odpowiedział i ukłoniwszy się zawrócił od furtki.

Ona poszła w jedną stronę, on w drugą. Obejrzała się za nim dwa razy, lekko jak wróżka sunąc przez pole; on, idąc krokiem pewnym na przełaj, nie odwrócił się ani razu.

Ten widok cudzego cierpienia i ofiary oderwał moje myśli od własnego bólu. Diana Rivers określając brata nazwała go „nieubłaganym jak śmierć". I nie przesadziła.

ROZDZIAŁ XXXII

Pracowałam w wiejskiej szkółce tak pilnie i wiernie, jak tylko mogłam. Była to naprawdę ciężka robota z początku. Jakiś czas upłynął, zanim przy wielkich wysiłkach zrozumieć mogłam moje uczennice i ich natury. Zupełnie nie uczone, z nie rozwiniętymi zdolnościami wydawały się beznadziejnie tępe. Z początku wszystkie wydawały mi się jednakowe. Wkrótce jednak przekonałam się, że się mylę. Różniły się od siebie tak jak i ludzie wykształceni. Gdyśmy się zapoznały, gdy przestały mi się dziwić, różnica ta jeszcze bardziej się uwydatniła. Gdy się oswoiły ze mną, moim językiem, moimi zwyczajami i moim sposobem bycia — znalazłam, że niejedna z tych ociężałych, gapowatych prostaczek to wcale bystra dziewczyna. Okazało się, że wiele jest uprzejmych i miłych, a niektóre odznaczały się taką wrodzoną grzecznością, godnością i wybitnymi zdolnościami, że zjednywały moją przychylność i podziw. Te niebawem zaczęły znajdywać przyjemność w dobrej nauce, w utrzymywaniu osobistej czystości, w regularnym uczeniu się i zdobywaniu spokojnych, przyzwoitych manier. Szybkość ich postępów w niektórych wypadkach była zadziwiająca, co mnie napełniało prawdziwą i radosną dumą. Przy tym zaczęłam osobiście lubić niektóre z najlepszych dziewcząt i one mnie polubiły. Miałam pomiędzy uczennicami kilka córek farmerów, dziewcząt wyrośniętych, prawie dorosłych. Te już umiały czytać, pisać, szyć i rachować; uczyłam je początków gramatyki, geografii, historii i delikatniejszych robót igłą. Pomiędzy nimi znalazłam wartościowe charaktery, kulturalne, spragnione wiedzy jednostki, spędziłam z nimi niejeden miły wieczór w ich własnych domostwach. Rodzice ich otaczali mnie względami. Miło mi było przyjmować dowody ich prostej uprzejmości i odwzajemniać się szacunkiem, wielką atencją dla ich dobroci — z którą nie zawsze się spotykali i która zdobywała mi ich serca, a im również wychodziła na dobre: podnosiła ich bowiem we własnym mniemaniu i nakazywała podobnie traktować innych.

Czułam, że się staję ulubienicą wsi. Ile razy wyszłam z domu,

słyszałam ze wszystkich stron serdeczne pozdrowienia, witano mnie przyjaznym uśmiechem. Żyć pośród ogólnego uznania, choćby tylko ludzi prostych, to tyle, co „siedzieć w słońcu słodko i spokojnie"; pogodne uczucia zakwitają w duszy pod tymi promieniami. W tym okresie mego życia serce moje znacznie częściej wzbierało wdzięcznością, niż poddawało się przygnębieniu. A jednak, żeby wyznać całą prawdę, wśród spokoju i użytecznej działalności — po dniu spędzonym na uczciwej pracy z uczennicami i wieczorze na rysowaniu lub samotnym czytaniu — dziwne sny nawiedzały mnie nocą. Były to sny różnobarwne, niespokojne, pełne wzlotów, podniecające, burzliwe sny, gdzie wśród scen niezwykłych, pełnych przygód, ryzykownych i romantycznych, wciąż spotykałam pana Rochestera, zawsze w jakimś przełomowym momencie; a wtedy poczucie, że jestem w jego objęciach, że słyszę jego głos, że oczami tonę w jego oczach, że dotykam jego ręki i twarzy, kochając go, kochana przez niego — poczucie, że spędzę życie ca?e przy jego boku, odżywało we mnie z całą pierwotną siłą i pierwotnym ogniem. Wtedy budziłam się. Wracała mi pamięć, gdzie jestem i jaki jest mój los. Wtedy podnosiłam się na łóżku drżąc i dygocąc i wtedy cicha, ciemna noc była świadkiem spazmów rozpaczy i wybuchów żalu. Nazajutrz, punktualnie o dziewiątej rano, Otwierałam szkołę spokojna, opanowana, gotowa wytrwale podjąć codzienne obowiązki.

Rozamunda Oliver dotrzymała słowa; przychodziła mnie odwiedzać. Wstępowała do szkoły najczęściej w trakcie swej rannej przejażdżki. Podjeżdżała kłusem pod drzwi szkoły na kucyku, za nią jechał konno służący w liberii. Trudno sobie wyobrazić coś wdzięczniejszego niż jej postać w purpurowej amazonce, w aksamitnej czarnej czapeczce, spod której wymykały się długie, opadające na ramiona kędziory. Wchodziła do wiejskiej izby i przesuwała się wśród zachwyconych rzędów wiejskich dzieci. Zazwyczaj przybywała wtedy, gdy pan Rivers wykładał katechizm. Spojrzenie odwiedzającej raniło zapewne głęboko serce młodego pastora. Rodzaj instynktu ostrzegał go o jej wejściu, choć jej nie widział; a mimo że wcale na drzwi nie patrzył, gdy ona się w nich ukazywała, na twarz jego wypływał rumieniec, a marmurowe na pozór rysy, chociaż nie łagodniały, zmieniały się nie do opisania i samym spokojem silniej wyrażały powściągliwy żar, niżby go zdradzić mogła gra muskułów twarzy i wymowa spojrzenia.

Oczywiście, młoda dziewczyna znała swą władzę nad nim; on nie ukrywał, bo ukryć nie mógł tego, co się z nim dzieje. Mimo chrześcijańskiego wyrzeczenia, gdy zbliżała się, przemawiała i uśmiechała doń wesoło, zachęcająco, nawet miłośnie, ręka mu drżała, oczy płonęły. W jego smutnym i zdecydowanym spojrzeniu można było wyczytać te słowa: „Kocham cię i wiem, że mam łaskę w twoich oczach. To nie powątpiewanie o powodzeniu zamyka mi usta. Gdybym ci ofiarował serce, sądzę, że przyjęłabyś je. Ale to serce jest już złożone na świętym ołtarzu: ogień dokoła niego już rozłożony. Niebawem będzie ono już tylko ofiarą całopalną."

A wtedy ona przybierała minkę zawiedzionego dziecka; chmurka zamyślenia gasiła jej promienną żywość; wycofywała prędko rękę z jego dłoni i odwracała się w przelotnym gniewie od jego widoku, tak bohaterskiego i tak męczeńskiego. St. John niewątpliwie byłby oddał świat, by pójść za nią, odwołać, zatrzymać ją, gdy odchodziła; ale nie chciał poświęcić dla niej nieba ani dla raju jej miłości wyrzec się jedynej nadziei prawdziwego, wiekuistego Raju. Poza tym nie mógł zamknąć wszystkiego, co miał w swej naturze wędrowca, marzyciela, poety, kapłana — w obrębie jednej jedynej namiętności. Nie mógł i nie chciał wyrzec się rozległego pola walki misyjnej dla salonów i spokoju w Vale Hall. Dowiedziałam się o tym od niego samego, gdy kiedyś, pomimo powściągliwości, odważyłam się wtargnąć w jego zaufanie.

Panna Oliver odwiedzała mnie często w moim domku. Poznałam cały jej charakter, w którym nie było tajemnic ani udawania; była zalotna, ale nie bez serca; wymagająca, ale nie bezdusznie samolubna. Rozpieszczano ją od dzieciństwa, ale nie była tym doszczętnie popsuta. Była popędliwa, lecz pogodnego usposobienia, próżna (czyż to jej wina, skoro każde spojrzenie w lustro ukazywało jej taki uroczy obrazek?), ale bez afektacji. Była szczodrobliwa, wolna od pychy bogactwa; szczera i naturalna; wystarczająco inteligentna; wesoła, pełna życia i niewiele myśląca. Słowem, była nader urocza nawet w oczach chłodnego obserwatora jej własnej płci, takiego jak ja; jednakże głębiej nie interesowała ani nie miała wybitnych zalet. Posiadała zupełnie inny rodzaj umysłu od sióstr St. Johna. Pomimo tego lubiłam ją prawie tak, jak lubiłam Adelkę; z tym wyjątkiem, że w stosunku do dziecka, którego pilnujemy i które uczymy, wywiązuje się bliższe przywiązanie niż w stosunku do

równie pociągającej osoby dorosłej.

Rozamunda Oliver upodobała mnie sobie. Powiedziała mi, że jestem podobna do pana Riversa, z tą jednakże różnicą, że „ani w dziesiątej części nie taka ładna, choć miła i wcale niebrzydka osóbka, a on to już po prostu anioł". Powiedziała mi, że jestem dobra, mądra, spokojna i stanowcza jak i on; że jestem cudem natury jako wiejska nauczycielka i że z pewnością, gdyby kto znał moją przeszłość, przekonałby się, że musiała być jak prześliczny romans.

Pewnego wieczora, gdy ze zwykłą sobie dziecinną ruchliwością i niewinną ciekawością gospodarowała w kredensie i w szufladzie stołu w mojej kuchence, znalazła najpierw dwie francuskie książki, tom Schillera, gramatykę i słownik niemiecki, a potem moje materiały rysunkowe i kilka szkiców, w tym ołówkiem rysowaną główkę mojej uczenniczki i różne widoczki z doliny Morton i otaczających wzgórz. Zrazu zdumiała się, potem przejął ją zachwyt.

— To pani rysowała? To pani umie po francusku i po niemiecku? O, jaka złota, jaka cudowna osóbka! Pani lepiej rysuje niż mój nauczyciel we wzorowej szkole w S. Czy nie chciałaby pani naszkicować mojego portretu, żebym go mogła pokazać papie?

— Z przyjemnością — odpowiedziałam czując dreszcz artystycznej radości na myśl o rysowaniu z tak doskonałej modelki.

Miała wtedy na sobie ciemnoszafirową jedwabną suknię, ramiona jej i szyja były odsłonięte; jedyną ozdobę stanowiły kasztanowate włosy wijące się na ramionach z całym swobodnym wdziękiem naturalnych loków. Wzięłam kartkę pięknego kartonu i narysowałam starannie kontury. Obiecywałam sobie przyjemność wykończenia portreciku kolorami, a ponieważ już późno się robiło, powiedziałam jej, że musi przyjść pozować mi innego dnia.

Panna Rozamunda tak mnie wychwalała przed ojcem, że pan Oliver sam przyszedł z nią następnego wieczoru. Był to wysoki, w średnim wieku mężczyzna o grubych rysach, siwy; przy jego boku śliczna córka wyglądała jak jasny kwiat obok omszałej wieżycy. Była to małomówna i może dumna osobistość, bardzo jednakże był dla mnie uprzejmy. Szkic portretu Rozamundy bardzo mu się podobał; powiedział mi, że muszę zrobić z tego skończony portret kolorami.

Usilnie prosił, ażebym przyszła nazajutrz spędzić wieczór w Vale Hall.

Poszłam tam. Jak się przekonałam, była to obszerna, ładna rezydencja, świadcząca wyraźnie o bogactwie właściciela. Rozamunda radowała się i cieszyła przez cały czas mojej bytności. Ojciec jej był uprzejmy i grzeczny, a gdy wdał się w rozmowę ze mną po herbacie, wyraził mi żywe uznanie za to, co zrobiłam dla szkoły w Morton; dodał jednak, że lęka się, sądząc po tym, co widzi i słyszy, że posada ta nie jest dość dobra dla mnie i że niebawem porzucę ją dla odpowiedniejszej.

— To prawda — zawołała Rozamunda — ona jest taka mądra, że mogłaby być nauczycielką w najlepszych rodzinach, papo.

Pomyślałam, że wolę być tu, gdzie jestem, niż w której z najlepszych rodzin kraju. Pan Oliver wyrażał się o panu Riversie i rodzinie Riversów z wielkim szacunkiem. Mówił, że to bardzo stare nazwisko w tej okolicy; że przodkowie tego rodu byli bogaci; że całe Morton niegdyś należało do nich; że nawet teraz przedstawiciel tego rodu mógłby, gdyby chciał, zrobić świetną partię. Żałował szczerze, iż taki wzorowy i utalentowany młodzieniec postanowił opuścić kraj i udać się na misje marnując cenne życie. Okazywało się przeto, że ojciec Rozamundy nie stawiałby przeszkód połączeniu jej z St. Johnem. Pan Oliver widocznie uważał, że dobre urodzenie, stare nazwisko i świątobliwy zawód młodego pastora wynagradzają niezamożność.

Było to piątego listopada, na ten dzień przypadało święto. Moja mała służąca, dopomógłszy mi w uporządkowaniu domu, poszła sobie, zadowolona z pensa, którego jej za tę pomoc ofiarowałam. Wszystko dokoła mnie jaśniało czystością — wyszorowana podłoga, świecąca krata przy kominku, dobrze wytarte krzesła. Ja też się nieco przystroiłam i teraz miałam przed sobą całe wolne popołudnie, które mogłam spędzić, jak chciałam.

Tłumaczenie kilku stron z niemieckiego zajęło mi godzinę czasu, następnie wyciągnęłam paletę i pędzle i zabrałam się do milszego, bo łatwiejszego zajęcia, do wykańczania miniatury Rozamundy Oliver, Głowa była już ukończona, pozostawało jeszcze tło i draperia do wycieniowania — podkreślenie odrobiną karminu

pełnych warg, dodanie tu i ówdzie połysku puklom włosów, wzmocnienie rzęs cieniem pod niebieskawą powieką. Zatopiłam się w wykonywaniu tych subtelnych szczegółów, gdy usłyszałam naprzód silne stuknięcie, a potem drzwi otworzyły się i wszedł St. John Rivers.

— Wstąpiłem, aby się przekonać, jak pani spędza wolny dzień — przemówił. — Mam nadzieję, że nie na rozmyślaniu. Nie, to dobrze; rysując nie będzie pani czuła samotności. Jak pani widzi, nie dowierzam pani jeszcze, choć, jak dotychczas, dzielnie się pani sprawia. Przyniosłem pani na pociechę książkę.

Tu położył na stole dzieło świeżo wydane, poemat, jeden z tych szczerych utworów, którymi tak często obdarzana bywała szczęśliwa publiczność owych czasów — czasów złotego wieku naszej literatury. Niestety, czytelnicy naszych czasów nie mają takiego szczęścia. Lecz odwagi! Nie mam zamiaru nikogo oskarżać w tym miejscu. Wiem, że poezja nie umarła, geniusze nie znikły, że potęga pieniądza nie skrępowała ani nie załamała ich, że któregoś dnia zamanifestują swoje istnienie, swoją wolność i moc. Są jak potężni aniołowie bezpieczni w niebie i uśmiechają się na widok triumfu plugawych duszyczek i żalu słabych dusz z powodu ich rzekomego zaniku. Poezja zniszczona? Geniusz wygnany? Nie! Niech zazdrość nie podszeptuje tej myśli miernocie. Nie! Poezja i geniusze nie tylko żyją, lecz panują i wyzwalają, a bez ich boskiego wpływu przejawiającego się wszędzie, miernota znalazłaby się w piekle, w piekle własnej nikczemności.

A gdy ja chciwie przeglądałam świetne karty *Marmiona,* St. John nachylił się, by przypatrzyć się mojemu rysunkowi. Nagle drgnął i prostując się odskoczył. Nie powiedział ani słówka. Spojrzałam nań: unikał mego wzroku. Dobrze znałam jego myśli, umiałam czytać w jego sercu; w tej chwili czułam się spokojniejsza i chłodniejsza od niego, czułam, że chwilowo góruję nad nim. Przyszła mi chęć przyniesienia mu trochę ulgi, o ile to byłoby możliwe.

„Mimo mocy duchowej i panowania nad sobą — pomyślałam — on zbyt wiele bierze na siebie; tłumi w sobie każde uczucie, każdy odruch bolesny, nic nie wypowiada, niczego nie wyznaje, niczym się nie dzieli. Jestem pewna, że uspokoiłby się, gdyby pomówił trochę o tej ślicznej Rozamundzie, z którą, jak sądzi, nie powinien

się żenić; wyciągnę go na pogawędkę."

— Niech pan weźmie krzesło i usiądzie — zaczęłam.

Ale on odpowiedział jak zwykle, że nie może zostać. „Bardzo dobrze — odpowiedziałam w myśli — stój, jeśli wolisz; ale ja cię jeszcze teraz nie puszczę, stanowczo nie puszczę; samotność jest co najmniej równie niedobra dla ciebie jak dla mnie. Poszukam, czy nie odnajdę tajnej sprężynki twego zaufania i jakiejś szczeliny w tej twojej marmurowej piersi, szczeliny, przez którą mogłabym wpuścić kropelkę balsamu współczucia."

— Czy ten portrecik jest podobny? — zapytałam wprost.

— Podobny? Do kogo podobny? Nie przypatrzyłem się dokładnie.

— Owszem, przypatrzył się pan.

Drgnął, gdy mu tak nagle i śmiało zaprzeczyłam; spojrzał na mnie zdziwiony.

„O, to jeszcze nic — pomyślałam. — Nie dam się zbić z tropu odrobiną twojej sztywności; gotowa jestem pójść jeszcze dalej."

— Przypatrzył się pan dobrze i dokładnie — ciągnęłam dalej — ale nie mam nic przeciw temu, żeby pan się jeszcze raz przypatrzył.

Tu wstałam i wsunęłam mu portrecik do ręki.

— Bardzo dobrze wykonany obrazek — rzekł — bardzo łagodne, jasne tony; bardzo wdzięczny i czysty rysunek.

— Tak, tak, ja to wiem. Ale co mi pan powie o podobieństwie? Kogo to ma przedstawiać?

Opanowując pewne wahanie odpowiedział:

— Pannę Oliver, zdaje mi się.

— Naturalnie. A teraz, żeby pana wynagrodzić za trafne odgadnięcie, obiecuję panu wymalować staranną i wierną kopię tego obrazka, o ile pan ją zechce przyjąć. Nie chciałabym tracić

czasu i trudu na prezent, który by w oczach pana był bez wartości.

Patrzył w dalszym ciągu na obrazek; im dłużej mu się przyglądał, tym silniej trzymał go w ręku, tym mocniej zdawał się go pragnąć.

— Jest podobieństwo! — szepnął. — Oko jest dobrze uchwycone, kolor, światło, wyraz są doskonałe. Uśmiecha się po prostu.

— Czy to by pana pocieszyło, czy raniło, gdyby pan miał podobną miniaturkę? Niech mi pan to powie. Gdy pan będzie na Madagaskarze albo w Kaplandii, albo w Indiach, czy byłoby to pociechą posiadać taką pamiątkę? A może jej widok budziłby wspomnienia, które tylko denerwowałyby i bolały?

Teraz ukradkiem podniósł oczy; spojrzał na mnie niezdecydowany, zmieszany; znowu zaczął patrzeć na obrazek.

— Chciałbym go posiadać, to pewne; inna rzecz, czy to byłoby słuszne i rozumne.

Odkąd się upewniłam, że Rozamunda rzeczywiście mu sprzyja i że ojciec jej prawdopodobnie nie sprzeciwiałby się ich małżeństwu, będąc mniej egzaltowana w swoich poglądach od St. Johna, miałam wielką ochotę namówić go na ten związek. Zdawało mi się, że gdyby St. John został właścicielem wielkiej fortuny pana Olivera, mógłby przy jej pomocy zdziałać nie mniej dobrego niż skazując swoje siły i wielkie zdolności na zmarnowanie pod słońcem tropikalnego klimatu. W tym przekonaniu odpowiedziałam teraz:

— O ile mogę sądzić, byłoby słuszniej i rozumniej, gdyby pan od razu sięgnął po sam oryginał.

On tymczasem już zdążył usiąść; położył obrazek na stole przed sobą i, oparłszy czoło na obu rękach, wpatrywał się weń z miłością. Widziałam, że nie był ani zły, ani dotknięty moją śmiałością. Sądziłam nawet, że to szczere poruszenie przedmiotu, który on uważał za nietykalny, swobodne jego traktowanie — zaczynało sprawiać mu nową przyjemność, przynosić niespodziewaną ulgę. Ludzie skryci często istotnie więcej potrzebują szczerego omówienia swoich uczuć i smutków niż ludzie wylewni. Najsurowszy na pozór stoik jest ostatecznie człowiekiem i wdzierając się śmiało i życzliwie

w taką milczącą duszę wyrządza się jej niekiedy pierwszorzędną przysługę.

— Panna Rozamunda panu sprzyja, jestem tego pewna — powiedziałam stojąc za jego krzesłem — a jej ojciec szanuje pana. Przy tym jest to przemiłe dziewczątko, może trochę bezmyślne, ale pan miałby dość rozumu za dwoje. Powinien pan się z nią ożenić.

— Czy sprzyja mi naprawdę? — zapytał.

— Z pewnością; nikogo tak nie lubi jak pana. Mówi o panu ciągle: nie ma tematu, który by wolała albo do którego by wracała tak często.

— Bardzo mi miło słyszeć to, co pani mówi — rzekł — bardzo. Proszę, niechże pani jeszcze mówi przez jaki kwadrans... słucham panią.

I rzeczywiście wydobył zegarek i położył go na stole, by sprawdzać czas.

— Ale po cóż ja mam mówić — odpowiedziałam — kiedy pan zapewne przygotowuje jakiś ciężki cios zaprzeczenia albo kuje nowy łańcuch dla ujarzmienia swego serca?

— Niech pani sobie nie wyobraża takich przykrych rzeczy. Niech pani sobie raczej wyobrazi, tak jak ja sam to sobie wyobrażam, że ulegam, że opór we mnie topnieje, a miłość ziemska wzbiera w mej duszy jak świeżo otwarte źródło i zalewa błogą powodzią całe to pole, które tak starannie i z takim mozołem uprawiłem i pracowicie obsiałem ziarnami dobrych intencji i pełnych umartwień zamiarów. A teraz zatopiła je słodka fala, młode kiełki zalane, rozkoszna trucizna je pożera; teraz widzę siebie w salonie Vale Hall u stóp mojej młodej żony Rozamundy. Ona przemawia do mnie słodkim głosem, patrzy na mnie oczami, które zręczna ręka pani tak dobrze odtworzyła, uśmiecha się do mnie tymi karminowymi wargami... Jest moja, ja jestem jej — to życie na ziemi, ten przemijający świat mi wystarcza. Cicho... niech pani nic nie mówi... serce moje jest pełne rozkoszy... zmysły moje toną w zachwyceniu, niech czas oznaczony minie w spokoju...

Usłuchałam go. Zegarek tykał, on oddychał cicho i prędko; stałam milcząc. W ciszy upłynął kwadrans; St. John schował zegarek, położył obrazek na stole, wstał i stanął przed kominkiem.

— Otóż ten krótki okres czasu poświęciłem gorączkowej złudzie — powiedział. — Oparłem skroń o łono pokusy, kark mój dobrowolnie poddałem pod jej jarzmo uwite z kwiatów; dotknąłem ustami jej kielicha. Skroń moją parzył żar niezdrowy, wąż jadowity skrył się pad kwiatami, wino gorzki miało posmak; obietnice pokusy są czcze, jej nadzieje fałszywe; rozumiem i wiem, że tak jest.

Patrzyłam na niego zdziwiona.

— To szczególne — mówił dalej — że chociaż kocham Rozamundę Oliver tak gorąco, całą siłą pierwszej miłości, równocześnie mam spokojną, niezachwianą świadomość, że nie byłaby ona dobrą żoną dla mnie; że nie byłaby dobraną towarzyszką. Odkryłbym to po rocznym z nią pożyciu; po dwunastu miesiącach zachwytu i uniesienia nastąpiłoby całe życie rozczarowania i żalu. To wiem dobrze.

— Jakie to dziwne! — wtrąciłam mimo woli.

— Choć jest coś we mnie niezmiernie wrażliwego na jej urok — ciągnął dalej — nie mniej głęboko odczuwam jej wady; są one tego rodzaju, że nie potrafiłaby brać serdecznego udziału w żadnych moich dążeniach i w niczym ze mną współpracować. Rozamunda umiejąca cierpieć? Rozamunda pracownica, kobieta-apostoł? Rozamunda żoną misjonarza? Nigdy!

— Ależ pan nie potrzebuje zostać misjonarzem. Mógłby pan porzucić ten zamiar.

— Porzucić! Jak to? Miałbym porzucić powołanie? Moje wielkie dzieło! Mój fundament założony na ziemi pod dom niebieski! Moje nadzieje, że będę zaliczony do grona tych, którzy wszystkie swoje ambicje zamknęli w tej jedynej chwalebnej, że pracować będą nad poprawą bliźnich, niosąc wiedzę w krainy niewiedzy; zastępując wojnę pokojem, niewolę wolnością, zabobon religią, strach piekła nadzieją nieba. Ja miałbym to porzucić? Ależ to mi jest droższe od własnej krwi w żyłach. Ku temu jedynie zmierzam, po to jedynie

żyję.

Po dość długiej przerwie odezwałam się:

— A panna Oliver? Czy nic pana nie obchodzi jej żal i cierpienie?

— Pannę Oliver stale otaczają konkurenci i pochlebcy; nie upłynie miesiąc, a obraz mój zatrze się w jej sercu. Zapomni o mnie i wyjdzie za mąż, prawdopodobnie za kogoś, kto ją o wiele bardziej uszczęśliwi ode mnie.

— Chłodne to słowa; ale walka kosztuje pana wiele. Mizernieje pan i chudnie.

— Nie. Jeżeli trochę chudnę, to z niepokoju o swoje widoki dotąd nie ustalone, o wyjazd stale opóźniany. Właśnie dziś rano otrzymałem wiadomość, że mój następca, którego przybycia już tak dawno oczekuję, nie może być gotów prędzej niż za trzy miesiące, a może się to przeciągnąć do sześciu.

— Pan drży i rumieni się, ilekroć panna Oliver wchodzi do izby szkolnej.

Znowu wyraz zdziwienia przebiegł mu po twarzy. Nie wyobrażał sobie, żeby kobieta mogła w ten sposób mówić do mężczyzny. Ja byłam przyzwyczajona do takiej rozmowy. Nigdy nie potrafiłam przebywać w obecności silnych, opanowanych i kulturalnych ludzi, czy to były kobiety, czy mężczyźni, nie dążąc do przełamania ich rezerwy, nie pragnąc zdobyć ich zaufania, znaleźć się w kręgu ich najskrytszych myśli.

— Pani jest oryginalna — powiedział — niekonwencjonalna i śmiała. Ma pani spojrzenie przenikliwe; niech mi jednak będzie wolno zapewnić panią, że pani po części źle tłumaczy moje uczucia. Pani uważa je za głębsze i potężniejsze, niż są w istocie. Obdarza mnie pani większym współczuciem, niż na to zasługuję. Gdy się rumienię, gdy drżę w obecności panny Oliver, wtedy ja sam nie lituję się nad sobą. Pogardzam własną słabością. Wiem, że jest niskiego poziomu: to prosta gorączka zmysłów, nie żaden wstrząs duszy. Dusza moja jest niewzruszona jak skała silnie osadzona na dnie niespokojnego morza. Niech mnie pani zobaczy takim, jakim

jestem: zimnym, twardym człowiekiem.

Uśmiechnęłam się niedowierzająco.

— Zdobyła pani szturmem moje zaufanie — mówił dalej — teraz jest na pani usługi. Moja natura, gdy z niej zedrzemy wybieloną we krwi szatę, jaką chrześcijaństwo osłania kalectwo ludzkie, jest naturą zimnego, twardego, ambitnego człowieka. Rodzinne przywiązanie tylko, jedyne ze wszystkich uczuć, ma nade mną stałą władzę. Rozum, nie serce, jest moim przewodnikiem; mam bezgraniczną ambicję: moje pragnienie wstępowania coraz wyżej, dokonywania więcej niż inni jest nienasycone. Szanuję wytrzymałość, pracowitość, talent, gdyż tymi środkami ludzie osiągają wielkie cele i wstępują na wyniosłe wyżyny. Siedzę rozwój pani życia z zainteresowaniem, ponieważ widzę w pani okaz pilnej, porządnej, energicznej kobiety, a nie dlatego, że głęboko współczuję z tym, co pani przeszła, albo lituję się nad tym, że pani jeszcze cierpi.

— Widzi pan w sobie pogańskiego filozofa — rzekłam.

— Nie. Jest różnica pomiędzy mną a deistami: ja wierzę w Ewangelię. Chybiła pani w określeniu. Jestem nie pogańskim, lecz chrześcijańskim filozofem, wyznawcą wiary Chrystusa. Jako uczeń Jego, przyjmuję Jego czystą, miłosierną, dobroczynną naukę. Jestem jej głosicielem; zaprzysiągłem jej szerzenie. Tyle dla mnie uczyniła religia, która wcześnie mnie zdobyła: moje przyrodzone cechy obróciła ku najlepszym celom, z małego ziarnka miłości rodzinnej zrobiła cieniste drzewo miłości bliźniego; z dzikiego, suchego korzenia ludzkiej prawości wyrosło przy jej pomocy poczucie boskiej sprawiedliwości; z ambicji i pragnienia władzy i sławy dla własnej nędznej istoty uczyniła ambicję ustanawiania Królestwa Bożego, supremacji krzyża. Tyle uczyniła dla mnie religia oczyszczając i kształcąc naturę. Lecz wykorzenić natury nie mogła; i nie będzie ona wykorzeniona, „aż śmiertelne przyoblecze nieśmiertelność".

Powiedziawszy to, wziął kapelusz leżący obok mojej palety. Jeszcze raz popatrzył na portrecik.

— Ona jest śliczna! — szepnął. — Słusznie imię jej oznacza: róża

świata.

— I cóż? Czy mam namalować drugi taki portrecik dla pana?

— *Cui bono?* Nie potrzeba.

Przesunął na portrecik ćwiartkę. cienkiego papieru, na którym zwykła byłam opierać rękę przy malowaniu, ażeby kartonu nie zbrudzić. Co on nagle zobaczył na tym pustym papierze, niepodobna mi było odgadnąć; ale coś uderzyło jego oczy. Porwał raptownie ćwiartkę papieru, popatrzył na jej brzeg, potem rzucił na mnie spojrzenie niewypowiedzianie dziwne i zupełnie niezrozumiałe: spojrzenie ogarniające bystro mnie całą, postać moją, twarz, ubranie; spojrzenie to przebiegło po mnie szybkie i jasne jak błyskawica. Otworzył usta, jak gdyby chciał mówić, ale powstrzymał nie wymówione słowa.

— Co się stało? — zapytałam.

— Nic takiego — odpowiedział. A gdy kładł papier na miejsce, widziałam, że oddarł zręcznie wąski paseczek od brzegu. Znikło to w jego rękawiczce; a wtedy pośpiesznie skinąwszy mi głową rzucił „do widzenia!" i wyszedł.

— No, proszę! to doprawdy przechodzi pojęcie! — zawołałam.

Teraz z kolei ja obejrzałam papier; nic jednakże nie znalazłam prócz kilku plam kolorowych, tam gdzie próbowałam farby na pędzelku. Zastanawiałam się przez chwilę nad tą zagadką, ale widząc, że jej nie rozwiążę, pewna zresztą, że nie ma większego znaczenia, wygnałam ją z myśli i niebawem o niej zapomniałam.

ROZDZIAŁ XXXIII

Po odejściu St. Johna zaczął padać śnieg; zamieć trwała całą noc. Nazajutrz ostry wiatr sprowadził nowe opady, o zmroku dolina była zawiana i prawie niemożliwa do przebycia. Zamknęłam okiennice, założyłam chodniczek przed drzwiami, by śnieg nie mógł się pod nie wciskać, poprawiłam ogień i, posłuchawszy z godzinę zduszonej furii wichru, zapaliłam świecę, wyciągnęłam *Marmiona* i zaczęłam czytać:

Nad zamku Norham dumną skałą,

Nad Tweed wstęgą okazałą

Świt wstaje, budząc mroczny las —

Już czarne wieże, blanki, mury

Opasujące skał kontury

Kąpie słoneczny, żółty blask.

Tonąc w muzyce wiersza zapomniałam wkrótce o burzy.

Usłyszałam jakiś hałas; to wiatr, pomyślałam, tak szarpie drzwiami. Ale nie; to St. John Rivers nacisnąwszy klamkę wyłaniał się z mroźnego huraganu, z wyjącej ciemności — i stał przede mną, wysoki, w zaśnieżonym płaszczu, biały jak góra lodowa. Zatrwożyłam się nieco, tak mało spodziewałam się tego wieczoru jakiegoś gościa z zawianej doliny.

— Czy może jakie złe wiadomości? — zapytałam. — Czy się co stało?

— Nie. Jak łatwo pani się przestrasza — odpowiedział zdejmując płaszcz i wieszając go przy drzwiach, ku którym z powrotem podsunął nogą chodniczek. Tupiąc otrząsał śnieg z butów.

— Zabrudzę pani czystą podłogę — rzekł — lecz tym razem musi mi pani wybaczyć — przysunął się do ognia. — Ciężką miałem przeprawę, aby się tu dostać, mogę panią zapewnić — mówił grzejąc ręce nad płomieniem. — W jednym miejscu zapadłem po pas; na szczęście śnieg jest jeszcze całkiem miękki.

— Ale dlaczego pan przyszedł? — nie mogłam powstrzymać pytania.

— Nie bardzo gościnne pytanie zadaje pani gościowi. Ale skoro pani pyta, odpowiem po prostu, że chciałem trochę z panią porozmawiać; zmęczyły mnie nieme książki i puste pokoje. Przy tym od wczoraj doświadczam zaciekawienia osoby, która, wysłuchawszy opowieści do połowy, niecierpliwie czeka dalszego ciągu.

Usiadł. Przypomniałam sobie jego dziwne zachowanie się wczoraj i naprawdę zaczęłam się lękać, że może umysł jego nie jest w zupełnym porządku. Jeżeli jednak był obłąkany, to był to obłęd wielce chłodny i spokojny. Nigdy nie widziałam takiego podobieństwa jego pięknej twarzy do rzeźby z marmuru jak właśnie w tej chwili, gdy odgarniał zwilgotniałe włosy, a blask płomienia igrał swobodnie na jego bladym czole i równie bladym obliczu, na którym z żalem dostrzegłam ślady trosk i cierpienia. Czekałam, że powie coś, co mogłabym zrozumieć; on tymczasem podparł brodę ręką, a usta zakrył palcami: namyślał się. Uderzyło mnie, że jego ręka była równie wychudzona jak twarz. Fala litości, może niepożądanej, napłynęła mi do serca; pod jej wpływem powiedziałam:

— Chciałabym, ażeby Diana albo Mary mogła przyjechać i zamieszkać z panem. To źle, że pan jest zupełnie sam, a przy tym pan się tak naraża i nie dba o swoje zdrowie.

— Wcale nie — odpowiedział. — Dbam o siebie w miarę. Jestem zdrów teraz. Co się pani we mnie nie podoba?

Powiedział to niedbale, ale z roztargnieniem i obojętnie, co mi dowiodło, że troskliwość moja, przynajmniej jego zdaniem, jest zbyteczna. Zamknęło mi to usta.

On tymczasem wciąż przesuwał palcem po górnej wardze, a wzrok jego sennie spoczywał na rozpalonym ognisku. Uważając, że należy coś powiedzieć, zapytałam, czy nie wieje na niego od drzwi za jego plecami.

— Nie, nie! — odpowiedział krótko, trochę podrażniony.

„Jeżeli nie chcesz mówić — pomyślałam — to możesz milczeć; zostawię cię w spokoju, wrócę do swej lektury." Poprawiłam świecę i zabrałam się z powrotem do *Marmiona*.

Niebawem St. John poruszył się; śledziłam jego ruchy. On jednak wyciągnął tylko portfel, dobył jakiś list, odczytał go w milczeniu, złożył, schował z powrotem i znowu popadł w zadumę. Niepodobna mi było czytać mając taki nieprzenikniony okaz przed sobą. Zniecierpliwiona nie mogłam usiedzieć spokojnie; choćbym się miała narazić na szorstką odprawę, postanowiłam mówić.

— Czy Diana albo Mary pisały w ostatnich czasach?

— Nie, nie pisały od czasu tego listu, który pani pokazywałem tydzień temu.

— A czy nie zaszły jakie zmiany w pańskich zamiarach? Czy nie dostanie pan wezwania do opuszczenia Anglii wcześniej, niż się pan spodziewał?

— Niestety nie; taki szczęśliwy los nie stanie się moim udziałem.

Nic nie wskórawszy zmieniłam temat. Postanowiłam mówić o szkole i o uczennicach.

— Matka Mary Garret jest zdrowsza, Mary przyszła do szkoły dziś rano; będę też miała od przyszłego tygodnia cztery nowe uczennice z odlewni, byłyby przyszły dzisiaj, gdyby nie ta śnieżyca.

— Doprawdy!

— Pan Oliver płaci za dwie. — Naprawdę?

— Pan Oliver zamierza na Boże Narodzenie wyprawić przyjęcie dla całej szkoły.

— Wiem o tym.

— Czy to pan mu tę myśl podsunął?

— Nie.

— A więc kto?

— Przypuszczam, że jego córka.

— To do niej podobne, jest taka dobra.

— Tak.

Znowu nastąpiła pauza; zegar wybił ósmą. To jakby go obudziło; siadł prosto i zwrócił się do mnie.

— Niech pani odłoży na chwilę książkę i przysunie się trochę bliżej do ognia — rzekł.

Niezmiernie zdziwiona usłuchałam.

— Pół godziny temu — ciągnął dalej — mówiłem, że niecierpliwie czekam dalszego ciągu pewnej opowieści; po namyśle doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli ja będę opowiadał, a pani będzie słuchała. Zanim zacznę, muszę panią uprzedzić, że opowieść ta wyda się pani może po trosze znajoma; ale znane rzeczy często nabierają świeżości w nowych ustach, zresztą znajoma czy nowa dla pani, w każdym razie jest krótka.

Dwadzieścia lat temu ubogi wikary, nie chodzi w tej chwili o jego nazwisko, zakochał się w córce bogacza. Ona również go pokochała i poślubiła wbrew woli rodziny, która wyrzekła się jej natychmiast po ślubie. Zanim minęły dwa lata, młodzi małżonkowie zmarli oboje. Pochowano ich pod jednym kamieniem grobowym. (Widziałem ten grób na wielkim cmentarzu okalającym ponurą, czarną od sadzy, starą katedrę przeludnionego przemysłowego

miasta w hrabstwie X.) Pozostawili córkę. Dziecko to zaraz po urodzeniu zostało zdane na łaskę dobroczynności — zimnej jak te zaspy śnieżne, w których omal że nie ugrzązłem dziś wieczór. Dobroczynność zaniosła sierotę do domu jej bogatych krewnych ze strony matki; wychowywała ją wujenka nazwiskiem (przechodzę teraz do nazwisk) Reed z Gateshead. Pani drgnęła, czy pani usłyszała jaki hałas? To może tylko szczur skrobie pod podłogą w sąsiadującej z tym pokojem szkole; była to stodoła, zanim ją kazałem przerobić na szkołę, a w stodołach szczury lubią się trzymać... Pani Reed przez lat dziesięć chowała sierotę u siebie. Czy dziecku było tam dobrze, czy źle, nie wiem, bo mi tego nie powiedziano, ale po upływie tego czasu przeniosła ją wujenka do miejscowości dobrze pani znanej, gdyż mówię tu o szkole w Lowood, gdzie pani sama przebywała tak długo. Zdaje się, że tam sprawowała się bardzo chwalebnie; z uczennicy została nauczycielką, tak samo zresztą jak pani... Istotnie, uderza mnie to, że tyle jest podobieństwa w jej dziejach z dziejami pani... Opuściła Lowood, żeby przyjąć miejsce nauczycielki; otóż tu znowu wasze losy są podobne; podjęła się wychowania pupilki niejakiego pana Rochestera.

— Panie Rivers! — przerwałam mu.

— Mogę odgadnąć pani uczucia — rzekł — ale niech je pani na chwilę opanuje; zaraz skończę; niech pani cierpliwie posłucha do końca. O charakterze pana Rochestera nic nie wiem, wiem tylko ten jeden fakt: otwarcie ofiarował uczciwe małżeństwo tej młodej dziewczynie, a ona dopiero przy ołtarzu odkryła, że on ma żyjącą żonę, chociaż obłąkaną. Jak się następnie zachował, co mógł proponować, tu już tylko można snuć domysły. Gdy jednakże zaszedł wypadek, który z konieczności wymagał poszukiwania nauczycielki, okazało się, że wyjechała, a nikt nie umiał powiedzieć, kiedy, dokąd i jak. Opuściła Thornfield Hall nocą; wszelkie poszukiwania jej były daremne; przetrząśnięto całą okolicę i nie można było natrafić na żaden ślad wiadomości o niej. Tymczasem odnalezienie jej stało się ważne i pilne: dano ogłoszenia w pismach; ja sam otrzymałem list od niejakiego pana Briggsa, prawnika, list podający mi te szczegóły, które właśnie opowiedziałem. Czy to nie dziwna historia?

— Jedno tylko niech mi pan powie — rzekłam — skoro pan wie tyle, z pewnością będzie pan mógł mi to powiedzieć... co panu wiadomo o panu Rochesterze? Gdzie on jest? Co robi? Czy zdrów?

— Nie wiem nic o panu Rochesterze; w liście jest tylko mowa o jego oszukańczym i bezprawnym zamiarze ożenku. Niech pani raczej zapyta, jak się nazywa ta nauczycielka i jaki to ważny wypadek wymaga jej odszukania.

— Więc nikt nie pojechał do Thornfield Hall? Nikt się nie widział z panem Rochesterem?

— Przypuszczam, że nikt.

— Ale pisano do niego?

— Naturalnie.

— I co on odpisał? Kto ma jego listy?

— Pan Briggs mi donosi, że odpowiedź na swoje zapytania otrzymał nie od pana Rochestera, ale od pewnej pani; list był podpisany: Alicja Fairfax.

Przejął mnie chłód i żal; najgorsze moje obawy widocznie się sprawdzały: pan Rochester najprawdopodobniej opuścił Anglię i w rozpaczy przeniósł się gdzieś na kontynent. I czym zagłusza ciężkie cierpienia, jakiego upustu szuka tam dla swych silnych namiętności? Na to pytanie nie śmiałam sobie odpowiedzieć. O, mój biedny pan, niegdyś już prawie mój mąż, mój drogi Edward, tak go przecież często nazywałam!

— To musi być niedobry człowiek — zauważył pan Rivers.

— Nie zna go pan, niech pan nie wypowiada o nim sądu — uniosłam się gorąco.

— Zgoda — odpowiedział spokojnie. — Co innego mnie obchodzi, a nie ten pan; muszę dokończyć opowieści. Skoro pani nie chce zapytać, jak się ta nauczycielka nazywa, muszę to pani sam powiedzieć. Niech pani zaczeka! Mam tutaj to imię, zawsze najlepiej mieć ważne rzeczy wypisane czarno na białym.

I znowu z wolna wyciągnął portfel, otworzył go, przeszukał; z jednej przedziałki wyciągnął skrawek papieru, pośpiesznie oddarty; poznałam po plamach ultramaryny i karminu brzeżek arkusika nakrywającego portret. Pan Rivers wstał, podsunął mi skrawek papieru przed oczy i wtedy wyczytałam wypisane widocznie w jakiejś chwili roztargnienia moim własnym pismem słowa „Jane Eyre".

— Briggs pisał do mnie o niejakiej Jane Eyre, ogłoszenia poszukują Jane Eyre; ja znam Jane Elliott. Przyznaję, że miałem podejrzenia, ale dopiero wczoraj po obiedzie zamieniły się one w pewność. Pani przyznaje się do tego nazwiska i porzuca pani przybrane?

— Tak... tak; ale gdzie jest pan Briggs? Może on wie o panu Rochesterze coś więcej od pana?

— Briggs jest w Londynie. Wątpię, czy on w ogóle wie cokolwiek o panu Rochesterze; on się nie interesuje panem Rochesterem. A pani tymczasem zapomina o ważnych punktach uganiając się za drobiazgami; pani nie pyta, dlaczego pan Briggs poszukuje pani, jaki może mieć interes do pani.

— No dobrze, czegóż on chce ode mnie?

— Chce panią tylko powiadomić, że umarł stryj pani, pan Eyre z Madery, i zostawił pani cały majątek, tak że pani jest teraz bogata; tylko tyle, nic więcej.

— Ja! Bogata?

— Tak... pani, bogata, prawdziwa dziedziczka. Nastąpiło milczenie.

— Musi pani, oczywiście, dowieść swojej tożsamości — mówił po chwili dalej St. John. — Jest to krok, który nie przedstawia trudności, po czym może pani wejść w natychmiastowe posiadanie. Majątek pani umieszczony jest w papierach angielskich; Briggs ma testament i potrzebne dokumenty.

Otóż odwracała się nowa karta! Piękna to rzecz być przeniesioną jednym rzutem z nizin biedy na wyżyny bogactwa — ale nie od razu człowiek to pojmuje i nie od razu z tego korzysta.

Poza tym życie kryje w sobie inne możliwości, znacznie bardziej porywające: to była sprawa materialna, nie zawierająca nic idealnego, i wszystko związane z tą sprawą nosiło ten sam materialny, trzeźwy charakter. Człowiek nie skacze z radości i nie woła „hura!" na wieść o odziedziczeniu majątku, lecz zaczyna się zastanawiać nad obowiązkami i interesami; zadowolenie przysłaniają poważne troski, więc człowiek opanowuje radość i myśli o swoim szczęściu ze ściągniętymi brwiami.

A przy tym słowa „zapis", „spadek" idą zawsze w parze ze słowami „śmierć", „pogrzeb". Oznajmiono mi, że stryj mój umarł, a był to jedyny mój krewny. Od chwili gdy dowiedziałam się o jego istnieniu, stale pocieszałam się nadzieją, że kiedyś go zobaczę; teraz ta nadzieja rozwiała się zupełnie. A pieniądze jego mnie się tylko dostawały; nie mnie i jakiejś radującej się rodzinie, lecz tylko mnie samej. Niewątpliwie był to hojny dar losu, a niezależność będzie rzeczą cudowną. Tak, to czułam, na tę myśl rosło mi serce.

— No, nareszcie rozchmurza się pani — powiedział pan Rivers. — Myślałem, że Meduza spojrzała na panią i zamieniła ją w kamień. A może teraz zapyta mnie pani, ile pani właściwie posiada?

— No, ileż właściwie posiadam?

— Ach, bagatelkę! Nie warto o tym wspominać... piszą, zdaje mi się, że dwadzieścia tysięcy funtów... ale cóż to jest?

— Dwadzieścia tysięcy funtów?

Oto inna oszałamiająca nowina: liczyłam na jakieś cztery, pięć tysięcy... Ta wiadomość dosłownie zatamowała mi oddech na chwilę; St. John śmiał się teraz, a nigdy nie słyszałam go śmiejącego się.

— Doprawdy — rzekł — gdyby pani popełniła morderstwo, a ja bym pani powiedział, że zbrodnia jej została wykryta, nie mogłaby pani mieć bardziej przerażonej miny.

— To wielka suma; czy pan nie sądzi, że zaszła jakaś pomyłka?

— Nie ma żadnej pomyłki.

— Może pan źle odczytał cyfrę?

— Napisane jest literami, nie cyframi: dwadzieścia tysięcy.

Znowu poczułam się jak osoba o przeciętnym apetycie siadająca sama do uczty zastawionej na sto osób. Pan Rivers wstał i włożył płaszcz.

— Gdyby nie ta okropna noc, przysłałbym tu Hannę, by pani dotrzymała towarzystwa. Wygląda pani tak nieszczęśliwie, że aż żal zostawić panią samą. Ale Hanna, biedaczka, nie dałaby rady zaspom tak jak ja: za krótkie ma nogi. A ja już muszę panią opuścić. Dobranoc !

Nacisnął klamkę; nagła myśl mnie uderzyła.

— Proszę, niech się pan jeszcze zatrzyma! — zawołałam.

— Słucham panią?

— Chciałabym wiedzieć, dlaczego pan Briggs pisał o mnie do pana właśnie. Chciałabym wiedzieć, skąd on pana zna i skąd mógł przypuszczać, że pan, mieszkając w tak ustronnej miejscowości, może dopomóc w odszukaniu mnie?

— Ach, jestem duchownym — odpowiedział — a duchowni często bywają pytani o takie rzeczy.

Znowu dotknął klamki.

— Nie; to mnie nie przekonywa! — zawołałam; i rzeczywiście, w pośpiesznej, wymijającej odpowiedzi było coś, co zamiast zaspokoić moją ciekawość, jeszcze ją bardziej podniecało.

— To jakaś bardzo dziwna sprawa — dodałam — muszę się o tym czegoś więcej dowiedzieć.

— Kiedy indziej.

— Nie, dziś!.., dziś!...

I gdy odwrócił się do drzwi, zagrodziłam mu drogę. Wydawał się

trochę zakłopotany.

— Ja pana stąd nie wypuszczę, dopóki mi pan wszystkiego nie powie — rzekłam.

— Wolałbym nie mówić o tym na razie.

— Powie pan wszystko! Musi pan mówić!

— Wolałbym, żeby to powiedziały pani Diana czy Mary.

Oczywiście to wymawianie się doprowadziło moje zaciekawienie do szczytu. Musiałam usłyszeć całą prawdę, i to niezwłocznie; powiedziałam mu to.

— Ależ ja pani mówiłem, że jestem twardym człowiekiem — wymawiał się. — Mnie niełatwo przekonać.

— A ja jestem twardą kobietą, mnie niepodobna odprawić z kwitkiem.

— A przy tym jestem zimny; żaden zapał mnie się nie ima.

— Za to ja jestem gorąca, a ogień rozpuszcza lód. Ten oto płomień stopił śnieg na pańskim płaszczu, tym samym woda spłynęła na podłogę, tak że ta podłoga wygląda teraz jak zadeptana ulica. Jeżeli pan chce, żebym panu wybaczyła zbrodnię zabrudzenia czystej podłogi mojej kuchenki, niech mi pan powie to, co pragnę wiedzieć.

— No, dobrze więc, ulegam — powiedział — ulegam pani wytrwałości, tak jak kamień ulega ciężarowi kropel wciąż kapiącej wody. Zresztą i tak kiedyś się pani dowie, więc ostatecznie wszystko jedno, teraz czy później. Pani imię i nazwisko jest Jane Eyre?

— Oczywiście; to już pan wie.

— Może pani nie wie, że ja jestem pani imiennikiem?... Że przy chrzcie otrzymałem imiona St. John Eyre Rivers?

— Nie, w istocie! Teraz sobie przypominam, że widziałam literę „E" przy pana nazwisku na pożyczonych mi książkach, ale nigdy nie pytałam, jakie imię ona oznacza. Cóż stąd? Przecież...

Urwałam; nie śmiałam dać wiary, a tym mniej wypowiedzieć myśli, która mi się nagle zjawiła, ucieleśniła — i w jednej sekundzie stanęła jako silne prawdopodobieństwo. Okoliczności się zbiegały, składały i porządkowały; łańcuch dotychczas nagromadzonych luźnych ogniw teraz wiązał się i prostował, każde ogniwo było doskonałe, pasowały do siebie znakomicie. Wiedziałam instynktownie, jak sprawa stoi, zanim St. John przemówił:

— Moja matka była z domu Eyre; miała dwóch braci: jednego duchownego, który ożenił się z panną Jane Reed z Gateshead, a drugiego, Johna Eyre, kupca zamieszkałego w Funchal na Maderze. Pan Briggs, radca prawny pana Eyre, napisał do nas w sierpniu donosząc o śmierci wuja i o tym, że wuj pozostawił swój majątek córce po bracie z pominięciem nas z powodu nigdy nie wybaczonego sporu pomiędzy nim a moim ojcem. A parę tygodni temu napisał donosząc, że sukcesorka zaginęła, zapytywał, czy czego o niej nie wiemy. Imię, napisane przypadkowo na skrawku papieru, dało mi możność odnalezienia jej. Resztę pani wie.

Znowu zabierał się do odejścia, ale ja plecami zasłoniłam drzwi.

— Niech mi pan pozwoli mówić — rzekłam. — Niech przez chwilę odetchnę i zastanowię się...

Przerwałam, on stał przede mną z kapeluszem w ręku, dosyć spokojny. Zaczęłam znowu:

— Więc matka pańska była siostrą mojego ojca?

— Tak.

— Była zatem moją ciotką? Skłonił się.

— Mój stryj John był pańskim wujem Johnem? Pan, Diana i Mary jesteście dziećmi jego siostry, jak ja jestem dzieckiem jego brata?

— Niezaprzeczenie.

— Wy troje zatem jesteście moim ciotecznym rodzeństwem; połowa naszej krwi płynie z jednego źródła?

— Jesteśmy kuzynami, tak jest.

Przypatrzyłam mu się. Tak więc, zdawało się, odnalazłam brata; brata, z którego mogłam być dumna, brata, którego mogłam kochać; i dwie siostry, których zalety były takie, że nawet gdy poznałam je jako osoby zupełnie obce, powzięłam dla nich szczere przywiązanie i podziw. Więc te dwie panny, którym przyglądałam się z tak gorzką mieszaniną zaciekawienia i goryczy, gdy klęcząc na mokrej ziemi zaglądałam przez okratowane okno do kuchni Moor House — były moimi kuzynkami! A ten młody i poważny dżentelmen, który znalazł mnie umierającą prawie na progu swego domu, był moim kuzynem! O, cóż za cudowne odkrycie dla biednej samotnicy! To naprawdę było bogactwo, bogactwo dla serca, kopalnia szczerych, czystych uczuć! To był błogosławiony dar niebios, jasny, żywy, uszczęśliwiający, niepodobny do ciężkiego daru złota — obfitego i w pewnym sensie pożądanego, ale przytłaczającego swym ciężarem. Klasnęłam w ręce z nagłej radości, krew zaczęła we mnie krążyć żywiej, drżałam cała.

— O, jakże się cieszę!... jak się cieszę! — zawołałam.

St. John uśmiechnął się.

— Czy nie mówiłem, że pani zaniedbuje rzeczy ważne, by uganiać się za drobnostkami? — zapytał. — Była pani spokojna, gdy pani oznajmiłem, że otrzyma pani majątek; a teraz rzecz bez znaczenia tak panią podnieca.

— Co też pan mówi! Może to nie mieć żadnego znaczenia dla pana. Pan ma siostry i nie dba o kuzynkę; ale ja nie miałam nikogo; a teraz troje krewnych albo dwie kuzynki, jeśli pan nie chce dać się zaliczyć, przyszły mi nagłe na świat, dorosłe. Jeszcze raz powtarzam: jak ja się cieszę!

Chodziłam szybko po pokoju. Nagle przystanęłam: tłoczyły się w mej głowie myśli nabiegające prędzej, niż mogłam je objąć, zrozumieć i uporządkować, myśli o tym, co może, co powinno być i będzie —- i to niezadługo. Tym, którzy mi ocalili życie, którym dotychczas odpłacałam tylko miłością, mogłam teraz wyświadczyć dobrodziejstwo. Dźwigali jarzmo, mogłam ich uwolnić; byli rozłączeni, mogłam ich połączyć; niezależność, dostatek, który mnie przypadł w udziale, mógł się stać także ich niezależnością, dostatkiem. Czyż nie było nas czworo? Dwadzieścia tysięcy funtów

równo podzielonych dawało po pięć tysięcy, aż nadto dla każdego; sprawiedliwości stałoby się zadość, wzajemne szczęście byłoby zapewnione. Teraz mi to bogactwo przestawało ciążyć; teraz nie był to już spadek pieniężny jedynie, ale legat życia, nadziei, radości.

Jak wyglądałam, podczas gdy mnie te myśli brały szturmem w posiadanie, sama nie wiem. Zauważyłam jednak, że pan Rivers postawił za mną krzesełko i starał się delikatnie nakłonić mnie, bym usiadła. Prosił mnie także, bym się uspokoiła; odsunęłam jego rękę i chodziłam dalej.

— Niech pan napisze jutro do sióstr — rzekłam — i niech pan im powie, żeby natychmiast wracały do domu. Diana mówiła, że obie uważałyby się za bogate mając każda po tysiąc funtów, toteż mając po pięć tysięcy każda, będą doprawdy miały się dobrze.

— Niech mi pani powie, gdzie są szklanki, podam pani wody — powiedział St. John. — Pani musi doprawdy opanować się i uspokoić.

— Co tam! A jaki skutek wywrze ten spadek w pana przypadku? Czy zatrzyma to pana w Anglii i skłoni do ożenienia się z panną Oliver i czy osiądzie pan na miejscu jak zwykły śmiertelnik?

— Pani mówi od rzeczy; w głowie się pani miesza. Zbyt nagle powiedziałem pani to wszystko; to panią wzruszyło i podnieciło ponad siły.

— Panie Rivers! Ja już tracę cierpliwość. Mówię zupełnie rozumnie, to pan mnie nie rozumie albo raczej udaje, że mnie nie rozumie!

— Może gdyby pani jaśniej rzecz wytłumaczyła, i ja lepiej bym zrozumiał.

— Wytłumaczyła! Co tu jest do tłumaczenia? Przecież pan musi rozumieć, że dwadzieścia tysięcy funtów podzielonych równo pomiędzy siostrzeńca i trzy siostrzenice waszego wuja, a mojego stryja, daje po pięć tysięcy każdemu! A ja chcę, żeby pan napisał do siostr i doniósł im, jaki na nie spadł majątek.

— Na panią, chce pani powiedzieć.

— Ja już pogląd na rzecz wyjawiłam; nie potrafię go zmienić. Nie jestem brutalnie samolubna, ślepo niesprawiedliwa ani szatańsko niewdzięczna. Przy tym chcę mieć dom rodzinny i rodzinne więzi. Lubię Moor House i będę mieszkała w Moor House; kocham Dianę i Mary i chcę z nimi pozostać przez całe życie. Uśmiecha mi się posiadanie pięciu tysięcy funtów, będzie dla mnie dobrodziejstwem mieć taką sumę. Natomiast dręczyłoby mnie i ciążyłoby mi posiadanie dwudziestu tysięcy, które zresztą nigdy nie byłyby moimi po sprawiedliwości, chociaż mogłyby być prawnie. Oddaję wam tedy to, co dla mnie jest absolutnie zbyteczne. Proszę mi się nie sprzeciwiać, proszę już o tym nie dyskutować; zgódźmy się pomiędzy sobą i zdecydujmy tę sprawę od razu.

— Byłoby to działaniem pod wpływem pierwszego wrażenia; pani potrzebuje dni całych, żeby rozważyć taką sprawę, zanim słowo pani będzie można uważać za wiążące.

— Ach! jeżeli pan tylko powątpiewa o mojej szczerości, to nie boli mnie o to głowa, ale pan uznaje słuszność mojego zapatrywania?

— Pewną słuszność uznaję; ale jest to przeciwne wszelkim zwyczajom. Zresztą cała ta fortuna jest prawnie pani własnością: wuj zdobył ją własną pracą, wolno mu było pozostawić ją, komu chciał; pozostawił ją pani. Ostatecznie słuszność pozwala pani ją zatrzymać; może pani z czystym sumieniem uważać ją za bezspornie swoją.

— Dla mnie — odpowiedziałam — jest to sprawa zarówno uczucia, jak sumienia; ja muszę postępować zgodnie z moim sercem, tak rzadko miałam po temu sposobność! Gdyby pan dowodził, sprzeciwiał się, męczył mnie przez rok, nie mogłabym wyrzec się cudownej przyjemności, która mi się uśmiechnęła, przyjemności odpłacenia wielkiego długu i pozyskania sobie przyjaciół na całe życie.

— Tak pani teraz myśli — odparł St. John — ponieważ pani nie wie jeszcze, co to znaczy posiadać, a więc i korzystać z bogactwa. Pani sobie nie wyobraża, jakie znaczenie nada pani posiadanie dwudziestu tysięcy, jakie miejsce w towarzystwie pozwoli to pani zająć, jakie widoki to przed panią otworzy; pani nie może...

— A pan — przerwałam — nie może sobie wcale wyobrazić, jak ja tęskniłam za siostrzaną i braterską miłością. Nigdy nie miałam rodzinnego domu, nigdy nie miałam sióstr ani braci. Muszę ich mieć, chcę ich mieć teraz; czy pan nie ma ochoty dopuścić mnie do tego, przyznać się do mnie?

— Jane, będę twoim bratem, siostry moje będą ci siostrami nie licząc na to, że zrezygnujesz z twych słusznych praw.

— Bratem? Tak; na odległość tysięcy mil! Siostrami? Tak; wysługującymi się obcym! Ja bogata, dławiąca się złotem, na które nie zapracowałam, na które nie zasłużyłam! Wy bez grosza! Znakomita równość i braterstwo! Ścisła łączność! Serdeczne przywiązanie!

— Ależ, Jane, tęsknotę za więzami rodzinnymi i szczęściem domowym możesz zaspokoić w inny sposób niż w ten, który przewidujesz: możesz wyjść za mąż.

— To nonsens! Wyjść za mąż! Wcale nie pragnę wyjść za mąż! Nigdy nie wyjdę za mąż!

— Za wiele powiedziałaś; takie ryzykowne twierdzenie dowodzi, jak bardzo w tej chwili jesteś podniecona.

— Wcale za wiele nie powiedziałam; wiem, co czuję i jak wstrętna jest dla mnie myśl o małżeństwie. Nikt by się ze mną nie ożenił z miłości, a nie chcę być tylko przedmiotem pieniężnego targu. Zresztą nie nęcą mnie ludzie obcy, niewiele mający ze mną wspólnego, dalecy, różni mi naturą; potrzeba mi bliskich i pokrewnych ludzi; takich, z którymi łączy mnie podobieństwo uczuć. Niech pan jeszcze raz powie, że chce mi być bratem. Gdy pan wymówił te słowa, czułam się zadowolona, szczęśliwa; niech pan je powtórzy. Jeśli pan może, niech pan je powtórzy szczerze!

— Sądzę, że mogę. Wiem, że zawsze kochałem siostry, i wiem, na czym opiera się moje przywiązanie do nich — na uznaniu ich wartości i podziwie dla ich uzdolnień. I ty masz zasady i bogatą duszę; w upodobaniach i przyzwyczajeniach podobna jesteś do Diany i Mary; obecność twoja jest mi zawsze miła; w rozmowie z tobą już od dłuższego czasu znalazłem zbawienną pociechę. Czuję,

że łatwo i naturalnie mogę znaleźć w sercu miejsce dla ciebie jako dla mojej trzeciej i najmłodszej siostry.

— Dziękuję: to mnie na dziś zadowala. A teraz lepiej, żebyś już poszedł, gdyż pozostając dłużej, może byś mnie na nowo rozdrażnił nieufnymi skrupułami.

— A szkoła, panno Eyre? Zapewne teraz trzeba będzie ją zamknąć?

— Nie. Zostanę tutaj, dopóki nie znajdzie się następczyni.

Uśmiechnął się z uznaniem; podaliśmy sobie ręce i pożegnał się.

Nie potrzebuję szczegółowo opowiadać, jakie jeszcze walki przyszło mi stoczyć, jakich argumentów musiałam używać, by sprawę spadku przeprowadzić tak, jak chciałam. Zadanie moje było bardzo trudne; ponieważ jednak postanowienie moje było niewzruszone, a krewni moi zrozumieli w końcu, że ja nieodwołalnie chcę równego podziału — gdyż musieli czuć słuszność mego zamiaru i wiedzieć w głębi duszy, że na moim miejscu postąpiliby dokładnie tak samo — przeto w końcu ustąpili o tyle, że zgodzili się całą sprawę poddać arbitrażowi. Na sędziów obraliśmy pana Olivera i zdolnego prawnika; obaj zgodzili się z moim zdaniem — dopięłam swego. Akta zostały spisane: St. John, Diana, Mary i ja — każde z nas posiadało teraz majątek.

ROZDZIAŁ XXXIV

Tymczasem zbliżało się Boże Narodzenie; nadchodził okres ogólnych wakacji. Zamknęłam szkołę w Morton pamiętając, by nie zamykać jej pustą ręką. Powodzenie cudownie otwiera rękę, zarówno jak i serce; a dać cośkolwiek, gdy się samemu otrzymało wiele, jest tylko dawaniem upustu niezwykłemu natężeniu uczuć. Od dawna odczuwałam z przyjemnością, że wiele wiejskich uczennic mnie lubi; przy rozstaniu potwierdziło się to moje wrażenie, okazywały bowiem przywiązanie wyraźnie i silnie. Sprawiło mi to głębokie zadowolenie, że rzeczywiście znalazłam miejsce w ich prostych sercach; przyrzekłam, że w przyszłości będę je co tydzień odwiedzała i dawała im w szkole godzinę lekcji.

Pan Rivers nadszedł w chwili, gdy wypuściwszy dziewczęta — było ich obecnie sześćdziesiąt — i zamknąwszy drzwi stałam zamieniając kilka słów specjalnego pożegnania z kilkoma najlepszymi uczennicami. Były to bardzo przyzwoite, uczciwe, skromne i rozgarnięte dziewczęta wiejskie. Bo też brytyjski wieśniak jest najbardziej rozgarnięty, najlepiej ułożony, najbardziej szanujący się spośród równych sobie w Europie; widziałam później francuskie *paysannes,* niemieckie *Bäuerinnen;* najlepsze z nich wydały mi się ciemne, ordynarne i głupie w porównaniu z moimi dziewczętami z Morton.

— Czy uważasz, że otrzymałaś nagrodę za swoją pracę? — zapytał St. John, gdy dziewczęta odeszły. — Czy poczucie, że spełniłaś coś istotnie dobrego, sprawia ci przyjemność?

— Niewątpliwie.

— A trudziłaś się tylko kilka miesięcy! Czyż całe życie poświęcone zadaniu uszlachetniania ludzkości nie byłoby dobrze spędzone?

— Tak — odpowiedziałam — ale nie mogłabym zawsze w ten sposób pracować; pragnę rozwijać własne zdolności i cieszyć się nimi, a nie tylko kształcić je u innych. Chcę się nimi teraz

nacieszyć; nie odwołuj ani mojej duszy, ani ciała z powrotem do szkoły; skończyłam z nią i jestem w pełnym nastroju wakacyjnym.

Miał minę poważną.

— Co takiego? Jakaż to nowa gorliwość cię przejmuje? Co zamierzasz robić?

— Chcę być czynna, tak czynna, jak tylko można. A przede wszystkim muszę cię poprosić, być zwolnił Hannę i wyszukał sobie jakąś inną służącą.

— Czy jej potrzebujesz?

— Tak, chcę, żeby się przeniosła ze mną do Moor House. Diana i Mary za tydzień będą w domu, a ja chcę, żeby na ich przybycie wszystko było uporządkowane.

— Rozumiem. Myślałem, że zamierzasz wyfrunąć na jakąś wycieczkę. Tak będzie lepiej; Hanna przyjdzie do ciebie.

— A więc powiedz jej, żeby była gotowa na jutro; tu oto jest klucz od szkoły; jutro rano oddam ci klucz od mojego domku.

Wziął ode mnie klucz.

— Z wielką radością mi go oddajesz — rzekł. — Nie rozumiem dobrze, dlaczego ci tak lekko na sercu, ponieważ nie wiem, czym się teraz zamierzasz zająć. Jaki cel, jaką ambicję życiową masz przed sobą obecnie?

— Moim pierwszym celem będzie zabrać się do wielkich porządków (zechciej zrozumieć pełny sens tego wyrażenia): do wielkich porządków w Moor House od strychu do piwnic; moim następnym — przy pomocy wosku, terpentyny i rozmaitego sukna urządzić czyszczenie i polerowanie, aż wszystko będzie błyszczeć; trzecim — ustawić, jak należy, każde krzesło, stół, łóżko, ułożyć każdy dywan z matematyczną dokładnością; następnie chcę się prawie zrujnować na węgiel i torf, ażeby dobrze opalić wszystkie pokoje; a w końcu dwa ostatnie dni przed przyjazdem twych sióstr poświęcimy z Hanną takiemu biciu jaj, wybieraniu rodzynków, tarciu korzeni, fabrykowaniu ciast świątecznych, przygotowywaniu materiałów na

marcepany i innym kulinarnym rytuałom, o jakich słowa tylko słabe dać mogą pojęcie komuś tak nie wtajemniczonemu jak ty. Słowem, wszystko ma być arcygotowe na przyjazd Diany i Mary przed czwartkiem; a moją ambicją jest przygotować im idealne wprost powitanie, gdy przybędą.

St. John uśmiechnął się lekko; mimo to był niezadowolony.

— Wszystko to bardzo dobre na razie — rzekł — ale na serio, ufam, że gdy przeminie pierwszy pęd ożywienia, spojrzysz trochę wyżej ponad rodzinne czułości i gospodarskie uciechy.

— Najlepsze rzeczy w świecie! — przerwałam.

— Nie, Jane, nie; ten świat nie jest miejscem używania; nie zapatruj się nań w ten sposób; ani też nie jest miejscem spoczynku; nie wpadaj w lenistwo.

— Przeciwnie, zamierzam być bardzo pracowita.

— Jane, wybaczam ci na teraz; daję ci całe dwa miesiące na nieograniczone radowanie się nowym stanowiskiem i na rozkoszowanie się urokiem tego późno odnalezionego pokrewieństwa. Ale mam nadzieję, że potem zaczniesz patrzeć wyżej, ponad Moor House i Morton, i siostrzane towarzystwo, i samolubny spokój, i zmysłową wygodę cywilizacyjnego dostatku. Mam nadzieję, że siła własnej energii zbudzi się znów w tobie i nie da ci spokoju.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

— St. John — rzekłam — zdaje mi się, że jesteś trochę niepoczciwy mówiąc w ten sposób. Mam ochotę czuć się szczęśliwa jak królowa, a ty starasz się obudzić we mniej niepokój! W jakim celu?

— Ażeby obrócić na pożytek talenty powierzone przez Boga twojej pieczy, z których z pewnością kiedyś zażąda ścisłego rachunku. Jane, będę czuwał nad tobą bacznie i trwożnie, ostrzegam cię. Staraj się powściągać niepomierny zapał, z jakim rzucasz się w pospolite przyjemności życia domowego. Nie czepiaj się tak uporczywie związków krwi; zachowaj wytrwałość i gorliwość dla

okazji odpowiedniejszych; nie trwoń ich na poziome, przemijające cele. Czy słyszysz?

— Owszem; to zupełnie, jakbym była na tureckim kazaniu. Czuję, że mam dostateczne powody, by być szczęśliwą i będę szczęśliwa. Do widzenia!

Jakoż byłam szczęśliwa w Moor House i ciężko pracowałam, a Hanna była zachwycona widząc, jak umiem żartować wśród zamieszania w domu przewróconym do góry nogami — jak umiem szczotkować, odkurzać, czyścić i gotować. I rzeczywiście, po jakichś dwóch dniach najgorszego zamętu miło było stopniowo wyprowadzać porządek z chaosu, który same stworzyłyśmy. Już poprzednio odbyłam podróż do S. po zakup jakichś nowych mebli, mając od kuzynek *carte blanche* na zaprowadzenie zmian w domu i zaopatrzona w pieniądze odłożone na ten cel. Zwyczajną bawialnię i pokoje sypialne pozostawiłam prawie tak, jak były, wiedząc, że Dianie i Mary więcej sprawi przyjemności, gdy zobaczą znowu stare, skromne stoły, krzesła i łóżka niż jakieś eleganckie nowości. Coś nowego jednak było potrzeba, by uświetnić ich powrót. Ciemne ładne dywany i firanki, ustawienie pewnych starannie wybranych sztuk starej porcelany i brązów, nowe pokrycia mebli, lustra i przybory toaletowe na gotowalniach odpowiadały temu celowi: pokoje wyglądały świeżo, lecz bez jaskrawości. Pewien nie używany salonik i pokój sypialny umeblowałam całkiem na nowo starym mahoniem z pąsowym obiciem; położyłam na korytarzach chodniki, dywaniki na schodach. Gdy wszystko było gotowe, pomyślałam, że Moor House jest tak doskonałym wzorem wesołej, skromnej elegancji wewnątrz, jak był o tej porze szczytem zimowego ogołocenia i opustoszałej, smutnej pustki z zewnątrz.

Oczekiwany czwartek nadszedł nareszcie. Spodziewałyśmy się gości pod wieczór i zanim mrok zapadł, napaliłyśmy na górze i na dole; kuchnia była w największym porządku, Hanna ubrana, ja również — wszystko było gotowe.

St. John przyszedł pierwszy. Prosiłam go, żeby się nie pokazywał w domu, dopóki wszystko nie będzie urządzone. I w istocie, sama myśl o zamęcie, niemiłym a pospolitym, wypłoszyła go skutecznie. Teraz zastał mnie w kuchni, pilnującą piekących się ciastek do herbaty. Zbliżywszy się do ogniska zapytał, czy mam nareszcie

dosyć tej roboty pokojówki. Na to poprosiłam, by mi towarzyszył i obejrzał ogólny rezultat mojej pracy. Z pewnym trudem nakłoniłam go do obejścia domu. Tyle że zaglądał w drzwi, gdy je otwierałam; a gdy przeprowadziłam go po całym domu, na piętrze i na dole, powiedział, że musiałam sobie zadać dużo kłopotu i trudu, by poczynić tak wielkie zmiany w tak krótkim czasie; nie dodał jednakże ani słowa świadczącego, iż korzystna zmiana w wyglądzie jego domu sprawia mu przyjemność.

To milczenie uraziło mnie. Pomyślałam że może poczynione zmiany zatarły pewne wspomnienia, które sobie cenił. Zapytałam, czy tak jest istotnie, a niewątpliwie zadałam to pytanie głosem nieco zniechęconym.

— Bynajmniej; uważałem przeciwnie, że dbałaś skrupulatnie o to, ażeby nic dawniejszego nie zmieniać; może nawet poświęciłaś temu więcej myśli, aniżeli było warte. Ile minut, na przykład, zajęło ci zastanowienie się nad urządzeniem chociażby tego pokoju?... Ale... ale... czy nie możesz mi powiedzieć, gdzie jest...

Tu wymienił tytuł poszukiwanej książki; pokazałam mu tom na półce; wziął go i cofnąwszy się do kąta pod oknem zagłębił się w czytaniu.

Otóż przyznaję, że to mi się nie podobało. St. John był dobrym człowiekiem; zaczęłam jednak odczuwać, że powiedział prawdę mówiąc, iż jest twardy i zimny. Ludzkie, miłe strony życia nie pociągały go wcale, spokojna radość dnia powszedniego nie miała dla niego powabu. Żył dosłownie tylko aspiracjami do spraw wielkich, to prawda, ale nigdy, pomyślałam, nie zazna spokoju, nigdy nie pochwali go u innych. Patrząc na jego wysokie czoło, gładkie i blade jak z białego kamienia, na jego piękne rysy skupione przy czytaniu, zrozumiałam nagle, że on nie byłby dobrym mężem, że ciężka byłaby dola jego żony. Zrozumiałam, jak gdyby w natchnieniu, istotę jego miłości do panny Oliver; przyznałam mu słuszność, że była to tylko miłość zmysłowa. Zrozumiałam, jak musi pogardzać sobą za wpływ, jaki ta miłość nań wywiera; jak musi pragnąć zduszenia jej i zgaszenia; jak musi wątpić, czy ta miłość prowadziłaby do jego czy jej stałego szczęścia. Pojęłam, że był on z tego materiału, z którego natura wykuwa bohaterów — chrześcijańskich i pogańskich — prawodawców, mężów stanu i

zdobywców. Tacy bohaterowie są jak silny fundament, na którym opierać się mogą wielkie sprawy, ale przy domowym ognisku aż nazbyt często bywają zimną, zawadzającą kolumną, chmurną i nie na swoim miejscu.

„Ten pokój bawialny to nie jego sfera — rozmyślałam. — Himalaje, gąszcz krainy Kafrów, nawet zarażone bagniska na wybrzeżu Gwinei odpowiadałyby mu lepiej. Nie dziw, że unika spokoju życia domowego, bo to nie jego żywioł: tu siły jego i talenty drzemią, nie mogą się rozwinąć i wykazać swej wartości. W walce i niebezpieczeństwie — tam gdzie trzeba odwagi, energii, męstwa — tam będzie przemawiał, tam będzie działał jako przewodnik i zwierzchnik. Przy tym ognisku mniej jest wart niż dziecko. Ma słuszność, że wybrał karierę misjonarza; teraz go rozumiem."

— Jadą! jadą! — zawołała Hanna otwierając drzwi bawialni. W tej samej chwili stary Carlo zaszczekał radośnie. Wybiegłam. Ciemno już było, ale słychać było turkot kół. Hanna nadeszła z latarnią. Powóz stanął przed furtką; woźnica otworzył drzwiczki powozu, naprzód jedna znajoma postać wysiadła, potem druga. W jednej chwili wcisnęłam twarz pod ich kapelusze napotykając najpierw gładki policzek Mary, potem rozwiane loki Diany. One śmiały się, całowały mnie, całowały Hannę, pieściły Carla, który szalał z radości, dopytywały, czy wszystko dobrze, a gdy je zapewniłam, że jak najlepiej, pośpiesznie weszły do domu.

Zesztywniały od jazdy z Whitcross i zziębły na mroźnym nocnym powietrzu; jednakże miłe ich twarzyczki rozpromieniły się w błogim świetle ognia. I gdy woźnica z Hanną wnosili kuferki, zapytały o St. Johna. W tej chwili wyszedł z bawialni. Obie naraz zarzuciły mu ręce na szyję. Złożył na twarzy każdej z nich po jednym spokojnym pocałunku, wypowiedział cicho parę słów powitania, stał przez chwilę, podczas gdy do niego mówiły, a potem, zauważywszy, że zapewne wkrótce przyjdą do bawialnego, cofnął się tam niby do bezpiecznego schronienia.

Zapaliłam świece, żeby je zaprowadzić na górę, lecz Diana chciała wpierw wydać zarządzenie, by ugoszczono woźnicę. Potem poszły za mną. Zachwycone były odnowieniem i urządzeniem swoich pokoi — nową portierą, świeżymi dywanami, pięknymi porcelanowymi wazonami; nie skąpiły wyrazów zadowolenia i

zachwytu. A mnie było przyjemnie czuć, że to, co zrobiłam, odpowiadało dokładnie ich życzeniom i dodawało uroku radosnemu ich powrotowi do domu.

Miły był ten wieczór. Moje rozweselone kuzynki były tak rozmowne, tyle opowiadały, tyle robiły uwag, że ich ożywienie pokrywało małomówność St. Johna. Ten szczerze był rad siostrom, ale nie umiał podzielić ich radosnego zapału. Ich przyjazd — największe wydarzenie dnia — był mu miły, lecz denerwował go hałas, gadanina i radość powitania; widać było po nim, że pragnie, by już minął ten pierwszy dzień. W chwili gdy zabawialiśmy się w najlepsze (było to może w godzinę po herbacie), rozległo się stukanie do drzwi. Hanna weszła oznajmiając, że przyszedł jakiś biedny chłopak i prosi, żeby pan Rivers odwiedził jego matkę, „której się już niewiele należy".

— Gdzie ona mieszka, Hanno?

— Prosto pod Whitcross Brow, prawie cztery mile stąd, przez całą drogę idzie się torfowiskami.

— Powiedzcie mu, że pójdę.

— Z przeproszeniem, proszę pana, lepiej by pan nie szedł. To najgorsza droga tak po nocy; nie ma tam żadnej ścieżki przez trzęsawisko. A poza tym to taka zimna noc, wiatr taki ostry. Lepiej by pan powiedział, że pójdzie jutro rano.

St. John tymczasem był już w przedpokoju i wkładał płaszcz; nie wymawiając się nie szemrząc, wyruszył w drogę. Była wtedy godzina dziewiąta; wrócił dopiero o północy. Wygłodzony i zmęczony był porządnie, ale minę miał pogodniejszą, niż gdy wychodził z domu. Spełnił obowiązek; dokonał wysiłku; poczuł własną siłę w czynie i w poskramianiu siebie i był sam ze sobą w większej zgodzie.

Zdaje mi się, że przez cały następny tydzień cierpliwość jego była mocno wystawiona na próbę. Był to tydzień świąteczny; nie robiłyśmy nic ustalonego, lecz spędzałyśmy czas na wesołym próżniactwie. Powietrze rodzinnych wzgórz, swoboda pobytu we własnym domu, poczucie dostatniego losu, wszystko to

oddziaływało na humor Diany i Mary jak życiodajny eliksir: były wesołe od rana do południa i od południa do wieczora. Rozmawiały ustawicznie, a ich rozmowa dowcipna mądra, oryginalna miała dla mnie taki urok, że wolałam jej słuchać i brać w niej udział niż robić cokolwiek innego. St. John nie wymawiał nam ożywienia, ale stronił od nas. Rzadko bywał w domu; parafia jego była rozległa, ludność rozproszona, zawsze znajdował więc zajęcie odwiedzając chorych i biednych.

Pewnego ranka przy śniadaniu Diana, która czas jakiś siedziała zamyślona, zapytała brata, czy zamiary jego czasem nie uległy zmianie.

— Nie uległy i nie mogą ulec — odparł. I powiadomił nas, że wyjazd jego z Anglii był już teraz stanowczo oznaczony na rok następny.

— A Rozamunda Oliver? — zapytała Mary.

Słowa te widać wymknęły jej się mimo woli, gdyż zaledwie je wyrzekła, uczyniła gest, jakby je chciała odwołać. St. John trzymał książkę w ręku — miał ten niełady zwyczaj czytania przy jedzeniu — zamknął ją i podniósł oczy.

— Rozamunda Oliver — powiedział — wyjdzie wkrótce za mąż za pana Granby, jednego z najlepiej ustosunkowanych i szanowanych mieszkańców miasta S., wnuka i spadkobiercę Fryderyka Granby; wczoraj oznajmił mi to jej ojciec.

Siostry popatrzyły na siebie i na mnie; wszystkie trzy spojrzałyśmy na niego; opanowany był i pogodny zupełnie.

— To małżeństwo musiało być pośpiesznie skojarzone — zauważyła Diana. — Nie mogli się znać długo.

— Tylko dwa miesiące; poznali się w październiku na balu w S. Gdzie jednak nie ma żadnych przeszkód, jak w tym wypadku, gdzie związek jest ze wszech miar pożądany, zwłoka jest niepotrzebna. Pobiorą się gdy tylko dom w majątku, który im dziadek oddaje, będzie odświeżony na ich przyjęcie.

Gdy po raz pierwszy po tej wiadomości znalazłam się sam na sam z St. Johnem, miałam ochotę zapytać go, czy to wydarzenie sprawiło mu przykrość. Zdawało się jednak, że on mało potrzebuje współczucia, dlatego, daleka od zaofiarowania mu go teraz, odczułam wstyd na wspomnienie tego, co kiedyś zaryzykowałam. Przy tym wyszłam z wprawy w rozmawianiu z St. Johnem, zamarzł znów pod powłoką powściągliwości, a wobec tego i moja szczerość zamarzła. Nie dotrzymał przyrzeczenia, że będzie mnie traktował na równi z siostrami; stale zaznaczał drobne, ochładzające różnice między nami, co także nie przyczyniało się do większej serdeczności; słowem, teraz, kiedy byłam uznaną jego krewną i żyłam z nim pod jednym dachem, czułam, że o wiele dalsi sobie jesteśmy, niż gdy widział we mnie tylko nauczycielkę wiejską. Gdy sobie przypominałam, jakim obdarzał mnie dawniej zaufaniem, pojąć nie mogłam jego obecnego lodowatego chłodu.

Toteż niemało się zdziwiłam, gdy podniósłszy nagle głowę znad książki przemówił do mnie:

— Jak widzisz, Jane, stoczyłem walkę i odniosłem zwycięstwo.

Zaskoczona tym odezwaniem się, dopiero po chwili odparłam:

— Czy tylko jesteś pewien, że nie znalazłeś się w położeniu tych zwycięzców, których triumfy kosztowały zbyt wiele? Czy drugie takie zwycięstwo nie zgubiłoby ciebie?

— Myślę, że nie; a gdyby nawet, nie miałoby to wielkiego znaczenia. Zresztą nigdy już nie będę potrzebował walczyć po raz drugi. Wynik starcia jest rozstrzygający: droga przede mną wolna; dziękuję za to Bogu!

Rzekłszy to, powrócił do swoich papierów i pogrążył się w milczeniu.

Skoro nasze (tj. Diany, Mary i moje) wzajemne zadowolenie przeszło stopniowo w spokojniejszy nastrój i gdy powróciłyśmy do dawnych zwyczajów i zajęć,

St. John zaczął więcej przebywać w domu: siadywał w tym samym pokoju z nami niekiedy całymi godzinami. Mary rysowała, Diana

zatapiała się w czytaniu poważnych ksiąg (ku mojemu zdumieniu i przerażeniu), a ja kułam niemiecki, on zaś zagłębiał się w jakieś tajemnicze studium; uczył się jakiegoś wschodniego języka, który miał się okazać potrzebny w pracy misyjnej.

Tak zajęty w swoim kąciku, wydawał się dosyć spokojny i pochłonięty pracą; jednakże jego niebieskie oczy często uciekały od cudzoziemskiej gramatyki i biegły ku nam, a niekiedy przenikały nas z dziwną wnikliwością obserwacji; schwytane, cofały się natychmiast, po czym od czasu do czasu powracały znowu badawcze. Dziwiłam się, nie rozumiejąc, co to znaczy; dziwiłam się też temu zadowoleniu, jakiego nigdy nie omieszkiwał okazać przy drobnej zresztą sposobności, mianowicie z powodu moich cotygodniowych odwiedzin w szkole. A jeszcze więcej zastanawiało mnie to, że gdy dzień był słotny czy śnieg padał, czy dął silny wiatr, a jego siostry nalegały, abym nie wychodziła, żartował z ich troskliwości i zachęcał mnie do spełnienia zadania bez względu na niepogodę.

— Jane nie jest takim słabeuszem, jakiego wy byście z niej chciały zrobić — mawiał wtedy. — Zniesie górski wiatr, trochę deszczu, parę płatków śniegu jak każde z nas. Ma zdrowy organizm i jest odporniejsza na zmiany klimatu niż niejeden na pozór silniejszy.

Gdy zaś wracałam, niekiedy bardzo zmęczona niepogodą i przemoczona, nigdy nie śmiałam się uskarżać, gdyż wiedziałam, że utyskiwanie go drażni; zawsze i wszędzie pochwalał męstwo i wytrzymałość, a słabość potępiał.

Raz po obiedzie pozwolił mi jednakże zostać w domu, gdyż istotnie byłam zakatarzona. Jego siostry poszły zamiast mnie do Morton; ja siedziałam i czytałam Schillera; St. John mozolił się nad wschodnimi manuskryptami. Przechodząc od tłumaczenia do ćwiczeń przypadkiem rzuciłam okiem w jego stronę i napotkałam spojrzenie tych wiecznie badawczych niebieskich oczu. Od jak dawna przeszywał mnie nimi na wylot, tego nie wiem; spojrzenie było bystre, a jednak tak zimne, że przez chwilę poczułam zabobonny lęk, jak gdybym siedziała w pokoju z czymś niesamowitym.

— Co ty robisz, Jane?

— Uczę się niemieckiego.

— Wolałbym, żebyś porzuciła niemiecki, a uczyła się hindustańskiego.

— Czy mówisz to serio?

— Tak dalece serio, że musisz mnie usłuchać; powiem ci dlaczego.

Tu zaczął mi tłumaczyć, że sam obecnie uczy się języka hindustańskiego; lecz boi się, że w miarę postępów gotów zapomnieć początków. Otóż bardzo by mu było na rękę mieć uczennicę, z którą mógłby powtarzać zasady języka i tym sposobem wbić je sobie dobrze w pamięć. Wahał się przez pewien czas w wyborze pomiędzy mną a siostrami; w końcu wybrał mnie, ponieważ przekonał się, że z nas trzech ja najdłużej potrafię siedzieć nad jakimś zadaniem. Czy zrobię mu tę łaskę? Może to poświęcenie nie będzie długo trwało, gdyż teraz pozostają już tylko trzy miesiące do jego odjazdu...

St. John należał do ludzi, którym trudno odmówić. Czułam że każdą wyrządzoną mu przyjemność czy przykrość będzie długo pamiętał. Zgodziłam się przeto. Diana dowiedziawszy się, że jej uczennica przeszła do brata, śmiała się i obie z Mary przyznały, że brat nigdy by ich nie zdołał nakłonić do podobnego kroku.

— Wiedziałem o tym z góry — odpowiedział spokojnie.

Przekonałam się, że St. John jest bardzo cierpliwym, wyrozumiałym, ale wymagającym nauczycielem. Wiele się po mnie spodziewał, gdy zaś spełniłam jego oczekiwania, on na swój sposób nie szczędził mi wyrazów uznania. Stopniowo uzyskał na mnie pewien wpływ pozbawiający mnie swobody myśli: jego pochwała i wyróżnienie krępowały silniej niż obojętność. Nie mogłam już teraz rozmawiać i śmiać się swobodnie w jego obecności, ponieważ jakieś nieznośne, narzucające się poczucie przypominało mi, że on nie lubi ożywienia (przynajmniej we mnie). Byłam tak świadoma tego, że on pochwala tylko poważny nastrój i poważne zajęcia, iż nie potrafiłam zachować się inaczej w jego obecności; byłam jak urzeczona pod jego mrożącym urokiem. Gdy powiedział: „Idź" — odchodziłam. „Przyjdź" — przychodziłam, „Rób to" — robiłam

natychmiast. Ale nie kochałam tej niewoli; nieraz żałowałam, że stałam się przedmiotem jego zainteresowania.

Pewnego wieczoru przed udaniem się na spoczynek stałyśmy dokoła niego mówiąc mu dobranoc. Jak zawsze pocałował każdą z sióstr i jak zawsze podał mi rękę. Diana, będąca w owej chwili w żartobliwym nastroju (ona nie poddawała się jego woli, gdyż na swój sposób miała również silną wolę jak on), zawołała nagle:

— St. John! Nazwałeś Jane swoją trzecią siostrą, ale nie traktujesz jej po bratersku: powinieneś i ją pocałować!

I popchnęła mnie ku niemu. Pomyślałam, że Diana jest nieznośna, i zmieszałam się; St. John tymczasem pochylił głowę, jego grecka twarz znalazła się na poziomie mojej, oczy jego przenikliwie badały moje oczy — i pocałował mnie. Nie ma na świecie pocałunków marmurowych ani lodowatych, inaczej tak bym określiła pocałunek mojego kuzyna — duchownego; ale mogą być pocałunki próbne i taki właśnie był jego pocałunek. Pocałowawszy mnie przyjrzał mi się, ciekaw wrażenia. Wrażenie było niewielkie; jestem pewna, że wcale się nie zarumieniłam, może raczej pobladłam, gdyż odczułam ten pocałunek jako pieczęć przyłożoną do moich więzów. Odtąd St. John nigdy nie pomijał tej ceremonii, a powaga i spokój, z jakim ją przyjmowałam, zdawały się mieć pewien urok w jego oczach.

Ja zaś z dniem każdym coraz bardziej pragnęłam mu dogodzić. Ale też czułam coraz więcej, że dla tego celu muszę się zaprzeć połowy swej natury, zdusić połowę moich władz umysłowych, zaprzeć się upodobań i naturalnych skłonności i zmusić się do dążeń i zajęć, do których nie miałam wrodzonego powołania. St. John chciał mnie wciągnąć na niedosiężne dla mnie wyżyny; męką było dla mnie podążanie za nim. Było to dla mnie takim samym niepodobieństwem jak przekształcenie moich nieregularnych rysów na wzór jego klasycznych albo nadanie moim zielonym oczom błękitnej barwy morza i poważnego blasku jego własnych.

Jednakże nie tylko wpływ St. Johna dręczył mnie obecnie. W ostatnich czasach nie było mi trudno być smutną: robak zalągł się w moim sercu i wysysał zeń wszelką radość; tym robakiem była niepewność.

Może kto pomyśli, że pośród zmian otoczenia i losu zapomniałam o panu Rochesterze. Ani na chwilę. Myśl o nim towarzyszyła mi stale, gdyż nie była to mgła, którą słońce mogło rozproszyć, ani rysunek na piasku, który burza zwiać mogła, ale imię wyryte w trwałym marmurze. Gorące pragnienie dowiedzenia się, co się z nim stało, szło za mną wszędzie; w Morton co wieczór wracałam ze szkoły do mego domku, ażeby o tym rozmyślać; a teraz w Moor House co wieczór zdążałam do sypialni, ażeby pogrążyć się w smutnych rozważaniach.

W toku mojej korespondencji z panem Briggsem w sprawie spadku zapytywałem, czy nie wie, gdzie obecnie może przebywać pan Rochester i czy jest zdrów; ale jak słusznie St. John przypuszczał, pan Briggs o niczym, co dotyczyło pana Rochestera, nie wiedział. Wtedy napisałam do pani Fairfax błagając ją o wiadomości. Byłam pewna szybkiej odpowiedzi; zdziwiłam się, gdy minęły dwa tygodnie bez żadnej wieści; a gdy po upływie dwu miesięcy nie było listu, ogarnął mnie najwyższy niepokój.

Napisałam powtórnie przypuszczając, że może mój pierwszy list zaginął. Znowu odżyła nadzieja i znowu się zawiodłam; nie odpisała ani słowa. Po półrocznym daremnym wyczekiwaniu nadzieja moja zagasła i poczułam, że ogarniają mnie ciemności.

Piękna wiosna jaśniała dokoła mnie, ale ja się nie mogłam nią cieszyć. Zbliżało się lato; Diana starała się mnie rozweselić. Twierdziła, że źle wyglądam, i pragnęła zawieźć mnie nad morze. St. John sprzeciwiał się temu; twierdził, że nie potrzebuję rozrywki, lecz zajęcia, gdyż obecne moje życie jest zbyt bezcelowe, a ja potrzebuję celu w życiu. Przypuszczam, że chcąc ten brak zapełnić, przedłużył lekcje hindustańskiego i jeszcze usilniej wymagał gruntownego przygotowania, ja zaś, niemądra, ani nie pomyślałam o sprzeciwieniu mu się, po prostu nie mogłam mu się sprzeciwić!

Pewnego dnia przyszłam na naukę bardziej niż zwykle przygnębiona z powodu głęboko odczutego zawodu. Hanna powiedziała mi rano, że jest list dla mnie, jednakże gdy zeszłam na dół, by go odebrać, prawie pewna, że to dawno oczekiwana wiadomość nadchodzi nareszcie, okazało się że to tylko mało znaczący list w interesach od pana Briggsa. Gorzki zawód wycisnął mi kilka łez; i teraz, gdy siedziałam nad niewyraźnym, pełnym

zakrętasów pismem hinduskiego pisarza, oczy moje znowu wezbrały łzami.

St. John kazał mi podejść bliżej i czytać; starałam się usłuchać go, ale głos mnie zawiódł: słowa moje przeszły w łkanie. Byliśmy sami w bawialni. Diana ćwiczyła na fortepianie w saloniku, Mary pracowała w ogródku, gdyż był to piękny dzień majowy, jasny, słoneczny, lekko wietrzny. Towarzysz mój nie okazał zdziwienia na widok moich łez ani też nie zapytał mnie o powód; powiedział tylko:

— Poczekam kilka minut, Jane, aż się uspokoisz.

Gdy ja starałam się jak najszybciej opanować płacz, on siedział cicho i cierpliwie, oparty o stół, i patrzył na mnie jak lekarz obserwujący okiem uczonego spodziewany i zupełnie zrozumiały przejaw choroby pacjenta. Zdusiwszy łkanie, otarłszy oczy i bąknąwszy coś o tym, że niezupełnie dobrze czuję się dziś rano. powróciłam do czytania. Udało mi się go dokończyć. St. John odłożył swoje i moje książki, zamknął sekretarzyk i powiedział:

— A teraz, Jane, pójdziesz na przechadzkę, i to ze mną.

— Zawołam Dianę i Mary.

— Nie; dziś pragnę tylko jednej towarzyszki, a mianowicie ciebie. Ubierz się, wyjdź kuchennymi drzwiami, idź w górę w kierunku Marsh Glen, dogonię cię za chwilę.

Nie znam nic pośredniego, nigdy w życiu nie znałam pośredniej drogi w stosunkach ze stanowczymi, twardymi ludźmi różniącymi się zasadniczo ode mnie: albo im ulegałam całkowicie, albo też opierałam się im stanowczo. Zawsze starałam się być uległa, dopóki z wulkaniczną nieledwie gwałtownością nie przerzucałam się w drugą ostateczność. Ponieważ ani okoliczności, ani nastrój nie skłaniały mnie do buntu, więc zastosowałam się posłusznie do wskazówek St. Johna i w dziesięć minut później kroczyłam obok niego dziką ścieżką wijącą się wśród doliny.

Powiewał zachodni wietrzyk; płynął od wzgórz niosąc słodką woń kwietnych łąk; niebo było jasne, błękitne; potok wzdłuż wąwozu,

zasilony wiosennymi deszczami płynął obfity i czysty, zapożyczając złotych połysków od słońca i szafirowych barw od nieba. W miarę jak posuwaliśmy się naprzód i opuszczali ścieżkę, weszliśmy na miękką murawę, delikatną i szmaragdowo-zieloną, usianą drobnym, białym, a tu i ówdzie gwiaździstym, żółtym kwieciem; wzgórza tymczasem zupełnie nas otoczyły, gdyż wąwóz w górnej części skręcał w sam ich środek.

— Odpocznijmy tutaj — odezwał się St. John, gdy dotarliśmy do pierwszych skał stojących na straży u przejścia, poza którym potok spadał kaskadą. Nieco dalej krajobraz, pozbawiony murawy i kwiecia, miał już tylko wrzosy i wysokie turnie jako ozdoby; tu dzika przyroda nabierała cech pierwotności, nie wywoływała już wrażenia świeżości, lecz była posępna jak zawiedzione nadzieje samotności i ostatnia przystań milczenia.

Usiadłam: St. John stał obok mnie. Wodził wzrokiem w górę wąwozu i w dół doliny; spojrzenie jego błądziło za biegiem strumienia i wracało, obejmując bezchmurne niebo, które ten strumień barwiło; zdjął kapelusz, pozwolił wietrzykowi zburzyć sobie włosy i musnąć czoło. Zdawało się, że się jednoczy z duchem tego ustronia; coś żegnał oczami.

— Ujrzę to znowu — rzekł głośno — w snach, gdy będę spać nad brzegiem Gangesu; i jeszcze znowu w odleglejszej godzinie, gdy inny sen mnie zmorzy nad brzegiem ciemniejszej rzeki!

Dziwne słowa dziwnej miłości! Namiętna miłość ojczyzny surowego patrioty! Usiadł; przez pół godziny nie rozmawialiśmy wcale; po czym St. John znów zaczął:

— Jane, za sześć tygodni wyruszam; wykupiłem miejsce na okręcie odchodzącym do Indii Wschodnich dwudziestego czerwca.

— Bóg się będzie tobą opiekował — odpowiedziałam — gdyż podejmujesz jego dzieło.

— Tak — odparł — w tym moja chwała i radość. Jestem sługą nieomylnego Pana. Nie wyruszam pod kierownictwem ludzkim, podległy niedoskonałym prawom i błądzącym sądom moich ułomnych bliźnich; moim królem, moim prawodawcą, moim

wodzem jest najdoskonalszy Pan. Wydaje mi się dziwne, że wszyscy wokół mnie nie goreją pragnieniem zaciągnięcia się pod ten sam sztandar, uczestniczenia w tym samym przedsięwzięciu.

— Nie wszyscy mają twoje siły, a byłoby szaleństwem, gdyby słabi chcieli maszerować w jednym rzędzie z silnymi.

— Nie mówię do słabych ani też o nich myślę; przemawiam jedynie do tych, którzy są godni dzieła i zdołają je wykonać.

— Takich jest niewielu, a odkryć ich niełatwo.

— Prawdę mówisz, ale gdy się ich odnajdzie, należy ich budzić, skłaniać i wzywać do wysiłku, wytłumaczyć im, czym są dary, które posiadają, i dlaczego zostały im dane. Należy wieścić im wezwanie Niebios, ofiarowywać im z Bożego zlecenia miejsce w zastępie Jego wybranych.

— Jeżeli są istotnie powołani do tego zadania, czyż własne serca nie powiedzą im same o tym?

— A co mówi twoje serce? — zapytał.

— Moje serce milczy, moje serce milczy — odpowiedziałam zaskoczona i drżąca.

— Więc ja muszę za nie przemówić — ciągnął dalej nieubłagany głos. — Jane, jedź ze mną do Indii; jedź ze mną jako moja pomocnica i współpracownica.

Wąwóz i niebo zawirowały mi przed oczami; zachwiały się góry! Było mi, jak gdybym posłyszała wezwanie z nieba, jak gdyby zjawił się poseł, jak ongi w Macedonii, i wygłosił: „Przyszedłszy do Macedonii ratuj nas." Ale ja nie byłam apostołem, nie mogłam ujrzeć wysłańca, nie mogłam przyjąć jego wezwania.

— O St. John! — zawołałam — miejże choć trochę litości!

Jednakże zwracałam się do człowieka, który pełniąc to, co uważał za swą powinność, nie znał ani litości, ani wyrzutu sumienia.

— Bóg i natura — ciągnął dalej — przeznaczyli ciebie na żonę

misjonarza. Nie powierzchownych, fizycznych, ale duchowych udzielono ci darów. Jesteś stworzona do pracy, nie do miłości. Żoną misjonarza musisz być i będziesz. Będziesz moja: chcę ciebie nie dla mojej przyjemności, lecz byś służyła mojemu Panu.

— Nie jestem do tego zdolna; nie mam powołania — odparłam.

Nie rozdrażniła go ta pierwsza odmowa, gdyż ją przewidział. Istotnie, oparty plecami o głaz, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i spokojną twarzą był przygotowany na długi i męczący opór i uzbroił się w cierpliwość, mającą mu służyć do końca. Widziałam jednak, że postanowił walczyć aż do zwycięstwa.

— Pokora, Jane — mówił — to podstawa cnót chrześcijańskich. Słusznie mówisz, że nie jesteś zdolna do spełnienia tego dzieła. Któż jest do tego zdolny? Albo kto, prawdziwie powołany, uważał, że jest godny wezwania? Ja, na przykład jestem tylko prochem i popiołem. Wraz ze świętym Pawłem uważam się za największego z grzeszników; nie daję się jednak pognębić temu poczuciu własnej marności. Znam Wodza: wiem, że jest równie sprawiedliwy, jak potężny; a skoro wybrał słabe narzędzie do spełnienia wielkiego zadania, z nieograniczonych bogactw swojej opatrzności zasili skąpe środki do tego celu. Myśl tak jak ja, Jane, ufaj tak jak ja. Oprzyj się o opokę wieków; nie wątp, że udźwignie ona ciężar twej ludzkiej słabości.

— Nie rozumiem życia misjonarza; nigdy się nie zastanawiałam nad pracą misyjną.

— W tym z całą pokorą mogę ci dać potrzebną pomoc; mogę kierować twoją pracą każdej godziny, stać obok ciebie stale; pomagać ci każdej chwili. Mógłbym to czynić na początku; wkrótce (gdyż wiem, co ty potrafisz) byłabyś równie silna i wyćwiczona jak ja sam i nie potrzebowałabyś mojej pomocy.

— Ale czyż moja moc temu sprosta? Nie czuję tego. Twoje słowa nic we mnie nie budzą, nic nie poruszają. Nie zapala się dla mnie najniklejsze światło, nie bije mocniej tętno życia, nie odzywa się żaden głos doradczy ani krzepiący. O, chciałabym, żebyś zrozumiał, że dusza moja jest w tej chwili podobna do więzienia bez promyka światła, że na dnie tej duszy czai się strach, strach, byś ty mnie nie

przekonał i żebym ja się nie podjęła tego, czego nie potrafię wykonać!

— Mam odpowiedź dla ciebie, posłuchaj. Obserwowałem cię od chwili, gdyśmy się poznali; obserwowałem cię bacznie przez dziesięć miesięcy. Doświadczałem cię w różny sposób i co widziałem? o czym się przekonałem? W szkółce wiejskiej widziałem, że potrafisz spełniać dobrze, punktualnie, uczciwie pracę nie odpowiadającą ani twym przyzwyczajeniom, ani skłonnościom. Widziałem, że spełniasz ją inteligentnie i taktownie, trzymając w ręku władzę umiałaś zjednywać serca. W spokoju, z jakim przyjęłaś wieść o spadku po wuju, znalazłem dowód, iż dusza twoja wolna jest od chciwości; dobra materialne nie miały mocy nad tobą. W stanowczej gotowości podziału bogactw na cztery części poznałem duszę, która znajduje radość w ogniu ofiary. W powolności, z jaką na moje życzenie porzuciłaś naukę interesującą ciebie i zajęłaś się inną, ponieważ mnie interesowała; w niezmordowanej pilności, z jaką dotąd wytrwałaś przy tej nauce, w niezachwianej energii i pogodnej cierpliwości, z jaką zwalczałaś jej trudności, widzę dopełnienie tych zalet, których poszukuję. Jesteś posłuszna, pilna, bezinteresowna, wierna, stała i odważna; bardzo łagodna i bohaterska; przestań wątpić w siebie, ja mogę ci zaufać bezwzględnie. Pomoc twoja jako kierowniczki hinduskich szkół, jako pomocnicy wśród hinduskich kobiet będzie dla mnie nieoceniona.

Żelazne więzy zaciskały się dokoła mnie; namowa działała powolnie, ale pewnie. Chociaż zamykałam oczy, ostatnie jego słowa otwierały niejako drogę, która wydawała mi się zamknięta. Zadanie moje, które wydawało się tak nieokreślone, tak beznadziejnie mgliste, przybierało konkretny kształt w miarę, jak mówił. Poprosiłam, by mi dał kwadrans czasu do namysłu, zanim zaryzykuję odpowiedź.

— Bardzo chętnie — odpowiedział i poszedł trochę dalej wzdłuż wąwozu, rzucił się na kępę wrzosów i tam pozostał w milczeniu.

„Mogę zrobić to, czego on chce ode mnie, muszę to przyznać — dumałam — to jest, o ile życia mi starczy. Ale czuję, że życie moje nie potrwałoby długo pod słońcem Indii. I cóż? On o to nie dba: gdy przyjdzie mi umrzeć, on odda mnie z całą pogodą i świętością w

ręce Boga, który mnie jemu powierzył. Przewiduję to jasno. Opuszczając Anglię opuściłabym, ukochany, ale pusty kraj; pana Rochestera tu nie ma; a gdyby nawet był, czymże to jest, czym może być dla mnie? Muszę żyć bez niego: niedorzecznością i słabością jest wegetować w oczekiwaniu jakiejś niemożliwej zmiany losów, która by mnie z nim połączyła. Oczywiście, muszę szukać (jak słusznie St. John kiedyś powiedział) innego zainteresowania w życiu zamiast tego, które utraciłam. A czyż zajęcie, które mi teraz ofiarowuje nie jest najchwalebniejsze, jakie człowiek może przyjąć, a Bóg mu wyznaczyć? Czyż dzięki trudom szlachetnym i wzniosłym rezultatom nie jest ono najodpowiedniejsze do wypełnienia pustki, jaką pozostawiły wydarte z serca uczucia i zniweczone nadzieje? Sądzę, że muszę powiedzieć «tak», a jednak drżę. Niestety! Jeżeli pójdę z St. Johnem, zaprę się połowy siebie, jeżeli pojadę do Indii, pójdę na śmierć przedwczesną. A czym wypełnię ten czas pomiędzy opuszczeniem Anglii dla Indii, a Indii dla grobu? O, dobrze wiem czym! To także bardzo jasno widzę. Wytężę swe siły dla zadowolenia St. Johna, aż mnie wszystkie ścięgna będą bolały; nie zawiodę jego najśmielszych oczekiwań. Jeżeli podejmę ofiarę, której on wymaga, podejmę ją bez zastrzeżeń. Złożę na ołtarzu swe serce, siły żywotne, całą siebie. On mnie nigdy nie będzie kochać, ale będę miała jego uznanie; okażę energię, jakiej jeszcze nie widział, zasoby, jakich nie podejrzewa. Tak, potrafię pracować równie twardo jak on i jak on nie szczędząc siebie.

Zgoda zatem na jego żądanie byłaby możliwa, gdyby nie jeden szczegół, jeden okropny szczegół... On żąda, bym została jego żoną, a serce jego nie byłoby dla mnie czulsze od tego ponurego, olbrzymiego głazu, po którym tam w wąwozie stacza się spieniony strumień. On mnie ceni, jak żołnierz ceni dobry oręż, i tyle. Gdybym nie miała mu być poślubiona, nie martwiłabym się tą nieczułością; ale czyż mogę mu pozwolić postąpić tak z wyrachowaniem, chłodno wykonać swoje zamierzenia, dopełnić ceremoniału zaślubin? Czyż mogę przyjąć od niego pierścień ślubny, znosić wszystkie pozory miłości (których by niewątpliwie skrupulatnie pilnował) i wiedzieć, że jego duch nie bierze w tym udziału? Czy mogłabym znieść świadomość, że każda pieszczota, którą by mnie obdarzył, to poświęcenie dla zasady? Nie, takie męczeństwo byłoby potworne. Nie chcę go podjąć. Jako jego siostra mogłabym mu towarzyszyć, lecz nie jako jego żona; powiem mu to

teraz." Obejrzałam się. St. John leżał jak przedtem, podobny do przewróconej kolumny, z twarzą zwróconą ku mnie; oczy jego błyszczały, baczne i przenikliwe. Wstał i podszedł do mnie.

— Jestem gotowa pojechać do Indii, jeżeli mogę to zrobić jako osoba wolna.

— Twoja odpowiedź — rzekł — jest niewyraźna.

— Byłeś dotychczas moim przybranym bratem, a ja twoją siostrą; pozostańmy w tym stosunku; lepiej będzie, jeżeli nie zawrzemy małżeństwa.

Potrząsnął głową.

— Przybrane rodzeństwo na nic się tu nie przyda. Gdybyś była moją prawdziwą siostrą, to co innego, zabrałbym ciebie i nie szukałbym żony. Ale tak, jak jest, albo nasz związek musi być uświęcony i przypieczętowany małżeństwem, albo w ogóle nie może istnieć; praktyczne względy stoją na przeszkodzie wszelkiemu innemu rozwiązaniu. Czy nie rozumiesz tego Jane? Zastanów się chwilę, niech ci twój zdrowy rozsądek wskaże drogę.

Zastanowiłam się; ale mój rozum wskazywał mi tylko fakt, że my się nie kochamy tak, jak mąż i żona powinni się kochać, że zatem nie powinniśmy się pobierać. Powiedziałam to.

— St. John — dodałam — uważam ciebie za brata, ty mnie za siostrę; pozostańmy tym dla siebie.

— Nie możemy... nie możemy — odpowiedział krótko i stanowczo. — Powiedziałaś, że pojedziesz ze mną do Indii, pamiętaj, żeś to przyrzekła.

— Warunkowo.

— No, dobrze, dobrze. Zasadniczo przecież zgadzasz się wyjechać ze mną z Anglii, współpracować ze mną w przyszłości. To tak, jak gdybyś już przyłożyła rękę do pługa; zbyt jesteś konsekwentna, ażeby ją cofnąć. Teraz powinnaś mieć na oku jeden tylko cel: jak najlepiej spełniać dzieło, które przedsięwzięłaś. Staraj się uprościć swoje skomplikowane zainteresowania, uczucia, myśli, pragnienia i

cele. Złącz wszelkie względy w jednym jedynym zamiarze: w zamiarze spełnienia ze skutkiem, z mocą misji twego wielkiego Pana. Do tego potrzeba ci pomocnika, nie brata — to luźny węzeł — lecz męża. I ja też nie potrzebuję siostry; siostra mogłaby mi być kiedyś odebrana. Potrzebuję żony, tej jedynej pomocnicy, na którą mogę skutecznie wpływać w życiu i którą mogę bezwzględnie zatrzymać do śmierci.

Zadrżałam, gdy to mówił; czułam jego wpływ przenikający mnie aż do szpiku kości, krępujący moje ruchy.

— Poszukaj żony gdzie indziej; poszukaj odpowiedniejszej ode mnie.

— Chcesz pewnie powiedzieć: odpowiedniejszej do mojego celu, do mojego powołania. Jeszcze raz ci powtarzam, że to nie osobiste powody, które są bez znaczenia, nie egoistyczne zmysły mężczyzny każą mi szukać towarzyszki; szukam jej dla misjonarza.

— Więc ja oddam misjonarzowi całą energię i wszystkie siły, przecież on tego tylko potrzebuje, ale nie siebie; byłoby to tylko dodawaniem do orzecha łupiny, której on nie potrzebuje; zatrzymuję ją dla siebie.

— Nie możesz i nie powinnaś tego uczynić! Czy myślisz, że Bóg się zadowoli połową ofiary? Przemawiam w sprawie Boga: zaciągam ciebie pod Jego sztandar. Nie mogę przyjąć na Jego rzecz połowicznego poddaństwa; musi być całkowite.

— Ach, oddam serce Bogu — odpowiedziałam — które tobie jest niepotrzebne!

Nie przysięgłabym, czy nie było trochę utajonego sarkazmu w tonie tego zdania i w towarzyszącym mu uczuciu. Dotychczas w milczeniu bałam się St.

Johna, ponieważ go nie rozumiałam. Budził we mnie strach, ponieważ utrzymywał mnie w niepewności. Do jakiego stopnia był świętym, do jakiego zwykłym śmiertelnikiem, do tej pory nie wiedziałam. Ale w tej rozmowie wyjaśniało się niejedno; jego natura odsłaniała się przede mną. Ujrzałam jego ułomności;

zrozumiałam je. Zrozumiałam, że siedząc oto na tej kępce wrzosów naprzeciw tej pięknej postaci, stojącej przede mną, siedzę u stóp człowieka tak samo błądzącego jak ja. Zasłona opadała odsłaniając jego nieczułość i despotyzm. Dostrzegłszy w nim te właściwości, odczułam jego niedoskonałość i nabrałam odwagi. Miałam do czynienia z równym sobie człowiekiem. Mogłam się z nim spierać i, jeślibym to uważała za dobre, stawiać mu nawet opór.

St. John milczał po moim ostatnim zdaniu. Odważyłam się spojrzeć nań. Oczy jego, zwrócone ku mnie, miały wyraz surowy, zdziwiony i badawczy, jakby pytając: „Czy ona pozwala sobie na sarkazm, i to sarkazm względem mnie? Co to ma znaczyć?"

— Nie zapominajmy, że to sprawa poważna i uroczysta — powiedział po pewnej chwili. — Sprawa, o której nie wolno nam ani myśleć, ani mówić lekkomyślnie, bo byłby to grzech. Ufam, Jane, że mówiłaś na serio oświadczywszy gotowość oddania serca Bogu; mnie tylko tego potrzeba. Jeżeli raz oderwiesz serce od człowieka, a oddasz je Stwórcy, rozszerzanie duchowego królestwa Pana na ziemi będzie główną twoją radością i twoim staraniem; będziesz od razu gotowa uczynić wszystko, co sprzyja temu celowi. Zrozumiesz, jakiego bodźca doda naszym wysiłkom nasz związek dusz i ciał w małżeństwie, jedyny związek, który losom i zamiarom istot ludzkich nadaje charakter trwałej wspólnoty, i pomijając wszelkie mało ważne kaprysy, wszelkie pospolite trudności i subtelności uczuciowe, wszelkie skrupuły co do stopnia, rodzaju, siły czy czułości czysto osobistych uczuć pośpieszysz zawrzeć ten związek od razu.

— Tak sądzisz? — odpowiedziałam krótko.

I popatrzyłam na te rysy, piękne i harmonijne, ale groźne w swej cichej surowości; na czoło władcze, ale nie otwarte; na oczy jasne, głębokie i przenikliwe, ale bez promyka łagodności; na wysoką, imponującą postać. I wyobraziłam sobie w myśli siebie jako jego żonę. O! to nie byłoby dobrze! Gdybym mogła być jego wikarym i towarzyszem, wszystko byłoby w porządku. W tej roli przepłynęłabym z nim oceany; pracowałabym w żarze wschodniego słońca, na azjatyckich pustyniach; podziwiałabym go, współzawodnicząc z nim w odwadze, ofiarności i męstwie; poddawałabym się spokojnie jego zwierzchnictwu; uśmiechałabym

się bez złośliwości widząc jego nieuleczalną ambicję, odróżniałabym w nim chrześcijanina od człowieka, ceniąc pierwszego, chętnie przebaczając drugiemu. Często cierpiałabym, bez wątpienia, związana z nim tylko w tej roli: ciało moje przygniatałoby ciężkie jarzmo, ale serce i dusza byłyby wolne. Zostałoby mi moje wolne „ja", moje przyrodzone uczucia, nie zduszone niewolą, do których mogłabym się uciekać w godzinach samotności. Miałabym w duszy zakątki wyłącznie swoje własne, do których on nigdy by nie zajrzał, gdzie zakwitałyby świeże uczucia, nie zmrożone nigdy jego surowością, nie zdeptane jego miarowym marszem bojownika. Ale jako jego żona — zawsze przy jego boku, zawsze hamowana, zawsze powstrzymywana, zmuszona tłumić stale żar własnej natury, żar skazany na to, by płonął w głębi serca, a ja nigdy nie mogłabym wydać okrzyku, chociażby trawił moje wnętrzności — nie, to byłoby nie do zniesienia.

— St. John! — zawołałam, gdy doszłam do tego punktu w moich rozmyślaniach.

— I cóż? — odpowiedział lodowato.

— Powtarzam, że chętnie zgadzam się pojechać z tobą jako twoja towarzyszka-misjonarka, ale nie jako twoja żona; nie mogę cię poślubić i być cząstką ciebie.

— Musisz się stać cząstką mnie — odpowiedział uparcie. — Inaczej cała umowa na nic. Jakże ja, mężczyzna poniżej trzydziestki, mogę zabierać z sobą do Indii dziewiętnastoletnią dziewczynę, jeżeli nie jest mi poślubiona? Jakże możemy być zawsze razem, niekiedy samotni, niekiedy wśród dzikich plemion, nie będąc mężem i żoną?

— Bardzo dobrze możemy być — odparłam krótko — w takich okolicznościach moglibyśmy być razem równie dobrze, jak gdybym była twoją prawdziwą siostrą albo mężczyzną i duchownym jak ty sam.

— Wiadomo, że nie jesteś moją siostrą; nie mogę cię przedstawić jako siostrę; czyniąc to, ściągnąłbym na nas oboje ubliżające podejrzenia. A zresztą, chociaż masz tęgi umysł męski, masz serce kobiety.

— Co z tego? — stwierdziłam trochę wzgardliwie. — Mam serce kobiety, ale nie w stosunku do ciebie; dla ciebie mam tylko lojalność kolegi, szczerość towarzysza broni, wierność, braterstwo, jeśli chcesz; mam szacunek i uległość neofity dla jego przewodnika-kapłana. Poza tym nic więcej, nie obawiaj się.

— Tego mi potrzeba — rzekł mówiąc do siebie — tego właśnie mi potrzeba. A przeszkody, które są na drodze, należy usunąć. Jane, nie pożałowałabyś, gdybyś za mnie wyszła, bądź pewna; musimy się pobrać. Powtarzam: nie ma innego wyjścia; a niewątpliwie dosyć miłości zrodzi się po ślubie, by nawet w twoich oczach usprawiedliwić ten związek.

— Pogardzam twoim pojmowaniem miłości — powiedziałam nie mogąc się powstrzymać — pogardzam namiastką uczucia, którą mi ofiarowujesz; tak, i pogardzam tobą, gdy mi ją ofiarowujesz.

Utkwił we mnie wzrok zaciskając wargi. Czy był zły, czy zdziwiony, niełatwo to było poznać: on tak nadzwyczajnie umiał panować nad wyrazem twarzy...

— Nie spodziewałem się usłyszeć takiego zarzutu z twoich ust — rzekł. — Sądzę, że nie uczyniłem i nie powiedziałem nic takiego, co zasługiwałoby na pogardę.

Wzruszyła mnie łagodność jego tonu i wyraz wyniosłego spokoju.

— Wybacz mi te wyrazy, St. John; ale to twoja wina, że się uniosłam. Poruszyłeś temat, co do którego różnimy się zasadniczo, temat, o którym nigdy nie powinniśmy dyskutować. Sam wyraz „miłość" jest kością niezgody między nami. Gdyby ona się upomniała o swe prawa, co byśmy zrobili, co byśmy czuli? Mój drogi kuzynie, porzuć plan małżeństwa, zapomnij o nim!

— Nie — odpowiedział — to dawno powzięty i drogi mi plan, i jedyny, który może zapewnić powodzenie mojemu wielkiemu dziełu; ale dobrze, w tej chwili nie będę dłużej nalegał. Jutro wyjeżdżam do Cambridge; mam tam wielu przyjaciół, których pragnąłbym pożegnać. Nieobecność moja potrwa dwa tygodnie; przez ten czas rozważ moją propozycję i nie zapomnij, że jeżeli ją odrzucisz, zaprzesz się nie mnie, ale Boga. Bóg ci przeze mnie

otwiera drogę do szlachetnego zajęcia; możesz je podjąć jako moja żona jedynie. Jeżeli odmówisz i nie zechcesz być moją żoną, ograniczysz się na zawsze do ścieżki samolubnej wygody i bezowocnego zapomnienia. Drżyj, ażebyś wówczas nie była zaliczona pomiędzy tych, co się zaparli wiary i gorsi są niż niewierni!

Skończył. Odwracając się ode mnie, raz jeszcze.

Spojrzał na rzekę, spojrzał na wzgórza.

Ale tym razem zamknął uczucia we własnym sercu. Nie byłam godna, by je przede mną wypowiadał. Wracając obok niego do domu, czytałam jasno w jego zakamieniałym milczeniu, co czuł wobec mnie: rozczarowanie surowej i despotycznej natury, która napotkała opór tam, gdzie liczyła na uległość, naganę chłodnego, nieugiętego sędziego, który odkrył w drugim człowieku uczucia i poglądy, których nie potrafi podzielać; słowem, jako człowiek byłby pragnął zmusić mnie do posłuszeństwa, a tylko jako szczery chrześcijanin znosił tak cierpliwie moją przewrotność i dawał mi tak długi czas do namysłu i żalu.

Tego wieczora, pocałowawszy siostry, uważał za właściwe zapomnieć nawet podać mi rękę; w milczeniu wyszedł z pokoju. Chociaż go nie kochałam, miałam dla niego wiele przyjaźni, i to rozmyślne pominięcie dotknęło mnie tak bardzo, że łzy stanęły mi w oczach.

— Widzę, że pokłóciliście się z St. Johnem podczas przechadzki — rzekła Diana. — Ale idź za nim, Jane; zatrzymał się w korytarzu spodziewając się, że wyjdziesz, on się z tobą pogodzi.

Nie rządzę się dumą w takich okolicznościach: wolę mieć pogodę w sercu niż nosić się godnie; wybiegłam za nim, stał u stóp schodów.

— Dobranoc, St. John — rzekłam.

— Dobranoc, Jane — odpowiedział spokojnie.

— Więc podaj mi rękę — dodałam.

Jakimże zimnym, luźnym dotknięciem ujął moje palce! Był głęboko

urażony; serdeczność nie mogła go rozgrzać ani łzy wzruszyć. Nie było mowy o szczerym pogodzeniu się z nim ani o ciepłym uśmiechu lub dobrotliwym słowie. Jednakże chrześcijańskie uczucia kazały mu być cierpliwym i pogodnym; a gdy go zapytałam, czy mi przebacza, odpowiedział, że nie ma zwyczaju chować w duszy urazy, że nie ma nic do przebaczenia, gdyż nie został obrażony.

Po czym odszedł do swego pokoju. Byłabym wolała, żeby mnie uderzył.

ROZDZIAŁ XXXV

St. John nie wyjechał nazajutrz do Cambridge, jak to zapowiedział. Opóźnił wyjazd o cały tydzień, a przez cały ten czas dawał mi odczuć, jaką ostrą karę potrafi wymierzać człowiek dobry, ale surowy, sumienny i nieubłagany, komuś, kto go obraził. Bez jednego otwarcie nieprzyjaznego postępku, bez jednego słowa nagany dawał mi do zrozumienia, że jestem poza obrębem promieni jego łaski.

Nie twierdzę, że St. John tchnął duchem niechrześcijańskiej mściwości, że gdyby był mógł, uczyniłby mi choć najlżejszą krzywdę. W jego naturze i zasadach nie mieściła się marna radość zemsty. Przebaczył mi powiedzenie, że pogardzam nim i jego miłością, ale nie zapomniał tych słów — i póki życia nie miał ich zapomnieć. Widziałam w jego oczach, skierowanych na mnie, że słowa te unoszą się w powietrzu między nami; ilekroć się odezwałam do niego, słyszał je w moim głosie, a echo tych słów ciążyło nad każdą jego odpowiedzią.

Nie unikał rozmowy ze mną; wzywał mnie nawet, jak zwykle, co rano do wspólnej pracy; podejrzewałam jednak, że grzeszny człowiek w nim — bez udziału czystego chrześcijanina — znajdował przyjemność, choć mówił i działał na pozór jak zwykle, w usuwaniu z każdego słowa, z każdego gestu tego życzliwego zainteresowania i uznania, które przedtem mowie jego i obejściu dodawało poważnego uroku. W stosunku do mnie przestał już w istocie być człowiekiem z krwi i kości, stał się posągiem z kamienia. Oko jego było zimnym, świecącym, niebieskim klejnotem, język mówiącą maszyną — niczym więcej.

Wszystko to było dla mnie torturą — wyrafinowaną, powolną torturą. Podtrzymywało to we mnie tłumiony żar oburzenia i gryzący smutek; to wszystko trapiło mnie i wyczerpywało. Czułam, jak ten dobry człowiek, czysty jak woda w bezsłonecznym źródle, mógłby mnie rychło zabić, gdybym była jego żoną; zabić bez

przelania jednej kropli mojej krwi, bez wzięcia na swe kryształowe sumienie najlżejszego cienia zbrodni. Czułam to zwłaszcza, gdy próbowałam go przejednać. Moja dobra wola nie napotykała dobrej woli u niego. On nie cierpiał nad tym oddaleniem, nie tęsknił do zgody; a chociaż niejeden raz moje łzy skrapiały stronicę, nad którą schylaliśmy się oboje, nie wywierały one na nim większego wrażenia, niż gdyby serce jego doprawdy było z kamienia albo metalu. Równocześnie był trochę cieplejszy niż zwykle w stosunku do sióstr: jak gdyby w obawie, że jego chłód nie przekona mnie dostatecznie, iż jestem zupełnie wygnana i wyklęta, podkreślał to siłą kontrastu. A czynił to, jestem przekonana, nie przez złośliwość, ale z zasady.

W przeddzień jego wyjazdu, zobaczywszy go przypadkiem przy zachodzie słońca w ogródku, przypomniawszy sobie, że ten człowiek, choć tak obcy mi dzisiaj, ocalił mi przecież życie, przypomniawszy sobie, że jesteśmy bliskimi krewnymi, poczułam chęć uczynienia ostatniej próby dla odzyskania jego przyjaźni. Wyszłam i zbliżyłam się doń, gdy stał oparty o furtkę ogrodową. Rzekłam bez wstępu:

— St. John, bardzo mnie to martwi, że wciąż gniewasz się na mnie. Bądźmy przyjaciółmi!

— Sądzę, że jesteśmy przyjaciółmi — odpowiedział niewzruszony, nie przestając patrzeć na wschodzący księżyc.

— Nie, St. John, nie jesteśmy przyjaciółmi jak dawniej. Wiesz o tym.

— Nie jesteśmy? To źle. Ja nic złego ci nie życzę, życzę ci tylko dobrze.

— Wierzę, St. John, gdyż jestem pewna, że ty byś nie potrafił życzyć źle komukolwiek; ponieważ jednak jestem twoją krewną, pragnęłabym znaleźć u ciebie trochę więcej przywiązania niż tylko ten rodzaj ogólnej miłości bliźniego, jaką obdarzasz ludzi zupełnie obcych.

— Oczywiście — odpowiedział. — Twoje życzenie jest uzasadnione, a ja jestem daleki od uważania cię za kogoś obcego.

Te słowa, wypowiedziane chłodnym i spokojnym tonem, zawierały dostatecznie przykrą odprawę. Gdybym posłuchała podszeptów dumy i gniewu, byłabym natychmiast odeszła; jednakże w duszy mojej coś przemawiało silniej niż te uczucia. Miałam głęboką cześć dla zasad i uzdolnień mojego kuzyna. Przyjaźń jego miała dla mnie wartość; utracić ją było dla mnie bolesnym ciosem. Nie chciałam tak prędko zaniechać próby jej odzyskania.

— Czy musimy się rozstać w ten sposób? Czyż wyjeżdżając do Indii pożegnasz mnie tak jak dziś, bez życzliwego słowa?

Teraz odwrócił się od księżyca i spojrzał na mnie wprost.

— Gdy wyjadę do Indii, Jane, mamże ciebie pożegnać? Jak to! To ty nie zamierzasz pojechać do Indii?

— Powiedziałeś, że nie mogę, o ile nie zostanę twoją żoną.

— A ty nie chcesz zostać moją żoną? Trwasz przy tym postanowieniu?

Czytelniku, wiesz równie dobrze jak ja, jaką grozą zimni ludzie potrafią natchnąć swoje lodowate pytania. Do jakiego stopnia ich gniew przypomina spadającą lawinę! Ich niezadowolenie — pękający lód oceanu!

— Nie, St. John, nie będę twoją żoną. Trwam przy tym postanowieniu.

Lawina ruszyła nieco naprzód, lecz nie runęła jeszcze z całą siłą.

— Jeszcze raz zapytuję, dlaczego ta odmowa — powiedział.

— Przedtem — powiedziałam — odmawiałam dlatego, że mnie nie kochasz; a teraz dlatego, że mnie prawie nienawidzisz. Gdybym była twoją żoną, zabiłbyś mnie. Ty mnie teraz zabijasz.

Wargi jego i policzki zbladły — zupełnie zbielały.

— Ja bym ciebie zabił? Ja ciebie zabijam? Takich słów nie wolno używać: są gwałtowne, niekobiece i nieprawdziwe. Świadczą o niefortunnym stanie duszy; godne są surowej nagany; byłyby nie do

wybaczenia, gdyby nie to, że mamy obowiązek przebaczać bliźniemu do siedemdziesięciu siedmiu razy.

Dałam za wygraną. Gorąco pragnąc wymazać mu z duszy ślady poprzedniej obrazy, wycisnęłam na tej wrażliwej powierzchni piętno nowej, wypaliłam je gorącym żelazem.

— Teraz ty mnie naprawdę będziesz nienawidził — powiedziałam. — Daremnie usiłowałabym cię przebłagać; widzę, że raz na zawsze zrobiłam sobie wroga.

Świeżą ranę zadały te słowa, tym głębszą, że dotknęły prawdy. Pobladłe wargi drgnęły chwilowym skurczem. Poznałam, jaki stalowy gniew wyostrzyłam. Serce się we mnie krajało.

— Najzupełniej fałszywie tłumaczysz moje słowa — przemówiłam chwytając jego rękę. — Nie miałam zamiaru ani cię dotknąć, ani ci sprawić przykrości... doprawdy nie miałam zamiaru!

Gorzko zaiste się uśmiechnął, szybko i stanowczo wyciągnął rękę z mojej.

— A teraz, przypuszczam, odwołujesz w ogóle obietnicę wyjazdu do Indii? — przemówił po dość długiej pauzie.

— Owszem, pojadę jako twoja pomocnica — odpowiedziałam.

Nastało bardzo długie milczenie. Jaka tam toczyła się walka w jego duszy pomiędzy naturą ludzką a Łaską, tego nie wiem; wiem tylko, że dziwne błyski migotały mu w oczach i dziwne cienie przelatywały po twarzy. W końcu przemówił:

— Już ci przedtem dowiodłem, jaki to nonsens, by niezamężna kobieta w twoim wieku chciała towarzyszyć za granicę nieżonatemu młodemu mężczyźnie. Wykazałem ci to w taki sposób, że sądziłbym, powinno by cię to powstrzymać od powracania do tego pomysłu. Żałuję, żeś to uczyniła, ze względu na ciebie...

Przerwałam mu. Wymówka dodała mi od razu odwagi.

— Bądźże rozsądny, St. John, zaczynasz mówić od rzeczy. Udajesz, że cię razi to, co powiedziałam. Ciebie to naprawdę nie razi, gdyż

przy twojej wyższości umysłu nie możesz być ani tak tępy, ani tak zarozumiały, ażeby źle zrozumieć, co ja mam na myśli. Jeszcze raz powiadam: będę twoim „wikarym", jeżeli chcesz, ale nigdy nie będę twoją żoną.

Znowu pobladł, aż posiniał; ale, jak przedtem, doskonale opanował wzburzenie. Odpowiedział z naciskiem, chociaż spokojnie:

— Kobieta wikarym, kobieta nie będąca moją żoną; nie odpowiadałaby mi wcale. Ze mną zatem, jak się zdaje, nie możesz pojechać. Jeżeli jednak jesteś szczera, pomówię w mieście z żonatym misjonarzem, którego żona potrzebuje pomocnicy. Twój własny majątek uniezależni cię od pomocy Towarzystwa i w ten sposób może ci jeszcze być oszczędzony dyshonor złamania obietnicy i dezercji z szeregu, do którego zobowiązałaś się należeć.

Ale wiesz przecież, czytelniku, że ja nigdy nie związałam się formalną obietnicą ani zobowiązaniem, toteż mowa St. Johna tym razem była nazbyt twarda i despotyczna.

— Tu nie ma dyshonoru — odpowiedziałam — nie ma złamanej obietnicy ani dezercji. Nie jestem niczym a niczym zobowiązana jechać do Indii, zwłaszcza z obcymi. Z tobą gotowa byłam wyjechać, ponieważ podziwiam cię, ufam ci i kocham cię jako siostra, lecz jestem przekonana, że kiedykolwiek i z kimkolwiek bym pojechała, nie żyłabym długo w tamtym klimacie.

— Ach, więc się boisz o siebie! — rzekł ironicznie wykrzywiając wargi.

— To prawda. Bóg nie po to dał mi życie, ażebym je zmarnowała, a zaczynam sądzić, że to, czego ty chcesz ode mnie, równałoby się popełnieniu samobójstwa. Poza tym, zanimbym ostatecznie postanowiła opuścić Anglię, chcę się najpierw upewnić, czy nie mogę być pożyteczniejsza pozostając w kraju.

— Co przez to rozumiesz?

— Daremną byłoby rzeczą ci tłumaczyć. Jest jednakże sprawa, co do której od dawna dręczą mnie przykre wątpliwości, tak że nigdzie nie mogłabym się udać, dopóki bym ich jakimś sposobem nie

usunęła.

— Wiem, do czego serce twoje ciągnie i do czego lgnie. Uczucie, które cię powstrzymuje, jest nieprawe i nieuświęcone. Od dawna powinnaś je była stłumić, a teraz powinnaś się rumienić, że o nim wspominasz. Masz na myśli pana Rochestera?

Milczenie moje było potwierdzeniem jego słów.

— Czy chcesz odszukać pana Rochestera?

— Muszę się dowiedzieć, co się z nim stało.

— Pozostaje mi więc tylko pamiętać o tobie w moich modlitwach i jak najusilniej błagać Boga, byś się istotnie nie stała jedną z odrzuconych. Zdawało mi się, że rozpoznałem w tobie jedną z wybranych. Ale Bóg widzi inaczej niż człowiek. Niech się stanie Jego wola.

Otworzył furtkę i ruszył w stronę wąwozu. Niebawem zniknął mi z oczu.

Wróciwszy do bawialni zastałam Dianę stojącą przy oknie i bardzo zamyśloną. Diana była o wiele wyższa ode mnie; oparła mi rękę na ramieniu i nachyliwszy się popatrzyła mi w twarz.

— Jane — powiedziała — wciąż teraz bywasz wzburzona i blada. Jestem pewna, że coś w tym jest. Powiedz mi, co tam knujecie z St. Johnem? Przyglądałam wam się teraz przez pół godziny; przebacz mi, że byłam szpiegiem, ale już od dawna wyobrażam sobie Bóg wie co. St. John to dziwny człowiek...

Przerwała, ja milczałam; niebawem mówiła dalej:

— Ten mój brat, jestem pewna, musi mieć jakieś szczególniejsze zamiary względem ciebie; od dawna wyróżnia cię, zwraca na ciebie uwagę i interesuje się tobą jak dotąd jeszcze nikim. W jakim celu? Chciałabym, żeby cię kochał. Czy on ciebie kocha. Jane?

Przyłożyłam jej chłodną dłoń do mego rozpalonego czoła.

— Nie, Dianko, ani trochę.

— Więc dlaczego tak wodzi za tobą oczami i tak często zostaje sam na sam z tobą, i tak cię ciągle trzyma przy swoim boku? Mary i ja obie wywnioskowałyśmy, że pragnąłby, żebyś za niego wyszła.

— Istotnie prosił mnie, żebym została jego żoną. Diana klasnęła w ręce.

— Tego się właśnie spodziewałyśmy i o tym myślałyśmy. Więc wyjdziesz za niego, Jane, prawda? A wtedy on pozostanie w Anglii.

— Nic podobnego, Dianko; on dlatego jedynie czyni mi tę propozycję, że chciałby zyskać odpowiednią współpracownicę w trudach misjonarskich.

— Jak to! Chciałby cię zabrać do Indii?

— A właśnie.

— Szaleństwo! — zawołała. — Jestem pewna, że nie wyżyłabyś tam dłużej niż trzy miesiące. Nie, nie pojedziesz tam; przecież się chyba nie zgodziłaś?

— Powiedziałam mu, że nie chcę być jego żoną.

— I tym go zapewne dotknęłaś? — podsunęła.

— Głęboko; obawiam się, że on mi nigdy nie wybaczy; jednakże ofiarowałam się towarzyszyć mu jako jego siostra.

— Popełniłaś kapitalne głupstwo. Pomyśl, jakiego podjęłaś się zadania: bezustannego trudu tam, gdzie trud zabija nawet silnych, a ty jesteś słaba. Znasz St. Johna, wymagałby od ciebie niemożliwości. On by ci nie pozwalał na odpoczynek mimo nieznośnych upałów, a zauważyłam, niestety, że czego on od ciebie zażąda, ty się silisz to spełnić. Dziwię się, że zdobyłaś się na odwagę odmówienia mu ręki. Czy go nie kochasz, Jane?

— Jako męża, nie.

— A jednak on jest pięknym mężczyzną.

— A ja jestem brzydka; widzisz, Dianko, nie bylibyśmy dobrani.

— Ty, brzydka? Wcale nie. Jesteś zbyt ładna i dobra, by się dać żywcem usmażyć w Kalkucie.

I znowu zaczęła mnie poważnie zaklinać, bym porzuciła wszelką myśl wyruszenia z jej bratem.

— Będę musiała, istotnie, porzucić tę myśl — odpowiedziałam — bo gdy przed chwilą powtórzyłam, że gotowa jestem służyć mu za wikarego, był zgorszony moją nieprzyzwoitością. Dał mi do zrozumienia, że uważa, jakobym popełniła niewłaściwość ofiarując się towarzyszyć mu niezamężna, jak gdybym od początku nie spodziewała się znaleźć w nim brata i jakbym go nie uważała za brata.

— Dlaczego mówisz, że on ciebie nie kocha?

— Chciałabym, żebyś słyszała co on sam o tym mówi. Wiele razy mi tłumaczył, że nie dla siebie, ale do swojej pracy szuka towarzyszki. Powiedział mi, że jestem stworzona do pracy, nie do miłości, co zresztą jest zapewne prawdą. Tylko że, moim zdaniem, jeżeli nie jestem stworzona do miłości, to wynika z tego, że nie jestem stworzona do małżeństwa. Czy nie byłoby to dziwne, Dianko, być na całe życie przykutą do człowieka, który widziałby we mnie jedynie pożyteczne narzędzie?

— Byłoby *to* nienaturalne i nieznośne, mowy o tym być nie może!

— A przy tym — ciągnęłam dalej — chociaż teraz mam dla niego tylko siostrzane uczucie, to jednak potrafię sobie wyobrazić, że gdyby mnie zmusił do poślubienia go, mogłabym powziąć ku niemu rodzaj dziwnej, nieuchronnej i dręczącej miłości, ponieważ *on* jest takim niezwykłym człowiekiem i ma w sobie często jakąś bohaterską wielkość. W takim wypadku los mój stałby się niewypowiedzianie ciężki. On by wcale nie pragnął, bym go kochała; a gdybym okazywała uczucie, dałby mi do zrozumienia, że to rzecz zbyteczna, jemu niepotrzebna, we mnie niewłaściwa. Ja wiem, że on tak by postępował.

— A jednak St. John to dobry człowiek — rzekła Diana.

— On jest dobry i wielki, tylko zdążając sam do wielkich celów,

bezlitośnie zapomina o uczuciach i prawach ludzi małych. Toteż lepiej, by mali schodzili mu z drogi, ażeby ich w rozpędzie nie zdeptał. Ale oto on wraca! Pożegnam cię, Dianko.

I pośpieszyłam na górę widząc, że St. John wchodzi do ogródka.

Musiałam się jednak spotkać z nim jeszcze przy kolacji. Wydawał się spokojny i zrównoważony jak zawsze. Myślałam, że nie zechce mówić do mnie, i byłam pewna, że zaniechał projektu małżeńskiego. Ale omyliłam się w obu przypuszczeniach. Zwracał się do mnie jak zawsze — to znaczy w ostatnich czasach — z wyszukaną grzecznością. Wezwał niewątpliwie pomocy Ducha Świętego do opanowania gniewu, który w nim wznieciłam, a teraz wierzył w swoje przebaczenie.

Na wieczorne czytanie przed modlitwami obrał dwudziesty pierwszy rozdział Objawienia. Zawsze było miło słuchać, gdy z ust jego padały słowa Biblii; jego piękny, pełny głos nigdy nie brzmiał tak słodko — nigdy szlachetna prostota jego zachowania nie sprawiała takiego wrażenia jak wtedy, gdy wygłaszał słowa Boże; a tego wieczoru głos ten przybrał ton jeszcze uroczystszy, zachowanie stało się bardziej wzruszające; siedząc pośrodku rodzinnego kółka (majowy księżyc świecił przez nie zasłonięte okna, zalewając pokój takim światłem, że świeca na stole zdawała się zbyteczna), pochylony nad wielką, starą księgą, St. John odczytywał z jej kart wizję nowego nieba i nowej ziemi — obwieszczał, jak Bóg przyjdzie zamieszkać między ludźmi, obetrze łzy z ich oczu, zapowie, że już nie będzie ani śmierci, ani smutku, ani łez, ani bólu, gdyż wszystko, co było, minęło.

Następujące słowa dziwnie mnie przejęły, zwłaszcza gdy poznałam po lekkiej, nieokreślonej zmianie głosu, że wymawiając je zwrócił wzrok na mnie:

— „Kto zwycięży, odziedziczy wszystko i będę mu Bogiem, a on mi będzie synem. Lecz — tu czytał powoli, wyraźnie — bojaźliwym i niewiernym itd. część ich dana będzie w jeziorze gorejącym ogniem i siarką. Tać jest śmierć wtóra."

Teraz wiedziałam, jakiego losu St. John obawia się dla mnie. Spokojny, opanowany triumf zaprawiony tęskną powagą, brzmiał w

zapowiedzi ostatnich wspaniałych wierszy tego rozdziału. Czytający wierzył, że imię jego jest już zapisane w księdze żywota Baranka, i tęsknił do tej godziny, która go przywiedzie do stolicy, do której królowie ziemi wnoszą chwałę swoją i zaszczyty; która nie potrzebuje słońca ani księżyca, gdyż chwała Boża ją oświetla, a Baranek jest jej jasnością.

W modlitwie, którą zmówił po odczytaniu tego rozdziału, skupił całą swoją energię, cały zapał swej wiary. Czuło się szczerość tego zapału, zmagał się z Bogiem i zdecydowany był odnieść zwycięstwo. Błagał o moc dla słabych, o przewodnika dla błąkających się poza owczarnią, o nawrócenie, bodaj przed śmiercią, tych, których pokusy tego świata i pokusy cielesne nęciły do opuszczenia wąskiej ścieżki. Błagał, nalegał, domagał się łaski wyciągnięcia głowni z płomieni. Słuchając tej modlitwy zrazu zastanowiłam się, czy on jest szczery; gdy trwała dalej i rosła w siłę, zaczęła mnie wzruszać; w końcu napełniła mnie czcią. On tak szczerze czuł wielkość i dobroć swego pragnienia, że ci, co słuchali, jak się modlił o jego ziszczenie, musieli je również odczuwać.

Po skończonej modlitwie pożegnałyśmy się z St. Johnem: miał wyjechać nazajutrz rano bardzo wcześnie. Diana i Mary ucałowawszy go wyszły z pokoju stosując się, zdaje mi się, do podszepniętego przez niego życzenia, ja podałam mu rękę i życzyłam szczęśliwej drogi.

— Dziękuję ci, Jane. Jak powiedziałem, powrócę z Cambridge za dwa tygodnie, ten okres czasu zatem pozostaje ci jeszcze do namysłu. Gdybym słuchał głosu dumy, już ani słowem nie wspomniałbym o małżeństwie z tobą. Ale ja słucham głosu obowiązku i stale mam na oku główny mój cel: czynić wszystko dla chwały Boga. Pan mój był cierpliwy i ja będę cierpliwy. Nie mogę wydać cię na zgubę jak naczynie gniewu; żałuj, postanawiaj, póki jeszcze czas. Pamiętaj, że nakazano nam pracować, póki dzień trwa, że ostrzeżono nas, iż „nadejdzie noc, gdy człowiek pracować nie będzie". Pamiętaj o losie bogacza, który za życia dostąpił wszystkiego, co dobre. Niech Bóg ci da siłę, ażebyś wybrała tę lepszą cząstkę, która ci odebrana nie będzie!

Wymawiając te ostatnie słowa położył mi rękę na głowie. Mówił poważnie, łagodnie; spojrzenie jego nie było, to prawda,

spojrzeniem kochanka patrzącego na ukochaną, ale spojrzeniem pasterza odwołującego zbłąkaną owieczkę, albo raczej spojrzeniem anioła stróża strzegącego duszy, za którą jest odpowiedzialny. Wszyscy ludzie wybitni, czy są uczuciowi, czy nie, czy są zapaleńcami, idealistami lub despotami, o ile tylko są szczerzy, mają swoje chwile wzniosłości, a wtedy podbijają i panują. Poczułam uwielbienie i cześć dla St. Johna, cześć tak silną, że poryw jej poniósł mnie od razu tam, dokąd dotrzeć wzbraniałam się tak długo. Wzięła mnie pokusa zaprzestania z nim walki, rzucenia się w strumień jego woli i jego istnienia, żeby tam zatracić własną wolę. Czułam, że on nieomal tak zniewala mnie teraz, jak niegdyś, w odmienny sposób, opanowywał mnie inny. Byłam szalona tak wtedy, jak i w tej chwili. Ustąpić wtedy byłoby występkiem przeciw zasadom, ustąpić teraz — występkiem przeciw rozumowi. Tak to widzę obecnie, gdy patrzę wstecz z odległości czasu; w owej chwili nie uświadamiałam sobie, że to szaleństwo.

Stałam bez ruchu jakby pod dotknięciem ręki arcykapłana. Dotychczasowa moja odmowa była zapomniana, lęk przezwyciężony, zmaganie się spętane bezwładem. Rzecz niemożliwa — moje małżeństwo z St. Johnem — szybko stawała się możliwością. Wszystko nagle zmieniło się z gruntu. Religia wołała, anieli wzywali, Bóg rozkazywał, życie zwijało się jak zwitek papieru, otwierały się bramy śmierci ukazując wieczność; zdawało się, że za bezpieczeństwo i szczęśliwość tam — wszystko, co tutaj, można poświęcić w jednym momencie. Ciemny pokój pełen był wizji.

— Czy mogłabyś się teraz zdecydować? — zapytał misjonarz.

Zadał pytanie łagodnym tonem, przyciągnął mnie do siebie równie łagodnie. Och, ta łagodność! O ileż potężniejsza jest od siły! Mogłam się oprzeć gniewowi St. Johna, stawałam się giętka jak trzcina pod wpływem jego dobroci. Pomimo to wiedziałam przez cały ten czas, że jeżeli ustąpię teraz, kiedyś każe on mi pożałować poprzednich moich buntów. Natury jego nie zmieniła jedna godzina uroczystej modlitwy, to była jedynie wzniosła chwila.

— Mogłabym się zdecydować, gdybym tylko była pewna — odpowiedziałam. — Gdybym tylko była przekonana, że Bóg tego chce, wyszłabym za ciebie, mogłabym zaraz tutaj przyrzec, że

zostanę twoją żoną... niechby potem było, co chce!

— Moje modlitwy zostały wysłuchane! — zawołał St. John.

Przycisnął silniej ręką moją głowę, jak gdyby brał mnie na własność, otoczył mnie ramieniem, prawie jak gdyby mnie kochał (mówię: prawie, bo znałam różnicę, gdyż czułam, co to jest być kochaną; ale jak on wyrzuciłam teraz miłość poza nawias i miałam na myśli tylko obowiązek). Zmagałam się teraz z niejasnością wewnętrznego widzenia, które wciąż jeszcze przesłaniały chmury. Szczerze, głęboko pragnęłam uczynić to, co było słuszne, i to tylko. „Pokaż, pokaż mi drogę, o Panie!" — modliłam się w duszy. Byłam tak podniecona jak nigdy jeszcze, i niech czytelnik osądzi, czy to, co nastąpiło, było skutkiem podniecenia.

W całym domu panowała cisza, gdyż wszyscy z wyjątkiem St. Johna i mnie udali się na spoczynek. Jedyna świeca dogasała; pokój zalewała poświata księżyca. Serce moje biło silnie i szybko, słyszałam jego uderzenia. Nagle stanęło, a jakieś nieopisane uczucie przejęło je na wskroś, przebiegając równocześnie do głowy i kończyn. To uczucie nie było podobne do elektrycznego wstrząsu, ale było równie silne, równie dziwne, równie niepokojące; podziałało na moje zmysły w ten sposób, że najżywsze ich dotychczasowe przejawy wydawały się tylko bezwładem, z którego teraz budziły się wyostrzone. Oko i ucho tężyło się w oczekiwaniu, podczas gdy całym ciałem wstrząsał dreszcz.

— Coś usłyszała? Co widzisz? — zapytał St. John. Nic nie widziałam, ale usłyszałam gdzieś głos wołający: „Jane! Jane! Jane!"

I nic więcej.

— O Boże! Co to jest? — wykrztusiłam.

Mogłam była zapytać: „Gdzie to jest?", gdyż wołanie nie wychodziło z pokoju ani z domu, ani z ogrodu; nie płynęło z powietrza ani spod ziemi, ani gdzieś z góry. Usłyszałam je, ale gdzie i skąd, nie sposób było wiedzieć. A był to głos ludzkiej istoty — znany, kochany, dobrze pamiętany głos Edwarda Fairfaxa Rochestera; mówił z bólem i żalem, dziwnie tęsknie i natarczywie.

— Idę! — odkrzyknęłam. — Czekaj na mnie! O, przyjdę!

Skoczyłam ku drzwiom i wyjrzałam na korytarz — był ciemny. Wybiegłam do ogrodu — był pusty.

— Gdzie jesteś? — zawołałam.

Wzgórza poza wąwozem odrzuciły słabym echem: „Gdzie jesteś?" Nasłuchiwałam. Wiatr szeleścił cicho wśród jodeł: wokół pustka i cisza północna.

„Precz z zabobonną trwogą! — pomyślałam, gdyż czarny cis obok furtki wydał mi się ciemną postacią. — To nie szatańska złuda, to nie czary: to dzieło natury. Pobudzona natura nie zdziałała cudu, lecz najlepsze dzieło."

Wyrwałam się St. Johnowi, który wyszedł za mną i chciał mnie zatrzymać. Teraz na mnie przyszła kolej wziąć górę.

Oświadczyłam mu, że ma powstrzymać pytania i uwagi; prosiłam, żeby mnie opuścił, gdyż chcę i muszę być sama. Usłuchał od razu. Kto ma energię, żeby dobrze rozkazywać, znajdzie zawsze niezawodny posłuch. Poszłam do swego pokoju; zamknęłam się tam: padłam na kolana i modliłam się po swojemu, nie tak jak St. John, ale skutecznie. Zdawało mi się, że przenikam bardzo blisko potężnego Ducha; dusza moja z wdzięcznością padła Mu do stóp. Wstałam po tej dziękczynnej modlitwie, uczyniłam postanowienie i położyłam się uspokojona, z duszą rozjaśnioną, pragnąc tylko, by dzień nastał prędko.

ROZDZIAŁ XXXVI

Zajaśniał dzień. Wstałam o świcie. Krzątałam się ze dwie godziny układając rzeczy w pokoju, w komodach, w szafie, tak jak pragnęłam je pozostawić na przeciąg krótkiej nieobecności. Wtem usłyszałam, że St. John wychodzi ze swego pokoju. Zatrzymał się pod moimi drzwiami; lękałam się, że zapuka, ale nie — podsunął tylko kawałek papieru pod drzwi. Podniosłam go i przeczytałam te słowa:

Zbyt nagle opuściłaś mnie wczoraj wieczorem. Gdybyś była chwilę dłużej pozostała, byłabyś położyła rękę na krzyżu chrześcijanina i na anielskiej koronie. Będę oczekiwał od Ciebie wyraźnej odpowiedzi, gdy powrócę za dwa tygodnie. Tymczasem módl się i czuwaj, ażebyś nie uległa pokusie. Ufam, że duch jest silny, ale ciało, jak widzę, jest mdłe. Będę się modlił za ciebie w każdej godzinie.

Twój St. John

„Duch mój — odpowiedziałam w myśli — gotów jest uczynić, co słuszne; a ciało moje, mam nadzieję, dosyć jest silne, by spełnić wolę Nieba, gdy raz tę wolę dokładnie rozpozna. W każdym razie dosyć będzie silne, by szukać wyjścia z tej chmury wątpliwości i znaleźć jasną pewność."

Działo się to pierwszego czerwca, lecz ranek był chmurny i chłodny; deszcz bębnił w szyby mojego okna. Słyszałam, że otwierają się drzwi frontowe i St. John wychodzi. Spojrzawszy przez okno zobaczyłam go idącego przez ogród i następnie przez zamglone wrzosowiska w kierunku Whitcross; tam miał wsiąść do dyliżansu.

„Za kilka godzin i ja pójdę w ślad za tobą, kuzynie — pomyślałam.

— I ja mam złapać dyliżans w Whitcross. I ja. mam kogoś, kogo chciałabym zobaczyć, o kogo chciałabym się dowiedzieć, zanim wyjadę z kraju na zawsze."

Dwóch godzin jeszcze brakło do śniadania. Chodziłam cicho po pokoju rozważając zajście, które nadało moim planom obecny kierunek. Przypominałam sobie wewnętrzne wrażenie, jakiego doświadczyłam, gdyż mogłam je sobie przypomnieć, choć było tak niewypowiedzianie dziwne. Przypominałam sobie głos, który usłyszałam; znów zadawałam sobie pytanie, skąd płynął, i znów daremnie; zdawało mi się, że usłyszałam go w sobie, nie zaś z zewnątrz. Zadawałam sobie pytanie, czy to była po prostu gra nerwów, czy złudzenie. Nie mogłam tego pojąć ani w to uwierzyć: było to raczej podobne do natchnienia. Przedziwny wstrząs odczucia przyszedł jak trzęsienie ziemi i zachwiał fundamentami więzienia, otwarł drzwi do celi duszy i zdjął z niej więzy: zbudził ją ze snu, a ona zerwała się drżąca, nasłuchująca, przerażona; wtedy zabrzmiało po trzykroć wołanie odzywające się w zdumionych uszach, sercu, duchu — i duch ten bez trwogi i drżenia cieszył się jak gdyby w radosnym uniesieniu, że dane mu było uczynić skuteczny wysiłek, niezależnie od grubej cielesnej powłoki.

„Zanim minie kilka dni — mówiłam sobie kończąc dumania — będę coś wiedziała o tym, którego głos zdawał się mnie wzywać. Listy były bezskuteczne, więc sama pojadę."

Przy śniadaniu oznajmiłam Dianie i Mary, że udaję się w podróż i będę co najmniej cztery dni nieobecna.

— Sama jedziesz, Jane? — zapytały.

— Tak; żeby zobaczyć albo zasięgnąć wiadomości o przyjacielu, o którego od pewnego czasu jestem niespokojna.

Mogły mi były powiedzieć — co niewątpliwie pomyślały — że sądziły, iż nie mam innych przyjaciół prócz nich, gdyż przecie często to mówiłam. Przy wrodzonej jednak delikatności powstrzymały się od wszelkich uwag; jedynie Diana zapytała mnie, czy czuję się dość dobrze, by móc się puszczać w drogę. Zauważyła, że jestem bardzo blada. Odpowiedziałam jej, że nic mi nie dolega oprócz niepokoju, a ten mam nadzieję wkrótce usunąć.

Przygotowywałam się więc do drogi bez dalszych przeszkód, nikt bowiem mnie już nie pytał i nie napominał. Moje kuzynki zrozumiały, że nie zmienię planów, i zostawiły mi całkowitą swobodę działania, postępując tak, jak i ja bym postąpiła w podobnych okolicznościach.

Opuściłam Moor House o trzeciej po południu, a zaraz po czwartej stanęłam w Whitcross czekając tam nadejścia dyliżansu, który miał mnie zawieźć do dalekiego Thornfield. W ciszy tych pustych dróg i samotnych wzgórz już z daleka usłyszałam, że nadjeżdża. Był to ten sam dyliżans, z którego rok temu wysiadłam pewnego letniego wieczoru na tym samym miejscu — jakże zrozpaczona, bez cienia nadziei, bez celu przed sobą! Na dany znak dyliżans się zatrzymał. Wsiadłam — nie potrzebowałam już teraz całym swym majątkiem opłacać jazdy. W drodze do Thornfield poczułam się jak gołąb pocztowy powracający do domu.

Była to podróż trwająca trzydzieści sześć godzin. Wyruszyłam z Whitcross we wtorek po południu, a wcześnie rano następnego czwartku dyliżans stanął przed przydrożną gospodą, by napoić konie. Gospoda leżała w otoczeniu, którego zielone płoty, szerokie pola i pastwiska na niskich pagórkach (o jakże łagodnie ich zarys i zieleń wyglądały w porównaniu z surowymi wzgórzami północno-środkowej okolicy w Morton!) powitały mnie jak rysy dobrze niegdyś znajomej twarzy: tak, znałam ten krajobraz; byłam pewna, że jestem blisko celu.

— Jak daleko stąd do Thornfield Hall? — zapytałam stajennego.

— Idąc polami, okrągłe dwie milki, proszę pani. „Więc to już koniec mojej podróży" — pomyślałam. Wysiadłam, oddałam kuferek pod opiekę stajennego aż do mego powrotu. Zapłaciłam za podróż, dałam napiwek woźnicy i zamierzałam odejść. Dzień robił się jaśniejszy i w jego świetle zobaczyłam nazwę gospody: „Pod Herbem Rochesterów". Serce zabiło we mnie głośno: więc jestem już na ziemi mojego pana! I znowu serce stanęło; ścisnęła je myśl:

„On sam, twój pan, znajduje się może po drugiej stronie Kanału. A zresztą, jeśli jest w Thornfield Hall, dokąd ty śpieszysz, kto jest tam przy nim? Obłąkana, jego żona; a ty nie masz z nim nic wspólnego; nie śmiesz przemówić do niego ani szukać jego towarzystwa.

Daremnie się trudziłaś — lepiej nie zapuszczaj się dalej. Rozpytaj ludzi w gospodzie; oni ci wszystko powiedzą, od razu rozproszą twoje wątpliwości. Idź do tego tam człowieka i zapytaj, czy pan Rochester przebywa w Thornfield."

Myśl była rozsądna, a jednak nie mogłam się zmusić, aby jej usłuchać. Tak się obawiałam odpowiedzi, która by mnie zdruzgotała rozpaczą. Przedłużać wątpliwość znaczyło przedłużać nadzieję. Pragnęłam choćby raz jeszcze zobaczyć znajome ściany. Tu oto był przede mną przełaz — tu były te same pola, przez które biegłam ślepa i głucha, oszalała, gnana przez mściwą furię ścigającą mnie owego ranka, gdy uciekałam z Thornfield; zanim sama wiedziałam, co postanowiłam, już byłam prawie w połowie drogi. Jakże prędko szłam! Jak biegłam chwilami! Jak wytężałam wzrok, by dojrzeć pierwszy zarys dobrze znajomych lasków! Z jakim uczuciem witałam pojedyncze znajome drzewa i przebłyski łąk i wzgórz pomiędzy nimi!

W końcu ukazały się laski; wronie gniazda zaczerniły się gęsto; głośne krakanie przerwało ciszę poranną. Ogarnęła mnie przedziwna szczęśliwość: spieszyłam naprzód. Jeszcze jedno pole, jeszcze jedna ścieżka i oto ukazały się mury podwórza, tylne zabudowania, bo drzewa z wronimi gniazdami jeszcze mi zasłaniały sam dwór. „Najpierw muszę rzucić okiem na dom od frontu, bo tam jego blanki uderzą oko od razu szlachetnym kształtem; bo tam będę mogła zobaczyć okno mojego pana; może będzie stał w oknie; on wcześnie wstaje; może teraz przechadza się po sadzie albo po wykładanej kamieniami dróżce przed domem? Gdybym tylko mogła go zobaczyć! Choćby przez chwilę!

Przecież nie oszalałam chyba do tego stopnia, żeby do niego pobiec? Nie wiem... nie jestem pewna. A gdyby nawet... co wtedy? Niech go Bóg ma w swojej opiece... co wtedy? Komu by się stała krzywda, gdybym raz jeszcze zaczerpnęła życia z jego spojrzenia? Ależ ja od zmysłów odchodzę; on może w tej chwili ogląda wschód słońca nad Pirenejami albo na spokojnym Morzu Południowym."

Przekradłam się wzdłuż niższego muru pod sadem i zawróciłam na rogu; w tym miejscu znajdowała się brama, wychodząca na łąkę, między dwoma filarami uwieńczonymi kamiennymi kulami.

Spoza filaru mogłam spokojnie wyjrzeć i objąć okiem pełny front domu. Wysunęłam głowę ostrożnie, pragnąc się przekonać, czy story w sypialniach już podniesione; blanki, okna, długi front — wszystko mogłam widzieć z tego ukrytego stanowiska.

Wrony nade mną przyglądały mi się może w tej chwili. Ciekawam, co one sobie myślały; pewnie, że jestem bardzo nieśmiała, lecz powoli nabierałam śmiałości.

Spojrzałam ukradkiem, a potem długo patrzyłam i patrzyłam... aż wypadłam z ukrycia i wybiegłam na łąkę; i nagle stanęłam przed frontem wielkiego budynku i zapatrzyłam się weń długo, uporczywie.

„Cóż za komedię nieśmiałości odgrywałaś z początku — mogły zapytać. — Co za głupi przejaw nietaktu obecnie?"

Wysłuchaj mnie, czytelniku.

Kochanek widzi swoją ukochaną śpiącą na murawie i chce się przyjrzeć jej pięknej twarzy nie budząc jej. Skrada się cicho przez trawę starając się nie wydać żadnego dźwięku. Przystaje, bo mu się zdawało, że ona się poruszyła; cofa się, za nic w świecie nie chce być przez nią widziany. Wokół panuje cisza. On znów rusza naprzód. Pochyla się nad nią, lekka zasłona okrywa jej rysy; podnosi zasłonę, pochyla się niżej i oczy jego poją się widokiem piękna — ciepłego, rozkwitłego, cudownego w spoczynku. Jakże przelotne było pierwsze jego spojrzenie! A teraz zapatrzył się zapamiętale! Przejmuje go dreszcz! Nagle porywa gwałtownie w ramiona tę postać, której jeszcze przed chwilą nie ważył się dotknąć palcem! Wykrzykuje na głos jej imię, wypuszcza ją z objęć i patrzy na nią dzikim wzrokiem. Chwyta ją znów w objęcia i woła, i wpatruje się w nią, bo wie, że nie obudzi jej żadnym krzykiem, żadnym ruchem. Myślał, że jego ukochana śpi słodko, lecz widzi, że jest martwa. Z lękliwą radością słałam spojrzenie ku okazałemu domowi — ujrzałam sczerniałą ruinę...

Zbyteczne zaiste było skradanie się bramą! Zbyteczne zaglądanie, czy życie się nie rusza za kratami okien! Zbyteczne nasłuchiwanie, czy nie otwierają się drzwi lub czyjeś kroki nie trzeszczą na żwirze! Łączka, ogród, wszystko było zdeptane i opustoszałe, portal

wejściowy zionął pustką. Front domu był, jak to niegdyś widziałam we śnie: murem podobnym do skorupy — wysoki i kruchy z pozoru, podziurawiony oknami bez szyb, bez dachu, ani blanków, ani kominów — wszystko się zapadło.

I wisiało nad nim milczenie śmierci, samotność opuszczonego pustkowia. Nie dziw, że listy, wysyłane pod tym adresem do ludzi, nie przynosiły odpowiedzi; równie dobrze można by wysyłać listy do grobowych pieczar pod kościołem. Poczerniałe kamienie świadczyły, jakiemu losowi uległ dwór: zniszczył go pożar; lecz jakim sposobem wzniecony? Co się wiąże z tym nieszczęściem? Jakież straty ono sprowadziło oprócz zniszczenia w cegle, marmurze i drzewie? Czy pochłonęło jakie życie ludzkie oprócz strat materialnych? A jeżeli tak, to czyje? Straszne pytanie: nikogo tutaj nie było, kto by mógł dać odpowiedź — brakło nawet niemych świadków, milczących dowodów.

Chodząc dokoła skruszałych murów i po zniszczonym wnętrzu, przekonałam się, że katastrofa zaszła już dość dawno. Zimowe śniegi widocznie wpadały przez te puste arkady, zimowe deszcze przez te okienne dziury, gdyż wśród przemokłych kup gruzu pod tchnieniem wiosny wystrzeliły łodygi roślinne. Trawa i chwasty puszczały pędy tu i ówdzie pomiędzy kamieniami i opadłymi belkami. Ale, ach! gdzież się tymczasem podziewał nieszczęsny właściciel tej ruiny? W jakim kraju? Czy zdrów, czy cały? Mimo woli pobiegłam wzrokiem ku szarej wieży kościoła za bramą i zadałam sobie pytanie: „A może dzieli już wraz z przodkami ich marmurowe schronienie?" Musiałam znaleźć jakąś odpowiedź na te pytania. A mogło się to stać jedynie w gospodzie. Tam też niebawem powróciłam. Gospodarz sam przyniósł mi śniadanie. Prosiłam, żeby zamknął drzwi i usiadł, gdyż chcę mu zadać kilka pytań. Gdy usłuchał, sama nie wiedziałam, od czego zacząć, tak strasznie bałam się tego, co mi powie. A przecież ruina, którą dopiero oglądałam, przygotowała mnie na usłyszenie złej nowiny. Gospodarz był mężczyzną w średnim wieku, przyzwoitej powierzchowności.

— Pan zna Thornfield Hall, oczywiście? — zdołałam w końcu wykrztusić.

— Tak, proszę pani, mieszkałem tam niegdyś.

„Mieszkałeś? Nie za moich czasów — pomyślałam — jesteś mi obcy."

— Byłem kamerdynerem nieboszczyka pana Rochestera — dodał.

„Nieboszczyka!" — spadł na mnie ten straszny cios, którego starałam się uniknąć.

— Nieboszczyka! — wykrztusiłam. — Więc pan Rochester nie żyje?

— Ja mówię o ojcu pana Edwarda, obecnego właściciela — wyjaśnił.

Odetchnęłam; krew popłynęła mi znów w żyłach. Te słowa upewniły mnie, że pan Edward, mój pan Rochester (niech Bóg go ma w swojej opiece, gdziekolwiek się obraca!) żyje przynajmniej, że jest „obecnym właścicielem". Radosne słowa! Teraz już mogłam słuchać stosunkowo spokojnie wszystkiego, co jeszcze miałam usłyszeć. Skoro on nie leży w grobie, mogłabym znieść nawet wiadomość, że jest na drugiej półkuli.

— Czy pan Rochester mieszka obecnie w Thornfield Hall? — zapytałam wiedząc, naturalnie, jaka będzie odpowiedź, ale odwlekając proste pytanie o obecne jego miejsce pobytu.

— Nie, pani, o, nie! Nikt tam teraz nie mieszka. Pani zapewne jest obca w tych stronach, inaczej byłaby pani słyszała, co się tu stało zeszłej jesieni... Thornfield Hall to zupełna ruina; spaliło się w samą porę żniw. Straszna katastrofa! Taka niezmierna moc cennych rzeczy zniszczona; zaledwie cośkolwiek z mebli dało się uratować. Ogień wybuchnął w nocy, a zanim straż pożarna dojechała z Millcote, budynek cały stał w płomieniach. Straszny to był widok! Byłem tego świadkiem.

— W nocy! — szepnęłam. Tak, w Thornfield zawsze noc była porą fatalną. — Czy wiadomo, co wywołało pożar? — zapytałam.

— Zgadywali ludzie, proszę pani, zgadywali. Mogę nawet powiedzieć, że zostało to stwierdzone ponad wszelką wątpliwość. Może pani tego nie wie — tu przysunął się z krzesłem trochę bliżej stołu i mówił cicho — że trzymano tam w domu pewną panią... taką

niespełna... wariatkę, jednym słowem.

— Coś o tym słyszałam.

— Trzymano ją w ścisłym odosobnieniu, proszę pani; ludzie nawet przez szereg lat nie byli zupełnie pewni czy ona istnieje. Nikt jej nie widział; wiedziano tylko z pogłosek, że taka osoba jest we dworze; ale co to za jedna, trudno było odgadnąć. Mówiono, że pan Edward przywiózł ją z zagranicy, a niektórzy myśleli, że była jego kochanką. Ale dziwna rzecz stała się rok temu, bardzo dziwna rzecz.

Lękałam się, że przyjdzie mi teraz wysłuchać własnej mojej historii. Starałam się przywołać go do głównego tematu.

— No i co z tą panią?

— Ta pani — odpowiedział — okazała się żoną pana Rochestera! Odkrycie to nastąpiło w najdziwniejszy sposób. Była tam młoda panna we dworze, nauczycielka, w której się pan Rochester...

— Ale co z pożarem? — podsunęłam.

— Zaraz, proszę pani... w której się pan Edward zakochał. Służące mówiły, że nigdy nie widziały kogoś tak zakochanego jak on; snuł się za nią jak cień. Służące go śledziły, jak to służące, mówiły, że świata nie widział poza nią, bo zresztą nikt oprócz niego nie widział w niej takiej piękności. Była to mała, drobna osóbka, prawie tak jak dziecko. Ja sam nigdy jej nie widziałem, ale opowiadała mi o niej Lea, pokojówka. Lea ją bardzo lubiła. Pan Rochester miał lat około czterdziestu, a ta nauczycielka nawet niecałe dwadzieścia. Ale bo to, widzi pani, jak mężczyzna w jego wieku zakocha się w młodej dziewczynie, bywa niekiedy jak urzeczony... No tak, i pan Rochester chciał się z nią ożenić.

— Tę część historii opowie mi pan później — przerwałam. — Teraz zależy mi przede wszystkim na dowiedzeniu się, z czego wyniknął pożar. Czy podejrzewano, że obłąkana, pani Rochester, przyłożyła do tego rękę?

— Odgadła pani, to zupełnie pewne, że ona wznieciła pożar, nikt

inny. Opiekowała się nią kobieta nazwiskiem Poole, bardzo umiejętna w swoim zawodzie osoba i bardzo zresztą godna zaufania, tylko że miała jedną wadę — wadę często spotykaną u takich pielęgniarek i dozorczyń: miała przy sobie buteleczkę i czasem potrafiła łyknąć o parę kropel za wiele. Można by jej darować, gdyż ciężkie tam miała życie, ale zawsze było to niebezpieczne, bo gdy pani Poole zasypiała mocno po wypiciu, wariatka, przebiegła jak czarownica, wykradała jej klucze z kieszeni, wychodziła z pokoju i snuła się po domu wyrządzając złośliwe szkody i robiąc to, co jej przyszło do głowy. Powiadają, że raz o mało nie spaliła swego męża w łóżku, ale ja o tym nic nie wiem. Tej nocy jednak najpierw zapaliła firanki i portiery w pokoju obok swojego, a potem zeszła na niższe piętro i dostała się do pokoju, który był przedtem pokojem nauczycielki (zdawałoby się, że coś wiedziała o tym, jak sprawy stoją, i miała złość do niej), i tam podpaliła łóżko; na szczęście nikt na nim nie spał. Nauczycielka uciekła dwa miesiące przedtem, a chociaż pan Rochester poszukiwał jej jak czegoś najdroższego w świecie, nie mógł się o niej niczego dowiedzieć; zupełnie zdziczał, można by powiedzieć, że się wściekł, gdy go ten zawód spotkał; nigdy nie był człowiekiem powściągliwym, ale teraz, gdy ją utracił, stał się niebezpieczny. A do tego chciał być zupełnie sam.

Odesłał panią Fairfax, zarządczynię, gdzieś daleko do jej rodziny, ale zrobił to ładnie, gdyż wyznaczył jej dożywotnią pensję, a ona na to zasłużyła, bo była bardzo dobrą kobietą. Pannę Adelę, swoją wychowanicę, umieścił w szkole. Zerwał ze wszystkimi znajomymi, z całą okoliczną szlachtą, i zamknął się jak pustelnik we dworze.

— Jak to! Więc nie wyjechał z Anglii?

— On miałby wyjechać z Anglii? Gdzież tam! Nie ruszał się za próg swego domu, chyba nocą; a wtedy to jak duch chodził i chodził po ogrodzie, po sadzie, zupełnie jak gdyby był zmysły postradał; bo, wedle mojego rozumienia, tak też i było: gdyż tak żwawego, śmiałego, mądrego pana, jakim on był, zanim mu ta maleńka nauczycielka weszła w drogę, nie widziała pani chyba w życiu. W winie, kartach, wyścigach nie lubował się, jak to czyni wielu, i nie był znów tak bardzo piękny; ale miał rzadką, prawdziwie męską odwagę i wolę. Bo widzi pani, ja go znałem od małego chłopca;

nieraz myślałem sobie: bodajby byli w morzu utopili tę pannę Eyre, zanim przybyła do Thornfield Hall!

— Więc pan Rochester był w domu, gdy ten pożar wybuchł?

— Tak. owszem; i poszedł na strych, gdy wszystko gorzało na górze i na dole, i wyrzucił służące z łóżek, i sam im pomógł zejść na dół, a potem wrócił, żeby wariatkę żonę wydobyć z jej celi. A wtedy zawołano ku niemu, że ona jest na dachu, gdzie też stała wymachując rękoma nad blankami i wydając takie krzyki, że można ją było słyszeć o milę; ja sam ją słyszałem i widziałem na własne oczy. Była to duża kobieta i miała długie czarne włosy; na tle płomieni widać było, że spływają jej na plecy. Byłem świadkiem, i wielu innych oprócz mnie również, jak pan Rochester przez drzwi w dachu wyszedł na dach; słyszeliśmy, jak wołał: „Berto!" Widzieliśmy, jak zbliżał się do niej; a wtedy, proszę pani, ona wrzasnęła i padła z dachu na bruk.

— Nieżywa?

— Nieżywa! Tak nieżywa jak te kamienie umazane jej mózgiem i krwią.

— Wielki Boże!

— Tak, pani, to było straszne! Wzdrygnął się.

— A później? — dopytywałam.

— I cóż, proszę pani, później dom spalił się do fundamentów: pozostały tylko szczątki murów.

— Czy jeszcze kto więcej stracił życie?

— Nie, a może nawet byłoby lepiej...

— Nie rozumiem pana...

— Biedny pan Edward! — westchnął. — Czyż mogłem się kiedy spodziewać, że zobaczę coś takiego! Niektórzy mówią, że to sprawiedliwa kara za to, że ukrywał swoje pierwsze małżeństwo, a chciał pojąć drugą żonę, chociaż pierwsza żyła; ale ja go żałuję.

— Pan przecież powiedział, że pan Rochester żyje! — wykrzyknęłam.

— Tak, tak, on żyje; ale wielu myśli, że lepiej by było, gdyby nie żył.

— Dlaczego? Jak to? — zdrętwiałam. — Gdzież on jest? — zapytałam — czy w Anglii?

— Tak... tak... w Anglii; z Anglii, myślę, wyjechać nie może, jest teraz związany z miejscem.

Cóż to była za męka! A ten człowiek przedłużał ją jakby naumyślnie.

— Jest całkowicie ślepy — rzekł w końcu. — Tak, pan Edward całkowicie zaniewidział.

Lękałam się gorszej wieści. Lękałam się, że zmysły postradał. Zbierając siły zapytałam, co spowodowało to nieszczęście.

— To wszystko z powodu jego odwagi i, mógłby ktoś powiedzieć, poniekąd z powodu jego dobroci, proszę pani; nie chciał opuścić domu, dopóki wszyscy przed nim nie wyszli. Gdy w końcu schodził po wielkich schodach, kiedy już pani Rochester rzuciła się była z blanków, rozległ się wielki łoskot — wszystko się zapadło. Wyjęto go spod gruzów żywego, ale srodze pokaleczonego: jakaś belka upadła w ten sposób, że częściowo go osłaniała, ale jedno oko miał wybite, a jedną rękę tak zmiażdżoną, że pan Carter, chirurg, musiał ją od razu amputować. Drugie oko dostało zapalenia i na to oko zaniewidział. Jest teraz bezradny, doprawdy, niewidomy i kaleka.

— Gdzie jest pan Rochester? Gdzie on obecnie mieszka?

— W Ferdean, we dworze na farmie, którą posiada o trzydzieści mil stąd; jest to ustronna miejscowość.

— Kto jest przy nim?

— Stary John i jego żona; nie chciał mieć nikogo więcej. Powiadają, że jest zupełnie zgnębiony.

— Czy posiada pan jaki ekwipaż?

— Mam tu powozik, proszę pani, bardzo porządny powozik.

— Niechże pan każe natychmiast zaprzęgać; a jeżeli pański pocztarek potrafi mnie dowieźć do Ferndean dziś jeszcze przed wieczorem, zapłacę panu i jemu dwa razy tyle, ile pan zwykle żąda za wynajem.

ROZDZIAŁ XXXVII

Dwór w Ferndean był to budynek dość stary, średniej wielkości bez architektonicznych pretensji, głęboko ukryty w lesie. Słyszałam o nim dawniej. Pan Rochester często o nim mówił, a niekiedy tam jeździł. Ojciec jego kupił ten majątek ze względu na obfitość zwierzyny w tych okolicach. Byłby wynajął dom, ale nie mógł znaleźć lokatora, bo okolica była niedostępna i niezdrowa. Ferndean pozostało przeto nie zamieszkane i nie umeblowane, z wyjątkiem dwóch czy trzech pokoi urządzonych dla wygody dziedzica, gdy tam przyjeżdżał na polowanie.

Do tego domu przyjechałam przed wieczorem, niebo okrywały chmury, wiał zimny wiatr i zacinał drobny deszcz. Ostatnią milę przeszłam pieszo, odprawiwszy powozik po zapłaceniu woźnicy przyobiecanej podwójnej zapłaty. Nawet z bliska nie można jeszcze było dojrzeć dworku, tak gęsto otaczał go ponury las. Żelazna brama, osadzona na granitowych słupach, wskazywała wejście; przeszedłszy ją znalazłam się od razu w półcieniu gęstego szpaleru drzew. Zarośnięta trawą dróżka prowadziła brzegiem lasu pośród omszałych i sękatych pni pod sklepieniem gałęzi. Posuwałam się tą drogą mając nadzieję, że wkrótce dotrę do domu. Tymczasem droga ciągnęła się, wiła i skręcała coraz dalej: ani śladu mieszkalnego domu albo ogrodu.

Już myślałam, że obrałam zły kierunek i że zabłądziłam. Otaczał mnie zmrok i cień leśny. Obejrzałam się — innej drogi nie było: wszędzie tylko pnie jak kolumny, gęste listowie — żadnej otwartej przestrzeni.

Szłam dalej; nareszcie droga się rozszerzyła, gęstwina drzew nieco zrzedła; po chwili ujrzałam sztachety, a potem dom zaledwie dający się odróżnić od drzew przy tym słabym świetle, tak zmurszałe i zielonawe były jego ściany. Wszedłszy przez bramkę stanęłam w obrębie zamkniętego ogrodu, który las obejmował półkolem. Nie było tam kwiatów ani grządek — jedynie żwirowana szeroka

ścieżka biegła dokoła trawnika, a wszystko to ciężką ramą otaczał las. Front domu miał dwa ostre szczyty, okna zakratowane i wąskie, drzwi frontowe również wąskie, prowadził do nich jeden stopień. Całość robiła wrażenie, jak się właściciel gospody wyraził, „całkowitego opuszczenia".

Cicho tam było jak w kościele w dzień powszedni. Deszcz uderzający w liście drzew wydawał jedyny dosłyszalny odgłos.

„Czyż w tym domu może być życie?" — zapytywałam siebie.

Ależ tak, musiało tu być życie, bo usłyszałam jakiś ruch; otwierały się wąskie drzwi frontowe i ktoś widocznie zamierzał wyjść z domu.

Drzwi otwarły się z wolna; jakaś postać ukazała się w wieczornym zmierzchu i stanęła na stopniu: mężczyzna bez kapelusza; wyciągnął rękę, by się przekonać, czy pada. Choć ciemno było, poznałam go — tak, to był mój pan. Edward Fairfax Rochester, on, nie kto inny.

Wstrzymałam kroki, zatrzymałam prawie oddech i stałam patrząc na niego — przyglądając mu się niewidziana i, niestety, niewidzialna dla niego. Było to nagłe spotkanie, ale takie, gdzie ból opanowywał radosne uniesienie. Bez trudu powstrzymałam okrzyk i odruch, by pośpieszyć ku niemu.

Postać jego miała ten sam silny, mężny wygląd co zawsze; trzymał się prosto, włosy jego były jak dawniej kruczoczarne i rysy nie zmienione; rok czasu pomimo najcięższej zgryzoty nie potrafił strawić jego atletycznej siły ani podkopać żywotności. Ale w twarzy jego zobaczyłam zmianę; na tej twarzy malowała się rozpacz i ponura zaduma... i przyszedł mi na myśl jakiś skrzywdzony, spętany dziki zwierz albo ptak, do którego w milczącym jego bólu niebezpiecznie byłoby przystąpić. Orzeł w klatce o okrutnie oślepionych, złocistych oczach mógłby tak wyglądać jak ten ociemniały Samson.

Lecz nie obawiałam się go w tej dzikości ani na chwilę. Zgryzotę moją słodziła nadzieja, że wkrótce odważę się złożyć pocałunek na tym surowym czole i tych ustach tak boleśnie zaciśniętych, ale jeszcze nie w tej chwili. Jeszcze teraz nie chciałabym go zagadnąć.

Zszedł ze stopnia i posuwał się wolno, niepewnie ku trawnikowi. Gdzież się podział jego śmiały krok? Przystanął, jak gdyby nie wiedział, w którą stronę się obrócić. Podniósł rękę i rozwarł nią powieki; spojrzał, wysilając się, ku niebu i w kierunku drzew: widziałam, że dla niego wszystko było pustą ciemnością. Wyciągnął prawą rękę (lewą, okaleczałą, trzymał ukrytą na piersiach); zdawało się, że chce dotykiem zbadać, co jest wokół niego, wszędzie jednakże napotykał pustkę, gdyż drzewa odległe były o kilka łokci. Zaprzestał daremnych prób, skrzyżował ręce na piersiach i stał spokojny i niemy na deszczu, który teraz obficie padał na jego odkrytą głowę. W tej chwili zjawił się skądś John i zbliżył się do niego.

— Czy mogę panu podać ramię? — zapytał. — Zaraz zacznie padać duży deszcz, czy nie wróciłby pan lepiej do domu?

— Zostaw mnie w spokoju — brzmiała odpowiedź. John odszedł nie zauważywszy mnie. Pan Rochester próbował przejść kilka kroków; daremnie, wszystko było takie niepewne. Z trudem odnalazł drogę do domu, wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Teraz podeszłam do drzwi i zapukałam; otworzyła mi żona Johna.

— Mary — powiedziałam — jak się macie? Drgnęła, jak gdyby ujrzała ducha. Uspokoiłam ją.

Na jej pośpieszne zapytanie: „Czy to doprawdy pani o tak późnej godzinie na tym pustkowiu?", ujęłam jej rękę, a potem poszłam za nią do kuchni, gdzie przy ogniu siedział John. Wytłumaczyłam im w kilku słowach, że usłyszałam o wszystkim, co się stało, odkąd opuściłam Thornfield, i że przybyłam odwiedzić pana Rochestera. Poprosiłam Johna, żeby poszedł na rogatkę, gdzie wysiadłam z dyliżansu, i żeby mi przyniósł pozostawiony tam kuferek; a potem, zdejmując kapelusz i szal, zapytałam Mary, czy mogłabym tu we dworze znaleźć nocleg. Odpowiedziała, że chociaż z trudem, ale można to będzie urządzić. Wtedy oświadczyłam jej, że pozostaję. Właśnie w tej chwili odezwał się dzwonek z pokoju.

— Skoro tam idziecie — rzekłam — powiedzcie waszemu panu, że pewna osoba pragnie się z nim widzieć, ale nie mówcie kto.

— Wątpię, czy pan będzie chciał panią przyjąć — odpowiedziała — nie chce nikogo widzieć.

Gdy powróciła, zapytałam, co powiedział.

— Że pani ma wymienić nazwisko i cel swego przybycia — odpowiedziała, po czym nalała wody do szklanki, którą postawiła na tacy razem ze świecami.

— Czy pan dlatego dzwonił? — zapytałam.

— Tak jest; pan zawsze każe wnosić świece, gdy się ściemnia, chociaż nie widzi.

— Dajcie mi tacę; ja ją zaniosę.

Odebrałam od niej tacę; pokazała mi drzwi bawialnego pokoju. Taca trzęsła mi się w ręku, woda się wylewała; serce biło głośno i szybko. Mary otworzyła drzwi i zamknęła je za mną.

Bawialnia miała wygląd ponury: resztka zaniedbanego ognia dopalała się na kominku; pochylonego nad tym ogniem, z głową opartą o wysoki, staroświecki gzyms kominka ujrzałam niewidomego mieszkańca tego pokoju. Stary pies Pilot leżał na boku. odsunięty z drogi i skurczony, jak gdyby w obawie, że ktoś może nań nieumyślnie nadepnąć. Pilot nadstawił uszu, gdy wchodziłam do pokoju, a potem zerwał się z radosnym skowytem i skoczył ku mnie, ledwie mi tacy nie wytrącił z ręki. Postawiłam tacę na stole, poklepałam go i powiedziałam cicho: „Leżeć!" Pan Rochester obejrzał się automatycznie, chcąc zobaczyć, co znaczy to zamieszanie, ponieważ jednak nic nie mógł zobaczyć, odwrócił się i westchnął.

— Podaj mi wodę, Mary — rzekł.

Zbliżyłam się do niego ze szklanką już tylko do połowy napełnioną. Pilot szedł za mną wciąż podniecony.

— Co się tu dzieje? — zapytał pan Rochester.

— Leżeć, Pilot! — powtórzyłam.

Pan Rochester wstrzymał rękę niosącą wodę do ust; nadsłuchiwał, ale wnet wypił wodę i odstawił szklankę.

— To ty, Mary, prawda?

— Mary jest w kuchni... — odpowiedziałam.

Wyciągnął rękę szybkim ruchem, ale nie widząc, gdzie stoję, nie dotknął mnie.

— Kto to? Kto to? — zapytał, wyraźnie starając się zobaczyć tymi niewidzącymi oczami; daremny, żałosny wysiłek. — Proszę odpowiedzieć! Proszę znów przemówić! — powiedział głośno i rozkazująco.

— Czy życzy pan sobie trochę więcej wody? Połowę tego, co było w szklance, wylałam — rzekłam.

— Kto to? Co to? Kto mówi?

— Pilot mnie poznał, a John i Mary wiedzą, że tu jestem. Przybyłam tu dopiero dziś wieczór — odpowiedziałam.

— Wielki Boże!... co za złudzenie mnie nachodzi! Co za słodkie szaleństwo mnie ogarnia!

— Nie złudzenie... nie szaleństwo. Umysł pański jest zbyt silny, by dać się omotać złudzeniu, zbyt zdrowy, by ulec szaleństwu.

— A gdzież jest mówiąca osoba? Czy to tylko sam głos?... Ach, ja nie mogę widzieć, ale muszę dotknąć, inaczej serce we mnie bić przestanie i krew zaleje mi mózg. Czymkolwiek, kimkolwiek jesteś, daj mi się dotknąć, bo umrę.

Szukał wyciągniętą ręką. Ujęłam tę błąkającą się rękę i uwięziłam ją w obu moich dłoniach.

— Jej własne palce! — zawołał — jej drobne, delikatne paluszki! A skoro tak, to musi być i ona sama!

Muskularna dłoń wyrwała się z moich rąk; chwycił moje ramię, moją szyję, objął mnie wpół, oplótł ramionami i przytulił do siebie.

— Czy to Jane? Co to jest? To jej kształt, to jej wzrost...

— A to jej głos — dodałam. — Jest tutaj cała; i serce jej jest tutaj. Niechaj Bóg pana błogosławi! Jestem szczęśliwa, że jestem znów przy panu.

— Jane Eyre! Jane Eyre! — powiedział tylko.

— Panie mój drogi — odpowiedziałam — jestem Jane Eyre, odnalazłam pana, wróciłam do pana.

— Czy doprawdy? Czy w żywym ciele? Moja żywa Jane?

— Pan mnie dotyka, pan mnie trzyma i dosyć mocno przecież. Nie jestem zimna jak trup, bezcielesna jak powietrze, nieprawdaż?

— Moje żywe kochanie! To z pewnością są jej członki, a to jej twarzyczka; a jednak to niepodobna, żeby mnie po tym wszystkim, co przeszedłem, spotykało takie szczęście. To sen. Taki sen, jaki nachodził mnie niekiedy nocą. Wtedy tuliłem ją znów do serca tak jak teraz; całowałem ją — o, tak — i czułem, że ona mnie kocha i wierzyłem, że mnie kocha, i wierzyłem, że mnie nie opuści...

— Już od tej chwili nigdy pana nie opuszczę!

— „Nigdy pana nie opuszczę" — mówi niebiańskie zjawisko?... A przecież zawsze budziłem się i przekonywałem, że to była pusta złuda; odnajdywałem rozpacz i opuszczenie, posępne życie, samotne i beznadziejne; moja spragniona dusza nigdy nie dostała napoju ani głód serca — pokarmu. Miła, słodka zjawo senna, co tulisz się teraz w moich objęciach, i ty ulecisz jak przed tobą wszystkie twoje siostry; ale pocałuj mnie, zanim pójdziesz, uściskaj mnie, Jane.

— Tak, proszę pana. Tak!

Przycisnęłam usta do jego niegdyś pełnych blasku. dziś bezpromiennych oczu; odgarnęłam mu włosy z czoła i to czoło ucałowałam także. Zdawał się nagle budzić; ogarnęła go wiara, że to wszystko naprawdę się dzieje.

— Więc to ty... to istotnie ty, Jane? Powróciłaś do mnie naprawdę?

— Tak.

— Więc nie leżysz martwa w jakimś rowie albo na dnie jakiegoś strumienia? Ani nie błąkasz się jak zbiedzony wyrzutek pomiędzy obcymi?

— Nie, proszę pana! Jestem teraz niezależną kobietą.

— Niezależna! Co przez to rozumiesz, Jane?

— Mój stryj na Maderze umarł i pozostawił mi pięć tysięcy funtów.

— Ach! to sprawa praktyczna... to coś rzeczywistego! — zawołał — to by mi się nie mogło śnić. A przy tym słyszę jej szczególny głos, taki ożywiony i przekorny, a zarazem słodki; ten głos krzepi moje zmęczone serce, dodaje mu życia. Więc jakżeż to, Jane? Jesteś teraz niezależną, bogatą kobietą?

— Dosyć bogatą, proszę pana. Jeżeli mi pan nie pozwoli mieszkać z sobą, mogę sobie postawić własny domek tuż blisko pańskich drzwi, a pan będzie mógł przychodzić i siadywać w moim saloniku, gdy pan wieczorem zapragnie towarzystwa.

— Ależ skoro jesteś bogata, Jane, masz teraz niewątpliwie przyjaciół, którzy się tobą zaopiekują i nie zniosą tego, abyś się poświęcała dla takiego ślepego kaleki jak ja.

— Powiedziałam już panu, że jestem niezależna i bogata: jestem panią siebie.

— I chcesz pozostać ze mną?

— Z pewnością, chyba że pan mnie nie zechce. Będę pańską sąsiadką, pielęgniarką, gospodynią. Widzę, że pan samotny, będę pańską towarzyszką, będę panu czytała, chodziła z panem, siadywała z panem, usługiwała panu, będę pańskim okiem i pańską ręką. Nie smuć się tak, mój drogi panie; nie będziesz opuszczony, dopóki ja żyję.

Nie odpowiedział nic. Miał minę poważną, jak gdyby zamyśloną; otworzył usta, zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz znowu je zamknął. Zawstydziłam się trochę. Może zbyt pośpiesznie

przeskoczyłam konwenanse, a on, podobnie jak St. John, widział niewłaściwość w mojej nierozwadze? W istocie, propozycję czyniłam w tej myśli, w tej nadziei, że on pragnie mnie mieć za żonę i że mi to powie — że mi to powie od razu. Ponieważ jednak żadnej na ten temat nie czynił wzmianki, tylko spochmurniał, przyszło mi nagle na myśl, że omyliłam się może i że w tej chwili odgrywam niemądrą rolę. Toteż zaczęłam się łagodnie wysuwać z jego objęć, on jednakże przytulił mnie jeszcze mocniej.

— Nie... nie... Jane, nie odchodź. Nie... Dotknąłem cię, słyszałem cię, odczułem szczęście dzięki twej obecności, słodycz pociechy z twoich ust; nie mogę wyrzec się tych źródeł radości. We mnie tak mało pozostało, muszę posiadać ciebie. Choć ludzie śmiać się będą, nazwą to niedorzecznością, egoizmem, dla mnie to nic nie znaczy. Dusza moja wzywa ciebie, jeśli nie zaspokoisz jej pragnień, śmiertelnie się zemści na swej cielesnej powłoce.

— Zostanę z tobą; już ci to przecież powiedziałam.

— Tak, ale mówiąc, że zostaniesz ze mną, może masz co innego na myśli, a ja co innego. Ty może zdecydowałaś się być koło mnie, usługiwać mi, czuwać nade mną jak dobrotliwa pielęgniareczka, gdyż dobre masz serce i szlachetną naturę, i to cię skłania do poświęceń dla tych, nad którymi się litujesz, a mnie to niezawodnie powinno by wystarczyć. Ja zapewne powinien bym mieć teraz tylko ojcowskie uczucie dla ciebie, jak myślisz? No, powiedz mi...

— Będę myślała, co pan zechce; chętnie będę tylko pańską pielęgniarką, jeśli pan uważa, że tak będzie lepiej.

— Ale ty nie możesz zostać na zawsze moją pielęgniarką, Jane, jesteś młoda, musisz kiedyś wyjść za mąż.

— Nie dbam o zamążpójście.

— Powinnaś dbać; gdybym był tym, czym kiedyś byłem, postarałbym się, abyś o to dbała... ale... taki ślepy pień!

Znowu zapadł w posępną zadumę. Ja, przeciwnie, poweselałam i nabrałam świeżej otuchy. Jego słowa pozwoliły mi zrozumieć, w czym leżała trudność; a że to dla mnie nie było trudnością, więc i

poprzednie moje zakłopotanie minęło. Uderzyłam w żywszą nutę w rozmowie.

— Czas już, żeby się ktoś zabrał do przywrócenia ci bardziej ludzkiego wyglądu — rzekłam, rozdzielając jego gęste i dawno nie strzyżone włosy. — Widzę bowiem, że się zamieniasz w lwa czy coś w tym rodzaju. I masz w sobie coś z Nabuchodonozora, to pewne. Włosy twoje przypominają mi orle skrzydła, a czy ci paznokcie urosły jak ptasie szpony, czy nie, tego jeszcze nie zauważyłam.

— Na tej ręce nie mam ani dłoni, ani paznokci — rzekł wyciągając ukrytą na piersi okaleczałą rękę. — Czy to nie okropny widok? Powiedz, Jane!

— Przykro na to patrzeć i przykro widzieć twoje oczy i tę bliznę z oparzenia na twoim czole, ale najgorsze jest to, że za to wszystko będę musiała aż nadto cię kochać, rozpieszczać i psuć...

— Myślałem, że ciebie wstręt ogarnie, Jane, gdy ujrzysz moją rękę i te blizny na twarzy.

— Tak myślałeś? Nie mów mi tego, bo będę musiała powiedzieć coś niemiłego o twoim sądzie. A teraz puść mnie na chwilę, gdyż chciałabym poprawić ogień i kazać zamieść koło pieca. Czy widzisz różnicę, gdy dobry ogień się pali?

— Owszem, prawym okiem widzę żar, czerwoną mgłę.

— A świece widzisz?

— Bardzo niewyraźnie, każdą jak jasny obłoczek.

— A mnie czy widzisz?

— Nie, moja wróżko, ale i tak jestem aż nazbyt szczęśliwy, że mogę cię słyszeć i dotykać.

— Kiedy jadasz kolację?

— Nie jadam jej wcale.

— Ale dzisiaj musisz coś zjeść. Ja jestem głodna i ty z pewnością

również, tylko ty o tym nie myślisz.

Przywoławszy Mary postarałam się prędko o uporządkowanie pokoju; przygotowałam mu też smaczny posiłek. Czułam się podniecona, łatwo i z przyjemnością rozmawiałam z nim w czasie wieczerzy i długo jeszcze potem. Nie potrzebowałam krępować się, hamować wesołości i ożywienia przy nim; czułam się zupełnie swobodna, gdyż wiedziałam, że mu się podobam. Wszystko, co mówiłam albo czyniłam, zdawało się pocieszać go i ożywiać. Rozkoszna świadomość! Dzięki niej mogłam być naprawdę sobą, w jego obecności żyłam całą pełnią, a on w mojej. Chociaż niewidomy, uśmiechał się, radość zaświtała na twarzy, której wyraz złagodniał, nabrał ciepła.

Po kolacji zaczął mi zadawać mnóstwo pytań, mianowicie: gdzie byłam, co robiłam, jakim sposobem go odnalazłam. Ja jednakże dawałam mu tylko częściowe odpowiedzi, za późno już było tego wieczoru, by wchodzić w szczegóły. Nie chciałam zresztą dotykać żadnej głębszej struny ani otwierać w jego sercu nowego źródła wzruszeń. Chwilowo jedynym moim celem było pokrzepić go i rozweselić. Ożywił się też i rozweselił, jak powiedziałam, ale jeszcze nie na dobre. Skoro tylko chwila milczenia przerywała rozmowę, zaczynał się niepokoić, dotykał mnie, a potem mówił:

— Czy jesteś naprawdę ludzką istotą, Jane? Czyś tego pewna?

— Sumiennie w to wierzę.

— Ale jakim sposobem mogłaś się tak nagle pojawić przy moim opuszczonym ognisku w ten smutny i ciemny wieczór? Wyciągnąłem rękę, żeby odebrać szklankę wody od służącej, a ty mi ją podałaś, zapytałem o coś spodziewając się, że odpowie mi żona Johna, a twój głos przemówił do mojego ucha.

— Bo weszłam do pokoju z tacą zamiast Mary.

— I ta godzina, którą teraz spędzam z tobą, jest jakaś zaczarowana. Nikt nie może wiedzieć, jakie straszne, ponure, beznadziejne życie pędziłem od długich miesięcy. Nic nie robiąc, nie spodziewając się niczego, nie rozróżniając dnia od nocy. Czułem tylko wrażenie zimna, gdy pozwoliłem, by ogień wygasł, głodu, gdy zapomniałem

jeść, a przy tym bezustanny smutek, chwilami prawdziwy szał tęsknoty za moją Jane. Goręcej pragnąłem odzyskania jej niż utraconego wzroku. I jak to być może, że Jane jest ze mną i mówi, że mnie kocha? Czy mi nie zniknie tak nagle jak się zjawiła? Lękam się, że jutro jej nie odnajdę. Zwykła, codzienna uwaga, wyrywająca go z toku dręczących myśli, stałaby się, tego byłam pewna, najlepszym sposobem uspokojenia go w tym stanie umysłu. Przesunęłam palcem po jego brwiach i powiedziałam, że są spalone i że zaaplikuję mu środek, od którego odrosną tak szerokie i czarne jak dawniej.

— Na co się przyda czynić mi dobrze, duchu dobroczynny, skoro w jakiejś niefortunnej chwili znowu mnie opuścisz, znikniesz jak cień, a nie będę wiedział, dokąd i jak, i już cię potem więcej nie odnajdę?

— Czy masz przy sobie grzebyk?

— Na co ci to, Jane?

— Chciałbym przeczesać tę splątaną, czarną grzywę. Przyglądając ci się z bliska, widzę, że strasznie wyglądasz. Mówisz, że jestem wróżką, ale to pewne, że ty podobniejszy jesteś do wilkołaka.

— Czy jestem bardzo ohydny, Jane?

— Bardzo, mój panie, zawsze byłeś brzydki, to wiadomo.

— Hm! Złośliwość nie wygasła w tobie, gdziekolwiek przebywałaś.

— A jednak przebywałam z bardzo dobrymi ludźmi, z ludźmi lepszymi od ciebie, sto razy lepszymi; z ludźmi o pojęciach i poglądach, jakich ty nigdy w życiu nie wyznawałeś, z ludźmi szlachetnymi i wzniosłymi.

— Z kimże ty, u licha, przebywałaś?

— Jeżeli tak się będziesz kręcił, wyrwę ci włosy z głowy, a wtedy może przestaniesz wątpić, że jestem z krwi i kości.

— Z kim przebywałaś, Jane?

— Dziś wieczór nie wyciągniesz tego ze mnie, musisz poczekać do

jutra. Jeżeli przerwę opowieść w połowie, będzie to rodzajem zadatku, że ukażę się przy śniadaniu, ażeby jej dokończyć. Ale, ale... muszę pamiętać, ażeby nie zjawić się wtedy jedynie ze szklanką wody, muszę przynieść przynajmniej jedno jajko, nie mówiąc już o przysmażonej szynce.

— Ty drwiący odmieńcze z rodu wróżek, choć ludzie cię wychowali! Od roku tak się nie czułem jak teraz przy tobie. Gdyby Saul mógł był mieć ciebie za swego Dawida, wypędzanie diabłów obyłoby się bez pomocy harfy.

— Dosyć, jużeś uczesany i wyglądasz przyzwoicie. Ale teraz dość. Byłam w podróży przez ostatnie trzy dni i jestem zmęczona. Dobranoc.

— Jeszcze słówko, Jane. Czy tam były tylko kobiety w tym domu, gdzie przebywałaś?

Roześmiałam się i uciekłam, i śmiałam się jeszcze wbiegając na schody.

„Doskonały pomysł! — myślałam z radością. — Widzę, że przez pewien czas będę miała czym wypłaszać jego melancholię."

Nazajutrz rano bardzo wcześnie słyszałam, że już wstał, rusza się i chodzi po pokojach. Jak tylko Mary zeszła, usłyszałam szereg pytań: „*Czy* jest tutaj panna Eyre?", a potem: „Który pokój jej daliście? Czy tylko suchy? Czy panna Eyre wstała? Idź i zapytaj, czy jej czego nie potrzeba i kiedy zejdzie na dół?"

Zeszłam, kiedy przypuszczałam, że zanosi się na śniadanie. Wchodząc do pokoju cichutko, mogłam mu się przypatrzyć, zanim on spostrzegł moją obecność. Żałosny, doprawdy, był widok tego silnego ducha zgnębionego cielesnym kalectwem. Siedział w fotelu cicho, lecz niespokojnie, pełen oczekiwania. Mocne rysy powlekał stały już teraz smutek. Twarz jego przypominała mi zgaszoną lampę, czekającą, by ją ktoś znowu zapalił. Ale niestety! on sam nie mógł już teraz wzniecić w sobie ożywienia: mógł to uczynić tylko ktoś inny. Zamierzałam być wesoła i swobodna, lecz ta bezradność silnego mężczyzny wzruszyła mnie do głębi. Mimo to zagadnęłam go, jak mogłam najżywiej:

— Mamy dziś jasny, słoneczny ranek; deszcz ustał, wszystko delikatnie lśni jeszcze po nim, wkrótce zaprowadzę cię na przechadzkę.

Roznieciłam światło. Rozpromieniła mu się twarz.

— Ach, więc jesteś tutaj naprawdę, mój skowronku! Przyjdź do mnie. Nie uleciałaś, nie znikłaś? Godzinę temu słyszałem jednego z twoich krewniaczków, śpiewał wysoko nad lasami, ale w piosence jego nie było dla mnie muzyki, tak jak wschodzące słońce nie miało dla mnie promieni. Wszelka muzyka świata jest dla mnie w mowie mojej Jane (na szczęście nie jest ona milcząca z natury). Wszelkie ciepło słońca jest dla mnie w jej bliskości.

Poczułam łzy w oczach słysząc to przyznanie się do zależności. Jak gdyby królewski orzeł, przykuty łańcuchem do jednego miejsca, musiał błagać wróbla, ażeby go karmił. Nie chciałam jednak być płaczliwa, otarłam słone krople i zakrzątnęłam się koło śniadania.

Czas przed południem spędziliśmy przeważnie na świeżym powietrzu. Wyprowadziłam go z wilgotnego i dzikiego lasu na wesołe pola. Opisywałam mu, jak wspaniale są zielone, jak deszcz odświeżył kwiaty i żywopłoty, jak przeczysty jest błękit nieba. Znalazłam mu miejsce do odpoczynku w osłoniętym prześlicznym zakątku, na suchym pniu. Pozwoliłam mu, by mnie posadził na kolanach, i dlaczego miałam mu tego zabronić, kiedy było nam lepiej blisko siebie niż z daleka? Pilot leżał obok nas, cisza panowała dokoła. Nagle on, tuląc mnie w ramionach, wybuchnął:

— Okrutny, okrutny zbiegu! O, Jane, co ja czułem, gdy spostrzegłem, że uciekłaś z Thornfield, i gdy nie mogłem nigdzie cię odnaleźć, gdy przeszukawszy twój pokój przekonałem się, że nie zabrałaś pieniędzy ani niczego, co by ci je mogło zastąpić! Naszyjnik z pereł, który ci ofiarowałem, leżał nietknięty w pudełku, kuferki pozostawiłaś zamknięte, związane sznurami, tak jak były przygotowane do podróży poślubnej. Zadawałem sobie pytanie, jak sobie da radę moje kochanie, tak ogołocone ze wszystkiego, bez grosza? I jakże dałaś sobie radę? Opowiedz mi teraz.

Tak zachęcona, zaczęłam mu opowiadać zeszłoroczne przeżycia. Złagodziłam znacznie wspomnienia owych trzech dni wędrówki i

głodu. Chciałam mu oszczędzić daremnej przykrości, a jednak nawet to, co mu opowiedziałam, zraniło jego wierne serce głębiej, niż sądziłam. Dowodził, że nie powinnam była odejść nie zabrawszy jakichś pieniędzy; powinnam mu była powiedzieć o swym zamiarze. Powinnam mu była zaufać, nigdy nie byłby mnie zmuszał, bym została jego kochanką. Choć tak gwałtowny wydawał się w swojej rozpaczy, w istocie kochał mnie zanadto szczerze i czule, by chciał być moim tyranem. Byłby mi oddał połowę swego majątku, nie żądając nawet pocałunku w zamian, bylebym nie odeszła sama w świat. Musiałam, był tego pewny, przecierpieć więcej, niż mu wyznaję.

— Mniejsza z tym, co przecierpiałam, trwało to krótko.

I zaczęłam mu opowiadać, jak zostałam przyjęta w Moor House, jak otrzymałam stanowisko nauczycielki itd., następnie, jak spadł na mnie majątek, jak odkryłam moich krewnych. Oczywiście imię St. Johna Riversa często zjawiało się w moim opowiadaniu. Gdy skończyłam, pan Rochester natychmiast podchwycił to imię.

— Ten St. John zatem jest twoim kuzynem?

— Tak.

— Dużo o nim mówisz: czy ty go lubisz?

— To bardzo dobry człowiek, nie mogłabym go nie lubić.

— Dobry człowiek. Czy to znaczy, że jest przyzwoitym i godnym pięćdziesięcioletnim mężczyzną, czy co to znaczy?

— St. John ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat.

— *Jeune encore,* jak mówią Francuzi. Czy jest niskiego wzrostu, flegmatyczny i brzydki? Czy jego dobroć polega raczej na braku wyraźnych win niż na wszelkich cnotach?

— St. John jest niezmordowanie czynny. Żyje tylko pragnieniem spełnienia wielkich, wzniosłych czynów.

— Ale jego umysł jest prawdopodobnie raczej ograniczony? Ma dobre chęci, ale wzruszasz ramionami, gdy słuchasz, co mówi?

— St. John mało mówi, a to, co mówi, jest zawsze trafne. Umysł ma wybitny, powiedziałabym, że nie tyle wrażliwy, ile potężny.

— Jest to więc człowiek zdolny?

— Bardzo.

— I prawdziwie wykształcony?

— Nie tylko wykształcony, ale głęboko uczony.

— Ale mówiłaś, zdaje mi się, że jego maniery nie są w twoim guście, jest to zarozumiały pedant i trąci kaznodzieją?

— Nic nie mówiłam o jego manierach, ale musiałabym mieć bardzo zły smak, gdyby mi się nie podobały. Jest dobrze wychowany, taktowny i spokojny.

— Zapomniałem, jak opisywałaś jego wygląd, to nieobyty wikary, duszący się w białym, ciasnym kołnierzyku, chodzący jak na szczudłach w butach o grubych podeszwach, co?

— St. John dobrze się ubiera. Jest to przystojny mężczyzna, wysoki blondyn o niebieskich oczach i greckim profilu.

— (Na stronie) A niechaj go diabli! (do mnie) Czy lubiłaś go, Jane?

— Tak, lubiłam go, ale już mnie przedtem o to pytałeś!

Spostrzegłam, naturalnie, co się święci. Zazdrość go opanowała i ukłuła, ale to było ukłucie zbawienne, gdyż wyrywało go z dręczących szponów melancholii. Nie chciałam przeto natychmiast uśpić żmii zazdrości.

— Może by pani zechciała zejść z moich kolan, panno Eyre — usłyszałam trochę niespodziewaną uwagę.

— Dlaczego, panie Rochester?

— Obraz, który pani w tej chwili nakreśliła, przedstawia kontrast trochę zanadto uderzający. Bardzo ładnie opisała pani urodziwego Apollina. Widzi go pani w myśli — wysokiego, niebieskookiego, o

jasnych włosach i greckim profilu. A oczy pani spoczywają na Wulkanie, prawdziwym kowalu, śniadym, o szerokich barach i kalece w dodatku.

— Nigdy mi to na myśl nie przyszło, ale pan doprawdy jest raczej podobny do Wulkana.

— Więc proszę niechże mnie pani opuści, ale zanim pani pójdzie (tu przytrzymał mnie silniej niż dotąd), proszę mi łaskawie odpowiedzieć na parę pytań:

— Na jakie pytania, panie Rochester? Teraz wziął mnie w krzyżowy ogień pytań.

— St. John dał ci posadę nauczycielki w Morton; zanim się dowiedział, że jesteś jego krewną?

— Tak, panie.

— Czy często go widywałaś? Czy odwiedzał szkołę niekiedy?

— Codziennie.

— Czy pochwalał twoje plany. Jane? Wiem, że musiały być mądre, gdyż z ciebie takie zdolne stworzenie!

— Owszem, pochwalał je.

— Z pewnością odnajdywał w tobie wiele rzeczy; których się nie spodziewał znaleźć? Pod pewnymi względami jesteś niezwykle wykształcona.

— Nic o tym nie wiem.

— Mówiłaś, że miałaś mieszkanko obok szkoły. Czy Rivers przychodził tam odwiedzać ciebie?

— Czasami.

— Wieczorami?

— Raz czy dwa razy. Tu nastąpiło milczenie.

— Jak długo mieszkałaś z nim i jego siostrami po odkryciu waszego pokrewieństwa?

— Pięć miesięcy.

— Czy Rivers wiele czasu spędzał z rodziną?

— Owszem, pokój bawialny od podwórza służył do pracy jemu i nam; on siedział pod oknem, a my przy stole.

— Czy dużo pracował?

— Bardzo dużo.

— Nad czym?

— Studiował język hindustański.

— A ty tymczasem co robiłaś?

— Z początku uczyłam się niemieckiego.

— Czy to on ciebie uczył?

— On nie zna niemieckiego.

— Czy niczego cię nie uczył?

— Owszem, trochę hindustańskiego.

— Rivers uczył ciebie hindustańskiego?

— Tak, panie.

— I swoje siostry także?

— Nie!

— Tylko ciebie?

— Tylko mnie.

— Czy prosiłaś go, żeby cię uczył?

— Nie.

— On sam chciał cię uczyć?

— Tak jest. Znowu milczenie.

— Dlaczego chciał cię uczyć? Na cóż mógł się tobie przydać język hindustański?

— On pragnął zabrać mnie z sobą do Indii.

— Ach! oto dotarłem do jądra całej sprawy. Więc on chciał się z tobą ożenić?

— Prosił mnie, bym została jego żoną.

— To wymysł, to bezczelny wymysł, żeby mnie rozdrażnić.

— Bardzo pana przepraszam, ale to dosłowna prawda. Prosił mnie i tę prośbę powtarzał kilkakrotnie i z takim uporem, na jaki tylko pan potrafiłby się zdobyć.

— Panno Eyre, powtarzam, może mnie pani opuścić. Ileż razy mam pani powtarzać to samo? Dlaczego siedzi pani uporczywie na moich kolanach, kiedy powiedziałem pani, żeby pani wstała?

— Dlatego, że mi tu dobrze.

— Nie, Jane, nie jest ci tu dobrze, gdyż serce twoje nie przebywa ze mną. Oddałaś serce swemu kuzynowi. Ach, do tej chwili myślałem, że moja mała Jane jest tylko moją! Wierzyłem, że mnie kocha, nawet wtedy, gdy mnie opuściła, była to kropla słodyczy w kielichu goryczy. Choć tak długo byliśmy rozdzieleni, choć tak gorącymi łzami oblałem nasze rozstanie, nigdy nie przypuszczałem, że gdy ją opłakuję, ona kocha innego! Ale daremnie narzekać, Jane, opuść mnie, odejdź i wyjdź za Riversa.

— Więc niech mnie pan zrzuci z kolan, gdyż nie zejdę z własnej woli.

— Jane, ja tak lubię ton twojego głosu, który zawsze budzi we mnie nadzieję, bo brzmi tak szczerze. Słysząc go przenoszę się wstecz o

rok. Zapominam, żeś zadzierzgnęła nowe więzy. Ale nie chcę być głupcem. Idź...

— Dokąd mam iść, panie?

— Własną drogą... z mężem, którego wybrałaś.

— A kto nim jest?

— Przecież wiesz, ten St. John Rivers.

— On nie jest moim mężem i nigdy nim nie będzie. On mnie nie kocha ani ja jego nie kocham. On kocha (o ile potrafi kochać, ale inaczej niż pan) piękną, młodą pannę imieniem Rozamunda. Chciał się ze mną żenić jedynie dlatego, iż sądził, że byłabym odpowiednią żoną dla misjonarza, czym nie byłaby Rozamunda. St. John jest dobry i wielki, ale surowy, a w stosunku do mnie zimny jak lodowiec. On nie jest podobny do pana, nie czuję się dobrze przy nim, obok niego ani z nim. Nie ma dla mnie pobłażliwości ani ciepłych uczuć. Nic go we mnie nie pociąga, nawet moja młodość. Widzi we mnie tylko kilka pożytecznych właściwości umysłu... Więc mamże pana opuścić i wracać do niego ?

Zadrżałam mimo woli i instynktownie przycisnęłam się bliżej do mego ociemniałego, ukochanego pana. Uśmiechnął się.

— Co mówisz, Jane! Czy to prawda? Czy istotnie tak się mają sprawy między tobą a Riversem?

— Jak najbardziej, mój panie! O, nie potrzebujesz być zazdrosny! Chciałam się z tobą odrobinę podroczyć, ażebyś się trochę otrząsnął ze smutku. Myślałam, że gniew będzie lepszy od zgryzoty. Ale jeżeli pragniesz, bym cię kochała, gdybyś mógł pojąć, jak bardzo cię kocham, byłbyś dumny i zadowolony. Całe moje serce jest twoje, mój panie: do ciebie należy i z tobą pozostanie, gdyby nawet los wygnał mnie od ciebie na zawsze.

I znowu, gdy mnie całował, bolesne myśli zasępiły mu twarz.

— Mój wygasły wzrok! Moje kalectwo! — szepnął z żalem.

Pogłaskałam go na pociechę. Wiedziałam, o czym myśli, i miałam

ochotę przemówić za niego, ale nie śmiałam. Gdy odwrócił twarz na chwilę, ujrzałam łzę spływającą spod przywartej powieki i staczającą się po męskim policzku. Serce moje wezbrało.

— Nie jestem lepszy od starego, piorunem strzaskanego kasztana w Thornfield — zauważył. — Jakież prawo miałaby tamta ruina prosić młody pnącz, by świeżością zakrył jej zniszczenie?

— Nie jesteś żadną ruiną, nie jesteś drzewem strzaskanym przez piorun, jesteś młody i mocny. Rośliny będą rosły dokoła ciebie, czy będziesz je o to prosił, czy nie, gdyż cieszyć się będą twoim dobroczynnym cieniem. A rosnąc, będą się chylić ku tobie i oplatać dookoła ciebie, ponieważ twoja siła da im takie bezpieczne oparcie.

Uśmiechnął się znowu, widocznie pocieszały go moje słowa.

— Ty masz na myśli przyjaciół, Jane? — zapytał.

— Tak, przyjaciół — odpowiedziałam wahając się trochę, miałam bowiem na myśli więcej niż przyjaciół, ale nie wiedziałam, jakiego innego mam użyć słowa. On mi dopomógł.

— Ach, Jane! Ale ja pragnę żony!

— Doprawdy, mój panie?

— Tak, czy to dla ciebie nowina?

— Naturalnie, nic pan o tym nie wspomniał.

— Czy to niepożądana nowina?

— To zależy od okoliczności, od tego, kogo pan wybierze.

— Ty wybierz za mnie, Jane. Zgodzę się na twoją decyzję.

— Niechże więc pan tę wybierze, która pana kocha najbardziej.

— To już wolę wybrać tę, którą ja najbardziej kocham. Czy chcesz być moją żoną, Jane?

— Tak, mój panie.

— Żoną biednego ślepca, którego będziesz musiała prowadzić za rękę?

— Tak, chcę.

— Żoną kaleki o dwadzieścia lat starszego od ciebie, któremu będziesz musiała usługiwać?

— Tak, chcę.

— Czy to prawda, Jane?

— Najprawdziwsza prawda.

— O moje kochanie! Niechaj cię Bóg błogosławi i niech ci wynagrodzi!

— Panie Rochester, jeżeli kiedykolwiek w życiu spełniłam dobry uczynek, miałam myśl dobrą, zmówiłam szczerą i niewinną modlitwę, powzięłam poczciwy zamiar, mam za to teraz nagrodę. Być twoją żoną to dla mnie największe szczęście w życiu.

— Ponieważ lubisz się poświęcać.

— Poświęcać! Cóż poświęcam? Głód w zamian za pokarm, oczekiwanie za zadowolenie. Mieć prawo objąć ramionami to, co cenię, przycisnąć usta do tego, co kocham, oprzeć się na tym, czemu ufam, czy to znaczy się poświęcać? Jeżeli tak, to zaiste lubię się poświęcać.

— Ale trzeba będzie znosić moje kalectwo, Jane; ciągle patrzeć na moje braki.

— Te dla mnie nie istnieją. Kocham cię jeszcze bardziej teraz, kiedy mogę ci być rzeczywiście użyteczna, niż wtedy, kiedy dumny i niezależny gardziłeś wszelką inną rolą oprócz roli dawcy i opiekuna.

— Ja dotychczas nie cierpiałem pomocy, nie znosiłem, by mnie prowadzono, teraz czuję, że będzie inaczej. Nie lubiłem brać w rękę dłoni sługi, ale miło jest poczuć, że rękę moją otaczają drobne paluszki Jane. Wolałem zupełną samotność niż ciągłą obecność

ludzi najemnych, ale miłe usługi Jane będą źródłem ciągłej radości. Jane mi odpowiada, ale czy ja jej odpowiadam?

— W każdym calu, mój panie.

— Skoro tak jest, nie mamy na co czekać, musimy się pobrać natychmiast.

Wyglądał ożywiony i mówił z zapałem, budziła się w nim dawna gwałtowność.

— Musimy się połączyć bez zwłoki, Jane. Trzeba tylko wydostać licencję, a potem weźmiemy ślub.

— Panie Rochester, właśnie spostrzegłam, że słońce dobrze się już przechyliło na zachód i Pilot poszedł do domu na obiad. Niech mi pan pozwoli spojrzeć na swój zegarek.

— Przypnij go sobie do paska, Żanetko, mnie on niepotrzebny.

— Dochodzi czwarta. Nie czujesz głodu?

— Za dwa dni musi odbyć się nasz ślub, Jane. Mniejsza teraz o piękne suknie i klejnoty, wszystko to nic niewarte.

— Słońce wysuszyło kropelki deszczu. Wietrzyk ustał, zrobiło się gorąco.

— Czy wiesz, Jane, że mam twój naszyjnik z perełek na szyi pod krawatem? Noszę go stale od dnia, gdy straciłem swój skarb jedyny, jako pamiątkę po tobie.

— Wrócimy do domu przez las, droga w cieniu będzie milsza.

Snuł wątek myśli nie zważając na mnie.

— Ty mnie zapewne uważasz za niereligijnego łotra, ale moje serce właśnie teraz wzbiera wdzięcznością ku dobrotliwemu Bogu. Bóg nie patrzy tak jak człowiek, ale widzi o wiele jaśniej, nie sądzi tak jak człowiek, ale o wiele mądrzej. Źle postąpiłem, byłbym skalał mój niewinny kwiatek, tchnął winę na jego czystość. Wszechmogący mi go odebrał. Ja w zuchwałym buncie nieledwie

przeklinałem boskie zrządzenie, zamiast poddać się wyrokowi, bluźniłem mu. Boska sprawiedliwość poszła swoim torem: spadły na mnie nieszczęścia, musiałem przejść blisko śmierci. Jego kary są potężne, a dotknęła mnie taka, która upokorzyła mnie raz na zawsze. Ty wiesz, jak dumny byłem ze swej siły. Czymże ona jest teraz, gdy muszę ją zdawać na obce przewodnictwo jak dziecko swoją słabość rodzicom. W ostatnich czasach dopiero... w ostatnich czasach zacząłem widzieć i uznawać rękę Bożą w mej niedoli. Zacząłem odczuwać wyrzut sumienia, żal, pragnienie pogodzenia się ze Stwórcą. Zacząłem modlić się niekiedy, bardzo krótkie to były modlitwy, ale bardzo szczere.

Parę dni temu, mogę nawet porachować dni... przed czterema dniami, zeszłego poniedziałku w nocy, opanował mnie dziwny nastrój: żal zastąpił rozpacz, smutek — posępne przygnębienie. Od dawna miałem wrażenie, że skoro nigdzie nie mogę cię odnaleźć, więc musisz być martwa. Późno owej nocy — było to może między jedenastą a dwunastą — zanim udałem się na spoczynek, błagałem Boga, by jeżeli to zgadza się z Jego wolą, zabrał mnie wkrótce z tego świata i dopuścił do tamtego, gdzie jeszcze mogłem mieć nadzieję połączenia się z Jane.

Siedziałem w pokoju przy otwartym oknie. Koiło mnie balsamiczne powietrze nocne. Chociaż nie mogłem widzieć gwiazd, niewyraźna, świetlista mgiełka zwiastowała mi obecność księżyca. Tęskniłem za tobą, Jane! Och, jak tęskniłem za tobą, duszą i ciałem! Pytałem Boga w męce i pokorze, czy nie dość długo jestem opuszczony, dotknięty smutkiem, udręczony, czy nie zaznam nareszcie szczęścia i spokoju. Uznawałem, że zasłużyłem na wszystkie cierpienia, skarżyłem się, że już więcej znieść nie mogę, i nagle, mimo woli, całe pragnienie mego serca wydarto mi się z ust słowami: „Jane! Jane! Jane!"

— Czy wymówiłeś głośno te słowa?

— Tak, Jane. Gdyby mnie kto słyszał, pomyślałby, że zwariowałem, z tak szaloną wymówiłem je energią.

— A działo się to w poniedziałek nocą, około północy?

— Tak, ale czas tutaj nic nie stanowi. To, co nastąpiło, jest

najdziwniejsze. Pomyślisz, że jestem zabobonny, może trochę byłem i jestem przesądny, pomimo to jest to rzeczywista prawda, prawda w każdym razie, że słyszałem to, o czym opowiadam. Otóż, gdy zawołałem: „Jane! Jane! Jane!", odpowiedział mi głos — skąd pochodził, nie wiem, ale czyj był, poznałem — odpowiedział mi: „Idę! Czekaj na mnie!", a w chwilę potem z wiatrem doleciał mnie szept:. „Gdzie jesteś?"

Powiem ci, o ile potrafię, jaką myśl, jaki obraz słowa te nasunęły mojej duszy. Jednakże trudno jest wyrazić to, co chciałbym powiedzieć. Ferndean, jak widzisz, zagrzebane jest w gęstym lesie, odgłosy zapadają się głucho, zamierają bez echa. To „Gdzie jesteś?" zdawało się wymówione pośród gór, gdyż słyszałem echo górskie powtarzające te wyrazy. Chłodniejszy i świeższy wiatr owiewał mi w owej chwili skronie, mogłem sobie wyobrazić, że w jakiejś dzikiej, samotnej okolicy Jane i ja spotkamy się. Wierzę, że musieliśmy się spotkać wtedy w duchu. Ty z pewnością byłaś w owej godzinie pogrążona w nieświadomości snu, Jane. Może to dusza twoja opuściła swoją siedzibę, by pocieszyć moją duszę, gdyż były to twoje słowa, jestem tego tak pewny jak tego, że żyję.

Ja także w poniedziałek nocą około północy otrzymałam owo tajemnicze wezwanie. Tymi to właśnie słowami odpowiedziałam na nie. Wysłuchałam opowiadania pana Rochestera, ale nie opowiedziałam mu tego, co mnie spotkało. Ten zbieg wydarzeń wydał mi się zbyt niepojęty, by go roztrząsać. Opowiadanie moje wywarłoby głębokie wrażenie na duszy mojego towarzysza, a duszy tej, na skutek cierpienia jeszcze zbyt skłonnej do melancholii, nie służyłby głęboki cień nadprzyrodzonych możliwości. Przemilczałam więc to i rozważałam we własnym sercu.

— Nie możesz się przeto dziwić — mówił dalej mój pan — że gdy zjawiłaś się przy mnie wczorajszego wieczoru tak niespodziewanie, trudno mi było uwierzyć, że jesteś czymś więcej niż głosem i zjawą, która rozpłynie się w milczeniu i niebycie jak ów północny szept i echo górskie. Teraz, dzięki Bogu! wiem, że jest inaczej. Tak, dziękuję Bogu!

Zdjął mnie ze swych kolan i zdjąwszy z czcią kapelusz, chyląc ku ziemi niewidome oczy stał w niemej modlitwie. Tylko ostatnie wyrazy wymówił dosłyszalnie:

— Dziękuję Stwórcy, Panu memu, że sądząc mnie nie zapomniał o miłosierdziu. Pokornie błagam Odkupiciela, by dał mi siłę do prowadzenia czystszego niż dotychczas życia.

Po czym wyciągnął rękę, ażebym go mogła prowadzić. Ujęłam ją, przycisnęłam na chwilę do ust. a potem pozwoliłam tej drogiej ręce otoczyć moje ramię. Będąc o wiele niższa wzrostem od niego, mogłam mu służyć zarazem za podporę i przewodnika. Weszliśmy do lasu i zawróciliśmy ku domowi.

ROZDZIAŁ XXXVIII

ZAKOŃCZENIE

Zostałam jego żoną, czytelniku. Cicho odbył się nasz ślub: on, ja, duchowny i kościelny — nikt więcej nie był obecny. Gdy wróciliśmy z kościoła do domu, poszłam do kuchni, gdzie Mary gotowała obiad, a John czyścił noże, i powiedziałam:

— Mary, dziś rano odbył się mój ślub z panem Rochesterem.

Gosposia i mąż jej byli oboje z rzędu tych przyzwoitych, flegmatycznych ludzi, którym bezpiecznie można oznajmić zadziwiającą wiadomość nie narażając się na przebicie uszu jakimś przeraźliwym wykrzyknikiem, by następnie ogłuchnąć od potoku wymownych dziwowań. Mary spojrzała na mnie, nawet wytrzeszczyła oczy, łyżka, którą polewała parę piekących się kurcząt, zawisła dłuższą chwilę w powietrzu, John też zaprzestał czyszczenia noży. Jednakże Mary, schylając się znów nad rusztem, powiedziała tylko:

— Doprawdy, panienko? A to niespodzianka! Po chwili dodała:

— Widziałam, że panienka wychodzi z panem, ale nie wiedziałam, że państwo poszli do kościoła, żeby wziąć ślub.

I polewała dalej tłuszczem kurczęta. John, gdy się ku niemu obróciłam, uśmiechał się od ucha do ucha.

— Mówiłem Mary, jak to będzie — rzekł — wiedziałem, co pan Edward (John był starym sługą i znał swego pana, gdy był jeszcze młodszym synem w domu, toteż często mówiąc o nim używał jego imienia), wiedziałem, co pan Edward zrobi. I byłem pewien, że długo czekać z tym nie będzie; i dobrze zrobił, podług mego zdania. Życzę pani szczęścia! — skłonił się.

— Dziękuję wam, John. Pan Rochester polecił mi dać to wam i

Mary.

Wsunęłam mu w rękę banknot pięciofuntowy i nie czekając dłużej wyszłam z kuchni. Nieco później, przechodząc obok drzwi tego sanktuarium, posłyszałam te słowa:

— Ona z pewnością będzie lepsza dla niego niż która z tych wielkich pań. A poza tym, chociaż nie jest jedną z najpiękniejszych, nie jest brzydka i bardzo jest poczciwa; a w jego oczach była zawsze bardzo piękna, każdy mógł to widzieć.

Napisałam natychmiast do Moor House i do Cambridge, donosząc, co uczyniłam, i zarazem podając im obszerne motywy swego kroku. Diana i Mary pochwaliły mój krok bez zastrzeżeń. Diana oświadczyła, że zaczeka tylko, aż skończy się miodowy miesiąc, a wtedy przyjedzie mnie odwiedzić.

— Niech lepiej na to nie czeka, Jane — powiedział pan Rochester, gdy mu przeczytałam jej list — gdyż gotowa zbyt długo czekać; nasz miesiąc miodowy będzie trwać przez całe życie, promienie jego zgasną dopiero nad twoim albo moim grobem!

Jak St. John przyjął tę wiadomość — nie wiem; nie odpowiedział mi na list, w którym mu ją przesłałam; dopiero w pół roku później napisał do mnie nie wspominając jednakże imienia pana Rochestera ani mojego zamążpójścia. List jego był spokojny, a chociaż bardzo poważny, był życzliwy. Utrzymuje odtąd regularną, chociaż nieczęstą korespondencję ze mną; spodziewa się, pisze, że jestem szczęśliwa, i ufa, że nie jestem z tych, którzy żyją w świecie bez Boga i dbają tylko o sprawy doczesne.

Co słychać z małą Adelką? — spytacie. Nie zapomniałam o niej. Wkrótce uzyskałam od pana Rochestera pozwolenie, by ją odwiedzić w szkole. Jej szalona radość na mój widok mocno mnie wzruszyła. Wyglądała blado i była szczupła; skarżyła się, że nie jest jej tam dobrze. Okazało się, że regulamin w tym zakładzie jest nadmiernie surowy, program nauk, jak dla dziecka w jej wieku, zbyt obszerny. Zabrałam ją z sobą do domu. Zamierzałam być znowu jej nauczycielką, wkrótce jednak przekonałam się, że to niemożliwe. Czasu mego i starań potrzebował teraz kto inny: mój mąż pochłaniał je całkowicie. Toteż wyszukałam szkołę prowadzoną

łagodniejszym systemem i niezbyt odległą, tak że mogłam często odwiedzać Adelkę i raz po raz zabierać do domu. Starałam się, by jej nigdy nie zbywało na niczym. Wkrótce zadomowiła się w nowej siedzibie, czuła się tam bardzo dobrze i robiła duże postępy w naukach. W miarę jak się rozwijała, zdrowe angielskie wychowanie poprawiło w znacznej mierze jej francuskie wady, a gdy skończyła szkołę, znalazłam w niej miłą i oddaną towarzyszkę: uległą, pogodnego usposobienia i dobrych zasad. Wdzięcznym przywiązaniem do mnie i mojej rodziny odpłaciła mi dawno tę odrobinę dobroci, jaką jej kiedykolwiek mogłam wyświadczyć.

Moja opowieść zmierza do końca; jeszcze słowo o mych przeżyciach małżeńskich, jeszcze krótki rzut oka na losy tych, których imiona najczęściej pojawiały się w tym opowiadaniu, a odłożę pióro.

Jestem zamężna od lat dziesięciu. Wiem, co to znaczy żyć całkowicie dla tego i z tym, którego kocham nad wszystko w świecie. Uważam się za nieskończenie szczęśliwą, za szczęśliwą ponad wszelki wyraz, gdyż w całej pełni jestem wszystkim dla mojego małżonka, tak jak on dla mnie. Nigdy żadna kobieta nie była bliższa ode mnie swemu mężowi, nigdy nie była bardziej kością jego kości i krwią jego krwi. Nigdy mnie nie nuży towarzystwo mojego Edwarda ani jemu nie przykrzy się moje — tak jak nas nie nuży tętno naszych serc bijących odrębnie w jego i w mojej piersi; toteż jesteśmy ciągle razem. Być razem znaczy dla nas być jednocześnie wolnymi jak w samotności i wesołymi jak w towarzystwie. Rozmawiamy, zdaje mi się, jak dzień długi; rozmowa jest dla nas tylko żywszą i głośną formą myślenia. Ja całe zaufanie pokładam w nim, on nawzajem we mnie; jesteśmy doskonale dobrani charakterami, stąd wynika doskonała zgoda.

Pan Rochester pozostał niewidomy przez pierwsze dwa lata naszego pożycia. Może to zbliżyło nas tak bardzo, spoiło nas tak ściśle, bo wtedy ja byłam jego wzrokiem, tak jak dotąd jestem jego prawą ręką. Byłam dosłownie (tak jak mnie nazwał) źrenicą jego oka. Widział przyrodę, widział książki przeze mnie; ja zaś nigdy nie nużyłam się patrzeniem dla niego, opisywaniem pól, drzew, miasta, rzek, chmur, promieni słonecznych — krajobrazu i pogody — by mu udzielić dźwiękowego wrażenia tego, czego obrazowo nie mógł ogarnąć okiem. Nigdy też nie nużyło mnie czytanie mu ani

prowadzenie go, dokąd chciał, czynienie tego, czego sobie tylko życzył. I znajdowałam w tym usługiwaniu przyjemność pełną i głęboką, chociaż smutną, a on prosił o te usługi bez przykrego wstydu, bez bolesnego poczucia upokorzenia. Kochał mnie tak prawdziwie, że nigdy się nie zawahał korzystać z mojej pomocy; wiedział, że kocham go tak czule, iż dając mu tę pomoc dogadzam własnym najmilszym pragnieniom.

Pewnego ranka przy końcu drugiego roku, gdy pisałam list pod jego dyktando, zbliżył się i nachylił nade mną mówiąc:

— Czy ty masz jakąś błyszczącą ozdobę dokoła szyi, Jane?

Miałam złoty łańcuszek od zegarka; odpowiedziałam:

— Tak.

— A czy masz na sobie bladoniebieską suknię?

Tak było. Powiedział mi wtedy, że już od pewnego czasu wydawało mu się, że ciemność zaczyna się robić mniej gęsta, a teraz upewnił się o tym.

Pojechaliśmy do Londynu. Poradził się wybitnego okulisty i do pewnego stopnia odzyskał wzrok na to jedno oko. Nie może widzieć bardzo dokładnie, nie może czytać wiele ani pisać, ale trafi wszędzie bez prowadzenia; niebo i ziemia nie są już pustką dla niego. Gdy mu podano pierworodnego, mógł rozpoznać, że chłopak odziedziczył jego własne oczy, takie, jakimi niegdyś były — wielkie, pełne blasku i czarne. Wtedy znowu pełnym sercem uznał, że Bóg złagodził sprawiedliwość miłosierdziem.

Mój Edward i ja jesteśmy więc szczęśliwi; tym bardziej że szczęściem się cieszą również ci, których najwięcej kochamy. Diana i Mary Rivers wyszły za mąż. Kolejno przyjeżdżają nas odwiedzić co roku, a my jeździmy w odwiedziny do nich. Mąż Diany jest kapitanem marynarki, dzielnym oficerem i dobrym człowiekiem. Mąż Mary jest duchownym, przyjacielem szkolnym jej brata, z wykształcenia i zasad godny rodziny, której został członkiem. Kapitan Fitzjames i pan Wharton kochają swoje żony i są wzajemnie przez nie kochani.

St. John Rivers opuścił Anglię i udał się do Indii. Wszedł na drogę, którą sobie wybrał, i dotąd nią kroczy. Odważniejszy, bardziej niezmordowany pionier nigdy nie borykał się wśród skał i niebezpieczeństw. Wytrwały, wierny i oddany, gorliwy, pełen energii i prawdy pracuje dla dobra swych bliźnich; oczyszcza ich trudną drogę ku doskonaleniu się; wyrębuje jak olbrzym uprzedzenia religijne i kastowe, jakie zarastają tę drogę. Jest może surowy, jest może wymagający, jest może ciągle ambitny, ale jego surowość to surowość rycerza chrześcijańskiego, który chroni orszak pielgrzymów od napaści szatana. Wymagający jest jako apostoł, który przemawia tylko w imię Chrystusa: „...Jeśli kto chce za mną iść, niech samego siebie zaprzy, a weźmie krzyż swój i niech mię naśladuje." Ambitny jest jak duch silny pragnący stanąć w pierwszym rzędzie odkupionych, tych, co stoją bez winy przed tronem Bożym, uczestniczą w ostatnich potężnych zwycięstwach Baranka, tych, co są powołani, wybrani i wierni.

St. John się nie ożenił; i nie ożeni się już nigdy. Sam dotychczas podejmował trud, a trud ten zbliża się ku końcowi; jego jasne słońce chyli się ku zachodowi. Ostatni list, który od niego otrzymałam, wycisnął mi z oczu łzy ludzkie, choć niebiańską radością napełnił serce: wyrażał nadzieję nagrody, korony niebieskiej. Wiem, że obca ręka napisze do mnie wkrótce donosząc, że dobry i wierny sługa Boży wrócił wreszcie do Pana. I dlaczegóż mam płakać? Lęk śmierci nie zakłóci ostatniej godziny St. Johna; jasności duszy jego nie zamroczy chmura; będzie umierał z sercem niezłomnym, z nadzieją i niezachwianą wiarą. Własne jego słowa mi to poręczają:

"Pan mój — pisze — ostrzegł mnie. Codziennie coraz wyraźniej oznajmia mi: «Z pewnością przyjdę niebawem!», a ja co godzina z coraz większym utęsknieniem odpowiadam: «Amen. O Panie Jezu, przybywaj!»"

Spis treści

Dziwne losy Jane Eyre
Strona redakcyjna

TOM I
ROZDZIAŁ I
ROZDZIAŁ II
ROZDZIAŁ III
ROZDZIAŁ IV
ROZDZIAŁ V
ROZDZIAŁ VI
ROZDZIAŁ VII
ROZDZIAŁ VIII
ROZDZIAŁ IX
ROZDZIAŁ X
ROZDZIAŁ XI
ROZDZIAŁ XII
ROZDZIAŁ XIII
ROZDZIAŁ XIV
ROZDZIAŁ XV
ROZDZIAŁ XVI
ROZDZIAŁ XVII
ROZDZIAŁ XVIII
ROZDZIAŁ XIX
ROZDZIAŁ XX

TOM 2
ROZDZIAŁ XXI
ROZDZIAŁ XXII
ROZDZIAŁ XXIII
ROZDZIAŁ XXIV
ROZDZIAŁ XXV
ROZDZIAŁ XXVI
ROZDZIAŁ XXVII
ROZDZIAŁ XXVIII
ROZDZIAŁ XXIX

ROZDZIAŁ XXX
ROZDZIAŁ XXXI
ROZDZIAŁ XXXII
ROZDZIAŁ XXXIII
ROZDZIAŁ XXXIV
ROZDZIAŁ XXXV
ROZDZIAŁ XXXVI
ROZDZIAŁ XXXVII
ROZDZIAŁ XXXVIII